

MANULA KALICKA

Siła dokumentu i wielkie emocje.

Grażyna Barszczewska

Śmiech miesza się tu z płaczem.

Iście wybuchowa mieszanka!

Paulina Holtz

A photograph of three women walking away from the camera down a street in a war-torn city. The woman on the left is wearing a bright red coat and a black skirt. The woman in the middle is wearing a patterned blouse and a black skirt. The woman on the right is wearing a dark blue dress with a pink sash. The background shows damaged buildings and a cloudy sky. The title 'Koniec i początek' is written in large red letters at the bottom of the image.

Koniec i początek

Prószyński i S-ka

MANULA KALICKA

Koniec i początek

Prószyński i S-ka

Copyright © Manula Kalicka, 2018

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
© Elisabeth Ansley/Trevillion Images;
Muzeum Powstania Warszawskiego

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8123-602-7

Warszawa 2018

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

To, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie; więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem.

Księga Koheleta

Mamie,
która w styczniu 1945 przysłała pieszo z Nowego Miasta nad Pilicą do Warszawy
w poszukiwaniu rodziców, pozostałych w ogarniętym powstaniem mieście.
Zginęli na Woli piątego sierpnia, rozstrzelani wraz ze wszystkimi mieszkańcami domu.

Prolog

12 KWIEETNIA 1945

W obszernym holu paliła się tylko jedna i to słaba żarówka. Długi korytarz, zagracony do niemożliwości, przywodził na myśl labirynt, w którym łatwo się nadziać na wystającą komodę, wystawioną szafkę nocną czy zagracone tremo. Przesmyk między meblami był tak wąski i mroczny, że nocą szło się do toalety po omacku, z wyciągniętymi rękami badając niepewnie poszczególne kształty, które majaczyły w ciemności. Zawsze istniała możliwość, że na korytarzu właśnie pojawiło się coś nowego, jakaś paka, wiadro czy toból, więc co rusz ktoś na coś wpadał, o coś się potykał i klął. Głośno lub ciszej.

Przedostawszy się przez hol, weszła w korytarzyk, ominęła zasadzki i całkiem już rozbudzona z ulgą wymacała klamkę do ubikacji. Kiedyś zdarzyło jej się zawędrować nocą do sąsiadującego z kłozetem pokoju Kaśki i cóż, krzyki tej ostatniej, tudzież jej kochanka, Wojtka, postawiły na nogi cały dom. Nie życzyła sobie powtórek, chociaż mogło być ciekawie. Boże! Co to się wtedy działo! Na odgłos wrzasków Kaśki zbiegli się wszyscy lokatorzy mieszkania, nawet ten młody z gabinetu, który nigdy nie udzielał się towarzysko. Wojciech rzucał mięsem, Kacha darła się wniebogłosy, a Zośka spłonęła rumieńcem na widok gołych Kańczynych cycków. Wandzie zaś udało się dojrzeć tę, no, męskość Wojtka, gdy wyskoczył z łóżka.

Wcale, wcale, westchnęła i otworzyła drzwi do ubikacji.

Żarówka, nie wiedzieć czemu, była mocniejsza, jeszcze przedpowstaniowa. Jacek lubił sobie tu poczytać i od kilku dni, gdy wreszcie włączyli prąd, wrócił, jak mówił, do miłego cywilizowanego przyzwyczajenia.

Jasne światło oślepiło Wandę, przymknęła więc nieco powieki i wtedy zobaczyła jakąś sylwetkę. Właściwie tylko zarys. Ktoś był w toalecie, chciała się wycofać, bąknęła nawet przeproszam, robiąc w tył zwrot. Jednak po sekundzie czy dwóch, gdy oczy przyzwyczyły się nieco, otworzyła je szerzej i spojrzała.

Coś ją zaniepokoiło, coś było nie tak. Ta postać...

Zamiast wyjść, popatrzyła.

A potem podniosła krzyk. Tak głośny i przeraźliwy, że Kaśka mogłaby się od niej jeszcze wiele nauczyć.

Uciekaj, uciekaj

20 WRZEŚNIA 1944, WŁOCHY

Irenka Górecka przysiadła na omszałym głazie, w miejscu, gdzie kończyła się jedna parcela, a zaczynała następna. Przed nią rozciągał się bazar w podwarszawskich Włochach. Na rozległym placu handlowali wszyscy zgodnie i pospołu: Polacy, Niemcy, Ukraińcy. W oddali wciąż dymiła walcząca Warszawa, tu zaś życie wrzało z zadziwiającą intensywnością. Ba! Jak mogło się wydawać, ów handel przybrał gorączkowy charakter, wymuszony potrzebą chwili. Warszawiaczy, którzy wydostali się z powstania, teraz wyprzedawali wszystko, co udało się im ocalić i wynieść z płonącego miasta. Byłe przetrwać. Robiło się zimno, żywność osiągała paskarskie ceny, ludzie stali w tłoku, trzymając kurczowo w rękach rozmaite fanty, począwszy od blaszanych puszek, na futrach skończywszy. Krzyk, rwetes i przekleństwa. Gdzieś tam dalej ktoś grał na harmonii *Na sopkach Mandzurii*. Ktoś krzyczał, jakaś para kłóciła się zawzięcie. Jakieś dziecko płakało w głos, konie rżały, psy szczekały, gęsi gęgały. Niemcy też handlowali, a jakże, zbratani z tłumem. Podobnie jak sprzymierzeni z nimi Ukraińcy z oddziałów Kamińskiego wyzbywali się zrabowanych przedmiotów, a kupowali przede wszystkim bimber. Irenka widziała ich w akcji, więc trochę nią zatrzęsło, gdy spoglądała na zającą z pozoru babuleńkę, która stała dwa kroki od jej siedziska i wymieniała z brudnym Ukraińcem pięciolitrowy bukłaczek pełen, jak się należało domyślać, właśnie bimbru – na dziewczęcy pierścionek z niewielkim rubinem.

Babcia mówiła przy tym z kresowym zaśpiewem do towarzyszącego jej wyrostka:

– Papatrzy, papatrzy Grzesiutek, jakie ślicznusie ślipko!

Irenka odwróciła wzrok.

Miała ochotę wstać i potrząsnąć staruszką, by ta się ocknęła, tylko była tak zmęczona, że nie miała siły się podnieść.

Dopiero co widziała, jak ronowcy czy własowcy, jeden czort, zrywali pierścionki, łańcuszki i krzyżyki pochwyconym kobietom, potem zaś gwałcili je albo strzelali w tył głowy. Czasem jedno i drugie. A później palili ciała, ułożone w wielkie stosy w bramach i na placach. Irenka kręciła się jak błędna po ogarniętej powstaniem Warszawie. Za dużo widziała, stanowczo za dużo, aż dziw, że jeszcze nie postradała zmysłów. A te trupy palone w bramie na Głogera pewnie będą jej się śniły do końca życia.

Miała szczęście. Wydostała się z piekła i dowlokła aż tutaj.

Kamień na skraju bazaru zwolnił się, akurat gdy do niego dochodziła. Staruszek w meloniku, wyglądający na życiowego rozbitka, kropka w kropkę jak ona, machnął ręką zapraszająco, wstał i wsparty na sękatym kijaszku, pokuśtykał do miejsca, gdzie kobieta w perkalikowym fartuszkę sprzedawała gorące pyzy prosto z kociołka. Irka z ulgą opadła na ten graniczny kamień, niepewna, czy zdoła iść dalej.

Nie iść.

Žyć.

Wcześniej

1 SIERPNIA 1944, WARSZAWA

Rankiem pierwszego sierpnia krzątała się w swoim mieszkaniu na Mokotowskiej, trochę posprzątała, nawet podłogę w kuchni umyła, mimo że wszyscy mówili, że to już, zaraz. Wiedziała, że Jerzyk i pozostali chłopcy mają się zebrać o szesnastej u Renaty na Hożej. Ona także miała tam przyjść. Ale coś, sama nie wiedziała co, kazało jej robić wszystko jak zwykle. Czuła dziwne wewnętrzne napięcie, na coś czekała. Palce ją mrowiły, z każdą minutą denerwowała się coraz bardziej i może właśnie dlatego starała się, by dzień przebiegał normalnie.

A jeśli znów odwołają?

Poszła do pracy. Było parno, ale bezsłonecznie, miała na sobie sukienkę w drobną niebieską kratkę i sandaalki, dobrze, że nie na obcasach, na ramieniu torebkę. Kelnerowała do trzynastej w małej knajpcie na rogu Polnej, a potem pojechała na Wolę do znajomej, Olesi, która miała tam działkę i obiecała sprzedać trochę kartofli. W końcu czerwonarmiści byli już ponoć blisko, ale przecież to powstanie mogło trochę potrwać. Ludzie mówili na mieście, że Rosjanie tak od razu nie ruszą, będą stali i czekali. Na co, nie było dokładnie wiadomo. Pojechała, kartofle zawsze mogły się przydać, kiedy już się zacznie, a także wtedy, gdy znów wszystko odwołają.

No i tam, na Woli, utknęła. Ani w prawo, ani w lewo. Przyłączyła się do grupy budującej barykadę.

A potem...

Wolała o tym nie myśleć. Gdyby nie była tak nieludzko zmęczona, pewnie nie mogłaby spać nocami. Ach, żeby tak można zapomnieć, wyrzucić z pamięci. Ważne było jednak tylko dzisiaj. Jakieś jedzenie, nocleg raz tu, raz tam. Miała pieniądze. Mimo tych wszystkich powstańczych perturbacji złota dwudziestodolarówka, zaszyta w staniku, szczęśliwie przetrwała. Nie było takiej chwili w ciągu ostatniego miesiąca, w której ten twardy pieniądz mógł jej w czymś pomóc. Cały czas uciekała.

Nie dalej niż zeszłego ranka wydawało się, że jej tułaczka nareszcie dobiegła kresu. Opuściła przedpola Warszawy, gdzie wciąż toczyły się walki, dotarła do nieodległego Marynina i bladym świtem stanęła przed miłym, drewnianym domkiem otoczonym drewnianym parkanem, za którym kłębiły się krzaki bzu i karagany. Weszła na podwórko, czyste i schludne, jakby z innego świata, takiego bez wojny, głodu i śmierci. Pod oknami chałupki rosły prześliczne dalie, różnobarwne astry wymieszane z koprem włoskim i delikatne floksy. Czerwonawe płatki przekwitłych już kwiatów upstrzyły ziemię. W drzwiach przywitała ją dobroduszna gospodyni o twarzy okrągłej jak piłka, owalnych oczach i nosie zakończonym śmieszoną kuleczką. Kobieta miała narzuconą na ramiona chustkę w duże czerwone kwiaty, które przypominały Irencze plamy krwi. Aż się wzdrygnęła i zaraz zbeształa się w duchu. Coś z nią chyba nie tak, wszędzie widzi krew.

Gospodyni o perkatym nosie wydała się jej uosobieniem poczciwości.

– A to panna z powstania idzie? – zagadała od razu, pewnie ciekawa nowin.

Znużona Irka tylko kiwnęła głową i zapytała nieśmiało, bo jednak do żebraniny nie przywykła:

– Czy byłaby pani tak dobra i poratowała mnie jakimś posiłkiem? Mogę w zamian... – rozejrzała się wokół i ciągnęła rozpaczliwie: – ...No, mogę odrobić w ogrodzie albo jak pani sobie życzy. Bardzo proszę...

– Ale co też panna mówi, śniadanie dam i tak... – obruszyła się kobiecina. Machnęła ręką, odstąpiła od wejścia i przepuściła Irenkę. Anioł po prostu.

I rzeczywiście, uzaliła się nad nią, a potem zaraz zaczęła podgrzewać mleczną zupę, wypytując, co w Warszawie.

Wiadomości były towarem wymiennym, więc Irenka opowiadała, choć słowa przychodziły jej z trudem.

– Wie pani, ja już tak od samego początku powstania się włóczę. Do mieszkania w Śródmieściu nie mogłam wrócić. Na Woli byłam, lepiej nie mówić, po prostu piekło. Mordowali, bez litości, dom po domu. Wszystkich: starców, dzieci, kobiety w ciąży. Niemowlęta rozwalali o ściany. Tam nikt nie walczył. Ale jedno wiem... – Spojrzała na gospodynię i westchnęła: – Przegrywamy. A ruscy stoją i tylko się gapią. Czekają, aż nas wytluką do cna. Do ostatniego...

– A bardzo tę Warszawę zmarnowali?

– Oj, bardzo... – Irenka zamilkła.

Opowiadanie szło z mozołem, bo jak tu ubrać w słowa wspomnienia, o których nawet myśleć nie chciała. Ale trudno. Siedziała przy stole, patrzyła na skrętną gosposię i jej kilkunastoletnią córkę. Dziewczynka zjawiała się w kuchni, chyba obudzona rozmową, i przysiadła na taborecie otulona serdakiem włożonym na męską bawełnianą koszulę, w której widać sypiała. Miała ze czternaście lat i takie ładne jasnoniebieskie oczy, które wpatrywały się z ciekawością w Irenkę.

– Ukraińcy, jak już skończyli z ludźmi, to potem palili trupy w stosach. Na Woli i na Ochocie też. Widziałam te stosy, gdy dogasały. Ten straszny odór, widok... – Irenka przerwała.

Nikt jej już nie zachęcał do mówienia. Nie było okrzyków grozy, tylko błysk przerażenia w oczach dziewczynki. Zamilkła. Mieszkanki domu opuściły głowy i nawet na nią nie patrzyły, przetrawiając w myślach to, co przed chwilą usłyszały.

Teraz wszystkie trzy jadły mannę z mlekiem w całkowitym milczeniu i było dobrze, spokojnie. Domowo. Irce zrobiło się ciepło na sercu. Matka z córką, nieświadome tego, co się z nią dzieje, siorbały kaszę zupełnie bez apetytu. Poza strachem Irenka zobaczyła w ich oczach jakby... niedowierzanie. Przestała mówić, chociaż nagle, nieoczekiwanie, zapragnęła wyrzucić z siebie wszystko, pozbyć się tego, co tłukło się i w głowie, i w pamięci.

Ale dlaczego właśnie im? Czy to jej pomoże?

Stół był przykryty kordonkową serwetą, zapewne dziełem gospodyni, stał też na nim odpustowy wazonik z fajansu, a w nim bukietek wędnących już dali z opadającymi płatkami. Gospodyni dbała o wygląd ciasnej kuchenki, ale nastrój jakoś się popsuł, za dużo gadała, złudne ciepło zniknęło z miłego domeczku. Matka i córka poruszały blaszanymi łyżkami, mechanicznie i niesporo, pogrążone w myślach. W przeciwieństwie do Irenki, która w mgnieniu oka uwinęła się ze swoją porcją i właśnie się zbierała, aby spytać o dokładkę. Konia z kopytami by zjadła. Na dnie garnka zostało jeszcze trochę zupy, jak zauważyła. Ot, parę łyżek.

Kobieta wstała, sięgnęła po talerze i czytając w jej myślach, powiedziała:

– Skoroś, dziewczyno, tyle przeszła, toś pewnie jeszcze głodna? Może chleba ukroję?
Irce oczy się zaśmiały.

– Oj, tak, bardzo pani uprzejma!

– A kto teraz komu pomoże, jak nie my sobie? Może być z cukrem? I mlekiem pokropię, co? Będzie jeszcze lepszy...

– Uwielbiam chleb z cukrem. Moja mama często mi takie śniadania robiła. – Irenka uśmiechnęła się, wędrując myślami do dzieciństwa, tych paru dobrych lat przed śmiercią rodziców, a gospodyni ukroiła solidną pajdę i zaczęła ją kropić mlekiem, gdy nagle na podwórku rozległo się przeraźliwe ujadanie psa, które zniemacka przeszło w żalosny skowyt – i jeszcze jakiś dziwny hałas.

A potem w oknie kuchni mignął Ukrainiec.

Po miesiącu na Woli Irenka umiała ich rozpoznać lepiej niż rodzzonego wuja. Zbieła ze strachu. Zerwała się z miejsca, krzyknęła, tak jakoś nie po swojemu, piskliwym głosem: – Ronowcy! – i złapała za serdaczek siedzącą za stołem dziewczynkę, Anielka jej było, po czym, nie zważając na oniemiałą matkę, która tylko jęknęła, wepchnęła dziewczuszyne pod szafkę, gdzie stało wiadro z wylewkami przesłonięte haftowanym płóciem z niebieskim napisem: „Boże błogosław tej rodzinie”.

Zmartwiła z przerażenia Anielka nie protestowała. W wiadrze zachlupotało i plama brudnej wody rozlała się po skrzypiącej podłodze w kolorze musztardy, a Irka z gospodynią stanęły jak skamieniałe na środku kuchni, zasłaniając szafkę przed oczami Ukraińców, którzy już tupali w sieni, wpychali się do izby. Nim weszli, Irenka dostrzegła za drzwiami sporą wnękę, w której wisiały jakieś kapoty. Zwinnie i szybko przemknęła tam, rozgarnęła ubrania – i już jej nie było.

Gospodyni została na środku kuchni sama jak palec, a ona zawisała pod kapotą śmierdzącą naftaliną, wysmażonym tłuszczem i kiszoną kapustą. Ot, po prostu kuchnię.

Było ich dwóch. Widziała tylko wymięte czapki na brudnych łbach i plecy szerokie, mocne. Siedziała cicho jak trusia, starając się nie oddychać.

– Patefończik u was jest? – spytał prosto z mostu ten niższy.

Miał czarne włosy i zawadiackie wąsy.

Na twarzy gospodyni odmalowało się takie zdumienie, że mężczyzna tylko machnął ręką i razem ze swoim kompanem zaczął się kręcić po kuchni i przepatrywać kąty. Irka zagryzła wargi, niemal krztusząc się ze śmiechu. Patefończika mu się zachciało, a jej, głupiej, śmiać. To wszystko nerwy, pomyślała. Ściągnęli gospodyni z palca złotą obrączkę, zajrzeli w garnki. Młodszy, łysawy blondyn, sięgnął łyżką po mannę i wyjadł wszystko, aż łyżka zachrobotowała o dno. Drugi wziął do ręki przygotowaną pajdę i pogryzając, ładował nieśpiesznie do torby chleb i cukier, który zgarnął z szafki. Irka bezgłośnie przełknęła ślinę. Bała się, żeby nie zaczęło jej burczeć w brzuchu. Kapoty cuchnęły, aż nos wykręcało, nogi wystawały i nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby spróbować bez hałasu wsadzić stopy w gumowce stojące na plecionym chodniku pod wieszakiem. Wtedy miałyby pewność, że tamci jej nie wypatrzą. Wahala się. Na stole stały trzy puste talerze. Ona je zauważyła i zmartwiła, jednak żołnierzom, jak się zdawało, żadna klapka się nie otworzyła w głowie.

Wąsal z nieco azjatyckimi oczami wszedł do sąsiadującego z kuchnią pokoju. Irka widziała go teraz wyraźnie, jak na dłoni, przez szczelinę między jedną a drugą kapotą. Z cholewy wystawał mu kawał brudnej szmaty, a z tyłu, na plecach wojskowej kurtki, miał dużą, niezgrabną cerę.

Czarny, gruby ścieg przywodził na myśl stonogę.

– Wy tutaj sami? – zapytał, odwracając się do gospodyni, a wtedy ta wcielona poczciwość

wycelowała palec w kapoty, za którymi Irka modliła się o cud, i rzekła:

– Nie.

Tym razem cudu nie było...

Na podwórku, gdzie ją wywleczono, było już kilka kobiet, pilnowanych przez żołnierzy. Gospodyni wraz z ukrytą w szafce córką została w domu.

Wszystkie stojące na podwórzu nie miały jeszcze trzydziestki i z przeraźliwym strachem w oczach patrzyły to na siebie, to znów na Ukraińców. Irenka czuła, czuła wyraźnie, że to już koniec. I tak przez miesiąc z górą szczęście jej dopisywało.

Nie miała za złe tamtej kobiecie, że ją wydała. Bądź co bądź, ratowała swoją córkę.

Ta półnaga dziewczynka... Irenka wołała o tym nawet nie myśleć.

Wąsacz, gdy ją dojrzał, po prostu chwycił za sukienkę tuż przy dekolcie, wyszarpnął z wnętrza i płynnym ruchem wypchnął do sieni, a stamtąd kopniakiem z kolana wyekspediował na podwórze. Zachwiała się, nie mogąc złapać równowagi, lecz gdy już uchwyciła pion, nie zdążyła nawet dobrze się rozejrzeć, kiedy na podwórku pojawił się jeszcze jeden Ukraińiec. Pijany jak bela oficer. Machnął ręką i wrzasnął:

– Pajdziom!

Jego podkomendni, też podpici, zagonili czekające kobiety w stadko i poszturchując bronią, kazali im iść przed sobą.

Szły środkiem opustoszałej ulicy. Za parkanami złościły się marcinki i nawłocie, niebieszczyły astry. Czerwone kiście jarzębiny zwieszały się z rosnącego przy drodze drzewa, a domki stały cichutkie w tych rozkwieconych jesiennych ogródkach, jakby z nagłą opustoszałe.

W oknach, szczelnie pozamykanych mimo pięknej pogody, nie mignęła ani jedna twarz.

Uliczka była rozjeżdżona przez wojskowe samochody, nierówna, pełna piaszczystych kolein. Żle się po niej szło, nie tylko stadku kobiet. Także oficer, prowadzący oddział, potykał się co krok, klnąc siarczyście. Irka szła tuż za nim i czuła odór nieprzetrawionego alkoholu. Kompletnie pijany, pomyślała, tak jak i jego podkomendni, zataczający się od prawej do lewej i abarot. Popatrzyła na idącą obok piękną brunetkę z długim warkoczem, który opadał na płaszczyk z szarej gabardyny. Chciała z nią nawiązać jakiś kontakt, choćby wzrokowy, ale dziewczyna ani spojrzała, nawet wówczas, gdy Irka potknęła się i złapała ją za łokieć. Brunetka szła zgarbiona, z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w ziemię. Wyglądała, jakby życie z niej uszło.

O ucieczce nie było co marzyć, mimo to Irka bacznie się rozglądała, szukając okazji, żeby czmychnąć. Kompletna pustka, żadnych ludzi, żadnych szans na przycupnięcie gdzieś w ukryciu. Skręcili w szerszą ulicę, ale furtki pozamykane na skoble nie dawały możliwości wskoczenia do czyjegóż ogrodu. No i tych Ukraińców z dziesięciu, a ich zaledwie siedem.

Teraz nie da rady, może później, pocieszała sama siebie, wciąż nie tracąc ducha.

Wkrótce, przy końcu ulicy, zobaczyła dom, znaczniejszy, okazalszy, pewnie należący do jakiegoś miejscowego bogacza. Oficer znów się potknął na nierównej drodze, poleciał z impetem w prawo, wprost na Irkę, która, chcąc nie chcąc, go podparła. Wyprostował się ze złością, przystanął i wskazując na budynek, krzyknął: – *Wperiod!* – i przemaszerował chwiejnym

krokiem przez bramę, usłużnie otwartą przez pierwszych żołnierzy, w kierunku położonej w głębi malowniczego ogrodu willi, porośniętej dzikim, czerwonym winem. Za nim całą gromadą weszli na posesję własowcy, zaganiając kobiety niby stado kur.

Irka przysunęła się do dowódcy. Wzięła głęboki oddech i, lekko się zacinając, powiedziała po rosyjsku:

– *Ja tuda czerez oszybku...¹*.

Miała nadzieję, że zrozumie. Uśmiechnęła się przy tym miło. Ufna w swój talent aktorski, wdzięk i siłę perswazji, próbowała, jak mogła, odwrócić złe. Oficer nic nie powiedział, nawet na nią nie spojrział, tylko coś mruknął i dalej wrzeszczał na swoich żołdatów, rozsyłając ich po podwórzu i domu. Po chwili na podjeździe, tuż koło gazonu, zobaczyła poganianych, poszturchiwanych bronią właścicieli. Ona, tleniona na złoty blond czterdziestolatka, on, dużo od niej starszy, o jakieś dwie dekady, prezentował się nobliwie i elegancko w pąsowej wytwornej bonzurce. On próbował coś mówić po niemiecku, ona dzielnie mu wtórowała. Oficer warknął parę słów i nie minęło pięć minut, a małżonkowie leżeli martwi, z przestrelonymi głowami.

Irka zamknęła oczy. Miała dość. Gdy je znów otworzyła, zobaczyła wynurzającego się z domu czarnowąsęgo żołnierzyka, tego samego, który ją wygarnął z chałupki w Maryninie. Z dumą dzierzył przed sobą patefończik większy od niego samego i uśmiechał się od ucha do ucha. Był szczęśliwy.

Moje ty słoneczko, pomyślała, zgrzytając zębami. W tym momencie na schodach pojawił się i drugi żołnierz. Ciągnął za sobą wrywającą się tęgą kobietę, pewnie kucharkę, sądząc po fartuchu zawiązanym w pasie. Pchnął ją w stronę grupki, w której stała Irenka, tak brutalnie, że biedaczka upadła jak długa. Irka chciała jej pomóc, zrobiła już krok do przodu z wyciągniętą ręką, gdy jeden z Ukraińców, wygłodzony blondyn ze szramą na policzku, rzucił się szczupakiem na kobietę i jednym ruchem rozerwał jej bluzkę, pod którą ukazały się wielkie białe piersi. Irka zmartwiała z przerażenia.

To był sygnał, impuls. Pozostali żołnierze jak na komendę zaczęli szarpać dziewczyny. Każdy łapał jedną, do niej ruszył grubas w niedopinającym się mundurze. Irka, niewiele myśląc, przyskoczyła do dowódcy i chwyciła go za rękę:

– *Komandir! Oficjer!*

Zatrzymał się, zatoczył i na tyle oprzytomniał, że objął ją ramieniem.

– *Krasawica!* – wymamrotał, po czym zaczął upadać jak wór kartofli, ciągnąc ją ku ziemi, a wtedy Irka, zdesperowana, podtrzymała go z wysiłkiem i prawie wciągnęła do domu. Tak po prostu.

Żołnierze, zajęci kobietami, nie zwrócili uwagi na jej manewr. Z tyłu, za plecami, słyszała krzyki, wrzaski, szlochania.

Gdy kopnęła nogą drzwi, żeby je zamknąć, wszystko nagle ucichło.

Wielki jasny hol porażał przedwojennością. Wypastowane podłogi, zapach wosku i czystości. Stała przy wejściu z uwieszonym na ramieniu, cuchnącym gorzałką mężczyzną, który nieudolnie próbował ją objąć, i nie bardzo wiedziała, co dalej.

Wiedziała jedno: sytuacja w każdej chwili może się zmienić. Na gorsze...

Niepewnie, ciągnąc mamroczącego coś oficera, skierowała się na prawo i otworzyła drzwi. Ukraińiec coś do niej gadał i beknął głośno. Trzymał rękę na jej pośladku. Gabinet. Kanapa, biblioteka pełna książek. Pociągnęła go w stronę kanapy i jakoś, jakoś na niej usadziła.

– *Horilku! Nam nada horilki!* Napijemy się! – zaszcebiotała i zobaczyła zainteresowanie w mętnych oczach oficera.

Miał posklejane brudem wąsiska i rozległe ślady po ospie na twarzy. Siwawy zarost. Lepiej nawet z diabłem, pomyślała, lecz nadal uśmiechała się przymilnie. Oficer rozparł się wygodnie, powieki mu opadały, nie wyglądał na geroja, który wykrzesze jeszcze z siebie tyle sił, by się z tej otomany podnieść, nie wspominając już o czymś więcej.

Irenka rozejrzała się za tacą z koniakiem czy nalewkami. Gdzieś tu powinien być barek, w każdym szanującym się gabinecie musiał przecież być. I był, a jakże. Zobaczyła tuż za biurkiem półokrągły stoliczek z ratanową obudową i skierowała się w tamtą stronę. Spojrzała na Ukrainca. Wciąż mamrotał coś niezrozumiale, gapiąc się na nią tępo, bez cienia pożądania. Sięgnęła do półki pod blatem, wzięła pierwszą z brzegu butelkę i podeszła do kanapy. Oceniała sytuację. Mężczyzna miał przymknięte oczy; cud, prawdziwy cud. Postawiła butelczynę cichutko, sięgnęła po wełniany pled i nakryła bezwładne cielsko.

Mamuśka ze mnie jak cholera, pomyślała.

Zarzęził. Drgnęła, a potem znów zamarła, wstrzymując oddech.

Ocknął się i dalej mamrotał, a nawet usiłował się poderwać. Irka ciągle stała tuż obok, poza zasięgiem jego wzroku, nieporuszona, chociaż serce łomotało jej jak szalone, a w ustach zaschło. Po chwili jednak Ukrainiec opadł ciężko na poduszkę dekorującą kanapę.

I już, od razu, zachrapał, rżąc pijacko. Rozejrzała się po gabinecie, powędrowała wzrokiem po grzbietach książek, raz po raz podnosząc do ust butelkę trunku, który okazał się likierem. Wypiła duży łyk. Dobry, chyba cointreau, pomyślała. Chętnie by się tym likierem zaopiekowała, nawet bardzo chętnie. Niestety, miała ważniejsze sprawy na głowie, więc jeszcze raz przyssała się do butelki i z żalem odstawiła ją na stolik.

Gdy zobaczą alkohol, najpierw go wyżłopia, kombinowała, a dopiero potem ruszą w pościg. Jeśli w ogóle...

Dziecinne, skwitowała te swoje dumania. Ale tonący brzytwy się chwyta.

Na palcach podeszła do drzwi; były uchylone, więc po cichutku je zamknęła. Bała się opuścić spokojny w miarę gabinet. Wyrzała ostrożnie przez okno. Czarnowłosą dziewczynę, tę samą, która przedtem szła koło niej, żołnierze gwałcili na gazonie pełnym jesiennych kwiatów. Gruby, biały zad poruszał się rytmicznie, mężczyzna miał portki zsunięte do kolan, dwóch innych stało tuż obok. Popijali z baniaka bimber, śmiali się i rozprawiali o czymś z ożywieniem. Może komentowali wyczyny towarzysza, czekając na swoją kolej.

Jeden z nich, ot tak, postawił but na czarnym warkoczu dziewczyny.

Irence zrobiło się niedobrze.

Szybko odwróciła się od okna.

To ten likier, uznała, nie powinnam, jestem głodna. Ale nie czuła głodu. Wcale.

Spojrzała na oficera – chrapał miarowo. Trzeba się ruszyć. Wysunęła się jak najciszej przez boczne drzwi i znalazła w pustym salonie. Na palcach przemknęła do kolejnego pomieszczenia, które okazało się, tak jak przypuszczała, jadalnią. Pastelową, z długim stołem pośrodku. Za nią pewnie jest kuchnia, pomyślała. Tak też było, weszła do środka i zaczęła się rozglądać. Na stole leżał piękny kawałek schabu, niestety, surowego. Nóż, nieuprzątnięte obierki po kiszonych ogórkach, pusty słoik. W rondlu na kuchni coś wesoło pyrkotało. Wrzuciła nóż do konduktorki i podeszła bliżej. Zajrzała do garnka. Zupa. Ogórkowa. Głód wrócił. Sięgnęła po łyżkę i już chciała spróbować, gdy nagle usłyszała hałas. Bezwiednie upuściła łyżkę na posadzkę.

Łyżka brzęknęła głośno, a Irka wzdrgnęła się ze strachu i skoczyła jak oparzona. W rogu

pomieszczenia były drzwi, pewnie prowadzące do ogrodu. Zanim je otworzyła, spojrzała szybko na tyły domu przez wąziutkie okienko. Ta ostrożność okazała się całkiem na miejscu.

Widok był iście piekielny: kucharka, w poszarpanej bluzce, z wielkimi, wiszącymi cyckami, usiłowała udusić gwałcającego ją żołnierza.

Oboje na wpół nadzy, zastygli w bezruchu, w klinczu. Irka dostrzegła nadbiegającego na odsiecz kolejnego Ukraińca, tego od patefończika. Wyszarpywał z kabury rewolwer.

Czym prędzej odskoczyła od okna, rzuciła się w głąb kuchni, w najdalszy kąt, żeby tylko nie widzieć, nie słyszeć, chciała zatkać uszy. Nie zdążyła. Usłyszała głuchy odgłos strzału. Skuliła się i wypadła na korytarz, na chwilę tracąc głowę.

Dom był cichy i spokojny, podczas gdy w rozświetlonym jesiennym słońcem ogrodzie szalały demony.

Czuła przejmujący chłód strachu, złe czyhało na zewnątrz, a linia odgradzająca jej złudny azyl od tego, co się tam działo, tak blisko przecież, była równie wątła jak pajęczka nić. Musiała, za wszelką cenę musiała się stąd wydostać. Czy tego chciała, czy nie. Czuła, że się dusi. Strach, bynajmniej nie w przenośni, chwycił ją za gardło.

Uchyliła kolejne drzwi, tym razem do holu.

W dalszym ciągu, jak się jej zdawało, w domu nie było nikogo, poza nią i śpiącym dowódcą. Wzięła się w garść, postanowiła nie tracić ani sekundy. Do tej pory los jej sprzyjał, byłoby dobrze tego nie zaprzepaścić. Skupiła się. Do wyboru miała dwie możliwości: albo gdzieś się tu ukryje, w takim wielkim domu musi być przecież mnóstwo zakamarków, albo spróbuje ucieczki.

Ucieczka. Ucieczka. Ucieczka.

Była na wpół oszalała ze strachu.

W końcu, do diabła, w tym oddziale nie ma ani jednego trzeźwego, trzeba wiać, póki jeszcze można. Dom nie był bezpieczny. To pułapka. Już niebawem tamci wedrą się do środka, zaczną szperać po kątach, aż w końcu zalegną, żeby odespać orgię i morze bimbrow. Ale przedtem mogą ją... znaleźć.

Weszła do kolejnego pomieszczenia. Salon. Piękny.

Wydawało się, że dopiero dziś zawitała tu wojna.

Zza uchylonego okna usłyszała śpiewającego Kiepure:

Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki...

Widać udało się uruchomić patefończik...

Chowając się za zasłoną, znów wyjrzała na zewnątrz, tym razem przez drzwi tarasowe. Nikogo. Uchyliła je i powoli, ostrożnie wysunęła głowę, lustrując wzrokiem teren. Ogród na tyłach posesji był naprawdę wielki, lecz, niestety, mało zadrzewiony. Styl tak jakby francuski. Westchnęła.

Nigdy nie lubiłam tych francuskich ogrodów. Angielskie, to rozumiem, pomyślała, wydymając usta. Posadziliby parę drzew i o ileż prostsza byłaby ucieczka.

Róże bukietowe i parkowe stały nieruchome w równych szpalerach. Spóźniony motyl, trzepocąc skrzydełkami, usiadł na białej pnącej róży, która oplatała balustradę. Irka westchnęła, poprawiła sprzączkę u sandałka i schylona przemknęła schodami w dół, a potem puściła się szaleńczym pędem szeroką aleją do pierwszych drzew na tyłach ogrodu. Właśnie do nich dobiegała, gdy ktoś zaczął strzelać.

Do niej.

Kule trzaskały jak pękający groch, a kiedy wpadła w cień jabłoni, kora odpryskiwała od drzew. Dostała, poczuła ból w nodze. Ostry, przeszywający. Nie zatrzymała się ani na sekundę. To chyba był rykoszet. Rwący ból, nic to, uznała, jakoś przetrzymam. Muszę. Nie spojrzała za siebie. Po prostu biegła, byle szybciej, byle dalej, do końca posesji. Dobiegła. I stanęła.

Dalszą drogę zagradał mur. Wysoki, ponury, gdzieniegdzie porośnięty czerwieniejącym już dzikim winem.

Wiedziała, że to koniec.

Ściana była nie do pokonania.

20 WRZEŚNIA 1944, NOWE WŁOCHY

Zosia Szafirówna siedziała przy stole w pokoiku na przygórku, który z Helenką wynajęły zaledwie dziesięć dni temu. Przez cały tydzień rozpaczliwie szukały jakiejś pracy, bez skutku. Kto da pracę w takim momencie? Cała okolica została zalana przez uciekinierów z Warszawy, jedyne dostępne zajęcie stanowił handel, ale one nie miały nic. Dosłownie nic. Zapłaciły za miesiąc mieszkania i portmonetka świeciła pustką.

Więc co dalej? Jeść przecież trzeba.

– Może znajdziemy darmowe obiady, wiesz, takie dla ubogich? – Zosia podzuciła pomysł kręcącej się po izbie Heli.

Patrzyła, jak tamta zdejmuje ze sznurka suche już prążkowane fildekosowe pończochy z dużą cerą na pięcie, otwiera szafę, staje na palcach i układa je pieczołowicie na górnej, pustej półce. Potem odwróciła się z uśmiechem, poprawiła chusteczkę na głowie i powiedziała:

– Zapytam gospodyni. Ale czy Zosia myśli, że one już się na tyle ogarnęły? – Miała na myśli uciekinierów z powstania.

Zosia nie wiedziała.

– Kto wie... – odrzekła. Podciągnęła nogi pod brodę i oparła stopy na kulawym stołeczku. – Ale masz rację, zapytać zawsze warto. Przecież to nie kosztuje. Tylko może nie gospodyni. Lepiej, żeby nie wiedziała, że u nas kiepsko z flotą.

Helenka kiwnęła głową. Miała śliczny noszek z małym garbkiem i płowe włosy, a do tego brązowe oczy. Istna laleczka.

– To ja pójde czegoś poszukać, może w kościele co dają, i też się popytam – zaproponowała, zapinając guziki wytartej kapoty.

Stała na środku pokoiku w przydługiej, wyblakłej sukni z czarnego rypsu, którą z powodzeniem mogła nosić jej babka, a nawet prababka, w ciemnogrnatowym płaszczu, wyglądającym jak kitel, i w rozczłapanych butach. Wyglądała z wiejska i taka też była. A przy tym szczerą, serdeczną i pracowitą. Była też aniołem. Jej, Zosinym, aniołem. Uratowała wcześniej Zośkę i dalej ratowała. Dlaczego? A kto to mógł wiedzieć. Najmniej chyba sama Helenka. Robiła po prostu to, co uważała, że trzeba, co podpowiadało jej serce, rzadziej rozum. A uważała, że powinna opiekować się Zosią, bądź co bądź starszą od niej o cztery lata. Natomiast Zosia uważała, że to ona powinna się opiekować Helą, bo co taka dziewczuszka wie o świecie. Tyle co nic. Osiemnaście lat. Mój Boże.

Słońce schowało się już za chmurą, na przygórku zrobiło się ciemno. Zawiał wiatr, za oknem

poruszyły się gałęzie. Helenka wyjrzała na ulicę i westchnęła:

– Jesień idzie. Tylko jej nam tu potrzeba...

Zośka uśmiechnęła się melancholijnie. Wstała, podeszła do okna i zerknęła. Mnóstwo ludzi. Prawdopodobnie cała Warszawa przeniosła się tutaj, do Włoch, przemknęło jej przez głowę.

Z ich górki można było zobaczyć wąską uliczkę, teraz zapchaną ludźmi i furmankami. Czasem przejechała z głośnym trąbieniem ciężarówka, czasem zakołysał się na wybojach cywilny samochód. Ktoś mknął żwawo na rowerze, wolno telepała się linijka² z siedzącymi na niej równym rzędkiem obdartymi dzieciakami. A wokół ludzie, jak skrętne mrówki, kręcili się z pakunkami, tobołkami, koszykami i bańkami na mleko. Budowali od nowa życie, tak bardzo złaknieni odrobiny stabilizacji, choć na chwilę. Większość kobiet jeszcze miała na sobie letnie sukienki, mężczyźni nosili koszule bez rękawów. Widać tak wyszli z Warszawy.

Zośka odwróciła się do stojącej za nią Heli i skomentowała widok z okna:

– Jeszcze ciepło. Można do figury chodzić.

I nagle ją olśniło. Można, jeszcze można chodzić do figury. Szybko ściągnęła z siebie żakiet, porządny, wełniany. Dostała go od jednej kobiety, zapomniała już nawet, gdzie to było.

Tamta nie wzięła jej na nocleg, okropnie się bała, miała dzieci w domu, ale zamiast tego wyniosła kawał chleba i ten żakiet, a potem pokazała, gdzie las.

Zośka wręczyła go Heli ze słowami:

– Weź i sprzedaj.

– No coś ty, Zośka, toż zaraz jesień, a potem zima. Skąd weźmiesz jakąś kapotę?

– Później będziemy myślały, teraz trzeba coś jeść. Prawda?

Prawda. Już któryś tam dzień nic nie jadły, poza jabłkami i śliwkami z sadu. Piekły owoce. Albo dla odmiany je gotowały. Dostawały młodości na sam ich widok, więc Helka długo się nie zastanawiała. Była w tym jakaś racja, nie ma co się upierać, dlatego tylko kiwnęła głową, przerzuciła żakiet przez ramię, uśmiechnęła się do Zośki i machnęła jej na pożegnanie.

– To ja lecę. A ty siedź i nawet nosa mi nie wyściubiaj.

Zosia kiwnęła głową i odsunęła się od okna. Pewnie, że nigdzie się nie wybiera. Wokół pełno Niemców, Ukraińców. I Polaków.

A ona była Żydówką.

19 WRZEŚNIA 1944, MARYNIN

Mur miał ze dwa metry, a Irka – metr siedemdziesiąt dwa. Gdy już do niego dobiegła i zobaczyła, że przedostanie się na drugą stronę jest niemożliwe, zaczęła szukać jakiejś furtki, szopy, komórki, jakiegokolwiek miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Niczego takiego nie było. Szlag by trafił! Znowu powędrowała wzrokiem do muru. Cofnęła się kilka kroków i rozejrzała w panice, modląc się o ratunek. Nic, tylko drzewa. Z tyłu słyszała pogoń. Ktoś się zbliżał.

Nie dam się, postanowiła desperacko, nie dam! Rzucę się na nich, niech mnie zastrzelą. Lepiej od razu. Spojrzała na drzewo, koło którego stała. Jabłoń. Duża i stara, ciężka od czerwonych jesiennych owoców. To była szansa. Irka złapała za gałąź i podciągnęła się do góry. Coś złowieszczo zatrzeszczało, zawisła przez moment, niepewna, czy konar ją utrzyma, a potem zaryzykowała. Złapała za kolejną gałąź i wdrapała się wyżej, szybko i zwinnie, błogosławiąc swój zawód tancerki. Wszelkie akrobacje były jej żywiołem. W jednej chwili zniknęła w gęstej

koronie drzewa, bezszelestnie przywierając do pnia.

Kilka sekund później w sadzie pojawił się żołnierz, tylko jeden, z karabinem w rękę. Dysząc nieco, stanął pod jej jabłonią i rozglądał się bacznie to tu, to tam.

Zsunął z głowy czapkę, otarł pot i ruszył w prawą stronę, powoli, uważnie penetrując teren. Potem zawrócił i poszedł w lewo, wzdłuż muru, przypatrując się śladom na trawie. Przyglądał się też drzewom, gałęziom, krzakom. Irce ze strachu serce waliło jak oszalałe. Jakby tam, wewnątrz, zamieszkał jakiś przerażony ptak. W ustach jej zaschło, pociła się i dusiła równocześnie. Widziała czapkę Ukraińca, lufę jego karabinu. Jeśli stanie pod moim drzewem, skoczę mu na głowę i przygwożdżę go do ziemi, zdecydowała. A potem, potem niech się dzieje, co chce!

Znów się zbliżył, pochylił – i sięgnął po jabłko. Nabrała w płuca powietrza...

Zacisnęła w dłoni nóż. Była gotowa.

Żołnierz podniósł jabłko, wyprostował się i zaczął je pogryzać. Potem odwrócił się i odszedł. Do swoich.

Odetchnęła. Schowała nóż do konduktorki, wytarła spocone dłonie o sukienkę.

Odczekała jeszcze parę minut, a następnie spróbowała podpełznąć po gałęzi do muru. Za daleko... Spróbowała więc rozbujać się w taki sposób, by wylądować na murze. I rzeczywiście wylądowała, nawet całkiem zgrabnie – na dole. Nie po tej stronie, co powinna. Usiadła na trawie i rozcierając obolałe kolano, badała wzrokiem drzewa rosnące wzdłuż ogrodzenia. W końcu wypatrzyła jedno z gałęziami zwisającymi na zewnątrz. Noga trochę krwawiła, na szczęście było to tylko zadrapanie. Irka wytarła krew brzegiem sukienki, przyłożyła liść babki, zgarnęła do torebki dwa jabłka i znów wdrapała się po pniu na gałąź, która wydała się najdogodniej położona.

Jestem nie do zdarcia, pomyślała zadowolona z siebie. Po chwili leżała już, szczęśliwa, na opustoszałej uliczce na tyłach willi. Podniosła się błyskawicznie i utykając, pobiegła truchtem trawiastą koleiną w kierunku przeciwnym do bramy prowadzącej na posesję.

Oczy cały czas miała spuszczone. Wydawało jej się, że dzięki temu nie przyciągnie też niczyjego wzroku, a garbiąc się, zniknie jak kamfora. Tak zdurniała.

Cały boży dzień kręciła się w kółko, niczym pies chory na kołowaciznę, po dopiero co zajętej przez wojsko miejscowości. Domy pozamykano na cztery spusty, na ulicach pełno było żołnierzy niemieckich i ukraińskich. Irenka nie bardzo wiedziała, dokąd iść, gdzie się schronić. Przedostawała się z ogrodu do ogrodu, odpoczywała w drewniach i kurnikach. Podjadała jabłka, gruszki, śliwki. Nigdzie nie spotkała żywej duszy, tylko czasem czuła na sobie czyjś wzrok, a niekiedy zauważała, jak faluje firanka. Żadne drzwi, do których pukała, nie otworzyły się przed nią, choć niekiedy dobiegał zza nich szmer lub czyjś głos. Nie waliła, nie chciała. Po co? Żeby ją usłyszeli lub, co gorsza, zobaczyli widoczni zza parkanów i płotów żołnierze, prowadzący uliczkami grupy ludzi? Gdzie i po co, nie wiedziała. I nie chciała wiedzieć.

W końcu wydostała się z Marynina. Los znów się do niej uśmiechnął. Pierwsi napotkani w przydrożnym lasku ludzie, matka z synem rannym w rękę, powiedzieli, że Niemcy wyłapują nie tylko powstańców, ale też cywilów, zwykłych mieszkańców Włoch i Warszawy. Ponoć wysyłają wszystkich do Oświęcimia.

Dowiedziała się też, że Ukraińców nie ma we Włochach, że tam stacjonują Niemcy.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że będzie szukała Niemców. A jednak. Lepsza dzuma niż cholera. Postanowiła iść do Włoch i poszukać bazaru.

Pora sięgnąć do rezerw i opylić dwudziestkę schowaną w biustonoszu.

Koniec z powstaniem, postanowiła, wraca do normalnego życia. Koniec z patriotycznymi obowiązkami. Wojna i tak skończy się lada dzień. Chciała doczekać.

21 WRZEŚNIA 1944, WŁOCHY

Noc spędziła pod płotem, ukryta w stercie gałęzi. No, wiadomo, że nie dla przyjemności. Zmarła na kość, ale czy to pierwszy raz, od kiedy wybuchło powstanie? Nie miała zamiaru tego powtarzać, ostatnia taka noc, obiecała sobie solennie, przewracając się z boku na bok na wilgotnych liściach, które sobie podścieliła, żeby było jej choć odrobinę cieplej. I wygodniej. Nie było... Gdy tylko z samego rana, brudna i obolała, wypełzła ze swojej nory, kopnęła ze złością brunatne sękate gałęzie i jak somnambuliczka powędrowała wyludnioną ulicą, szukając kogoś, kto udzieliłby jej stosownych informacji. Mgły podnosiły się powoli nad ogrodami, dzień zapowiadał się pięknie. W końcu, gdy tak wałęsała się z duszą na ramieniu i strachem w sercu po opustoszałej jeszcze miejscowości, trafiła na idącego widać do pracy robotnika, który jej wyjaśnił, gdzie się znajduje i którędy na bazar. Pomaszerowała tam od razu, rozczesując włosy palcami.

Gdy stanie się już kobietą zamożną, przede wszystkim zadba o kąpiel. Ach, te marzenia. Bez nich ani rusz.

Ale po kolei. Najpierw forsa.

Usiadła na kamieniu i zaczęła szukać wzrokiem potencjalnego kupca na swoją dwudziestkę. Prawdę powiedziawszy, trochę się bała, że ktoś ją ograbi. Nie miała też pojęcia, ile może być dziś warta taka moneta. Więcej niż miesiąc temu? A może mniej...

Wpływ powstania na kurs walut, coś w tym jednak jest... zaśmiała się w duchu. Ostatnio dużo ze sobą rozmawiała, bo nie miała z kim. W sumie lubiła te pogwarki. Czemu nie.

Nieopodal kamienia, na którym przysiadła, stała młoda dziewczyna. Rozdeptane buciory, związane siepiącym się sznurkiem, staromodna sukienka, po babce chyba. Półtora nieszczęścia, można by rzec. Stała jak słup i usiłowała sprzedać żakiet, lecz już na pierwszy rzut oka widać było, że nie ma żadnego drygu do handlu.

Gdybym za tę dwudziestkę dostała dobrą cenę, to taki żakiet byłby jak znalazł, przebiegło przez głowę Irce. Po nocy spędzonej pod płotem bolał ją nie tylko krzyż, ale i kości. Jesień powoli ogarniała ziemię, było już mokrawo, wieczorami temperatura spadała na łeb na szyję, i cóż, taka noc jak dzisiejsza może się jeszcze powtórzyć. Chociaż obiecała sobie, że już nigdy, przenigdy. Ale czy na tym świecie można być czegoś do końca pewnym?

Ciepły żakiet, hmm.

Podniosła się z trudem z kamienia i już szła do dziewczyny, gdy nagle przemknął obok chłopak z paczką w ręce, a za nim gnał żołnierz zwycięskiej armii Kamińskiego, strzelając raz za razem z pistoletu...

Odwróciła się, żeby zobaczyć, jak skończy się ta akcja, choć prawdę mówiąc, nie powinna. Zabawy w goń i uciekaj dobre są w kinie, westchnęła, po co mi widok kolejnego trupa?

Znów powędrowała wzrokiem do dziewczyny w rozdeptanych buciorach, lecz już jej nie było. Zniknęła i ona, i żakiet.

Szkoda, pomyślała z żalem Irenka, widać nie był mi pisany, chociaż z drugiej strony i tak w zasadzie nie mam pieniędzy.

Podeszła do najbliższego straganu z mydłem i powidłem i spytała scenicznym szeptem, nachylając się do właścicielki:

– Przepraszam, że zawracam głowę, ale chciałabym kupić dwudziestkę, nie wie pani przypadkiem, u kogo można by tu ewentualnie...?

Baba, tęga i rumiana, w tureckim szalu zamotanym na czubku głowy, przechyliła się ku niej przez drewniane koguciki, fujarki i wiejskie chustki we wszystkich kolorach tęczy. Zlustrowała Irkę od stóp do głów świdrującym spojrzeniem.

– Niech idzie, nikogo takiego tu nie ma.

– Ja tylko pytam. Ciocia ma trochę gotówki i chciałaby na twarde zamienić. Rozumie pani...

Uśmiechnęła się wdzięcznie i dalej tokowała:

– My z Warszawy, proszę pani, idziemy. Bez niczego wyszliśmy, tylko te parę złotych żeśmy z ciocią wzięły. – Teraz dla odmiany westchnęła ciężko. – No i ciocia strasznie się denerwuje, że wymienią z powodu tego całego powstania albo i coś. No, niechże pani nie da się prosić, moja dobra, złociutka, przecież ktoś tu musi tym handlować.

Z miną niewiniątka spojrzała w oczy kobiecie.

Kupcowa przyjrzała jej się jeszcze raz, uważnie, wrzuciła do ust śliwkę nie za dużą, z lekka omszałą, z tych najśłodszych węgierek, na widok której Irce od razu ślinka napłynęła do ust. Choć oczywiście wolałaby sztufadę³. Kobieta wypluła pestkę, ot tak, przed siebie. Miała widać wprawę, bo pestka upadła koło innych, już leżących na ziemi.

– Zajac świnkami handluje... – zdecydowała się jednak podzielić z Irką swoją wiedzą tajemną. – Stoi przy bramie, tam. – Wskazała ręką. – O, ten nieduży, z wąsami.

Irka grzecznie podziękowała, z nagłej radości prawie dygając, i poszła w kierunku kamieniczki z Kościuszką, wyrzeźbionym przez jakiegoś domorosłego artystę nad bramą. Zajac, mały i niepozorny chłopina, o twarzy pociągłej i wystających krzywych zębach, miał okrągłą łysinkę, którą okalały rzadkie włoski. Kamizelecza, koszula w prążki i szelki dodawały mu nieco specyficznego szyku. Godny uwagi był też wąsik, zapewne kiedyś zadziornie podkreślony, dziś zwisający smętnie jak u Papkina, który nagle stracił cały wigor. Czyżby brylantyny we Włochach zabrakło? Oj, czasy, czasy... westchnęła Irka, co też ta wojna robi z ludźmi, bo i ja przecież... Spojrzała przelotnie na swoje długie, brudne paznokcie, po czym wdała się w rozmowę z Zajacem.

– Chciałabym kupić dwudziestkę, złotą dwudziestkę – powiedziała otwarcie.

O tyle, o ile otwarcie, rzecz jasna.

– Dwudziestkę? – Zajac rozejrzał się bacznie wokoło.

Szkoda, że nie ma zajęczych uszu, boby je teraz położył, pomyślała Irenka. Nie znał jej, bo i skąd, a za handel złotem można było dostać kulkę w łeb. W gorszej wersji, w lepszej Oświęcim. Inna sprawa, że za nic też można było dostać kulkę, więc...

– Tak, właśnie, a jedna matrona zacna... – zaczęła elokwentnie Irka (bądź co bądź Makuszyński był jej ulubioną lekturą czasu wojny. A w ogóle wojna sprzyjała czytaniu) – powiedziała, że szanowny pan może mi w tym pomóc. Ile kosztuje obecnie dwudziestka?

Zajac potarł ręką podbródek i jakby się zafrasował. Przyjrzał się spod oka Irence. Cóż, nie

wyglądała na zamożną damę, co w złoto będzie inwestować. Te czterdzieści parę dni poniewierki było, niestety, po niej widać. Znów coś ją łupnęło w kręgosłupie, jęknęła więc głośno, łapiąc się za krzyż.

– Co panna tak jęczy?

– Zawiało mnie, jasna anielka. Właśnie przyszedłam z powstania i ciocia... – Tu zaserwowała tę samą bajeczkę, którą nie dalej jak pięć minut temu wymyśliła, na poczekaniu, żeby zmiękczyć kupcową. Zając słuchał, gładząc się po piórkach otaczających łysinkę. Irka zaś opowiadała a opowiadała, cały czas nie spuszczać go z oka, i w końcu doszła do wniosku, że ten Zając ma jednak w sobie coś z kogucika.

– Niech panna tyle nie papie. Przecie słyszem – przerwał jej obcesowo, podkreślając to: słyszem... – Dwudziestka kosztuje siedem tysięcy.

– Aha... – Irenka kiwnęła głową. – To ja powiem cioci, co i jak, i zaraz wrócę, żeby sprzedać. Bardzo panu dziękuję.

No to się rąbnęłam, pomyślała, wszystko przez to pioruńskie zmęczenie. A niech to drzwi ścisną!

Zając był wyraźnie rozczarowany.

– To panna kupuje czy sprzedaje, bo nijak rozeznąć się nie mogię?

– Na razie sprzedaję, żeby potem kupić – odparła rezolutnie.

Wytrzeszczył oczy na takie dictum⁴. Irka policzyła szybko w pamięci, od sumy podanej przez Zająca odjęła mniej więcej piętnaście procent i zapytała:

– Da mi pan za dwudziestkę sześć tysięcy?

– Chybaś dziewczyno z głupim się widziała, a poszła mi stąd! Raz kupuje, raz sprzedaje, świrięta jakaś... – Aż się zatrzęsł i nie dziwota. Okropnie się rozeźlił, krętaaczka, a nie daj Bóg prowokatorka.

Poczuła, że interesu już tu raczej nie robi. Westchnęła i pożegnała się grzecznie, a potem z godnością odpłynęła na drugi koniec bazaru. Wiedziała już, ile powinna zawołać za swoją dwudziestkę, a na odległym krańcu targowiska dostrzegła właśnie dziewczynę, tę samą, co uprzednio, tę, która stała pod murem i usiłowała sprzedać żakiet. Jeszcze go miała, czyli jest dobrze.

Przepchnęła się do niej przez gęstą cizbę. Przy okazji wlaźła w koński nawóz, a wokół, jak na złość, ani źdźbła trawy nie było, żeby wytrzeć sandałek. Nic to, pomyślała, łajno, nawet końskie, to ponoć dobra wróżba. Zapowiada pieniądze i szczęście. A potem szybko w duchu dodała: tfu, tfu, na psa urok, by broń Boże nie zapeszyć. W końcu jednak z grubsza wyczyściła but o kamień i podeszła do dziewczyny. Zaczęła oglądać żakiet. Wzięła go do ręki, strzepnęła, po czym dokładnie obejrzała podszewkę, na koniec wsadziła dłoń do kieszeni.

Całkiem się wydawał porządny. Długi, włochaty, kilka dziur po molach, jednak ciepły. Brudny, ale cóż, co teraz było czyste? Nic, nawet myśli. A co dopiero uczynki!

– Ile? – zapytała rzeczowo, patrząc na dziewczynę, która stała jak kołek w płocie, przestępując niemrawo z nogi na nogę.

– Siedemset, to bardzo porządny żakiet!

Irka oceniła ją na jakieś szesnaście lat metrykalnych i dziesięć mentalnych. Dziecko.

– Za dużo! Tyle nie mam. Ale mogę dać trzysta pięćdziesiąt – rzuciła szybko połowę zawołanej sumy, sądząc, że dopiero teraz wywiążą się negocjacje, ku jej zdumieniu jednak ta lebioda tylko kiwnęła głową bardzo ucieszona.

Ratunku, pomyślała Irka, ale ciemięga...

– Dobrze – zakończyła transakcję. – Poczekaj tu panna na mnie, pójdę tylko po pieniądze. Zaraz wracam.

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała w głąb bazaru, starając się nie widzieć rozczarowanej miny smarkuli. Miała zamiar jak najszybciej opylić swoją złotą dwudziestodolarówkę. Spoczywającą w biustonoszu, co stanowiło pewne utrudnienie. Ale nie takie już brała przeszkody.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym, gdy wróciła z Węgier do Warszawy (tak, popełniła takie głupstwo), przemyciła kilka monet. Uciekając z Polski, zostawiła kogoś, dziecko, wprawdzie nie swoje, nie rodzone, ale bardzo ważne, i wróciła właśnie dla tego dziecka, a może i dlatego, że kiedy była w Budapeszcie, czuła, że to nie jej miejsce. Więc gdy już wróciła i zobaczyła, co się tu wyprawia, bez namysłu zaszyła monetę, bardzo elegancko, z boku stanika, ot, dodatkowe wzmocnienie.

Kiedy więc w czterdziestym drugim Niemcy zgarnęli ją w łapance i wylądowała na Skaryszewskiej, już by do Niemiec jechała doić krowy, gdyby nie ta moneta. Wydłubana pospiesznie w klozecie i wymieniona na wolność z chętnym do rozmów urzędnikiem arbeitsamtu. Może ciut przepłaciła, ale było warto. Później, zaraz po powrocie do domu, zaszyła w tym samym miejscu drugą monetkę i właśnie ta dwudziestka przetrzymała już z nią powstanie. Teraz przyszedł czas, by zamienić lokatę na odrobinę luksusu, który wszak przysługuje każdej dziewczynie.

Znów ją łupnęło w kręgosłupie.

Cholerka, żebym tylko ischiasu nie dostała, jak mnie połamię, wtedy to już koniec z tańcem, jak amen w pacierzu, westchnęła w duchu i rozejrzała się wokół. Dostrzegła niedaleko twarz pocziwą i przyjazną, gospodarza sprzedającego sery i mleko z wozu. Podeszła bliżej. Miał i chleb, świeżo upieczony. Poczowała kuszący zapach i słabo jej się zrobiło. Zjadła z samego rana kilka jabłek, a wczoraj tylko tę kaszę w Maryninie i jakieś owoce. Sukienka na niej wisiała aż żal. W czasie powstania, przez to ciągle niedojadanie, a i nerwy, wiadomo, straciła parę ładnych kilogramów, lecz to akurat ją cieszyło. Mniej natomiast cieszyły zmarszczki, które dostrzegła w lustrze, gdy przemykała przez salon. Cóż, uroda była jej jedynym atutem. Artystka, artystka z variétés, nie bierze życia zbyt poważnie. Często sobie podśpiewywała tę operetkową aryjkę. Co będzie, gdy się zestarzeję? Kto mnie wtedy zaangażuje do rewii? Otrząsnęła się jednak szybko z czarnych myśli, bo z natury była optymistką, kilka zmarszczek to najmniejszy z obecnych problemów. Była głodna.

– Czy nie wie pan, kto tu handluje złotem? – bez żadnych wstępów zapytała gospodarza. – Ja z powstania idę...

– A co panna ma do przedania? – W oczach mężczyzny błysnęła wcale nieładna chytryść.

Irenka nie wiedziała, czy to dobrze, że chytry, czy źle.

– A dwudziestkę. Może być? – szepnęła konspiracyjnie, wiedząc, że to doda uroku transakcji. Na wszelki wypadek rozejrzała się też wokół. Zamierzała przeżyć tę wojnę.

– Ile chce?

– Sześć tysięcy – rzuciła pewnym głosem swoją cenę, którą dopiero co udało jej się poznać u pośrednika.

– To panna dużo chce.

– Wcale niedużo. Pytałam tego, no, Zajęca, co pan wie... – Chłop znał nazwisko, kiwnął głową i, mrużąc te swoje chytre oczka, słuchał dalej: – I on mi powiedział, żeby tyle wołać – odparła

rezolutnie, bo spryt to było jej drugie nazwisko. – Jak dla pana za dużo, to pójdę do kogo innego. Wielkie mi mecye... – prychnęła i zaczęła się oddalać.

– Wezmę. – Chłopina z miejsca zmienił front.

No, patrzcie, patrzcie, kto by pomyślał, zdziwiła się Irka. Ja go tylko o drogę do właściwego kupca chciałam spytać, a tu masz. To końskie łajno ani chybi musiało zadziałać.

– Ma pan pieniądze? – zapytała jednak czujnie.

– Mam, a jakże! – Mężczyzna walnął się w pierś niczym Kmicic czy Zagłoba. Zrozumiała, że flota, bynajmniej nie czarnomorska, spoczywa za pazuchą. Podobnie jak jej dwudziestka, którą teraz należało wydłubać.

– Czy pan może jakiś kozik mi pożyczyć na minutę?

Popatrzył na nią skonsternowany, lecz szybko się zmitygował i wskazał nożyk z drewnianą rączką wbity w biały serek.

Sięgnęła po niego, nie zwlekając, i jeszcze zapytała:

– Po ile ten ser?

Usłyszawszy odpowiedź, poprosiła, by zapakował pół kilo, weźmie w rozliczeniu, a co! – i uśmiechając się szelmowsko, zapowiedziała, że zaraz wraca.

Teraz potrzebowała tylko ciemnej bramy.

Dziewczyna w dalszym ciągu stała pod murem z żakietem w ręku. Ludzie ją potracali, a ta, zamiast zachwalać swój towar, wabić klientów, uśmiechnąć się chociaż – stała jak cieleń. Irka miała wielką ochotę nią potrząsnąć.

Co za oferma! Że też się taka uchowała przez całą wojnę.

Na jej widok dziewczyna się rozpromieniła:

– Bierze pani? – zapytała podniecona – No, chce pani kupić ten żakiet? – Jej orzechowe oczy zabłyśły.

– Tak, wezmę. A nie wiesz przypadkiem, gdzie by tu można znaleźć jakiś nocleg?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Ja też nietutejsza, my z Kieleckiego...

No tak, westchnęła w duchu Irenka, to wiele tłumaczy.

Złe w niej znowu zabulgotało. Może ta złość i gorycz kiedyś miną, za dużo tego było. Koń by nie wytrzymał. Popatrzyła na miłą buzię dziewczyny i uśmiechnęła się. Nie da się złemu, co w niej siedzi.

– Chyba że... – zająknęła się tamta – chyba żeby pani z nami...

– Z wami? – Irenka natychmiast zrobiła się czujna.

Chciałaby z kimś być, samotność jej dojadła. Zła się zaczęła robić z tego zmęczenia. Kąśliwa. Chwilami już nawet samej siebie nie lubiła. Były w czasie powstania takie momenty, że wołała o nich nie pamiętać. Spojrzała na brudne palce u nóg, czarne jak ziemia na Wołyniu. Włożyła żakiet, ciesząc się jego ciepłem. Wcisnęła ręce do kieszeni i dalej słuchała uważnie dziewczyny.

– Mieszkam z kuzynką, wynajęłyśmy taki pokoik przy stryszku, na przygórku, ale z osobnym wejściem od podwórza! Są dwa łóżka. To może ja bym spała z kuzynką, a pani na drugim!

Klasnęła w dłonie, ucieszona, że wpadła na taki świetny pomysł, i szybko dodała:

– Za pół czynszu. Płacimy pięćset tygodniowo.

Irenka spojrzała z uznaniem na dziewczynę. Kto wie, może wcale nie jest aż takim cieleciem, skoro umie dzielić przez dwa to, co powinna przez trzy. A nawet gdyby, to ona chciała po prostu

spędzić wreszcie kilka nocy w łóżku, więc skwapliwie pokiwała głową.

– Dobrze, jestem chętna. – Uśmiechnęła się lekko. – Poczekaj tu na mnie chwilkę, kupię coś do jedzenia i chyba możemy... iść... do domu, co? Jak masz na imię?

– Ja? Helena, znaczy, wołają na mnie Helenka.

Irka znów zanurkowała w rozgorączkowanym kłębowisku ludzi, pobuszowała między straganami i już po kwadransie wróciła pod murek z wypchanym tłumoczkim. Zrobiła drobne zakupy na nową drogę życia, zawsze miała lekką rękę do wydawania pieniędzy, więc i teraz, po tych czterdziestu paru dniach gehenny, postanowiła ciut poszaleć. Kupiła przede wszystkim ręcznik, używany, ale czysty, mydło Biały Jeleń, wprawdzie niezbyt wykwintne, ale co tam. Przed wojną zawsze miała w łazience jakieś pachnące francuskie mydełko, cytrynowe albo oliwkowe. Ach, to były czasy... Uśmiechnęła się do tych wspomnień i pogładziła tłumoczek. Kupiła też kilka rzeczy na kolację, pierwszą przyzwoitą kolację: świeży chleb do sera, pięknie zawiniętego w czystą szmatkę, i kilo śliwek od kobiety w tureckim zawoju. Kupiła też tubkę landrynek, poprosiła sklepową o białe, lubiła je najbardziej.

Po kolejnym kwadransie, chrupiąc landrynki, wdrapowały się na pięterko obscurnego drewniaka.

Schody były stare, spróchniałe i nierówne, ale rzeczywiście znajdowały się na zewnątrz domu, co Irka odnotowała z zadowoleniem. Taki układ z jednej strony miał swoje zalety, z drugiej jednak, w razie gdyby coś, to trzeba byłoby skakać przez okno, a jednak pokoik był dość wysoko. Zastanowiła się przez chwilę i machnęła ręką. Co ma być, to będzie, pomyślała filozoficznie. Helenka otworzyła drzwi, kiedyś pomalowane na butelkową zieleń, teraz łuszczące się tu i tam, jakby je toczył trąd, i Irenka Górecka znalazła się w ładnym, czystym pokoiku. Na łóżku, nakrytym ozdobną, połyskliwą kapą, leżała z grubą książką w ręku smukła panna o przepaścistych oczach i wijących się niesforne kruczoczarnych lokach. Na widok wchodzących uniosła się nieco i od razu zaczęła z dziwnym wyrazem twarzy od stóp do głów lustrować Irkę, aż usiadła, odkładając książkę na kulawe krzesło.

– To właśnie moja kuzynka, Zośka jej na imię. Zośka Janikowska, bo ja też Janikowska... – dokonała prezentacji Helenka, a potem zwróciła się do dziewczyny, która nie przestawała wpatrywać się w gościa z rosnącym zdumieniem. I jakby gniewem. To spojrzenie najwyraźniej zbiło z tropu Helenkę. Palce jej drżały, kiedy rozpiniała płaszcz, tłumacząc nieskładnie:

– Zośka, ja... no, nie gniewaj się. Ale Irka, to jest Irka Górecka, kupiła twój żakiet i nie ma gdzie spać. No, więc powiedziałam... – zaczęła szybko opowiadać, prawie się zachłystując, jednak z minuty na minutę coraz bardziej traciła rezon. Umilkła wreszcie, widząc, że coś jest nie tak.

Irka patrzyła na Zośkę, Zośka na Irkę i obie zbladły, aż w końcu Zośka z furią zerwała się z łóżka.

– Helka, a niech cię! Kogoś mi tu przyprowadziła?! Szwabską dziwkę? Folksdojczkę?!

Z wściekłością podbiegła do Irki i wskazując drzwi, krzyknęła:

– Wynocha! Wynocha mi stąd! I żebym cię tu więcej nie widziała!

Irenka Górecka opuściła głowę. Podłoga była w odcieniu sraczkowatego brązu. No i sraczka z noclegu... – pomyślała ze smutkiem.

¹ Ja tutaj przez omyłkę.

2 Oryginalna polska konstrukcja powozowa. Lekki, jednokonny, czterokołowy pojazd z deską, na której siedzi się okrakiem lub bokiem.

3 Duszona pieczeń wołowa szpikowana słoniną, podawana na ciepło z sosem od duszenia.

4 Powiedziane (łac.), tu: odpowiedź.

Rok wcześniej

CZERWIEC 1943

Pociąg turkotał miarowo. Ścisk był potworny, część ludzi stała, część kuciała, inni leżeli półprzytomni jak ryby wyciągnięte z wody, z trudem łapiąc oddech. Matka Zośki zasłabła, gdy tylko wsiedli, szczęśliwie jako jedni z pierwszych, dzięki czemu leżała w najdalszym kącie wagonu, chroniona przez męża i córkę. Odrobina wody, którą mieli w butelce, to było stanowczo za mało. Tyle co nic. Ojciec robił, co w jego mocy, zwilżał mamie usta, próbując ją ocucić, klepał po policzkach, lekko je szczypał, ale na darmo. Natalia Szafirowa leżała bez czucia już drugą godzinę. Obok nich siwowłosa dama, stara Katzowa, mamrotała półgłosem modlitwy, nieco dalej jej wnuczka, Rebeka, karmiła dziecko piersią, w której nie było kropli pokarmu. Mała Frania, chuda jak szkielet, zawinięta w brudną szmatę, kwiliła cichutko, łapiąc raz po raz matczyną pierś, by natychmiast ją wypuścić. Na Zośce wszystko to nie robiło wrażenia, widziała już gorsze rzeczy. Trzy dni temu wykurzono ich wszystkich ze schronu na Niskiej, gdzie się ukrywali bez mała dwa tygodnie. Potem, stłoczeni w szkole, przeżyli kolejne trzy dni piekła z Ukraińcami, pilnującymi ostatnich wyłapanych Żydów. Strażnicy robili wszystko, na co tylko przysła im ochota, poczynawszy od gwałtów, na sadystycznych zabawach skończywszy.

To było piekło. Piekło na ziemi. A jednak Zośce, jakby na przekór wszystkiemu, chciało się żyć. Wiedziała już o krematoriach i zdawała sobie sprawę, dokąd jadą tym pociągiem. Treblinka. Te dwa koszmarnie tygodnie w bunkrze, byle tylko nie trafić na Umschlagplatz, zdały się psu na budę. Los miał wobec nich inne plany. Jeden z pilnujących ich Ukraińców, gdy jakaś obłąkana kobieta spytała go o mydło, zarechotał:

– A to dobre! Teraz to was, babo, przerobią na mydło.

Zośka słyszała już o mydle, ale nie chciała wierzyć. Ludzie plotą niestworzone rzeczy i tyle.

Jednak ów typ nie wyglądał na kogoś obdarzonego bujną wyobraźnią. W ogóle nie wyglądał na człowieka. A czegoś takiego na pewno by nie wymyślił.

Popatrzyła na pergaminową twarz matki, która oddychała prawie niesłyszalnie. Potem przeniosła wzrok na klęczącego przy niej ojca. Pochylony nad nieprzytomną żoną, nerwowo poprawiał zwiniętą w wałek marynarkę, którą miała pod głową. Usłyszała coś, ktoś śpiewał. Odwróciła głowę. W kącie wagonu siedziało kilka starszych kobiet. Przebierając w palcach paciorki różańca, śpiewały:

Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi.
Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy,
Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy.
Do kogóż wzdychać mamy, nędzne dziatki?
Tylko do Ciebie, ukochanej Matki,

U której serce otwarte każdemu,
A osobliwie nędzą strapionemu.

Dobrze je znała, te żydowskie katoliczki. Niektóre z nich nawet nie wiedziały, że ich ojciec lub matka są Żydami, dopóki nie znalazły się w getcie razem z całą rodziną. Tam wspierali je ksiądz Godlewski i ksiądz Garncarek, którego zamordowano i podobno zrobili to Polacy. Dlaczego? Bóg jeden raczy wiedzieć, ale po nim był ten młody wikariusz, ksiądz Leon; jego z kolei aresztowano za pomoc Żydom. Większość katolików i ewangelików wywieziono już wcześniej. Te widać gdzieś jeszcze ocalały.

Kobiety śpiewały dalej, aż Zośce ciarki przechodziły po plecach.

Ratuj nas, ratuj, Matko ukochana,
Zagniewanego gdy zobaczysz Pana,
Mieczem przebite pokazuj Mu serce,
Gdy Syna na krzyż wbijali mordercę.
Dla tych boleści, któreś wycierpią,
Kiedyś pod krzyżem Syna Swego stała,
Bóg nam daruje, byśmy nie cierpieli,
Cośmy wytrzymać za złość naszą mieli.
A gdy ujdziemy gniewu, jak i chłosty,
Pokaż nam, Matko, tor do nieba prosty.
Niechaj to serce kochamy na wieki,
Z którego dotąd żyjemy opieki.

Nie patrzyła na nie, słuchała pieśni pogrążona w myślach, bardzo, bardzo niewesołych. Potem przysunęła się do rodziców.

Przysiadła na piętach i poprosiła szeptem:

– Tato, daj mi trochę tej wody...

Ojciec, brudny, nieogolony, w rozchełstanej, podartej koszuli, spojrział na Zosię niewidzącym wzrokiem.

– A mama? – zapytał bezradnie.

Oczy miał jak dwie szklane kulki. Patrzył nie na nią, lecz przez nią. Zosia dziwnie się z tym czuła. Zawsze był dobry i czuły, kochał ją, po prostu. A teraz widziała przed sobą starca, chociaż miał zaledwie pięćdziesiąt lat. Starca, który z maniakałnym uporem próbował poić żonę, jakby to mogło coś zmienić.

– Nie widzisz, że mamusia jest nieprzytomna? Tatusiu, przecież ona już nic nie czuje, proszę.

Ojciec zawahał się przez chwilę, wykonał kilka rozpaczliwie niezbornych, niesłużących niczemu ruchów i podał jej butelkę, prawie już pustą. Upiła łyk, łyżek. Chciała tylko zwilżyć wyschnięte na wiór gardło.

– Teraz ty... – powiedziała, oddając mu butelkę.

– Córeczko...

– Musisz, my musimy. Jesteś... mi potrzebny. A dla mamy – westchnęła – dla mamy tak będzie lepiej. Wiesz, tato? Też bym tak chciała. Nic nie widzieć, nic nie czuć. Nie żyć. Mieć to już za sobą.

To prawda. Im szybciej umrze, tym lepiej. Odpłynąć w niebyt to dar, łaska.

Ojciec machinalnie kiwnął głową i przytknął do ust butelkę po oranżadzie, w której chlupotała resztką wody. Ale czy cokolwiek wypił?

Wtem przy oknie zrobiło się jakieś zamieszanie. Ktoś przez nie wyskoczył na zewnątrz, poleciała za nim seria z karabinu. Jedna. Druga. To strzelali Ukraińcy eskortujący pociąg. Zosia popatrzyła na tłum przepychający się, by coś zobaczyć.

– Podniósł się! – krzyknął mężczyzna, śledzący sytuację przez jedyne w wagonie okno, a raczej okienko.

Był wysoki, miał na sobie podarte ubranie i nasunięty głęboko na czoło kaszkiet. A mimo to ze swojego miejsca z dołu widziała twarz tego człowieka. Gniewną, zaciętą. Chwilę, niezbyt długą, stał bez ruchu, wsłuchany w swój głos i ciszę, która zapadła, a potem odwrócił się z determinacją w oczach i zaczął się przeciskać przez otwór. Marnie mu to szło, ale ci z tyłu, za nim, popchnęli go i wyskoczył. Ktoś krzyknął:

– Jest dobrze! Udało się!

I nagle wszyscy, w których kołatało się jeszcze choć trochę sił, też chcieli wyskoczyć. Ojcowie wyrzucali dzieci i żony, po czym sami skakali, nie bacząc na Ukraińców, którzy wciąż strzelali. Ale ich kule coraz częściej chybiały celu, powoli zapadał mrok, zresztą teraz nikt nie miał głowy, żeby obserwować tych, którzy już byli na zewnątrz. Żywi lub martwi. Wszyscy cisnęli się do okna i skakali. W nieznane. Jeden po drugim, jeden po drugim.

Pod przeciwległą ścianą wagonu, brudną i zakrwawioną, siedziała Zosia przytulona do ojca. Razem zasłaniali nieprzytomną matkę, odpychali rękami ludzi, gotowych ją strzelać, i patrzyli z przerażeniem na skłębioną cizbę. Istne szaleństwo!

Minął jakiś czas, godzina, a może tylko pół. Zośka nie wiedziała, bo ten czas był bez czasu. Trwali w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, w ludzi po kolei znikających za oknem. Nie wiedziała, co myśli ojciec, ale ona miała całkiem pustą głowę. Zrobiło się luźniej, na podłodze walały się płaszcze, pakunki, a nawet pojedyncze buty pogubione przez uciekających z pociągu. Ci, co zostali, byli najsłabsi z najsłabszych, starcy i dzieci.

Wszyscy, w których tliła się jeszcze wola życia, choćby iskierka, zdążyli już wyskoczyć. Albo chcieli to zrobić.

Nagle ojciec jakby się ocknął z letargu, wstał, zrobił ostrożny krok nad leżącą matką, po czym chwycił córkę za rękę.

– Chodź!

Energicznie, jakby powstały z martwych, ku przerażeniu Zosi torował sobie drogę wśród niedobitków wciąż szturmujących okienko. Wreszcie, z córką za plecami, dopchał się do zbawczego jaśniejszego kwadratu.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ojciec podsadził ją nieco, pocałował w czoło, ze słabym uśmiechem szepnął: „Widzimy się u Mańczaków” – i wyrzucił z pociągu. Kiedy leciała na kolejowy nasyp, ogarnęło ją dziwne i miłe poczucie wolności, jakiego dawno nie doświadczyła. Jakby fruwała.

Była wolna, choć przez chwilę.

Mało brakowało, a uderzyłaby w słup, upadła ciężko i boleśnie. Tuż obok rozprysnął się żwir nasypu. Poczowała lekkie uderzenie. Zapiękło. Dotarło do niej, że strzelają. Przedtem nie słyszała strzałów, w ogóle o tym nie myślała. Stoczyła się odruchowo z nasypu, jak kiedyś, dawno, w dziecinnej zabawie, a potem przeturlała do rowu zarośniętego żarnowcem i pokrzywami. Ich łodygi parzyły, ale prawie tego nie poczuła. Schowała się w zielsku jak wystraszona polna mysz.

Tuż koło nosa miała zardzewiałą puszkę, a na wyciągnięcie ręki ostre kawałki rozbitej butelki. Znów zagrzechotały kule, skuliła się jeszcze bardziej, a po kilku chwilach, kiedy niebezpieczeństwo minęło, zaczęła pełznąć dalej od torów. Pociąg już zniknął za zakrętem. Przy rowie leżały kręgi studienne, z ulgą wsunęła się do jednego z nich i dopiero wtedy odsapnęła.

Co z tatą? Wskoczył? A może jednak został w wagonie razem z matką? Kiedy przepychali się do okna, szepnął, że też skoczy, mieli się spotkać na Koszykowej, u Mańczaków. Mańczak pracował w sklepie, w warszawskiej filii ich firmy, i przechowywał dla nich rzeczy. Ale czy ojciec naprawdę skoczył? Nie była pewna.

Zośka, która przez ostatnich kilka lat przebywała cały czas w tłumie, coraz większym i większym ścisku, w getcie, w coraz ciasniejszych mieszkankach, potem pokojach, wydzielonych kątach, a w końcu w kryjówce zrobionej w piwnicy pod zawalonym domem, wraz z dwustoma osobami, znalazła się teraz zupełnie sama.

Poczuła się wolna. Powietrze pachniało latem, było dość ciepło. Podniosła oczy i głęboko odetchnęła. Chciała żyć, o tak. A nawet jeśli ma zginąć, to lepiej tu, bliżej wieczności, nieskończoności, nieba, słońca i księżyca. Las pachniał oszałamiająco, słyszała wieczorne ptaki, kumkanie żaby, jakieś nieznanne jej odgłosy, widziała sylwetki drzew, czarne jak skrzydła gawronów na tle szarzejącego nieba. Był czerwiec, taki jak dawno, już tak dawno temu, w Krakowie czy Rabce. W getcie nawet wiosna nie była prawdziwa, tylko jak wszystko tam, cuchnąca, duszna i paskudna. Ale zawsze pełna nadziei.

Zosia wysunęła się z kręgu; gdzieś tam przecież jest dom i tata. Miała dokąd iść. Wyprostowała plecy, wygładziła pogniecioną sukienkę. Spojrzała jeszcze raz na niebo, na którym zaczęły być widoczne pierwsze gwiazdy. Znalazła Wielki Wóz, potem Mały. Odetchnęła pełną piersią. Miała przygotowaną kryjówkę u Mańczaka i zwitek pieniędzy, zaszyty, no cóż, w majtkach. Może jakoś się uda. Oby!

Trzeba iść.

Szła nocami, we dnie spała w lesie, unikała ludzi i domów. Czasem pukała do jakiejś położonej na uboczu chałupy, prosząc o jedzenie, nieraz ją pognali precz, poszczuli psem. Kiedyś jakiś wyrostek zaczął ją gonić, na szczęście przed wojną trenowała lekkoatletykę, więc uciekła przysadzistemu gnojnowi, zostawiając go daleko w tyle. Zdarzali się też dobrzy ludzie. Dawali mleko czy chleb, czasem ktoś ją przenocował, a pewna kobieta, zabiedzona blondynka w uplecionej z warkocza koronie, która zdawała się przytłaczać jej kruchą sylwetkę, podarowała Zosi żakiet i kazała uciekać, bo tu źli ludzie mieszkają. Tak powiedziała i zrobiła w powietrzu znak krzyża. Inna z kolei zgodziła się ją przenocować w stodole, przykazując wszakże ulotnić się przed świtem, żeby inni we wsi nie widzieli. Strach był wszechobecny. Późnym wieczorem, kiedy już Zosia leżała zagrzebana po same uszy w sianie, kobieta wsunęła się ukradkiem do stodoły. Przyniosła skopek ciepłego mleka, koszyk kartofli i chustkę, żeby Zośka nie rzucała się w oczy. „Będiesz wyglądała jak jedna z naszych dziewczuch” – wyjaśniła.

Ludzie przestali zwracać na nią uwagę. Ot, wraca dziewczynina z kartofliska, gdzie się porządnie narobiła. To tłumaczyło również jej niechlujny wygląd.

Wymęczona dowlokła się w końcu do Otwocka. Tam po krótkim namyśle postanowiła zaryzykować i wsiadła do podmiejskiego pociągu. Wciśnięta w kąt zatłoczonego wagonu, dojechała bez przeszkód do Warszawy i razem z tłumem pasażerów przemknęła przez dworzec. Cud, prawdziwy cud, choć nie purymowy⁵. Powłócząc nogami, dotarła wreszcie cała i zdrowa na Koszykową. Ostatni odcinek drogi kosztował ją najwięcej nerwów, warszawska ulica była

prawdziwym wyzwaniem. Z drżącym sercem, pełna nadziei, ale też obaw zadzwoniła do drzwi pociągniętych kilkoma warstwami brązowej farby. Na wyciętym z brystolu, pożółkłym już prostokąciku widniał napis: „Eugeniusz i Leokadia Mańczakowie”. Sama go zrobiła, ten napis. Gustowny wyszedł, była z niego rada. Czarny tusz i renesansowa kancelareska, prezent od niej dla gospodarzy, kiedy ćwiczyła kaligrafię.

Zamek szczęknął, a Zosi mocniej zabiło serce.

Otworzyła jakąś nieznajoma kobieta.

– Dzień dobry, ja do pana Mańczaka. – Zosia czuła, że głos jej się łamie. Tylko spokojnie, upomniała się w duchu.

– Lola, ktoś do Gienka! – wrzasnęła obca, uchylając jednak drzwi. Zośka szybko przestąpiła próg, już sam fakt, że była w mieszkaniu, z miejsca poprawił jej nastrój.

Lola Mańczakowa zjawiała się po sekundzie, chwilę trwało, nim ją skojarzyła, ale rozpoznała przecież i... rozwarła obfite ramiona.

– Zosia, Zośka, chwała Bogu, żyjesz, aleś, dziewczyno, urosła. Tylko strasznieś mizerna. Ile czasu cię nie widziałam! Gienek mi mówił, żeście tu latem z ojcem wpadli, ale ja wtedy w Świdrze byłam z dziećmi. No, co tak stoisz? Chodź do kuchni, tam przytulniej. I cieplej... – trąkotała jak katarynka. – Zaraz cię trochę odżywię, nie bez tego, no, chodźże...

Obca kobieta, Klima, okazała się siostrą Mańczakowej. Zośka odetchnęła z ulgą, a po chwili siedziała na stołku przy białym kuchennym stole, Lola Mańczakowa dała jej pajdę chleba, grubo posmarowaną powidłami śliwkowymi. Naparzyła kubas herbaty. Zosia jadła łapczywie, chociaż za wszelką cenę starała się opanować. Na próżno. Ach, jakie to było dobre, słodkie. Dawno nie jadła takich pyszności, jednak jej entuzjazm ostudziła już pierwsza wiadomość przekazana przez Lolę. Ojciec jeszcze się nie pokazał. A przecież Zośka, zmierzając na tę Koszykową, przez cały czas szła do niego. Nie do Warszawy, nie do Mańczaków. Do taty. Przecież obiecał, że wyskoczy, a jak on coś obiecywał, to zawsze dotrzymywał słowa. Tylko mama, może nie mógł mamy...

Ku przerażeniu Loli Zosi słone łyzy zaczęły kapać do herbaty i na chleb.

Czuła się podle. Zostawiła mamę na pastwę losu, tata też ją zostawił, a może wcale nie. Ale jeśli tak, to co? No bo ona, ona przecież też ich zostawiła. Ach tata, biedny tata. A jeśli stało się najgorsze? Jeśli go zastrzelili? Gubiła się w swoich uczuciach, sama już nie wiedziała, czy o mamę chodzi, o całą tę przeklętą wojnę, bydłęcy wagon... Czy po prostu o to, że nie ma ojca. Jej udało się tu dojść, ale co z nim? Przecież był od niej o niebo mądrzejszy, zawsze taki zaradny i w ogóle. Też miał ukryte pieniądze. No i nie wyglądał na Żyda. Ale go nie było.

Zośka kompletnie się rozsypała.

Rudowłosa Mańczakowa, duża, korpulentna, pochylała się nad nią z troską, klepała po ramieniu, pocieszała, jak mogła.

Ale noclegu odmówiła. To była druga zła wiadomość. Trzecia: Mańczaka zgarnęło rano w pracy gestapo. Za co – nie powiedzieli. Przyszli i zabrali. Zośka czuła, jak ziemia znów ucieka jej spod nóg. Co miała ze sobą począć? Bez dokumentów i z takim wyglądem! Wychudła, nos miała wielki jak u Baby-Jagi, w oczach strach. Widziała te spojrzenia w pociągu, na ulicy, wszędzie. Dobrze wiedziała, co myślą ludzie, kiedy na nią patrzą: Żydówka. W końcu nie byli głupi. Kosz i wiejska chuścina nie wszystkich zmyliły. Niemców może tak. Podparła ręką czoło i dalej płakała. Dłużej nie miała siły walczyć, ukrywać się, kłamać. Mańczakowa znów ją przytuliła, westchnęła i powiedziała zaskakująco twardym głosem:

– Zośka, nie płacz już. Taka duża panna i beczy. Daj spokój. Tu w każdej chwili może wpaść

gestapo. Mówię ci, że ja to nawet nie wiem, czy Geniek czegoś nie schował gdzieś w domu. Nigdy mi się nie opowiadał. Zresztą ja też go nie pytałam, bo i po co... Teraz są takie czasy, że najlepiej nic nie wiedzieć. A tak w ogóle, wpadłam tu tylko po łachy i do Klimy idę spać, dzieciaki już tam są. Od razu je stąd zabrałam. Dla pewności...

Przerwała, jakby nagle przyszło jej coś do głowy. Spojrzała bystro na siostrę.

– Klima, ty przecież masz tę koleżankę, no, tę tancerkę, co niczego się nie boi? Jak jej tam, Górecka? Mówiłaś, że ma duże, puste mieszkanie. Może przyjąłaby Zośkę? Dzwon do niej, ale migiem!

Klementyna oblizała łyżeczkę lepka od powideł, nabrała cukru ze szklanej cukiernicy, raz, a potem drugi, i powiedziała pewnym głosem:

– O tak! Irka to jest dziewczyna, co wszystko może. – Zamieszała głośno w kubku, aż brzęknęło. – A ty, siostra, nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana. Zaraz do niej zadzwonię. Jak ona nie pomoże, to już nikt.

I odwróciła się do telefonu, stojącego na serwantce.

Rozmowa była podejrzenie krótka. Zośka zaniepokoiła się lekko, że tamta jest taka małomówna. Zresztą może to i dobrze, pocieszyła się w duchu. Teraz tylko głupi gada przez telefon, co mu ślina na język przyniesie. To zbyt niebezpieczne. Za duże ryzyko.

Nie bez powodu Niemcy pozostawili łączność telefoniczną.

Klima z miejsca przeszła do sedna:

– Panno Irenko, mam kogoś, kuzynkę, w opałach. Czy mogłaby ewentualnie trochę u pani pobyc?

Przez chwilę słuchała, potem kiwnęła głową do Loli, że tak, tamta się zgadza, i serdecznie podziękowała.

– W takim razie my z Zośką niedługo będziemy – i dalej paplała: – Dziewczyna ma złamane serce, aż żal patrzeć, słowo, chłopca jej wzięli na roboty, a co gorsza, teściowa, żoźła jedna, wywaliła ją na bruk. To jest Nina, wie pani, ta Nina.

Odłożyła słuchawkę na widełki i oznajmiła z błyskiem w oku:

– Możesz do niej iść. Powiedziała, że cię przyjmie. A my tymczasem zasięgnijmy języka, co z Genkiem, jak będzie dobrze, jak go wyciągnijmy albo przynajmniej nas nie ruszą, wtedy tu wrócisz. Skrytka czeka. Za chińskiego boga jej nie znajdą.

– A co to takiego... ta Nina? – spytała ostrożnie Zosia.

– Szyfr! – odparła z dumą Klima. – Mamy taki specjalny. Nina oznacza, żeś trefna... znaczy się, Żydówka. Takim oto sposobem ona już wie, kto przyjdzie.

Spojrzała z wyższością na Zosię, której teraz z kolei chciało się śmiać.

Skrytka u Genka była pierwsza klasa, razem z ojcem wpadli na pomysł, żeby zamurować część dużego pokoju Mańczaków. Dzięki tej przeróbce pokój, od którego odcięli parę metrów, zrobił się ładnie kwadratowy. I nikt nie mógł podejrzewać, że za ścianą ukrywają się ludzie, zwłaszcza że wejście, które wymyślili, było po prostu znakomite.

A ściśle mówiąc, to Zośka je wymyśliła. Do skrytki wchodziło się przez piec. Oczywiście palenisko było lipne, tylko odpowiednio pobrudzone. Dla zmyłki, ma się rozumieć. A wejście znajdowało się u samej góry, zasłonięte klapą zainstalowaną pod kaflami.

Zosia patrzyła tęsknie na ścianę, oczyma wyobraźni widziała to schronienie i serce jej się ścisnęło. Chętnie by tam zniknęła. Zarówno na Niskiej, jak i tu, na Koszykowej, mieli dobre kryjówki, ale co z tego. Zwiesiła głowę. Byle tylko przeżyć! Tyle męki, tyle cierpienia, a życie wciąż gdzieś ucieka i trzeba od nowa, i od nowa. A teraz ma iść do tej Irki, która rzekomo

niczego się nie boi. Tylko pozazdrościć. Ona się bała, wszystkiego. Tej całej Irki też i Loli, i psa, i chyba nawet kota. Wszystko może zdradzić.

Odrobinę jednak trwało, nim wyszła od Mańczakowej. Najpierw nagrzały wody, żeby porządnie się wyszorowała. Włosy też umyła, to przede wszystkim, bo była zawszona jak diabli. Musiała niezłe się nagimnastykować, zanim je wyczesła gęstym grzebieniem. Wszyscy mieli teraz wszy, takie czasy. Zośka zaprała też z grubsza plamy na sukience.

Uczesała się, zawiązała na głowie całkiem nową chusteczkę, podarowaną przez Mańczakową – starą, zawszoną, spaliły w piecu – a potem eskortowana przez Lolę, idącą pod rękę z Klimą, ruszyła w bezpiecznej odległości za nimi. Przeszła z Koszykowej na Mokotowską, do Irenki Góreckiej, która miała być dla niej zbawieniem. Ostatnią deską ratunku. Ten rejon Śródmieścia, chociaż niewielki, był szczególnie niebezpieczny. W eleganckich kamienicach, mieszczących przestronne, wygodne mieszkania, a skupionych na stosunkowo niewielkim obszarze, zakwaterowano wielu Niemców. Tuż obok mieściła się również osławiona aleja Szucha, teraz Strasse der Polizei, z budzącą grozę warszawiaków siedzibą gestapo, udekorowaną faszystowskimi flagami, na których widniały gigantyczne swastyki.

Ale, jak powiedziała Zośce Lola, Irence Góreckiej jakimś cudem udało się zatrzymać mieszkanie na Mokotowskiej. Rezydował w nim w charakterze lokatora tylko jeden niemiecki oficer, na szczęście stale nieobecny. W ten sposób, mimo że pod okiem Niemców, a może właśnie dzięki temu, było to wyjątkowo bezpieczne miejsce. Zośka szła do tego domu ze swoim koszem z łożyny, pochylona, kilka kroków za Lolą i Klimą. Obie siostry były nadzwyczaj urodziwe. Wysokie i bujne, jak kobiety na obrazach Rubensa, z długimi włosami opadającymi na ramiona, przyciągały męskie spojrzenia. Nie spuszczały skromnie oczu, tylko uśmiechały się zalotnie.

Kręcąc biodrami, minęły kościół na placu Zbawiciela i zgodnie się przeżegnały, a Zośka, idąc za ich przykładem, uczyniła to samo.

Siostry przystały przed piękną secesyjną bramą, po raz ostatni uściśniły Zosię, która już sama weszła na klatkę schodową, modląc się w duchu, żeby nikogo nie spotkać. W razie czego, gdyby jednak tak się stało, zawsze mogła udawać handlarzkę dostarczającą państwu mięso, masło czy kartofle. Koszyk miała sprytnie zapakowany, a w nim, pod przywiedłymi kartoflami, kilka sztuk zawiniętej w papier odzieży, które dała jej Lola na nowy dobry początek. Po prawdzie to w jej potężnej jesionowej szafie trudno było znaleźć coś odpowiedniego dla wychudzonej Zośki. Ale koniec końcem dopasowały kretonową bluzkę za ciasną na Lolę, ciut przyduże, tym razem na Zośkę, majtki i prawdziwy skarb: parę pończoch, które Lola ofiarowała szczodłą ręką, bo chociaż na nią nie pasowały, zawsze przecież mogła je bez problemu spieniężyć.

Koszyk był lekki, ale Zośka sapała głośno, jakby dźwigała stukilowy ciężar.

Doszła do podestu na drugiej wewnętrznej klatce, jak jej przykazała Klima. Hol, cały w marmurach, z błyszczącymi politurowanymi drzwiami, robił imponujące wrażenie. Kuta w żelazie secesyjna balustrada zachwyciła Zośkę. Uśmiechnęła się do siebie. Właśnie takie domy chciałyby projektować, nowoczesne, eleganckie i po prostu piękne.

Tylko czy los da jej taką szansę, szczerze w to wątpiła.

Nagle gdzieś obok trzasnęły drzwi. Z mieszkania za jej plecami wynurzył się niemiecki oficer. Struchlała. Zrobiła niepewny krok do przodu, zupełnie bez sensu, zadrżała na całym ciele, po czym na moment zastygła nieruchomo jak wystraszony królik. Na szczęście tamten widocznie się spieszył, bo nie zwrócił na nią uwagi, tylko szybko zbiegł po schodkach i zniknął na podwórzu. Niby wszystko dobrze się skończyło, ale tego już było Zośce za wiele, znów poczuła,

że jest u kresu wytrzymałości. Zaraz, niezadługo, rozpadnie się na milion kawałków i to będzie koniec, jej koniec. Złe przeczucia, okropnie męczące, stale jej teraz towarzyszyły i miała wrażenie, że zwiastują rychłą śmierć.

Po prostu wszelkie granice zostały już przekroczone.

Nacisnęła guzik windy i wjechała na drugie piętro. Zadzwonila w umówiony sposób, jeden dzwonek długi i dwa krótkie i znów długi. Tak kazała Lola.

Drzwi się otworzyły.

Zbladła.

Naprzeciw znowu stał oficer. Niemiecki, w rozchełstanej koszuli i spodniach od munduru. Z tyłu, za nim, ujrzała lustro w złożonej ramie, pod lustrem zaś, na tremo, leżały dwie wojskowe czapki i pas z bronią. Było ich zatem kilku.

Od mężczyzny na kilometr jechało koniakiem; przez otwarte, dwuskrzydłowe drzwi miała dobry widok na zgromadzone w przestronnej jadalni wesołe towarzystwo – dwie wymalowane kobiety i kolejnego Niemca. Z gramofonu płynęła sentymentalna niemiecka piosenka:

*In einer kleinen Konditorei
Sassen wir zwei bei Kuchen und Tee
Du sprachst kein Wort, keine einziges Wort
Und wusstest sofort,
Dass ich dich verstehe...*

Oficer, lekko się chwiejąc, popatrzył na dziewczynę z koszykiem i krztusząc się ze śmiechu, zawołał:

– Karl, nie uwierzysz, mamy tu jeszcze jedną! W sam raz dla ciebie. Przecież ty lubisz takie wiejskie pięknotki...

Zośka zachwiała się, otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się bez słowa w dwie podpite kobiety, z których jedna trzymała nogę na stołku od fortepianu i poruszała stopą do taktu, śpiewając ten sam niemiecki szlagier, tylko po polsku:

*W małej kawiarence
Siedzieliśmy we dwoje przy cieście i herbacie.
Nie mówiłaś słowa, ani słowa
I wiedziałaś dobrze,
Że cię rozumiem...*

Druga tymczasem nalewała wino do stojących na bechsteinie kieliszków i nawet nie spojrzała w kierunku drzwi. Zosia uznała, że byłoby nie od rzeczy coś powiedzieć, żeby nie wyjść na niemowę albo co. Chrząknęła i po polsku, choć niemiecki znała wcale dobrze, wystękała drżącym głosem, na tyle jednak głośno, by ją usłyszano w jadalni:

– Ja do pani Góreckiej. Kartofle przyniosłam. Irena Górecka... jest tu taka? – Zrobiła przy tym gamoniowatą minę i czekała na jakiś odzew.

– Irena, madame Irena, to dziewczę cię szuka! – krzyknął Niemiec w głąb pokoju.

Za drzwi wychynęła gospodyni z kieliszkiem w ręku. Miała duże, błękitne oczy, uroczy nosek, bardzo słowiański, a na głowie kunsztowną koronę uplecioną z grubego warkocza. Zośka

zadała sobie w duchu pytanie, czy ten warkocz jest prawdziwy czy też raczej dopinany. Na pierwszy rzut oka blondynka wydała jej się sympatyczna, ale złudzenie prysło jak bańka mydlana, gdy tamta, wręczając kieliszek stojącemu w drzwiach mężczyźnie, powiedziała:

– Masz, Siggy, to dla ciebie.

Potem spojrzała przelotnie na Zośkę, jakby ta była powietrzem, leniwym gestem poprawiła włosy i wycedziła:

– Aaa, to ty, ale ja dziś, złotko, nie potrzebuję kartofli. Już kupiłam. Adieu.

Zatrzasnęła drzwi przed nosem oniemiałej Zośki, która znalazła się znów na klatce schodowej. Przerazona i bezradna.

Schodziła po schodach, a łzy lały jej się po policzkach. Dokąd iść? Do Mańczakowej? Przecież Lola miała już nie wracać do spalonego mieszkania. Kto wie, może tylko po to ją tutaj wysłała, żeby się jej pozbyć? Może ta rozmowa telefoniczna była tylko zasłoną dymną, by zmylić Zośkę, jej ojcu należały się przecież pieniądze od Mańczaka, może to tak? Lola nawet słowem nie zająknęła się o depozycie, pewnie tylko dla picu zaczęła jej dawać jakieś głupie łachy, a Zośka, jak to ona, nie miała śmiałości tak od razu się upominać. Płacząc gorzko jak ostatnia ofiara losu, ruszyła w dół po schodach, zapominając o windzie. Na pierwszym piętrze wpadła na dziewczyninę w starej sukience i rozklapanych butach.

Na Helenkę.

5 Cud uwolnienia Żydów z rąk Hamana stał się przyczyną radosnego święta zwanego Purim.

Teraz

19 WRZEŚNIA 1944, NOWE WŁOCHY

Dzwony były wniebogłosy. Gdzieś obok widać było kościoł. Irka pomyślała, że te dzwony biją tak jak dawniej, przed wiekami, na trwogę. W oknie falowała poruszana wiatrem niciansa, z lekka poszarzała firanka.

Ta cała Zośka przestała już krzyczeć i patrzyła na nią wyczekująco. Nie musiała nic mówić, cała jej postawa, wyraz twarzy były aż nadto czytelne: Wynoś się stąd, zdziro, pókim dobra!

Stała na środku pokoiku, purpurowa z wściekłości. Oczy jej płonęły.

Ale Irenka nie zamierzała tak szybko ustępować. Byłoby to przyznanie do winy. Wiedziała, że ta sprawa, i nie tylko ta, będzie za nią szła jak cień, cóż, kiedy w zamęcie wojennym nie miała ani głowy, ani nawet czasu, by myśleć o konsekwencjach swoich działań. Ot, pomyśli jutro, przyjęła taktykę Scarlett O' Hary z *Przeminęło z wiatrem*. Tak jak Scarlett robiła, co uważała za słuszne i potrzebne. I nikomu nic do tego.

Podniosła głowę i spojrzała Zośce prosto w oczy.

– Kartofle wtedy miałaś. Pamiętam, to nie było tak, jak myślisz.

– A jak?! No, słucham! – zadziornie krzyknęła tamta, ale w jej zadziorności, gdzieś w tle pobrzmiwała jeszcze inna nuta – jakby niepewność... Coś takiego było w oczach Irki, że krzyk uwiązał jej w gardle.

A może po prostu ochłonęła? Może sobie uświadomiła, że to nie jest najlepszy czas na awantury? Że Irka może sprowadzić na nie nieszczęście. I nie tylko na nie, ale na cały ten dom pełen ludzi. Może donieść. A wtedy i ją, i wszystkich tutaj rozwałą. Przez głupią awanturę.

Właśnie to Irka zobaczyła w oczach Zośki i zrobiło jej się naprawdę przykro. Westchnęła i powoli, bardzo spokojnie zaczęła mówić:

– Czekałam na ciebie, kiedy nagle zjawiła się u mnie Jaśka z tymi dwoma Niemcami.

– A nie trzema? – poprawiła ją Zośka. – Jaka znów Jaśka?

– Naprawdę jej nie poznałaś? – Irenka uśmiechnęła się trochę niepewnie. – To była Janina Orlanderówna.

– Ta aktorka? Nie, nie poznałam... – Zośka przypomniwała sobie całą tamtą sytuację.

Widziała tylko półprofil śpiewającej kobiety. Ale tak, rzeczywiście, to mogła być Orlanderówna. I co z tego? Czy to coś zmienia? Popatrzyła bez słowa na Irenkę, która sięgnęła po stojące przy stole krzesło i usiadła zmęczona.

– Padam z nóg, wybaczenie, panny. – Zrzuciła z niewiarygodnie brudnych nóg sandałki. Lokatorki pokoiku z uwagą śledziły każdy jej ruch.

Helenka stała oparta o ścianę, odsunęła się nieco w cień, gdy Zośka zaczęła krzyczeć. Dobrze znała tę historię, przecież właśnie od niej zaczęła się jej znajomość z Zośką. Tylko nie wiedziała, że poznana na bazarze dziewczyna to ta podła Irenka. Patrzyła, jak swobodnie tamta się zachowuje, ani myśli się wynosić, chociaż Zośka stanowczo ją wyrzuciła, i przez moment czuła

leciutkie ukłucie zazdrości. Ona, gdyby była na miejscu tej Irki, podkuliłaby ogon i poszła jak zmyta. A ta nic, zzuła jeszcze buty i patrząc obojętnie na rozwścieczoną Zośkę, zaczęła opowiadać:

– Orlanderówna zakochała się w kwaterującym u niej Niemcu. Zresztą z wzajemnością.

Helenka pamiętała Janinę Orlanderównę.

Była śliczna, miała takie długie, piękne, podwinięte rzęsy. Widziała ją tylko raz w życiu, oczywiście na ekranie, gdy do miasteczka przyjechało kino. Wymknęły się wtedy z domu razem z mamą, po cichutku, pod jakimś fałszywym pretekstem, tak, żeby cioteczna babka Franka i dziadek nie dowiedzieli się o tej wyprawie. Był to wieczór czarów, stara remiza zmieniła się w królestwo bajki, zdawało się Helence, że czuje zapach bzów, gdy bohaterka filmu siedziała na ławeczce, przytulona do mężczyzny, którego kochała nad życie. Ona biedna jak mysz kościelna, a on taki bogaty. Nie mogli być razem, ona płakała, płakała, aż serce się krajało, a łza za łzą spływała po policzku. Helenka płakała razem z nią. Tylko jej, Helenki, łzy leciały grube jak groch, musiała rękawem wycierać nos i oczy. A Orlanderówna pięknie płakała. Delikatniutko. To była *Miłosna opowieść*. Helenka dobrze zapamiętała tytuł; obszarpany plakat na okrągłym słupie ogłoszeniowym na rynku, zaraz obok przystanku autobusowego, jeszcze długo potem jej przypominał, jak cudną rzeczą jest kino. Spać nie mogła wtedy w nocy, tak ją wzięło. I pomyśleć, że była tak blisko Orlanderówny. Że też Zośka jej nie poznała. Dziwne. Helenka czuła, że kto jak kto, ale ona natychmiast by wiedziała. Na chwilę przestała słuchać, co mówi ta Górecka, ale szybko wróciła na ziemię. Więc Janka Orlanderówna zakochała się w Niemcu... Helenka otworzyła jeszcze szerzej oczy i wsłuchiwała się w słowa tej nowej.

– I ty też, jak rozumiem – szydziła Zośka. – Więc z tej nagłej miłości chładyście ze szkopami?

– Nie, ja się nie zakochałam. Ale straciłam kogoś i... i dlatego szukałam kontaktu ze szkopami, żeby się dowiedzieć, gdzie ten ktoś może być, co się stało. Poprosiłam Jaśkę o pomoc. Miałam nadzieję, że przez tego jej Niemca, w końcu wysokiego rangą oficera, uda mi się odnaleźć... – zamilkła na chwilę – no, tego kogoś...

– Ach tak, wzruszające, wy się upiłyście, jak rozumiem, a ja wylądowałam na ulicy. Co mogłam przepłacić życiem. Ale pewnie w ogóle cię to nie obchodzi... – szydziła Zosia.

– Przeciwnie! – Irka natychmiast przystąpiła do kontrataku. – Nie wiedziałam, że tamci troje akurat w tym momencie do mnie przyjdą. Czekałam na ciebie, a tu wpada Janina z amantem i jeszcze dwoma innymi. Wszyscy na rauszu. Nie mogłam ich wyrzucić.

– Więc wyrzuciłaś mnie.

– A co miałam zrobić? – Irka podniosła głowę i spojrzała w oczy Zośce, która wciąż stała nad nią jak kat nad dobrą duszą. – No, powiedz, co powinnam była zrobić? – Wzruszyła ramionami.

– Bo ja nie miałam żadnego pomysłu. A Klima cię nie wzięła?

– Loli już tam nie było... – odparła z rezygnacją Zośka i usiadła na łóżku.

– Ja... przykro mi, Zosiu, przepraszam, wiem, że to mało, ale nie wiedziałam, że Loli już nie ma na ulicy. Przepraszam, ale nie mogłam dziewczyny, która przyszła sprzedać kartofle, zaprosić do mieszkania.

Helenka wychyliła się zza pieca.

– Powiedz lepiej, co z tą aktorką? Zakochali się w sobie i co potem?

Irenka i Zośka odwróciły się obie jak na komendę i popatrzyły na nią ze zdziwieniem.

– Och ty, Helka, ale z ciebie dziecko! – parsknęła Zośka. – Czy to w ogóle jest ważne?

Ale Irenka dostrzegła w brązowych oczach tamtej coś więcej niż tylko dziecięcą ciekawość. Dziewczyna patrzyła na nią z taką przenikliwością, jakby chciała ją przejrzeć do samego dna.

– Wzięli ślub – wyjaśniła. – Po cichu. Bez zgody Niemców. Orlanderówna i ten jej amant, zresztą to był Austriak, nie Niemiec.

– Naprawdę? – wyszeptwała Helka.

– Tak, i urodziło im się dziecko, Jaś.

– Jaś... – Twarz Helenki płonęła; dziewczyna wpatrywała się w Irkę, jakby ta opowiadała cudną bajkę. Albo film.

– I co? Wszystko dobrze się skończyło?

– Nie. Jego wysłali na front wschodni. Zginął po trzech tygodniach, a Jaśka została sama z niemowlakiem i wszyscy się od niej odwrócili. A potem, jak słyszałam, zginęła z małym w powstaniu. W kanałach. No cóż, bywa i tak... historia bez happy endu.

Helenka westchnęła cicho i dziwnie markotna cofnęła się w zbawczy cień pieca. Nachyliła się do kosza i wzięła kawałek drewna, a potem drugi, odwracając się plecami do obu pozostałych.

– Zapalę ogień – powiedziała zduszonym głosem. – Kupiłam jajka, to może ugotujemy na twardo? Lubicie?

Irka czuła, że czegoś tu do końca nie wie, podobne wrażenie miała Zośka. Patrzyły na odwróconą Helenkę, która wsuwała suche szczapy do okrągłej kozy z rurą podłączoną do dużego pieca.

– Masz jajka? – zainteresowała się Irka. – A mąkę też macie?

– Tak – odparła Helenka – kupiłam całe kilo.

– Usmażę wam naleśniki! – zawołała Irka, wstając z krzesła. – Jeśli macie patelkę, rzecz jasna, ze śliwkami usmażę, co je kupiłam. I z serem. Ale sztama, jak rozumiem?

– Będzie ucza! – wykrzyknęła radośnie Helenka, podnosząc się z klęczek. Sama szczerza i prostolinijna, już zapomniała o całej aferze. O aktorce też. Była głodna.

Zośka spojrzała na nią spod oka i kiwnęła głową. Potem przeniosła wzrok na Irenkę.

W dalszym ciągu była nieufna. Z jednej strony chciała uwierzyć, była nawet gotowa to zrobić, może naprawdę ta Górecka nie kłamie. Ale czy aby na pewno? Nie wiedziała. Poza tym ci Niemcy... A może to jakaś agentka? Albo folksdojczka?

Zośce zrobiło się zimno. Ze strachu.

Z dymem pożarów

2 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

W urzędzie kłębił się tłum ludzi. Irenka stała cierpliwie pod ścianą wsparta o framugę drzwi. Naprzeciwko niej, przy oknie, starsza kobieta w długiej ciemnej sukni w małe groszki opierała się o parapet. Siwe włosy miała w nieładzie, w uszach srebrne kolczyki z granatami, a na twarzy ślady dawnej urody. Była blada – nie jak ściana, bo ściany w tym urzędzie pomalowano na ni to śliwkowy, ni to wrzosowy kolor, w każdym razie praktyczny – ale blada jak całun nieboszczyka, przedwojennego nieboszczyka, czyli porządnie jeszcze wówczas obsłużonego. Kobieta miała przymknięte oczy i z trudem oddychała. Jakby naprawdę zamierzała wyzionąć ducha.

Irka zbliżyła się do niej i zapytała cicho:

– Może przynieść pani trochę wody?

Niewiasta pokręciła przecząco głową. Stała pochylona, patrzyła na czubki butów i nic nie mówiła.

– To może w czymś pomóc? – jeszcze raz spróbowała Irka, sama nie wiedząc dlaczego.

Czyżby wracała do normalności? W czasie powstania zrobiła się nieczuła. Jak głąz. Nie reagowała na nic, poza sytuacjami, kiedy trzeba było uciekać, ratować życie. Instynkt, czysty instynkt. Teraz chciała, aby było inaczej, ciągnęło ją do ludzi, do mężczyzn nawet. Bezpieczeństwo. Niechby się ktoś wreszcie nią, Irką, zaopiekował. Marzyła, by być dawną Irenką Górecką. Dziewczyną, która wiedziała, gdzie przód, a gdzie tył. Gdzie góra i gdzie dół. I umiała odróżnić czarne od białego. Dawno, dawno temu...

Kobieta podniosła na nią zamglony wzrok i powoli pokręciła głową. Sprawiała wrażenie oddzielonej od ludzi szklaną szybą. W oczach miała pustkę, jakby nic nie widziała. Może nawet nie rozumiała, co się do niej mówi. Irka czuła, że nic nie wskóra, pomimo najszczerzych chęci nie pomoże, dała więc spokój i wróciła na swoje miejsce, pod drzwi pokoju numer siedem. Stała już dwie bite godziny. Zaraz jednak jej cierpliwość miała zostać uwieńczona sukcesem, bo właśnie z pokoju wytoczył się, wrzeszcząc chrapliwym sznapsbarytonem, woźnica w długim gumowanym płaszczu i z batem w rękę. Ten bat wyglądał groźnie, ale sam woźnica nie budził lęku. Był niepozornym chłopiną wzrostu siedzącego psa, płaszcz na nim wisiał i prawie zamiatał podłogę. Jeszcze na odchodnym krzyknął w głąb pokoju:

– A pocałujta się tam i w dupę!!!

I zatrzasnął tuż przed nosem Irki drzwi, które ta natychmiast uchyliła z cichym:

– Można?

Pomieszczenie było niewielkie, zapewne wydzielone z większego. Pod oknem stał stół przypominający uczniowską ławkę i za tym właśnie niby-stolikiem zasiadał okrągły człowieczek w płóciennym, nawet porządnym, aczkolwiek letnim garniturze. Spojrzał pytająco na Irkę, która kłaniała się już od progu, żeby zaskarbić sobie przychylność pana urzędnika, a kiedy już uznała, że wystarczy tego kłaniania, nie tracąc więcej czasu, wyłuszczyła mu pilną potrzebę meldunku.

Swoją i dwóch przyjaciółek. Cóż, nie była oryginalna, a jej bajeczka raczej pospolita: mieszkały tu od zawsze i nagle powstanie, i trzeba sformalizować stan zastany. Tak to sobie mniej więcej wykombinowała. Niestety, pewnie nie ona jedna, ponieważ urzędnik nawet się nie uśmiechnął, tylko powiedział lekko znudzony chyba:

- Meldunków nie dajemy.
- Ale... – zaczęła niezrażona odmową Irka.
- Żadnego ale. I bez dyskusji!
- Ale pan jest taki miły, a my...

Wcale nie był miły.

– Niech pani poprosi następną osobę, żegnam – przerwał oschle jegomość w garniturze, na pierwszy rzut oka sprawiający wrażenie dobrego wujaszka.

– Proszę pana! Ale my koniecznie musimy mieć meldunek, przecież pan wie, że teraz to kwestia życia i śmierci. No, niechże pan się ulituje... – Irka zaczęła jęczeć kompletnie bez godności. Jak trzeba było, potrafiła godność schować – i to dość głęboko.

– Tak, wiem. Mojego życia, jeśli nielegalnie dam wam meldunek. Chyba nie chce pani mieć mnie na sumieniu, co? Następny.

Irka wycofała się jak niepyszna, życząc mu w duchu, żeby go pokręciło albo i gorzej. Oparła się z powrotem o ścianę i patrzyła na tłum szturmujący pokoje, w których toczyły się niezwykle ważne rozmowy, nie zawsze ze szczęśliwym finałem. Zastanawiała się gorączkowo, co jeszcze może zrobić. Wprowadzie wszystkie trzy miały kenkarty, niby dobrze, jednak każda z tych kenkart miała jakiś defekt. Jej kenkartę zabrali własowcy, gdy ją zgarnęli w powstaniu. Żołdak na oczach Irki podarł dokument i rzucił go na stos innych, też podartych. Później, kiedy związała, rzecz jasna, cały czas uciekała, i dlatego żyła, więc kiedy już związała, wróciła tam, gdzie leżał stos zniszczonych dokumentów, i zaczęła systematycznie go przeszukiwać, aż znalazła swoją, podartą. Czy jakiś żandarm uzna ją za ważną? Zresztą, skoro nie miała meldunku, to i tak było to pytanie bezprzedmiotowe.

Kenkarta Zosi Szafirówny była oczywiście fałszywa, nie inaczej, widniało w niej nazwisko Nowak, Zofia Nowak, ale Irka musiała przyznać, że tak całkiem źle ten dokument nie wyglądał. W każdym razie lepiej niż Zośka z jej wystraszonymi oczami. Jeśli zaś chodzi o Helenkę Janikowską, to akurat ona miała prawdziwe papiery i meldunek z Myszkowic pod Kielcami. I właśnie tam powinna teraz się znajdować. Tu była nielegalnie, nie miała żadnej przepustki. Nic. Podobnie jak i one.

Irka, wyrzucona z biura meldunkowego, wiedziała, że droga urzędowa jest zamknięta, nie traciła jednak nadziei, tylko oparta o ścianę główkowała, co dalej, jaki powinien być następny ruch.

Starsza pani spod okna jeszcze nie weszła. Wydawało się, że śpi. Nie poruszała się. Irka podeszła bliżej i dotknęła jej dłoni, potem czoła, a kobieta nagle osunęła się na podłogę, całkiem bezwładna. Zrobiło się zamieszanie, ludzie ruszyli na pomoc, ktoś przyniósł wodę, paniusia w myszowatym kapelusiku ze zwisającym smętnie piórkiem podsunęła pod nos zemdlonej sole trzeźwiące. Nic to jednak nie dawało, biedaczka leżała bez życia. Była tak wychudzona, istny szkielet, że w pierwszym momencie ktoś mógłby pomyśleć, że to rzucona na podłogę sukienka. Starszy pan położył rękę na nadgarstku nieprzytomnej i wyczuł słaby puls. Po kwadransie, może nawet i prędzej, zjawili się dwóch sanitariuszy, musieli być gdzieś w pobliżu, że tak szybko się uwinęli. Zabrali zemdloną kobietę na noszach do pobliskiego szpitalika, w którym, jak głośno oznajmili, już nawet wszystkie podłogi są zajęte.

Pieczętka? – pomyślała Irka, patrząc bez większego zainteresowania na znikające za węglem korytarza nosze. Jak nie chcą dać, to trzeba samemu...

Z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł młody chłopak, więc korzystając z zamieszania, smyrnęła do biura niezauważona przez nikogo. Tym razem pokój okupowała kobieta. Rozłożysta niczym stara jabłonka i równie zakorzeniona w urzędzie, widać to było natychmiast. Przed nią, na dużym, dębowym biurku stała herbata, za nią, na mniejszym stoliku, taca z ciasteczkami, wyraźnie odświeżona, a urzędniczka ze zmarszczonym czołem przyciskała suszkę do dużego arkusza papieru.

– Słucham? – zapytała uprzejmie, podnosząc wzrok na petentkę.

– Czy można by tu dostać jakieś ubrania? – zaczęła Irenka, penetrując wzrokiem biurko i zgromadzone na nim przedmioty: kałamarz, pióro w pstrokate wzory wymalowane na drewnianej oprawce, oparte o przegródkę w marmurowym, bardzo ładnym, pełnym schowków przyborniku. Był też wazon z żółtymi chryzantemami i stos papierów, zarówno po prawej, jak i po lewej stronie blatu. Jednak żadnej, niestety, pieczętki.

– Przykro mi, nie mamy niczego takiego – odparła urzędniczka głosem osoby kompetentnej. – Mieliśmy wprowadzić zebraną wśród okolicznej ludności odzież, ale już nam się skończyła. Szkoda, że nie przyszła pani wcześniej, na pewno coś by się znalazło... – Kobieta, mniej więcej trzydziestopięcioletnia, gapiła się na Irkę oczkami jak guziczki, brązowymi, nieomal czarnymi, okrągłymi i bez dna. Miała gruby, zadarty nos, czarne falujące włosy, potraktowane przy czole żelazkiem, a z tyłu upięte w kok. Rumiane policzki błyszczały jak jabłuszka po pierwszym deszczu, zrosnione brwi przypominały skrzydła ptaka.

Ma coś z ukraińskiej młodocy, pomyślała Irenka.

– Ach tak, rozumiem. A jakaś pomoc finansowa? – drążyła nieustępliwie. – Jesteśmy z koleżankami bez niczego, straszna bieda, ani żadnego dobytku, ani ubrań, ani pieniędzy. Po prostu, po prostu niczegusieńko...

– Też nic nie mogę pomóc. Nie dysponujemy żadnymi funduszami, wszystko się nam pokończyło.

Widać ten temat znudził już urzędniczkę, jej głos nabrał bowiem kategoriicznych tonów.

– To może jakieś inne wsparcie...?

– Nic nie mamy, nawet miejsc noclegowych – odpowiedziała twardo i jeszcze dodała: – Przykro mi.

Może nie jest aż taka zła, pomyślała Irka, tylko taką ma niewdzięczną robotę... Już chciała podpytać kobietę o meldunki, a nuż, widelec się uda, kiedy nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła jak bomba dziewczynka, mniej więcej dwunastoletnia, ubrana w prostą spódniczkę na gumce i białą bluzeczkę z bufkami. Wyglądała w tej bluzce trochę tak, jakby się urwała z zakończenia roku szkolnego.

– Ciociu! Ciociu! – krzyknęła cienkim głosikiem. – Janusza żandarmi zabrali, ze wszystkim zabrali.

Urzędniczka zbladła, w jednej chwili cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Kiedy?! Józiu, no, mówże wreszcie! – krzyknęła, zrywając się z krzesła.

– A będzie z parę minut. Tyle com do cioci przybiegła, bo mamusia mi kazała.

Irka w milczeniu usunęła się na bok i patrzyła na strach i rozpacz malujące się na twarzy kobiety. Tamta zupełnie przestała ją widzieć. Wysła jak lunatyczka zza biurka i ruszyła do drzwi, kolebiąc rozłożystymi jak beczki na kwaszoną kapustę biodrami.

Całkiem o niej zapomniała. I nic dziwnego, po takiej hiobowej wieści. Dziewczynka pobiegła

za ciotką, poprawiając opadającą podkolanówkę, a Irka została sama. No, to do dzieła! Ma szczęście. Z tego nieszczęścia. Nie tracąc czasu, podeszła do biurka, otworzyła szufladę i zobaczyła nadgryzioną kanapkę zawiniętą w kawałek papieru kalkulacyjnego, mnóstwo ołówków, gumek i innych rupieci. I słoiczek tuszu. Żadnych pieczętek, niestety.

A już myślałam, że szczęście się do mnie uśmiechnęło, westchnęła, zgarniając tusz i pióro do konduktorki. Po chwili namysłu dorzuciła jeszcze ołówek i gumkę, a potem szybko wyszła z pokoju i nie patrząc na nikogo, żwawym krokiem ruszyła do drzwi, ściskając pod pachą torebkę pełną, powiedzmy, wojennych łupów.

Zosia nie miała cyrkla, więc wszelkie próby sprokurowania kółka imitującego pieczętkę spełzły na niczym. Irka nigdy się nie poddawała, znów ruszyła głową i poszła do gospodyni. Nie tłumacząc, o co chodzi, pożyczyła od niej kieliszek, szklankę i kubek. Jednak żadna z tych rzeczy nie była w odpowiedniej wielkości. Owalną pieczętkę z napisem „Gmina Włochy” bez problemu odtworzyła Zośka, bądź co bądź studentka architektury, korzystając z przyniesionego przez Irenkę tuszu. Nie dawała się podrobić ta druga, trudniejsza, okrągła, z hakenkreuzem i gotyckimi literami.

Po godzinie bezowocnych prób z kieliszkiem i szklanką Irka znów, rada nie rada, poczłapała do gospodyni, rezydującej w niewielkiej kuchence na tyłach budynku. Wchodziło się do tego punktu dowodzenia domem i całym gospodarstwem osobnym wejściem, od strony sadu.

Po drodze zobaczyła rozkosznie pulchne niemowlę śpiące w taczce ustawionej pod jabłonką. Wciąż jeszcze ciepłe, jesienne słońce zdawało się pieścić krągłą buźkę przez gałązki. Nieopodal, na beczce, siedziała młoda kobieta, ładnie oświetlona promieniami przezierającymi przez liście, i dziergała na drutach czapczkę dla swojej pociechy.

Ot, kawałek normalnego życia, pomyślała z rozrzewnieniem Irka, mimo tej beczki i tacek zamiast wózka.

W kuchni, dużej i schludnej, z białym kredensem pełnym talerzy i filiżanek, poza gospodynią było jeszcze kilka osób. Młody, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna gotował owsiankę na kafłowym piecu z czterema fajerkami, płytą i tak zwaną lepką. Pochylony nad poczerńiałym od sadzy garnuszkiem mieszał w nim wielką drewnianą łyżką. Irka domyśliła się, że to ojciec malucha z taczki. Gospodyni, Izabela Torzewska, siedziała z dwiema kumami przy stole. Z pochylonymi głowami, jedna przy drugiej, wszystkie trzy przyglądały się czemuś, co leżało między nimi na spłachetku materiału. Na dźwięk otwieranych drzwi jedna z kobiet szybko zgarnęła zawiniątko, tak, że Irka nie dostrzegła, co to było, mogła się jednak domyślać, że pewnie jakieś złoto czy monety, które po raz kolejny zmieniają właściciela.

– Przyszłam oddać kieliszek i szklankę – wyjaśniła Irka, zbliżając się do stołu.

W tym momencie młody mężczyzna przelał owsiankę do puszki i opłukał garnek w wodzie, pocierając go piaskiem z naczynia stojącego przy misce i wiadrze. To odwróciło uwagę gospodyni od Irenki.

– A! Widzę, że już pan, panie Jacku, ugotował – zagaiła Torzewska i głośno zamieszała w kubku herbatę srebrną łyżeczką, zapewne jednym ze świeżych nabytków. – To bym jeszcze tylko pana poprosiła, żeby pan ździebko kartofli naniósł z lodowni. W tym tam koszyczku. O tam!

Wskazała na duży kosz stojący przy progu. Lokator nie był zachwycony prośbą gospodyni, daleko mu było do tego, jednak nawet nie pisnął, odstawił puszkę z parującą owsianką na okno i posłusznie sięgnął po koszyk.

– Ot, ma pan tu klucze. A niech pan też weźmie latarkę, co to na oknie leży, bo w tej mojej lodowni ciemno, że oko wykol. I szczury... – dodała z uśmiechem.

Na dźwięk słowa „szczury” wszystkie kobiety, poza gospodynią, wzdrygnęły się ze strachem, ale młody człowiek był twardy, twarz mu nawet nie drgnęła, wziął latarkę i zaśwycił na próbę. A Irce tylko oczy się zaświeciły na jej widok. Patrzyła jak zahipnotyzowana, szybko, w zasadzie odruchowo, postawiła naczynia na stole, zapominając nawet o zwykłym „dziękuję”, zakręciła się na pięcie i wyszła za sąsiadem, który, jak wiedziała, zajmował pokój na parterze, pod ich przygórkiem.

Dogoniła go i zatrzymała, klarując mętnie, dlaczego latarka jest jej bardzo, ale to bardzo potrzebna, i to zaraz. Nie chciał słuchać i nie chciał dać. Po krótkiej, zaciętej utarczce, która nie zbliżyła dziewczyny ani na krok do celu, widząc niedowierzanie w oczach mężczyzny, trzymającego się tej głupiej latarki jak koła ratunkowego, Irenka wzięła głęboki oddech i wyznała mu po prostu prawdę. Z duszą na ramieniu i bólem w sercu powiedziała, że muszą obrysować kółko. Wielkości szkła od latarki. Panu Jackowi oczy zabłyśły.

– Kółko... powiada pani?

– No, przecież mówię.

– Jakie kółko? Czy aby nie... – Spojrzał na nią tak jakoś. Od razu się domyślił, bo na głupiego nie wyglądał.

Irka wbiła wzrok w ziemię.

– Lepiej, żeby pan nie wiedział...

– Tak, jasne. A... gdybym dał to szkiełko, to... czy mogłyby mi panie też... to kółko?

– Tak, czemu nie – odparła Irka, której było już wszystko jedno.

– A mojej żonie też...?

– No pewnie! – Była zgodna jak nigdy.

Szybko rozkręcili latarkę, Irka została ze szkiełkiem, a on z resztką latarki udał się w róg posesji, żeby wydostać kartofle z lodowni.

Szkiełko okazało się idealne, Irenka dobrze oceniła jego średnicę. Po godzinie wszystkie trzy miały absolutnie perfekcyjne meldunki, pięknie przypieczętowane okrągłym stemplem. Po dwóch godzinach uzyskała je cała rodzina pana Jacka, a po trzech zapukał do nich mecenas Wyhowski, który dla swojej licznej rodziny wynajmował dwa pokoiki na parterze.

4 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

Bazar przycichł. Irka szukała dla siebie butów. Chodziła od straganu do straganu, od człowieka do człowieka, rozglądając się za półbutami, szóstką albo siódemką, ponieważ uznała, że w najgorszym wypadku nadrobi skarpetką. Buty były bardzo ważne, najważniejsze – teraz, w czasie wojny można było stracić życie z tak głupiej przyczyny jak kiepskie buty. Ostatnich gryzą psy, pamiętała przysłowie, często powtarzane przez Antoninę, jej przedwojenną gosposię, ale też mentorkę, dysponującą nieprzebranymi zasobami mądrości ludowych. Irka dość się napatrzyła na ludzkie nieszczęścia i wiedziała, że ci, którzy nie nadążali, nie uciekali

wystarczająco szybko, ginęli pierwsi. Więc chodziła po całym bazarze i rozglądała się za porządnymi butami, zdecydowana nie żałować grosza.

– Ile? – zapytała babinę, stojącą z parą trzewików.

– Sto złotych – odparła kobieta, podsuwając jej pod nos używane buty, ale jeszcze dość porządne, z czystymi sznurowadłami. – Jak nowe – zachwalała – po mojej świętej pamięci kuzyneczce, co była chora i prawie nie chodziła. Paniusia przymierzy.

Irka wzięła prawy i przysiadła na skrzynce. Pasował.

Sięgnęła po lewy ze słowami:

– Osiemdziesiąt mogę dać, bo tyle mam.

Starowina pokręciła przecząco głową.

– Tyle to ja zapłaciłam.

Irka nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Kuzyneczce? Świętej pamięci?

– A żebyś paniusia wiedziała. Jej synowi.

Wysupłała dziewięćdziesiąt złociszów i podała kobiecie. Ta pokręciła niechętnie głową, podumała chwilę, w końcu jednak widok banknotów ją skusił, jak podejrzewała Irka. I wzięła. Zawsze lepszy wróbel w garści, mawiała Antonina.

– Jakaś gazeta? Może ma pani coś, w co bym mogła moje stare pantofle zawinąć? – zapytała Irenka.

– Tu nie Bata. Nie ma gazet.

No cóż, coś w tym było. Irka kiwnęła głową, chcąc nie chcąc, wsadziła pod pachę swoje wysłużone sandały i poszła dalej, szukając pończoch lub przynajmniej skarpetek, do tych trzewików. Łaziła po całym bazarze, gapiąc się na towary wyłożone na ziemi, na gazetach, na skrzynkach i w końcu trzymane po prostu w rękach. Czego tu nie było. Chyba tylko babci i dziadka, bo poza tym wszystko. Wszyściutko. Od porcelanowych figurek po lokomobilę⁶, o którą targowało się dwóch jegomościów, wyglądających na okolicznych ziemian.

Nagle wśród tego gwaru, pokrzykiwań, przekleństw i chóru podniesionych głosów najpierw przeszedł jakby szmer, szum, a potem zaczęło się robić cicho. Ludzie przystawali i patrzyli na Warszawę. Stała więc i Irenka. Ale na niebie nie było widać niczego szczególnego, ot, kilka obłoczków, żadnego samolotu. Miasto wciąż płonęło, dymiło – do tego już się przyzwyczała. I ona, i wszyscy wokół.

Warszawa umierała, każdy to rozumiał, była tak blisko, a tak daleko zarazem. Inny świat i czas. Nic nie można już pomóc, więc nie myślano, starano się nie myśleć; tu, we Włochach, toczyło się życie, zwyrodniałe może, nie tak godne, niezbyt dobre, ale życie, bardzo prawdziwe życie. Tam zaś tylko śmierć, ruiny i zgliszcza. Dzieci, przyjaciele, znajomi.

Irenka też nie chciała o tym pamiętać. Nocami odganiała myśli, obrazy, które ją osaczały jak czarne psiska szczerzące kły na bezbronną ofiarę. Wystarczyła chwila nieuwagi i już ją dopadały. Próbowwała więc marzyć. Może to dziwne, ale myślała o swoim pięknym, przed wojną czystym mieszkaniu, o tym, co robi, gdy tam wróci, co robi, gdy wreszcie „to” się skończy. Nie chciała pamiętać trupów na ulicach ani przejmującego zapachu stosów palonych ciał. Zapachu, którego pewnie nigdy nie zdoła wyrzucić z pamięci. Ale gdy tylko nocą pojawiał się obraz dziecka Olesi, dwumiesięcznej córeczki, z roztrzaskaną o mur główką, i martwej matki, leżącej obok z rozrzuconymi rękami i dziurą w czole, czy też tej drugiej dziewczynki z Wolskiej gwałconej prawie na środku ulicy, tego oszalałego ze strachu chłopca, którego zostawiła na

pastwę losu, uciekając w panice, wtedy brała głęboki oddech i wyobrażała sobie, że przemaluje jadalnię na kremowo, bo tak będzie radośniej i jaśniej. I posadzi na balkonie nasturcję, spodobały jej się na tutejszym targu, ale przecież nie było teraz sensu ich kupować, więc kiedyś, później, po wojnie, kupi. O tak, kupi na pewno i będzie miała cały balkon w nasturcjach. Zmuszała się do myślenia – co będzie po. Jutro, pojutrze, po wojnie. Jak będzie pięknie i kolorowo, i czysto. Chociaż w głębi duszy wiedziała, że tak nie będzie, bo być nie może. Coś się skończyło, minęło bezpowrotnie i już nigdy nie wróci. Pewnie nie ma już jej domu ani balkonu. Mimo to jednak, na przekór wszystkiemu, dalej w myślach urządzała, meblowała, planowała, aż wreszcie przychodził upragniony sen.

Dzień w dzień przez dworzec we Włochach przejeżdżały pociągi wywożące warszawiaków, ulicami miasteczka szły kolumny wysiedlanych mieszkańców stolicy, wśród których niekiedy można było dostrzec znajome twarze. Jakby wszyscy właśnie tutaj umówili się na zbiórkę. Muzyk z orkiestry, mała Jasia Szmagierówna, z którą Irka tańczyła w swoim pierwszym zespole, grupie Żadeyki. Przechodzili jeden za drugim, poganiani przez Niemców, czasem krzycząc do tłumu stojącego wzdłuż ulic. Wołali, kim są, prosili, by zawiadomić kogoś tam. Irencie udało się nawet podać Jaśce chleb, który akurat kupiła. Wyjęła go z koszyka i niepostrzeżenie wcisnęła tamtej w ręce. Chociaż tyle...

Ktoś powiedział, że Węgrzyn ma budkę z tytoniem i alkoholem przy dworcu w Grodzisku. Trochę się obruszyła, lecz tylko z początku. Taki wielki aktor, ale przecież on też musiał z czegoś żyć. Jeść. Przypomniała sobie sklepik z tytoniem prowadzony przez Zofię Nałkowską. To było niezwykle – słynni artyści umieli sobie poradzić w złych czasach. Choć przecież nie wszyscy, niektórzy głodowali, inni występowali dla szkopów, taki chociażby Dymsha czy Fertner. No, a Orlanderówna, zakochana w tym swoim Niemcu? Irka starała się nikogo nie osądzać. W życiu różnie bywa, wiadomo. Nikt nie jest zawsze bohaterem. Bohaterem można być przez chwilę, czas jakiś. Podłość, bohaterstwo, jedno obok drugiego, współistniały jak nigdy przedtem. Widziała to i wiedziała, że tak właśnie jest. Sama wszak miała słabość do tej glisty, Einhorna. Ach, przystojny nad wyraz, ale cóż, szuja. Bywa.

Starała się nie myśleć, nie roztrząsać tego, co było. W nocy myślała tylko o tym, co będzie.

A teraz, na bazarze, wszyscy dziwnie zamilkli. Stali i patrzyli. Jak zahipnotyzowani. Jakby... oddawali hołd.

Komu...?

Irka podeszła do jednej z kobiet, wpatrujących się w płonące miasto, i zapytała półgłosem:

– Coś się stało?

– Tak. Warszawa się poddała. To koniec.

12 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

Helenka gotowała obiad na kozie stojącej w rogu pokoju. Kura pachniała wspaniale. Z jajek i mąki zrobiła lane kluseczki. Już by zjadła z miłą chęcią, ale trzeba było zaczekać. Raz, że wszystko jeszcze się dogotowywało, a dwa, że dziewczyny muszą najpierw wrócić z pracy i dopiero wtedy siądą razem do obiadu. Inaczej być nie może.

Trzy dni temu gospodyni wymyśliła, że zamiast płacić, mają odpracować mieszkanie przy

kopaniu rowów przeciwczołgowych, zastępując w tej robocie rodzinę właścicielki. Bardzo sprytnie, ale w sumie było im to na rękę. Tym razem poszła Zośka, chociaż nie wychodziła za dużo na ulicę, ale nie mogła też cały czas siedzieć w domu, bo to też by zwróciło uwagę gospodyni, baby wścibskiej, chciwej i nieuzytej, która lubiła wsadzać nos we wszystko. A już szczególnie w nie swoje sprawy.

Helenka zebrała szumowiny z rosółu. Już miała je wyrzucić do kubła, ale zmieniła zdanie. Marnować jedzenie – toż to grzech. Z lubością zatem sączyła gęsty, brunatny wywar, siorbiąc głośno, bo był strasznie gorący, aż parzył w przętyku, kiedy rozległo się energiczne pukanie. Zamarła. Pukanie, szczególnie takie jak to, mogło oznaczać kłopoty. Nie zdążyła jednak powiedzieć „proszę”, gdy w drzwiach ukazał się wielki, brodaty mężczyzna z workiem na plecach, za nim widać było jeszcze jednego, też zarosniętego jak wilkołak. Stała przestraszona z łyżką w ręku. Brodacz zwałił z hukiem worek na podłogę, za nim wsunął się jego towarzysz i zamykając za sobą drzwi, zapytał szeptem:

– Czy to tutaj panny robicie meldunki? Przysłał mnie Ambroziak.

Wieczorem Zośka przeraziła się nie na żarty, gdy usłyszała o popołudniowej wizycie. Wróciły zmachane do izby, a tam rosółek jak się patrzy i Helenka ubawiona wizytą chłopca, co chciał meldunku. Powiedziała mu, że owszem, da się zrobić, i zostawił, o, proszę, jaką piękną słoninę.

– Jutro ją przerobię na smalec z jabłkami. Już pozбираłam w sadku. – Wskazała na kupkę lekko podgniłych jabłek na stole. – Będzie jak znalazł na zimę, do chleba... – rozmarzyła się.

– I ty, Helka, obcemu chłopcu powiedziałaś, że my...

– Jakiemu znów obcemu? Toż on od Ambroziaka.

– A kto to taki... ten Ambroziak? – zapytała Irenka, siadając na łóżku z miską rosółu.

– O to samo go zapytałam, a jakże, taka głupia nie jestem, to mi wytłumaczył, że to leśniczy z Robertówki i że my jego szwagrostwu, znakiem tego ty, Zośka, robiłaś im meldunek. Węglichowskie się nazywają, te, co je meldowałaś – powiedziała sumiennie, jak na spowiedzi Helenka, patrząc na Zośkę.

Ta otworzyła szeroko oczy, chwilę pomyślała i w końcu palnęła się w czoło.

– No rzeczywiście, taaaak, zrobiłam pieczętkę w kenkarcie jakichś Węglichowskich, tydzień temu chyba, ale to wszystko zaczyna być niebezpieczne, nie sądzicie?

Irenka pokiwała głową.

– Trochę grosza dostałyśmy, trochę się odżywiłyśmy, ale jak tak dalej pójdzie i ludzie będą się tu tłumnie schodzić, to zaraz jakaś menda doniesie na nas Niemcom. – Zośka odłożyła łyżkę i popatrzyła na Irenkę, czekając na jakiś odzew.

– Racja – potwierdziła Irka. – Ludzi należy się teraz bać. Człowiek człowiekowi wilkiem. Znacnie to?

– *Homo homini lupus est.* To po łacinie – znów dołożyła swoje pięć groszy Zośka, patrząc na Helkę.

– Oj tam. Lepiej mi powiedzcie, co teraz mamy zrobić, skoroście takie mądre jedna z drugą? – zaczęła się bronić Hela, czując, że mają do niej pretensje nie wiedzieć o co. – Przecie nie mogłam mu pokazać drzwi, boby tym szybciej na nas doniósł albo awanturę jaką zrobił i gospodyni by się o wszystkim zwiędziła. A wtedy to już byłby koniec z nami, jak amen

w pacierzu... – wyrzuciła jednym tchem, spoglądając to na Irkę, to na Zośkę tak żałośnie, że obie poczuły się jak winowajczynie. Potem wzięła głęboki oddech i wytoczyła najcięższe działo:

– Toż wszystkie tu wiedzą, że Zośka ma smykałkę do tych meldunków, o!

– No właśnie. Wszyscy wiedzą... – Irka wstała z łóżka i odstawiła miskę na stolik pod oknem, do miednicy. – Tego kramiku, Zosiu, nie da się ot tak, raz, dwa, trzy, zwinąć, było i nie ma, jak w ruskim cyrku... bo jeszcze szybciej wylądujemy w areszcie. Jeśli nie pod ścianą... – dodała ponuro.

– Musimy uciekać. – Zośka była dziwnie poważna. – Już na nas czas, panienki.

– Znów jak te powsinogi... – Helenka miała jednak ostatnie słowo.

15 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

Dzieci płakały.

Helenka stała na peronie, czekając na Irkę, która kupowała bilety przy okienku, gdy pojawił się ten pociąg. Składy jechały powoli, właściwie bezustannie, i akurat jeden stanął przy peronie, czekając, aż go przepuszczą. W oknach wagonów, w dziurach między deskami widać było wychudzone twarzyczki dzieci, drobne palce i ręce wyciągały się w nadziei, że ktoś coś w nie włoży. Kromkę chleba, jabłko, cokolwiek... Wzdłuż peronu stali żołnierze z karabinami, których lufy były skierowane w stronę pociągu, a ze środka dochodziły przeraźliwe krzyki i płacze. Tylko dzieci, żadnych dorosłych.

Wszyscy zgromadzeni na stacji zastygli, jakby wrośli w ziemię, porażeni widokiem. Irka wyszła z budynku z trzema biletami do Kielc. Zatrzymała się przestraszona, patrząc na mrowie rączek wysuwających się spomiędzy desek wagonu, na ludzi stojących bez ruchu, niepewnych, co dalej.

Nagle ktoś krzyknął:

– Ludzie! Przecież to dzieci! Ratujmy je!

Pierwsza ruszyła się gruba baba z koszykiem pełnym sprawunków czy towarów. Podeszła bliżej, stanęła koło młodego żołnierza z karabinem na ramieniu, służbiście prężącego się w grupie innych, takich samych jak on młodziaków, którzy pilnowali podróźnych i przejeżdżających transportów, i nie patrząc na niego, po prostu rzuciła w stronę okienka bochenek chleba. Uderzył w ścianę – i zsunął się powoli.

Był to czyn zgoła absurdalny, ale ten chleb ciśnięty z furią stanowił, jak się zdawało, przede wszystkim wyraz protestu. Gdy spadł na tory, ludzie na peronie jęknęli, a baba splunęła ze złości czy też może bezsilności, nie wiadomo. Rozległ się szmer, potem szum. Żołnierz stojący w pobliżu wpatrywał się w kobietę oczami pełnymi zdumienia i widać było, że nie wie, jak się zachować, co robić. Poczzerwieniał, ręka mu drgnęła, zaraz jednak szybko opuścił broń, nie reagując na oczywistą prowokację – może dlatego, że ludzi na peronie było znacznie więcej niż strażników, a może dlatego, że ten szmer, czy też szum, miał w sobie coś złowieszczonego. Jak pomruk budzącego się wulkanu.

Chłopak, który pierwszy krzyknął, by ratowano dzieci, widać ośmielony bezkarnością kobiety, przedarł się między ludźmi i żołnierzami, dopadł torów, zsunął się niżej i zniknął pod pociągiem. Padły jednak dwa strzały, niecelne i niemrawe. Nikt się nie ruszył, wszyscy trwali na swoich miejscach, nieruchomi i zagapieni, zarówno Niemcy, jak i zgromadzeni ludzie. Jedni i drudzy

czekali, sami nie wiedząc na co, patrzyli ze zgrozą na wagony, z których nieustannie dochodziły wołania, prośby o wodę i jedzenie, o ratunek. No i te małe rączki, cały czas poruszające się między deskami szalującymi ściany wagonów.

Strzały, a potem cisza na peronie sprawiły, że nawet płaczące dzieci umilkły, widać nasłuchując.

Nurkujący pod składem chłopak znów się wynurzył, trochę już dalej. Najpierw pojawiła się głowa, potem ramię i tamten szybkim ruchem, jak koszykarz, wrzucił przez okienko podniesiony chleb.

Z wagonu rozległ się dziecięcy pisk radości. A chłopak, kiedy już zrobił, co miał zrobić, zniknął, jakby go tu nigdy nie było.

Nie padł żaden strzał.

Wówczas kobiecinka w plisowanej spódniczce, która towarzyszyła tej pierwszej, od chleba, zaczęła rzucać jabłkami, mężczyzna w kolejarskiej czapce cisnął kiełbasę i nagle na dworcu, nie wiadomo skąd, pojawili się ludzie, mnóstwo ludzi. Płynęli jak rzeka, która wylała się z brzegów. Włochy przestały handlować, a rzuciły się na pomoc dzieciom. Jakim, skąd wiezionym i dokąd, nie było ważne. Łobuziaki w wytartych, za dużych marynarkach, w czapkach na bakier, zmora targowiska, kradnący, co im tylko w ręce wpadło, teraz uwijali się pod wagonami i to, co udało im się podnieść, wciskali w szpary między deskami albo wrzucali przez okienka.

Niemcy strzelali od czasu do czasu, ale beżładnie, tak, by nie trafić, choć jeden z chłopców, może sześciolatek, brudny i umorusany jak nieboskie stworzenie, oberwał. Dostał odłamkiem, rykoszetem w policzek, z którego teraz sączyła się smużka krwi, jak kreska namalowana czerwoną farbą. Pani w eleganckiej sukience i kapelusiku z włoskiej słomki podbiegła do niego, stukając obcasami, wyciągnęła go spod wagonów i zabrała z dworca, ciągnąc za rękę, choć protestował.

Irka nie miała wprawdzie żywności, ale też chciała coś zrobić, a nie tylko stać, więc podawała dzieciakom to, co upadło na peron. Zajęta podnoszeniem jabłek, gruszek i innego jedzenia, nie od razu usłyszała muzykę.

Po chwili jednak dotarły do niej kakofoniczne brzmienia dochodzące gdzieś z tyłu. Podniosła się zaciekawiona, odwróciła głowę i zaczęła patrzeć. Ulicą biegnącą wzdłuż rampy, w przeciwnym kierunku niż wagony, przejeżdżał oddział własowców.

Pierwsza pędziła co koń wyskoczy bryczka przyrzuczona kolorowymi dywanami, jedwabnymi poduszkami i kołdrami, na których siedział rozparty, tak, ten sam oficer, którego ukołysała do snu w Maryninie. W objęciach Ukrainka tonęła nieomal przytulona do niego piękna dziewczyna o długich, czarnych włosach, które wylewały się spod czarnej kozackiej czapki. Irenka też dobrze ją pamiętała. Jej warkocz.

Obok woźnicy, na koźle, siedział inny własowiec, w podobnej, tylko niższej, barankowej czapie. W rękach dzierżył akordeon i grał rzewną melodię. Za tą pierwszą bryczką pędziły następne, wyładowane po brzegi zdobycznym dobrem, pełne pijanych żołdatów i towarzyszących im kobiet. Kiedy bryczki i wozy zrównały się z pociągiem, Ukraińcy podnieśli jakiś niby powitalny okrzyk, który wnet przerodził się w chóralne wycie, z butelek i baniaków zaczęli przepijać w kierunku wagonów i pewnie swoich kolegów, siedzących na lokomotywie. Akordeoniści, których było kilku, przygrywali dziarsko, każdy na inną nutę.

Było w tym wszystkim coś przerażającego, coś, co Irce wydało się końcem świata, tego świata. W pewnej chwili wydało jej się nawet, że na jednej z bryczek, zaprzężonej w dwa siwki, dostrzeżę patefończik, ale nie, chyba wyobraźnia ją poniosła. Miała wrażenie, że śni.

Tymczasem wagony z dziećmi zaczęły powoli ruszać z miejsca, ludzie się od nich odsunęli i tak w jedną stronę oddalał się, turkocząc i kołysząc się na szynach, pociąg pełen dzieci widm, a w drugą mknęły bryczki, uwożące w dal pijanych, nażartych własowców, którzy śpiewali rzewliwie:

*Orużjem na słońce swierkaja
Pod zwuki lichich trubaczej
Po ulice pył podnimaja
Pochodit połk gusar-usaczej...*

Irka stała na peronie, ze ściśniętym gardłem patrząc na ten spektakl, gdy obok niej pojawiła się Helenka. Szarpnęła ją za ramię, nic, szarpnęła więc jeszcze raz, trochę mocniej. Irka drgnęła, spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem i znów popatrzyła na znikający w oddali pociąg. I bryczki.

Peron stopniowo pustoszał, zniknęli gdzieś zarówno ludzie, jak i niemieccy żołnierze. Irka westchnęła i usiadła niespiesznie na żelaznej ławeczce stojącej pod szarym od błotnistej brudu oknem. Usiadła, by chwilę pomyśleć. Helenka przycupnęła obok niej i pogładziła ją po ramieniu.

– Pojechali tak w ogóle? – zapytała.

– Skąd mogę wiedzieć... – odparła Irka, wzruszając ramionami – ale... nie gniewaj się, Helusiu. Oddam te bilety. Nie ma sensu uciekać. Poczekajmy jeszcze trochę, skoro już uciekają, to znak, że ich koniec. Więc i koniec wojny niedaleko. Zostańmy tutaj. Jakoś damy radę.

Wstała z ławki i nie czekając na odpowiedź, weszła do budynku dworca, żeby oddać bilety.

19 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

Coś zachrobotło za drzwiami.

Irka myślała się w miednicy, ubrana w sukienkę, bo w izdebce było zimno. Za oknem huczał jesienny wiatr, ale chrobotanie wyraźnie dobiegało zza drzwi. Zarzuciła na siebie kapotę Helenki i ostrożnie uchyliła drzwi. Na wysokich drabiniastych schodach, prowadzących na ich przygórek, nie było nikogo, jednak coś zaszurało niżej, więc zaciekawiona wychyliła się przez drewnianą balustradę i wtedy zobaczyła znikającą za węglem paniusią w kraciastej chustce na głowie. Zielono-wrzosowej, z jedwabną frędzlą. Bez trudu rozpoznała tę chustkę i jej właścicielkę. Była to jedna ze znanych jej z widzenia kumoszek gospodyni.

Co też ta paniusia mogła robić pod naszymi drzwiami? Dziwne... – pomyślała Irka, i już, już wchodziła do środka, bo zimny wiatr nieprzyjemnie owiewał jej gołe nogi, gdy nagle rzucił jej się w oczy świeżo namazany kredą napis, na środku drzwi, zaraz pod K+M+B. Tylko cztery i aż cztery litery: JUDE.

Zakłęła szkaradnie, wpadła do pokoju, złapała ręcznik, zmoczyła go w wodzie i nie bacząc na opadającą kapotę ani gołe łydki, jednym wściekłym ruchem starła to słowo, napisane co prawda kredą, ale palące jak rozżarzone do czerwoności żelazo. Jak piętno.

A ona, głupia, chciała tu zostać. Doczekać końca. Chyba całkiem upadła na głowę!

Pół godziny później wszystkie trzy, z niewielkimi węzełkami w rękach, stały na peronie, zdecydowane wsiąść do najbliższego pociągu.

Nie było na co czekać.

24 GRUDNIA 1944, JĘDRZEJÓW

Irka szła ulicami Jędrzejowa w poszukiwaniu śledzi. Tak jakoś naszło je z Zosią na te śledzie. Wiadomo, Boże Narodzenie za pasem, a śledź na Wigilię to mus jak Polska długa i szeroka. Sam pomysł wydawał się absurdalny, bo gdzie też tu marzyć o śledziach! Na Kielecczyźnie. W czasie wojny. Ale Irenka postanowiła się przejść i mimo wszystko poszukać owych wymarzonych śledzi. Mieszkały kątem w pokoiku przy rynku, z wyjściem z ciemnej sionki wprost do bramy, śmierdzącej, że strach. Spały na podłodze, bo w izbie nie było niczego, nawet pieca, który bardzo by się przydał w ten zimowy czas. Ot, pusta izba ze spróchniałą podłogą. Po żydkach, jak powiedziała gospodyni. Irka spojrzała wtedy na Zośkę, która szybko spuściła głowę i tylko mruknęła:

– Gdzieś musimy przecież spać, prawda?

Helenka już następnego dnia wynalazła na miejscowej tandecie starą kapę na łóżko i teraz wszystkie nią się przykrywały. Wydawać by się mogło, że w takich spartańskich warunkach złapią co najmniej katar, jeśli już nie zapalenie płuc, ale nie, jakoś nic ich się nie imać. Może procentował pobyt w Nowych Włochach, kiedy dobrze jadły i nieźle prosperowały. Tutaj, niestety, talenty Zosi nie miały zastosowania, zresztą może i lepiej. Po co kusić los? Całe szczęście, że we Włochach wszystko dobrze się skończyło. Tutaj jedna Helenka znalazła pracę, pomagała w domu doktorostwa Zarębskich. Za wyżywienie. Dobrze i to, nie trzeba było się martwić chociaż o nią. Zośka prawie nie wychodziła z izby, teraz naprawdę miały pietra, bo jeśli znów ktoś ją rozpozna, co wtedy?! Jędrzejów blisko Krakowa, a ona pochodziła właśnie z Krakowa, nim los zagnał ją razem z rodzicami do Warszawy, gdzie nikt, no, prawie nikt ich nie znał, i sądzili, że da się przeżyć na aryjskich papierach. Nie dało się, niestety, wbrew nadziejom. W końcu zdecydowali się szukać schronienia w getcie, które wydawało się miejscem przyjaźniejszym aniżeli ulice miasta. Oczywiście do czasu.

Teraz jednak, gdy powstanie upadło, zaczęły się walki o Warszawę. Rosjanie wreszcie się ruszyli.

Trzeba było tylko jakoś przetrwać. Byle do wiosny...

Irka włóczyła się samotnie po ulicach Jędrzejowa w poszukiwaniu śledzi, a w gruncie rzeczy czegokolwiek, co pozwoliłoby uprzyjemnić wieczór wigilijny. Ten jeden zupełnie wyjątkowy wieczór w roku.

Zbliżając się do ich domu przy Klasztornej, zauważyła stojącą na rogu ulicy przekupkę z rozłożonymi na desce towarami. Podeszła i zaczęła oglądać jabłka w drewnianej skrzyneczce, garnek z suszonymi śliwkami i kilka słoiczków z domowej roboty powidłami. Kiedy już się napatrzyła, zerknęła na przekupkę. Była to niska dziewczyna, na oko kilkunastoletnia, opatulona po sam nos w czarną wełnianą chustę, spod której jeszcze było widać ciepłą kufajkę. Na nogach miała drewniane saboty, raczej nieodpowiednie na tę porę roku, ale za to pończochy jak się patrzy, z grubej wełny, ciepłutkie. Irka przyglądała się tej wiejskiej dziewczusce z zazdrością, dygocząc z zimna w swoim żakiecie i letniej pod nim sukience.

– Po ile te jabłka? – zapytała, przyglądając się niewielkim, trochę robaczywym jabłuszkom o skórce pomarszczonej, szarej niczym pyszczek żółwia błotnego.

– Dziesięć złotych tylko...

– Tylko? Droooooo! – jęknęła, przytupując jak w tańcu, bo najzimniej było w nogi, miała co prawda skarpety i półbuty, ale kolana gołe. Pończochy były nie do zdobycia.

– No, wypraszam sobie, paniusiu, ja tu w taki zamróz stoję nie po to, żeby tanio sprzedawać! – odpaliła hardo dziewczyna, obcierając rękawem nos.

Irka popatrzyła na jej wychudzoną twarz, zgrabiące ręce i na te kilka rzeczy wywleczonych pewnie ze spiżarni i nagle odechciało jej się targowania. Było zimno, marzyła, by jak najszybciej wrócić do domu, z czymkolwiek do jedzenia. Czymś więcej niż stary bochenek chleba, który miały w izbie.

– A śliwki?

– Tak samo. Pół kila dziesięć złotych.

Irka się zawahała, miały już niewiele pieniędzy, Bogiem a prawdą widać było dno w jej woreczku, głęboko ukrytym pod sukienką, wciąż tą samą, w drobną kratkę, tą, w której poszła do powstania. Wzbogaciła się jedynie o szalik i skarpety wydziergane przez Zośkę, która w Jędrzejowie zajęła się robótkami na drutach, oczywiście pod warunkiem, że udało się upolować na tandecie jakiś łach, nadający się do sprucia. Czasem też ktoś z sąsiadów, tych bliższych i dalszych, przynosił coś do przeróbki. Ich gospodyni, Latoszkowa, była pierwszą Zosią klientką i przysyłała następne.

– Irka, a ty co tutaj sterczysz?! – usłyszała nagle za plecami wesoły głos Helki Janikowskiej. Stała za nią, radosna jak czyżyk w lesie.

– Już cię doktorostwo puścili? – zdziwiła się Irenka, wiedząc, że chlebodawczyni Helki, wstrętne babsko, nie miała dla niej żadnego zmiłowania.

Potrafiła przytrzymać Helenkę w robocie aż do godziny policyjnej, nie zważając na to, że młoda, że jej nie płaci, tylko karmi. Jakby nie wiedziała, że dla młodej, ładnej dziewczyny niebezpiecznie tak się szwendać po nocy.

– Ano, zmierzcha powoli, zaraz siądna do wigilii, to mnie już nie potrzebowali. A po ile te owoce? – spytała przekupkę, zmieniając temat.

– Dziesięć złotych – odparła dziewczyna, spojrzała na nią, sapnęła i powoli, cedząc słowa, spytała: – Helka? Helka Janikowska? A ty co tu robisz? Słyszałam, że cię zabili.

Helenka zamarła, najchętniej zapadłaby się pod ziemię, ale nic z tego. Zbladła, zaczerwieniła się po same czubki włosów i znów zbladła, a potem powiedziała nie swoim głosem:

– To... jakaś pomyłka. Nie nazywam się Janikowska. Ani Helka. Pomyliła mnie panna z kimś.

Odwrociła się, trochę nazbyt skwapliwie, od handlarki i powiedziała:

– Chodź, Irenko, do domu. Zimnica, że uswierknąć można. No, chodźże już. Szkoda pieniędzy na takie frykasy.

Irka, trzeba jej to było przyznać, nigdy nie traciła rezonu.

– Już idziemy, Joasiu, nie popędzaj. Tylko wiesz co? Jednak wezmę te śliwki. Pół kilo i... – zastanowiła się krótko – ...jabłek tyleż samo. Marmoladę wziąć, jak myślisz, Aśka?

Dziewczyna patrzyła na Helenkę jak na ducha, oczy miała jak dwa spodki, widząc jednak pewność siebie Irki i jej zdecydowane polecenia, zaczęła pakować towary do płóciennego woreczka, który przezornie zabrała ze sobą Irenka i teraz podsunęła sprzedającej.

– A ta marmolada to co kosztuje? – zapytała Irka, patrząc z ukosa na Helkę, która stała z boku, z pozoru obojętna, chociaż w środku cała się gotowała.

Irenka na tyle już ją znała, by wiedzieć, że tak właśnie jest. Nosek zadarty był trochę za wysoko, w brązowych oczach coś się szklilo.

– Marmelada za piętnaście złociszów – rzuciła dziewczyna, już nie patrząc na Helenkę, która odwróciła się na pięcie i ruszyła w dół ulicą.

– Zimno, pójdę już, ręce mi marzną! – zawołała jeszcze.

Wsadziła dłonie w kieszenie kapoty i skulona poczłapała zaśnieżonym chodnikiem. Kiedy już zniknęła za rogiem, dziewczyna w sabotach pokiwała głową i powiedziała głośno do Irki:

– Jaka ona tam Aśka! – zaśmiała się szyderczo. – Toż to Helenka od Janikoszczaków. No, żebym tak skoła. Wuju musze powiedzieć, to sie dopiero zdziwi.

Irka włożyła słoik marmolady do woreczka i odrzekła:

– A mów tam, komu chcesz, jak i tak wiem swoje... To żadna Helenka, tylko Joasia Romanowska, znam ją kupę czasu, jeszcze sprzed wojny, więc jestem pewna, że się mylisz, dziewczyno! Wesołych świąt! – zawołała na koniec, podała odliczoną kwotę i oddaliła się z obojętną twarzą. Wiadomo – aktorka. Handlarka stała przez chwilę, potem wsadziła banknoty za pazuchę i mrużąc z niedowierzaniem, zaczęła składać swój kramik.

27 LUTEGO 1940, MYSZKOWICE

Od tygodnia mróz łagodniał dzień w dzień o kilka stopni i choć nadal nie było ciepło, przestało już być tak przeraźliwie zimno. Jednak ręce miała zgrabiące, czerwone, więc co i raz wsuwała do kieszeni kubraka to jedną, to drugą dłoń, by ją nieco ogrzać. Chowała je na przemian, niosła bowiem koszyk, a w nim istny skarb przykryty starym workiem: kilogram cukru, który udało jej się kupić w sklepiku w miasteczku. Poszła tam z samego rana, o świtaniu, żeby zdobyć coś do jedzenia, bo w domu nie było już ani mąki, ani kaszy. Chleba oczywiście też brakowało, skończyły się nawet suchary, które przezornie z matką upiekły, przygotowując się do wojny. Dziadek Szczepan zarządził wielkie pieczenie sucharów jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego, a że pamiętał dobrze wojnę, tę pierwszą, posłuchały go i upiekły kilkanaście blach okrągłych podpłomyków, które po wysuszeniu zapakowały do lnianych woreczków, a potem powiesiły je wysoko, pod deskami strychu, tak by nikt zapasów nie ruszył. Ani człek, ani mysz.

Resztkę mąki straciły w zeszłym tygodniu, kiedy przyszli leśni. Cioteczna babka Franka pyskowała, że nic nie ma, nic nie da, ale niewiele to pomogło, przeszukali dokumentnie cały dom i wszystko zabrali. Obcy byli; ci, których znały, z oddziału Czarnego Stefana, czasem zjawiali się nocą i wtedy gotowały chłopakom garnek kaszy albo dzieliły się zupą. Stefan i Olek to swoi, znały ich i wiedziały, że krzywdy im nie zrobią. Nocowali pewnie gdzieś nieopodal, w sąsiedniej wiosce czy gdzie, i tylko wypuszczali się po prowiant do pobliskich miejscowości. Helenka wiedziała, że mus taki mają, no bo wiadomo – jeść się chce. A tamci wrócić do swoich chałup nie mogli. Z różnych powodów.

Te ludzie, które się pojawiły tydzień temu, to całkiem obce były i źle im z oczu patrzyło, więc cioteczna babka Franka co prawda się stawiała, ale tylko na początku, bo potem strach ją zdjął, gdy dostała kolbą pod zebra, i już tylko łypała spod oka, gdy tamci ładowali do wora wszystko, co tylko było w chałupie. Podnieśli nawet klapę, żeby zajrzeć na strych. Tam, gdy się spojrzeło, pustać tylko straszyla i kilka gratów do niczego niezdatnych. Suchary wisały tak, że tylko Hela i matka mogły je znaleźć, w razie gdyby coś. Ten, który wlażł na drabinę, spojrzeł przez dziurę i nie wszedł już na strych.

– Nic tam nie ma – zawyrokował, marszcząc czoło – kurz po same pachi.

Zamknął klapę i zlął na dół. Dziadek przyglądał się leśnym spod obwisłych brwi. W milczeniu stał pochylony, wsparty o stół, dysząc ciężko, bo już nie było w nim sił do tego stania. Myślał: jak to dobrze, że kaział Helce strych przyprószyć przesianym popiołem...

Pomyślunek miał zawsze, każdy by mu to przyznał.

Jednak w brudnawych kałesonach z wiszącymi troczkami wyglądał żałośnie. Helenka widziała jego siwy zarost, bezzębne usta i trzęsący się podbródek. Czy się bał? Nie wiedziała, ale sama cała się trzęsła ze strachu, więc starała się na tych obcych nie patrzeć, żeby i oni na nią uwagi nie zwrócili, przycupnęła koło matki zawinięta w wielką czarną, a ciepłą tuchę i chyba nawet nie było dobrze widać, czy ona młoda, czy stara. Patrzyła, jak zabierają mąkę razem z puszką, tą samą, co ją tak lubiła, po kakao Sucharda, z kotkiem i pieskiem, które trzymały łapki na stoliczku i tak wdzięcznie patrzyły. Ślicznusia była ta puszka. Babka Franka dostała ją od kucharki we dworze, pani Ignasiowej, co już będzie chyba szósty rok, jak się pożegnała z tym światem.

Stracili więc za jednym zamachem nie tylko mąkę i kaszę, ale i puszkę, i te trochę bimbru, który dziadek trzymał w kredensie. Na rozgrzewkę – tak zawsze powiadał. Skoro nic do jedzenia nie zostało po nocnej wizycie bandytów, zabrali się za suchary i jedli, jedli, aż im rosły w ustach. Ale się kończyły, została już tylko garstka i nie było w chałupie nic do jedzenia poza wodą i główką kapusty, która niezauważona przetrwała w spiżarni, bo cioteczna babka ją całkiem przypadkiem wepchnęła pod najniższą półkę.

Helenka musiała więc pójść do miasteczka i sprzedać kury, dwie ostatnie, co się jeszcze uchowały w lodowni na skraju zagrody. Gdy tylko wojna się zaczęła, dziaduś zarządził, żeby przykryć lodownię chrustem. Pospołu narzucili na nią gałęzi i ten, co nie wiedział o jej istnieniu, nie mógł dojrzeć pod chrustem wzgórnika porośniętego trawą, a kryjącego piwniczkę, która latem służyła im za zimną spiżarnię. Schowali w niej kurki, a było ich aż piętnaście. I prosiaka.

Więcej nic się nie zmieściło, choć próbowali ze wszystkich sił wepchnąć też krowę, ale się cholera nie dała. Ryczała przeciągle, jakby ją chcieli zarznąć. Dziaduś chwycił ją za postronek i na bagna wyprowadził, co się zaczynały zaraz za ich stodołą. Tylko niewielka łączka dzieliła bagno od stodoły i jeszcze rów, który też był pomysłem dziadka, ściągający co nieco wody z łąki. Dziadek Mućkę gdzieś tam do drzewa przywiązał. A jak się zimno zrobiło, zaszlachtował i mięso umieścił w lodowni. Wysoko, na najwyższej półce.

No, ale teraz był już luty. I nic nie zostało. Tylko te dwie stare kokoszki, które dawno się nie niosły. Ale były.

Uradzili więc, żeby wysłać Helenkę do miasteczka z tymi kurkami. Cioteczna babka Franka chorowała na nogę, zresztą gdzie jej, starej, brnąć przez śnieg do miasteczka, a matka kaszłała jak potępiona. No a dziadek, wiadomo – dziadek.

Szła więc Hela sama, najpierw w mroku nocy odchodzącej gdzieś dalej, potem już o świcie, kiedy to powoli wyłaniały się pierwsze kształty drzew, chałup i płotów. Granatowe cienie znikwały i w końcu się doczekała, zabłysło lekko zamglone słońce. Śnieg się pięknie iskrzył, ale ciepłej nie było. Tylko raźniej.

Gdy tylko weszła do Myszkowic, zaraz przyuważyła ją Barankowa, Żydówka, co mieszkała tuż przy drodze w pierwszej chałupie i ciągiem przez okno się gapiła, chyba z nawyku, kto też jedzie lub idzie. Bo też strasznie była ciekawska. Wyleciała migiem przed chałupę i zapytała, gdzie Helena tak się z temi kurkami wybiera. Hela popatrzyła na dwie drogi główki wyglądające spod worka, którym był przykryty koszyk, i starej Maszy rzecz całą wytłumaczyła dokumentnie. Od początku do końca.

Gospodyni migiem ją zgarnęła, wiele nie mówiąc, do chałupy i tylko się rozglądała na wszystkie strony, czy sąsiedzi nie widzą.

Potem, kiedy już były w środku, zapytała, mrużąc oczy:

– A wiele to Hela kce za te kurki?

Helenka chwilę się wahała, co powiedzieć, ale mama jej przykazała niżej dwunastu złotych nie sprzedawać, więc odparła:

– Dwadzieścia złotych mamusia kazali...

Masza tylko się w głos zaśmiała.

– Dwadzieścia? Chybaś, Helka, zwariowała. Od tego mrozu czy jak? – Popukała się w głowę.

– A rozbierz się trocha, co tak sterczysz?

Izba była ciemnawa, pachniało tu inaczej niżli u nich, jakby bardziej w cebulę, podczas gdy w ich chacie głównie kapusta dawała się wyczuć i nie dziwota, bo beczka po kapuście, którą ukwasili jesienią, jeszcze we wrześniu, stała w sieni. Kapusty już nie było, tylko ta beczka...

Helka postawiła koszyk na podłodze, zsunęła chustkę z głowy i przysiadła na skraju ławy. Bez słowa patrzyła na Maszę, jak garnek z wodą przesuwana na piec, przedtem poruszywszy nieco pogrzebaczem w żarze, widocznym przez nierówne krążki fajerek.

– Napijesz się trocha rumianku? – bardziej stwierdziła, niż spytała.

Helenka ochoczo skinęła głową.

– A gdzie wasi? – zapytała, bo zwykle to nie było tak, że u Maszy żywego ducha.

Dzieci miała czworo czy pięcioro i jeszcze mąż, pijak co prawda i łachudra, ale był. No i babuleńka stara jak świat, co jesienią zawsze na ławeczce pod płotem siedziała z koszykiem jabłek i sprzedawać je chciała. Nikt tych jabłek nie brał, każdy miał własne, ale stara Bronka siedziała i gapiła się na ludzi, i do tych jabłek wabiła, widać chętna do pogadania. Zawsze ktoś się do niej przysiadł i nowiny poopowiadał.

Masza usiadła na drugiej ławie, naprzeciwko Helenki, i przysunęła do siebie garnczek, co stał na stole.

Bawiąc się jego uchem, odrzekła:

– A dzieciaki u Czyżyków siedzą. Lubiejom się tam pobawić. Stary poszedł nie wiedzieć gdzie, a mame coś słaba, w alkierzu leży.

Rzeczywiście drzwi do alkierza były szeroko otwarte, widać, by ciepło leciało, ale światła tam nie było. Ciemnica tylko jak w grobie.

– To ile ty za te kurki chcesz? Matce bym rosołu nagotowała, to najlepsze na wszystkie boleści.

Helence ciężko się zrobiło na duszy, skoro to dla chorej miało być, ale wiedziała, że puścić tanio nie może, boby ją w domu matka pogoniła. A co dopiero babka Franka.

– Piętnaście złotych – zaczęła się targować.

– Dam dwanaście – oświadczyła Masza – i ani grosza więcej. Tyle w miasteczku kosztują, tylko dostać nie można, oj, bieda, bieda...

Podniosła się z ławy, podeszła do półki i z glinianego kufła, co tam stał, wyjęła garść listków, a potem wrzuciła je do blaszanego kubeczka, tego na stole, i drugiego, podobnego, wziętego z kredensu. Helenka się zastanawiała, czy aby na pewno czysty ten kubek, ale nie miała śmiałości zapytać. Potem Masza podeszła do kuchni i chochlą nabrała wody, która właśnie zaczynała wrzeć. Zalała listki, odłożyła łyżkę, postawiła kubki na stole i znów ciężko usiadła.

Helka miała już swoją cenę, więc powiedziała tylko:

– Dobrze, skoro to dla matki, niech będzie dwanaście!

Machnęła ręką i sięgnęła po kubek. Przyjemnie grzał w dłonie, tego jej było potrzeba. Masza zaś spod bluzki wyciągnęła haftowany kolorową nicią woreczek, a z woreczka monety. Odliczyła, a Helenka z kolei wysupłała swój z kieszeni kubraka, włożyła do niego drobniaki i schowała go teraz do buta, bo miała inny sposób na chowanie pieniędzy niżli Barankowa. Butów żandarmi nie kazali ściągać. Maszy bardzo się spodobał pomysł z butem, więc nie omieszkała go pochwalić.

Potem chwilę milczały, siorbiąc rumianek, tylko kury pogdakiwały cicho. Helenka piła powoli, żeby trochę odsapnąć. Od Myszkowa do ich Woli Ostrowskiej było dwanaście kilometrów z okładem i w kopnym śniegu je przeszła od nocy ciemnej. Ciężko się szło i zimno gryzło w oczy, nos i palce, co ich nie można było schować, bo przecież koszyk nieść trzeba. Rada, że sprzedaż tak łatwo jej poszła, popijała gorący napar, namyślając się, jak tu zagadać, ale Masza ją ubiegła.

– A u was wszyscy zdrowi? – spytała, żeby coś powiedzieć, boć ledwo się znały, ot, czasem Barankowa do nich zajrzała, sprzedać coś przyszła, a to wstążki, a to włóczki, a to jakieś stare łąchy.

Skąd te fanty brała – tego nikt nie wiedział. Ludzie różnie mówili. Jak to ludzie. Nienawistne bywali.

Helenka przytaknęła, mówić jakoś nie bardzo jej się chciało, więc wypila ostatni łyk rumianku, a potem schyliła się, jeszcze głębiej wsunęła woreczek z pieniędzmi do walonka i zaczęła się zbierać do drogi.

– Na mnie już czas. Muszę jeszcze kupić to i owo, może mąki trochę... Nafta czy cukier też by się zdały.

– Z cukrem będzie ciężko, ale mąkę u Konopki dostaniesz. A wczoraj miał i węgiel nawet!

Owinięta w czarną chustę Helenka pomaszzerowała do sklepu Konopki, gdzie jednak dostała kilogram cukru. Mąkę postanowiła kupić potem, u młynarza w sąsiedniej wsi.

Józef Konopko prowadził niewielki sklepik na tyłach ryneczku. Można tu było znaleźć przysłowiowe mydło, szydło i powidło. Zapytała więc i o naftę, ale nie było. W ogóle mało co było, wzięła więc zapałki, kaszy też trzy kilo i trochę płatków owsianych, dla dziadusia, bo lubił, a najbardziej z mlekiem, z dobre pół kilo Konopko odważył.

O dziadusia grzecznie zapytał i dołożył rozek raczków ze specjalnym dla niego pozdrowieniem.

Obydwaj dobrze się znali ze straży ogniowej. Helenka już miała wychodzić, zawijała się znów w chustę, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i do sklepu wpadło dwóch żandarmów, a za nimi oficer w eleganckim mundurze.

Helenka stała oniemiała, gdy kazali ręce do góry podnosić i coś krzyczeli, coś, czego nie rozumiała. Potem kolbami karabinów za drzwi ją i Konopkę wypchnęli.

Szła z podniesionymi rękami, potykając się co chwila na śliskim śniegu, obok Konopka wielki przy niej jak góra, bo Helenka nie była wysoka. Żandarm pokrzykiwał coś z tyłu, nic nie rozumiała, tylko tyle, że te ręce, *Hande hoch*. Tyle z niemieckiego już umiała. I *raus* – co chyba znaczyło: szybko – tak krzyczał ten starszy z żandarmów, waląc ją kolbą w plecy, jak trochę zwolniła. Strasznie się bała, że może się potknąć i wtedy do niej strzelą, co nie daj Panie Boże.

Szli z Konopką w stronę rynku, jak się domyślała, tam ich poszturchiwaniem kierowali Niemcy. Dlaczego? Co się stało? Helenka nic nie rozumiała, ale czuła, że nie jest dobrze. Konopka na nią nie patrzył, tylko na ziemię, też pewnie miał cykora, że upadnie. Raz tylko spojrzął i wtedy zobaczyła w jego oczach strach. Chłop jak dąb, a taki strachliwy. Chyba jeszcze

bardziej niż ona. No, bo co mogli jej zrobić? Zastrzelić? A niby dlaczego? Przecież nic nie zrobiła. Próbowwała coś powiedzieć, ale znów dostała kolbą pod żebro. Nagle gdzieś z tyłu usłyszała jakiś hałas, rwetes, krzyki, coś się działo. A potem strzały: jeden, drugi, trzeci. Helence serce prawie stanęło ze strachu, a Konopko potknął się paskudnie o bryłę lodu, co leżała na ulicy. Oficer, który ich eskortował, zaszwargotał po niemiecku i bardziej usłyszała, niż zobaczyła, że pobiegł z jednym z żandarmów do tyłu, tam, skąd dochodziły strzały.

Natomiast ten, który z nimi został, szturchnął Konopkę w plecy i znów krzyknął:

– *Raus! Raus! Sznela!* – I pognął go przed sobą, a razem z nim Helenkę.

Od rynku dzielił ich już tylko ciemny zaułek i uliczka. Hela dobrze знаła tę uliczkę, tu mieszkał szewc Lewandowski; zerknęła w bok i zobaczyła, że chałupa świeci pustkami, mieszkańców już wygoniono, drzwi stały otwarte na oścież, furtka tak samo, jeszcze się bujała w przód i w tył, w przód i w tył. Przed chwilą musi ich wygnali. W tym samym momencie poczuła, że Niemiec wali ją z tyłu karabinem, i to tak, że poleciała w stronę domu Lewandowskich, a potem chwycił ją za ramię i pchnął za ogrodzenie, prosto w śnieg. Upadła w zaspę, przerażona. Jezus Maria, co się dzieje?

Chciała się podnieść, pozbierać, iść dalej, ale zobaczyła tylko plecy żandarma, gnającego przed sobą Konopkę. Niemiec odwrócił się na chwilę i wtedy zobaczyła jego chłopakowatą twarz, jasne oczy, zadarty nos. Popatrzył do tyłu, co z nią, i w jego oczach mignęło ostrzeżenie, ostrzeżenie, które zrozumiała aż za dobrze. Zapadła się w śnieg i zaczęła na czworakach, jak jaki Burek, posuwać się w kierunku chlewika, który był najbliżej. Kiedy wreszcie tam dotarła, cała w śniegu i spocona jak mysz, wsunęła się w bezpieczną, ciepłą czerń i rozejrzała w panice, szukając jakiejś kryjówki. Niczego takiego nie było, ot przegroda z desek, resztki śmierdzącej słomy. Nic. Żadnego miejsca, gdzie mogłaby się schować. Przywarła do drzwi. Gdyby ktoś tu zajrzał, przemknęło jej przez myśl, to przynajmniej przez pierwsze minuty nie dojrzy mnie w tej ciemnicy...

Stała za drzwiami, wstrzymując oddech, a tam, w miasteczku, słychać było krzyki, pojedyncze strzały. Potem wszystko ucichło. A później znów usłyszała jakiś głos, ktoś krzyczał po niemiecku. Słuchała z napięciem tego głosu, może to był ten oficer. Tak jakoś podobnie krzyczał, przemawiał, coś do ludzi chyba, bo długo to trwało i za każdym razem odpowiadała mu cisza. Jakby tam, na rynku, nikogo nie było. Tylko ten jeden krzyzący oficer. A potem nagle podniósł się szmer, ktoś mówił, chyba po polsku, i znowu padły strzały. I znów cisza jak makiem zasiał.

Helenka mocniej przywarła do drzwi, chwyciła deskę i wbiła w nią paznokcie, jakby chciała zawisnąć na tej desce. Całe ciało miała napięte, czuła, że tam, na ryneczku, dzieje się coś złego, coś bardzo, bardzo złego. I rzeczywiście, po chwili znów usłyszała strzały, nie jeden czy dwa, pojedyncze, jak wcześniej – teraz ktoś strzelał z karabinu maszynowego. Seria jedna, druga i krzyk, straszny krzyk kobiety. A potem cisza. I znów ten Niemiec, i znów pojedyncze strzały. Helenka nie miała wielkiej wyobraźni, ale nagle pomyślała, że na rany Chrystusa, zabili, zabili wszystkich: Konopkę i Lewandowskich. Wszystkich. Tylko ona ocalała, ten niemiecki chłopak ją uratował. Osunęła się na podłogę, wciąż kurczowo trzymając się drzwiczek, czuła ostre zadry w dłoniach, płakała. Ten ból przynosił jej ulgę. Płakała bezgłośnie, siedząc w półmroku i czekając. Na co, sama nie wiedziała. Może na śmierć.

Mijał czas. Nie wiedziała, jak długo już siedzi w tym chlewiku, kiedy naraz zaczął się jakiś ruch, słyszała, że ludzie szli powoli, szurając nogami i coś szepcząc. Więc żyli. Wyjrzała przez szparę między deskami i zobaczyła tłumek rozchodzący się z rynku; baby i chłopcy, i dzieci,

wszyscy w milczeniu wracali do swoich domów. Czekąca na Lewandowskich; u starego, ojca rodziny, co trudnił się szewstwem, czasem reperowała buty, znała ich, chciała poczekać, aż przyjdą, żeby się dowiedzieć, co właściwie się stało, ale do chałupy nikt nie wracał. Akurat do tej.

A potem na podwórku mignął jakiś cień, zobaczyła, że ktoś wszedł do izby, i zaraz po chwili ujrzała wypadającą chyłkiem starą Bakczakową, co w rynku mieszkała. Czego ona tutaj może chcieć? Helenka nie wiedziała, ale tak jej się zdawało, że baba chowa coś za pazuchą, musi coś ukraść, franca jedna. Odczekała jeszcze chwilę i wyszła z chlewika. Bakczakowa zniknęła za rogiem, a Helenka postanowiła wrócić do sklepiku, zostawiła tam przecież swój koszyk.

Pobiegła kłusem pustą już całkiem ulicą, rozpryskując walonkami śnieg rozdeptany w błoto. Drzwi sklepu były otwarte na oścież, dokładnie tak, jak je z Konopką zostawili, a koszyk stał koło lady, przykryty workiem, więc szybko po niego sięgnęła, gdy usłyszała nagle:

– A ty czego tu? – W drzwiach zobaczyła chłopa starego i wąsatego. Nie znała go. Odwróciła się od koszyka i powiedziała:

– Zabieram swój koszyk. Kiedy przyszli, musiałam ostawić.

– A ty kto?

– Helenka od Janikowskich, z Ostrowskiej Woli. Co się stało tam w rynku? Gdzie pan Józef?

Mężczyzna zdjął czapkę, przecesał palcami włosy i rzekł:

– Ano... Józefa nie ma. Rozwalili go psubraty i ze czterdzieści innych ludzi. Jak zboże skosili...

– Ludzi? Jakich ludzi? Za co? – spytała zduszonym głosem Helenka. W oczach miała niedowierzanie, choć już w chlewiku na to jej wychodziło. Ale to było... zbyt... zbyt straszne, by mogło być prawdziwe.

Mężczyzna przysiadł na pękatym worku, stojącym przy drzwiach, czapkę położył na kolanie i omiół wzrokiem cały sklep.

– Za co? Za nico. Ale tera to wszystko moje! – oznajmił. – Już nie ma Konopki. A ja jego brat. Czyli jest Konopka. – I nagle zaczął się jakoś tak głupio śmiać, jakby złe w niego wstąpiło, że Helence aż ciarki przeszły po plecach.

– To ja już lepiej sobie pójdę... Do widzenia. – Sięgnęła po koszyk i wyszła ze sklepu, przechodząc bokiem obok śmiejącego się czegosi chłopa.

Na dworze było teraz jasno i jakby cieplej, słońce na chwilę wychyliło się zza chmur, ale na ulicy panowała pustka jak okiem sięgnąć. Poszła w prawo. Ostrożnie i powoli, tak by minąć rynek i w razie czego uciec, jak tylko coś usłyszy. Ale miasteczko zdawało się całkiem wymarłe. Żywego ducha. Tylko z rynku dochodziły jakieś odgłosy, lecz starała się ich nie słyszeć. Nie chciała nawet o nich myśleć, nawet przez sekundę.

Wracała do wsi, do domu, dźwigając w zgrabiłych rękach koszyk z cukrem, kaszą i płatkami. I tutką raczków dla dziadziusia. Kiedy sobie przypomniała o tych raczkach, zaczęła popłakiwać, lzy same kapały jej z oczu, jednak cały czas szła przed siebie. Byle dalej...

24 GRUDNIA 1944, JĘDRZEJÓW

W rogu pokoju Helenka powiesiła gałąź. Tak ją jakoś naszło. Żeby nie było tak pusto. Wyszła na ulicę i znalazła złamane drzewko, chyba klon. Ogołocoony z liści, suchy i brunatny, nie

dodawał ni ciepła, ni uroku ich izdebce. Lepiej było bez tej gałęzi, pomyślała Zośka, ale nic nie powiedziała, tylko wzięła kapę, na której spały, i rozłożyła ją na środku pokoju. Zapaliła też dodatkową świeczkę. Zapach łożu nie był zbyt przyjemny, ale tylko na to mogły sobie pozwolić.

– Zośka, no coś ty! Spać zamierujesz? – spytała zdziwiona Helenka, która właśnie zawieszała kilka jabłek na gałęzi wsadzonej do kubła. – No tak, przecie wy, Żydzi, to świąt nie uznajeta, co?

– Nie, mamy swoje święta, inne, ale może zrobimy sobie piknik? – odparła z uśmiechem Zośka i sięgnęła po jabłka.

– A co to takiego ten... piknik? – zainteresowała się Hela, przysiadając na skraju kapy.

– Piknik to taka mała uczta na świeżym powietrzu. Siada się, tak jak my właśnie, na kocu albo kapie, i wcina różne smakołyki.

– Ale to chyba nie w święta?

– Nie, ale że nie mamy stołu, więc pomyślałam, że zrobimy sobie piknik. A wiesz, kiedy na to wpadłam? – Popatrzyła na Helę. – Jak zobaczyłam tę twoją gałąź.

Helenka uśmiechnęła się od ucha do ucha, zadowolona, że tak sprytnie z tym klonem wymyśliła. Drzwi skrzypnęły i pojawiła się w nich Irka, niosąc garnek pełen gorącego kompotu. Kłęby pary unosiły się w powietrzu.

– Gotowe, moje panny, gotowe. Kompicik pierwsza klasa. Nawet mi gospodyni dała trochę kwasku do środka, mówi, że kwaskowy powinien być. A to co? – zapytała, patrząc na udekorowaną jabłkami gałąź i malowniczo rozrzucone na kapie jabłka.

– Piknik! – wykrzyknęła Helenka, jak zwykle pełna entuzjazmu.

Irka nachyliła się i postawiła garnek na podłodze.

– Ale gorące! Dajcie szybko kubki, to wam naleję.

Czym prędzej podsunęły jej trzy emaliowane kubeczki, dopiero co kupione na targu.

– Naprawdę! Eleganckie som, fiu, fiu... – zachwyciła się po raz kolejny Hela, patrząc, jak szarobury płyn, ostrożnie nalewany przez Irkę, spływa do jej kubka. – Może też upiekłybyśmy coś z tej resztki mąki? Podpłomyki zrobię u gospodyni. Jak myślisz, Irka?

– Dobry pomysł. Miło zjeść coś nowego. I mieć coś nowego!

Irka podniosła kubek.

– Nakrój, Helenko, chleba i posmaruj marmeladą. Jak się jej lepiej przyjrzeć, to ona taka bardziej buraczana niż śliwkowa.

– Wiadomo, ta Jadźka to straszna oszukanica... – powiedziała Helka i szybko ugryzła się w język, bo Irka tylko na nią spojrzała.

– Zośka, dawaj talerz! – zawołała Helenka i raz-dwa zaczęła smarować kolejne kromki.

Z mieszkania naprzeciwko rozległ się śpiew. *Wśród nocnej ciszy* śpiewano na kilka głosów, aż w uszach dźwięczało. A potem ktoś pięknym barytonem zaintonował:

Boże Dziecię, rąk wzniesieniem
Niszczycielski ugaś pożar,
By się pokój zazielenił.
Od gór szczytów aż do morza
Nie żałujmy krwi przelanej,
Skoro plonem jej – wawrzyny,
Niech się Polska ciałem stanie,
A pragnienie – wielkim czynem.

– Jak ci sąsiedzi się nazywają? – zapytała po chwili milczenia Zosia.
– Angielakowie. Nawet ładnie śpiewają, słyszycie? I też są z Warszawy.
– To prawda, składnie i czysto, to rzadkość – powiedziała z uznaniem tamta. – Helenka, siadamy do wieczery, gotowaś już?

– Ano, ano...

Wszystkie trzy usiadły na kapie z kubkami w rękach.

– Pijmy, zanim nam to ciepłe wystygnie! – zarządziła Helenka. W izbie panował przeraźliwy ziąb, lód na szybie rozgościł się równo na całej powierzchni.

– Uwaga, moje panie, wzniesiemy toast. Tym oto kompotem, w intencji: żeby doczekać. Niech te szkopy wreszcie szesznią! – powiedziała Irka, trzymając wysoko kubek.

– Niech szesznią! – odpowiedziały chórem dziewczyny i stuknęły się kubkami, a od sąsiadów dobiegło teraz: *Przybieżeli do Betlejem pasterze z nieśmiałym towarzyszeniem skrzypceczek.*

Gdy rozległo się tubalne: *Chwała na wysokości, a pokój na ziemi*, dołączyły i one do tego śpiewu, a potem i inni, zasiedlający w noc wigilijną drewniany domek przy ulicy Klasztornej w Jędrzejowie.

[6](#) Lokomobila – maszyna złożona z kotła i silnika parowego, w XIX i XX w. stosowana do napędzania maszyn rolniczych, w młynach, tartakach itp.

Taki zły ten styczeń

3 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Zdun wytarł zabrudzone ręce w szmatę i oznajmił:

– Gotowe!

Wszystkie trzy aż podskoczyły z radości.

Miały piec.

Helenka zaczęła pospiesznie wrzucać do ciemnego i zimnego jeszcze wnętrza nazbierane w lesie gałęzie, które na bieżąc rąbała za dużą i nieporęczną siekierą (kupioną okazyjnie od chłopka na rynku) na małe szczapki, takie, żeby mieściły się w otworze niewielkiej kozy, domontowanej właśnie do starego, zdezelowanego pieca węglowego.

Po chwili, kiedy już za zdunem zamknęły się drzwi, a w piecyku z hukiem trzaskało mokre drewno, zaglądały w płonące wnętrzości kozy, w milczeniu rozkoszując się urodą płomieni. Już po kilku minutach w izbie zrobiło się odrobinę, odrobinę cieplej, a na fajerkach zaczynała bulgotać woda. Pierwszy gorący napój od dobrych kilku dni. Życie jest jednak piękne!

Irka siedziała po turecku na kapie, pod którą podłożyły nieco siana, też kupionego na ryneczku, by było ciut wygodniej. Czytała *Dzikuskę* Zarzyckiej, pożyczoną od Angielaków, ich sąsiadów. Zośka, ulokowana na drugim końcu kapy, rozwiązywała zadanie z matematyki. Udało jej się załatwić lekcje. Mania, córka właścicielki pokoju, Latoszkowej, nie chodziła od ponad roku do szkoły, więc Zosia za parę złotych przerabiała z nią materiał szóstej klasy. Mania lubiła matematykę, była ambitną dziewczuszką i szybko uzupełniała braki. W lekcjach miał też brać udział jej brat, Zenek, ale tego akurat kijem do książek by nie zagonił. Straszny był z niego urwis. Wiercił się, kręcił i pod pozorem pilnej wizyty w wygodce, do której trzeba było wyjść na podwórko, po prostu dawał drapaka. Nie było na niego żadnego sposobu.

Ruchliwy jak pchła, śmiejąc się, mówiła o nim z czułością Mania, której twarzyczka, w przeciwieństwie do czerstwych i czerwonych policzków wiecznie zgrzanego Zenka, miała niezdrowy odcień zieleni, a do tego jeszcze sińce pod oczami, aż Zosi nieraz po prostu było jej żal. Dziewczynka zajmowała się kilkumiesięcznym braciszkiem, który spadł chyba z nieba, bo ojciec zaginął w trzydziestym dziewiątym. Ale Mania pilnowała też jeszcze dwóch młodszych siostrzyczek, Lusi i Heni, śmiesznych chichotek, wyglądających na bliźniaczki, choć wcale nimi nie były. Matka, Wanda Latoszkowa, pracowała w browarze i jak na wojenne warunki nieźle tam zarabiała. Wynajmowała dziewczynom ten pożydowski pokój, w którego posiadanie Bóg jeden wie, jak weszła. Mania w zasadzie przejęła jej obowiązki w domu. I właśnie dlatego, odkąd na świecie pojawił się braciszek, przestała chodzić do szkoły. Rozpaczała z tego powodu bardzo i Latoszkowa, która miała poczucie winy jak z Jędrzejowa do Ułan Bator, że córkę obarczyła opieką nad maleńkim dzieckiem, dowiedziawszy się, że Zosia jest studentką, bez namysłu zatrudniła ją w charakterze korepetytorki. Mania wiedzę po prostu chłonoła, aż miło było patrzeć, ale Zośka, zamiast się cieszyć, chodziła smutna i ciężko jej było na sercu, bo wiadomo –

ona zaraz pojedzie dalej i kto wtedy pomoże dziewczynce w nauce? W każdym razie zdobyła w bibliotece kilka podręczników i teraz dla rozrywki zaczęła się zabawiać równaniami, sprawdzając, ile zapomniała.

Helenka siedziała w zamyśleniu, wpatrzona w ogień prześwietlający wewnątrz metalowego piecyka.

Znowu poczuły się jak na swoim. Kolejny raz próbowały stworzyć sobie namiastkę domu.

– Jak myślicie? Długo tu zostaniemy? – odezwała się Zośka.

Irka podniosła wzrok znad książki.

– Kto to może wiedzieć...

– Wydaje mi się, że najdalej za miesiąc zobaczymy Rosjan na ryneczku – odparła Zośka. – Na pewno spróbują gdzieś nieopodal forsować Wisłę. Tak mówi Angielak.

– To co wtedy z nami będzie? – zapytała ze ściśniętym gardłem Helenka. – Boziuniu, co z nami? Rozejdziemy się? Każda w swoją stronę?

– No coś ty?! – Tamta aż się zachnęła. – Będziemy razem, na dobre i na złe, póki się da. Nie wiem, co z tatą. A co z twoimi? Ty, Helenko, przecież gdzieś tutaj chyba mieszkałaś, prawda?

– Tak. Niedaleko, na wsi. Będzie z dziesięć kilometrów, też nie wiem, co z moimi – odrzekła Helenka, dorzucając gałązek do kozy. Paliły się tak szybko.

Wpatrzona w migocące płomyki, nad czymś jakby się zadumała.

– A wiecie co? Właściwie mogłabym się dowiedzieć, pojechałabym na wieś zobaczyć, co tam u nich, bardzo bym chciała – zaproponowała nieśmiało.

– No pewnie, jedź, jedź, przecież nikt ci nie broni! Jakoś damy tu sobie radę bez ciebie, chociaż będzie trudno – zawołała Irka znad swojej książki. – I smutno...

– E tam, tak tylko gadacie. Co tam ja... – Helka pokraśniała z zadowolenia.

– Siła spokoju to ty, Helutko, a my dwa nerwusy.

Zośka wstała z podłogi i rozprostowała kręgosłup. Przeciągnęła się kilka razy. Dałaby królestwo za łóżko. Gdyby je miała. To królestwo.

Helka skubała rąbek kapy:

– A gdzie tam ja spokojna. Toż ciągle się nerwuję.

Irenka zaśmiała się głośno.

– Nic nie widać po tobie tych nerw.

– A powiedzcie mi, dziewczyny – Helenka wróciła do tematu – jak to będzie... po tej wojnie. Tyle ludzi już nie ma. Domów nie ma. I ruskie przyjdą. Znaczą się... komuniści. Dziadek mówił, że oni wszystko podzieli. Prawda to?

Zośka usiadła na parapecie. Właściwie przysiadła.

– Komunizm nie jest wcale taki zły. Chce sprawiedliwości dla wszystkich. Jeśli władzę w kraju przejmą komuniści, będzie lepiej, zobaczycie. To, co jeszcze zostało, będzie wspólne. Podzielią to między ludzi. Pola, fabryki i domy. Tak jak w Sowietach.

– Zwariowałaś? – krzyknęła Irenka. – Jakaż to sprawiedliwość: zabierać? Sprawiedliwie to jest wtedy, gdy każdy ma tyle, na ile sobie zapracuje.

– Niektórzy nie mogą pracować – odpowiedziała z naciskiem Zosia. – Przecież pracy nie ma dla wszystkich, nie każdy miał szansę, żeby się kształcić. Na przykład Helenka. Albo Mania Latoszkówna. Gdybyście widziały, jak ona chce się uczyć. Ale nie może. W Sowietach dla wszystkich dzieci są przedszkola i szkoły. Za darmo. I mają taki fantastyczny plan pięcioletni. Mówię wam, dziewczyny, to prawdziwie epokowa wizja. Zapory wodne, elektryfikacja. Tam to się dopiero dzieje.

– No jak to? Ja nie miałam szansy? Toż matuś mnie do szkoły wysyłała. I nawet dziaduś. – Helenka wróciła do interesującego ją tematu.

– A ile klas skończyłaś? – zapytała Irka.

– Całe siedem. Nie myślcie, że jestem jakaś głupia. A dziaduś to nic by nie chciał brać ani też nic oddawać. Zawsze mówił, że komuniści oszukują. I jeszcze co gorszego mówił, aż wstyd powtarzać...

– Nie oszukują, Helenko, możesz mi wierzyć, to dobrzy ludzie. Chcą równości i sprawiedliwości. Ale to trudne i daleka jeszcze przed nami droga.

– Ty jesteś komunistką? – zdziwiła się Irka. – Ciekawe... Taka bogata panienka, córka kupca? Zośka podrapała się w kolano.

– No, nie do końca, ale na studiach chodziłam na zebrania. Przypatrywałam się, przysłuchiwałam się i uważam walkę proletariatu za słuszną.

– Walkę co? Czego? – Hela zrobiła wielkie oczy.

– Walkę ludu o wyzwolenie społeczne. To z łaciny, *proles* oznacza „dziecko ludu”. Stąd proletariatus. Ty miałaś rodzinę i mogłaś się uczyć, ale całe mnóstwo dzieci nawet do majstra nie może się dostać, żeby przynajmniej zdobyć jakiś fach, który w przyszłości zapewni im godne życie. A maluchy, pozostawione bez opieki, mrą jak muchy z głodu i chorób. Pomyślcie tylko, co by było u tej Latoszkowej, gdyby nie Mania.

Irka wzruszyła ramionami.

– Tyle lat już żyję na tym świecie i jedno wiem, jak sobie sam nie pomożesz, to nikt ci nie pomoże. O! Żaden komunizm, żadne po równo. Tylko praca. A rodziny to ja nie miałam, rodzice umarli, kiedy byłam w powszechnej i szkoły mam tyle co Helenka. Sama się uczyłam. Czytałam. I nadal czytam.

– Mów do mnie jeszcze... – zachnęła się Zosia. – Tancerka z variétés. To mi dopiero praca!

– A studentka i córka bogatego tatusia lepsza? Ja do wszystkiego doszłam sama. Bez niczyjej pomocy. O, tymi rękami!

Zośka popatrzyła na nią lekceważąco. Chciała jeszcze coś dodać, coś, co na pewno nie spodobałoby się Irce, ale przełknęła złość.

– Może i jestem córką bogatego tatusia – uśmiechnęła się do siebie – ale chowano mnie na taką, co zawsze sobie radę da i jeszcze innym pomoże. O tobie chyba nie można tego powiedzieć?

– Znowu się czepiasz. Ty wciąż o tym samym. Jeszcze ci się nie znudziło? – zaperzyła się Irka. – Mówiłam przecież, chyba z tysiąc razy, że wtedy nie mogłam.

– Nie mogłaś. Dobra wymówka. A ja bym zginęła. Łatwo szafować słowami. Ale jedno wiem: ludzi poznaje się po czynach. Ty mogłaś mi pomóc, ale wolałaś umyć ręce...

Umilkła i tylko patrzyła na Irenkę tymi swoimi czarnymi jak węgle oczami, jakby z wyrzutem. Coraz większym i większym. Aż w końcu wybuchnęła:

– Kogo wtedy szukałaś? No kogo? Jakoś nic więcej nam nie powiedziałaś. Czy to jakiś sekret? Wstydzisz się może?

Irka stanęła koło Zośki, wyjrzała przez okienko brudne od błota i białe od śniegu. W uliczce nie było nikogo. Padały grube płaty śniegu, kryjąc brud i brzydotę tego miejsca i świata.

– Ładnie – powiedziała, wskazując widok z okienka. – Jak pięknie i czysto! Pod śniegiem wszystko staje się takie ładne i czyste. – Odwróciła się od okna, spojrzała na tamte dwie i powiedziała cicho: – Szukałam dziecka. Straciłam je. Zgubiłam.

Wcześniej

6 STYCZNIA 1940, RABKA

Władzio był najeżony już nie jak jeż nawet, ale jeżozwierz.

Irenka bezustannie poprawiała mu czapkę uszanę z szarego królika, co miał być najprawdziwszą angorą. Czapkę nabyła na Różycu specjalnie na tę wyprawę, podobnie jak trzewiki, bardzo eleganckie i mocne, do pieszych wędrówek przystosowane.

W każdym razie zelówki miały jak się patrzy i gdy chodził, metalowe blaszki prześlicznie dźwięczały. Władzio był w siódmym niebie i specjalnie wykonywał różne skręty i zakręty, by posłuchać upajającego dźwięku swoich nowych butów,

Irka zaś, gdy tylko słyszała ten przeraźliwy odgłos, po prostu kuliła się z bólu, ale cóż, przynajmniej to jedno go cieszyło, bo poza tym cały ten wyjazd do Rabki przyprawił chłopca o histerię.

Kupiła mu zresztą dużo więcej rzeczy, by się przed ludźmi wstydu nie najeść, że dzieciak obdarty chodzi.

Szalik zaś, którym okręciła mu szyję, był dziełem Antosi, wydziergała go osobiście i z pełnym poświęceniem. Irenka, dotykając i głaszcząc Władzia, klarowała mu półgłosem, że to tylko na chwilę, że to wakacje i że niedługo po niego przyjedzie, ale mały nie dał się obłaskawić, był zły i już. Na nic prośby, na nic płacze, obraził się, nadął i milczał. Podróż pociągiem była koszmarem, w ogóle nie słuchał Irenki i przez całą długą drogę siedział nabzdyczony jak noworoczny indyk przeznaczony na ścięcie. Zwinął się w kącie przedziału, podciągnął kolanka, łapy wsadził do kieszeni i tylko od czasu do czasu łytał na nią złym okiem. Bała się, żeby jej jakiegoś kawału nie wykręcił. Nie uciekł albo co. Czuła, że jest zbuntowany do granic możliwości. Odmówił jedzenia jajek na twardo, a przecież je uwielbiał. Chleb ze słoniną też go nie skusił. W końcu jednak zasnął i wtedy Irka mogła wreszcie odpocząć.

Na dworcu w Rabce nie chciał wsiąść do sań. Musiała go na siłę do nich wciągać. Góral, który siedział na koźle, patrzył na to dziwowisko, kręcił i kręcił głową, a w końcu powiedział, że na takie fochy pas jest najlepszym lekarstwem. Irka tylko na niego spojrzała, ale tak, że zaraz się zamknął i cmoknął na kobyłę. Usiadła koło Władzia i przytuliła go do siebie. Sztynny jakby kij połknął, nawet teraz stawiał niemy opór. Irenka szeptała mu do uszka miłe słowa i prosiła, żeby był grzeczny i nie utrudniał sprawy, tak długo szeptała, aż z lekka zaczął mięknąć.

Mówiła mu, że przecież z niego nie jest jakieś bojadło czy strachajło, co to ani na chwilę samo nie chce zostać. Inne dzieci często jeżdżą na wakacje i takich scen mamom czy ciciom nie urządzają. Musi być dzielny, tak trzeba, jest wojna, zły czas i choć to niemile, wszystko wygląda inaczej.

Trochę się tu pobawi i wróci do domu, do niej.

– Przesięgasz? – zapytał, marszcząc groźnie brewki. – Przesięgasz, że mnie stąd wzioniesz?

Poważnie zapytał, jak duży.

– Przysięgam! – oświadczyła Irka z powagą i coś jej utkwiło w gardle, więc umilkła i już się więcej nie czepiała tej jego nieporadnej, niepoprawnej polszczyzny, chociaż dzień w dzień toczyła z nią heroiczne boje, dobrze wiedząc, że właśnie to może najłatwiej zdradzić Władziowe pochodzenie. Druga rzecz, niewielki splachetek skóry, którego mu brakowało, była jeszcze groźniejsza, ale na to już nic nie mogła poradzić.

Popatrzyła Władziowi w oczy i złożyła na jego głowce czuły pocałunek. A potem się rozplakała i znów porwała go w objęcia. Władzio, przytulony i uspokojony, od razu jakby nabrał nowych sił i ciekawymi oczkami zaczął się rozglądać po okolicy. A potem wtulił się w nią i teraz on, dla odmiany, zaczął uspokajać chlipiącą Irkę:

– Nie płakaj. Przecież jesteś duża! Ja wyczymam.

Poklepał ją po plecach i zagapił się na to, co znajdowało się wokół.

A świat był taki piękny. Drzewa zsypane śniegiem niby ciasta cukrem pudrem. Gałęzie, jak prześliczne lodowe kryształki, pełne soplek, co to gdy je do ust wsadzić, są takie cierpko-ostro-przyjemne. Od lodów nawet i lepsze. Raz jadł lody. Pamiętał. Szczypały tak fajowsko.

Miał wielką ochotę polizać zwieszające się z drzew gałązki, posmakować troszkę, mogły być nawet i od sopli lepsze.

Skrzyły się i migotały. Wydawało mu się, był pewien, że nigdy nie widział niczego tak ślicznusiego. Jechali między ogromnymi zaspami, a w oddali rysowały się jeszcze większe i chyba to były prawdziwe góry. Władzio gapił się na te olbrzymy w zadziwieniu wielkim i nagle zamarzyły mu się sanki. Ale i na pupie chciałby z tych gór zjechać.

Ależby to była jazda! Może mu pozwolą?

Ludzie też tu byli tacy jacyś inni, czerwoni na twarzach, weseli, nieśli narty i coś tam do siebie żywo pokrzykiwali.

Gdyby nie ci wstrętnei niemieccy żołnierze, toby się zdawało, że nie ma wojny. Tylko te obce mundury i podkute buciory nie pasowały do krajobrazu jak z bajki o Królowej Śniegu, co mu tę bajkę Irenka czytała tuż przed wyjazdem. Władzio wszystko dobrze zrozumiał i zapamiętał, do żadnych sanek obcych kobit, choćby i najładniejszych, wsiadał nie będzie.

To jedno wiedział na pewno.

Pierwszy raz widział góry i górali, i tyle sanek.

Pierwszy też raz jechał pociągiem.

Świat jest naprawdę ciekawy, tak sobie pomyślał, i taaaki wielki, tyle jeszcze do zobaczenia. Inne miejsca. Inne kraje.

Może to dobrze, że wzionem i wyjechałem? Jakoś mu się wstyd zrobiło, że tak nieładnie się zachowywał, więc wsunął łapkę w dłoń swojej opiekunki i mocno ją uściskał.

Był już zupełnie spokojny, gdy Irka wprowadziła go do prewentorium Leonii Zagórskiej.

6 STYCZNIA 1945, WOJTKOWICE MAŁE

Słońce skrzyło się w drobinach śniegu. Czarna wrona dziobała z furią jakąś padlinę. Psa albo kota. Może wiewiórkę. Helenka z daleka dobrze nie widziała, ale dostrzegła krwawą pręgę, ciągnącą się na śniegu. Zła wróżba, przemknęło jej przez myśl. Zaraz jednak potrząsnęła głową, ech, zabobony, ależ jest głupia, no głuptak.

Odwróciła wzrok i rażno pomaszerowała w stronę wioski. Już było widać pierwsze chałupy

i dymy wolno snujące się w górze, błękitnawe zygzaki wydobywające się ze wszystkich kominów. Poza jednym.

Tym ostatnim, tuż przy lesie. Przyspieszyła kroku. Potem zaczęła biec. Gdy dotarła do furtki, zauważyła, że zwisa na jednym tylko zawiasie. Pchnęła ją z całej siły i znalazła się na podwórku. Już wiedziała, że nikogo tu nie ma. Powybijane szyby, ślady ognia, niewielkiego, ale pożaru. I żadnych zwierząt. Nikt tu nie mieszkał.

Dom był opuszczony. Helenka przez dobrą chwilę stała nieruchomo. Zgarbiona, z bezwładnie opuszczonymi rękami, czuła się tak, jakby w jednej minucie przybyło jej sto lat.

Gapiała się bezmyślnie i bezradnie na podwórko zawalone jakimiś gratami, teraz przykrytymi śniegiem, spod którego widać było prześwitujące stare wiadro i kawałek brony. Przełknęła ślinę i zdławiła płacz. W końcu, kiedy już trochę się uspokoiła, zdecydowała się zajrzeć do sąsiadów. Najbliższa chata była kawałek dalej, więc szła po oblodzonej wiejskiej drodze nieuważnie, ślizgając się i potykając, aż w końcu zapukała do drzwi, brudnych, niemalowanych. Otworzyły się zadziwiająco szybko, widać musieli ją z dala obserwować. Stanął w nich mężczyzna, duży i silny, z kilkudniowym zarostem. Nie znała go, nie pamiętała. Spoglądał na nią spod oka, bynajmniej nie przyjaźnie.

Przełknęła ślinę i prawie wyszeptała z zaciśniętego gardła:

– Szukam Jarzębowski, tych, co tam, pod lasem mieszkali. No, przecie musi pan wiedzieć...
– Odwróciła się i wskazała majaczące w dali, w promieniach słońca puste obejście.

Żadnej odpowiedzi.

– Co z nimi? – wyrzuciła z siebie z impetem, przerywając uprzednie dukanie.

Chłop popatrzył na nią nieprzychylnie, drapiąc się przez wełniany, wyciągnięty sweter po klatce piersiowej.

– Aaa... ci? Poszli sobie.

– Co to znaczy: poszli? – zapytała gapowato.

– No, wzięli wszystkie manele i se poszli precz.

– A czemu to?

– Bo tu ludzie zaczęły mówić o nich. I leśni się pojawili, ale co tam chcieli, to ne wim. To se poszli. Ci młodzi.

– A... Przepraszam, że ja tak pana pytam, ale oni mieli dziecko, chłopczyka, to z tym dzieckiem sobie poszli czy jak?

– E tam... – burknął chłop, odwracając się od niej – o dziecioku to ja tam nic nie wiem.

Zatrzasnął drzwi i Helenka została sama, niepokieszona, wpatrując się w sękaty poobdzierane dechy. W końcu walnęła w nie pięścią tak mocno, aż syknęła z bólu i poszła dalej.

W następnej chałupie, do której zapukała, siedziała w zimnej izbie samotna babuleńka, okutana w stare chusty, z nosem zjedzonym przez jakieś choróbsko. Oczy miała czerwone jak u królika, łzawiące okrutnie. Śmierdziało stęchłymi kartoflami, łojem i wilgocią. Babuleńka jadła drewnianą łyżką prosto z garnka zupę, chyba zalewajkę. Ale na zimno. Siorbała ją głośno, świdrując wzrokiem Helenkę, po chwili wskazała jej miejsce na ławie i utyskliwym głosem zaczęła opowiadać, że te młode uciekły. Nocą uciekły. Ze wszystkim. Z dzieciakiem też. Ale ten dzieciak...

Helenka odwróciła się i odeszła.

Wcześniej

26 KWIETNIA 1940, WOLA OSTROWSKA

Cioteczna babka Franka wychyliła się z ławeczki, na której przycupnęła, i z całej siły walnęła Helenkę sękatym kijem w nogi. Dziewczyna aż się zgięła z bólu. Od tych razów miała na łydkach pręgę na pręde, siniak na siniaku.

– Ty niezguło, jak pielesz! Jak pielesz! – Babka zachłystywała się śliną i znów kij poszedł w ruch.

Tym razem Helenka oberwała w plecy, bo nogi już podwinęła pod siebie. Cios był mocny, babka wciąż miała w rękach krzepę. Dziewczyna upadła na świeżo poruszoną ziemię, uderzyła twarzą w motykę. Poczuła w ustach smak krwi i piasku. Podniosła się powoli, zebrała w sobie i nie odwracając się nawet w stronę babki, otarła twarz z brudu równie brudną ręką. Wszystko jeszcze gorzej się rozmazało, wypłuła z ust krew i poszła. Przed siebie. Nie patrząc już na wrzeszczącą i motającą się staruchę, która siedziała przy słonecznej ścianie chałupy, obok warzywnika z równymi jak pod linijkę grządkami. Helenka szła prosto, jak lunatyczka, i prawie nie słyszała złorzeczeń, które za nią leciały. Jak zwykle.

Goniły ją przekleństwa. Ale nie babka, która ledwie chodziła.

Hela szła, nie bardzo wiedząc, gdzie i dokąd, aż wreszcie doszła do zarośniętego rzęsą stawiku leżącego w rozpadlinie, już za wsią, koło malowniczej kępy brzoź zdobiącej wzgórek porośły wrzosem i trawą.

Tam usiadła, w dole, na brzegu stawu, niewidoczna z wioski, i zanurzyła gołe nogi w wodzie. Kręgi z wolna się rozchodziły i czuła ulgę. Ból ustępował powoli, a na jego miejsce pojawiało się uczucie spokoju i świeżości. W bajorze nieporadnie pływał robak, żaba zeskoczyła z brzegu, rozpryskując krople wody. Hela pomyślała o kijankach i co gorsza, pijawkach. Zawsze się ich bała. Ale niech, co tam. Było dobrze. Poruszyła stopą i kręgi zawirowały. Nachyliła się i zaczerpnęła ręką wody, myła się nią i piła. Przy samym brzegu nie było rzęsy, tu dzieciaki ze wsi spędzały kaczkę, gęsi, a nawet krowy, żeby je napoić.

Helenka odpoczęła, trochę się uspokoiła, otarła twarz i poczuła, że znów się zapaćkała. Zawsze była taka. Niezdarna. To dlatego cioteczna babka jej nie lubiła. A może jej nie lubiła, bo w ogóle niczego nie lubiła. I nikogo. Tak sobie Helenka czasem przedkładała, żeby się nie złościć, nie brać do siebie razów ani krzyków. Babka przecież nikogo nie uznawała.

Dziewczyna zerwała źdźbło trawy i zaczęła je pogryzać. Dobre było. Słodkie.

Nagle usłyszała za sobą jakiś szelest, odwróciła głowę przestraszona. O kilka kroków od niej przy brzegu rozpadliny stał żołnierz. Niemiecki żołnierz. Oparty o rower. Z bronią w ręku. Stał pod słońce, więc go dobrze nie widziała. Zaczęła się podnosić przerażona, a on, widząc to, rzucił rower na trawę, zbliżył się i dotknął jej ramienia, by się nie ruszała. Usiadł przy niej, broń odłożył na bok. Hela patrzyła na niego z obawą. Czego mógł chcieć? Strach znów powrócił, serce łomotało, jakby było zamknięte w za ciasnej skrzynce. Skuliła się odruchowo, zastygła jak

królik zaskoczony na polu.

Żołnierz zbliżył twarz do jej twarzy i dopiero wtedy wyraźnie go zobaczyła.

To był on.

Ten chłopak, który wtedy jej pomógł, zimą. Perkaty nos, okrągłe oczy. Często o nim myślała.

Był dla niej dobry, uratował ją, Helenkę.

Patrzyli sobie w oczy, wyglądało na to, że chłopak też ją rozpoznał.

Wyszeptała spieczonymi wargami: *danke, danke*, wciąż patrząc mu w oczy.

Znała to słowo. On zamknął jej usta dłonią i powiedział cicho, łagodnie: *nein, nein*, a potem zanurzył rękę w wodzie i zaczął obmywać Helence twarz. Powoli, delikatnie zmywał z jej twarzy brud, szlam, piach i łzy, które nagle zaczęły się toczyć jedna za drugą...

Teraz

7 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

W sąsiednim mieszkaniu ktoś rzępolił na skrzypcach. Irka zatkała sobie uszy, potem znów je odetkała i głośno zaklęła. Najchętniej schowałaby się w mysiej dziurze, w szparze między deskami, gdziekolwiek. Byle tylko nie słuchać dłużej tego rzępolenia, cholera jasna! Na dworze wiało i śnieżyło, pogoda nie sprzyjała spacerom ani ucieczkom. Ale tu, w izbie, dźwięki skrzypiec odbijały się od pustych ścian i dudniło, rzeziło, skrzypiało, jakby ktoś szorował po szkle metalem.

W końcu, czując, że dłużej nie zdierży, wściekła narzuciła na ramiona żakiet i wyszła na zewnątrz. Stała w załomku bramy i wyciągnęła papierosa. Przypaliła go, zaciągnęła się głęboko. Od razu poczuła ulgę. Dawno nie paliła. Kiedyś tak, ale bardziej dla pucu niż naprawdę. Jak dymek z papierosa – była taka piosenka. Jak to szło?

O, tak:

Rozpacz, smutek, żal ulatują w dal,
Jak dym rozwiany z papierosa!
Czymże życie też? Kochaj, szalej, wierz,
Zresztą zrób, co chcesz,
Bo śmierci ostrzy się już kosa!
Życie – domek z kart,
Miłość – głupi żart,
Który tyle wart,
Że nie wart nawet papierosa!

Coś w tym jest. Życie domek z kart. Tak...

Dziewczyny gdzieś poszły we dwie, nie opowiadając się jej. No i dobrze. Niech robią, co chcą. Trochę już miała dość tej nadętej Zośki, ciągle z pretensjami, i męczącej naiwności Helenki. Chciała być sama.

I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno tęskniłam za ludźmi, za ich towarzystwem, uprzytomniła sobie. Teraz się dziwiła, że brakowało jej koleżanek. Przyjaciółki, powiedzmy. Zośka cały czas miała coś przeciwko niej. Może była w tym pewna racja, może, ale czasu przecież nie cofniesz.

Ulicą przemknął wynędzniały pies. Biegł szybko, utykając, z podkulonym ogonem, jakby się bał, jakby stało mu się coś złego. Irka wyjrzała z bramy, jednak nic nie zobaczyła. Rynecek, czy też raczej rynek, jako że rozmiary miał wcale słuszne, był pusty. Ani śladu człowieka. Znów zaciągnęła się papierosem i pomyślała, że jak tylko wejdą ci ruscy, z miejsca powie *goodbye* dziewczynom.

Z Helką to jeszcze można było od biedy wytrzymać. Dobra z niej dziewczuszka. I taka

pocieszna. Ale Zośka? Źle się z nią czuła. No, bo co wtedy mogła zrobić? Wywalić szwabów na zbity pysk? Wprowadzić dziewczynę sprzedającą kartofle do służbówki? Wolne żarty. Pewnie, że Zośka mogła zginąć. Ale przecież wtedy jeszcze tego nie wiedziała. Więc co miała zrobić?

Ten szwab od Jaśki jednak na coś się przydał, chociaż przy okazji trochę krwi jej napsuł. Ale co było... Najważniejsze, że się dowiedział, że Leonie Zagórką, właścicielką prewentorium, w którym zostawiła Władzia, rozstrzelano. Za ukrywanie żydowskich dzieci, ale dzieci nie znaleziono. Personel, ostrzeżony przez kogoś, zdążył je w porę gdzieś zabrać. Władzio, być może, być może, nadal żył. Sąsiadka Zagórkowej powiedziała Irce, że dzieci ukryto w klasztorze u sióstr Matki Bożego Miłosierdzia. Tam, po długich perypetiach, udało jej się załatwić audiencję u przeoryszy. Miała zdobyte w Krakowie pismo polecające od samego kardynała Sapiehy. Wiedziała, że bez najlepszej rekomendacji nie dowie się nic.

Siostra Hersylia wczytała się w dokument i przyznała, że wzięły dzieci z prewentorium, ale chłopczyka ktoś zawiózł do Warszawy. Młoda dziewczyna, Janka Rutko. Miała więc nazwisko, ale bez adresu. Irenka szukała tej Janki przez dobry kawał czasu. Nikt jednak w Rabce o niej nie słyszał ani o żadnych Rutkach w ogóle. Musiała być przyjezdna.

Irka w końcu się poddała, znaleźć kogoś w czasie wojny to jak szukać wiatru w polu. Albo igły w stogu siana... Kiedy już wreszcie się skończy ta durna wojna, zacznę wszystko od nowa, pomyślała. Łatwiej będzie, Czerwony Krzyż pomoże, ludzie zaczną się szukać. Znajdzie Gedalię, znaczy się, Władzia. Musi znaleźć. Gedalia nie był z tych, co giną. Zresztą, choć może to tylko pobożne życzenie wcale niepobożnej Irki, ale czuła w głębi serca i duszy, że smarkacz żyje i gdzieś tam na nią czeka.

Przecież dała mu słowo i musiała po niego wrócić.

Skończyła palić, wdeptała peta w bruk i wolnym krokiem poszła do mieszkania. Zapaliła lampę naftową. Zrobiło się jaśniej, chociaż wcale nie przyjemniej. Nafta śmierdziała, a skrzypek dalej rzępolił, jakby się uwziął. Nienawidziła tego miejsca, a skrzypce zawsze działały jej na nerwy, cholera jasna! Wyjrzała przez okno. Ulicą pędziła bryczka. A może coś zaczyna się dziać? Żeby już przyszli, nawet ci komuniści. Niech to się wreszcie skończy i zacznie nowe. Odbuduje sobie życie od podstaw i poszuka Władzia. Albo nie, odwrotnie, najpierw Władzio. Życie może poczekać, dziecko nie. Dość już się naczekało.

Usłyszała stukanie w korytarzu i drzwi otworzyły się z impetem. Zośka i Helenka wtoczyły się do izby czerwone od zimna i mokre od śniegu.

– Ale z was bałwanki! – zagadała, byle zagadać. – Gdzieście poszły?

– A to, Irka, nie uwierzysz, żeśmy zjeżdżały na sankach. Dzieciaki nam dały. Te od Latoszkowej. Aleśmy się ubawiły. Zośka spadła i poleciała w śnieg. Mówię ci, tak żeśmy się śmiały, tak śmiały, aż brzuch mnie całkiem rozbolał.

Helenka jak zwykle trajkotała jak katarynka, strzepując resztki śniegu z butów. Usiadła na podłodze i zaczęła je ściągać.

Zośka milczała. Kiedy nie było Irki, gadała i nagadać się nie mogła, lecz gdy ta była obok, zaraz się zamykała i patrzyła wilkiem. Teraz też, Irena w sieni słyszała jej głos, śmiech, a tu cicha taka. Uwierało ją to.

– Może wam mleka zagotuje? – Postanowiła być miłą. A niech im.

– Nie, nie trzeba – tamta od razu podziękowała – same sobie zrobimy.

Podeszła do kozy i postawiła ronderek.

Jak nie to nie, łaski bez, prosić się nie będę, warknęła w duchu Irka. Wsadźcie sobie w kieszeń tę waszą przyjaźń, obejdzcie się! Skrzypek i skrzypce rozszalały się za ścianą.

Irka z furią kopnęła krzesło, jedyny sprzęt, o który wzbogaciły się w ostatnim czasie. Helenka przytargała je od doktorowej.

Krzesło upadło z hukiem.

– Nie wytrzymam dłużej tego rzępolenia! – krzyknęła i wybiegła z izby do Angielaków.

Helenka popatrzyła za nią zdumiona, widać przykro jej się zrobiło, a Zosia sięgnęła po garnczek i spuściwszy oczy, w milczeniu naląła mleka do dwóch kubeczków.

9 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Chudy mężczyzna w znoszonym waciaku posypywał rynsztoki wapnem. Taki był rozkaz szwabów, którzy strasznie się bali epidemii. Teraz, w taki mróz, nie miało to większego sensu, ale że nie odwołali, więc dozorczy, radzi nie radzi, posłusznie wzięli się do odkażania lodu.

Hela pozwoliła mężczyźnie przejść, odczekała chwilę i dopiero wtedy wylała zawartość kubła. Mróz trzymał mocno, w rynsztoku woda zamarzała w mig, więc jej wylewki tylko ześlizgnęły się po lodzie i popłynęły w dół ulicy, w stronę rynku. Za chwilę też zamarzną, pomyślała i odwróciła się, by wrócić do domu. Z bramy właśnie wychodził młody Angielak. Na jej widok uśmiechnął się nieśmiało i ściągnął czapkę z głowy.

– Może mógłbym panie pomóc? – zapytał grzecznie, miętosząc w czerwonych rękach kaszkiet.

W ogóle był grzeczny, jak już wcześniej zauważyła Hela. Zawsze się elegancko kłaniał. Miał na imię Mietek, słyszała, jak go wołali.

– A dziękuję. Z tem pustym wiadrem to już sama sobie poredze. Ładnie pan na tych skrzypeczkach gra – powiedziała Hela, też chcąc być miła, bo, po prawdzie, rzępolił niemiłosiernie, w przeciwieństwie do swojego ojca, który grał pięknie jak anioł i dzięki niemu miały czasem darmowe wieczorne koncerty.

Ruszyła w kierunku bramy, a Mietek zawrócił i postępował za nią z wolna.

– No, pani koleżanka to chyba ma inne zdanie... – Chłopak się uśmiechnął.

Ładny uśmiech, musiała to przyznać. I taki fikuśny dołek w brodzie.

– A ona zła jakasi chodzi... – Helenka wzruszyła ramionami. – A pan, panie Mieciu, gdzie się uczył tej muzyki?

– Tata jest organistą u Świętego Aleksandra w Warszawie, to ja tak przy nim.

– Z pana też będzie organista?

– A czy ja wiem? Przez tę wojnę to wszystko się pokiełbało. Ręce już mnie słuchać nie chcą. Dwa lata robót i szlus. Czyli koniec... – Wyciągnął przed siebie obie dłonie, czerwone, odmrożone, z łuszczącymi się płatami białej skóry, cieńszej niż pergamin.

Helenka postawiła wiadro i przystanęła na chwilę.

– To pan w Niemczech był?

Mietek dalej miętosił czapkę w dłoniach. Widać strasznie był nieśmiały.

– Ano tak. Capnęli mnie w łapance, ale i tak te roboty były lepsze, bo już myślałem, że mnie rozstrzelają, część z nas wzięli na rozwałkę. Tylko mnie i kilku jeszcze chłopaków do Hamburga zawieźli i my tam przy rybach robiliśmy. A ręce... – Westchnął. – Sama panna Hela widzi.

Helenka poważnie skinęła głową.

– Przejdzie, panie Mieciu, prędzej czy później minie, pocwicz pan i dobrze będzie.

– No, tata mnie przyucza. On to dopiero gra! A ja rzępole, jak mówi pani koleżanka. Ale gdyby panna posłuchała, jak ja na organach, zupełnie inaczej! To jest instrument!

Helenka kiwnęła głową i wzięła wiadro.

– Niech pan ćwiczy, panie Mieciu, nie wolno tracić nadziei. A co do Irki, to dobra dziewczyna, tylko coś niewesoła ostatnio.

– A kto teraz wesoły...

– No, niby wolność idzie. A pan jak z tych Niemiec wrócił? – zainteresowała się nagle.

Patrzyła na niego tymi swoimi migdałowymi oczami w kolorze najśodszej czekolady. Mietkowi te oczy wydawały się najpiękniejsze, jakie w życiu widział. Podrapał się po głowie i odparł z wahaniem:

– A nogę im ta dałem. Jakoś mi się poszczęściło. Ale z tymi ruskimi nigdy nic nie wiadomo. Jaka ta wolność będzie... – Zaśmiał się cicho. – Już oni nam dadzą bobu za rok dwudziesty, oj dadzą...

Helenka z rozmachem kopnęła kupkę śniegu przywianą do krawężnika.

– Zośka mówi, że one nie są wcale takie złe, te ruskie. Równości chcą i sprawiedliwości. Może będzie dobrze albo chociażby lepiej. Do widzenia, panie Mieczysławie.

Już miała wchodzić do mieszkania, gdy chłopak nagle się zatrzymał i zawołał:

– A nie poszłaby panna kiedy ze mną do kościoła?

Helka spłoniła się niczym peonia z ogrodu ciotecznej babki Franki.

Mietek spojrział na nią stropiony i dodał szybko:

– Organista czasem mi grać pozwala.

Spod płowej grzyweczki tylko błysnęły wesołe oczy dziewczyny.

– A dziękuję wielce. Z miłą przyjemnością wybiorę się z panem Mieciem do kościoła.

Uśmiechnęli się i każde weszło w swoje drzwi.

10 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Im bliżej było wyzwolenia, tym bardziej Zośka robiła się niespokojna i strach jakiś ją ogarniał. Coraz większy i większy z każdym upływającym dniem. Od tego ciągłego strachu bolał ją żołądek i ciągle biegła do wychodka na podwórko. Aż kasłać zaczęła. Podziębiła się, jak nic. Ręce też ją mrowiły i w miejscu usiedzieć nie mogła. Latoszkowa, gdy już Zosia skończyła lekcję z Manią, zaproponowała kubek ciepłego mleka, co było hojną ofertą, ale Zosia nie skorzystała. Chciała wyjść i gdzieś iść, gdziekolwiek, by trochę rozładować strach i napięcie.

Denerwowała się ojcem. Niedługo się okaże, co z nim, czy żyje. Nie pokazał się nigdy u Mańczaków. Ani nawet nie dał znaku życia. Czuli, że tata zginął – albo przy skoku, albo później, jak się przedzierał. A może w ogóle nie próbował uciekać i został z mamą. Nie wiedziała. Tak bardzo chciałaby wiedzieć. Może się jednak odnajdą. A może nigdy się nie dowie, co z nimi. Nerwy nie dawały jej spokoju. Cały czas chodziła jak struta, a jeszcze ta przeklęta biegunka. Ale co tam, gorsze rzeczy przeżyła. Już zaraz, niedługo, wszystko się zmieni. Szła zwawym krokiem zaśnieżonymi uliczkami Jędrzejowa, z chustą naciągniętą na twarz, by uchronić się nieco od zawiewającego śniegu i ludzkich spojrzeń. Doszła prawie na przedmieścia, drogą jechały sanki i wozy na płozach. Od kolejki jechały, wioząc podróżnych do miasteczka. Ludzie teraz ciągle się przemieszczali, jak stado ogłupiałych mrówek, szukając

schronienia, wolnego miejsca, żeby przycupnąć, przeczekać te ostatnie dni wojny.

Para gniadoszy, wesoło pobrzękując uprzężą, minęła pogrążoną w myślach Zośkę. Gdy już znikły w oddali, ona też zawróciła. Czuła już zimno. Ciepło wyniesione z przytulnej kuchni Latoszkowej gdzie się ulotniło. Okutana w wiejską chustę, narzuconą na wiosenny trencz, który kupiła na tandecie, coraz bardziej marzła. Znowu się rozkaszała. Oj niedobrze, nie czas na chorowanie.

Może niepotrzebnie wypuściła się na ten spacer, tym bardziej że było już ciemno, zapadał zmierzch i zbliżała się godzina policyjna. Ruszyła więc teraz naprawdę szybko do domu, była już blisko, gdy nagle usłyszała muzykę. W kościele ktoś grał na organach. Skusiła się, weszła do środka i usiadła w ostatniej ławce, zaraz przy wyjściu. Koncert Bacha. Toccata i Fuga d-moll. Proste. Piękne. Znowu wróciły dręczące ją pytania, na które wciąż nie знаła odpowiedzi. Zamyśliła się. Co zrobić, gdy Niemcy już sobie pójdą? Dokąd jechać? Do Krakowa czy do Mańczaków? Gdzie może pojawić się tata? Nie wiedziała. Chyba powinna być i tu, i tu. Westchnęła. Muzyka się skończyła, wybrzmiała, czas wielki wracać do izby. Do ciepła.

Podniosła się z ławki i zobaczyła schodzącą z chóru Helenkę, tak zatopioną w rozmowie z Mietkiem Angielakiem, że nawet jej, Zosi, nie zauważyła, on chyba też nie, bo wpatrywał się w Helę jak w święty obraz. Coś w nich było takiego, Zosia nie odezwała się nawet słowem, nie poruszyła. Niech sobie będą sami. Tacy.

Tacy szczęśliwi.

12 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Mimo że śnieg padał coraz gęstszy, Mania Latoszkówna szła środkiem ulicy, a za nią ciągnęła się chmara dzieciaków. Szła na przedzie całej tej gromady, niosąc na brzuchu zawieszzonego w chuście niemowlaka. Po obu stronach dreptały Henia i Luscia, co rusz łapiąc ją za ręce. Mania pomyślała, że jak będą ją tak ciągle łapać i łapać, to w końcu wywinie orła i dopiero będzie bieda. Zenek, młodszy o trzy lata, ale głupszy o sześć, jak mówiła mamusia, biegł raz z przodu, raz z tyłu z innymi chłopakami. Takiemu to dobrze, myślała Mańka, uginając się pod ciężarem Miśka, który miał już dziewięć miesięcy i swoją wagę. Popatrzyła na jego puciołowaty policzek, wystający spod chusty, i mocniej go przykryła, by zimny śnieg nie padał mu na twarzyczkę. Mamusia była jak zwykle w browarze, pracowała tam już od kilku lat. Dobrze, że majster Dziewanowski zgodził się ją przyjąć na miejsce tatki, gdy ten nie wrócił po wrześniu. Mania czasem miała nadzieję, że może jak wojna się skończy, to tata jednak wróci. Z niewoli czy robót, bez różnicy, byle tylko był. I wtedy nie będzie musiała wszędzie targać ze sobą małego, a mamusia, tak jak przed wojną, zajmie się domem i wszystkiego będzie w bród. Chleba i słoniny. Poprawiła zsuwający się z nogi chodak. Michasiek się zatelepał, ale Luscia, jak zwykle uważna, podtrzymała go czym prędzej, żeby Mańka się nie wywaliła. Zenek przeleciał znowu koło nich, szybko jak pocisk, krzycząc coś do swoich koleżków, którzy całą watahą biegli za nim, machając z wielką uciechą jakimiś szmatami.

Na wzgórzu, Gaj się po prostu nazywało, stali ludzie zagnani tu przez okopujące się niemieckie oddziały. Wszyscy, no, prawie wszyscy jędrzejowianie przyszli na te wzgórza. Mieli pomagać przy budowie zapór przeciwczołgowych, ale więcej się gapili, niż robili. Bo też nie bardzo było z czego te zapory budować. Mietek Angielak ciągnął bez większego przekonania drut kolczasty

od jednego słupa do drugiego, ale nawet Mania, która nic a nic się na tym nie znała, bo i skąd, widziała, że te słupy to tylko na słowo honoru stoją. Jak kto kopnie, to zaraz polecą i będzie po robocie. Zresztą Niemcy mieli dalej porządne schrony, już dawniej pobudowane, i obwarowania, i okopy, więc jeszcze wcale nie było wiadome, czy te ruskie dadzą im radę. Ale widać musieli mieć pietra, skoro w ostatniej chwili coś z tymi zasiekami kombinowali.

Mania stała z Michaśkiem uwieszonym na szyi i przytupywała z zimna. Wszyscy tu szli, przysła więc i ona. Ot tak, z ciekawości. Popatrzeć, czy tych bolszewików nie widać. W domu nudno było siedzieć.

Dzieciaki biegały jak szalone. Zaglądały w każdy kąt i przypatrywały się działom podtaczanym przez ludzi i żołnierzy. Zenek wodził rej wśród chłopaków. Niby szkopy szykowali się do obrony, ale coś niesporo im to szło. Nawet przestali się drzeć na ludzi, nie to, co dawniej. Spokojniejsi jacyś byli.

Henia i Lusia, dobrze już przyuczone, nie odstępowały Mani na krok, ale Zenek znowuż gdzieś zniknął i wcale go widać nie było. Rozdarła się więc i ona:

– Zenek! Zeneeeeeek!

Stojący obok Niemiec, wystraszony nagłym wrzaskiem, odwrócił się i z całej siły rąbnął Manię kolbą w plecy. Poleciała bezwładnie do przodu. Upadła w śnieg. Akurat duża pryzma była, więc zapadła się w nią cała. Tylko nogi wystawały. Plecy bolały ją niemiłosiernie, ale szybko się odwróciła, żeby Misiek się nie udusił. Małe rozryczały się w głos i skoczyły jej na ratunek. A dzieciak, jak to dzieciak, znienacka obudzony, też zaczął ryczeć.

I w tym momencie rozległ się huk. Przerażliwy. A za nim drugi i trzeci.

Rosjanie ruszyli...

Działa, zgromadzone gdzieś za rzeką, za wzgórzem albo i dalej, w ogóle jeszcze niewidoczne, waliły jak opętane. Rozpoczęła się bitwa.

Helenka, którą też zagnano do roboty, nagle, kątem oka zobaczyła Niemca uderzającego Mańkę, a zaraz potem leżącą już w śniegu, bezradnie jak chrabąszcz, dziewczynkę, płaczącą smarkule i wyjącego niemowlaka. Czym prędzej więc, korzystając z zamętu, rzuciła łopatę i podbiegła, żeby im pomóc. To ją uratowało.

Pocisk z impetem walnął w miejsce, gdzie stała jeszcze przed chwilą. Ziemia wybuchła i wszystko wokoło się zatrzęsło. Hela, odrzucona podmuchem, padła tuż obok Mani i jej sióstr. Kiedy dym, śnieg, lód opadły i przez moment zrobiło się ciszej, uniosła głowę i zobaczyła leżącego dwa kroki dalej Niemca, tego samego, który uderzył dziewczynkę. Miał urwaną nogę i ranę w brzuchu, z której biła krwawa fontanna. Białe bebechy mieszały się z krwią tryskającą na śnieg. Obok niego leżał na boku Zenek Latoszek. Dziwnie nieruchomy. Coś, sama nie wiedziała co, może jakieś przecucie, powiedziało Helce, że chłopiec nie żyje. Spojrzała na Mańkę, a ta, biała jak powłoczka, wygramoliła się z dziury i nie bacząc na wysuwającego się z chusty, ciągle płaczącego Miśka, na czworakach przypadła do brata. Wraz z nią doskoczyły dziewczynki i zaczęły go szarpać za ręce. Jedna za jedną, druga za drugą.

Chciały go podnieść. Jakby to mogło coś pomóc.

– Zenek! Co z tobą? Obudź się, słyszysz? No, wstawaj już! – krzyczały.

Mańka stanęła jak wryta, rozglądając się na wszystkie strony, jakby szukała pomocy. Ale widać było, że już wie, że brat nie żyje. Znów poprawiła Miśka w chustce i klapnęła w śnieg, chyba nogi jej się same ugięły. Klęcząc, złapała siostry. Przyciągnęła je do siebie i przytuliła, szepcząc:

– Cichajcie, cichajcie.

Oczy miała nieprzytomne, gapiła się gdzieś w przestrzeń z niedowierzaniem, jakby próbowała coś zrozumieć.

Mały nie płakał, tylko kwilił w jej chuderlawą pierś. Mania nie zwracała na niego uwagi, z całej siły tuliła do siebie siostry.

Hela podpełzła, dotknęła Zenka, sprawdziła. Nie oddychał, oczy miał szeroko otwarte, cofnęła się więc i też mocno objęła trzy dziewczynki, osłaniając je swoim ciałem. Trwały tak w bezruchu, chlipiąc, a wokół rozpętała się prawdziwa bitwa. Działa waliły niczym bębny, pociski wybuchały raz bliżej, raz dalej. Zewsząd dochodziło głucho dudnienie, nawet spod ziemi, która zdawała się dygotać. Ludzie uciekali w popłochu, padali, podnosili się. Lub nie. W powietrzu fruwały deski, kamienie, odłamki, bryły gliny i ludzkie szczątki.

A one siedziały przytulone do siebie i ciche nad trupem Zenka. Nic nie widziały. Helenka zaś nie wiedziała, co począć. Strach było tak tu tkwić i strach się ruszyć.

Nagle poczuła, że ktoś ją ciągnie do góry. Mietek. Szarpnął mocniej i postawił Helę na nogi. Nachylił się, złapał Zenka w ramiona. Chłopiec zwiślał mu bezwładnie w rękach. Helenka wyjęła z ramion Mani Miśka, przytuliła go do siebie, a wtedy mały zaczął płakać głośniej, ale nie zwracała na to uwagi, tylko krzyknęła, niepewna, czy tamte dadzą radę się ruszyć, czy jej posłuchają:

– Biegniemy, dziewczynki, biegniemy...

I ruszyły.

13 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Kamieniczki wokół rynku płonęły. Ogień przenosił się z domu na dom, szczęście w nieszczęściu, padał gęsty śnieg i trochę gasił powstające co i raz nowe pożary. Bombardowanie miasta trwało już drugą dobę. Niemcy uciekali, ostrzał był tak silny, że nawet trudno było się bronić.

W mieszkaniu Latoszkowej na stole leżał Zenek. Leżał samotnie, jakby niedbale porzucony. Ręce zwiślały mu bezwładnie, głowę miał nienaturalnie przekręconą. W kamieniczce poza nim nie było nikogo. Wszyscy mieszkańcy przycupnęli na tyłach podwórka, chroniąc się przed pociskami. Dom, jak wszystkie inne w miasteczku, był już dokładnie ostrzelany, od góry do dołu. Potrząskane szyby leżały na chodniku ukryte pod warstwą świeżego śniegu. Z tyłu posesji, tam, gdzie zaczynały się pola, w rowie, było spokojniej i względnie bezpiecznie. Budynek sam w sobie stanowił jakąś ochronę, a jeszcze wysoki drewniany płot. Marna to ochrona, ale zawsze jakaś.

Wandy Latoszkowej wciąż nie było, pewnie została w browarze, bo do domu nie mogła się przedostać.

Zosia, Hela i Irka położyły dzieci pod siebie. Podobnie ze swoim przychówkiem uczynili Angielakowie. Wszyscy leżeli bez ruchu, rządkiem, schowani za deskami parkanu i wygodką, która znajdowała się w rogu posesji.

Poprzykrywali się drzwiami zdjętymi z komórek na podwórku. Chroniły od biedy przed śniegiem i rykoszetami. Dziwnie wyglądali, ale tylko to udało się wymyślić staremu Angielakowi, gdy do izby wpadł mu pocisk i zaczął się kręcić jak bąk. Na szczęście nie wybuchł.

– Jak rąbnie w wygodkę, to będziemy mieć ciekawą śmierć... – szepnęła Irka.

I w tym momencie rąbnęło. Wychodek wyleciał w powietrze, deski fruwały niczym jaskółki, spadając lotem koszącym na ziemię. Irka dostała lekko w głowę, ale nic jej się nie stało. Ot, guz.

To, co najgorsze, chwalić Boga, do nich nie doleciało.

– Wykrakałaś! – zaśmiała się cicho Zośka.

– Ale śmierdzi! – jęknęła Irka.

– Bez wygodki będzie kiepsko – zaszeptała wtulona w nią Mania.

– Widzę, że luksusów ci się zachciewa, oj, Mańka, Mańka, zaraz będziemy miały luksus największy... – odparła szeptem Irka, strzepując pył z żakietu.

– Jaki? – zaciekawiła się dziewczynka.

– Wolność... – Irena uśmiechnęła się i podniosła z ziemi. Stała wyprostowana i patrzyła z napięciem na ulicę widoczną zza węgła.

Drogą jechały czołgi. Inne.

Ruskie.

Jechało ich takie mrowie, że jezdnia była zapchana aż po horyzont. Na czołgach siedzieli żołnierze. Mali, skośnoocy, żółci. Ubrani w jednakowe mundury, tak samo wymięte, brudne i w ogóle jakieś takie niewyględne. Siedzieli na każdym skrawku, wystawali grupkami z kabin, wisieli na lufach. Parli do przodu. Mieszkańcy kamieniczki wygrzebali się z rowu i stanęli koło Irki, gapiąc się z podziwem, ale i przerażeniem na tę zalewającą miasteczko falę maszyn i ludzi. Za czołgami podążały ciężarówki, armatki, motocykle. Co i raz przeleciał skośnooki żołnierz na niedużym koniku. Było na co popatrzeć. Ale Misiiek znów zaczął ryczeć i już był całkiem siny od tego płaczu. Helenka bujała go na rękach, śpiewała mu cichutko, wszystko na nic. Darł się, jakby go ze skóry obdzierali, niemal przekrzykując czołgi. Położyła go sobie na ramieniu, poklepywała po plecach, na próżno. Mania chciała go wziąć, ale Hela ją odsunęła.

– Pewnie głodny? Dawno jadł? – spytała.

– Oj, dawno, i tak długo wytrzymał.

– To może ja z nim do domu pójde? – zaproponowała Helka.

– Nie, no coś ty, to mój dzieciak! – zaprotestowała Mańka, jakoś bez przekonania, bo tu takie ciekawe rzeczy się działy. Wolność się działa.

Ludzie, już ośmieleni, zaczęli machać do żołnierzy, ktoś nie wiadomo skąd wyciągnął białoczerwoną flagę i powiewał nią na wszystkie strony, włącząc na dach. Po chwili tych flag pojawiło się więcej, a wśród nich, o dziwo, jedna całkiem czerwona.

Helka zatrzymała się na moment i popatrzyła na kobietę w chustce, wdrapującą się na czołg.

– Do Warszawy! Na Stępińską! – krzyczała tamta na całe gardło.

Helenka pogłaskała Manię po głowie, pociągnęła za warkoczyk i rzekła:

– Taki on twój, jak i mój. Popatrzta sobie na tę wolność, a ja tymczasem dam małemu mlika. Mamy cały garnczek. To...

– Historyczny moment – dokończyła Zośka, jakaś taka poważna i skupiona.

Mania chętnie została z sąsiadami, niepewnie pomachując nadciągającym wyzwolicielom. Tak naprawdę już nie myślała o tej wolności, tylko o Zenku i bała się wrócić do izby, do niego. Patrzyła na coraz liczniejszych ludzi na drodze i myślała, że zaraz niechybnie przyjdzie mamusia. Co też ona powie. Aż strach pomyśleć. Pewnie będzie się złościła. Nie dopilnowałam Zenka. Biedny Zenuś. Nie ma go już wśród żywych, a tu ta wolność, co jej wcale przecież już nie pamiętali. Nie doczekał, nieboże.

Gapiała się na przelewające tłumy wojska i płakała.

Ze strachu, bólu i żałości. I radości.

W izbie Helenka szybko zrąbała kilka drasek za dużą na jej drobne ręce siekierą i zapaliła w kozie. Misiek ciągle wrzeszczał, więc go rozwinęła z betów i oporządziła. Zastanawiała się, klęcząc na kapie, co też mu włożyć między nogi, bo nigdzie nie mogła wypatrzeć czegoś, co by się nadało, w końcu ściągnęła chustkę z głowy. Trudno. I zaczęła go znów zawijać, gdy w drzwiach pokazał się Mietek Angielak z Wandą Latoszkową. Z dzikim wzrokiem, rozwianymi włosami dopadła do malca i chwyciła go w objęcia.

Helka spojrzała na nią bystro i zaraz sobie pomyślała: Już wie o Zenku.

Coś było takiego w oczach Latoszkowej, że spuściła wzrok. Nie chciała patrzeć, wydawało jej się, że patrzyłaby na to, czego tamta nie chciała pokazać, że przekroczyłaby jakąś linię nieprzekraczalną. Wciąż ze spuszczoną głową, spoglądając na swoje trzewiki, szepnęła:

– Mam dla Misia mliko, chyba już się zagrzało. Zerknę...

Odwróciła się z ulgą i podeszła do piecyka. Ściągnęła garnek. I nie wiedziała, co z nim zrobić. Rozejrzała się bezradnie, a potem spojrzała na Latoszkową. Ta wyciągnęła jedną rękę, drugą przyciskając do siebie małego.

– Wezmę ze sobą, potem oddam, muszę... muszę do Zenka.

Złapała garnczek, ścisnęła mocniej dzieciaka, aż ten znów się rozryczał, i zniknęła w drzwiach.

Mietek został w progu, też jakiś taki nie tego, jakby nie wiedział, co ze sobą począć. Wyjść albo i nie wyjść. Ręce trzymał w kieszeniach i kołysał się lekko, przestępując z nogi na nogę. Włosy miał całkiem mokre od śniegu, który ciągle padał.

– Gdzie są dziewczynki? – zapytała Helenka.

– A na ulicy jeszcze. Wanda kazała im tam zostać, sama chce umyć i przygotować chłopaka. Żeby nie widziały.

– Aha... – Helenka kiwnęła głową. – Może to i lepiej, po co mają widzieć. I tak za dużo tego wszystkiego na te trzy kruszynki. A ty co?

– Ja tylko przyszedłem po chleb, chcemy im dać chleb. No, tym... ruskim.

Obtarł rękawem kapkę z nosa, zmieszał się trochę i zaczął szukać chusteczki po kieszeniach. Helenka chwilę się temu przyglądała w milczeniu i pobłażliwie, aż powiedziała w końcu:

– No to idź, Mietek, co tak stoisz? Ja też niedługo przyjdę. Tylko ździebko odpocznę. Strasznie jestem zmordowana.

– Nie dziwota, odetchnij, Helutko. Miałaś dziś ciężki dzień... – powiedział czule Mietek i zniknął, zamykając cicho drzwi.

Helenka dużo mogła. Była silna, ale teraz z tego wszystkiego słaba się zrobiła. Te kilka ostatnich dni dało jej w kość, i to tak fest. Krzysio zaginął razem z Jarzębowskiemi, mamusia i dziadus na cmentarzu, tylko cioteczna babka Franka jak zwykle żwawa, wrzeszcząca. Hela nie słuchała jej, ot, zajrzała do chałupy, zobaczyła, dowiedziała się, że i dziadek nie żyje, usłyszała pierwsze krzyki i poszła sobie. Tak zwyczajnie, z powojtkiem.

Teraz nagle złapał ją smutek, usiadła na krześle, ich jedynym krześle, i wyszeptwała:

– Mamy wolność. Wszystko się skończyło. Co mnie teraz robić? Oj, Boziu, Boziuniu...

I rozplakała się, a potem zdjęła płaszcz i położyła się na legowisku przyrzuconym pomiętą kapą. Wsunęła głowę pod brudną, ale taką swojską kapotę.

Czuła się taka zmęczona. Jak nigdy przedtem.

Wcześniej

16 STYCZNIA 1941, WOLA OSTROWSKA

Cioteczna babka Franka siedziała na lepcu. Maczała kawałki chleba w mleku i podjadała, patrząc złym okiem na zmywającą naczynia Helę. Jak to ona...

Helka tego nie widziała, ale czuła spojrzenie tamtej aż w kręgosłupie. Nie zwiastowało ono niczego dobrego.

Dziadek Szymon, siedząc obok babki na zydelku, naprawiał beczułkę, która ciut się rozchwierutała. Wbijał gwoźdźki i lekkie stukanie niczym rytm muzyczny towarzyszyło Helczynej pracy. Tarła garnki piaskiem, aż szurało. Babka życ by jej nie dała, gdyby choć drobinka sadzy została na tych garnkach, taka była zawzięta. Z alkierza za kuchnią od czasu do czasu dobiegał kaszel mamusi. Strasznie kaszłała. Nie podnosiła się już od dobrego miesiąca, a słaba była jak te wiosenne cebulki, co kiełkowały zawsze w kwietniu w ogródku.

Helka czym prędzej uwinęła się ze zmywaniem, ciągle bacznie obserwowana przez babkę, wytarła ręce w ścierkę i sięgnęła do stojącego na kafłowym piecu garnka z grzejącą się wodą. Nalała do kubka trochę wrzątku i wrzuciła kilka listków i korzonków prawoślazu, co na kaszel był dobry. Spojrzała na babkę, która właśnie do bezzębnych ust wsadziła skórkę od chleba i zaczęła ją ciumkać. Cały czas nie spuszczała oczu z Helki, jak ten Herod. Ale nic jej nie rzekła, więc Helenka, już spokojniejsza, wyszła z izby do sieni, gdzie w starej skrzynce na rupiecie miała schowany słoiczek miodu. Dostała go od niego, od Helmuta. Drewnikiem włożyła nieco złocistej masy do kubka, z trudem powstrzymując się od chęci oblizania patyka. Zakręciła wieczko, żeby nie kusilo, zamieszała całość w kubku i poszła do alkierza, gdzie matusia znów się zanosila kaszlem. Podała jej gorący napój, podtrzymując głowę.

Mama nawet i siedzieć nie miała siły. Piła łapczywie, widać spragniona była, a miód łagodził podrażnione gardło. Choć tylko na trochę.

Kiedy kubek był już zupełnie pusty, opadła na poduszkę, jakby i to picie było dla niej za wiele.

– Jak ci, mamuniu, teraz? – zapytała Hela, dotykając jej czoła. – Gorąc nieco zelżał. Chwała Bogu! – stwierdziła z uśmiechem, głaszcząc ją po sklejonych od potu włosach.

Mama podniosła na nią oczy. Były szare jak piasek na drodze i tak samo pozbawione blasku.

– Daj spokój, Helusiu. Ja już się zabieram, już mi bliżej na tamten świat, córuniu, ze mnie nic nie będzie.

– Co też matusia mówi! – obruszyła się Hela.

– Wiem, co mówię, Helka, i o tym właśnie chciałam... – Mama straciła na chwilę oddech i znów zaczęła: – Słyszysz, jak tam w kuchni Franka gada?

– No, gada – potwierdziła Hela, bo rzeczywiście słyhać było przyciszoną rozmowę, w której niekiedy wybijał się z nagła jazgotliwy skrzek babki.

– Nie po próżnicy ona gada. Słuchaj, Hela, ja już dawniej chciałam, alem taka słaba, że czekałam i czekałam, a teraz ze mnie już nic. To wiem.

– Oj tam, niech mamusia mi tu takich głupstwów nie opowiada.

– Dziecko, córeczko – powiedziała matka tak jakoś poważnie. – Przestań!
Na chwilę zapadła cisza.

A potem matka sięgnęła po jej dłoń, ścisnęła ją lekko i z naciskiem rzekła:

– Musisz stąd iść. Teraz, już, zaraz. Franka już wie.

Hela zbladła.

– Jak to? O czym mamusia mówi? – zapytała z trwogą.

– Ty wiesz, o czym ja. Już widać. I ludzie widzą i wiedzą. Ja wiem od dawna, a teraz już zaraz pewnie wszystkie będą wiedziały. Idź stąd, Heluś. Idź.

– Ale co mama... – wystękała Helenka, coraz bardziej strwożona.

– Ja cię tam nie winię. Ty jesteś dobra dziewczyna i dobre dziecko, nie żaden łajdus. – Uśmiechnęła się słabo. – Ja to wiem i inne, dobre ludzie też wiedzą. Ale nie wszyscy są dobrzy, a najgorsza ze wszystkich to babka Franka. Musisz iść.

– Mamo, co mama mówi, jak to? Gdzie? Kiedy? – Heli zrobiło się słabo.

Bała się, że z tego wszystkiego zaraz upadnie. Patrzyła na chudą, drżącą dłoń matki, na jej twarz ukrytą w cieniu, bo w alkierzu paliło się tylko niewielkie światełko pod obrazem Jezusa z gorejącym sercem. Mama wbiła w nią wzrok i nie pozwalała uciec oczyma. Wpatrywała się w córkę z takim natężeniem, z taką mocą, że Hela czuła się jak zaczarowana. A mama przyciszonym, ale twardym głosem wydawała polecenia:

– Teraz, zaraz. Ja tu słyszę, co kumy do babki gadają. Dziś była Zawieruszyna. Wiesz, co z niej za ziółko. Druga babka i plociuch, tfu. Słyszałam. Już nie możesz, Hela, tu być i ja nie mogę dłużej czekać.

Uniosła się z wysiłkiem, aż łóżko zatrzeszczało, i zaczęła grzebać pod poduszką, w końcu wygrzebała jakieś zawiniątko.

– Tu masz parę groszów, co je zebrałam i dobrze schowałam, żeby było na czarną godzinę, też obrączkę moją i pierścionek z koralem.

Helka siedziała na skraju łóżka ogłupiała, nie mogła zebrać myśli, patrzyła na spoconą, zgrzaną matkę i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Poczuła, jak matka wsuwa jej w dłoń chustkę, w którą zawinęła wszystko, co miała. Cały swój majątek.

– Mamo...

– Cicho bądź. Masz iść. Umrę spokojna. Mnie tu już nic nie pomożesz. Ulka od Janoszków będzie mnie doglądać. Wiesz, że my koleżanki, od dziecka... Po to posyłałam cię do niej wczoraj. Już jej mówiłam, coby jutro przyszła. Zadba o mnie, nic się nie martw, Helunia, nic, nic...

– Ale mamo...

– Nie! – powiedziała twardo matka. – Już ten twój brzuch coraz bardziej widać, choć płótnem się owijasz. On ci pomoże, prawda? No, ten twój...

Helka spuściła głowę i kiwnęła, patrząc na niewielki węzełek w rękach. Cały czas odsuwała od siebie myśl o tym, co jest. Sama nie wiedziała czemu, ale miała nadzieję, no jakąś durną nadzieję, że zdarzy się coś, co unieważni wszystko. I nie będzie musiała nic robić. Nic.

Próbując uchwycić w mroku spojrzenie matki, wyznała cicho, z zawstydzeniem:

– Mamo... on mnie kocha. Tak naprawdę.

Oczy jej zalśniły i łzy zaczęły kapać.

Lampka przy świętym obrazku już się dopalała, zapach się zrobił mocniejszy i wąski kręty dymek unosił się w powietrzu, płynąc niespiesznie do drzwi.

Matka, z trudem wydobywając głos z chorego gardła, szepnęła:

– Wiem, widziałam, jak tu był. Wiem, Helenko. Daj tej małej moje imię. Chciałabym...

Helka osunęła się z łóżka na kolana i przytuliła mamusine ręce do ust.

– Tak, mamciu. Dam jej na imię Krysia. Ale to chyba będzie chłopczyk, bo tak kopie. Dotknij...

Położyła dłoń mamy na swoim brzuchu i czuła, jak małe falowało, pływało, skakało. Żwawe było. Obie się uśmiechnęły.

– Pięknie to poczuć – szepnęła matka. – Niech cię Bóg ma w swojej opiece. Cieszę się, że mogłam jeszcze dotknąć dziecka, twójego... Nachyl się, córciu, niech cię pocałuję.

Poczuła na głowie muśnięcie maminych ust, a potem matusia powiedziała, stanowczo, tak po nowemu:

– Teraz już idź, zwiń w tobołek, co tam tylko masz, to wszystko, co ci dałam, dobrze schowaj i wymknij się z chałupy. Już dziś, tylko nie teraz, w nocy. Bo inaczej na śmierć cię tu zakatują podłe ludziska. Nie czekaj. Słyszysz, co mówię? Uciekaj, córuniu, uciekaj, póki czas. I nie wracaj. Nigdy nie wracaj. Ja będę tam, na wzgórzu.

Wskazała głową stronę, gdzie za ostatnimi chałupami, zaraz przy lesie, był mały wiejski cmentarzyk.

– Mamo!!! – jęknęła Hela.

– Nie becz. Tam będzie mi dobrze. Spokojnie. Idź, no, idź już, córuchno, a mnie daj odejść w spokoju do Pana Boga... Tylko ten miód jeszcze przynieś i idź. Proszę...

Teraz

13 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Coś huknęło. Helenka przysnęła, więc oszołomiona poderwała się z legowiska i oparła na łokciu. W drzwiach stał żołnierz. Mały, bury, skośnooki. W ręku trzymał karabin postawiony na sztorc.

– *Giermańcy? Tuda?*

Helenka wytrzeszczyła na niego oczy, chwilę trwało, nim zrozumiała, o co mu chodzi.

– Nie, tu nie ma żadnych Giermańców. Tu pusto. – Pokazała ręką izbę, w której poza kozą i krzesłem nie było nic. Tylko ona.

Mężczyzna omiół wzrokiem wszystko dookoła, był jakiś niewyraźny, może pijany, nie wiedziała. Zachwiał się i znów wrócił do niej wzrokiem. Chwilę na nią patrzył, ale tak, że od razu wiedziała.

A potem podszedł bliżej.

Hela chciała się zerwać, nie zdążyła, już był przy niej. Zaczęli się szarpać, ona darła się jak opętana:

– Niiiii! Niiiii! Idź, bandyto!!! Niiie!

Uderzył ją kolbą karabinu, zalała się krwią, ale nie ustępowała i dalej próbowała mu się wyrwać. Przycisnął ją do podłogi. Był silny. Rzucił karabin do przodu i uwolniwszy ręce, zaczął ją dusić. Już nie krzyczała, tylko rzeźbiła. Gdy zesłabła, szybko zsunął portki i wszedł w nią. Wtedy oprzytomniała, znów próbowała krzyczeć, ale podduszona, tylko szeptała wciąż to swoje: „Nie, nie, nie...”.

Wcześniej

19 STYCZNIA 1941, LAS

Położył karabin na ambonie i wspiął się szybko na podest. Helenka stała na dole. Dawniej, latem tu się spotykali. Zniósł z góry pled, który kiedyś zostawili.

Zarzucił jej go na plecy i podniósł drewniane wiadro, w którym, wychodząc z domu, ukryła kilka swoich rzeczy. Szli w milczeniu, w kopnym śniegu widać było ślady zajęcy, saren i dzików. I od czasu do czasu ślady ludzi. Szli już ponad godzinę. Helmut odsuwał ciężkie od śniegu gałęzie, by mogła przejść. Helenka myślała, że to trochę tak, jakby byli na grzybach. On z tym wiaderkiem. Ona obok. Dawniej czasem tak chodzili. Jesienią.

W dali las zaczynał już prześwitywać, dochodzili do pól, gdy nagle usłyszeli głosy. Ktoś za nimi szedł, odwróciła się niespokojna, ale nikogo nie było jeszcze widać. Tylko te głosy. Helmut przyspieszył kroku, ciągnąc Helę za rękę, dalej i dalej, ale to nie było wcale takie łatwe: bieg w głębokim po kolana śniegu, po nierównym gruncie. Helenka potknęła się i upadła, podniósł ją i znów zaczęli, zdyszani i zasapani, przedzierać się przez śnieg, przez las. Tam, dalej, jaśniał już zbawczy prześwit, ale i tamte głosy były też coraz bliżej. Zbyt blisko. Helka rozumiała, że to leśni. A ci leśni tutaj różni byli. I porządni, i bandyci. Zresztą z Helmutem...

Co to za różnica.

Zabiją ich, i ją, i jego, i dziecko. Najbardziej szkoda jej było dziecka, mamusia tak się cieszyła. Oni to i tak na straty.

Znów upadła. Helmut zatrzymał się, złapał ją za ramię, przytulił i powiedział:

– Hela, ja tu zostać. Ty idź, *schnell, schnell*. Jarzebowski, przyjaciele, idź. Wojtkowice. Tam, prosto.

Pocałował ją i popchnął do przodu.

– *Schnell*.

A gdy wciąż nie szła, krzyknął:

– *Raus!*

Dalej stała. No, po prostu nie mogła zrobić kroku, za nic. Odwrócił się od niej i odszedł, wyciągając z kabury pistolet. Helenka zdretniała. Chwilę jeszcze się wahała i w końcu ruszyła w stronę pól, ściskając w ręku swoje wiaderko.

Oddalali się od siebie, a głosy były coraz bliżej. Obejrzała się. Jeszcze go widziała. Zatrzymał się, spojrzął do tyłu, przez ramię, i poczuła, że musi zniknąć, inaczej nie będzie spokojny. Podbiegła tak szybko, jak mogła, do wielkiego dębu, a kiedy już tam dotarła, z ulgą przyłgnęła do chropowatego pnia.

Wyjrzała zza drzewa i zobaczyła, że Helmut odrzuca broń. Daleko, w śnieg. I podnosi rękę.

Coś tam krzyczeli, nie rozumiała nic, ani tego, co on mówił, ani tego, co oni. Nie słyszała strzałów, to dobrze, wzięli go między siebie i odeszli w las.

Stała przyklejona do pnia jeszcze kilka minut, potem odetchnęła głęboko, podwinęła kapotę

i z wiaderkiem w ręce powędrowała w stronę Wojtkowic.

Brzuch miała obolały. Dziecko bardzo kopało. Chyba miało już dość, chciało wydostać się na świat, bo nagle poczuła straszny, przesywający skurcz.

Teraz

13 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Helenka krzyknęła. Zośka usłyszała ją w chwili, gdy przechodziła koło okna. Nie było w nim dwóch szybek. Każdy mógł usłyszeć ten krzyk, ale warkot silników zagłuszał wszystko. Przyspieszyła. Coś tam się działo w izbie.

W bramie minęła wybiegających z kamieniczki dwóch żołdatów, potem zobaczyła słaniającego się Mietka Angielaka. Stał w korytarzu, opierając się o ścianę. Patrzył jak błędny, na jej widok aż jęknął, tak się wystraszył, odskoczył od ściany i powlókł się dalej, z sieni do bramy. Potracił ją i spojrzał tak jakoś dziwnie, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. I uciekł.

Zośka, przerażona, wpadła do izby z impetem, otwierając drzwi kopniakiem. Od razu zobaczyła jego. Klęczał pochylony.

Helenki nie było widać. Prawie. Tylko te nogi w trzewiakach ze sznurowadłami ze sznurka uderzające miarowo podłogę i przeciągłe jęki: „Nie, nie, nie...”. Zośka stanęła jak wryta. W pierwszej chwili nie wiedziała, co zrobić. Mężczyzna odwrócił głowę. Drgnął. Raz. I drugi.

Przy oknie stała siekiera.

Gdy ją zobaczyła, nie myślała wcale. Złapała za trzonek i uderzyła, zamachnąwszy się jak rakieta tenisową. Z całej siły.

Tak mocno, jak tylko mogła. Usłyszała trzask. Mężczyzna zaskowyczał. Jak pies.

Rzucił się. Raz czy dwa. I znieruchomiał.

Siekiera tkwiła w plecach. W poprzek.

Jak na filmach z Indianami, pomyślała Zośka i zaczęła się histerycznie śmiać.

W tym momencie na progu w otwartych drzwiach pojawiła się Irka. Najpierw tylko się zagapiła, a potem przestraszona krzyknęła i złapała się za głowę. Zośka wciąż chichotała jak stara hiena, na podłodze leżał Kałmuk z siekierą w plecach, a pod nim widać było nogi Heli.

Powoli, zbierając myśli do kupy, Irena odwróciła się i powoli zamknęła drzwi. A potem podeszła do mężczyzny, kopnęła go ostrożnie. Przesunął się ździebko. Zobaczyła otwarte oczy. Nie żył. Nachyliła się, szarpnęła i pociągnęła go do siebie. Zośka przykucnęła w kącie. Ciągle chichotała. Irka odsunęła na bok bezwładne ciało i dotknęła Heli, która też wyglądała na martwą.

Ale żyła, otworzyła oczy. Patrzyła na nią, lecz chyba jej nie widziała.

– O Boże... – jęknęła Irka, choć nie była za bardzo religijna. – O Boże, co ja mam z tym zrobić?

Z kąta dobiegał chichot Zośki.

– Zośka! Cicho bądź! – ryknęła z furią.

Ta natychmiast umilkła, zasłoniła usta ręką i patrzyła dzikim wzrokiem na żołnierza i Helenkę, która wypełzała spod zwłok, pomagając sobie łokciami. Wyglądała całkiem jak Zośka, jak obłąkana. Irka ukłękła i przytuliła ją do siebie, a tamta przelewała się przez ręce niczym szmaciana lalka. Chwilę trzymała Helę w mocnym uścisku, wtulając nos w jej ramię. Helenka

dziwnie pachniała. Ach, pomyślała Irenka, nic to, nic to, minie. Wszystko w końcu mija. Odsunęła ją od siebie, spojrzała jej w oczy i zarządziła:

– Umyj się! – Nie było czasu na ceregiele.

Hela, blada niczym duch, podniosła się, postępując cicho, i powlokła krok za krokiem do miednicy. Była przyzwyczajona, żeby słuchać. Babka Franka dała jej niezłą szkołę.

– Zabiją nas! – powiedziała Irka. – Rusczy nas zabijają, pierwszego dnia wolności, jak się nie pozbieramy. Zośka! Wstawaj. Ale już!

Tamta podniosła się posłusznie.

– Rany Julek! I co teraz będzie? Co robić? – Irka panikowała jak nigdy dotąd w czasie tej wojny. Kręciła się w kółko po izbie. Tarła twarz, jakby chciała się umyć.

Na korytarzu słychać było głosy, stukot butów. Podkutych butów. Kroki zbliżyły się. I przeszły. Zatrzeszczały schody. Irka spojrzała na okno ich izdebki. Szyby, te dwie ocalałe, były brudne jak święta ziemia, co akurat okazało się dobre, ale zostały jeszcze dwie dziury, przez które każdy mógł tu zajrzeć. Szybko zdjęła żakiet i wepchnęła go w dziurawe okno. Już. Teraz nikt nic nie zobaczy.

– Zośka, pomóż mi...

Nachyliła się nad zwłokami, chwyciła za siekierę i mocując się z nią, sapiąc, wreszcie ją wyciągnęła. Otarła pot z czoła. Zośka stała obok nieruchoma jak kukła.

Helenka myślała się powoli w miednicy. Robiła to i nie myślała. Patrzyła tylko w wodę.

Irenka podała siekierę Zośce, ta jednak nie wzięła jej do ręki, tylko wpatrzyła się w zakrwawione ostrze. Siekiera ze stukotem upadła na podłogę. Irka zaklęła pod nosem, znów się nachyliła i szybko podniosła siekierę, przez chwilę się zastanawiała i w końcu rzuciła ją w kąt. Znów rozległ się łomot. Zośka wciąż stała nieporuszona, w oczach miała paniczny strach. Wyglądała jak zaszczute zwierzę.

Irenka tymczasem nie zasypiała gruszek w popiele i dalej sprzątała. Złapała zakrwawioną kapek i nakryła nią żołnierza. I nagle w pokoju zrobiło się... normalnie.

– Co dalej? Irka, co dalej? – jęknęła Zosia, obejmując się mocno rękami. Zaczęła dygotać. – Zabiłam go. Zabiłam.

Irenka spojrzała na nią przelotnie i wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co dalej. Myślała, co teraz. Przeniosła wzrok na myjącą się w miednicy oszołomioną Helę, a potem na trupa przyzruczonego kapą. Objęła na chwilę Zochę i poklepała uspokajająco po plecach, a ponieważ nogi się pod nią ugięły, westchnęła ciężko, usiadła na krześle i wyjrzała przez okno.

Po ulicy dalej przetaczały się tłumy wojska i ludzi. Skąd ich się wzięło tyłu w sennym Jędrzejowie, nie miała pojęcia. Nie pozbęda się trupa, za cholere!

Popatrzyła jeszcze raz na Helenkę, na Zośkę i odparła z namysłem:

– Poczekamy do nocy. A potem się go wyrzuci.

– Jak? – dobiegło od strony miednicy. Helka osłabła, zachwiała się i zrobiła zielona.

Irka podbiegła do niej, wzięła ją za rękę i doprowadziła do krzesła. Podała Helence wiadro, tak na wszelki wypadek, gdyby miała rzygać.

Kiedy tamta usiadła, Irka stuknęła się w głowę. Przypadła do drzwi i przekręciła klucz. Z tego wszystkiego zapomniała zamknąć je na klucz.

– Wywalimy go stąd!

Cisza. Irka uznała, że to dobry znak. Znaczy, zgadzają się. Ale już po chwili okazało się, że jednak nie do końca. I nie wszystkie.

– Gdzie? Gdzie chcesz go wyrzucić? Na rynek? Bój się Boga, co ty wygadujesz? Toż nas

wszystkich tu zakatrupią! Wszystkich ludzi w miasteczku – zanosła się krzykiem Zośka, która wciąż nie mogła dojść do siebie, w końcu nic dziwnego.

Tak walnąć siekierą, pomyślała Irka, to niezły wyczyn. W przeciwieństwie do Zosi odzyskała zimną krew i spokojnie odpowiedziała:

– Nie, nie na rynek. I przestań wreszcie trząść się jak galareta. – Była stanowcza. – Jeśli wcześniej nikt się tu nie przyszwenda, tfu, tfu, odpukać, to go wyniesiemy w kapie. I wrzucimy do wygodki. Bez narzuty. Żeby ktoś po niej nie rozpoznał i nie zakapował.

– Tak po prostu? – zdziwiła się Zośka. – Chyba żartujesz?

– Utonie w gównie. Tam jego miejsce. – Irka nie miała wątpliwości.

– A co z nami? – zapytała Helenka, wychylając się w ich stronę razem z krzesłem.

– Z nami? – Irka zaczęła chodzić od drzwi do okna, od okna do drzwi, jakby się nad czymś mocno zastanawiała. Chociaż znała już odpowiedź. – To akurat najłatwiejsze. Jak tylko się rozjaśni, pójdziemy do Sędziszowa, tam wsiądziemy do pociągu i pojedziemy w kierunku Warszawy, a jak pociągu nie będzie, to pójdziemy. Do mnie.

Do domu. Na Mokotowską. Do Warszawy. Gdzież by indziej.

Przeminęło

12 LUTEGO 1945, WARSZAWA

Irenka Górecka może nie była piękna, ale mężczyźni uważali ją za taką. Nauczyła się więc wykorzystywać swoje wdzięki. Mało było rzeczy, których by nie zdobyła – jeśli tego właśnie chciała. Bardzo chciała.

Teraz siedziała na niezbyt wygodnej eklektycznej sofce w niedużym pokoju znajdującym się w wielkim gmazysku przy ulicy Inżynierskiej na Pradze, gdzie w tym samym budynku mieściły się wszystkie nowo utworzone urzędy. Na przykład sąsiedni gabinet był ozdobiony dumnym napisem „Ministerstwo Komunikacji”, a następny: „Ministerstwo Edukacji”. Ten pokój, zaledwie dyrektorski, nosił nazwę Departamentu Spraw Komunalnych. Było to miejsce niezwykle ważne, tu rozdysponowywano najbardziej deficytowy towar w zrujnowanym mieście – mieszkania. Irka, z papierosem podłej jakości, który trzymała niedbale dwoma palcami à la Marlena Dietrich, bezwstydnie mizdrzyła się do zaambarasowanego starszego urzędnika, który zupełnie nie wiedział, co z nią począć. Miała do dyspozycji cały arsenał sztuczek. Bardzo specjalny dzióbek, gdy się zaciągała. (Tak naprawdę tylko po to zapaliła). Przypadkowe, gładzące ruchy dłoni. Przekraczała co i raz odległość między sobą a mężczyzną. Zniżała tembr głosu, spoglądała wdzięcznie a smutno. Wzdychała z głębi piersi, może niewielkiej, za to nad podziw kształtnej. Eksponowała nogi, wszak była hojna, niech popatrzy, jej nie ubędzie. Pan się bronił, pocił, wycierał szmatką okulary w rogowych oprawkach, mówiąc:

- Pani Ireno, naprawdę, no, stawia mnie pani...
- No, nie mogę...
- Absolutnie wykluczone!

Aż w końcu – zmęczony, zwalcowany i pełen nadziei na coś więcej, nadziei, która pojawiła się nie wiadomo skąd i zabłysła niczym wiosenne słońce za oknem – uległ.

Irenka Górecka wyszła z gabinetu, trzymając w dłoni tak mężnie wywalczony przydział na pokój w swoim własnym mieszkaniu.

Plucha trwająca nieprzerwanie od kilku dni spowodowała, że w powietrzu unosił się przedziwny zapach: mokrych murów i spalenizny przemieszanej z trupim odorem. Zwłoki, płytko zakopane, znajdowały się niemal na każdym skrawku ziemi tego miasta – wszak zginęło dwieście tysięcy ludzi. Wcześniej przykryte warstwą śniegu, zmrożone, teraz powoli zaczynały się rozkładać. Z zakamarków ruin, piwnic, studzienek kanalizacyjnych i normalnych studni na podwórkach i skwerach unosił się wstrętny zapach, odór, którego z niczym innym nie można było pomylić, który nie dawał się usunąć. Nie dalej jak wczoraj Irka wdepnęła trzewikiem w mogiłę, noga zapadła się po kostkę. Wyciągnęła stopę, chwilę rozważała, czy nie iść boso, ale że miała tylko jedną parę butów, więc tupnęła, rozejrzała się za czymś, czym można by je jakoś wytrzeć, a ponieważ nic takiego dookoła nie było, machnęła więc tylko ręką i ruszyła dalej.

No cóż, jestem przyzwyczajona, pomyślała filozoficznie, choć nie bez pewnej, całkiem sporej,

dozy obrzydzenia.

Winda, rzecz jasna, była nieczynna, nie włączyli jeszcze prądu. Już niedługo, pocieszała się w duchu, wchodząc na swoje drugie piętro. Dobrze, że nie na piąte. Otworzyła drzwi do mieszkania i od razu zaatakował ją zapach, co prawda inny niż na ulicy, niemniej jednak przykry i dokuczliwy, boć to przecież było jej śliczne przytulne mieszkanie. A teraz prawie, prawie utracone. Sprowadzone do roli kołchozu. Zapuszczone, zniszczone, prześmiardłe, i co gorsza, odebrane jej tak bezdusznie, zaludnione w sposób niewyobrażalny.

Zaraz przy drzwiach wejściowych zalegał wielki toból pełen brudnych łachów. Pewnie też gnijących od kilku dni, sądząc po słodkawym fetorku, który go spowijał. Irenka wpadła na ten paskudny toból, kopnęła go z pogardą i poszła dalej. Klamoty, jak można się było domyślać, należały do Kachy, która ze swoim kochankiem, Wojtkiem, zagnieździła się w dawnej służbówce. Skąd się ta Kacha wzięła, nikt nie wiedział, ot, pewnego dnia zastukała do drzwi, otworzyła jej Helka, jak wiadomo gapowata, a tamta, nie pytając i nie mówiąc ani słowa, wparowała do mieszkania jak do swego, co powinno dać Heli do myślenia; najpierw weszła do stołowego, ale że mieszkało tam już małżeństwo (czy też nie małżeństwo – Irka miała swoje podejrzenia) Zalewskich, to Kacha zobaczyła ich jedzących akurat obiad, po bożemu, przy stole, więc cofnęła się szybko, nawet nie przeprasząc, i chciała wejść do następnego pokoju, gdzie rezydował taki jeden młody z nakazem, ale tu dla odmiany drzwi były zamknięte na klucz, rada nie rada pocałowała więc klamkę i wzięła na cel następne pomieszczenie, które było kiedyś sypialnią, ze ślicznym Axentowiczem na ścianie. Axentowicz rozpułynał się w powietrzu w czasie powstania czy może jeszcze później, a w pustawym pokoju gnieździły się we dwie, z Helenką.

Gdy Kacha Węglikówna zaatakowała, przy kulawym ludwikowskim stoliczku przysuniętym do okna, żeby było widniej, uczyła się Zośka z Alinką, smarkulą, co ją dozorcostwo Franiowie przygarnęli z dobrego serca, ot, sierota wojenna. Zośka pomagała jej w nauce, więc gdy Kacha zobaczyła, że i ten pokój także jest już zajęty, zatrzasnęła ze złością drzwi, aż echo poszło, i wtarabaniła się, jak jaka pani, do kuchni – tak opowiadała Helenka, podskakująca koło niej jak mały poszczekujący piesek, który tym głośniejsze ujada, im bardziej się boi.

Wykrzykiwała tyleż na próżno, ile rozpaczliwie:

– Co też pani! Co też pani robi... paniusiu? Tak nie wolno! To mieszkanie Irenki! – Krzyknęła jeszcze dobitniej: – Irenki! Ogłuchła panusia czy co? Góreckiej. Tej tancerki!

– Taaaak?

Kaśka nie była z tych, co łatwo dają się zastraszyć, szczególnie jakiemuś pinczerkowi, szczególnie na smyczy jakiejś Góreckiej, tancerki, więc nie zważając na te Helczyne poszczekiwania, stanęła na progu kuchni i już miała rzucić swoje toboły i rozgościć się tu na dobre, gdy jej uwagę przykuły drzwi do służbówki, w której sypiała Zośka. Podeszła, otworzyła, zobaczyła prawie pusty pokój z łóżkiem i szafą, uśmiechnęła się pod wąsem – a wąsik miała prawie muszkieterski – i zdecydowała, że tu zostaje. Mężczyzna, jak się później okazało, niejaki Wojciech Głaza, jej, no, gach, grzecznie tuptając, wmaszerował za nią do pokoiku wielkości trumny i postawiwszy dwie walizki, które targał w mocarnych łapskach, zwałił z ramion ogromniasty plecak.

– Ale cudny pokoik! Taż Kasiu znalazłaś! – jęknął z zachwytem.

– Tak, tutaj teraz będziemy mieszkać – zakomunikowała swojemu kochasiowi i wszystkim osłupiałym domownikom, którzy szli za obojgiem, przyglądając się, co ta dziwna para wyrabia

w mieszkaniu. Żeby już nikt nie miał żadnych wątpliwości, o co chodzi.

A potem kazała Głazie wywalić do kuchni rzeczy Zośki, co ten uczynił w minutę, bo rzeczywiście dużo tego nie było.

Zocha i Zalewscy ze stołowego zaczęli protestować, ale nic się nie dało zrobić. Klamka zapadła, siła wyższa. Kacha z Głazą mieli przydział na jeden pokój w mieszkaniu. Jej mieszkaniu. Irka uważała, że gdyby ona była wtedy w domu, za nic w świecie nie dopuściłaby do załężnięcia się tam Kaśki z gachem. Ale cóż, ktoś musiał pracować. Padło na nią.

Teraz przezornie załatwiła sobie nakaz na własną sypialnię (już, niestety, bez Axentowicza), więc mieszkały legalnie. Wszystkie trzy. W jednym pokoju w jej własnym mieszkaniu.

20 LUTEGO 1945, WARSZAWA

Westybul zaścielały, jak okiem sięgnąć, książki i papiery. Drzwi, wyważone, wisały na słowo honoru.

Wybite szyby przypominały mozaiki. Zosia zrobiła krok do przodu i poślizgnęła się na ludzkich odchodach. Rozejrzała się po podłodze, było tych kup tutaj, oj, było. Bez liku. Podobnie jak książek. Zdeptane, sponiewierane, brudne leżały grubą warstwą na całej podłodze, wymieszane z pyłem, gruzem i ekskrementami. Dalej, na schodach, szerokich i wygodnych, rzuciły jej się w oczy stojące tam równym rzędkiem nosze z ludzkimi szczątkami. Ostrożnie, by znowu nie wdepnąć w jakąś minę, podeszła bliżej. Spojrzała.

Skamieniały trup z wyszczerzonymi zębami miał na głowie niemiecką wojskową czapkę. A na szyi? Popatrzyła uważniej. Frywolnie zawiązana jedwabna apaszka w kolorze wścieklej zieleni. Zosi rozszerzyły się oczy ze zdumienia.

– To żołnierze z DMVB, batalionu kryminalistów. Stacjonowali tu w czasie powstania – wyjaśnił mężczyzna, który wynurzył się z bocznego korytarza.

– A te... chustki? – zapytała, przyglądając się kolejnym trupom ozdobionym skrawkami jedwabnych tkanin w ostrych kolorach.

– Pewnie gdzieś ukradzione, nosili je, by się odróżnić. Albo zadawać szyku. Jeszcze ich nie zabrano, niestety, ale cóż, gospodarujemy tu zaledwie od kilku dni. To była straszna swołocz to DMVB – westchnął starszy pan.

– Jeśli tak, to na pohybel – powiedziała twardo Zosia. – Niech gniją.

– Ale nie tu. Nie tu, na miłość boską! – zaoponował.

– Oczywiście, nie tu.

Przyjrzała mu się uważnie. Był dość wysoki, miał siwe skronie i ładne, leciutko krzaczaste brwi. Ponad czterdzieści lat i błysk poczucia humoru w oczach. Spodobał się Zosi. Ona chyba mu też, bo ukłonił jej się z żartobliwą powagą:

– Jaromir Chodakowski, przed wojną byłem dyrektorem tego miejsca.

– Biblioteki uniwersyteckiej? O! Zofia Szafirówna, dawniej. Obecnie Nowak. Studiowałam architekturę. Przed wojną oczywiście. We Lwowie.

– A czemu zawdzięczamy pani wizytę? Tak po prostu pani tu do nas wpadła? Z ciekawości?

– Ależ skąd! – Zosia uśmiechnęła się, spuściła wzrok i wygładziła płaszcz. – Wczoraj spotkałam znajomego, pana Antoniego Tobolskiego, może pan wie, kto to?

Chodakowski pokręcił głową, więc mówiła dalej:

– Dyrektor od spraw kadrowych w nowym rządzie. Szukałam pracy, a on zaprosił mnie do swojego biura, dał mi papiery i skierowanie tutaj. W czasie studiów pracowałam trochę w bibliotece, więc pewne pojęcie mam.

Zośka pstryknęła zamkiem swojej wypchanej do granic możliwości torebki i zaczęła w niej pospiesznie grzebać. Po chwili znalazła świstek wystawiony na Pradze przez Tobolskiego. Przydział do pracy w bibliotece uniwersyteckiej.

Jej rozmówca rzucił okiem na papier, schował go do kieszeni wyświechtanego płaszcza i rzekł:

– Witamy w naszym gronie. Od tej chwili jest pani jedyną formalnie zatrudnioną tu osobą. My mamy nieuregulowany status, ot, pospolite ruszenie. – Zaśmiał się, trochę z siebie, trochę do siebie.

– Panowie tak, bez nakazu? – zdziwiła się całkiem szczerze Zosia. – Ile osób tu pracuje?

– Tak, bez nakazu. A ściśle mówiąc, nakaz ma tylko profesor Migoń. Sami sobie nakazaliśmy pilnowanie tego miejsca przed naszymi przyjaciółmi. W sumie jest nas trzech: ja, profesor Migoń, i najważniejsza persona, przedwojenny woźny, Stasiu Kujawiak.

– A przyjaciele to... Rozumiem, chodzi panu... o tych żołnierzy, na dworze?

Idąc do budynku, minęła grupę Sowietów. Coś za nią pokrzykiwali, pogwizdywali i ogólnie sprawiali wesołe wrażenie. Niemniej Zosię przeszedł dreszcz strachu, gdy przechodziła tuż obok nich.

– Tak, właśnie... – Jaromir Chodakowski skrzywił się nieznacznie. – Proszę się rozgościć, a ja tymczasem muszę coś sprawdzić. Zdaje się, że ktoś wszedł bocznym wejściem, słyszę szuranie w pokoju na lewo...

Zniknął za drzwiami, skąd już po chwili do jej uszu dotarły jakieś głosy. Zośka przysunęła się bliżej drzwi, a w końcu wyjrzała przez nie zaciekawiona. Na środku niewielkiego pomieszczenia stało dwóch czerwonoarmistów, wyższy z tej dwójki wymachiwał naganem tuż przed nosem jej nowego znajomego. Zośka zdrętwiała. Żołnierz wykrzykiwał:

– A ty kto jesteś, żeby nas pouczać? A dokumenty masz, coooo? Nie masz? Czyli dywersant. Zakradłeś się do biblioteki, żeby ją podpalić!

– Ależ, panowie...

– Jacy panowie? Już nie ma panów, my towarzysze. Ja lejtnant i ja ciebie ubiju, boś ty dywersant! Sprawa krótka...

Jego kompan, ledwo, ledwo trzymający się na nogach, próbował interweniować:

– No coś ty, Kola! Dajże pokój, aleś się, brateńku, rozegrał. Chwatit.

Odsunął od nosa Chodakowskiego nagan, wystąpił na pierwszy plan i zaczął wyjaśniać dokładnie, w czym dieło:

– Towariszcz! Nam nużnyj papier, taki cieniutki, machorka u nas jest. O, smatri! – Sięgnął po niewielką dziewiętnastowieczną książeczkę, zsuwającą się z wielkiego stosu woluminów pod ścianą.

– O! Ta budiet charoszaja! – ucieszył się żołdat.

Jaromir Chodakowski bez słowa wyjął mu z ręki książkę i otworzył, by zerknąć na tytuł.

Żołnierz nie przestawał mówić:

– Wy nam tylko pożyczycie etu kniżku, a my oddamy. Jak będziemy wracać z Berlina... – Uśmiechnął się cwaniakowato całą gębą, w której straszło kilka czarnych pienuszków. Resztę zębów pewnie zjadł na wojnie.

Chodakowski westchnął i oddał mu tomik. Czerwonoarmiejec zaszalutował z fantazją i zaczął się gramolić przez otwarte okno na zewnątrz. Kola, wciąż zerkając wrogo na bezczelnego

inteligenta, schował jednak nagan do kabury i niechętnie podążył za swoim towarzyszem. Berlin czekał. Obaj wyszli przez stłuczone parterowe okno i zniknęli. Zośka nieśmiało wsunęła się do pokoju.

Chodakowski spojrzął na nią z uśmiechem.

– Wyczują papier na kilometr. I jacy, psiakrew, koneserzy, tylko cienki ich interesuje. Włazą tu wszystkimi dziurami. Jak szczury. Nigdy głównymi drzwiami. Kradną na potęgę stare książki, barbarzyńcy.

– Co wzięli?

– Jakiś romans dziewiętnastowieczny, Quidy. Niech im. Tylko znów będziemy musieli wiązać drut, a to niezbyt przyjemne zajęcie. Zerwali kompletnie. Huny jedne.

Co prawda, to prawda. Z futryny zwiisał smętnawo a złowieszczo kawałek drutu kolczastego, który zabezpieczał okno.

– Znowu tu byli?

Do pokoju zajrzał drobny starszy mężczyzna okutany w coś w rodzaju szynela za dużego o dwa rozmiary. Na wierzch miał narzuconą damską chustę, pełniącą funkcję szalika. Zosia popatrzyła skonfundowana na okrywające jego dłonie koronkowe mitenki. Wystawały z nich czerwone, odmrożone palce.

– Panno Zofio, profesor Migoń, o którym wspominałem – przedstawił przybyłego Jaromir Chodakowski. – Panna Zofia Szafirówna, to znaczy Nowak, nasza nowa pomoc biblioteczna.

Zosia grzecznie dygnęła.

– Miło mi i naprawdę się cieszę, że trafiłam do tak interesującego miejsca. To... co mam robić?

Profesor ukłonił się z rewerencją, uśmiechnął odrobinę nieśmiało i wycofał do zimnego holu z żelaznymi kratownicami na suficie.

Chodakowski zaśmiał się głośno:

– Profesor jest tytanem pracy. To się udziela, panno Zofio. Będzie pani, mam nadzieję, robić to samo co my. Pełzać na kolanach po podłodze holu i wszystkich przyległych pomieszczeń, wygrzebując książki z tego bordello i guana. Da pani radę?

Zosia nie przestraszyła się wcale. Mogli oni, może i ona. Nareszcie jakaś porządna robota. Sensowna.

20 LUTEGO 1945, WARSZAWA

– Pod tramwajem leży szkielet – powiedział lekko zniesmaczony mężczyzna z angielskim wąsikiem.

Irka, okręcona w koc, wychyliła się z drzwi wagonu, podając herbatę klientce z wózkiem dziecięcym pełnym jakichś fantów, zapewne wyszabrowanych.

Gdy herbata bezpiecznie wylądowała w rękach kobiety, zapytała:

– Gdzie?

– Pod tramwajem.

Zainkasowała należność i wyskoczyła na kawałek chodnika, przy którym sprytnie ustawiła swoją kawiarenkę. Nachyliła się, spojrzała pod wagon – i rzeczywiście, widać tam było fragment czaszki i kawałek ręki. Tramwaj uszkodził kolejne zwłoki.

- No tak, ma pan rację, jest trup, ale czy ja mu robię coś złego?
- Wie pani, higiena...
- Jutro go zgłoszę, ale dziś wybaczy pan, zapomnijmy.

Wskoczyła z powrotem do środka i zapytała:

- Pan życzy?
- A dziękuję, przyjdę pojutrze. Jak już denata nie będzie.
- To może być denatka... – zastanowiła się przez moment Irka.
- A, w zasadzie to mało ważne.

Do wagonu podeszła kobieta z dwojgiem dzieci, uczepionych jej rąk.

- Poproszę herbatę. Jest cukier?
- Niestety, ale jutro będzie chleb.
- Cieszę się...

Cała trójka weszła do tramwaju i usiadła na ławeczkach.

Irka szybko załała esencję gorącą wodą z prymusa i postawiła imbryk na desce umocowanej na dwóch oparciach ławek. W wagonie było trochę cieplej niż na zewnątrz, jednak nie oszukujmy się, nie było to miejsce szczególnie miłe ani przytulne, ale pozwalało chwilę odetchnąć, klienci mogli przynajmniej usiąść i rozgrzać się naparem udającym herbatę.

Gdy kilka dni po przybyciu do Warszawy zobaczyła ten wywrócony tramwaj, od razu pomyślała, że można z niego zrobić dobry użytek. Skrzyknęła paru chłopków, zapłaciła im za postawienie pojazdu i następnego dnia z samego rana otworzyła Café Irena – o czym informował szyld wykonany przez Frania na desce znalezionej w gruzach.

Kobieta wypiła łyk czy dwa, resztę rozdzieliła pomiędzy zakutane we wszelkiego rodzaju szmaty dzieciaki. Piły spokojnie i powoli, z dystynkcją podając sobie wzajemnie metalowy kubeczek. Z godnością.

Siedząc na ławeczce, Irenka obserwowała tę dwójkę i myślała, że to chyba niemożliwe – takie spokojne dzieci.

A potem przypomniała sobie piwnice, w których ukrywała się w czasie powstania, i doszła do wniosku, że te dzieci, po wojennej zaprawie, piekielnie ciężkiej nawet dla starszych, są po prostu inne niż tamte przedwojenne, co to mogły wszystko i wszędzie. Przynajmniej te, które znała. Przypomniała sobie Tadzia i Władzia i od razu posmutniała.

Przed tramwajem pojawił się jeszcze jeden klient.

- Czym mogę służyć? O! Pan pułkownik! – zawołała.

Stał przed nią pułkownik Morawiecki. Posiwiwały, postarzały, ale natychmiast go rozpoznała.

Rzecz jasna, był w cywilu.

Zmieszał się lekko.

– Panno Irenko... – powiedział, rozglądając się dyskretnie – jakże się cieszę. Naprawdę miło panią widzieć. Żywą i w dobrym zdrowiu.

– Już podaję szanownemu panu herbatę. Chwila cierpliwości... – Irka znów podkręciła palnik i powtórzyła całą operację parzenia napoju.

Matka podniosła się powoli, postawiła na stopniu wagonu pusty kubek i odeszła, zagadując do dzieci, grzecznie idących koło niej.

Irka podała herbatę pułkownikowi, wzięła ze stopnia brudne naczynia po poprzednich klientach i włożyła do miski z wodą, a potem przysiadła obok Morawieckiego. Znała go jeszcze z trzydziestego dziewiątego roku. Potem, już w czterdziestym, gdy przekroczyła zieloną granicę i znalazła się na Węgrzech, stracili ze sobą kontakt. Nie sądziła, że udało mu się przeżyć, już

wówczas był dowódcą Związku Walki Zbrojnej, poprzednika AK.

A tu taka niespodzianka – pułkownik cały i zdrowy w Warszawie.

– Proszę, gotowe. – Podała mu kubek z herbatą. – Przepraszam za tego pułkownika. Już nigdy...

– Tak będzie lepiej. Na wszelki wypadek proszę mnie też nie rozpoznawać, gdybyśmy się spotkali następnym razem. Chyba że sam się odezwę.

– Tak jest! – Irka uśmiechnęła się szeroko i rozejrzawszy się wokół, zasalutowała. – Czy może wie pan coś...

– Są w Londynie. Oboje.

– Dziękuję.

Pytała o wspólnych przedwojennych znajomych, profesora Rosenblatta i jego przyjaciółkę hrabinę Łeską. Kamień spadł jej z serca, że przeżyli. Pułkownik Morawiecki nie wyglądał najlepiej. Twarz miał żółtą, jakby chorował na żółtaczkę. Irka spojrzała mu w oczy. Też żółte.

– Nie chcę się wtrącać, ale chyba ma pan... żółtaczkę.

– Uszkodzili mi wątrobę.

– Niemcy?

– Tak. Ci teraz, wie pani, którzy urzędują w Lublinie, pewnie też mieliby na to wielką ochotę... – Morawiecki spochmurniał, zaraz jednak się otrząsnął, twarz mu pojaśniała. – A co pani robi, panno Irenko? – spytał. – Ten wagon, ta kawiarenka? Interes?

– Coś w tym guście. – Irenka uśmiechnęła się skromnie. – Trafił mi się duży transport erzacu herbaty, skąd, proszę nawet nie pytać. Zainwestowałam i jestem burżujką w tych niesprzyjających czasach. Mam herbaciarnię w centrum miasta, w końcu z czegoś trzeba żyć, prawda?

Zaśmiała się nieco sztucznie. Robiła, co musiała. Jak zwykle.

Morawiecki spojrzał na zrujnowany kościół Świętego Aleksandra, na Instytut Głuchoniemych zburzony prawie doszczętnie.

– Na tych gruzach niełatwo się żyje. Kraków ocalał. Dzięki Bogu.

– Wiem. Bolszewicy go oszczędzili. Warszawę skazali na zagładę. Ale zapomnijmy.

– Zapomnijmy. Ale ten tramwaj? – spytał, patrząc z podziwem na Irkę. – Jak udało się pani zdobyć tramwaj?!

– A takich dwóch wykopało go spod gruzów na Hożej. W czasie powstania służył jako barykada. Nabyłam go od nich za całkiem przystępną cenę. Mieli też konia, więc mi tu przywlekli tę... – westchnęła – powstańczą barykadę.

– To rzeczywiście burżujka z pani. Proszę uważać, to nie będą dobre czasy dla prywatnej przedsiębiorczości.

– Domyślam się. Dlatego szukam posady. Nie zamierzam podawać herbaty do końca życia. Ale wie pan, tak się składa, że jakoś nie ma nic ciekawego dla tancerek po przejściach. A między nami, w ogóle nie ma pracy.

Morawiecki spojrzał na nią przeciągle, jakby nagle coś sobie uprzytomnił.

– Pani miała, jeśli dobrze pamiętam, prawo jazdy.

– Tak, no, nie do końca. Nie mam papierów. Ale umiem prowadzić wóz.

– Spotkałem znajomego, parę dni temu, szukał kogoś sprytnego do pomocy. Z prawem jazdy.

– To żaden kłopot. Mogę mieć prawo jazdy, kiedy zechcę, zdam każdy egzamin, jeśli mi nie uwierzą na słowo. A na autach się znam. Lepiej niż niejeden mężczyzna. A co to za robota? Legalna?

– Mniej więcej. Jak to dziś wszystko. – Uśmiechnął się i pogrzebał w teczce, szukając papieru i ołówka. – Zaraz pani zapiszę, gdzie się zgłosić.

Odstawił kubek na ławeczkę i naskrobał coś na pomiętej kartce, którą wyciągnął z otchłani teczki.

– Proszę pójść pod ten adres i powiedzieć, że pani od Jasielskiego. Józefa. Ten gość zna mnie pod tym nazwiskiem.

– A wie pan może coś więcej? Kto to taki i czym się zajmuje?

– Romek Jachaczy. Kręci się, jak to teraz mówią... Szczegółów nie znam, ale to przyzwoity facet. Ręczę za niego.

– Świetnie, w takim razie spróbuję się z nim spotkać. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Muszę już iść. Jutro wyjeżdżam, więc do zobaczenia, może kiedyś, a może nie. Będę próbował dotrzeć do naszych wspólnych przyjaciół. Po Jałcie nie mam tu już czego szukać. Słyszała pani?

– Tak, wiem. Istotnie, robi się nieciekawie. Te nowe granice... Jak sobie pomyślę o Lwowie, zaraz chce mi się beczeć. Ech, panie pułkowniku, szkoda mówić. Życzę powodzenia!

Pożegnali się niezręcznie, on nachylił się do jej dłoni. Wyglądał dwadzieścia lat starzej niż jeszcze pięć lat temu. Irka się zasępiła.

Biedny pan pułkownik...

Nie było żadnych klientów, więc długo patrzyła na znikającą w Alejach Ujazdowskich pochyloną sylwetkę.

22 LUTEGO 1945, WARSZAWA

Helenka biegła co tchu w piersiach. Wpadła w gruzy, potknęła się, prawie przyklęła, jednak szybko się podniosła i pognąła dalej. Była w labiryncie poburzonych kamienic. Coś mignęło na stosie gruzów po lewej, więc popędziła w tamtą stronę i po chwili zobaczyła go za stertą kamieni. Uspokoiła oddech, przystanęła i zaczęła powoli, ostrożnie się skradać. Gdy była tuż-tuż, zawołała: – Kici, kici – i wysunęła rękę z kawałkiem słoniny, akurat udało jej się kupić kilka plasterków od baby na bazarku.

Miała szczęście, najpierw ta słonina, a w dodatku przed chwilą zobaczyła, jak przemykał między rumowiskami. Rudy kot. Nie zastanawiając się ani sekundy, pomknęła w ślad za nim, za tym rudym ogonem, który migał jej przed oczami raz tu, raz tam. Był bezcenny. Nachyliła się i najczulszym, najbardziej przyjaznym głosikiem znów zawołała, nie za głośno jednak, by, broń Boże, nie spłoszyć uciekiniera:

– Kici, kici, kici...

Ogon ani drgnął. Przynajmniej tyle. Mógł przecież od razu zwać. Znów się przybliżyła. Krok, potem jeszcze jeden i jeszcze... Zaszała go od przodu i delikatnie podrzuciła kawałek słoninki. Ogon zamajtał nerwowo. Kocur najwyraźniej nie mógł się zdecydować.

– Kiciusiu, kiciuniu, nie bój się... – zaszepotała śpiwnie.

Stała już trzy metry od niego. Patrzyli sobie w oczy. Był chudy i kostropaty, a jaki miał być? Przeżył i ocalał. Poczul tłuszczyk, odwrócił od niej wzrok i zaczął łypać na słoninę. Ostrożnie, prawie szorując brzuchem po ziemi, żeby w razie czego dać drapaką, w końcu jednak przysunął się i patrząc spode łba to na nią, to na słoninę, zagłębił w przysmaku zęby. A kiedy już się

wgryzł w ten smakołyk, z miejsca zapomniał o Heli i szarpał zaciekle swą zdobycz, całkowicie na tym skupiony, a Helenka powoli, bardzo powoli zsunęła z głowy i ramion wielką czarną chustę, którą była opatulona, i prawie nie oddychając, zbliżyła się jeszcze o krok. Położyła u swoich stóp kolejny plasterk słoniny. Kot zdążył już spałaszować pierwszy, oblizał się różowym językiem i przysunął do następnego. Musiał być strasznie głodny. Błyskawicznie opuściła na niego chustę – i już był jej. Darł się jak wściekły, szarpał, ona jednak, nie bacząc na te kocie fochy, przytuliła go do siebie, splątała niczym prosię grubą tkaniną i już ani drgnął. Niosła kota do domu, szepcząc mu same miłe słówka. Oblaskawiała go powolutku.

– Kiciputku, nie szalej, zobaczysz, będzie ci dobrze. Będziesz miał mleczko, a czasem kawałek mięska. No już, spokojnie, spokojnie.

Miała nadzieję, że to zwykły domowy kot, tylko zdziczały.

Do Mokotowskiej nie było daleko, przebiegła przez częściowo zrujnowany plac Zbawiciela, potem jeszcze kilkanaście metrów przez gruzy chrzęszczące pod nogami i weszła na klatkę schodową. Dozorca Franio, jak tylko ją zobaczył, otworzył szeroko drzwi wejściowe.

– Panna Hela tak szybko z powrotem? A co tam się tak wierci? – zakrzyknął, bo kot, przytulony i ściśnięty, na dźwięk ludzkiego głosu znów zaczął się wrywać i drapać pazurami przez chustę.

– Kotam znalazła, panie Franciszku! – zawołała dumna z siebie Hela.

– I złapała go panna, a to ci dopiero historia! – Franio pokręcił głową z niedowierzaniem, a jeszcze bardziej z podziwem. – No, no, a ja już drugi tydzień czaję się na takiego jednego dachowca na Jaworzyńskiej, com go tam widział.

– Akurat miałam słoninę, to się pokusił, a ja go wtedy łaps! Rudasku! Cichaj ty... – zagadała do kocura, który znów zaczął miauczeć, jak nie przymierzając zacinająca się hitlerowska szczekaczka⁷.

– Szczury pójda sobie precz – ucieszył się pan Franio. – Toż to prawdziwy skarb dla całej kamienicy.

– Oj, tak. Wczoraj na ten przykład taaaakie wielgachne szczurzysko wyskoczyło z klozetu i jak się nie puści na pokoje. Do kuchni wpadł. Zośka akurat coś tam warzyła i jak tylko go obaczyła, ani myśląc, wskoczyła na stół, a to bydle wraz z nią. Ale się zestrachała, no mówię panu, panie Franciszku, żeby pan to widział...

– No i co? Pogryzł dziewczynę?

– Nie, chwalić Boga. Wojtek Głaza wyskoczył ze służbówki, za nim Kaśka z kijem od szczotki i we dwoje szczurzysko pogonili. Ale gdzieś zapadł w mieszkaniu, więc wszyscy jak na szpilkach siedzieliśmy, aż doktor Zalewski wychodził do szpitala, sięgnął po płaszcz na wieszak, a tu masz, z rękawa szczur wylatuje.

– No i co? – zaciekał się Franciszek.

– At, tą razą oba się rzuciły za nim z Głazą i tasakiem go zrębali. Ale Irka się złościła, bo ślad na parkiecie został.

– Skaranie boskie z tymi szczurami, już większe od kotów są. Tak się cholery upasły. Nawet nie chcę mówić, na czym... – Wzniósł oczy do nieba.

– Ano... – Helenka wspinała się powoli po schodach, ściskając zdobycz w chustce. – Już my będziemy o niego dbały, to żaden szczur nie przyjdzie. Do widzenia, panie Franiu.

– A, do widzenia pannie Heli. Może i ja zaraz się przejdę na te Jaworzyńską. Pasowałby mi taki kot. Byłe łowny był, nie tylko do miski, do mlika znaczy... – Uśmiechnął się

porozumiewawczo. – Alinka tych szczurów okrutnie się boi, a dziewczuszyna tyle już przeszła.

Helenka szła do mieszkania, myśląc, jak to się plecie: Franio, taki duży i niezgrabny, miał serce miękkie jak wosk. A jego drobna żona, też dobra kobita, nie można powiedzieć, była jednak twarda jak skała. To ona wynosiła na podwórko kurę, żeby jej łeb odrąbać, bo mężowi, jak mówiła, słabo się robiło. A ta sierotka Alinka była do niego przyklejona niczym huba do dębu. Miała jedenaście lat i nikogo na całym bożym świecie. Helenka widziała w jej oczach to zastrachanie, które kiedyś było i jej udziałem. Nie mijало wcale, pomimo troskliwej opieki Frania, a także Franiowej, bo choć to krewka kobieta, ale o złotym sercu. Hela też nie miała rodziny, w zasadzie. Ale miała za to Zosię. I Irkę. Czuła się pewniej. Jak chyba nigdy. Mimo całej tej wojny za plecami, tego, co się przetoczyło, jeszcze nigdy w życiu nie była tak spokojna. Nikt na nią nie krzychał, nie pomstował, niczego nie żądał. I kijem nie okładał... Miała wrażenie, że rośnie. Mocniej. Powoli, ale ciągle. Jeszcze nie była gotowa. Już niedługo będzie. Wiedziała to, na pewno.

W mieszkaniu panowała cisza. Helenka poszła do kuchni. Nikogo nie było. Każdy już coś tam robił. Zocha pracowała w tej bibliotece, Zalewski w szpitalu, lekarzem był, a Zalewska pielęgniarką. Irka kawiarnię sobie otworzyła. Kaśka z gachem handlowali, czym się dało, i codziennie albo szli sprzedawać, albo ruiny przegrzebywali, żeby znaleźć jakiś amatorski towar.

Tylko ona jakoś tak ciągle bała się wychodzić za próg i więcej w domu była, niż pracy szukała. Choć powinna. Odpoczywaj, tak jej mówiła Irka. Poukładaj się, dodawała Zocha. Więc Hela siedziała w domu, sprzątała, gotowała obiady i była sama w tym wielkim, dziwnym mieszkaniu. Podobało jej się tu wszystko. I łazienka, i ubikacja. Prawdziwe luksusy miała ta Irenka, a teraz i ona, Hela, z wioski zabitej dechami, mogła ich pokosztować, chociaż nie było jeszcze ani wody, ani światła.

W ciszy sobie siedziała, na drutach dziergała. Na ogół sama, tylko czasem był jeszcze ten dziwny młody panicz z gabinetu, co to nie wiadomo skąd się wziął i co robił. Ciężkim w pokoju siedział i nawet sam sobie gotował na prymusie albo znikał na parę dni. Do nikogo się nie odzywał i wilkiem mu z oczu patrzyło. Zośka mówiła, że tym lokatorem lepiej się nie interesować. Nakaz miał, a kim był? Bóg jeden raczy wiedzieć. Nosił wysokie buty z cholewami jak jaki oficer, miał też pas wojskowy i taką torbę, co ją Irka konduktorką nazywała. Powstańcy takie nosili.

Kto zacz, jak się nazywa, nikt nie wiedział, ale od kiedy zamieszkał u nich w domu, jakoś ciszej się zrobiło. Kiedy siedział u siebie w pokoju, wszyscy mówili szeptem. Wiadomo, obcy. Znaczący, bać się należało. Helenka, przechodząc korytarzykiem, rzuciła okiem na szybę w drzwiach pokoju zajmowanego przez lokatora, ale nic nie było widać, ciemno, cichutko, więc chyba go nie było. Albo spał.

W kuchni wypuściła kocura, najpierw starannie pozamykawszy drzwi. Niech sobie pozwiedza. Potem nalała mu wody do miseczki, podrzuciła jeszcze kawałek słoniny i wabić zaczęła słodkim głosikiem, żeby wylazł z kąta, w który się nieledwie wtopił. Musi głodny być, bo zaraz wyszedł, wcale nie taki bojący, i rzeczywiście nie był to całkiem dziki kot, bo gdy po dobrej godzinie wróciła z pracy Zośka, już chrapał na Helczynych kolanach, wtulony w jej czarną sukienkę, a Hela dziergała kolejny szalik z niebieskiej włóczki.

1 MARCA 1945, WARSZAWA

Zapadał zmierzch, powietrze było już inne niż wcześniej, czuło się nadchodzącą wiosnę. Lekka odwilż miała jednak pewien minus – znów, niestety, wzmógł się ten okropny wszechobecny trupi fetor i woń spalenizny. Wilgoć wyciągała go z murów i ziemi.

Wieczory nadal były zimne, czasem nawet łapał mróz. Irka, siedząc na ławce w swoim tramwaju, czyli w Café Irena, przytupywała energicznie, by choć trochę się rozgrzać. Na ulicach wciąż nie było bezpiecznie, klienci po zmroku prawie nie przychodzili, więc stosunkowo wcześnie zamykała interes. Teraz też postanowiła poczekać jeszcze kwadrans – a nuż, widelec ktoś się nawinie – i pójść do domu. Czasem Zosia albo Helenka, niekiedy nawet obie, przychodziły do kawiarenki i wtedy razem ciągnęły wózek (znaleziony przez Frania w jednej z rozbebeszonych piwnic) z całym dobytkiem na drugi koniec Mokotowskiej, za plac Zbawiciela.

Prawdę mówiąc, już by poszła do domu, ale czekała na Romę. Jakoś ją polubiła. Roma rezydowała w ruinach na Wiejskiej, tuż za placem Trzech Krzyży. Znalazła tam ocalały kawałek kamienicy w całkiem niezłym stanie i umościła sobie w nim norkę.

W której przyjmowała klientów.

Wyszabrowała dywan, kto wie, może nawet perski, bo wzorzysty był na orientalną modłę i miał takie cudne kolory, zdobyła też, nie wiadomo skąd, resztki aksamitnych zasłon, a gdy zaprosiła do siebie Irkę, ta musiała przyznać, że miejsce jest naprawdę eleganckie. Roma mówiła, że dzięki tej elegancji Francji ma klientów *first class*. Ocalały fragment klatki schodowej z rzeźbą przedstawiającą, jak mówiła Romka, której to powiedział jeden z tych klientów pierwszej klasy, Pomonę⁸ (cokolwiek niekompletną, bo z utraconym nosem), prezentował się zgoła luksusowo. Irenka, gdy pierwszy raz zobaczyła posąg, pomyślała, że owszem, wygląda bardzo na miejscu, ów niekompletny nos był bowiem widomym znakiem, iż bogini cierpiała na syfilis, ale Romce, rzecz jasna, nic o swoim skojarzeniu nie wspomniała, tylko zachwycała się marmurowymi schodami urywającymi się na wysokości drugiego piętra i ścianami pokrytymi od góry do dołu imponującym karraryjskim marmurem. No, w każdym razie marmurem...

Kiedy pojawiał się jakiś klient, Roma zarzucała na marmurową balustradę co nieco zapyłone pąsowe zasłony. Bardzo pomysłowo. I natychmiast tworzył się wcale przytulny kącik o pewnym szczególnym uroku, coś między tureckim namiotem a baśniową grotą z tysiąca i jednej nocy.

Roma pracowała, podobnie jak Irka – z tą jednak zasadniczą różnicą, że ciałem – do zmroku, bo o zmroku, jak wiadomo, budzą się upiory, a tych w Warszawie nie brakowało. Wszyscy wiedzieli, że po mieście grasuje wampir i bardzo niebezpiecznie jest szwendać się późnym wieczorem.

Zresztą dla kobiet i bez wampira to zły czas, dumiała Irka, powoli przenosząc swoje manele z tramwaju na wózek.

Drzwi trzasnęły i pojawiła się w nich Romka. Już po robocie. Otulona w gruby wełniany koc w odcieniu zgniłej zieleni nie wyglądała nazbyt powabnie, ale kiedyś zrzuciła z siebie tę szmatę i wtedy Irka zobaczyła, że ta córka Koryntu jest naprawdę ładna. Zgrabna, szczupła, z dużym biustem i dziecianną jeszcze twarzą do tych wdzyków. Szkoda jej było na to, co robiła, ale cóż. Takie życie. A Romka miała przynajmniej tę swoją baśniową grotę.

– Serwus, pani Irenko! – zawołała od progu.

Irka uśmiechnęła się do niej, kiwnęła głową, nastawiła prymus i podkręciła lampkę karbidową, żeby było jaśniej.

– Jak leci?

– A dziękuję, nie mogę się skarżyć. Dziesięciu klientów dziś obsłużyłam. Spokojni, umyćci nawet, pełna kultura... Jeden ruski dał mi zegarek. Nie chciałam, ale wciskał na siłę, to wzięłam, a co? Może pani Irenka zna kogoś, kto by chciał?

Położyła na desce służącej za ladę śliczny damski zegareczek.

Irenka wzięła go do ręki, spojrzała i nagle jej się zamarzył.

– Za ile go sprzedajesz?

– Bo ja wiem... – Romka zastanowiła się krótko. Konkretnie. – Może kilo słoniny?

– Dobrze, mogę popytać.

Ach, przydałby mi się, i taki elegancki, pomyślała smętnie Irka, ale jak nic pójdzie na ten drobiażdżek całuchny tygodniowy utarg. Za drogi... Najpierw muszę odrobić inwestycję w tramwaj, potem będę szaleć. Może Zalewskiej się spodoba. Tak to sobie kalkulowała, po kupiecku, a rozważnie.

W tym momencie znów trzasnęły drzwi i na wysokości schodków pokazała się twarz kolejnej stałej już klientki, niejakej Karasiowej.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. A nie ma tam pani co dla mnie? – spytała drżącym dyszkantem kobiecina w wieku nieokreślonym, choć na pewno w jesieni życia, bliżej zimy, urodą przypominająca przywiedłą rzepę, brudna i pomarszczona, właśnie jak stara rzepa. W każdej zmarszczce Karasiowej odkładał się złóg błota i pyłu, ślad złego życia.

Irka westchnęła w duchu. Rozpuściła babinę jak dziadowski bicz, dając jej raz czy dwa ostatnie kawałki chleba, choć przecież mogła je sama zjeść albo zanieść choćby i dozorczy Franciszkowi, który, jak na razie, żadnej pensji nie dostawał. Ot, wrócili z żoną siłą przyzwyczajenia na stare śmieci i dozorcstwo. Sprzątali kamienicę jak za dawnych, dobrych lat, ale raczej nie było nadziei, by właściciel czynszówki Hersz Grynszpan nagle się pojawił, pochwalił i wypłacił im zaległe pobory. Skąd brali pieniądze, Irka nie wiedziała, może Franio gdzieś i pracował. Wokoło wszystko było do zrobienia, jak to po wojnie, ale ludzie z pieniędzmi dopiero zaczynali się pojawiać w Warszawie, więc tak naprawdę nie było roboty, płatnej roboty. Jedno, co kwitło, to podobnie jak w czasie wojny: handelek. Wymienny.

Westchnęła, ulitowała się i dała jednak babinie kawałek chleba. A niech tam, przecież nie zbiednieje. W końcu Franio ma dwie ręce, do tego silny jak Wyrwidąb i Waligóra razem wzięci, a ta starowina wątła i zmarniała, grosza już nie zarobi, a żyć przecież musi.

Karasiowa zasiedlała niewielką piwnicę położoną dwie ruiny dalej za przytulną niszą Romki. Od jakiegoś czasu Romka swój dobytek, czytaj – warsztat pracy: lampę naftową, dywan i zasłonkę, dwie poduszki i koc, po skończonej robocie odnosiła do staruszki, coby tego kramu nie targać aż na Wolę, gdzie pomieszkiwała kątem u jakiejś ciotki.

Z którą oczywiście dzieliła się zarobkiem.

Irka postawiła przed kobietami dwa metalowe kubki z herbatą tak cienką, że dno było widać. Obie piły powoli, łyżek po łyżczku, delektując się smakiem, który po prawdzie ledwie dawało się wyczuć. Ale za to lurka była przyjemnie gorąca. Dostawca herbaty bardzo się spóźnił i Irenka zaczynała się już martwić, co poda klientom, więc napar z dnia na dzień, z kubka na kubek, stawał się coraz słabszy.

Kobiety wypity herbatkę, pogadały o tym i o tamtym, a potem zniknęły w nocnym już mroku. Ponieważ nikt się nie zjawił do pomocy, Irka dokończyła pakowanie wózka i zaciskając zęby,

pociągnęła go z mozołem po poharatanej ziemi, lodzie i gruzie w kierunku Mokotowskiej. Gdy ruszała, zobaczyła wynurzającego się z ciemnych odrzwi kościoła Świętego Aleksandra chudego, wysokiego chłopaka. Popatrzyła przez moment i prędko spuściła głowę, przygarbiła się, by jej nie poznał, później zaś ruszyła szybciej w czarny tunel ulicy.

Mietek Angielak. Nie chciała go spotkać. Idąc wąskim, zagruzowanym po bokach przesmykiem kiedyś szerokiej Mokotowskiej, mijając nielicznych o tej godzinie przechodniów, zaczęła się zastanawiać, czy nie warto by zmienić lokalizacji, znaczy miejsca postoju tramwaju. Taka na przykład Marszałkowska była dużo ruchliwsza.

I w sumie bezpieczniejsza. No i dalej od Mietka.

Gdy wróciła do mieszkania, schowawszy uprzednio wózek w piwnicy zabezpieczonej przez Frania mniej więcej pięcioma zamkami i jedną sztabą, padła jak pozbawiona powietrza dętka na swoje jeszcze przedwojenne łóżko, czy też raczej łoże w stylu ludwik podejrzany, które się ostało w mieszkaniu pewnie tylko dlatego, że wyciągnięcie go, a później zniesienie z drugiego piętra na dół stanowiło nie lada wyzwanie.

Helenka jak zwykle krzątała się w kuchni. Po kilku minutach pojawiła się w pokoju z talerzem zupy. Kłapała wciągniętymi byle jak buciorami, włosy miała rozczochrane, oczy zapuchnięte. Podsunęła talerz Irce pod sam nos.

– Zjedz, ledwo żyjesz.

– Żyję, żyję, o mnie się nie martw, interes się kręci, a to najważniejsze. Z głodu nie umrzemy. Gdzie Zocha?

– Jeszcze nie wróciła z tej swojej biblioteki.

– A to dobrze. Przysiadź no tu koło mnie, pogadamy.

Irka, oparta o wezglowie łóżka, zaczęła jeść zupę. Kartoflanka, ale całkiem smaczna. Brązowe skwarki z podsmażoną cebulką pływały w gęstym wywarze. Trzeba przyznać, że Hela była znakomitą kucharką. Co jak co, ale gotować dziewczyna umiała.

Irka zjadła łąpczywie kilka łyżek zupy i popatrzyła na Helę, której blada twarz przybrała niezdrowy zielonkawy odcień.

– Powiedz mi, jak się czujesz? Taka jakaś marna jesteś czy tylko mi się zdaje...? – zagaiła, powodowana szczerą troską o przyjaciółkę.

Mniej więcej ułożyła już sobie, co mówić. Z Helenką to trzeba delikatnie.

– A nic tam mi nie jest... – odparła tamta lekceważąco. – Podziękuję ci i tyle.

Kiedy tak siedziała na kołdrze, wyraźnie było widać, że ma podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Sięgnęła po Rudaska, który przyszedł za nią z kuchni, bo już chyba nie mógł bez niej żyć. Tak go obłaskawiła, miała rękę do stworzenia, oj tak. Zaczęła go drapać leciutko pod pyszczkiem, co łaskawie przyjmował, bo jak każdy normalny kocur uwielbiał takie drapanie. Zaczął cicho mrużyć.

– Tak mówisz? A nie zauważyłam, żebyś kasłała – zdziwiła się Irenka, wciąż nie spuszczać z niej oka.

– Bo to wilka złapałam, pewnie od tego zamrozu, co tu był, zanim żeśmy się jako tako ogarnęły. Ciężko biegam do kibelka...

Kiedy dwudziestego pierwszego stycznia zjawiły się na Mokotowskiej, zastały, jak się Irka spodziewała, rozgrabione mieszkanie. Jakiś wandal wyrwał z futryny drzwi wejściowe. Piec, też nie wiedzieć czemu rozwalony, zalegał w stołowym niczym górka do zjeżdżania na sankach. Może ktoś szukał złota? To była pierwsza myśl Irenki, gdy ze ściśniętym sercem patrzyła na to pobojowisko.

Staneły w pustawym mieszkaniu bezradne, zmęczone jak woły w kieracie. Rzuciły na podłogę swoje tobołki, a potem usiadły, żeby chwilę odsapnąć, rozprostować kości. Ostatnie dwadzieścia parę kilometrów szły pieszo. Wzdłuż torów. Na przedmieściach Warszawy stanęły o piątej nad ranem, po całonocnej wędrówce. Po drodze nie udało im się znaleźć żadnego schronienia, gdzie mogłyby przenocować, nie obawiając się, że zamrzną, jako że mróz trzymał mocno. Zima miała się dobrze, one wręcz przeciwnie. W domach położonych wzdłuż dróg i torów pełno było uciekinierów z Warszawy, gdy pukały do jakichś drzwi, próbując wyzebrać nocleg, za każdym razem słyszały, że już pełno, że nie da rady, więc szły dalej. A co innego im pozostało? Po torach, które wskazywały kierunek, nieustępliwie posuwały się wciąż do przodu setki, a może i nawet tysiące ludzi. Byle dotrzeć do stolicy. Do domu.

Napotkany o świcie kolejarz poradził, żeby, broń Boże, niczego nie podnosiły i bardzo, ale to bardzo uważały, bo szkopy zaminowały miasto. Szły więc powoli, nie dając się skusić żadnym cudom cudzeńkom, mimo że na ulicach leżało mnóstwo porzuconych przedmiotów, które jakby tylko czekały, by ktoś je podniósł. Kandelabry, rzeźby, walizki, obrazy wdeptane w śnieg. Ale to fraszka. Leżały też płaszcze i futra, a te, wiadomo, zawsze mogły się przydać. Raz Helenka nachyliła się, by sobie przygarnąć lśniące czarne futerko, które się jej spodobało, bo po prawdzie śliczne było jak marzenie, karakuły, takie same, jakie miała dziedziczka z Brzozówki, ale Irka warknęła tylko:

– Nie rusz!

I rzeczywiście, pod spodem widać było coś jakby metalowego, więc Hela odskoczyła jak oparzona. Ale tego futerka długo było jej szkoda. Pewnie nigdy sobie podobnego nie kupi.

Szły dalej. Pod nogami chrzęściło błoto, a zaschnięte zręby kolein rozpryskiwały się drobnymi grudkami ziemi, chrobocząc w ciemności.

Słysząc było dalej, a czasem i bliżej, strzały i wybuchy, co utwierdzało Irkę w postanowieniu, by jeszcze bardziej wziąć sobie do serca ostrzeżenie kolejarza i mieć oczy dookoła głowy, a najlepiej cały czas patrzeć w dół, nisko, przy gruncie.

Po wejściu na przedmieścia Warszawy podążyły za wysokim mężczyzną, który niósł na barana małą dziewczynkę, pewnie córeczkę. Dziewczynka nie miała bucików. Stopy, owinięte szmatami, wyglądały jak małe kopytka. Szły za nim w pewnej odległości, czując się dość niezręcznie, i nie bez kozery, bo gdyby, co nie daj Bóg, nadepnęły na jakąś minę, dziecko wyleciałoby w powietrze razem ze swoim opiekunem. To zresztą działało w obie strony. Nie chciały mieć na sumieniu tej dwójki, uprzedziły, że wszędzie są miny, ale chłop tylko machnął ręką.

Popatrzyły na siebie i zaproponowały, że wezmą małą, a on może iść przodem. Nie chciał. Tak więc, pozbywszy się skrupułów, posuwały się za tym dziwolągiem, któremu widać życie było niemiłe. Nic nie mówiły, szły z oczami wlepionymi w ziemię, chociaż oczywiście zdawały sobie sprawę, że zobaczyć minę w bladym świetle poranka to jak wygrać los na loterii.

Nagle przystanęły wystraszone.

Jakiś chrzęst dobiegł gdzieś z boku. Mężczyzna też się zatrzymał. Ktoś się wynurzył z ciemności. Popatrzyły w tamtą stronę.

Trzech kilkuletnich chłopaczków ciągnęło sanki, na których majaczył kształt ludzkiej postaci. Wyteżyły wzrok. Kobieta. Martwa. Irka wzdrygnęła się mimowolnie i ruszyła dalej w ślad za mężczyzną. Hela i Zośka podążyły za nią.

Po chwili w świetle wschodzącego słońca zobaczyły napis, który podniósł je trochę na duchu.

Na ścianie na wpół zrujnowanego domu wydrapano informację: „Min niet – Kuś”.

Ale czy temu Kusiowi można było do końca ufać?

Czujnie, krok za krokiem, posuwały się trasą rozminowaną przez Kusia, bo i następne domy opatrzone były taką samą inskrypcją.

Mężczyzna z dziewczynką skręcił w końcu gdzieś w lewo, w aleję Niepodległości, a one weszły w Puławską i wreszcie dotarły do Mokotowskiej.

Pierwszy zachwył: dom stoi. Górował nad całą ulicą niczym pancernik, niczym okręt wojenny. Dookoła, jak okiem sięgnąć, ruiny i zgliszcza, a on trwał, wysoki, sterczący w niebo nad morzem gruzów. Cudownie ocalony. Słońce akurat pokazało się w całej okazałości: ogromna kula nad budynkiem rzucała czerwonawy poblask na mury, na resztki szyb w oknach.

Wita nas, pomyślała Irka.

Tylko dlaczego na czerwono? – zastanowiła się przez moment.

Potem: schody, poobrywane poręcze, pootwierane na oścież, rozprute, wybebeszone mieszkania, aż wreszcie Irka ujrzała swój wytęskniony apartamencik. Zniknęła część mebli, tych lżejszych, jednak trochę jeszcze zostało, porostawianych bez ładu i składu po całym mieszkaniu. Ktoś tu gospodarował. Krzesła przewracane, ale były, kozetka, a w sypialni radość przeogromna – stoi łóżko! Nie przejęła się wcale tym rozkompletowaniem jej ślicznych mebelków, raz już to, we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, przeżyła. Mówi się trudno, fortuna kołem się toczy, grunt, że jest dach nad głową, że są ściany. Usiadły na ocalałej wąziutkiej kanapce, na kulawym krześle, odetchnęły chwilę, a potem, bo się bały, po Jędrzejowie bardziej niż przedtem, zastawiły drzwi pustą szafą, dla pewności, że nikt tu nie wtargnie, i poszły spać, wszystkie razem, w wielkim łóżku Irenki.

Zbudziło je walenie w szafę. Irka, wciąż nieprzytomna, poczłapała do wejścia i przecierając oczy, zapytała:

– Kto tam?

W odpowiedzi usłyszała radosny krzyk Frania:

– Pani Irenka! Żyje pani!

Aż podskoczyła. Zaczęła nerwowo mocować się z ciężkim meblem, ale gdzie tam, zmęczona była pioruńsko i osłabła po nocy, więc sama nie dała rady go przesunąć, nawet centymetr. Zawołała dziewczyny i wspólnymi siłami odsunęły nieco szafę od drzwi, a Franiowie wcisnęli się przez szczelinę i rzucili z powitaniem. Padli sobie w ramiona. Irka przylgnęła do wielkiego Franciszka, prawie utonęła w jego brudnym swetrze gdzieś na wysokości brzucha, który, co optymistyczne, nie zmalał jakoś szczególnie w ten zły, głodny i chłodny czas wojny. Zastygła na chwilę, bezpieczna i szczęśliwa. Franiowie żyli, żyła i ona. Poczuli, że wszystko już będzie tak, jak powinno. Rzeczy wrócą tam, gdzie kiedyś były, a sprawy jakoś się ułożą.

Będzie dobrze, musi być, zapewniała się w myślach.

Usiedli przy stole, zaraz też pojawiło się pół litra, które Franciszek trzymał na specjalne okazje. Dziewczyny miały jeszcze w bagażu jędrzejowską marmeladę, śliwkowo-buraczaną, i trochę chleba.

Kuchenny stół, naprędce przykryty pogniecionym obrusem znalezionym w bufecie i zastawiony, czym tam się dało, wyglądał prawie jak w Adrii, a nastrój był może nawet bardziej

szampański.

Chciały świętować, wszystkie trzy, nie tylko Irka. Przekłeta wojna wreszcie się kończyła. Dla nich. Wróciły do domu. Zaczyna się nowe, które mimo wszystko gorsze być jednak nie może. Były o tym przekonane. Wszystkie trzy.

– Dziś szalejemy! – powiedziała z błyskiem w oku Zosia, stawiając na stole talerz z pajdami chleba.

– Kto przeżył? Z naszego domu? – zapytała Irenka Franiów, jak tylko klapnęła na krzeselko. – Antosia nie pokazała się czasem?

To było pytanie, które cisnęło jej się na usta od chwili, gdy wchodziła do domu i mijała drzwi kolejnych mieszkań, kiedyś, w końcu nie tak dawno, zasiedlonych przez bardziej lub mniej, ale życzliwych sąsiadów. Nie miała własnej rodziny, więc z ludźmi z tego domu łączyła ją bliska więź. Ale najbliższa jej osoba, Antosia, opiekunka, gospodyni, a właściwie przyjaciółka, zniknęła. Po prostu pewnego dnia wyszła i nie wróciła. Irka wszędzie jej szukała, na gestapo, Skaryszewskiej, na Pawiaku. Pojechała nawet do rodzinnej wsi Antoniny, daleko, aż pod Warkę. Nikt Antosi nie widział. Kamień w wodę.

– Nie, Antosi nie było. Wciąż ani widu, ani słyhu... Pani pierwsza się tu u nas pojawiła, panno Irenko – wyjaśnił Franio – ale przyjdą i następne, zobaczy pani. Ta Chudetzky, co to pani wie, folksdojczka, uciekła gdzieś, jeszcze przed powstaniem, bo chłopaki jak nic by ją rozwalili.

– Da pan spokój, panie Franiu, aż taka zła to ona nie była. Władzia mi uratowała, do siebie przygarnęła. Pan pamięta, jak Romanowska zostawiła go samego na podwórku, kiedy na rewizję Niemcy przyszli.

– No, faktycznie, tak było, pani Irciu, co prawda, to prawda. A co z Władziem?

– Nie wiem nic. Jutro pójde się dowiedzieć, może już Czerwony Krzyż działa.

– To ja z tobą, Irka, pójde – dołączyła się Helenka.

– Ty? A kogo ty będziesz szukać? – Spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– A... takich jednych, co we wsi mieszkali i potem gdzieś przepadli. Ja... Oni... dobrzy ludzie byli. Z Warszawy.

– Ja też pójde – dorzuciła Zośka.

Irka nie pytała Zosi, kogo tamta chce szukać, bo wiedziała, co ją gryzie. Ścisnęła tylko lekko jej nadgarstek i powiedziała:

– Dziś się tu z grubsza, moje panny, zagospodarujemy, a jutro poszukamy jakiejś władzy. A pan nie wie przypadkiem, gdzie jest Czerwony Krzyż? Albo jakiś inny urząd?

– Nic nie wiemy. Tu blisko to nic nie ma. Ale po mojemu to najlepiej będzie żołnierzy popytać... – odparł zafrasowany Franio, patrząc na nią pocziwie swoimi lekko zapuchniętymi oczkami.

Irka kiwnęła głową. Tak, żołnierze, dowódcy, oni powinni wiedzieć, gdzie się znajdują urzędy. Chyba już jakieś powstały.

– Na razie to ludzie kartki nalepiają, szukają jeden drugiego – rzuciła Franiowa.

Już po drodze widziały mury z wydrapanymi czy wypisanymi wiadomościami:

„Jola żyje! Jestem u ciotki na Chłodnej”.

„Mieczysławska – proszę o wiadomość o synu. Polna 23a”.

Irka pokiwała głową. Smutno jej było i ciężko na sercu.

– No, Władzia to ja w ten sposób nie odzyskam. Kartka, phi... – Wydeła usta. – Nie wiadomo, czy w ogóle czytać się nauczył. Wbijalam mu ze sto razy do głowy moje nazwisko i ten adres,

ale kiedy to było, mój Boże, szmat czasu. Teraz ma jakieś dziesięć lat, może dziewięć, i pewnie już mnie nie pamięta... – Westchnęła i spuściła oczy. – I nie wiadomo, jak się nazywa, przecież mogli mu dać nowe papiery, jak go zabierali z tej Rabki.

– Co też panna Irka plecie, na pewno pamięta. Władzio to był taki mądry chłopczyk.

– Prawda, mądry był nad wiek, ale tyle lat. Chociaż nie wszystko jeszcze stracone... – Spojrzała w przestrzeń zadumana.

– No, mówże, pani Irko, bo aż mnie skręca... – ponagliła ją Franiowa.

– Tam, w Rabce, trafiłam na pewien ślad. Jakaś dziewczyna, Janka Rutko, jedno dziecko z prewentorium Zagórskiej wywiozła do Warszawy, chłopca. W czterdziestym pierwszym roku. To mógł być Gedalia, znaczy Władzio. Ale pewności nie mam. – Irka wzruszyła ramionami.

– To tej Rutko trza szukać! – podpowiedziała spod okna Helenka.

– Tak właśnie zrobię, Helenko. Może to głupie, ale wierzę, że on żyje. – Irka popatrzyła na siedzących przy stole, jakby chciała się upewnić, że też tak myślą.

Zośka zapadła się w siebie, w tym momencie poczuła, że tak naprawdę nie ma już nadziei. Choć miała, przez całą wojnę miała. Było to dziwne, ale jakaś iskierka zawsze gdzieś się w niej tliła. Na samiutkim dnie duszy. Może zdarzy się cud. Choć w cuda przecież nie wierzyła.

Franio skwapliwie przytaknął Irencie, a jego żona natychmiast się dołączyła.

– Dobrze panna Irka gadasz, żyje, żyje nieboraczek.

Ale w jej głosie nie było pewności, którą Irka tak bardzo pragnęła usłyszeć. Jakiś fałszywy ton pobrzmiwał.

Zmieniła więc szybko temat:

– A co z Tadzkiem? Widzieliście go po powstaniu?

Tadzio, uczynny i pracowity chłopaczek, pojawiał się czasem w domu na Mokotowskiej i robił, co tam kto potrzebował: nosił węgiel, sprzątał, chodził po zakupy, listy dostarczał – zarabiał parę groszy na utrzymanie chorej matki i braciszka.

Franiowa spuściła głowę i zaczęła od razu chlipać. Wyciągnęła z kieszeni fartucha wymiętą chustkę i mówiła przez łzy:

– Zginął, panno Irenko, jak Boga kocham, zginął. To święty był chłopak. On nas uratował, jak żeśmy tu wszyscy w piwnicy siedzieli. My jak szczury schowane, a Niemcy tylko latali, wyciągali ludzi pod ścianę i strzelali. Bez żadnego zmiłowania. Już tu dochodzili, ale widać czasu nie mieli czy co, żeby nas, że się tak wyrażę, detalicznie załatwić, bo jak doszli do tej piwnicy, jeden się nachylił i granata wrzucił, o, tak, fruuuuu!, przez okienko, a nas tu ze czterdzieści było, wszyscy, co do powstania nie poszli, dzieci, babcie z naszego domu i tego zaraz po sąsiedzku. No i jeszcze te, co bardziej bojące się, były. Tadzio walczył, normalnie, ale akurat się przyplątał, żeby coś zjeść, bośmy go żywili. No i Alinkę wtedy nam przyprowadził, że to sierota, jego cioteczna siostra. I ten granat! Jak na nas nie polec! Ratuj się, kto może! Upadł ci on na podłogę, Tadzio zobaczył, inni też i rzucili się uciekać, a ta chłopaczyna go złapała, tego granata, i jak nie skoczy do drzwi. To mu się rozstąpili i wyleciał z nim na podwórko. No i wtedy wybuchło.

Franiowa otarła pot z czoła, aż się zasapała, opowiadając, łzę też otarła, co się z nagłą pojawiła w kąciku oka, a potem dalej mówiła, przerywając nieprzyjemną ciszę, która nagle zapanowała.

– Tadzio jeszcze kilka dni się przemęczył w szpitalu, ale umarł trzeciego września, zdaje się. Dobrze, że umarł, bo nie miał rąk ani nawet nie widział, jedna bryła mięsa, pani Irenko. Nie zasłużył ci on na taką śmierć. Uratował wszystkich, tyle luda, a i dom pewnikiem. Mój Boże, Boże... – zachlipała.

Irka głośno przełknęła ślinę, dołała sobie bimbru, chwilę się zawahała i dołała też Franiowi. Dziewczyny, Zośka i Helenka, miały jeszcze alkohol w kieliszkach, ale nie piły. Ot, zamoczyły usta, bardziej z grzeczności. Zosia tylko bawiła się kieliszkiem.

Irenka pomyślała: Młode jeszcze, to pewnie mogą takich historii słuchać na trzeźwo, ale ja za nic. Wypiła duszkiem i zagryzła kawałkiem chleba z marmeladą, wzdrygnąwszy się tylko, bo bimber mocny był jak diabli. Nieoszukany.

– Ach – westchnęła i znów sobie nalała. – Boże...

Franiowa siorbnęła z kieliszka i dalej chlipała, a łyzy toczyły się po jej pooranym zmarszczkami policzku.

– Dajże, stara, spokój. – Franio klepnął ją po udzie. – Po co dziewczynie takie rzeczy gadasz, no, pytam się, po kiego grzyba? I tak pewnikiem niejedną złą rzecz widziała. Mówi się: „umarł”, „zginął” – i koniec. Po co jeszcze dokładać! – grzmiał mocno już pijany.

Jego żona, niemniej napita, rozrzewniła się jeszcze bardziej:

– Ale Tadzio, taki miły, Tadzio, co go tak wszyscy tu kochali. O, słodki Jezu... – jęknęła i zaczęła płakać.

Franciszek zakręcił się koło butelki, nalał Irce do pełna i powiedział:

– Pani golnie, nie ma nic... Stara mi się rozkleiła do imentu. Pani nie słucha, pani Irka, tylko wódka, ona jedna pomaga na wszystkie smutki. Chlapniem! – zarządził.

Irka napiła się znowu, zakrzuszyła i wytarła nos ręką. Zakąsiła kawałkiem chleba. Objęła szlochającą Franiową i popatrzyła na dziewczyny, które siedziały na kozetce pod oknem, całkiem nieruchomo, przytulone do siebie, słuchając z szeroko otwartymi oczami. Każda z nich też miała kogoś, o czym losie bardzo chciała się dowiedzieć. I obie pomyślały – oby tylko lepsze to były wiadomości. Oby.

7 Głośniki umieszczane przez Niemców w różnych punktach miasta w celach propagandowych.

8 Pomona – bogini sadów, ogrodów i drzew owocowych, przedstawiana z rogami obfitości.

Teraz

1 MARCA 1945, WARSZAWA

Patrzyła uważnie na skuloną niczym małą Helenkę. Na jej pochylone plecy i wzrok wbity gdzieś w kolana.

– Wiesz... – zaczęła ostrożnie – taki wilk to nie byle przeziębienie, może nawet nerki zaatakować. Trzeba pogadać z Zalewskim, żeby ci coś dał i w ogóle zbadał. Zawsze doktor to doktor.

– Ale co ty, Irenko, nie potraza, przyszło, to i pódzie, ot, trochę pobolewa, nic to. Szkoda, że nijakich ziółek tu nie ma, wraz bym sobie zaparzyła...

Irka odstawiła talerz na stolik nocny, wyszabrowany w pobliskiej kamienicy, częściowo zawalonej i opuszczonej. Pasował do jej ludwików, był trzciny, pociągnięty białą emalią, więc bez wahania go zabrała. Podobnie jak kilka garnków walających się w sąsiednim mieszkaniu.

Chciała koniecznie zaciągnąć Helkę do lekarza. Tak na wszelki wypadek. Czują, że coś nie gra. Zaraz po tym Jędrzejowie zaczęła się bać.

– Heła, no, no, nie bądź taka gierojka, nie ma co lekceważyć. Ty nie musisz nic gadać, rozumiesz? Sama porozmawiam z Zalewskim.

Tamta coś jeszcze jej tłumaczyła, protestowała, ale jak się Irenka zaparła, to nie było zmiłuj.

Cztery dni później, już po wyprawieniu Helenki do domu, Irka siedziała w gabinecie doktora Zalewskiego, przyjmującego w przychodni na Koszykowej.

– Czyli co? – zapytała, patrząc na niego z uwagą. – Penicylina? Naprawdę jest taka skuteczna?

– Bardzo. To zupełnie nowy lek, trudny do zdobycia, Anglicy wymyślili, prawdziwa rewolucja w medycynie, znakomicie działa. Antybiotyk. Przy okazji. – Popatrzył na Irenkę tak jakoś dziwnie. – Zniszczyłem kartę Helenki.

– A to dlaczego?

– Różne chodzą słuchy...

– To znaczy...

– Wie pani, panno Irko... – Zalewski, duży i przysadzisty, o wymiarach szafy gdańskiej, kręcił się jak przyszpilony motyl. Westchnął głęboko. – Powiem krótko: proszę nie dociekać.

– Ma pan tę penicylinę czy jak jej tam?

– Mam dostęp, ale to będzie kosztować... – Spojrzał na paznokcie u rąk.

– Dużo?

– Dużo, ile dokładnie, to musiałbym się dowiedzieć. – Popatrzył na nią spod oka. – Ceny się zmieniają, ale dużo, od Rosjan pozyskujemy, rozumie pani.

– Tak, rozumiem. Wobec tego proszę się dowiedzieć, ile konkretnie trzeba pieniędzy. I co powiemy Helence? Bo ja bym nie chciała, żeby ona wiedziała, co to jest.

– A to dlaczego?

– Ona wydaje mi się taka... nieskalana, czysta, dziecinna. Może to głupie, ale tak właśnie ją widzę...

– Niegłupie. Rzeczywiście, jest w niej coś ze średniowiecznej Madonny – przyznał Zalewski, lekko się rozmarzając. – Nigdy bym nie pomyślał, że już rodziła.

Irka otworzyła szeroko oczy.

– Ależ ona jest... ma dziewiętnaście lat. Naprawdę?

– Och! Myślałem, że pani wie... – Doktor wyraźnie się spieszył. – Nie powinienem był zatem mówić.

– Ale już pan powiedział, panie doktorze. Jest pan pewien?

– Nie mam żadnych wątpliwości. Zresztą, cóż, sama się przyznała. Rodziła trzy lata temu.

– A co z dzieckiem?

– Mówi, że straciła.

Irka zamyśliła się i nic już nie powiedziała. Bo co tu było jeszcze do mówienia? Wiadomo, wojna.

– Syfilis jest uleczalny, a penicylina bardzo skuteczna, na pewno pomoże.

Irenka ze smutkiem pokiwała głową, choć uważała, że syfilis to i tak lepsze niż ciąża z gwałtu. Podniosła się z krzesła.

– To mam czekać?

– Jak dostanę, przyniosę do domu i tam ją wykurujemy.

– Dziękuję, panie doktorze, bardzo dziękuję.

Uścisnęli sobie ręce.

– Nie ma za co.

Jeszcze na chwilę zatrzymała się przy drzwiach.

– Do zobaczenia, i przyjmujemy wersję: zakażenie dróg moczowych, a ja nic nie wiem o porodzie. Choroba weneryczna to straszna rzecz, szczególnie dla Heli. Zwłaszcza dla niej...

Uśmiechnęła się na pożegnanie, choć wesoło to jej wcale nie było.

Na Koszykowej był już ruch, ludzie, furmanki, gaziki, czasem jakiś prywatny samochód. Miasto zaczęło tętnić życiem.

Minęła gazik z kilkoma żołnierzami w lubelskich mundurach i postanowiła, że skoro tutaj jest, spróbuje jeszcze raz zajrzeć do Romka Jachaczego, którego polecił jej pułkownik Morawiecki. Mężczyzna mieszkał na Filtrowej, więc w sumie niedaleko. Mimo kilkakrotnych prób nie udało się Irce z nim spotkać. Ilekroć przychodziła do mieszkania, gdzie zajmował jeden z pokoi, nigdy go nie było. Drzwi zatrzaśnięte na głucho, a gruba właścicielka, która za każdym razem wynurzała się z kuchni, krzyczała zachrypniętym głosem:

– Nie ma, nie ma i nie wiadomo, kiedy wróci!

Irka pomyślała, że może powinna codziennie tu zaglądać. Pilnie potrzebowała pracy, kawiarnia przynosiła co prawda jakiś dochód, ale niewystarczający. Zrobiło się krucho z erzacem herbaty, chlebem i palonym cukrem, który też czasem zastępował herbatę, po prostu ze wszystkim. Należało coś zmienić, i to jak najszybciej, a nie czekać z założonymi rękami i żyć z niewielkiego dziennego utargu, do którego musiała dokładać po cichu ze swoich tajnych zasobów.

Irka zawsze była zaradna i przewidująca. Zanim poszła do powstania, schowała w piwnicy co cenniejsze rzeczy. Kiedyś ukryła w niej nawet broń. W ślepym zaułku piwnicznego korytarzyka, pod starym, rozpadającym się kufrem miała zakopaną metalową skrzynkę. Wyjęła wtedy rewolwer, zostawiła rulon złotych monet, trochę biżuterii i dołożyła jeszcze kilka rodzinnych zdjęć, pamiątki po rodzicach i dokumenty.

Te rzeczy, o dziwo, przetrwały. Rabowano piwnice, wyciągano z nich wszystko, co popadnie, ale drewniany, na wpół spróchniały kufer nikogo nie skusił. Tylko jeszcze bardziej się rozpadł. Najwidoczniej ktoś próbował na nim usiąść albo go otworzyć.

Irenka miała więc kapitał na początek, to znaczy pieniądze na rozruch. Grzegrzółkowa, u której jako dwunastolatka pracowała w zatęchłym sklepiku, tak nazywała co rano wkładane do kasy parę groszy – na początek. Bez początku interes nie miał prawa się kręcić. Irka sprzedała jedną złotą świnkę i założyła Café Irena. Reszta gotówki z tej transakcji pójdzie na kurowanie Helczynego syfilisu.

Zaśmiała się do siebie. Niezły syf. I co dalej?

Nie zamierzała sprzedawać miesiąc w miesiąc złotej monety. Świnek nie było dużo, dziewięć. Musiała jak najszybciej coś wymyślić. Coś, co pozwoliłoby jej zarabiać większe pieniądze. I w ciekawszy sposób.

Bo Irka, co tu dużo kryć, nie tylko marzła i marnie zarabiała, ale i nudziła się jak mops w swojej Café Irena.

5 MARCA 1945, WARSZAWA

Warszawa wciąż się paliła. Zosia szła Królewską w kierunku biblioteki i widziała siwy dym wydobywający się z wysokiego narożnego budynku. I nie był to pierwszy pożar, który dziś zobaczyła, zaledwie kilka ulic wcześniej dopalały się czy tliły inne domy. Czarne, popalone drzewa i zwęglone mury były jak ponure memento, jak słupy przypominające, że to jeszcze nie koniec, że wojna wciąż trwa. Dymy nad miastem. Ciągłe nie mogła się przyzwyczaić, że tutaj jest już po wojnie, choć rzecz można, tylko teoretycznie. Gdy zapytała Chodakowskiego o pożary, najpierw milczał chwilę, a potem spojrzał na nią tak jakoś dziwnie i wyjaśnił:

– Przyjaciele podpalają. Ludzie mówią, że szukają powstańców. I dywersantów. Podobno i jedni, i drudzy wciąż się ukrywają w piwnicach.

Powstańcy i dywersanci. Pospołu.

– Ależ to czyste szaleństwo! – wykrzyknęła.

– Paranoja nie od dziś stanowi domenę władzy. W zasadzie jest nieodłączną jej towarzyszką, że tak powiem...

– Ale komunizm, przecież to szlachetna idea? – zapytała nieśmiało, podnosząc wzrok znad katalogu, który właśnie razem tworzyli.

Siedzieli we dwoje w prowizorycznym biurze urządzonym w jednym z najmniejszych pomieszczeń na parterze. Dzięki zaradności pana Staszka udało się zdobyć kozę i w pokoiku panowało miłe ciepło, niemniej dzięki temu ciepłemu tym bardziej zdradliwe były spacery po gmachu, zimnym i wyludnionym, gdzie wiatr hulał po pustych salach z powybijanymi oknami. Profesor Migoń już odchorowywał bezustanne zmiany temperatury.

– Szlachetna, o tak, nie przeczę – potwierdził Chodakowski – idee z reguły są szlachetne. Tylko wykonanie zazwyczaj szwankuje.

– Ale przecież to dopiero początek...

– Tak, oczywiście. Dajmy im szansę. Zresztą co my mamy do dawania – powiedział z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. – Wróćmy do pracy, panno Zofio, zwłaszcza że czeka nas delegacja.

- Delegacja? – Zosia aż podskoczyła na swoim krzeselku, całkiem wygodnym i wyściełanym. Sama je sobie do firmy przyniosła, spenetrowawszy po drodze kilka opuszczonych ruin.
- Tak, pojedziemy szukać złotego runa.
- Złote runo! Brzmi intrygująco.
- Oczywiście chodzi o książki. Jakżeby inaczej. – Chodakowski uśmiechnął się zadowolony.

7 MARCA 1945, WARSZAWA

Ścieżki wiodące na prawy brzeg przypominały oślizgłe kanały wydeptane tysiącami stóp. Nierówne, porowate, z jednej i z drugiej strony niemiłosiernie rozdeptane, z błockiem pośrodku, wyglądającym jak mieszanka brudnej ziemi z nie mniej brudną owsianką. Kiedy stawiała stopę, rozlegało się obrzydliwe plaśnięcie, i drugie, gdy ją potem odrywała.

Koleina, którą Zosia posuwała się do przodu, została wyłobiona kołami samochodu, siłą rzeczy była więc szersza niż te wydeptane przez ludzi. Widać kierowca ciężarówki postanowił nie czekać na swoją kolej wjazdu na most pontonowy, zaczynający się przy wylocie ulicy Karowej, a kończący na Pradze. Przejechał po prostu po lodzie, ale zapewne jakiś czas temu, bo ślad po nim w głębokim śniegu mocno już się rozpuścił.

Wjazd na most było widać z daleka, wskazywał go drewniany łuk, nad którym powiewała czerwona chorągiewka. Most stanowił triumf radzieckiej myśli technicznej, często jednak zamykano go dla ruchu cywilnego i służył wtedy tylko wojsku, więc zdesperowani co odważniejsi mieszkańcy maszerowali przez wciąż zamrażającą Wisłę. Mróz trzymał nadal. Może już nie tak mocno jak w lutym, ale dokuczał, pojawiał się i znikał. Zima to odchodziła, to znów wracała. W każdym razie przez Wisłę jeszcze można było przejść pieszo. Zosia, z duszą na ramieniu, szła w tłumie ludzi. Bała się, że lód nie wytrzyma obciążenia, skoro kilka dni temu zaczęła się odwilż. Przeprowadzający się przez rzekę zapełniali całą wielką połąć brudnego śniegu, który pokrywał zamrażającą Wisłę, i tak samo jak on byli szarzy. Wszystko dookoła było szare.

Gdy stała jeszcze na brzegu, nie mogąc się zdecydować, czy ruszyć z tłumem, czy też czekać, spojrzała w dół, na rzekę i ludzi, z oddali przypominających karły. Zamotani w chusty i koce, w grubych kufajkach, wydawali się tacy pokraczni, prawie kwadratowi. Z sankami pełnymi gratów, poopalanymi okien, zardzewiałych łóżek, piecyków, starych, zatechłych pewnie pierzyn i materaców podążali na Pragę, inni natomiast, ci z pustymi sankami i wózkami, zmierzali na lewy brzeg.

Zośka czuła się nieswojo w tłumie współobywateli, rodaków, tak ochoczo rozgrabiających ruiny miasta, do którego wciąż wracali dawni mieszkańcy i na dzień dobry zastawali zdewastowane domy i mieszkania.

Idąc z nimi wszystkimi, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że odstaje od szarego, nędznego tłumu, że zwraca uwagę, wyróżnia się po prostu. Czuła, że wygląda naprawdę ładnie, po raz pierwszy od dobrych kilku lat.

Irka dała jej cudem ocalały w szafie płaszcz, w kolorze błękitnym, i pasującą do niego torebkę w oryginalnym odcieniu niebieskiego szmaragdu. Istne cudo, prezent, jak mówiła, otrzymany w czasie wakacji w Nicei. Na nogach Zośka miała już wiosenne półbuty, nabyte za pierwsze otrzymane pieniądze, pensję w wysokości pięciuset złotych, którą to niebagatelną sumkę wręczył jej okrągłutki jegomość z wydatnym brzuszkiem rysującym się pod mundurem,

polskim mundurem.

Ów jegomość zajechał z wizgiem opon wojskowym gazikiem na dziedzińczyk przed biblioteką. Wyglądał na zanego aptekarza z prowincji; niezbyt wysoki, dobrze odżywiony, w wypucowanych na glanc butach, był wojakiem nowego typu. Do tej pory widziała tylko zmęczonych, brudnych, a często gęsto pijanych żołnierzy, polskich i radzieckich. Jednych i drugich przepęniała buta i poczucie ważności, jaką dawał im mundur. Ten był miły, przyjemny, gadatliwy – jakby przebrany, nieprzystający do swojej roli, którą najwyraźniej traktował z dystansem.

Wchodząc do ich biura, przedstawił się, stukając obcasami:

– Nowaczyk. Ryszard. Major.

I z miejsca zaczął pytać, czy są zarejestrowani, czy mają dokumenty i upoważnienia. Zosia jedyna w całej bibliotece uniwersyteckiej miała wszystko, jak trzeba, choć, rzecz jasna, dokumenty były wystawione na nazwisko „Nowak”, figurujące w fałszywej kenkarcie, którą w czterdziestym drugim kupił dla niej pan Genek, jej główny opiekun w czasie wojny, cudem, za gigantyczną łapówkę, wyrwany z rąk gestapo przez swoją energiczną połowicę Lolę. Co się z nimi stało, Zosia nie wiedziała. Mieszkanie na Koszykowej najpierw stało zamknięte na głucho, a była tam wiele razy, a potem wprowadzili się do niego jacyś przypadkowi ludzie.

Gdy na horyzoncie pojawił się rzeczony major Nowaczyk, w pierwszej chwili chciała mu się przyznać, że ma lewe papiery, nie zrobiła tego jednak. Nabrała wody w usta i nic nie powiedziała.

Bądź co bądź, Nowak to wcale niezłe nazwisko, podobnie jak Nowaczyk, a przecież nie miała żadnego przedwojennego dokumentu, poświadczającego jej tożsamość. Na razie będzie więc Zosią Nowak, postanowiła. A potem pomyśli, co dalej.

Major Nowaczyk wszystko i wszystkich dokładnie obejrzał, spisał ludzi i rzeczy, nakazał dopełnić formalności, wyrobić dowody osobiste – i na koniec wypłacił każdemu po pięćset złotych, starannie wyciąwszy z kenkarty niemieckiego orła, tak zwaną gapę, zdobiącego jej róg. Wszystkim mieszkańcom Warszawy przysługiwała ta jednorazowa zapomoga, jak się okazało. Owo niespodziewane wsparcie tak Zosię ucieszyło, że pobiegła do domu jak na skrzydłach, kupując po drodze, co tylko jej się nawinęło. Mąkę, groch, kurę, którą właściciel uśmiercił na jej oczach, i jeszcze duży bochenek chleba, jak się później okazało, właściwie niejadalnego, doprawionego jakimś świństwem. Niemniej Zosia nareszcie miała swój wkład w gospodarstwo domowe, co ją po prostu uszczęśliwiło.

Irka ucieszyła się z wieści, że należą im się pieniądze, i obie z Helą postanowiły szybko się wybrać po zapomogi, a potem skrupulatnie przeliczyła otrzymane od Zochy banknoty. Po chwili namysłu oddała jej część pieniędzy, tłumacząc, że pani bibliotekarka musi mieć gotówkę na swoje wydatki, i tak oto sto złotych polskich z powrotem wylądowało u Zosi, razem z torebką, sprezentowaną przez Irkę, by miała gdzie trzymać zarobiony grosz i mogła się pozbyć kosztownej, dziurawej ceratowej torby, którą nosiła przez całą wojnę. Nowa torebka była przepiękna, w artdecowskie romby, pochodziła z angielskiej manufaktury Launera. Zosia aż podskoczyła, by ucałować z radości Irkę. Dawno nie miała tak pięknych rzeczy. A skoro była posiadaczką torebki i płaszczyka, to kupiła jeszcze, po chwili wahania, śliczne giemzowe buciki na słupku. Sprzedawała je paniusia, stojąca na rogu ulicy Marszałkowskiej, która proponowała jej te butki od kilku dni. Tak wyelegantowana panna Zofia, wreszcie czując się najprawdziwszą damą i w ogóle kobietą, udała się do pracy cała w skowronkach, a tam doktor Chodakowski, nie bacząc na niezwykłą elegancję swej podwładnej, zlecił jej wyprawę na Pragę, na Inżynierską,

gdzie w gmachu Warszawskiej Dyrekcji Kolei mieściły się ministerstwa. Był to ten sam budynek, który niedawno odwiedziła Irka. Zosia postanowiła przy okazji się dowiedzieć, czy w PCK nie mają jakichś wiadomości o tacie, o znajomych Heli i zaginionym Władziu. Przede wszystkim jednak miała załatwić dla biblioteki pozwolenie na wyjazd służbowym samochodem. A także, co rozumiało się samo przez się, samochód, by mogli wyruszyć do Bottschow pod Frankfurtem, gdzie wywieziono aż sześć wagonów książek z biblioteki uniwersyteckiej. Kolejarze śledzili transport i mieli podejrzenia, iż książki zostały zmagazynowane w pobliskim majątku, należącym do zaprzyjaźnionej z gubernatorem Frankiem rodziny Riesselmanów.

Tak więc przeszła już w swoich nowych bucikach prawie całą Wisłę, na szczęście Warty nie musiała, gdy lód nagle tąpnął. Zamarła. Jak na scenie – otworzyła się zapadnia – i Zosia wpadła do wody.

Giemzowe pantofelki na słupku zniknęły pod lodem i była pewna: już po niej.

Miała szczęście. Ktoś tam w górze musiał nad nią czuwać, bo trafiła na mieliznę i człapiąc, dotarła z płaczem do brzegu, brodząc w wodzie, mając nadzieję, że nie wpadnie w jakiś inny dół. Stała na twardym gruncie i popatrzyła na swoje buciki. Wyglądały, ach, lepiej nie mówić, obraz nędzy i rozpaczy – muł, śnieg i jakieś paprochy. I wtedy rozpląkała się jak dziecko. Takie piękne buciki, tyle kosztowały. Dlaczego?!

Idący za nią młody mężczyzna zatrzymał się w pół kroku, popatrzył i wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę te buty tak panią zasmuciły? Marność nad marnościami...

Zachlipała i obtarła nos ręką. Jak nie ona.

– To nie są zwykłe buty, proszę pana! – obruszyła się. – To moje pierwsze buty, symboliczne, wróciłam, przeżyłam. Mam buty. I w ogóle.

– Ech, dziewczyno, głupiaś!

– Nie jestem głupia, wypraszam sobie! – zachnęła się, czując, jak ogarnia ją złość.

– Mądrzy ludzie płaczą z ważnych powodów.

Nachyliła się, a chłopak zrobił to samo. Miał miłą twarz i bardzo czarną czuprynę. Wyciągnął z kieszeni kufajki czystą i, o dziwo, wyprasowaną chusteczkę do nosa.

Ho, ho, jaki elegancki, pomyślała Zosia. Przyklęknął, ale nie całkiem, żeby nie pobrudzić sobie spodni śniegową breją, i pomógł jej oczyścić buty.

Podziękowała, lekko zmieszana. Młodzieniec wyciągnął do niej rękę i przedstawił się:

– Jędrzej Machowski.

– Zosia Nowak. I proszę nie myśleć, że jestem głupia. Wcale nie jestem. Całą wojnę prawie nie płakałam. Ale teraz już mogę. Będę płakać, ile chcę i właśnie z powodu takich głupot. A panu guzik do tego! – odparła hardo, acz nieco kłamliwie. Często sobie bowiem gdzieś tam w kącie popłakiwała.

– Dobrze, więc płacz, panno Zosiu, płacz do woli i do znudzenia – pozwolił jej uprzejmie Jędrzej o falującej czuprynie.

– Już wystarczy – odparła z godnością i skinęła mu głową.

– Do zobaczenia! – Pomachał jej ręką i zniknął w kłębiącym się przy brzegu tłumie.

A Zosia powlokła się w mokrych butach na Inżynierską, gdzie stanęła w gigantycznej kolejce, która miała pewnie z kilometr i zakręcała aż za róg ulicy. Ludzie powoli, jeden za drugim, przesuwali się do przodu, aż wreszcie i ona, całkiem już zziębnięta, dostała się do środka.

Odwiedzających rejestrował młody mężczyzna w mundurze. Polskim mundurze. Obok niego stał drugi. Z bronią. Tęgie wojaki.

Gdy nadeszła kolej Zosi, podała nazwisko, a potem kenkartę i nieśmiało zagadnęła:

– Panie poruczniku, gdzie tu jest wydział kultury?

– Wy partyjna? – padło w odpowiedzi.

– Nie – odparła zdumiona.

– Jeśli niepartyjna, to mówcie do mnie: obywatelu poruczniku, teraz są towarzysze albo obywatele, skoro czekają, że coś się zmieni. A panów już nie ma.

Zośka nie skomentowała wypowiedzi żołnierza w polskim mundurze, tylko z lekka porażona poszła w kierunku schodów, klapiąc głośno mokrymi butami.

We właściwym pokoju, kiedy go wreszcie odnalazła, wyłuszczyła, co ją tu sprowadza, i obywatel urzędnik obiecał jej samochód z szoferem.

Już wychodziła zadowolona, gdy dodał, jakby od niechcenia:

– Bez talonu zabiorą wam samochód.

– To poproszę również o talon.

– Ale ja nie mam talonów.

Zmieszała się, przestępując z nogi na nogę, by rozgrzać zziębnięte stopy.

– Więc co mam zrobić, obywatelu urzędniku?

Mężczyzna, szary na twarzy z przemęczenia, a pewnie i niewyspania, podniósł się ociężale zza biurka i powiedział cicho:

– Proszę za mną.

Po chwili dodał jeszcze:

– Obywatelko.

Poszli do innego pokoju, gdzie urzędowała tym razem kobieta, siwowłosa, choć jeszcze niestara, w wojskowym mundurze. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Zosi – dobry znak, ale nie chwali się dnia przed nocą, jak powiadają mądrzy ludzie...

– Nie dam, bo nie mam. Nasze też bez talonów jeżdżą – powiedziała tamta już bez uśmiechu.

No i masz babo placek.

– A jeśli zabiorą?

– Oddać, nie walczyć, nie stawiać oporu. Czy to jasne? I zatrzymywać się wyłącznie na rozkaz riegulorowszczy. Gdyby ktoś inny zatrzymywał, w lesie czy na drodze, od razu strzelać.

– Strzelać? – zdumiała się Zosia. – A z czego, jeśli wolno spytać? Przecież jesteśmy bibliotekarzami, fachowcami od książek, nie od strzelania. Broni żadnej nie posiadamy na składzie, więc...

Kobieta bez słowa podniosła się z krzesła.

– Proszę pójść za mną.

Kolejny pokój z wielkim podkolorowanym Stalinem na ścianie zasiedlał niechlujny, nieogolony pułkownik o surowym wyglądzie. Zosia patrzyła nie bez lekkiego dreszczyku na bladoróżową szramę przecinającą cały policzek.

Wysłuchał jej w milczeniu, potem, nic nie mówiąc (nadal patrzyła na tę jego szramę), wystukał coś jednym palcem na maszynie, przypieczętował wielką czerwoną pieczęcią, a następnie podał jej kopertę, do której od razu włożył dokument.

– Na podstawie tego dokumentu dostaniecie, obywatelko, broń w Urzędzie Bezpieczeństwa – oznajmił.

Zosia szeroko otworzyła oczy. Już nie było jej zimno, a wręcz przeciwnie, zrobiło się bardzo ciepło.

– Ale ja nie umiem strzelać... – zeznała wystraszona i oblizła językiem wargi.

Mężczyzna zamyślił się, popatrzył na dziewczynę, zwłaszcza na jej nogi obute w przemoczone,

kapiące wodą buciki, westchnął i powiedział:

– Tak po prawdzie to wam konwojenci by się, towarzyszeko...

Zosia przerwała mu cichutko:

– Obywatelko...

– Aha, no więc, obywatelko, wam by się konwojenci przydali.

– To może pan minister mi ich przydzielili! – ucieszyła się.

– Ludzi wam nie dam. Są potrzebni tu, na miejscu. Chodźmy obok.

Znów zmienili pokój i tym razem za biurkiem siedział nieduży staruszek o niewątpliwie semickich rysach.

– Ludzi wprawdzie nie mam, przykro mi. Ale dam pani list.

Pani?! Już nie mogła się w tym wszystkim połapać. To w końcu jak – towarzyszeko, obywatelka czy pani?

Staruszek o twarzy uduchowionego rabina, nieświadom jej rozterek, podyktował sekretarce, siedzącej przy jasnym biurczku pod ścianą, list.

Z namaszczeniem wręczył go Zosi i nakazał surowo:

– Z tym listem udacie się, towarzyszeko... – tym razem już milczała, w końcu nie była małostkowa – do zastępcy naczelnego wodza.

Zosia nie miała pojęcia, że ktoś taki w ogóle istnieje. Naczelną wodzą. Kto to mógł być? W ogóle miała słabe pojęcie o wielu sprawach, które teraz w tej nowej Polsce się działy, ale szybko się uczyła.

– Do zastępcy od spraw polityczno-wychowawczych. Może być w Pruszkowie. Jednak uprzedzam, za bardzo na to nie liczcie. Miejsce postoju wciąż się zmienia.

– To po co mi ten papier?

– Bez naiwnych pytań – zarządził stareńki towarzysz – ten papier otwiera wszystkie drzwi... – chrząknął. – Na niższych szczeblach, oczywiście. W Poznaniu postarajcie się dostać do pełnomocnika rządu przy Białoruskim Froncie. Życzę sukcesu. Książki są bardzo ważne. Kiedyś, w poprzednim życiu, byłem księgarzem, tylko cicho, sza... – Spojrzał za siebie, ale sekretarka była zajęta malowaniem ust i najwyraźniej nie interesowała jej wcześniejsze wcielenia przełożonego, uśmiechnął się więc nieco szczerbato, demonstrując żółte pieńki, po chwili jednak oprzytomniał i zasalutował.

Zosia, chcąc nie chcąc, odsalutowała. A potem obywatelka panna Nowak dygnęła, ach, te burżuazyjne nawyki, powinna jak najszybciej z nimi skończyć, stuknęła więc obcasami, a drobinki wody rozprysnęły się wokół nie tak już ślicznych pantofelków, po czym wyszła z gabinetu ogłuszona nieco, zostawiając za sobą krople wody na całej podłodze.

W następnej kolejności udała się do ministra skarbu targować się o przydział benzyny, kiełbasy i wódki. Najgorzej było z wódką.

Zapytał:

– Po co pani wódka? Mam nadzieję, że pani nie pije?

– Nie, skądże znowu! – zaprzeczyła natychmiast, chociaż widziała, że minister kpi sobie z niej w najlepsze. – Ale pan minister wie, że to teraz środek płatniczy...

– Obiegowym środkiem płatniczym jest złoty polski.

– Naturalnie – przytaknęła żwawo zdecydowana za wszelką cenę wykonać polecenia Chodakowskiego. Tym bardziej że to wszystko nawet zaczęło jej się podobać. – Jednak z pewnością towarzysz minister musi wiedzieć, że wojskowi wolą wódkę od pieniędzy, a od nich wiele dziś zależy...

– Zamierza pani rozpijać żołnierzy sojuszniczej armii?

– Ależ, panie ministrze. Czy ja wyglądam na taką?

– Dobrze. Nie wygląda pani, choć, jak uczy życie, pozory mylą... – Uśmiechnął się lekko. – Ale nie dostanie pani dwudziestu litrów, które przyznał premier, tylko dziesięć.

Zosia wyszła szczęśliwa. Udało się. Zapomniała nawet o mokrych pantofelkach. Miała nakaz na samochód, cukier i wódkę. A także konwojentów. Miała wszystko, wszyściutko, ach. Doktor Chodakowski będzie z niej dumny. Gdy już skończyła załatwiać sprawy służbowe, ruszyła w kierunku Polskiego Czerwonego Krzyża. Biuro mieściło się na parterze. Przed drzwiami do pokoju była nie mniejsza kolejka od tej przed budynkiem. Tłum zdesperowanych i smętnych petentów wypełniał całą długość korytarza i zakręcał za róg. Zosia potulnie ustawiła się na szarym końcu i oparła o ścianę. Wyglądało na to, że spędzi tu kilka najbliższych godzin. Na chwilę zamknęła oczy i pograżyła się w marzeniach. Może tam, w tym pokoju, będzie na nią czekać jakaś dobra wiadomość. Ojciec wrócił, odnalazł się, jest, szuka jej.

I w tym momencie usłyszała znajomy głos:

– Zosia! Czy to naprawdę ty, Zosiu?

Głos bardzo donośny i pełen przejęcia.

Nie trzeba wracać do wspomnień

7 MARCA 1945, WARSZAWA

Igła mignęła jej przed oczyma.

– Nie napinaj się – uspokajał łagodnym głosem doktor Zalewski, więc pospiesznie zacisnęła oczy i usta. Cała się spięła, czekając na ból. Zakłuło. Zabolało. Syknęła.

Wisiąca na poręczy wolterowskiego fotela, który kiedyś należał do Irenki, a teraz użytkowali go Zalewscy.

Poczuła jeszcze zimny dotyk szmatki nasączonej spirytusem i doktor powiedział:

– No i po kłopotcie. Możesz się ubrać.

Helenka szybko podciągnęła reformy, poprawiła sukienkę, podziękowała i wyszła, trochę spłoszona, a trochę zawstydzona, z pokoju Zalewskich. W końcu nie była zwyczajna świecić gołym tyłkiem przed obcymi mężczyznami. U doktorostwa wyglądało inaczej niż w reszcie mieszkania. Wanda Zalewska przynosiła codziennie, nie wiadomo skąd, najrozmaitsze przedmioty, którymi ozdabiała ściany, stoliki i stoliczki oraz etażerki, aż w końcu dawna jadalnia Irenki zamieniła się w przytulny salon, aczkolwiek zagracony do niemożliwości. Stało tu także pianino, przeciągnięte z mieszkania na tej samej klatce, które należało dawniej do folksdojczki Chudetzky, jak wyjaśniła Heli Irenka. Miała też pani Wanda patefon i kilka płyt, przedwojennych, z piosenkami Adama Astona, które puszczała na okrągło. Do znudzenia.

Takie miłe domowe ciepło zbudowane na ruinach, mówiła o tym ich pokoju Irenka. I chyba słusznie, tak sobie pomyślała Hela, idąc obskurnym korytarzem.

W kuchni, jak to w kuchni, o tej porze rządziła Kacha, rozebrana do milanezowej halki, by nie brudzić odzieży. Zajęła się ostatnio produkcją masła. Trzeba przyznać, że była z niej obrotna kobita. Czasem aż za bardzo...

Wojtek Głaza przywoził ze wsi pod Grójcem bańki śmietany, a Kaśka z siłą dziewczki folwarcznej kręciła masło w dużej drewnianej maselnicy. Wszędzie, na oknie, kredensie, na półkach suszyły się szmatki, w które zawijali uformowane osełki. Zlew ciągle tonął w tłuszczu, którego w żaden sposób nie dawało się usunąć.

Jednak tym, co najbardziej złościło Helę, było oszukaństwo. Grzech ciężki, a do tego wstyd i hańba. Oszukaństwa naprawdę nie lubiła. Kaśka, wręcz przeciwnie, bez mrugnięcia okiem i żadnego wstydu dodawała do tego swojego masła różne bardzo pomysłowe rozpychacze: gotowane ziemniaki, mąkę, sok z marchwi dla lepszego koloru, a na końcu tego procesu fałszowania Wojtek jeszcze ostrzykiwał to wszystko wodą. Helenka spojrzała na niego z odrazą i pokręciła głową, bo akurat z wielką strzykawką w dłoni pompował żółtą bryłkę.

Wzdrygnęła się, nabrała z wiadra wody i pomyślała o nim już trochę łagodniej. Trzeba przyznać, że Wojtek był przydatny i zawsze pod ręką; on jedyny z zamieszkałych tu mężczyzn chodził do studni, znajdującej się kilka ulic dalej, i przynosił dwa, cztery wiadra dzień po dniu. Doktor Zalewski też niekiedy, w wolnej chwili, donosił wodę, ale to było naprawdę od wielkiego

święta. Albo dzwonu, wedle uznania. A jeśli chodzi o tego młodego z gabinetu, to już insza inszość, nie pomagał w niczym. W zasadzie nie wynurzał się ze swojego pokoju, w kuchni pojawiał się tylko po to, żeby pozmywać naczynia. Był samowystarczalny, miał prymus i kilka butelek, które, jak Hela widziała, czasem wystawały mu z plecaka pełne wody. Niby mówił „dzień dobry”, ale bardziej przypominało to mruczenie. W ogóle był jakiś dziwny. Mruk i milczek, zawsze zerkał spode łba, nigdy nie patrzył w oczy. Hela nie była tchórzliwa, ale ten człowiek wzbudzał w niej lęk. I widziała, że inni lokatorzy też niezbyt dobrze się czują w jego obecności.

Kaśka dołała do masy soku z marchwi i zakręciła jeszcze parę razy, dopóki masło nie przybrało ładnego, żółtawego koloru. Odstawiła na krzesło maselnicę i zaczęła formować osełki.

Hela postawiła czajnik na kuchni. Chciała zrobić sobie coś ciepłego do picia. Irenka zdobyła gdzieś sok malinowy i woda z tym sokiem była po prostu przepyszna (mimo że sok okazał się sfermentowany). Irka miała swoich dostawców i kupowała wszystko, co mogła później sprzedać w tramwajowej kawiarence. Ale oszukanego masła od Kaśki nigdy nie brała, o co ta miała do niej niespecjalnie skrywane pretensje.

Miłe ciepło promieniujące od rozpalonego pieca rozgrzewało Helczyne plecy. Pupa już nie piekła. Helenka przysiadła sobie przy kuchni i patrzyła na operatywną parkę, uwijającą się przy kolejnej partii masła nie masła.

– Panie Wojtku, nie zaśpiewałby pan czego? – spytała w końcu.

Wojtka nie trzeba było długo prosić, lubił śpiewać i miał ładny, głęboki głos.

Jak nasz ksiądz w Woli Ostrowskiej, pomyślała Helenka.

W dzień deszczowy i ponury
Z cytadeli idą, z góry,
Szeregami lwowskie dzieci
Idą tułać się po świecie.
Na granicy Czarnogórza
Czeka nas mitręga duża.
Może nawet tam
Czeka na nas wróg,
A więc prowadź, prowadź Bóg!

Wojtek śpiewał, nie przerywając roboty. Był ze Lwowa, ale jakoś nic nie opowiadał. A one nie pytały. Może jeszcze nie przegryzł tamtego wszystkiego, mówiła Irenka. Zresztą wiedziały, że to był jeden z owych tematów, na które bezpieczniej jest nie rozmawiać.

Skończył pompowanie i patrząc miłośnie na rozkociudaną Kaśkę, zanucił:

Ty aniołem byłeś mi
Skradłaś moje najpiękniejsze dni
Uśmiech Twój przenikał serce me
Krzyczę głośno – nie opuszczaj mnie!
Twoich oczu wspomnień piękny blask
Daj mi szansę, ten ostatni raz
Serca rytm dogoni chwile te

Do mych ramion wróć i przytul mnie.

Kaśka nie zwracała na niego żadnej uwagi, przypominała walec drogowy, zarówno toporną urodą, ogólną masywnością, jak i niezmordowanym dążeniem do celu. Teraz też – zacisnęła tylko zęby i robiła swoje. Wałkowała, cięła i znów wałkowała. Spod pach wystawały jej spoczone włosy, a ciemny wąsik nad górną wargą znamionował podobnież ognisty temperament, ale też wojowniczość.

W żadnym razie nie przypominała anioła, o, nie. Helenka, w przeciwieństwie do Kachy, była ciepła, miękka i sentymentalna, więc zaszkliły jej się oczy, gdy Wojtek skończył pieśń.

Ale od razu zaczął nową:

Gdzie wy tieper'? Kto wam cełujet palcy?

Kuda uszoł wasz kitajczionok Li?

Wy kazetsja potom ljubili portugalca?

A możet byt' s malajcem wy uszli...

W tym momencie trzasnęły drzwi i pojawiła się w nich wymęczona Irka. Zwaliała w kąt tobół z najcenniejszymi rzeczami z kawiarni i ciężko klapnęła na krzesło. Wojtek przerwał swoje występy, ale Irka, która też była wielbicieleką jego talentu, machnęła zachęcająco ręką:

– A niech pan śpiewa, panie Wojtku, tylko może coś weselszego...

– Weselszego? Kiedy w duszi się cknę... – westchnął. – Ale niech...

I zaczął na inną nutę:

Nie trzeba wracać do wspomnień,

żał serca ukoi czas...

Naszej gorącej miłości płomień

dawno na zawsze już zgasł.

Naszej gorącej miłości płomień

dawno na zawsze już zgasł.

Czy tu, czy tam

po świecie błędzę gdzieś sam,

ale po tobie małą chusteczkę,

jedną pamiątkę dziś mam,

a ja po tobie małą chusteczkę,

jedną pamiątkę dziś mam.

– To ma być weselsze? No, panie Wojtku, chyba coś się panu pomyliło... – obruszyła się Irka.

– Kiedy teraz w duszi ni masz wesela.

Irka wzruszyła ramionami.

– Panie Wojtku, da pan spokój. Bawmy się. Co jest, to jest. I tak jest lepiej.

Popatrzył na nią bez przekonania, odstawił ostatnią osełkę masła i donośnym głosem zaśpiewał w rytmie łup, łup:

O północy si zjawili
Jacyś dwaj cywili:
Mordy podrapane,
Włosy jak badyli.
Nic nikomu ni mówili,
Ino w mordy bili
I bał zakończyli.
Ta już, taj joj!

No, to insza inszość. Dziewczyny tak się rozochociły, że aż klaskać zaczęły do taktu i podrygiwać. Taj już, taj już!

W tym momencie drzwi znowu trzasnęły i do kuchni wpadła Zalewska niczym furia z rozwianym blond włosom. Oczywiście tlenionym.

– Co pan się tak drze, do jasnej cholery, człowiek nawet przespać się nie może. Co za ludzie, jak jaki najgorszy element z przedmieścia się zachowują. Kultury za grosz! No, przestań pan, mówię, bo mnie nagła krew zaleje!

Wojtek nie przestał, tylko zaśpiewał jeszcze głośniej, a Kaśka mu zawtórowała:

A muzyczka, ino, ano,
A muzyczka rżnie!
Bo przy tej muzyczce
Gości bawią się wesoło!
Wszystko jedno, czy to męska,
Czy to damska jest!
Byli tylko rżnęła fest a fest!

Oboje z Kaśką darli się jedno przez drugie, śmiejąc się Wandzie w twarz. Bardzo niekulturalnie, fakt. Doktorowa oniemiała w obliczu takiej bezczelności i już w ogóle nie wyglądała jak furia, bardziej jak zdeptana oklapła blond purchawka. A potem, jakby znów nagle ożyła, podniosła się z tego oklapnięcia napompowana mściwą żądzą odwetu, złapała garnek, co stał na kuchni, pusty szczęśliwie (dla Wojciecha), i jak nie walnie, jak nie majtnie tym garnkiem – wiuuuu! – prosto pod nogi śpiewaka. Zatkąło go z wrażenia, bo z miejsca się zamknął i płynnie przeszedł do rękoczynów, rzucając się z pięściami na Zalewską.

Doktorowa już dawno podpadła Kaśce i jej gachowi, to nie był pierwszy raz, ciągle toczyła się między nimi wojna podjazdowa, a teraz widać miarka się przebrała. Bo wiadomo, póty dzban wodę nosi, póty Zalewska garnkiem nie rzuca...

Irka poderwała się z krzesła i całym ciałem zasłoniła doktorową. Bardzo odważnie. Mało brakowało, a sama zdrowo by oberwała. Wielka piącha Głazy zawisała nad nią jak miecz Damoklesa. Przez moment mierzyli się wzrokiem, aż Wojtek ochłonął, bo dobry był z niego człek, tylko krewki.

Gdy się nieco odsunął, ale tylko trochę, Irka wzięła się pod boki i krzyknęła:

– Dosyć burd! Żadnych takich tam, panie Wojtku! U mnie w domu ma być spokój i pełna kultura. Bo inaczej fora ze dwora!

– A nie bedzi mi ta choliera śpiewać zabraniała! – powiedział bojowo, ale tonem dość

ugodowym, acz pełnym pretensji, ale Kaśka, jak to Kaśka, jeszcze by się z miłą chęcią poawanturowała, oj z bardzo miłą!

Helenka podskoczyła, spiesząc na ratunek Irce, która wydała jej się, gdy tak stała naprzeciwko wielkiego niczym obelisk chłopa, mała jak myszka przeciw złemu kotu powstająca.

Nie wiadomo, jak by się cała sprawa zakończyła, a mogło być ostro, gdyby nie to, że w tym momencie w drzwiach stanął młody z gabinetu. Ten, o którym nikt nic nie wiedział. Nagle wszyscy zamilkli. I jak trusie zaczęli się rozchodzić po pokojach. Kaśka wrzuciła tylko bryłki masła do woreczka i wywiesiła za okno, by stężały, a potem bez jednego słowa wyniosła się z kuchni. Irka też, nawet nie spojrzawszy na sąsiada, wyszła pospiesznie, mijając się z nim przy wejściu. Za nią ze schyloną głową podreptała Helenka.

Chłopak powstał chwilę, patrząc za nimi, a potem na pustą kuchnię, nie uśmiechnął się, twarz miał bez wyrazu, jak woskowa maska. Podszedł do wiadra na zlewki i wylał coś z trzymanego w ręku garnuszka. Odwrócił się i po chwili zniknął w swoim pokoju, zamykając głośno drzwi na klucz.

Helenka usłyszała ten chrobot, ich pokój był za ścianą, i ścisząc głos, powiedziała:

– Poszedł...

– Tak, ale mamy tu mola, ani słowa nie powie. Jak nie człowiek. Jeszcze takiego odludka i mruka w życiu nie widziałam.

– A wiesz, Irka, czasem to tak sobie myślę, że on jest jakiś smutny. Takie coś ma w oczach.

– Może i smutny, ale nic mu nie stoi na przeszkodzie, żeby się zachowywał jak człowiek, a nie niczym dziki zwierz z puszczy. Ludzi tylko straszy. Naprawdę tak trudno zagadać, uśmiechnąć się chociaż? No, powiedz sama, Heluniu...

– Święte słowa, nie mówmy już o nim, nie ma co po próżnicy. Coś długo Zośka nie wraca... noc już – westchnęła Helenka i sięgnęła po książkę, którą właśnie czytała. *Błękitny zamek* się nazywała, śliczny tytuł. Irka kupiła ją wczoraj w antykwariacie Kubickiego⁹ na Hożej. Bardzo ta powieść była ciekawa, Helenka oderwać się od niej nie mogła.

– Nie martw się, wróci, chyba że spotkała miłość swojego życia, gdzieś w ruinach... – zaśmiała się Irka, lecz po chwili wesołość jej minęła. Spochmurniała jakoś, zmarszczyła brwi. Na stoliku miała rozłożoną płachtę „Życia Warszawy”. Przeczytała pierwszy nagłówek, jaki jej się rzucił w oczy:

„Ani jedno dziecko nie przepadnie w Warszawie”.

I dalej: „Domy Dziecka prostują chwiejące się charaktery”.

Zimny dreszcz przeszedł jej po krzyżu. Sama nie wiedziała dlaczego...

7 MARCA 1945, WARSZAWA

Szła jak półprzytomna, nie zważając na brudny, wodnisty śnieg, w którym co rusz grzęzła albo też ślizgała się na lodzie, schowanym pod śnieżną pokrywą. Przewracała się, podnosiła i znowu szła. Nie zwracała uwagi na drogę, na to, że wokoło idą inni ludzie. Myślała o stryju Mietku. Stanął przed nią jak duch z przeszłości. Wysoki, przystojny, jasny jak łan zboża. Z tym swoim pięknym orlim nosem i błękitnymi oczami. Mojżesz Szafir. Żywy i zdrów. A już w czterdziestym pierwszym dotarła do nich, do Krakowa wtedy jeszcze, wiadomość, że stryj został rozstrzelany w Wilnie. Potem napisał jego syn Abramek, że stryja złapali na ulicy

i zamordowali w jakichś Ponarach. Ojciec zmówił kadisz, a tu, proszę, stryj stoi przed nią cały i zdrowy. Uściskali się jak nigdy dotąd. Zosia nie widywała go zbyt często. Zawsze był taki trochę obcy, mieszkał daleko i tylko raz, a może dwa czy trzy, już dobrze nie pamiętała, przyjechał do nich, do Krakowa. Rodzice ciągle planowali, że go odwiedzą, stryj zapraszał, ale jakoś nigdy się nie składało.

Zosia wiedziała, że był adwokatem i dobrze mu się wiodło. Tata do niego zaglądał, nawet dość często, ale sam, przy okazji podróży w interesach, które niekiedy wiodły go do Wilna. Opowiadał potem o eleganckiej willi i samochodzie, i pięknej żonie, którą Zosia pamiętała jak przez mgłę. Stryja jednak poznała od razu. Też po głosie: lekko zachrypniętym, bo dużo palił, z charakterystycznym wileńskim akcentem.

– Zosia! Zosiu, żyjesz! Byłem pewien, że spotkamy się dopiero w zaświatach, a jednak przeżyliście! Szukałem was w Krakowie! – wykrzyknął na powitanie, oczy mu się zaszklily i dalej już nic nie widziała, bo przycisnął ją do siebie tak, że prawie zniknęła, i tylko guziki od munduru drapały jej nos i policzki.

Gdy ją puścił, wpatrywała się w niego długą chwilę, a potem wyszeptła drżącym głosem, świadoma, że cała kolejka nie spuszcza z nich oka:

– My też sądziliśmy, że stryja zastrzelili.

I od słowa do słowa, zaczęli gadać jedno przez drugie. Nagle się zreflektowali, że są jak na scenie, nawet babulinka obok, pochlipując, złapała Zosię za rękę i zaczęła zawodzić rwącym się głosem:

– No popatrzcie, ludziska, popatrzcie, można się odnaleźć, można. Tylko w Panu Bogu nadzieja...

Stryj wyprowadził ją szybko z kolejki. Zosia spojrzała na ludzi, twarze jej się zamazywały, szkoda jej było wychodzić. Tyle się tu nastąpiło, była już blisko drzwi, ale są sprawy ważne i ważniejsze. Stryj Misza żyje. Graniczyło to z cudem. Wprowadził ją do gabinetu, a tam usiadła na krzeselku, podobnie jak w tych wszystkich innych biurach, które dziś odwiedziła. Niemało ich było, ale ten pokój wydawał się jakby ładniejszy od tamtych, większy. Czyżby stryj był jakąś znaczną osobą? Grubą rybą? Ciekawe, zastanowiła się przez moment. Stryjek Misza spojrzał na nią taksująco i sięgnął pod biurko. Wyciągnął stojącą tam flaszkę, nalał do dwóch szklaneczek ciemnej przepalanki i powiedział:

– Jesteś już dorosła. Napij się ze starym stryjem. No, śmiało.

Wyglądał na zmęczonego, przybyło mu lat, siedział ciężko na obitym skórą foteliku, stanowczo dla niego za małym. Położył łokieć na biurku, lewą ręką podparł głowę. Oboje patrzyli na siebie bez słowa, nie umiejąc sobie poradzić z targającymi jednym i drugim uczuciami. A może również obcością, bo więzy krwi, no cóż, ale... Zosia dziwnie się czuła, tak bardzo, bardzo chciała mieć kogoś tylko dla siebie, kogoś swojego. Patrzyła na stryjka Miszę, na jego zmarszczki, poszarzałą twarz. Czy on będzie tym jej własnym, ważnym kimś? Pamiętała go, ale nigdy nie był jej bliski. Teraz jednak coś ścisnęło ją w gardle. Drżały wargi. Oczy znów się zaszklily.

Nie lubiła alkoholu, właściwie nie piła. Pokręciła głową.

– Ale ja, no nie, ja...

Stryj nic nie mówił, patrzył, więc poczuła się trochę przymuszona, zresztą chciała jakoś wybrnąć z sytuacji, przeżyć ją. Uśmiechnęła się, sięgnęła po szklaneczkę i wypila duszkiem.

Dobrze jej to zrobiło. Rozgrzała się odrobinę. Chuchnęła. Złapała powietrze i uśmiechnęła się do stryja. A on do niej – jakby pękła niewidoczna tama.

– Heniek, co z nim? – zapytał krótko. Wydusił z siebie to pytanie. Wyrzucił.

– Nie wiem. Kiedy się rozstawaliśmy, tatuś czuł się dobrze. To długa historia. – Zosia uśmiechnęła się słabo. – Wyskoczyłam z pociągu, którym nas wieźli do obozu. Mama wtedy jeszcze żyła, ale niewiele jej tego życia zostało. Tata, tak się umówiliśmy, miał skoczyć zaraz za mną. Ale nie wiem... Wtedy widziałam go ostatni raz. Może gdzieś się ukrył, a może w ogóle nie wyskoczył? Nic nie wiem. Do Warszawy nie wrócił.

Zamilkła. W tym, o czym opowiadała, była pewna kwestia, której nie chciała pamiętać. Porzuciła ich. Mamę na pewno. Nie chciała tak myśleć, jednak to przekonanie gdzieś uporczywie tkwiło jej pod czaszką i w żaden sposób nie dawało się stamtąd usunąć.

Stryj zdawał się nie zauważać tej bolesnej dla Zosi sprawy.

– Zawsze była delikatna, za delikatna. Twoja matka – powiedział tylko i znów nalał wódki.

Zosia zapytała:

– Herbaty stryjek nie ma?

– Ależ mam, oczywiście, ty panienka, no gdzie ja głowę miał... – zaczął się nieskładnie tłumaczyć.

Nacisnął dzwonek, przypominający hotelowy, i zaraz, jak na zawołanie, pojawiła się chuda kobieta w fartuchu, jakby szkolnym. Miała równo przyciętą grzyweczkę i tak samo równiutko przycięte paznokcie. Na serdecznym palcu lewej ręki błyskał cieniutki srebrny pierścionek z błękitnym kamyczkiem.

– Pani Nadziu, proszę nam podać herbatę. Zosiu, może coś zjesz? Jesteś głodna?

Kiwnęła głową, patrząc na panią Nadzię, która wydała jej się dość dziwna – coś między urzędniczką a pokojówką. Miała jakąś taką usługną postawę, wręcz przymilną, z tym sztucznym uśmiezkiem przyklejonym do ust. Gdy zobaczyła owo Zosine kiwnięcie, tak się ucieszyła, jakby ją spotkał jakiś wielki zaszczyt.

Zosia jednak nie miała czasu zastanawiać się nad tym dziwnym zachowaniem pani Nadzi, bo stryj zwinął sobie papierosa, więc odruchowo spojrzała, z czegoż to sobie tak zgrabnie go zwija. I poczuła ukłucie w sercu. Niewątpliwie była to książka. Już chciała coś powiedzieć, coś, co na pewno by mu się nie spodobało, ale ugryzła się w język. Milczała, ze wzrokiem utkwionym w cieniutkiej, oskubanej z kartek książeczce. Po niedługiej chwili, gdy stryj delektował się papierosem, z machorką ani chybi zza wschodniej granicy, bo śmierdziała jak, nie przymierzając, onuce kołchoznika, zjawiała się pani Nadzia, niosąc na tacy przykrytej czystą serwetką talerz kanapek z prawdziwą kiełbasą i kiszonymi ogórkami, a także duży metalowy kubek z herbatą. Zosi burczało w brzuchu, tyle godzin już tu, na Inżynierskiej, spędziła, więc bez namysłu, chociaż dobrze wiedziała, że to niezbyt elegancko, rzuciła się na jedzenie. Potem sięgnęła po herbatę, upiła łyk i stwierdziła, że jest do przesady słodka. Po prostu ulepek. Pani Nadzia naprawdę się postarała.

Stryj palił, nie zwracając na nią uwagi. Patrzył w okno.

Gryząc kanapkę, spytała:

– A co słyhać u stryjka? Abramek do nas pisał, wtedy, w czterdziestym pierwszym. Przeżył?

– Nie, wszystkich rozstrzelali, i Hanię, i Jędrka. A ciotkę Malkę wyrzucili przez okno na bruk.

Przestała jeść; kęs kanapki utknął jej w gardle, spojrzała na stryjka. Znów zimno wróciło. Miał szklany wzrok.

– O Boże – jęknęła. – A jak ty się, stryjku, uratowałeś, przecież ciebie wzięli pierwszego?

Znów łyknął przepalanki. Wytarł usta wierzchem dłoni. Spojrzał gdzieś w bok, jakby uciekał wzrokiem.

– Kazali mi zakopywać zwłoki. Zawsze miałem szybki refleks, więc sam się zakopałem – zachichotał dość upiornie.

Zośka znów omal się nie zadławiła. Ogórkiem. Odłożyła kanapkę i słuchała.

– Tak to. Włazłem, proszę ja ciebie, do mogiły, przytuliłem się do umarłaków i zgarnąłem na siebie ziemię. Nie znaleźli mnie, psie syny, i pojechali.

– I co dalej? – Siedziała jak na szpilkach.

– Potem się wygrzebałem, poszedłem w las i dołączyłem do partyzantów. Wyglądam dobrze, rozumiesz, więc do końca wojny przesiedziałem w lesie. Kiedy Niemców pogonili, byłem już w Armii Czerwonej. Nie w polskim wojsku. Tak wyszło. Teraz jestem tu doradcą.

Zaśmiał się gorzko i znów nalał sobie wódki.

– Skoro nie wiesz, czy Heniek wyskoczył z tego pociągu, czy zginął, to może jeszcze się odnajdzie – stwierdził, opróżniając kolejny kieliszek.

– Właśnie przyszedłam się dowiedzieć. Czy wujek mógłby zapytać w pokoju PCK? Może...

– A tak. Bez kłopotu. Sam was tam zgłosiłem. I proszę, ot, mamy szczęście. Znaleźliśmy się jak w korcu maku.

– Mamy szczęście – potwierdziła Zosia.

Ale tak naprawdę nie była zbyt szczęśliwa. Stryja Miszę znała mało. Z całej rodziny zostali tylko we dwoje. On, nieznanym, i ona, prawie mu obca.

No, nie można tak myśleć, stryj to zawsze brat ojca, bądź co bądź, bliska rodzina, znów przywołała się do porządku.

Może jednak tata wróci. Trzeba w to wierzyć. I dobrze, że jest chociaż stryj Misza. Ktoś przeżył, może jeszcze inni się odnajdą? Przyjaciele, znajomi. W serce Zosi wstąpiła otucha. Sama siebie uspokajała. A może oszukiwała?

Stryj Misza znów się nią zainteresował.

– Ale opowiedz mi, Zosiu, coś o sobie. – Uśmiechnął się zachęcająco. – Co porabiasz, gdzie mieszkasz, jak sobie dajesz radę? Jak w ogóle udało ci się przeżyć?

Pokrótkę opisała mu swoją obecną sytuację.

– To znaczy u ciebie wszystko dobrze, w zasadzie.

– Tak, stryjku, dobrze. – Sięgnęła po kolejną, ostatnią już, niestety, kanapkę. Była głodna jak wilk. Ostatnio bezustannie coś jadła. Rekompensowała sobie, rzec by można, lata głodu i chłodu.

– Może ja bym mógł ci w czymś pomóc?

– Dziękuję. Na razie nie trzeba. Ale... – Spojrzała mu w oczy. – Może stryjek kiedyś mnie odwiedzi? A propos, gdzie stryj mieszka?

– Mam kwaterę tu, na Pradze, niedaleko Targowej.

– To blisko, ja jestem trochę dalej, na drugim brzegu Wisły, ale na pewno się znajdziemy – powiedziała Zosia.

Wyglądał imponująco w mundurze radzieckim. Ile on może mieć lat, zastanowiła się przez moment. Chyba czterdzieści kilka. Był od ojca młodszy.

– A! Stryjku! Ja teraz nazywam się Nowak. Zosia Nowak. Okupacyjne nazwisko, takie tam... zwyczajne.

– To lepiej przy nim zostać. Jest nawet taka dyrektywa, żeby nie zmieniać. Tak bezpieczniej, póki to wszystko się nie urządzi już na stałe.

– To stryjek też się teraz inaczej nazywa?

– A nie. Ja byłem Szafir, jestem i będę Szafir. Tyle że teraz Mieczysław. Zastanawiałem się nad Mieszkiem, ale dałem sobie spokój.

– Mieszko Szafir? A dlaczego nie Mieszko Pierwszy? – odparła nieco ironicznie Zosia, ale zaraz posmutniała. – Inna sprawa, że szkoda nas, Szafirów.

– Raczej Mieszko Ostatni. No, popatrz, mała, że też sam na to nie wpadłem! – Zaśmiał się. – Mieszko, Moszko, Misza, niedaleko stali. Niemniej, Zosiu, miecz i sława. Mieczysław. Nie uważasz, że nieźle to się zapowiada?

– Czy ja wiem? Stryjek jest przecież prawnikiem, to chyba raczej waga.

– I miecz. Tak sobie o tym wszystkim myślę i powiem ci, Zosiu, że strasznie mi gorzko.

– Mnie też, stryjkę, mnie też... Czy my kiedyś z tego wyjdziemy? Jak stryjek myśli, czy to w ogóle jest możliwe? Czy da się zapomnieć?

– Nie wiem. Nie wiem, czy chcę zapomnieć.

– Ja chcę taty. Tylko tyle. Żeby wrócił. I spokoju. Mama na pewno nie żyje. Ale tata, tata miał szansę.

– Heniek był mądry i odważny. Kto wie, może wyskoczył. Ale nawet jeśli... – Pogładził dłonią policzek i westchnął. – Zosiu, lepiej na to nie liczyć. Sama wiesz. To była często kwestia szczęścia.

– Wiem, wiem. – Spojrzała znów w okno. – Muszę iść, już noc, za chwilę zrobi się całkiem ciemno, a stąd do mnie, na Mokotowską, kawał drogi.

Przez szyby widać było ciemniejące, kłębiące się chmury. Czarne od pyłu węglowego i dymów ciągle unoszących się nad miastem.

Zosia, już syta, oparła się na krzesło, a po chwili się z tego krzesła poderwała. Stryj, zamyślony, też wpatrywał się gdzieś w przestrzeń. Miała wrażenie, że nie jest do końca obecny. Chyba tylko ciałem. Ale może to ta obcość, której w dalszym ciągu nie zniwelowali, pewnie za wcześniej jeszcze.

– Zosiu, napisz mi, gdzie stoisz¹⁰ – zarządził, podając jej kartkę.

Wykaligrafowała starannie swój adres.

Stryjek Misza jeszcze poszedł z nią na parter, do pokoju PCK, nadal obleżonego przez tłum umęczonych ludzi, i wprowadził ją do środka. Nikt nie zaprotestował, nie próbował nawet, mundur radzieckiego oficera zamknął wszystkim usta. Ku jej rozczarowaniu nie było żadnych wiadomości – ani o tacie, ani o tej parze, której szukała Hela, tylko o tej Rutko, od Irki. Zawsze to coś! Zosia zapisała kolejny adres i pożegnała się ze stryjem. Uściskali się serdecznie, jak to w rodzinie.

Trochę się sumitował, że jej nie odwozi, ale akurat tak się składa, tłumaczył, że nie ma pod ręką kierowcy, za to ma naradę.

– Nie trzeba, poradzę sobie, bez obaw – powiedziała Zosia, patrząc mu w oczy. – Pójdę już, najważniejsze, że stryjek jest.

Popatrzył na nią lekko pijanym wzrokiem, jakby nie rozumiejąc. Po chwili zreflektował się, oczy zaszyły mu łzami i kiwnął głową, ale tak jakoś sztywno, jak marionetka. Nie miał w sobie życia ani radości, był pusty, takie odniosła wrażenie. Jednak jeszcze raz ją przytulił, mocno, niedźwiedzio, i wsunął jej coś do kieszeni, szepcząc:

– To ode mnie, od stryja, bieri.

Jeszcze kiwnął jej głową i ruszył ciężkim krokiem przez tłum wciąż zapełniający gmach przy Inżynierskiej. Zosia też odeszła, powoli, zapinając swój śliczny, mocno dziś utyłany płaszczyk,

ale gdy minęła dyżurujących żołnierzy, jeszcze raz odwróciła głowę i popatrzyła na schody. Nie było już tam stryja Miszy.

Nagle wydało jej się, że to musiał być sen.

Szła przez rozdeptaną Wisłę jak nieprzytomna. Dopiero teraz zaczęła sobie zdawać sprawę z wagi tego nieoczekiwanego spotkania. Nie jest sama. Znalazła oparcie, nareszcie miała kogoś, na kogo pewnie będzie mogła liczyć, kto jej pomoże. W razie czego. A może i bez tego? Tak po prostu, jak to... w rodzinie.

Mrok zapadał coraz gęstszy, na rzece było już niewiele osób. Nagle strach ją obleciał, zadrżała. Nie lubiła chodzić po nocy. Gwałty, rabunki i mordy były codziennością. Gdy sobie uprzytomniła, jak bardzo jest późno, poderwała się do biegu. Ślizgała się i biegła, wciąż naprzód i naprzód. Gdy w końcu znalazła się na drugim brzegu rzeki, zdyszana jak koń wyścigowy po Wielkiej Warszawskiej, rozejrzała się wokoło. W zasięgu wzroku widać było zaledwie kilku przechodniów, wszyscy szli żwawym krokiem, nie oglądając się za siebie, i znikali w ciemnościach. Złapała oddech i nagle przypomniała sobie, że stryjek coś jej dał. Sięgnęła do kieszeni. Plik banknotów. Szybko schowała je z powrotem, wpychając tak głęboko, jak tylko się dało, żeby nikt, broń Boże, nie zobaczył. Rozejrzała się jeszcze raz, tak na wszelki wypadek, i odetchnęła z ulgą. Nikt jej nie obserwował, więc już spokojniejsza podeszła do furmanki czekającej zaraz przy moście, z drzemiącym na koźle woźnicą i podsypiającym na stojąco chuderlawym konikiem.

Szturchnęła furmana, żeby się obudził.

Podniósł głowę, spojrzął na nią nieprzytomnie, chyba jeszcze spał, ziewnął szeroko, z ust mu leciało bimbrem.

– Co szanpani każe? – wybełkotał, przecierając oczy.

– Ile na plac Zbawiciela?

Rzucił sumę, dwadzieścia pięć złotych, jeszcze dziś rano taka ilość pieniędzy przyprawiłaby ją o dreszcze, ale był już wieczór, prawie noc, a ona miała pieniądze, więc tylko kiwnęła głową i wdrapała się na ławeczkę z leżącym na niej workiem słomy przykrytym parcianką. Usiadła w miarę wygodnie i rozkazała:

– Jedźmy, Mokotowska, za placem Zbawiciela.

Wóz potoczył się raźnie, trzęsło niemilosiernie, ale Zosi wcale to nie przeszkadzało, przeciwnie, było w tym coś uspokajającego. Kiwając się od prawej do lewej, sięgnęła do kieszeni, wyłuskała pieniądze i przy okazji przeliczyła pognieciony zwitek banknotów.

Tysiąc trzysta złotych. Była bogata.

8 MARCA 1945, WARSZAWA

Od strony Brackiej, na placu Trzech Krzyży, mężczyźni w burych waciakach przekopywali zmarzniętą ziemię. Nieopodal stała samotna kobieta w wiosennym, popelinowym trenczu, z rękami w kieszeniach, i patrzyła na zniszczony dach kościoła czy może na niebo. Irenka szła powoli, wytrwale przeskakując zwalone kawałki zrujnowanego gmachu. Mężczyźni przywołali kobietę, która oderwała wzrok od nieboskłonu i podeszła bliżej. Nachyliła się, spojrziała z uwagą i pokręciła głową.

Znów odsunęła się na bezpieczną odległość i dalej kontemplowała widok szarych ołowianych

chmur zbitych niczym dym z komina. Pułap nieba zdawał się przygniatać miasto. Przestrzeń między nim a ziemią była wąska jak luka w prasie czy maglownicy. Irka potknęła się o kamień, westchnęła i z trudem utrzymała w ręku worek z ziemniakami, na wpół zamrożonymi co prawda, ale nadającymi się do zjedzenia. Chyba... Udało jej się zdobyć trzy kilogramy na bazarku po ciężkiej batalii – wszyscy jak jeden mąż rzucili się na babinę, która stała przy samym wejściu z furką pełną kartofli, szkoda tylko, że twardych jak kamień. No nic, dłużej będą się gotować. Irka nabyła też jeszcze jedną jedyną cebulę. Babina nader demokratycznie, zgodnie z duchem czasu, sprzedawała po sztuce. Jutrzejszy obiad wydawał się Irce znakomity.

Podsmażana cebulka i kartofelki?

Już Helenka wyczaruje coś pysznego.

Może nawet babkę ziemniaczaną? Mniam.

A w tramwaju, czyli w Café Irena, przez chwilę, bo na długo przecież kilograma nie starczy, zaserwuje klientom ziemniaki w mundurkach. Sól miała, czegoż trzeba więcej?

Cebulę zatrzyma. Toż to samo zdrowie. Idąc przez miasto, Irka, zaradna jak zwykle, tak sobie planowała kolejny dzień.

Jeszcze nie wiedziała, bo i skąd, że sprawy potoczą się w zupełnie innym, nieoczekiwanym kierunku.

Gdy zbliżyła się do kobiety w trenczu, tę akurat znów przywołano do oglądania zwłok, ale Irka tylko chwyciła mocniej worek i już nie oglądała się za siebie. Wprawdzie zawsze była ciekawska, lecz ostatnio jakby mniej. To, co kiedyś mogło stanowić wydarzenie większego kalibru, sensację – dziś stało się banalne, było niczym. Dewaluacja, pomyślała z rezygnacją, kompletna dewaluacja. Wartości, pojęć, uczuć. Westchnęła. Do kawiarni zostało jej już zaledwie kilkanaście metrów, gdy zauważyła Romę, która stała oparta o drzwi tramwaju, paląc papierosa, i rozmawiała z jakimś mężczyzną w wojskowej czapce i battledresie.

Nie był to strój szczególnie ciepły, ale modny w sezonie czterdzieści cztery/czterdzieści pięć. Dowodził też, że mógł to być wojak od Andersa, a nie od Berlinga, co stanowiło poważną różnicę.

Gdy Romka zauważyła Irkę, pomachała do niej wesoło i oznajmiła nieco zachrypniętym z przeziębienia głosem:

– Przyprowaździłam ci klienta.

Irka ciut się zachnęła, bo w ustach Romy ta zapowiedź mogła mieć wiele różnych znaczeń. Spojrzała na mężczyznę; wyglądał nawet, nawet, był przystojny i najwyraźniej dobrze wychowany, bo ukłonił się szarmancko, więc ona też kiwnęła mu na powitanie głową i otwierając tramwaj z łańcucha, zapytała:

– Herbata czy kawa, rzecz jasna, z żołądździ? Tylko to mamy dziś na składzie. Ewentualnie: gotowane w mundurkach ziemniaki.

Mężczyzna wsunął się za nią do środka, nic nie mówiąc, a Romce nagle zaczęło się bardzo spieszyć. Krzyknęła tylko: – Muszę lecieć! – i pobiegła w głąb Alei Ujazdowskich, jakby kogoś goniła. Może na horyzoncie pojawił się któryś z jej stałych klientów? A może dopiero potencjalny...

Prymus zaczął grać wodę i Irenka powtórzyła pytanie, mierząc wzrokiem nowego klienta, który zdążył już usiąść.

– Kawa czy herbata dla pana?

– Herbata. Nazywam się Jachaczy, Roman Jachaczy, podobno szukała mnie pani.

– O! Tak! Świetnie! – ucieszyła się. – Szukałam, pewnie, że szukałam. Dziękuję, że pan się

pojawił. Mój znajomy, Józef Jasielski, podał mi adres. Potrzebuję pracy, a ponoć pan ma coś ciekawego do zaproponowania. Nie wiem tylko, czy to jeszcze aktualne?

Przybyły ściągnął czapkę, mimo że w tramwaju była dokładnie ta sama temperatura co na zewnątrz. Okna, pozabijane przez Frania deskami, nie chroniły przed zimniskiem na dworze. Jachaczy miał jasne falujące włosy, może odrobinę przydługie, jednak to tylko szczegół, i sympatyczny dołek w brodzie. Spojrzała na jego ręce – przywykłe do ciężkiej pracy. Z miejsca poczuła się swobodniej, nie musiała się spinać, udawać kogoś innego. Chociaż mogła. Ale nie chciała.

Postawiła kubek na desce zastępującej stolik, nasypała trochę herbaty, najgorszego gatunku, bo tylko taką miała, i dostawiła jeszcze dwa kubki. Pierwszy z nich pełnił funkcję czajniczka.

– Jasielski? Tak, pamiętam. Porządny gość... – zaczął mężczyzna, jakby z wahaniem. – Skąd go pani zna?

– Ach, to tylko przelotna znajomość, kiedyś, jeszcze przed wojną, poznałam pana Józefa u znajomych i teraz znów się spotkaliśmy, nawet specjalnie go nie pamiętałam, a potem tak od słowa do słowa, jakoś się zgadało.

Miała wrażenie, że mężczyzna ją sonduje i sprawdza, lecz wcale jej to nie zdziwiło. W dzisiejszych czasach było to zupełnie normalne, wręcz rozsądne... Ona też mówiła mało i przeważnie kłamała. Nie lubiła tego, ale cóż, jak trzeba, to trzeba.

– A czym pani, poza tą herbatą, rzecz jasna, się zajmuje? Co pani umie? – Patrzył na nią przenikliwymi szarymi oczami. Pod jego spojrzeniem czuła się odrobinę nieswojo.

Woda zaczęła wrzeć, więc szybko zalała mieszankę liści i usiadła naprzeciwko nieznanego. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, teraz dostrzegła jeszcze miłe zmarszczki mimiczne, wskazujące na pogodę ducha. Tak, sympatyczny gość, na pierwszy rzut oka. Ale jej zaginiona Antosia, mądra nad wyraz i z bogatym życiowym doświadczeniem, zawsze mówiła: „Oszuści są najmiłsi na świecie, jakby nie byli, nikt by nie dał się im nabrać”. Tak więc do sympatycznych facjat Irenka też miała dystans.

– Przed wojną tańczyłam i śpiewałam, w kabaretach. Zielone Oko, Milonga, nie wiem, czy pan słyszał?

– Coś mi się obiło o uszy – odparł z uśmiechem – ale pracy dla tancerek to ja nie mam, niestety...

– Domyślam się. Jestem również kierowcą, mam kwalifikacje, jeśli o to chodzi. Pan Jasielski twierdził, że szuka pan szoferów?

– Ciężarówek. Szoferów ciężarówek. To nie dla pani.

Irka postanowiła zignorować tę uwagę i jakby nigdy nic podała mu herbatę. Dmuchił w gorącą wodę. Nie musiał tego robić, bo w tramwaju wszystko stygło w okamgnieniu.

– Mogę prowadzić ciężarówkę – powiedziała zuchowato. Nikt tu nie będzie mówił, że coś jest nie dla niej. Wszystko było dla niej. Pod pewnym warunkiem. – Ile pan płaci?

– Pięćset złotych za kurs.

Taaak, to była przyjemna stawka. Osiemset płacili za pomoc przy ekshumacjach, ale aż tak nie potrzebowała pieniędzy. Upiła łyk gorącego napoju, potem jeszcze jeden i popatrzyła swoimi błękitnymi oczami w jego szare. Taki spłowiąły błękit.

– Sześćset?

– Nie da rady. Mam stałą cenę.

– Jak często są te kursy i gdzie?

– Na Ziemi Zachodnie, oczywiście. – Mrugnął do niej porozumiewawczo. – Od czasu do

czasu. Zależy, co przywieziemy i ile mi zajmie upłynnienie towaru.

– Co tam bierzemy?

– Wszystko, co się trafi, ale koncentruję się na samochodach, motocyklach i częściach zamiennych. Chcę najpierw stworzyć sobie bazę.

– Dobra myśl. Bardzo na czasie... – powiedziała z uznaniem Irka.

Podobał jej się ten Romek Jachaczy. Naprawdę podobał.

– A może chciałaby pani zobaczyć moją firmę? Mam bazę maszyn zaraz koło Wyścigów.

– Bardzo chętnie. Pokaże mi pan, na czym będę jeździła?

– Jasna sprawa, mam kilka aut do wyboru, do koloru. Sprawdzę też chętnie, jak pani sobie radzi – dodał znacząco.

Irka ochoczo kiwnęła głową.

– Dobrze. Mam słabość do samochodów, nie da się ukryć. Taka robota to marzenie, a tu – wskazała na wnętrze wagonu – można uświerknąć z nudów i zimna.

Dopili herbatę, Irka zamknęła tramwaj i wyszła z Jachaczym na plac Trzech Krzyży.

– Zaparkowałem u wylotu Hożej, przy Marszałkowskiej. Kawałek, no, w zasadzie kawałek...

– Wskazał ręką kierunek, tak jakby sama go nie знаła, i pomaszzerowali w stronę ulicy.

– Ostatnio dużo spaceruję, w końcu jakiś sport trzeba uprawiać, nie sądzi pan? – zażartowała Irka, ale naprawdę tak było. Pozawalane cegłą i kamieniami ulice nie sprzyjały jakiegokolwiek komunikacji poza pieszą, więc ludzie, chcąc nie chcąc, przerzucili się na biegi przełajowe. Z przeszkodami.

Zapuscili się oboje w tunel gruzów, czyli w ulicę vis-à-vis Irczynego wagonu. Przy samym jej początku, na zgiętej do połowy latarni, przymocowana drutem mniej więcej dwa metry nad ich głowami, wisiała tabliczka z napisem: ULICA HOŻA. Szli, potykając się o kamienie, o cegły zalegające chodniki i jezdnię. Gdy trafiali na większe rumowiska, Roman pomagał Irce przejść, służąc ręką i ramieniem. Było to miłe, dawno nie miała poczucia, że ktoś ją wspiera. Mężczyzna. Bo z dziewczynami było inaczej. Nie rozmawiały dużo, ale już wiedziała, czuła, że są ze sobą na dobre i złe. Po Jędrzejowie wiedziała.

To wtedy zawarły pakt. Bez słów.

Na Kruczej panował ruch. Żołnierze łopatami odgruzowywali Kruczą i Żurawią. Ładowali na ciężarówki bryły murów, resztki futryn i drzwi. Praca szła dość szparko, ale Irka chwilę się pogapiła i bez przekonania pokręciła głową.

– Tymi metodami to oni oczyszczą Warszawę za pięćdziesiąt lat. Albo i lepiej...

– Ejże, więcej wiary, pani Irenko. Migiem odbudujemy, bo musimy. – Ścisnął mocniej jej łokieć, co kapkę ją zdezorientowało, ale nic nie powiedziała. – Ponoć kupili jakieś traktory i dźwigi w Sowietach, pójdzie szybciej. Na Marszałkowskiej kładą tory, by puścić wagoniki do wywożenia gruzu.

– Oby. Czas leci, ludzi przybywa i w końcu trzeba odgruzować, nie ma to, tamto, inaczej będziemy zawsze mieszkali na pobjowisku, trupowisku – powiedziała à propos, bo właśnie zobaczyła, jak żołnierze podczas roboty trafili na coś w ruinach i zaczynają inaczej się organizować. Czy to zwłoki, czy niewybuch, wołała nie wiedzieć.

Doszli już prawie do rogu Marszałkowskiej, kiedy Irka na ścianie ocalałej kamienicy, od góry do dołu oklejonej kartkami i karteluszkami, zauważyła jedną, która przyciągnęła jej wzrok.

Była nieco większa od pozostałych, dlatego wpadła jej w oko.

Na maszynie do pisania wystukano dużą czcionką, co następuje:

PREMIERA

Podeszła bliżej jak zahipnotyzowana i przeczytała:

8 marca o godzinie siedemnastej
„Śluby Panieńskie”
Aleksandra Fredry
Teatr Popularny¹¹
Zamojskiego 20
Zapraszamy

Aż podskoczyła i klasnęła w rękę.

– Która godzina? – zapytała Jachaczego.

Spojrzał na duży, metalowy zegarek i odrzekł:

– Piętnasta dwadzieścia.

– O Boże, pan wybaczy, ale ja muszę, muszę teraz, zaraz. Na Pragę. Do widzenia! – rzuciła już w przelocie i ruszyła biegiem przez Marszałkowską.

Dogonił ją po kilku krokach, złapał za rękę.

– Ależ z pani kozica. Ani pomyśli. Przecież mam samochód. Na nogach nie ma pani wielkich szans zdążyć, ale samochodem to już inna para kaloszy. To co? Reflektuje pani na małą przejażdżkę?

Irka spojrzała na niego nieprzytomnie i kiwnęła głową, którą, trzeba to przyznać, rzadko traciła, tym razem jednak zdecydowanie jej się to przydarzyło.

– Dziękuję, bardzo pan miły, gdzie ta pańska maszyna?

– O tam, proszę spojrzeć.

Zerknęła we wskazanym kierunku i zobaczyła wielce zdezelowanego ciężarowego fiata 621.

– Śliczny! – wyrwało jej się ze szczerego serca, jeździła takimi fiatami na Węgrzech. – Skąd go pan wytrzasnął?

– Proszę mi mówić po imieniu. Romek jestem.

– Dobrze. Irka.

– Odkupiłem od gospodarza, który go przechował przez całą wojnę, zadowolawszy w obejściu.

– I naprawdę nikt go nie znalazł?

– Jakoś nie. Wojsko porzuciło samochód w czasie kampanii wrześniowej, bo miał przestrzelony bak, a sprytny chłopak rozebrał auto na czynniki pierwsze i następnie pozakopywał części w różnych miejscach posesji. Miał głowę na karku, bo je naoliwił i wsadził do jutowych worków, więc przetrwały, i to nawet, muszę przyznać, w bardzo przyzwoitym stanie.

– A co z szoferką? – zainteresowała się Irka.

– Zdewastowana, stała w stodole...

– W stodole?

– A tak, jako mieszkanie dla kokoszek. I jednego koguta... – Romek zaśmiał się głośno. – No, kurnik, panno miastowa, nigdy nie byłaś na wsi?

Irka już nie słuchała, z niecierpliwości przebierając nogami. Chciała pędzić na premierę. Może spotka kogoś znajomego?

– Szybko, jedźmy, bo nie zdążymy! – ponagliła Romka.
– Już się robi, pani kierowniczo!
Włączył silnik, który zawył i zazgrzytał, ale jakoś ruszyli.
– Skąd bierzesz benzynę?
– O, to najmniejszy problem. Kupuję od ruskich. Ile chcę.
– No tak. – Kiwnęła głową. – Dużo masz już tych aut?
– Dwa motocykle, sokoły, ciężarówkę Ursusa, ale stareńką, z trzydziestego drugiego roku, ledwie zipie. I jeszcze całkiem ładnego osobowego fiata, ale wciąż go remontuję.
– Jeździłam pięćsetósemką w trzydziestym ósmym roku. Ostatni raz. Marzyłam, że kiedyś ją sobie kupię...
– No, to dobrze, żeś nie kupiła, bo i tak zaraz byś ją straciła. W trzydziestym dziewiątym zarekwirowaliby ci jak dwa razy dwa jest cztery. Czyli na mur-beton.
– Fakt.
– A ta premiera? Dlaczego jest aż tak ważna?
– Przed wojną, jak już ci mówiłam, byłam tancerką, trochę śpiewałam, zdarzało mi się też grywać w filmach. Epizody, ale zawsze. Tęsknię za sceną. Lubiłam to, by nie powiedzieć więcej. Może spotkam kogoś znajomego? Może coś się odwróci?
– A jeśli spotkasz i się odwróci, to rozumiem, że nici z naszej współpracy?
Zahamował, bo dojechali do mostu.
Kolejka do przejazdu nie była duża, ale i tak za długa, by udało się zdążyć na przedstawienie.
Dwóch żołnierzy z bronią gotową do strzału stało przy wjeździe, kolejnych dwóch sprawdzało dokumenty. Irka westchnęła zawiedziona.
– A to pech, powinnam pamiętać, że tu nie ma szybko... – Była naprawdę niepoczieszona, ale zaraz palnęła się w czoło. – Pójdę na piechotę! Będzie chyba prędeej. A co do pracy, to i tak w teatrze wiele nie zarobię. Na chleb tylko. Spróbowałabym robić jedno i drugie. W końcu z czegoś trzeba żyć...
– Wiadomo! – zaśmiał się Romek i gwizdnął. Wyłączył silnik. – Całkiem rozsądnie myślisz. Prawie jak facet... Wiesz co, Irenko, poczekaj chwilę, spróbuję pogadać z tymi wachmanami.
– No coś ty, jacy tam z nich wachmani...
– A jeszcze nie wiem, jak po rusku się nazywają, zresztą wszystko jedno. Stójkowi! – zaśmiał się znowu.
Wyskoczył z szoferki i ruszył w stronę żołnierzy, a Irka zaczęła się przyglądać desce rozdzielczej, kierownicy, potem zajrzała na tył samochodu. Świetna ciężarówka i naprawdę w niezłym stanie. Z tego faceta musiał być zdolny mechanik.
Ku jej zaskoczeniu rozmowa nie trwała długo, nie minęło nawet dziesięć minut, gdy pojawił się Jachaczy, znowu uśmiechnięty od ucha do ucha.
Wskoczył na siedzenie kierowcy i zakomenderował:
– Pajechali!
Uczył się widać szybko.
Ruszył z kopyta, ominął płynnie sznur pojazdów i pozdrowił ręką sierżanta stojącego przy samym wjeździe. Ten zsalutował mu elegancko i z błyskiem w oku – i jako jedni z pierwszych przejechali most. Z donośnym trąbieniem.
Irka się zaniepokoiła. Co to miało być?
– Kim ty jesteś? Cudotwórcą? Jak ci się udało?
– Nie bój nic. Ma się argumenty i papiery.

– To znaczy co?

– Dałem im zegarek. Dobrze wyglądał, więc wzięli i puścili. Ot i wsio.

– Co to znaczy: dobrze wyglądał?

– Ruscy mają bzika na punkcie zegarków, więc kazałem zrobić pozłotkę na partii blaszanych zegarków. Mam zaprzyjaźnionego galwanizera, pierwszorzędnie mi to wykonał. I kiedy trzeba, wciskam tombak jako złoto i nie uwierzysz... Łykają to jak kawior z jesiotra. Waluta idealna na te czasy.

– Kim ty właściwie jesteś? Tylko bez wykrętów!

– No cóż... – Uśmiechnął się do niej cwaniakowato. – Człowiekiem z talentami. Rozlicznymi. Tak samo jak ty, Irenko, mam rację?

Nie mogli dalej ciągnąć tego wątku, bo właśnie ujrzeni numer dwudziesty na ulicy Zamojskiego. Romek przyhamował i wjechał na chodnik przed kinem. Szyld głosił, że tu oto znajduje się Kino Popularne.

Irka zeskoczyła z wozu, zadarła głowę i patrząc na Romka, zapytała:

– Chcesz ze mną pójść?

– A z przyjemnością, o ile nie będę przeszkadzał.

– Nie, no coś ty, będzie mi bardzo miło. Nie przywykłam sama chodzić do teatru. Bo, jeszcze ci tego nie powiedziałam, jestem troszkę staroświecka. A przy okazji, dziękuję za podwiezienie... – Uśmiechnęła się do niego.

– Nie ma sprawy. Czego się nie robi dla pięknej kobiety. – Wskoczył z szoferki, zamknął drzwi i rzekł z galanterią: – Już mnie masz. Służę ramieniem. Też jestem trochę staroświecki.

Wysunął łokieć, a Irka z ufnością i radością wzięła go pod rękę. Bluza uniosła się nieco i wtedy zobaczyła, że Romek ma za paskiem broń. Szybko obciągnął kurtkę i pistolet zniknął. Irka zamarła, serce prawie jej stanęło, ale zaraz uśmiechnęła się czarująco, poprawiła włosy, żeby nie poznał, że wie, że widziała.

Teraz to już naprawdę strach ją obleciał.

Kim, do licha, jest ten cały Romek?

Jednak dała mu się poprowadzić, jak do ołtarza, w kierunku wejścia oblężonego przez tłum szturmujących widzów.

Pomyślała: Może ich wszystkich powystrzela i wtedy wejdziemy?

Nade wszystko bowiem chciała wejść. Jak to lekkomyślna dziewczyna z kabaretu.

8 MARCA 1945, WARSZAWA

Irka nie wróciła do domu. Zegar wybił godzinę dziesiątą wieczór i obie z Helą zaczęły się niepokoić. Zawsze zjawiała się koło ósmej, nigdy później, bo po prostu niebezpiecznie było włączyć się nocą po mieście. Przecież obowiązywała godzina policyjna. Dziewczyny zachodziły w głowę, co też mogło się zdarzyć. Dlaczego ciągle jej nie ma? Podchodziły do okna. To jedna, to druga wyglądała na opustoszałą ulicę. Nie wiedziały, co robić, ale tak trudno było usiedzieć w miejscu, kiedy człowiek cały w nerwach. W końcu, gdzieś koło jedenastej, zdesperowana Zosia, nie mogąc dłużej znieść czekania, wzięła się na odwagę i zastukała do Zalewskich. Po długiej chwili, chrobotach i szuraniach w pokoju rozbłysło światło i wyjrzał doktor ze świeczką w ręku. Nie był nazbyt przyjaźnie usposobiony.

– Co się dzieje? – burknął.

– Irka dotąd nie wróciła – Zosia prosząco i przepraszająco wyrzuciła to z siebie, zza jej ramienia wyglądała zestrachana Hela. – Martwimy się. Bardzo przepraszam, że niepokoję, ale czy nie zgodziłby się pan, panie doktorze, pójść ze mną, to znaczy z nami, i jej poszukać? Boimy się iść same. Wie pan, jak jest. Niebezpiecznie, lepiej nie kusić losu. Tramwaj niby niedaleko, ale zawsze strach... – zaczęła się tłumaczyć, wpatrzona w jego twarz, która w migotliwym blasku świecy wyglądała cokolwiek demonicznie.

– Mogłybyśmy jeszcze ewentualnie poprosić Frania. Głazy akurat nie ma, pojechał w Grójeckie. Może Irkę kto w tym tramwaju napadł? Tak byśmy poszli całą gromadą... – dodała szybko Hela.

– A godzina milicyjna?

– To blisko, jakby co, to pan przecie lekarz! – Hela szybko podrzuciła wytłumaczenie.

Jacek Zalewski wiedział, że napady są na porządku dziennym, a bandyterka ludzkie życie ma za nic, dla paru marnych groszy można było dostać kosę albo kulkę w łeb. Broń mógł mieć teraz każdy i wielu bez skrupułów jej używało. Zabójstwa i rabunki, normalne pokłosie wojny. Polska teraz, w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu, bardziej przypominała Dzikie Zachód z filmów kowbojskich, które uwielbiał jako chłopiec, niż normalny kraj. W ostatnim czasie mieszkał w kilku miejscach i Warszawa, aż trudno w to uwierzyć, i tak była z nich najbezpieczniejsza. Bezprawie i przemoc z każdej strony. Tak, on też się bał. Każdego dnia, każdej nocy. Że przeszłość się o niego upomni. Albo że ci, którzy mają teraz władzę, znajdą go w końcu. Dlatego tak często zmieniał miejsca pobytu. Miał ku temu powody, dobre powody.

Bał się wczoraj, bał się dziś, a najbardziej bał się jutra.

Westchnął ciężko. Liczył na spokojną noc, poprzednią dyżurował w szpitalu, rozumiał jednak, że sprawa jest poważna. Kto wie, może Irka leży z rozbitą głową gdzieś w jakiejś bramie albo w tym swoim wagonie, więc już się nie wahał.

Podrapał się po policzku i mruknął:

– Dobrze, tylko się ubiorę.

I zniknął w ciemnościach stołowego.

Nie minęło nawet dwadzieścia minut, gdy razem z Franiem i Helą maszerowali w czwórkę ciemną Mokotowską w kierunku placu Trzech Krzyży. Ulice były zupełnie puste. W ruinach gdzieś palily się światełka. Minęli rozpalone na dawnym podwórku ognisko, wokół którego zgromadziło się kilka osób i cicho śpiewało powstańcze piosenki. Ktoś pijany krzyczał, roznosiła się woń pieczonego mięsa. Nikt ich jednak nie zaczepił, może dlatego, że obaj, Franio i Zalewski, byli wysocy i potężnie zbudowani.

Plac Trzech Krzyży, nocą wyludniony, robił przerażające wrażenie. Tylko wiatr po nim hulał, zagłuszając ich cichą rozmowę. Irczyny tramwaj stał pusty i zamknięty. Od zewnątrz. Zosia zaczęła stukać i pukać, wołać, ale za każdym razem odpowiadała cisza. Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i pomyśleli to samo: nie ma nikogo. Franio przyniósł ze sobą łapkę, którą podważył deskę w jednym z zabitych okien i dostał się do środka. Irki tam nie było. Nie zauważył też niczego podejrzanego. Żeby jednak mieć całkowitą pewność, przyświecił sobie lampką, jeszcze raz wszystko dokładnie obejrzał i wysunął się z powrotem na zewnątrz.

– Po mojemu nic się tu nie stało – mruknął. – Wszystko w porządku. Jest prymus, trochę kartofli. I wózek, ten, na którym panna Irenka przewozi do chałupy swoje manele. Musi w ciągu dnia gdzieś wyszła i nie wróciła.

– A właśnie że coś się stało! – powiedziała z grozą w brązowych oczach Hela. – Znam ją

i wiem, że za nic nie zostawiłaby tych rzeczy na łasce boskiej.

– Na pewno. Nigdy tak jeszcze nie zrobiła. Panie doktorze, Irka to solidna dziewczyna. Wychodziła w ciągu dnia, po towar czy w jakiejś sprawie, ale zawsze pod wieczór pakowała się i przywoziła do domu najcenniejsze rzeczy – potwierdziła Zosia.

Hela od razu zaczęła pociągać nosem, a i Zośce nie było do śmiechu, chociaż odganiała od siebie tę najgorszą myśl.

– Nic tu po nas... – Franio skończył zabijać z powrotem okno. Stukot młotka gubił się na wielkim, pustym placu.

– Chodźmy. Może już wróciła – powiedział.

Zosia z Helą stały jak przymurowane do ziemi. Nie ruszały się z miejsca.

– Dziewczęta, nie ma co rwać włosów z głowy, gdzieś poszła, kogoś spotkała. W życiu różnie bywa... – uspokajał Zalewski.

– Albo bezpieczeństwo ją zwinęło – westchnął ponuro Franio, chowając łapkę pod marynarkę. Mogła się jeszcze przydać, do obrony.

Na rogu placu, nieopodal grobów powstańców, wisiał plakat. Przedstawiał dzielnego żołnierza w mundurze ludowego wojska i ohydny gnom z literami AK na piersi. Podpis głosił: „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji”. Plakat, jak opowiadała Irka, dzień w dzień zdzierano, ale natychmiast pojawiał się nowy. A pewnego razu zabrano zniecałkowanego chłopinę, który na widok plakatu splunął. Zresztą może nie na jego widok. Po prostu splunął.

To był zaledwie moment. Dwóch natychmiast wychyńło z bramy, podjechał zaparkowany nieopodal samochód. I mężczyzna zniknął. Był i nie ma, jak w ruskim cyrku.

Widać czekali na tych, co zrywali.

Ludzie przepadali bez wieści. Rodziny szukały, ale kamień w wodę. Nie było wiadomo, czy ktoś padł ofiarą bandytów czy bezpieczniaków. Co zresztą na jedno wychodziło. Niby wolność, a nie do końca. Niby wzywano akowców do ujawniania się, obiecywano amnestię, uwolnienie od odpowiedzialności, jakiej – nikt nie wiedział – i często ci, którzy się zgłosili w środę, już w piątek znikali i wszelki słuch po nich ginął.

Miasto, mimo radosnej wrzawy, towarzyszącej odbudowie, spowiadał groźny i budzący niepokój cień. Ludzie milczeli, nie gadali. To, czego się nauczyli w czasie wojny: nieufność, ostrożność i strach – dalej szło za nimi. Wielu czekało. Na zmianę. Jaką i skąd miałyby ona nadejść, nie wiedziano. Wolność, wyczekana, wyśniona, wymodlona, nie przyniosła radości, była skażona i zatruta. Ale była. Jakaś. To pozwalało żyć. Nadzieja, że jednak wreszcie, kiedyś tam wszystko się zmieni na lepsze, że to tylko tak, na początku.

Mieszkańcy Mokotowskiej w ponurych nastrojach wracali do domu. Bez Irki.

– Stryj Mietek – powiedziała nagle Zosia – on może pomóc, w razie czego.

– No ba, stryj w Armii Czerwonej lepszy od posagu w dzisiejszych czasach! – zaśmiał się Zalewski, chociaż nie zabrzmiało to zbyt radośnie.

Sprawa stryjka co rusz była podnoszona na forum mieszkańców przez podekscytowaną Zosię i nie da się ukryć, budziła mieszane uczucia, chociaż głośno nikt o tym nie mówił.

– Ale na razie nie panikujmy – zaproponowała po chwili milczenia. – Z początku też się denerwowałam, a teraz jestem pewna, że Irenka się odnajdzie. Cała i zdrowa.

– Dałby Bóg – westchnął ponuro Franio, który ostatnimi czasy stracił wiele ze swojego wcześniejszego optymizmu.

Powoli weszli na schody kamienicy.

9 MARCA 1945, WARSZAWA

Obudziła się. Nagle. Nie wiedziała, co sprawiło, że otworzyła oczy zupełnie przytomna. Jak nie ona. Rozejrzała się dookoła. Gdzie jest?

Obcy pokój. Wielka szafa gdańska w rogu. Stół z zieloną serwetą, pod oknem stolik z paprotką. Serwantka.

Banalne mieszczańskie wnętrze. Dziwne. Niepojęte. Skąd się tu wzięła, do jasnej anielki? Bolała ją głowa, w ustach czuła suchość i cierpki smak. Serce waliło jak oszalałe. Gdzie się znalazła? To łóżko? Skąd ona w nim? Uniosła się na łokciu i wtedy, ku swemu zdumieniu, zobaczyła, że nie jest sama. Tuż obok, na poduszce – nieco zmierzwiona jasna czupryna, a poniżej kształt rysującej się sylwetki pod adamaszkową pościelą.

Opadła na poduchę, jedną ręką wyciągnęła walający się obok jasek, wsunęła go pod głowę i powoli wszystko sobie przypomniała.

Była na dansingu. Z Romkiem. Jachaczym. Leżał teraz koło niej. A pokój musiał być tym pokojem na Filtrowej, którego zakłętą progę nie udało jej się wcześniej przekroczyć. Strasznie dużo w nocy wypili. Pamiętała, jak Romek raz po raz wołał do obsługi: – Panie starszy! Dwa razy to samo! – i kelner, przedwojennej jeszcze szkoły, elegancki, z manierami godnymi lorda, pojawiał się natychmiast z kieliszkami czystej na niewielkiej tacce, takiej jak do wizytówek.

Balowali w hotelu Polonia szczęśliwie ocalałym z wojennej zawieruchy. Nie pamiętała tej restauracji z przedwojnia, wtedy bawiła się w innych miejscach: w Bristolu, Adrii, w nocnych klubach. Teraz Polonia i może jeszcze dawny Paradise, przemianowany obecnie na Melodię, były najelegantszymi lokalami w Warszawie.

Śledzik i wódeczka w całkiem przyjaznej cenie kusily, a ona była w szampańskim nastroju, więc poszaleli. Tak. To pamiętała.

Do teatru czy też raczej kina przemianowanego na teatr dostali się od zaplecza. Irka przeczytała uważnie program i dostrzegła znajome nazwiska. Udało jej się wywołać reżysera, Tadeusza Bończę-Komarnickiego.

– Irka! – krzyknął. – Witaj, malutka!

To była stała odzywka. Tadek był niski, miał sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i sięgał jej pod pachę. Pocałowała go w łysinę, większą niż kiedyś, okoloną wianuszkami siwych włosów. W ciągu pięciu minut znaleźli się wraz z Romkiem za kulisą, entuzjastycznie witani przez kolejnych przedwojennych znajomków. Uściski, powitania, ogólna radość. Ach, była taka szczęśliwa.

A potem zaraz przy pierwszym rzędzie dostawiono dla nich krzeselka, każde inne. Ale czy to ważne? Dziwny był ten spektakl. Niektórzy z aktorów mieli na sobie namiastki kostiumów, jak potem się dowiedziała, wygrzebanych w ruinach Teatru Polskiego – inni grali w normalnych ubraniach, znoszonych, może jeszcze przedwojennych. Nic jednak nie umniejszało czarę tego wieczoru, pierwszego, jedyne i wyjątkowe. Siedziała na twardym krześle, zapatrzona w aktorów, zasłuchana w cudowną Fredrowską frazę. Znała Adę Zagańską, która grała Anielę, jednak to nie ona budziła zachwyty Irki, tylko Jerzy Zawada. Był naprawdę zabawnym, pełnym

wdzięku i młodzieńczego wigoru Guciem. Najlepszym, jakiego kiedykolwiek widziała. Nie spuszczała z niego oczu. Romek, siedzący obok niej, to obserwował scenę, to znów zerkał na zapatrzoną i zasłuchaną Irkę. Po zakończeniu spektaklu oklaskom nie było końca, aktorzy z sześć razy wychodzili się kłaniać. Wreszcie publiczność opuściła teatr, a oni, całą bandą, pojechali ciężarówką Romka właśnie do Polonii potaćzyć.

Powoli odtwarzała sobie przebieg wydarzeń, co się działo, co kto mówił. Leżący obok Romek pochrapywał, posapywał miarowo. Było w tym coś uspokajającego, domowego, ten pokój, taki przedwojenny, ciepły, przytulny, i ten mężczyzna obok niej, w łóżku. Czuła się... dobrze. Bezpiecznie i ciepło. Pamiętała, jak tańczyli na parkiecie tanga i walce. Orkiestra grała z pełnym zaangażowaniem, podsycanym stuzłotówkami rzucanymi przez Bończę i Jachaczego, który urządził Irce prawdziwy koncert życzeń. Świetnie im się razem tańczyło, jakby już od zawsze byli parą. A dla niej, bądź co bądź zawodowej tancerki, talent do tańca miał, co tu kryć, dość podstawowe znaczenie.

Jedli śledziki w oleju i zupę, ponoć rakową, wcale niezłą. Bawiła się jak za dawnych, dobrych lat. Z tą różnicą, że wtedy za nic w świecie nie przyszyłaby na dansing w znoszonych trzewikach i spódnicy w kontrafałdy, którą wygrzebała na dnie nierozszabrowanej do imentu szafy.

Na chwilę, na kilka godzin, wróciło zarówno przedwojenne życie, jak i dawna ona. Kokietyjna, beztroska i wesoła Irenka. Ale jak się znalazła w łóżku Romka, tego w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć. Miała na sobie halkę i figi. Czyżby nic nie zaszło? Nie, to by chyba pamiętała. Ale miło było tak leżeć obok mężczyzny. I jeszcze przypomniła sobie, że dyrektor Komarnicki zachęcał, by się pojawiła w teatrze. Koniecznie. Potrzebowali – jak się wyraził – nowych sił. Może zagra w następnej sztuce? Byłoby cudownie.

Czuła się nieszczególnie. Kac. Suszyło ją po prostu. Potrzebowała też skorzystać z toalety.

Powoli wysunęła się z łóżka i na palcach podeszła do drzwi. Wyjrzała na korytarz. Gdzie ubikacja? Trudna sprawa. Pamiętała, gdzie jest kuchnia. Poszła w tamtą stronę i zauważyła drzwi z chłopczykiem siedzącym na nocniczku – ohydna plakietka, ale teraz ją doceniła. Nacisnęła klamkę i zniknęła w wucecie. Kiedy wyszła, czuła się o niebo lepiej. Teraz należałoby się umyć. Uznała, że następne pomieszczenie będzie łazienką. Ostrożnie uchyliła drzwi, i tak, to była łazienka, ale w wannie ktoś spał, otulony po czubek nosa. Wycofała się cichcem i powędrowała, ciągle na palcach, by nikogo nie obudzić, po pograżonym w ciemnościach przedświtku obcym mieszkaniu. Weszła do kuchni, nabrała nieco wody z wiadra, przemyła się i z kubkiem w rękę wróciła do sypialni, szczęśliwa, że nikt jej, obcej, szwendającej się po domu, nie nakrył.

Gdy wsunęła się do łóżka, Romek otworzył oczy.

– A tuś mi! – zachichotał i wyciągnął po nią rękę.

Dała się przyciągnąć, przytulić i zaczęli się łapczywie całować. Zsunął z niej haleczkę, figi ściągnęła błyskawicznie sama. Potem w nią wszedł, nie musiał czekać, była, tak jak i on, gotowa. Chętna, co tu dużo kryć. Poczuła się cudownie. Jakże mogła tyle czasu bez tego się obejść? Prawdziwa zagadka. Powoli wchodził i wychodził, z początku patrzyli sobie w oczy, jakby chcieli przejrzeć się na wylot, a potem Romek przyspieszył. Irka zaczęła się pod nim wic, miała ochotę uciec, zwinąć się, zniknąć, pożądanie było tak intensywne, że aż trudne do wytrzymania. Krzyknęła głośno, za głośno, czując rozchodzące się po całym ciele fale, Romek też, gdy doszedł razem z nią. Ach, jak dobrze! Opadł na nią spocony i wtulił się w jej szyję. Leżała nieruchoma jak szmaciana lalka. Zaspokojona i bezwolna. Błogość, ciepło, podbrzusze pulsowało. Chciała, by to się nigdy nie skończyło. Nadal czuła pożądanie, głód.

O rety, pomyślała, jak mi tego brakowało, jak mogłam tyle czasu wytrzymać bez kochania.

Jeszcze. Chcę. Odgarnęła zmierzwione włosy z czoła i wysunęła rękę, którą czule pogładziła Romka po policzku, patrząc mu w oczy, a potem zsunęła dłoń niżej i niżej. Powoli. Bez pośpiechu. Nachylił się i pocałował Irenkę w usta. Całowali się dłuższą chwilę, przyłgnęli do siebie, odpoczywając i leniwie się pieszcząc, a później zaczęli się znowu kochać.

Tym razem nie tak gwałtownie, nie tak szybko. Powoli, uważnie i z rozmysłem. Zmieniając pozycje, dopasowując się. Szukali siebie. Chwilami było czule, chwilami ostrzej. Irka chciała ostrzej, chciała to poczuć i zapamiętać. Wciąż była głodna. Pękła w niej jakaś tama, wewnętrzna blokada, którą sobie postawiła, uznawszy, że nie czas na miłość czy choćby przygodę. Teraz nie chciała myśleć. Chciała się kochać. I chciała Romka. To było coś więcej. Ale może się myliła. Chyba całkiem oszalała. Nie chyba – na pewno! Skubnęła go zębami w ucho, a on ją przewrócił na brzuch i zaczął całować po szyi, równocześnie w nią wchodząc. Złapała oddech i zatopiła się w namiętności. Tylko to istniało i tylko to było ważne. Kochanie.

9 MARCA 1945, WARSZAWA

Droga na uniwersytet wiodła przez plac Trzech Krzyży, więc Zosia z samego rana wyruszyła z domu pełna nadziei, że być może, oby tak było, Irka zamiast do domu poszła od razu do Café Irena. Niestety, złudne to były nadzieje. W sąsiedztwie tramwaju przyjmowała manikiurzystka, ulokowana w drewnianym, skleconym naprędce baraczk. Irka odgrażała się, że pewnego pięknego dnia skorzysta z jej usług, bo koleżankę trzeba wspierać, wiadoma sprawa, ale dopiero wtedy, jak zarobi na ten luksus. Przechodząc obok budki, będącej wykwiem wyższych potrzeb na gruzach dawnego świata, Zosia przystanęła, chwilę się zawahała i postanowiła jednak zajrzeć, by zapytać piłującą akurat paznokcie krasnoarmiejcowi kobietę, czy przypadkiem nie widziała Irenki.

– A nie, nie – odparła zakutana w gruby koc mizerna blondynka. Siedziała na poduszce, była bowiem zbyt mała, by wykonywać manikiur bez tej podkładki.

– Ale też ja stąd niewiele widzę – zachichotała radośnie i trochę odrzecznie, wskazując na okienko. W baraczk był lufcik wielkości może albumu czy encyklopedii. Światła nie dawał żadnego. Paliła się za to karbidówka, dymiąc niemiłosiernie.

– Rano pani Irenki nie było, wiem na pewno, bo chciałam się napić czegoś ciepłego. A tu masz ci los, zamknięte.

– Gdyby jednak pani ją zobaczyła, to proszę powiedzieć, żeby wpadła do mnie, do biblioteki, strasznie się denerwuję, że jej nie ma.

– Myśli pani, że ją co złego...? – zapytała cicho blond manikiurzystka, rzucając jej z ukosa spojrzenie znad dłoni klienta.

Ruski żołnierz w długim szynelu i czapce z baranka nie sprawiał jednak wrażenia zainteresowanego tematem. Patrzył dość filozoficznie w przestrzeń i wydmuchiwał kłęby dymu, też w przestrzeń. Może szukał w nich dzina. Z butelki. Chociaż pewnie nigdy nie słyszał o dzinie. Za to o butelce i owszem.

Irka opowiadała, że drobni, powiedzmy, przedsiębiorcy, tacy jak Roma, bardzo chwalili Rosjan. Mówili o nich, że są pierwszorzędnymi klientami. Mieli mnóstwo pieniędzy i smakowali Zachód. Polska wydawała im się rajem. Do ograbienia. Ale podwykonawcom płacili.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Zosia, wzruszając ramionami. – Wczoraj Irka nie

wróciła na noc do domu. A to nigdy dotąd się nie zdarzyło.

– Będę uważała. Jakby co, dam jej znać. Albo pani. A przy okazji, zapraszam na manikiur albo pedikiur.

– Dziękuję, chętnie skorzystam. W przyszłości. – Zośka uśmiechnęła się lekko. – Teraz mam delegację i bardzo bym chciała, żeby sprawa z Irką się wyjaśniła przed moim wyjazdem. Inaczej sama nie wiem, jak dam radę jechać. Pewnie przez całą delegację będę umierać z niepokoju...

– Ano, ano. Każdy by wolał, ale sama pani wie, jak jest. My sobie wieszuję, a Pan Bóg robi co insze. Wszyscy teraz czekają.

Spojrzała na rozpartego naprzeciwko niej żołdata i schyliła głowę, przez chwilę w milczeniu usuwając mu skórki.

– Tak, czekają, oby tylko nie na próżno. – Zosia pokiwała głową. – Idę do pracy. Zajrzę wieczorem, czy coś się nie dzieje przy tramwaju. Proszę zerkać. W wolnej chwili oczywiście.

Manikiurzystka kiwnęła głową. W tym momencie szczęknęły drzwi i pojawiła się w nich zamotana w szmaty chuderlawa staruszka.

– Niech bedzi pochwalony. A nie ma pani...

– Karasiowa niech lepiej drzwi zamyka, ziąb wpada.

Babuleńka posłusznie przymknęła drzwi, a manikiurzystka wskazała cążkami odrapaną szafkę.

– Tam. Położyłam dwa złote.

Karasiowa jak nie karaś, a szczupak, rzuciła się na monetę. Ta upadła z głośnym brzękiem na podłogę, więc babina wylądowała tuż pod nogami Zosi. Złapała monetę w szpony, które się zawijały i jako żywo wyglądały tak, jakby ich nigdy nie obcinała, co przejęło Zośkę dreszczem obrzydzenia. Mimo to dzielnie sięgnęła do torebki, wyciągnęła też dwuzłotówkę i wsunęła w brudną i spękaną jak wyschnięty ugór dłoń Karasiowej, ta zaś aż cmoknęła z radości bezzębnymi ustami. Potem, z dołu, zgięta przez lata czy życie w pół, z wdzięcznością spojrzała na Zośkę zażawionymi oczami, patrzącymi pocziwie z czarnej jak u węglarki twarzy.

– Dziękuję, Bóg wam zapłać, dobre ludzie! – rzekła raźnie, unosząc się nieco i kłaniając w pas, na ruską modłę. Gdy się pochyliła, Zośce wydało się, że widzi tłustą wesz na kołnierzu sfatygowanego płaszcza.

Przymknęła oczy ze wstrętem, za który zaraz skarciła się w duchu, bo przecież jeszcze nie tak dawno wszy były i jej powszedniością.

– Nie ma za co – szepnęła i wyszła z budy, mówiąc do wszystkich grzeczne: – Do widzenia.

Na dworze od razu poczuła się lepiej. Po zaduchu panującym w „salonie” zimno i świeże powietrze były czystą rozkoszą. Zośce aż się zakręciło w głowie. Lekki mrozek, szczypiący w policzki, sprawiał jej niekłamaną przyjemność, czuła się zdrowa, silna i wolna. Odetchnęła pełną piersią i spojrzała, jeszcze raz, kontrolnie, na samotny, czarny i zabity na głucho wagon Irki. Nic się nie zmieniło, właścicielka wciąż się nie pojawiła, więc Zosia odeszła posmutniała.

Prawie biegła, by się rozgrzać, w kierunku Nowego Świata.

Kiedy zjawiła się w bibliotece uniwersyteckiej, już jako tako przez nich ogarniętej, dochodziła dziesiąta.

Trupy niemieckich żołnierzy zostały wywiezione, ku wielkiej uldze całej czwórki, a hol zamieciony starannie przez Stasia Kujawiaka.

W małym pokoju na parterze, który zajmowali w czwórkę, profesor Migoń katalogował przy biurku książki, Stasiu prasował je żelazkiem, takim na duszę, i układał do podsuszenia w bezpiecznej odległości od piecyka, by nie zaczęły się przypiekać. Wyglądało na to, że praca wre, aż miło było patrzeć. Tylko Chodakowski siedział na stołku i leniwie dłubał

w papierzyskach. Na widok Zośki podskoczył i wskazując na zegarek, zawołał poirytowany:

– A prosiłem, prosiłem, żeby pani przyszła dziś trochę wcześniej. Jak tak można?

– Bardzo przepraszam, panie doktorze – zaczęła się tłumaczyć Zosia, która z natury była nader obowiązkowa. – Wczoraj zaginęła Irka, moja współlokatorka, była tu kiedyś, widział ją pan i pewnie pamięta...

Od razu, rzecz jasna, sobie przypomniał. Takich ślicznych blondynek z reguły nie zapominał i gdyby nie żona, to bez wątplenia...

– Zaginęła? Gdzie? Co się stało?

– Nic nie wiemy, panie doktorze. – Westchnęła głośno. – Po prostu nie wróciła do domu, szukałyśmy jej w nocy, czekałyśmy rano. Nie wróciła.

– No tak, przykre. Rozumiem pani niepokój, proszę jednak nie upadać na duchu, może sprawa rychło się wyjaśni.

– A może nie... – mruknął profesor Migoń, ściągając z rąk mitenki. – Ale nie trzeba tracić nadziei, póki jeszcze nic nie wiadomo. Napije się pani czaju? Udało mi się, w zamian za papier, nabyć co nieco normalnej herbaty.

Profesor ostatnio popadł w rodzaj pesymizmu. Ciągłe wieszczyl złe.

Zośka już się do tego przyzwyczaiła i nie zwracała uwagi na jego krakanie.

– O! Z największą przyjemnością. Marzę o herbacie co najmniej od pięciu lat. A co to był za papier?

– Zadrukowane Bekanntmachung¹² z podpisem Strobla z czterdziestego czwartego. Leżała cała paka, więc wymieniłem z przyjaciółmi na żywność i herbatę, zostawiając pięćdziesiąt sztuk na wieczną rzeczy pamiątkę, wątpliwą wszakże.

Zosi rozbłysły oczy. Herbata, lubiła herbatę. Chodakowski jednak miał inne plany.

– Panno Zofio, przyjmuję usprawiedliwienie, ale herbata to za wiele. Nie dziś. Dziś idziemy załatwiać samochód.

Zosia jęknęła. Nowe buty uwierały, nie posłużyła im kąpiel w Wiśle, a po nerwowej nocy marzyła o spokojnym dniu za biurkiem, ale cóż było robić. Siła wyższa. Szef mówi, podwładny słucha.

Podniosła się posłusznie ze swojego krzeselka, zapinając na wszystkie guziki niedawno wyczyszczony błękitny płaszcz.

– Ach! – Pokręciła głową zawiedziona. – Chętnie bym się napiła, już prawie nie pamiętam smaku normalnej herbaty, ale trudno: obowiązek przede wszystkim. – Uśmiechnęła się nieporadnie, lecz ten uśmiech nie był zbyt szczerzy.

Miała nadzieję, że Chodakowski zmięknie. Niestety, dyrektor już zapinał stary szynel, w którym paradował, widać z braku lepszego okrycia.

– Proszę się nie martwić, mam spory zapasik. Dobrze ukryty. Jak pani wróci, będzie czekał, osobiście o to zadbam – pocieszył ją Migoń, zabierając się powoli i z pietyzmem do przygotowania herbaty.

Na dworze zawiewał niezbyt miły wiatr, mróz dalej atakował, ale doktor maszerował dziarskim krokiem, dzięki czemu Zosia mogła się rozgrzać. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie buty. Znów sobie o nich przypomniała.

– Daleko ta baza? – zapytała w pewnej chwili, ledwo za nim nadążając, bo już nieco kulała.

– Na placu Narutowicza.

– Szmat drogi. Może podjedziemy jakąś furką?

– Czemu nie, jeśli się trafi.

Odetchnęła.

Szli teraz wolniej, rozglądając się za transportem.

Ruch na ulicach z każdym dniem rósł, potężniał. Jeździły już riksze, bryczki, dorożki, furmanki, a nawet powozy. A także gaziki i ciężarówki. Nie obowiązywały jednak żadne zasady ruchu drogowego, trzeba więc było bardziej uważać. Rosjanie, główni użytkownicy pojazdów mechanicznych, lubili szybką jazdę i rzadko bywali trzeźwi.

Wypadki były na porządku dziennym, ale życie ludzkie już dawno straciło swą cenę i wartość. Nikt się głośno nie oburzał na taki stan rzeczy, po cichu jednak opowiadano ze zgrozą, że towarzysze wyzwolicieli potrafią umyślnie rozjechać ludzi na ulicy. Ot, taką mają junacką fantazję po bimbrze. Czy też bandycką.

Zosia i Jaromir Chodakowski szli szerokim chodnikiem, już uprzątniętym z gruzu. Na początku Nowego Świata minęli zakład fryzjerski otwarty zaledwie dwa tygodnie temu. Witryna była oklejona gazetowymi fotosami kobiet i mężczyzn w modnych przed wojną koafiurach, Zośka zerknęła i zderzyła się z wychodzącym oficerem radzieckim. Za nim wyszła z zakładu znana jej z tramwajowego barku Roma, a potem jeszcze jeden oficer. Zosia, zaskoczona i nieco zmieszana, spontanicznie zawołała:

– O! Romka, cześć, co tutaj robisz?

Chodakowski spojrzął z ukosa, ale nic nie powiedział, skinął tylko dystyngowanie głową.

– A włosy sobie tleniłam – wyjaśniła niedbale Roma, ściągając beret, pod którym schowała utlenione na słomiany blond loki.

Wyglądała strasznie, teraz to już naprawdę jak przedstawicielka najstarszej profesji świata i na dodatek unosiła się wokół niej upojna woń amoniaku.

– Jak to się panie Zosi widzi? – zapytała kokieteryjnie, potrząsając czupryną, ułożoną w zalotne anglezy.

– Pięknie – odparła dzielnie zapytana, choć była przerażona, Roma bowiem miała na głowie nie tyle nawet siano, ile słomę.

Ruscy, którzy jej towarzyszyli, zaczęli się denerwować.

– *Poszli, Roma, poszli!* – poganiłi kobietę, a jeden chwycił ją za rękę.

– *A wy tożę pajdiotie s nami* – zaśmiał się drugi i złapał Zośkę za ramię.

– *Ja nie mogu* – wyrywała mu się z całej siły.

– *Idi!* – nastawał nieustępliwie, a widząc, że się opiera, chwycił ją jeszcze mocniej. Zaczął nawet popychać.

– W tej chwili proszę zostawić tę panią! – zaprotestował doktor Chodakowski, który organicznie nie znosił chamskiego traktowania kobiet. Stanął przed Rosjaninem i zasłonił sobą Zośkę.

– A wy kto?

– Ja dyrektor w ministerstwie – rzucił butnie Chodakowski, robiąc odpowiednio groźną minę. – Natychmiast proszę zostawić w spokoju moją sekretarkę!

Był tak pewny siebie, że oficer natychmiast puścił Zosię i zsalutował.

A potem ściągnął z szacunkiem czapkę i zaczął się tłumaczyć niezdarne:

– *Ja nie znał...*

Zosia patrzyła na niego wielkimi oczami. I nie bez powodu. Czerwonoarmista miał na głowie wykonane żelazkiem kunsztowne fale, z zadartym wysoko czubem spiętrzonych nad czołem włosów. Wyglądał osobliwie, delikatnie mówiąc.

– *Wsio w pariadkie* – skwitował całe zajście Chodakowski, też wpatrujący się ze zdziwieniem w nagle odsłoniętą damską ondulację na męskiej głowie. – Odmaszerować, towarzyszu oficerze.

Rozkaz to rozkaz, każdy żołnierz o tym wie, więc bracia Rosjanie bez szemrania oddalili się równym marszowym krokiem, ciągnąc za sobą lekko zestrachaną Romę, która patrzyła na Zośkę oczyma pełnymi skruchy. *Mea culpa, mea culpa...*

– Dziękuję, uratował mnie pan. Ach, ci rusczy, chyba już całkiem zgłupieli, godzinę temu widziałam takiego jednego, który robił sobie manikiur, a teraz ten piękniś! Panie dyrektorze, czy mógłby mi pan to jakoś sensownie wytłumaczyć? Jakaś nowa tendencja... – zwróciła się do doktora Zosia.

Popatrzył na nią z wyżyn swoich stu osiemdziesięciu dziewięciu centymetrów i rzekł:

– Nie musi mi pani dziękować, moja rzecz bronić. – Uśmiechnął się zuchowato, rad z siebie, a Zosia pomyślała, że mężczyźni są jednak dziecinni. – A jeśli chodzi o Rosjan... – westchnął – no cóż, smakują Europę, przecież od dawna, od tysiąc dziewięćset osiemnastego roku żyją w zamknięciu. Ta wojna to ich wielka przygoda z Zachodem. Aaa, tak z ciekawości zapytam, skąd pani zna tę damę, która im towarzyszyła? – zainteresował się nagle.

– To Roma, prowadzi swój, powiedzmy, interes, tuż koło kawiarenki mojej przyjaciółki, i często wpada do niej na herbatę.

– Hmm, wygląda na miłą dziewczynę, ale fach ma...

– Tak, podobno najstarszy na świecie, ale ja nie jestem misjonarką...

– ...a ja misjonarzem. Halo!!! – przerwał i zamachał na wyjeżdżającą z Wareckiej riksę.

Kierowca przyhamował, odbyli zwyczajowe negocjacje i uzgodnili kurs do skrzyżowania Marszałkowskiej z Jerozolimskimi. Dalej musieli szukać kolejnej okazji lub maszerować na Ochotę pieszo.

9 MARCA 1945, WARSZAWA

Helenka roztarła pośladek po zastrzyku. Piekło. Ale lekarstwo już działało, czuła, że nabrała trochę sił. Że też jej, zawsze zdrowej i silnej, musiało się przyplątać jakieś paskudne choróbko, westchnęła.

Wyrzała przez okno. Dzień był ponury, a niebo szarawe jak rozrobiona z wodą mąka żytnia. Heli nie chciało się wychodzić, najchętniej zostałaaby w domu, ale co robić, jak trzeba, to trzeba, ktoś musiał przynieść wody. Na ulicy pustka, żadnych ludzi, tylko Alinka od Franiowej gadała z tą małą spod czternastki. Helenka nie wiedziała, jak ona się nazywa. Majerówna czy jakoś tak. Usiadła na krześle i wciągnęła wełniane pończochy, co je Zośka zrobiła na drutach. Trzeba przyznać, że miała zacięcie do tych robótek. I talent. Uczyła nawet Helenkę, ale marnie jej to szło, chociaż ciągle coś usiłowała dziergać, a to szalik, a to kamizelkę, widać drygu nie miała do tych drutów, za to do igły, oj, bardzo nawet, cerowała przecież ładnie, drobniutko. Zosia pocieszała ją, zachęcała, mówiła, żeby była cierpliwa, bo bez tego ani rusz. Tłumaczyła też, że ćwiczenie czyni mistrza, trzeba to sobie zapamiętać. No nic, Hela nie zamierzała się poddawać. Może się w końcu nauczy, bo przydatna to była umiejętność. Jeszcze sobie w cichości marzyła, żeby nauczyć się szycia, tak na maszynie. Wtedy miałyby w ręku fach i nigdzie chodzić by nie musiała. Jakoś nie lubiła.

Najlepiej jej było w domu.

Kiedy już wyszykowała się do wyjścia, wrzuciła jeszcze do plecaka kilka butelek na wodę, zawsze trochę więcej przyniesie, wzięła wiadro i już miała wyjść, gdy nagle poczuła zapach spalenizny. A to co? Stanęła jak wryta, pociągnęła nosem. Wyraźnie coś się kopało. Postawiła wiadro i wróciła do kuchni, ale piec był wygaszony. W ich pokoju też nic się nie paliło, więc dym musiał pochodzić z któregoś z pomieszczeń zajmowanych przez lokatorów. U doktora była przed kwadrans, nie miał rozpalonej kozy, bo nawet ciut zmarzła, kiedy robił zastrzyk. Zalewski szedł do pracy, więc nie dokładał do pieca. W służbowce w ogóle nie było ogrzewania. Trochę ciepła dawała ściana od doktora i Kaśce z gachem to wystarczało, bo pokoik był mały jak dziupla.

Hela doszła więc do wniosku, że musi się palić u tego młodego, w gabinecie. Gdy podeszła do drzwi, od razu poczuła swąd i zauważyła smużkę dymu wydostającą się na korytarz spod drzwi. Nie wiedziała, czy lokator jest u siebie, czy nie, ale od razu zaczęła mocno stukać, bo pożar, wiadomo, straszna rzecz. Wyglądało na to, że jest sama w całym mieszkaniu, nikt się nie odzywał, już myślała lecieć po dozorcę, gdy nagle drzwi się otworzyły, uchyliły raczej, i zobaczyła właściciela pokoju, w podkoszulku. Wyjrzał i zapytał:

– Co się dzieje?

– U pana chyba się pali? Czuć aż na korytarzu. Dym... – Wskazała palcem na czarniawy dym, unoszący się wokół jego stóp. – Myślałam, że to może...

– Pożar? Nie, nic się nie pali. To znaczy, paliłem, ale papierosy. Machorka od ruskich, mocna jak diabli – zaśmiał się trochę na siłę, ale w jego oczach nie było wesołości, Helenka widziała to wyraźnie.

– A to przepraszam bardzo – bąknęła – jużem się zestrachala, tyle dymu!

Mężczyzna kiwnął głową, że przyjmuje przeprosiny, i zamknął jej przed nosem drzwi. No, nie był on wcale grzeczny, oj nie.

Ale zanim zdążył zamknąć, Hela dostrzegła na biurku, jak raz widocznym w szparze, miednicę, byle jaką, poodpryskiwaną. Właśnie z niej się dymiło. Nieduży to był dymek, ale taki czarny, jakby polał coś w tej miednicy wodą i nie dogasił.

W każdym razie pożaru nie było, więc już uspokojona wzięła wiadro, zastanawiając się jeszcze, co też takiego mógł palić ten lokator, że aż w miednicy.

Nie mógł w piecu? Jak człowiek. Dziwny on ci jest, oj dziwny.

Zamknęła za sobą drzwi, odganiając kręcącego się pod nogami Rudaska, i starannie przekręciła klucz w obu zamkach. Coś złego się czaiło. Helenka czasem miewała przecucia i teraz też miała. Irenkę pewnie spotkało jakieś nieszczęście, tfu, tfu, odpukać, na psa urok. Jeśli nie wróci do wieczora, Zośka zapowiedziała, że pójdą na milicję. Milicji też Hela się bała. Ale trudno. Pójdą.

Gdy zaczęła schodzić po schodach, pobrzękując wiadrem, które obijało się o metalowe pręty podtrzymujące poręcz, lokator z gabinetu stanął przy drzwiach, posłuchał jej milknących kroków, a potem, kiedy już całkiem ucichły, wziął z pokoju miednicę i poszedł do kuchni, gdzie całą zawartość wrzucił do kaflowego pieca. Wiedział, że w domu nie ma już nikogo, bo doktor Zalewski wyszedł tuż przed tą wścibską Helenką.

Po opróżnieniu miednicy wrócił do pokoju, zebrał stos papierów, byle jak zgniecionych, do miski, a potem wcisnął pod blachę w kuchni. Podpalił i stał spokojnie, czekając, aż wszystko spłonie. Rozgarnął popiół, zalał resztki wodą, zabrał miednicę i zniknął u siebie. Jutro zamierzał wyjechać. Na Podlasie. Nie wiedział, czy i kiedy wróci. Wolał nic po sobie nie zostawiać. Ani zwykłych papierzysek, ani pamiątek. Kto wie, co będzie jutro. Nikt tego nie wiedział, a już

zwłaszcza tacy jak on.

9 MARCA 1945, WARSZAWA

Pocałowała Romka mocno i namiętnie, a on chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Siedzieli na przednim siedzeniu ciężarówki, całując się zapamiętale, aż im zabrakło tchu. Potem pogładził Irkę czule po głowie i szepnął:

– Uciekaj, bo za chwilę znów cię porwę.

Wyskoczyła z szoferki i pomachała Romkowi na pożegnanie. Zobaczyła jego profil. Ma świetny nos, pomyślała z zadowoleniem. W ogóle był pierwsza klasa. Nie spojrzął na nią, tylko włączył silnik i ruszył ostro do przodu, a Irenka została sama, lekko zawiedziona, że nie pomachał jej na pożegnanie ani nic. Może gdzieś się spieszył, westchnęła. Stała przez moment, potem zaś pomaszzerowała w kierunku bramy. Na chodniku nieopodal bawiła się Alinka od Franiów. Irka niewiele ją znała, ot, czasem mignęła jej na klatce schodowej, czasem natykała się na nią w kuchni, gdzie wieczorami Zośka poduczała małą matematyki. Czasem Helenka siedziała obok, słuchając uważnie i coś tam sobie cerując. Zośka miała prawdziwy dar, potrafiła przekazywać wiedzę i wyraźnie to lubiła. Kto wie, może zostanie nauczycielką? Może nawet będzie kiedyś wykladała na uniwersytecie. A może wróci na te swoje studia? Tak właściwie byłoby najlepiej. Tylko że z czegoś trzeba żyć. Ostatnio zahaczyła się w bibliotecę, no, dobre miejsce, ale zdaniem Irenki nudne jak flaki z olejem.

Alinka grała w klasy z małą od Majeranków. Kiedy podskakiwała, wraz z nią podskakiwały jej warkoczyki. Miała takie same jak ona, Irenka, kiedyś, dawno temu, w dzieciństwie prawie już zapomnianym.

Popatrzyła na dziewczynki roziskrzonymi oczami, a Alinka od razu zawołała ucieszona:

– Dzień dobry!

Grzeczna z niej była dziewczuszka. Z każdym dniem robiła się i weselsza, i ładniejsza. Koniec strachu, wielkiego strachu, wyraźnie jej służył. Irka uśmiechnęła się i na chwilę przystanęła, patrząc, jak z tą małą Majerankówną razem się bawią. Też lubiła kiedyś sobie poskakać. Jak to się kręci. Było, minęło. A w końcu pomyślała: Dlaczego właściwie było, minęło? I strzepnąwszy płaszcz, podeszła do dziewczynek.

– Mogę?

Małe, troszkę zdziwione, odsunęły się grzecznie, a ona wskoczyła w pierwszy prostokąt, przeskoczyła kolejny kwadrat i przeszła całą grę niebem bez ani jednej skuchy. Pomachała dziewczuszkom i zadowolona z siebie ruszyła w tonącą w mroku sień.

Tam wróciła do świata realnego, któremu do tej pory nie poświęciła ani myśli. Poczuła, że zdrowo oberwie jej się od dziewczyn. Na pewno się martwiły, zachodziły w głowę, co się dzieje, gdzie przepadła na całą noc. Ale jakoś tak, po prawdzie, nie miała wyrzutów sumienia. Raczej była rozmarzona.

W mieszkaniu panowała cisza. Irka zerknęła z nawyku na szklane drzwi do gabinetu, ale nikogo nie było za nimi widać. Co niczego jeszcze nie dowodziło, lokator często, jak jej się zdawało, spał na kanapie. Jej kanapie. Bo tu większość mebli była jej. Ach. A może czytał? W każdym razie siedział jak mysz pod miotłą, mało wychodził. Często jednak wyjeżdżał na kilka dni, czasem na tydzień. I nigdy nikt do niego nie przychodził, tak w ogóle to był

podejrzany, ale o tym Irka wołała nie myśleć. Nie wnikać. Tak było lepiej. Bała się jego odosobnienia, izolowania od ludzi. Coś ukrywał. Co, mogła się tylko domyślać. Zawsze kiedy przechodziła obok tych drzwi, ścisnął jej się żołądek, nie lubiła tego.

Poszła do kuchni i włożyła kilka szczapek pod blachę. Rzuciła zapałkę, nie zapaliło się, spróbowała jeszcze raz. Nic. W końcu pokropiła naftą, ale nie za dużo, i ogień powoli się rozczmuchał. Czajnik zaczął się grzać, zabrała go po kilkunastu minutach do pokoju, gdzie umyła się o tyle porządnie, o ile było to możliwe w tych spartańskich warunkach. Wiadra nie było, domyśliła się więc, że Helenka musiała pójść po wodę. Niedawno na Puławskiej uruchomili hydrant, miała więc dziewczyna niezły kawałek do przejścia. Studnia, z której wcześniej korzystały, też znajdowała się dość daleko, na podwórku na Polnej, i co gorsza, mogła być skażona. Tyle tu trupów przecież wszędzie. Nikt wody nie badał, piły, wierząc, że nie drzemie w niej jakaś cholera czy inna dżuma. W końcu, póki trzymał mróz, było to względnie bezpieczne.

Ale teraz to już nie miało znaczenia. Wodociągi powoli ruszały.

A i światło lada moment powinno zabłysnąć. Elektryczne.

Irka nie miała czasu czekać na Helkę, chociaż ta, niosąc wodę, pewnie długo nie zabawi na mieście.

I tak się zorientuje, że jestem cała i zdrowa, pomyślała i rzuciła na krzesło spódnice w kontrafałdy, żeby było widać, że wróciła do domu.

Odświeżona szybko się przebrała, wrzuciła wczorajszy dżemperek¹³ do szafy, niezbyt porządnie, bo porządek nie był jej najmocniejszą stroną, co często denerwowało Zosię, nad wyraz porządną i poukładaną. Helenka miała świętą cierpliwość i nigdy nic nie mówiła, nie marudziła jak Zocha, tylko w milczeniu składała porzucane gdzie popadnie rzeczy Irki. Traktowała to jak rzecz oczywistą. Irenka zaś nie chciała traktować jej jak służącej i zwyczajnie wykorzystywać, więc po sekundzie namysłu cofnęła się od drzwi i pięknie złożyła sweterek, spódnice jednak zostawiła na krześle.

Kiedy zbiegała po schodach, wpadła na Franiową, która przecierała szmatką parapety.

– O! Panna Irka, wszelki duch... – wykrzyknęła dozorczyńni, odrywając się na chwilę od roboty. – Aleśmy się o panią zamartwiali. Noooo, dziewczyny z moim starym to szukali pani po nocy.

Irka zatrzymała się zaciekawiona, ale też lekko przyparta do muru.

– O rany, całkiem niepotrzebnie! – Uśmiechnęła się do małżonki pana Frania. – Proszę jednak podziękować ode mnie mężowi. Trafiłam na starych znajomych i tak z okazji tego cudownego spotkania, no, po prostu żeśmy zabalowali. Nie pomyślałam, że tu z tego taki raban będzie. No naprawdę, nie wiem, sama nie wiem... – zaczęła się plątać w zeznaniach.

– No tak, spotkanie ze starymi znajomymi to nie w kij dmuchał. Oblać trzeba musowo... – Dozorczyńni uśmiechnęła się wyrozumiale i pokiwała głową. – Toż i mój mówił, coby dziewczyny się nie denerwowały, ale gdzie tam, gadaj zdrów, nic, tylko w te pędy poleciały do tramwaja. W samym środku nocy. Zalewski też z nimi poszedł.

– Jednym słowem, narobiłam bigosu. Nie sądziłam, że wszyscy tak się przejmą, i jeszcze te nocne poszukiwania – odrzekła Irka, chociaż zdecydowanie tak sądziła. Z rana, bo wieczorem, niewiele myśląc, poszła w tango. Jak za dawnych dobrych lat.

– A bo pani, panno Irko, już nie taki wolny ptaszek jak przed wojną – dogadywała Franiowa, jakby Irce w myślach czytała. – Właściwie można by powiedzieć, żeby nie skłamać, że pani

teraz ma rodzinę, siostry, i to od razu dwie. A dziś inaczej niż przed tą wojną, niebezpieczniej, więc się biedaczki niepokoiły. I nie dziwota.

– Tak, ma pani świętą rację. – Irka przytaknęła skwapliwie, by udobruchać kobietę i przerwać przedłużającą się rozmowę. – Lecę do tramwaju zobaczyć, czy mi go aby jakie łobuzy nie okradły.

– Wszystko być może... – odparła refleksyjnie Franiowa, wyzymając ściereczkę do wiaderka. – Bandyckie czasy. A niech pani tam powie Alince, coby do domu szła, czas obiad zjeść. A czy ja pani mówiłam, że Romanowskie wrócili?

– Nie? Naprawdę? Nic o tym nie wiem.

– Noooo, pod Bogiem, wczoraj po południu, w pełnym komplecie się wtarabaniły, a tu te Kosiniaki u nich siedzą. Awantura była na sto fajerek, a teraz jak u wszystkich – zachichotała – ci w jednym pokoju, tamci w drugim i będzie piekło.

– To ja tym Kosiniakom wcale nie zazdrozczę. Romanowska da im nieźle popalić. Już to nawet widzę...

– Noooo, ale mieszkanie Romanowskich.

– To prawda – odrzekła zdawkowo Irka, bo za Romanowskimi jakoś szczególnie nie przepadała.

Pożegnała się z Franiową i pognąła, tupocząc na schodach.

Na ulicy zawołała Alinę, która bez ociągania pobiegła do domu, ledwie co żegnając się z koleżanką, widać była głodna, a Irka poszła w stronę placu Zbawiciela i dalej, przez drugi odcinek Mokotowskiej w kierunku placu Trzech Krzyży.

Czuła się tak szczęśliwa, że miała ochotę pofrunąć.

Nie zdawała sobie sprawy, że zaledwie o kilka minut rozminęła się z Helenką, która wracała Marszałkowską, zamierzając kupić kapustę albo parę garści grochu na niedzielną zupę. Na placu Zbawiciela, tuż przy rogu Nowowiejskiej, w byle jak skleconej budce sprzedawała warzywa kobieta spod Nowego Miasta, z którą Hela od czasu do czasu uciniała sobie pogawędki, i ta właśnie kobieta tak ją polubiła, że zaczęła co atrakcyjniejszy towar zostawiać dla niej pod ladą, ku radości wszystkich wygłodniałych mieszkanki Mokotowskiej. Były przy apetycie, jak mówiła Irka. Helenka wcześniej się umówiła na tę kapustę i teraz chciała ją zabrać. Oczywiście jeśli kupcowa zdobyła i dowiozła.

Dochodziła już do straganu, gdy nagle ją zobaczyła. To była ona. Stała pod sklepem spożywczym, tym w podcieniach, w kolejce nieregularnie wijącej się na ulicy. Jasnowłosa, ubrana w ciemną sukienkę, uczesana w ten swój wymyślny kok, upięty nisko, ciut nad karkiem. Helenkę najpierw sparaliżowało, własnym oczom nie mogła uwierzyć, że tamta tak zwyczajnie sobie stoi dziesięć metrów od niej. Po chwili Hela oprzytomniała, postawiła na ziemi wiadro z wodą, lecz niestety zrobiła to tak niezręcznie, że wiadro się zakolebało i woda chlapnęła akurat na buty przechodzącego chłopaka w czapce z daszkiem przekrzywionej na bakier. Nieoczekiwanie zmoczony warszawski andrus rzucił bardzo warszawską wiązaną przekleństwem, z których „wsiowa ciemęga” było najłagodniejszym.

Helenka, jak to ona, pobladła i zaczęła się nieźle usprawiedliwiać, ale chłopak nie patrzył, tylko pognął dalej. Stała przez chwilę zawstydzona, w końcu przerażona przypomniała sobie, dlaczego w ogóle rozchlapała wodę, odwróciła się na pięcie i zostawiając wiadro na łasce losu, rzuciła się biegiem w stronę ludzi przy spożywczym, bo teraz już jej nie widziała.

Jarzębowska, bo to ją zobaczyła, zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.

Helenka przeszła wzdłuż całej kolejki, wepchnęła się do sklepu, ale nie, tu też jej nie było.

Potruchtała w kierunku 1. Armii Wojska Polskiego, co to Irka na tę ulicę mówiła „aleja Szucha”. Spojrzała, ale nie dostrzegła w oddali nikogo, kto przypominałby Jarzębowską, więc czym prędzej zawróciła, pobiegła na Marszałkowską i zlustrowała wzrokiem całą jej długość, aż po horyzont. Nic. Potem skoczyła na jednej nodze na Nowowiejską, to samo. Zrezygnowana wróciła po wiadro, ale wiadra też nie było. Koniec świata.

Usiadła na kupie gruzu, ściągnęła plecak pełen butelek i nagle zachciało jej się płakać. Ale się nie dała. Nie będzie beczeć. Zastanawiała się, czy to naprawdę była Jarzębowska, i ciągle jej wychodziło na to, że tak. Bo inaczej po kiego diabła obca kobieta uciekałaby z kolejki. A tamta przed nią uciekała. A skoro uciekała, to znaczy, że miała cykora. Proste.

I jeśli stała pod tym sklepem, to musiała tu mieszkać. Gdzieś tu była. Niedaleko. W Warszawie. Z jej, Helenki, dzieckiem.

[9](#) Autentyczny antykwariat, jeden z pierwszych po wojnie. Istnieje do dzisiaj.

[10](#) Mieszkasz (ros.).

[11](#) Pierwszy teatr w powojennej Warszawie.

[12](#) Obwieszczenie (niem.).

[13](#) Sweter wkładany przez głowę, z ang.

Dawniej

22 MARCA 1943, WOJTKOWICE MAŁE

Biegący lis przeciął białą połąć śniegu. Rudy ogon śmigał za nim to w prawo, to w lewo, gdy zwierzak przeskakiwał z bruzdy w brudę, a ślady łap zostawiały pokrętną przerywaną kreskę. W oddali widać było strugę wijącą się u stóp niewielkiego wzniesienia. Zresztą może to był tylko większy rów melioracyjny. Z szuwarów, pewnie wystraszone przez lisa, oderwały się dwa ptaki i poszybowały w niebo.

Na razie wiosnę zwiastowało światło, jaśniejsze, już nie tak szare, i błoto. Bruzdy zamarznętej jeszcze tydzień temu drogi uginały się pod stopami niczym kruche ciasto, zanim się je włoży do piekarnika. Ponocny lód w mikroskopijnych zagłębieniach gruntu pękał z cichym trzaskiem jak zbite szkiełko zegarka.

Helenka doszła szybko do chaty i zwałała uzbierane w lesie gałęzie na podwórzu, zaraz przy drzwiach, pod wystającym daszkiem. Codziennie chodziła po te gałęzie coraz dalej i dalej, w głąb lasu. Blisko, na samym skraju, ludzie ze wsi (a i ona też) wybierali wszystko dokumentnie – do ostatniej szyszki.

Rozprostowała plecy, poprawiła zsuniętą chustę i popatrzyła na tonące w śniegu i błocie podwórze. Ciapcianina. Westchnęła. Teraz to dopiero będzie szorowanie, aż strach pomyśleć. Nie pomagało zdejmowanie butów w sieni, i tak brud się dostawał do izby. Na ubraniach, na łapach kota czy psa, na nogach leśnych czy sąsiadów nawiedzających czasem chałupę. No i Krzyś też brudził i się brudził, gdy wtuptywał na tych swoich tłustych nóżkach do kuchni i od razu lądował na czworakach. Na myśl o małym pospieszyła do sieni. Trzeba migiem obiad upitrasić i podać, bo Ewa Jarzębowska słabowała, nie miała siły nawet z łóżka się zwlec. Kaszel rozrywał jej gardło i płuca, ledwie oddychała. Tak było ciągle, byle przeziębienie, którego ona, Hela, nawet by nie zauważyła, tamtą kładło do łóżka na tydzień lub dwa. Miastowi nie byli przyzwyczajeni do takich warunków. Helenka to rozumiała, a też i to, że do niej należy cała robota w chałupie.

Kiedy weszła do izby, zobaczyła Krzysia bawiącego się pokrywkami. Hałasował okropnie, siedząc w środku przewróconego do góry nogami stołka, udającego wóz, a często gęsto i samochód, bo malec widział pod chałupą sołtysa niemiecki gazik, który wielce mu się spodobał. Dudnił tymi pokrywkami jak opętany, aż mu się łebek cały w jasnych loczkach spocił. Podbiegła do synka, zdziawszy tylko kapotę, i ucałowała go z impetem.

– Głodnyś?

Pokiwał główką i zaraz się rozbeczał. Mówić jeszcze nie umiał, tylko wykrzykiwał parę sylab. Teraz też zawołał:

– Ma! Ma!

– Zaraz dostaniesz! – uspokoiła go Hela. – Nie martw się nic, moje ty skarby najmilsze, mamusia uwarzy ci co pysznego.

Zanim zabrała się do gotowania, poszła jeszcze do izby za sienią, bo chałupa miała tylko kuchnię i za sienią paradną izbę z dwoma łózkami, świętym między nimi obrazem i stołem nakrytym pluszem.

Na łóżku, tym ustawionym dalej od okna, leżała Ewa Jarzębowska.

– Jużem wróciła, nie potrza tam pani czegoś? – zapytała Helenka, podchodząc bliżej i miętoląc w rękach skrawek zapaski.

Patrzyła na chorą z niepokojem, zadając sobie w myślach pytanie, czy aby co złego się nie dzieje. Splątane jasne włosy zaścierały całą poduszkę i Hela pomyślała, że jak tylko się obrobi, musi koniecznie uczesać panią Ewę, bo jeszcze potem, nie daj Bóg, trzeba będzie ciąć kołtuny. A te włosy były naprawdę piękne. Jak jedwab.

Czerwone policzki, zaszklone oczy, ani chybi coś niedobrego się przyplątało. Czoło kobiety prawie parzyło, gdy Hela dotknęła go ręką.

– Pić poproszę, Helenko, gdybyś była tak uprzejma – wyszeptwała spękanyimi wargami. Oczy miała ciemne jak węgielki.

– Zaraz będzie picie i zupkę ugotuję, krupniczek, to panią nakarmię... – zagadała wesoło, co już miała przećwiczone, kiedy opiekowała się chorą matką. Taki widać jej los.

Pochyliła się, by podciągnąć poduszkę i leżącą na niej kobietę. Wiedziała, że gdy położy ją wyżej, będzie jej łatwiej oddychać.

– Proszę spokojnie leżeć, pani Ewuniu, wrzucę trochę gałęzi pod kuchnię i zaraz zupę podam i miętę do picia.

Mięta nie była może najlepsza na taką gorączkę, ale tylko ją miała, więc co było robić. Żeby choć rumianku, cóż, kiedy jak na złość się skończył.

Chora pokiwała głową i nic już nie mówiąc, zamknęła oczy.

Helenka wróciła do kuchni. I do Krzysia. Przezornie zostawiła jeszcze trochę podsuszonego, porąbanego drewna, więc dołożyła teraz do pieca. Szybko się zapaliło, podlane ociupiną nafty. Zapach nafty, którego nie lubiła, rozszedł się po kuchni, ale nic to, zaraz będzie cieplej, choć ze źle ogaconej chałupy ciepło uciekało wszystkimi szparami. Krzyś dopełził do niej na czworakach, jak piesek, ciągnął ją za spódnicę i powtarzał:

– Mami! Mami!

Stęsknił się biedak zostawiony sam sobie. Zawsze się spieszyła, gdy musiała go, jak dziś, zostawić samego w chałupie, ale nie miała wyjścia, bo inaczej by tu zamarзли na śmierć albo pomarli z głodu. Sergiusz, mąż pani Ewy, już dobry tydzień temu pojechał do Warszawy i nie wracał. Pojechał po pieniądze, z czegoś żyć musieli. Miał jakąś zamożną ciotkę i liczył, że wydebni od niej trochę gotówki. Znaczący, od tej ciotki, tak wyjaśnił Heli. Oby mu się udało. Ona miała już tylko zaszyty w obrębek spódnicy pierścionelek od matki. Reszta poszła na poród i dziecko.

Helenka przysiadła przy Krzysiu, wzięła go w ramiona. Pobujała, pogłaskała, śpiewając:

W górze tyle gwiazd...

W dole tyle miast.

Ale tylko jedną zwrotkę mu zaśpiewała, nie chciała go kłaść spać na głodniaka. Zupkę najpierw musi zjeść.

Przystawiła go do wiadra, dokładnie instruując:

– Teraz wyjmujemy siusiaczka i Krzyś zrobi ślicznie siusiu...

Ewa jej poradziła, żeby więcej do małego mówiła, to zacnie szybciej gadać, jakoś mu to wolno szło, za to nadrabiał ruchliwością.

Jarzębowski uważali, że bystry z niego chłopaczek, tylko z tym gadaniem taki powolny i prawda, tak było. Rozumiał wszystko w lot, a że nie gadał, to cóż? Kiedyś przecież zacnie, tego Hela była pewna. Zresztą chłopcy zawsze później niż dziewczynki mówić zaczynają. Wiedziała to od starszych, bardziej doświadczonych matek. Ojca miał mądrego. Helmut studiował filozofię w jakimś Heidel... jakoś tak. W każdym razie to było coś najmądrzejszego na świecie, tak mówił pan Jarzębowski. No, może jeszcze lepiej by było, gdyby był doktorem, ale on się śmiał i mówił, że właściwie to zaraz, gdyby nie ta wojna, miał zostać doktorem, ale filozofii. I stąd jego przyjaźń z Jarzębowski, bo i Jarzębowski był doktorem, ale czegoś tam innego. Czego, Hela nie wiedziała. Tak sobie często ze sobą szprechali i gdy przyszło na nią złe, to właśnie Jarzębowski Helmut poprosił o pomoc. By ją przyjęli. Tak się właśnie stało, jak się wtedy u nich zjawiała na ostatnich nogach i zaraz się rozsypała. Przyszła i zległa. Ileż oni z nią kłopotu mieli, koniec świata. No, ale teraz pomagała, jak mogła. Z całych sił. Za tę ich gościnę.

Mały się wysusiał, zapięła mu klapkę w rajtuzach, podciągnęła porcięta i usadziła go na ławie, dając teraz łyżki do zabawy. Zaraz też zaczął stukać w stół jak jakiś szalony bębniarz i patrzył na nią śmiejącymi się oczyma, czy widzi.

– Moje ty śliczności!

Kiwała do niego głową potakująco, żeby wiedział, że z nim jest. Dobrze, że pani Ewa w drugiej izbie, pewnie by jej przeszkadzał ten hałas, a tak mały mógł się pobawić, a chora miała spokój.

Woda się przygrzała, zaparzyła więc miętę, co ją zbierała latem nad rzeczką, a potem napiła Jarzębowską, która prawie leciała przez ręce. Helenka zaczęła się martwić, co to będzie, jeśli, nie daj Bóg, pan Sergiusz nie wróci. Nie bardzo wiedziała, jak sprowadzić lekarza, skoro nie ma pieniędzy, no, może zgodziłby się przyjść za ten pierścionek najostatniejszy, ale jak po tego lekarza jechać, przecież nie ma z kim Krzysia ostawić. O Boziu, Boziuniu, jęknęła w duchu. Ale co ja się tam będę martwić na zapas, pomyślała zaraz, już weselsza, może jacy sąsiedzi pomogą. Teraz obiad trzeba ugotować, to przede wszystkim. Wróciła do kuchni, w której z kolei zniknął Krzyś. Przestraszona zaczęła się rozglądać, ale małego ani widu, ani słyhu. Aż tu jak nie zapiszczy śmieszny głosik spod stołu:

– A kukuu!

Chwyciła go w ramiona, już spokojniejsza, oboje się pośmiali i Krzyś znów wylądował na ławie, przystawionej do stołu, a Hela wrzuciła do wody skrzydełka od kurczaka, szyjkę i włoszczyznę szybko obraną. Niech ta się pichcą.

Zaczęła jak raz ogarniać izbę, gdy zaskrzyphiało w sieni i cud, po prostu cud! W drzwiach stanął pan Sergiusz. Krzyknęła z radości, kamień jej spadł z serca, a z ławy Krzyś, gdy rzucił się do witania. Nic nie zapłakał, tylko podreptał do Jarzębowski, piszcząc z uciechy. Oj, lubieli się oni bardzo.

– Boże, jak to dobrze, że pan już jest! – krzyknęła. – Z panią całkiem kiepsko. Już od zmysłów odchodzę, taka jestem cała w nerwach!

Jarzębowski zbladł, rzucił na ławę kozuch, taki dorożkarski, i skoczył do drugiej izby. Krzyś wyciągnął łapki i zapłakał, ale pan Sergiusz co innego miał teraz w głowie niż płacz malca.

Po chwili wyszedł z izby i znów złapał kozuch.

– Jadę po lekarza do Myszkowic. Pilnuj!

– Toż ja nic innego, jak tylko pilnuje i pilnuje... – Hela się uśmiechnęła.

– Dobra z ciebie dziewczyna. – Wydłubał z kieszeni tutkę z czymś tam. – To dla ciebie i Krzysia.

I już go nie było. Helenka zajrzała do tutki. Kukułki. Najlepsze na świecie. Chciała małemu dać jedną, bo już tam coś popiskiwał, wałąc ją łyżką po łydce, ale pomyślała, że musi być mądrą matką i najpierw zasypała zupę kaszą.

Słodkie da mu po obiedzie.

Teraz

9 MARCA 1945, WARSZAWA

Baza samochodowa zajmowała dużą część placu Narutowicza. Dowodzący całym tym interesem wymęczony podporucznik w brudnych oficerkach wyglądał na wojaka, co to z niejednego pieca chleb jadł. Ale że tak wyglądał, to też i nie zwracał uwagi na pokaźny tłumek interesantów, usiłujących przyciągnąć jego uwagę. Chodakowski wraz z Zosią chodzili po placu dwa kroki za nim, z zerowym skutkiem, oficer był głuchy i niewidzący. Wyłuskiwał z grupki oczekujących jakichś swoich znajomków i coś tam z nimi załatwiał na oczach pozostałych, ale za każdym razem dyskretnie się odsuwał, bardziej chyba pro forma, żeby nie drażnić za bardzo tych bez znajomości.

Potem znów go dopadano, szedł, słuchał niby kogoś z lewej, kogoś z prawej, ale i tak załatwiał, nie wiedzieć czemu, kogoś z boku, kto czy mu się podobał, czy też czymś go zainteresował. Chodakowski uważnie śledził owe podejrzane konszachty, ale ich mechanizm był dla niego nie do odgadnięcia. Krzyki, szarpania, płacz małych dzieci czy błagalne jęki starców nie robiły wrażenia. No, skała. A człek niepozorny, który się pojawił zaledwie przed kwadrans, nagle zniknął za węglem z oficerkiem i po niespełna pięciu minutach wynurzał się znów z za tego węgla z pogiętą kartką. Znaczy, przydziałem. W końcu doktor przyjął starą i dobrą zasadę, że jak nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo. Sięgnął do kieszeni szynela i wymacał pall malle, podarowane mu przed dwoma dniami przez młodego Amerykanina, zwiedzającego teren uniwersytetu. Najpierw poczuł się tym prezentem nieco urażony, ale że był człowiekiem z klasą, podziękował uprzejmie.

Możliwe, że w tym szynelu wyglądał na dozorcę, a dobrą znajomość (w końcu jego ojczystego języka) jankes uznał za naturalną. Chodakowski trzymał więc tę bezcenną paczkę papierosów i czekał na specjalną okazję.

Teraz uznał, że ma już dość łażenia w tłumie żebrzących o przydziałowe auto.

Wziął porucznika za ramię i mówiąc: „To pilne”, błysnął mu przed oczyma legitymacją uniwersytecką. Tak się szczęśliwie złożyło, że kilka dni wcześniej zeszli do piwnicy i znaleźli tam cały karton przedwojennych legitymacji – czystych jak łąza, więc je sobie z największą radością i bez żadnych myśli ubocznych wystawili, stemplując imponującymi pieczęciami ukrytymi przed powstaniem. Z orłem w koronie, ale cóż. Na razie można. Nikt nie zabronił. Ta na wskroś porządna legitymacja, zaprezentowana w tempie iście ekspresowym, mogła przynależeć do każdej instytucji, nawet organów specjalnych, powiedzmy, więc porucznik już nie wdawał się w dyskusję, tylko posłusznie ruszył w najdalszy kąt ogrodzonego i dobrze strzeżonego placu, gdzie Chodakowski, okazując zdobyty przez Zosię przydział na samochód, tonem nieznoszącym sprzeciwu zażądał tegoż samochodu, a także kierowcy. Gdy w oczach oficera ujrzał jakby cień wahania, wsunął mu w rękę paczkę papierosów w pięknie błyszczącym pudełku.

Był to argument nie do podważenia.

Od razu dostali papier przydzielający ekipie bibliotecznej samochód o numerze czterdzieści osiem.

I kierowcę.

– A gdzie ten kierowca? – zapytał Chodakowski.

Wojskowy niedbale wskazał na duży barak po drugiej stronie posesji.

– Tam sobie dupy grzeją.

Podziękowali, doktor z pańska, nie wypadając z roli, a Zośka z nadmiernym entuzjazmem, jak to młode dziewczę, i poszli do baraku.

Ich grzeczne „dzień dobry panom” przepadło bez odzewu w panującym tu gwarze. Ze dwudziestu chłopów jadło, piło, paliło, grało w karty i gadało. Na wchodzących nikt nawet nie spojrzał. A to przykreść. Doktor był człkiem kategoriycznym, więc nie zwlekając, podniósł głos:

– Potrzebuję kierowcy! Na jutro! Kurs do Poznania i jeszcze kawałek dalej...

Zrobiło się jakby trochę ciszej, ale tylko trochę...

Paru szoferów rzuciło na nich okiem taksująco.

I ktoś zapytał:

– A po co ten kurs?

Tym razem głos zabrała Zosia. Usiłując przekrzyczeć gwar, zawołała:

– Przywieziemy książki. Do biblioteki uniwersyteckiej!

No i wtedy dopiero się zaczęło. Ubaw po pachy.

– O, książki! Uuu, a ja nieogolony, to chyba nie.

– Ja okielarków nie mam, także bardzo dziękuję za tom fuche.

– No, ja nie parle franse, sie nie nadaję, choć nie powim, to mnie komwieniuje, ale nie do końca...

Tak to sobie panowie kierowcy zaczęli żartować, przerzucając się średniej klasy dowcipasami, a oni stali na środku baraku, skonsternowani i źli, myśląc intensywnie, jak by tu dopiąć swego, gdy nagle pojawił się koło nich mały, łysy i ogólnie raczej niewyglądny jegomość, wziął Chodakowskiego za mankiet i rzekł:

– Wyjdźmy na powietrze świeże, trza pogadać konkretnie, a tych tu nie przegadamy za jasną cholerę, bo tylko się pan dowiesz, co już sam najlepiej wiesz: głupich nie brakuje. Dwieście tysięcy utłukli Niemcy w powstaniu, a popatrz pan tylko, ilu jeszcze zostało.

Cymbałów... – dokończyła w myślach Zosia.

Z ulgą wyszli za nim z baraku, skąd jeszcze goniło ich nad wyraz dowcipne:

– Kup pan książkę zamiast obrączkę...

– Pokaż no pan ten przydział na maszynę. Widział ją pan czy w ciemno brał? – Spojrzał bystro na Chodakowskiego, który stał z niewyraźną miną. – No jasne, nie widział pan, można się było domyślić. Pewno najgorszego rzęcha wam wcisnęli. Oj, panie starszy...

Spojrzał na kartkę i aż się zacukał:

– A cóżeś pan zadał kierownikowi, że tego benza panu dał? Pierwsza klasa auto. Najlepsze na stanie.

– Pall malle...

– No, kochany, pan nie wyglądasz, ale masz pan te, że tak powiem, nabiał masz, o! Dobra, skoro samochód dobry, to ile pan mnie dajesz? A, pozwolisz pan, że się przedstawię. Józio Mazurkiewicz jestem.

Józio okazał się życzliwy i, co równie ważne, niechytry, więc szybko się dogadali. Poza

niewygórowanym honorarium miał życzenie przywieźć szafę dla małżonki.

– Żeśmy są gołe jak dzień po ślubie. Albo i gorzej, bo w komunałce siedzimy i nawet klozet wspólny mamy. Tak żem swojej starej, znaczy się, pardon, ślubnej, obiecał: nie minie pięć lat, a wszystko będzie. A pierwsza musi być szafa, by rzeczy aligancko do niej wkładać. Łóżko i stolik, kulawy, bo kulawy, ale mamy.

Pan Józio wojnę przepędził w obozie w Mauthausen, a żona przebidowała na wsi. Dom, w którym mieszkali na Woli, wysadzono ze wszystkimi gratami po powstaniu, więc zaczynali od zera.

Zosi energiczny Józio bardzo się spodobał, Chodakowskiemu także.

Czuli, że trafili w dobre ręce.

9 MARCA 1945, WIECZÓR, WARSZAWA

Wieczór na Mokotowskiej jak zazwyczaj obfitował w bitwy i spory. Najpierw Kacha pokłóciła się z Irką, która poślizgnęła się na maśle. Leżało rozmaślane na posadzce w kuchni, a Irka do niego dołączyła, wcale nie uszczęśliwiona, jadąc po nim efektownym ślizgiem. Jak po maśle. Legła jak długa i stłukła sobie kość ogonową. Pozbierawszy się, w te pędy pognała do służbówki, by zrobić stosowny raban. Zapukała i od razu, nie czekając na zaproszenie, otworzyła drzwi. Kaśka wraz z Wojtkiem siedzieli na łóżku, bo w zasadzie tylko łóżko, poza szafą, w tej dziupli się mieściło. Kochankowie zgodnie popijali w dużych karczmakach miodową przepalankę, zakąszając wcale apetyczną kaszanką. Na widok której Irce kiszki zagrały marsza.

Awantura, może z powodu tej kaszanki, zrobiła się większa, niż można się było spodziewać. Irkę zwyczajnie poniosło. Użyła paru słów specjalnych na okazje wyjątkowe i wykrzyczała, co myśli o zamaślaniu całego domu, żądając, by Kaśka puknęła się w ten durny łeb, trochę pomyślała, bo to naprawdę nie boli, i wzięła się w karby, nie mieszka tu przecież sama i u siebie.

– A jak nie, to droga wolna! Nikt tu za wami nie będzie płakał!!!

Zaatakowana obcesowo królowa maślanego interesu zaśmiała się szyderczo i kopnęła z rozmachem drzwi, odcinając tym samym stojącą za progiem Irkę od widoku kaszanki, ale i potęgując jej złość.

Irenka odsunęła się, myśląc, że gdyby miała broń, toby do nich wygarnęła. Bez żadnego ale.

Nawet i przez te drzwi bym ich, pomyślała, trzęsąc się z wściekłości i patrząc na zamknięty pokoik. Jej, właścicielce mieszkania, przed nosem, i z kopa!

Szczęśliwie nie miała broni, swój pistolet bowiem, jeszcze pamiątkę z września trzydziestego dziewiątego roku, po świętej pamięci sąsiedzie Witoldzie Kiersnowskim, zakopała gdzieś w ogródku na Woli i nie zamierzała tam wracać. Nigdy.

Była głodna, kilka godzin temu zjadła wszystkie kartofle, które miała w wagonie, ale kartofle to było stanowczo za mało. Liczyła na jakąś dobrą kolacyjkę przygotowaną przez Helę, ale w domu okazało się, że, niestety, do jedzenia nie ma nic, jak na złość, a Helenka, z czerwonym nosem i podpuchniętymi oczami, płacze, bo jak na złość postradała wiadro, więc i wody też w zasadzie nie ma.

Kompletna zapaść na wszystkich frontach.

A dzień tak przyjemnie się zaczął, rozmarzyła się Irka, tak rozkosznie...

I kiedy sobie przypomniała, jak się zaczął, od razu poweselała. Zaczęła szperać po szafkach

w poszukiwaniu czegoś na ząb, w końcu wydobyla od zapłakanej Heli informację, że mają jajka, aż dwa, i mąkę, więc poszła do kuchni i usmażyła dwa grubaśne omlety. Ciut wyszły twarde, bo rozrobione wodą, ale i tak prima sort. Podczas wojny straciła już nieco wyrobiony, być może nawet wyrafinowany smak, który zawdzięczała Toniowi i środowisku, w jakim się obracała. Dawno, dawno temu.

Akurat przyszła z pracy Zośka, zmęczona i z obtartymi piętami, więc podzieliła omlety na trzy części i zaniósła kawałek przypadający Heli do pokoju, ale ta odmówiła grzecznie, wtuliła się w kołdrę, tłumacząc, że jadła i na dziś jej wystarczy. Irka czuła, że coś się wydarzyło, i postanowiła pogadać z nią później, jak już zjedzą. Nigdy do tej pory nie widziała przyjaciółki tak przygaszonej. Jakby ktoś ją posypał popiołem. A zazwyczaj była pełna radości.

Utrata głupiego wiadra wyprowadziła ją z równowagi? Dziwne.

Na razie jednak poszła do kuchni, gdzie z Zosią zjadły po kawałku omleta posmarowanego grubo marmeladą jabłkową, przywiezioną przez Głazę ze wsi. Zaczęły gadać o jutrzejszym wyjeździe Zośki do Poznania, potem przeszły do tematu zaginięcia Irki, która z lekka się zaczerwieniła, nie bardzo wiedząc, co ma mówić, a czego nie. I nie bez kozery. Nie czuła się tak do końca swobodnie z Zośką.

A jeśli pani bibliotekarka uzna, że ona, Irka, jest ze szczętem niemoralna? Oto pytanie. Wiadomo, że z kabaretu, ale puszczańska zanadto nie była. Ot, tyle, ile chciała. Całe lata miała jednego kochanka, Tonia. Nie wiedziała, co z nim. Gdzieś się rozplątał w czasie wojny. No i jeszcze tego tam... Wolała o tym drugim nie pamiętać. Zresztą w ogóle się nie liczył.

Szczęśliwie trudny temat nocy z Romkiem zszedł na drugi plan, bo ze służbówki zaczęły dochodzić coraz głośniejsze pijackie śpiewy:

– Aniołem byłaś mi! – rozległo się nagle zza zamkniętych drzwi.

Po chwili Wojtkowi zawtórowała Kaśka, zawodząc niskim głosem:

Ja chwili tej już nigdy nie zapomnę
Gdy pierwszy raz podałeś usta swe
Pomnę, jak dziś podeszłeś cicho do mnie
Sam księżyc chciał, bym pocałowała cię.

Dziewczyny zaczęły chichotać jak szalone, prychnając omletami z marmeladą.

Romantyczna Kaśka – to było nie do pojęcia.

W kuchni pojawiła się Zalewska, która usłyszawszy rzewne pienia, najpierw postukała się w czoło, zarówno w kierunku ich obu, jak i służbówki, a dopiero potem zabrała się do gotowania zupy.

Nie było po co dłużej tu siedzieć. Pani Wanda hałasowała, miotając się przy garach, a za ścianą rozbrzmiewały pijackie zawodzenia, więc dziewczyny, ciągle się śmiejąc, postawiły na kredensie brudne talerze, a następnie oznajmiły niezbyt zadowolonej z takiego obrotu rzeczy doktorowej, że nie mają wody i w związku z tym pozmywają jutro, a następnie poszły do pokoju, gdzie Helenka leżała pod kołdrą, przykryta po sam czubek głowy.

– Hela, co ci jest? – spytała z troską Zośka, pochylając się nad nią, ale biedula nie odezwała się ni słóweczkiem, półsłóweczkiem nawet, i udawała, że śpi.

Zosia z Irką popatrzyły na siebie znacząco; każda z nich doszła do wniosku, że czasem można mieć gorszy dzień, więc Zośka pokazała palcem na usta, Irka tylko pokiwała głową

i w milczeniu zaczęły się rozbierać. Obie były zmęczone. Zośka spała na kanapce, dość wąskiej, za to sama. Irka sypiała z Helą. Ale że łóżko było wielkie – takie najbardziej lubiła – więc nie było co marudzić. Mieściły się, nawet z kotem zamotanym w kapę.

Irka wsunęła się pod swoją kołdrę i zaczęła marzyć o spotkaniu z Romkiem. Obiecał wpaść do tramwaju jutro, dziś miał do załatwienia jakieś niecierpiące zwłoki sprawy, więc usychała z tęsknoty. I pożądania. Zrobiła rachunek sumienia i zbeształa się w duchu. Za dużo o nim myśli, to bardzo, ale to bardzo niebezpieczne. Wiedziała.

W domu ucichł szum i gwar. Miasto, zadziwiająco spokojne, pogrążyło się we śnie. Ulica, przy której stał ich dom, była obecnie jednokierunkowa, wyjazd zawałony gruzem skutecznie blokował wszelki ruch – poza lokalnym. Nikt po nocy tutaj się nie szwendał, bo też nie było i po co. Panowała cisza prawie idealna; Irka pomyślała o strasznych nocach wojennych, gdy się spało z duszą na ramieniu, że przyjdą, że w drzwi załomoczą. Teraz życie zaczynało się od nowa. Układało się. Romek – to była jej ostatnia myśl.

Uśmiechnęła się i już jej nie było.

Zośka i Helenka też spały, spokojnie i miarowo oddychając.

Nagle coś ją obudziło. Hałas. Chwilkę trwało, nim się rozbudziła i uzmysłowiła sobie, co się dzieje. Ktoś walił do drzwi. Tylko kto...? Zerknęła odruchowo na budzik. Wpół do dwunastej, więc jeszcze nie tak późno. Zośka jęknęła i zerwała się przerażona. Drzwi trzasnęły. Helka nasunęła tylko mocniej kołdrę na głowę, usiłując się pod nią schować. Irce nie chciało się ruszyć. Pomyślała, że pewnie ktoś zachorował i znów wołają Zalewskiego na ratunek. Zdarzało się to od czasu do czasu. Lekarz w mieszkaniu stanowił nie lada atrakcję i nieraz na schodach siedziały jakieś zakutane babiny, matki z dziećmi wyczekujące na doktora, który, trzeba mu to oddać, miał litościwe serce i pomagał, jak mógł, czasem brał pieniądze, ale zdarzało mu się za darmo leczyć, tych najbiedniejszych – i to wcale nie rzadko.

Z korytarza dobiegł ją głos Zalewskiego:

– Nie pali się, ciszej, już idę! – I rzeczywiście otworzył drzwi.

Wtedy Irenka usłyszała jakiś okrzyk, tupot. Zośka usiadła i zadygotała, w jednej chwili jej twarz, majacząca w upiornym świetle księżyca, przybrała barwę pergaminu, oczy się zapadły. Wyglądała tak, jakby nie mogła się zdecydować, czy wpełznąć pod łóżko, czy skakać przez okno. Poderwała się na nogi i ruszyła w stronę okna.

Irka przytrzymała ją i mocno objęła.

Przycisnęła do siebie Zochę i stały tak chwilę przytulone, aż tamta trochę ochłonęła, rozbudziła się na dobre. Spod kołdry ukazała się rozczochrana głowa Helenki, która też zaczęła się wsłuchiwać w odgłosy dolatujące z korytarza. W pokoju było ciemno, tylko ten przeraźliwy siny blask. Na niebie wisiała wielka, złowieszcza jasna kula księżyca.

Pełnia, zły czas, pomyślała Irka. Ledwo się widziały, czekały, nie wiedziały, na co. Nie minęła chwila, gdy ktoś bez pukania nacisnął klamkę i w drzwiach pojawili się dwaj mężczyźni. W mundurach.

– Wychodzić! – krzyknęli. – Szybko, już! – Irka, mocno trzymając Zosię za rękę, wyszła do kuchni oświetlonej kilkoma lampami naftowymi. Było tu jasno jak w dzień. Za nimi przyczłapała otulona w swoją przydługą kapotę Helenka.

Jacy przezorni, nawet lampy ze sobą przynieśli, uznała Irenka. Małe karbidówki, których używały, stały niezapalone na kuchennym kredensiku.

Wylegitymowali wszystkie trzy i odesłali je na korytarz, a potem wezwali Zalewskiego. Nie wiedzieć czemu, właśnie od niego zaczęli przesłuchanie.

Noc, ta noc, była długa, bardzo długa. Wszyscy lokatorzy mieszkania przy Mokotowskiej stali w korytarzu oparci o ściany. Zalewska chlipała, głośno wycierając nos. Kaśka gapiała się obojętnie przed siebie, a Głaza na nią, ukradkowo, ale z przerażeniem. W pokojach trwała rewizja. Ilu ich było, Irka nie wiedziała. Migali jej przed oczyma i wydawali się identyczni. Dwóch czy trzech żołnierzy i jeszcze ten jeden, który z bronią postawioną na sztorc pilnował czekających w korytarzu mieszkańców. Młodego z gabinetu nie było, co Irka, o dziwo, przyjęła z ulgą. Nie trafili na niego. A to przykrość.

Stała oparta o framugę drzwi, wymieniając szeptem uwagi z Zośką, i obserwowała rewizję przeprowadzaną w gabinecie.

Wyszedł Zalewski; potem zawołano doktorową, która spojrzała z rozpaczą na męża, ale ten tylko wzruszył ramionami i w przelocie poklepał ją po ramieniu. Coś musiała wyczytać w jego oczach, bo natychmiast się uspokoiła i weszła do kuchni już podniesiona na duchu.

– To o niego pytają? – szepnęła Irka, wskazując oczami gabinet.

– Nie. To znaczy tak – odszeptał Zalewski. – Chyba go mają. Bo inaczej przecież by go szukali, prawda?

– Prawda...

– No właśnie, a mnie nawet nie spytali, gdzie może być i takie tam. Myślałem, że będą bardziej maglować...

Panowie przesłuchiwali wszystkich po kolei i nie mogli się nadziwić, że nikt, ale to naprawdę nikt nie znał nazwiska lokatora z gabinetu. Nie było zresztą zbyt wymyślne: Szydłowski.

Później padł pseudonim: Groźny.

Mieszkańcy Mokotowskiej coraz szerzej i szerzej otwierali oczy.

Nigdy nie słyszeli.

Choć rzeczywiście był groźny, kładł się cieniem na ich życiu, ale nikt się do tego nie przyznawał.

Mieli wrażenie, że wiedzieli. Przeczuwali. Że tak to się skończy.

Kiedy przyszła kolej na Irkę, usiadła na stołku i prawie mechanicznie odpowiadała:

– Nie, nie chciał się umówić.

– Naprawdę?

– Taka ładna dziewczyna i nie chciał? Oj, jakoś nie wierzę obywatelce. A z koleżanką? Może wolał brunetki...

– Dziwny jakiś był. – Irka westchnęła, patrząc w pszenno-buraczaną twarz przesłuchującego. – Z żadną nie chciał się umówić. Jak jaki zakonnik albo ksiądz. Nic nie mówił. Taki mruk zawzięty, do nikogo słowem się nie odezwał. Nawet „dzień dobry” rzadko kiedy zdarzało mu się powiedzieć.

– Ale pił wódkę z tym Głazą?

– Nie pił.

– No, pił z Zalewskim, od czasu do czasu pił, Zalewski się przyznał. – Śledczy najwyraźniej brał ją pod włos.

Ale nie z nią takie numery.

– Nie pił. Przynajmniej ja nie widziałam. Zresztą nie każdy jest pijący, jak sam pan wie... – docięła mu nie bez satysfakcji, bo akurat ten śledczy miał na twarzy wypisane, że nie stroni.

Wszyscy byli w ten sposób przesłuchiwanie, nawet Franio z Franiową, jako gospodarze domu,

zostali doprowadzeni do mieszkania i odpytani na okoliczność lokatora.

– Kto przychodził?

– Kto bywał?

– Czy zna tych tu lokatorów?

– Te panny to z nim może coś tego...?

Franio trząsnął się pod cienką kurtką, którą widać w pośpiechu narzucił na brudnawy podkoszulek i także kalesony.

– Zamarznie pan, panie Franiu – uzalila się nad nim Irenka, bo w mieszkaniu robiło się coraz zimniej.

Noc była mroźna, a do pieców nikt nie dokładał. Pszenny oficer zgodził się łaskawie, żeby wzięły koce, stały więc poopatulane jak chochoły na zimę. Kolejka do przesłuchania na korytarzu wymieniała szeptem uwagi, gdy stróżujący funkcjonariusz się odwrócił albo czymś zajął. Nie był zbyt uważny, leniwie ćmił papierosa, tylko od czasu do czasu popatrując na nich spod oka.

– Służba nie druźba – stwierdził Franio, jak na niego bardzo filozoficznie i w zgodzie z duchem czasu, czyli formułując myśl po rosyjsku, co bardzo zdziwiło Zosię.

Podłapał trochę, proszę, proszę. Co też wojna robi z człowiekiem.

W końcu przyszedł ranek, przesłuchano wszystkich po kolei, przeszukano całe, calutkie mieszkanie. Wszędzie walały się rzeczy powyciągane z szaf i szafeczek. Wymięci, wymęczeni lokatorzy opierali się o ściany, drzemiąc na stojąco z opadającymi powiekami lub nawet całkiem głośno pochrapując, jak Franio wtulony w kąt korytarza. W końcu ponurzy panowie, zarówno ci w cywilu, jak i wojskowi, zwinęli się z mieszkania.

Niczego się nie dowiedziawszy.

– Mają go, szkoda człowieka – westchnął Zalewski. – W ogóle nie pytali, czy wiem, gdzie on.

– To prawda. – Zośka pokiwała głową. – Nas też nie pytali. Mają go.

Irka popatrzyła na zbite mleczne szkło w drzwiach gabinetu.

– Całe powstanie przetrwało. Ech. Kto robi herbatę?

– Ja mogę – zgłosiła się na ochotnika Helenka i wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, żeby się ubrać. Z ulgą w sercu. Byli niewinni, a lokator zniknął.

Już nie musieli się bać. Odetchnęli.

Był człowiek, nie ma człowieka. Przyzwyczaili się. Nie byli do niego przywiązani. Wcale.

W poszukiwaniu zaginionego

10 MARCA 1945, WARSZAWA

Irka wyszła z domu, ale zamiast do swojej kawiarni (choć prawdziwej kawy nikt tam nie uświadczyl) skierowała się na południe. Szła na ulicę Raclawicką, gdzie mieszkała Janka Rutko, dziewczyna, czy też młoda kobieta, która ponoć wywiozła dziecko z Rabki. Żydowskiego chłopca, może Władzia.

Dzień był jasny i czysty, zwiastował dobre rzeczy. Tak się Irce wydawało. Po nocy ciężkiej, trudnej i w ogóle beznadziejnej, mimo że udawała czy też wmawiała sobie, że to przesłuchanie dzieje się obok niej, że jej nie dotyczy, ranek zdawał się początkiem nowego. Obcy zniknął i Irka starała się o nim nie myśleć.

Może był porządnym człowiekiem? Koniec końcem przyjął dobrą taktykę, nikogo za sobą nie pociągnął, nie wepchnął w bagno, w którym sam tkwił.

Może był patriotą, ale ona, one, oni, chciała, chciały, chcieli tylko normalnie żyć. Wreszcie.

Czy to tak bardzo złe?

Koniec. Jest, co jest, trudno.

Był dorosły, sam podejmował decyzje, sam ponosił odpowiedzialność. Jej nic do niego. Całą tę sprawę trzeba wymazać z pamięci. Tak to sobie wypierała z myśli i pamięci. Kiedy szła z Zośką po schodach, spotkały na półpiętrze Romanowską. Ta na ich widok aż odskoczyła, jakby złe ujrzała. Dziewczyny tylko popatrzyły na siebie, a Irka powiedziała:

– Dzień dobry, pani Romanowska, co też pani dziś taka nerwowa? Wojna zaszkodziła? Czy pokój?

Kobieta kiwnęła głową, nie patrząc na nie. Burknęła pod nosem, prawie nie otwierając ust: – Dzień...dbry... – i minęła je szybko, po czym zniknęła w swoim mieszkaniu. Usłyszały tylko zgrzyt zamykanych w pośpiechu chyba ze trzech zamków.

Spojrzały na siebie i parsknęły niewesołym śmiechkiem. Ale cień strachu został na klatce i w ich myślach.

Pożegnały się na ulicy, Zośka miała spakowaną walizeczkę, niewielką, jeszcze z Jędrzejowa, z którą wybierała się na Ziemię Odzyskane, jak to się teraz mówiło, na poszukiwanie książek. Wielkie łowy. Zatem Irka postanowiła też poszukać. Władzia.

Tęskniła za nim i niejedną noc zaczynała od myślenia, co z malcem. Czuła, że gdyby go znalazła, jej samotne życie nabrałoby sensu, innego wymiaru.

Tak jak wtedy, gdy byli razem.

Teraz, gdy go straciła, żałowała. Serce bolało. Nie powinna była się mieszać w to wszystko, co się zdarzyło tamtej jesieni trzydziestego dziewiątego roku. Powinna była pilnować dziecka, a nie lekkomyślnie walczyć o zachowanie obrazu. Ale wypadki toczyły się bez jej woli i wiedzy. W gruncie rzeczy tylko reagowała. No i stało się, jak się stało. Jednak gdzieś na dnie serca tliła się nadzieja, że może nastąpi cud i tam, u tej Rutko, będzie Gedalia, czyli Władzio. Czy ją

pozna?

Czy jej przebaczy, że wróciła tak późno?

Szła przez zrujnowaną Warszawę jak przez Tatry. Szczyty domów straszyły powyrywaniem balkonami, rozwalonymi dachami i ścianami. Sterty gruzów, gdziekolwiek tylko odgarnięte, trzeba było pokonywać, wchodząc na nie coraz wyżej i wyżej, a potem schodząc na dół. A później znów pod górkę. Popalone, smoliste czarne drzewa wyglądały jak prymitywne afrykańskie rzeźby i były chyba najbardziej przygnębiającym akcentem w zrujnowanym krajobrazie. Po godzinie takiej wędrówki porządnie zmęczona Irka pocieszała się tylko, że Mokotów jest stosunkowo blisko, gorzej by było, gdyby musiała iść na przykład na Żoliborz.

Dom, w którym mieszkała Janka Rutko, okazał się całkiem ładną przedwojenną willą, niedużą, ale stylową. Irka pomyślała, że jak zna życie, to pewnie w tej willi tłoczy się teraz tłum przypadkowych lokatorów. Wiosna, ta wczesna, jest nieprzyjazną urodzie rzeczy porą roku. Na wpół jeszcze zimowy czas odsłania brzydotę świata. Ogródek był tak zapuszczony, że aż przykro było patrzeć, pewnie już od kilku lat nikt o niego nie dbał. Wszędzie zalegały zeschnięte liście i sterczały ostre badyle, a plamy brudnego śniegu tworzyły nieregularny kształt na kawałku ongiś pewnie ładnego trawnika. Nad trawnikiem wisiał rozciągnięty w poprzek od siatki do pnia owocowego drzewka sznur, na którym suszyło się zmarznięte pranie. Wszystko, co zwisało ze sznura, było czarne, aż Irka się wzdrygnęła, gdy weszła na posesję, rozglądając się niepewnie. Od razu też na taras wyskoczyła starsza kobieta w żałobie i w nastroju też jakby nie najlepszym.

– Czego pani sobie tu życzy?! – spytała opryskliwie, zezując w kierunku prania, jakby już przeliczała, czy Irka aby czego nie zakosiła.

– Szukam pani Janiny Rutko – odparła Irenka, poprawiając kapelusik, który się lekko przekrzywił.

Miała wrażenie, że wygląda w nim nieco śmiesznie, za bardzo jej się zsunął na nos. Ale może to poprawianie było po prostu nerwowe. Czuła się niezręcznie, spięta i zdenerwowana. To było ważne. To spotkanie.

– Rutko? Tamtym wejściem, drugie piętro. – Kobieta wskazała boczne drzwi kijem od trzymanej w ręku szczotki, czy to dlatego, że oderwała się od zamiatania, czy też w razie czego zamierzała bronić tego swojego wdowiego dobytku. Cztery sztuki czarnych majtek, jedna czarna halka, czarne bluzki i spódnice. Irka udała, że nie widzi ani szczotki, ani czarnej bielizny, jedno i drugie jakoś nieszczególnie jej się podobało, ukłoniła się więc grzecznie, wcisnęła torebkę głębiej pod pachę i poszła we wskazanym kierunku.

Wąska sień, potem schody, jasne i całkiem przyzwoite. Klatka schodowa nie była jakoś szczególnie zniszczona, widać w czasie wojny ktoś dbał o ten dom. Może mieszkali tu Niemcy, pomyślała Irenka.

Drzwi otworzyła krągła, wysoka dziewczyna z warkoczem. Była w skromnej sukni z białym kołnierzykiem.

Irka od razu poczuła, że to może być ta Rutko. Taka była... zakonna.

I rzeczywiście.

– Chciałabym porozmawiać. Mam sprawę. Czy mogę wejść?

Dziewczyna, lub raczej kobieta, bo gdy Irka przyjrzała jej się lepiej w świetle jasnego pokoju, doszła do wniosku, że tamta ma bliżej niż dalej do trzydziestki, wpuściła ją, wskazała fotel i sama usiadła na sąsiednim jakby przycajona.

Irka też przycupnęła, odłożyła torebkę na bok i wyłuszczyła całą sprawę.

Gdy padło słowo „Rabka”, Janina drgnęła, a po jej szyi jakby przeleciał płomień. Jakby się

obudziła ze snu, w którym wydawała się pogrążona. Przedtem dostojna i chłodna, trochę krowia z tym długim warkoczem, wielkimi, okrągłymi oczami i nieprzeniknioną twarzą, teraz siedziała pozornie spokojna, ale uważna, skupiona. Jej szyję jednak zalała czerwień. To jakoś przestraszyło Irenkę.

– Chłopiec? Kim pani jest? Jego matką? – Dziewczyna wyrzuciła z siebie kilka pytań naraz.

– Nie, skądże znowu – powiedziała Irenka, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Opiekowałam się nim na początku wojny, potem uciekałam, no, po prostu musiałam wyjechać, i zostawiłam małego w prewentorium. Gdy wróciłam, już go nie było, nie było też prewentorium.

– Tak, ktoś doniósł. Najpierw na Leonię Zagórską. Potem, prawie po roku, ktoś zadenuncjował zakonnice, które się zaopiekowały opuszczonymi dziećmi. Siostry rozstrzelano na miejscu. A dzieci gdzieś wywieziono. Pewnie do obozu. Kilkoro udało się wcześniej ukryć.

– Podobno pani zabrała chłopca?

Tamta spojrzała w okno. Przez chwilę milczała. Irka odniosła wrażenie, że kobieta chce pozbierać myśli.

A potem zaczęła opowiadać:

– Pani Ireno, w wagonie było piekło, a nawet powiedziałabym, pandemonium. W klasztorze postanowiliśmy, że nie pojedę normalnym pociągami, bo strasznie szukali i łapali. Jechaliśmy małym kolejkami, ciuchciami, w nich było spokojniej. Straszna to była podróż, długa i męcząca, ale siostry już wiedziały, że coś złego się szykuje, więc musieliśmy uciekać. Władek wylądował w naszym konwencie, gdy aresztowano Zagórską. Ale wtedy dziećmi się nie zainteresowano, chodziło o jej działalność konspiracyjną, więc zakonnice bez oporów wzięły maluchy do siebie, no bo kto miał wziąć tyle dzieciaków? Potem powoli zgłaszali się rodzice, opiekunowie, znajomi i całkiem obcy ludzie. Wie pani, z dziewczynkami było łatwiej, ale Władek był obrzezany, więc jego nikt nie chciał zabrać, bo wiadomo. Kiedy znów ktoś doniósł, że siostry przechowują żydowskie dzieci, wtedy padło na mnie, kazano mi zawieźć malca do Milanówka. Najpierw byłam zła, że muszę jechać taki kawał drogi. Teraz wiem, że dzięki temu żyję, choć mogłam zginąć na każdej stacji. Jak Niemcy przyszedli do klasztoru, nie było mnie na miejscu, a musi pani wiedzieć, że ja tam byłam postulantką. – Przerwała. Znów zagapiła się w okno. Potem spojrzała na zamknięte drzwi sąsiedniego pokoju. – Mama jest chora – wyjaśniła, ściszej głos. – Brat zginął w powstaniu. Ale kiedy będę mogła, wrócę. Do zakonu. Zostanę w klasztorze już na zawsze. Nie chcę tu być.

– Ale co z Władziem? Gdzie jest? – niezbyt grzecznie przerwała jej Irka. Dygotała z niecierpliwości.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, co się z nim stało.

– Jak to? Nic z tego nie rozumiem. Dokąd pani go zawiozła?

– Zgubiłam go. Niemcy wpadli do kolejki EKD. Taką daleką drogę udało nam się przejechać bezpiecznie, no i masz, my prawie u celu, a tu rewizja. Zaczęli nas wyrzucać z wagonu, trzymałam Władka za rękę. I... puściłam.

Spojrzała na Irkę trochę wyzywająco, a trochę z poczuciem winy.

– Żandarm uderzył mnie kolbą. Uchyliłam się i całkiem odruchowo, żeby osłonić głowę, to był moment, puściłam rączkę Władzia. Tam się, proszę pani, kotłował tłum ludzi. Igły by nie wsadził, no, przysięgam. A on mi zniknął. Jak kamfora. Nie wiem, wołałam, ale nigdzie go nie było. Na stacji przeszukiwali nas, sprawdzali dokumenty, rozglądałam się, przepychałam i wiem, że został na zewnątrz. Na pewno w środku go nie było. Nie wiem, co się stało. Zniknął. Po

prostu jak duch. Potem... – znów spojrzała w okno – potem, gdy skończyli, puścili mnie i wyszłam na peron. Nie było nikogo. Wołałam, szukałam. Nic. Nie wiem, co się stało, musi mi pani uwierzyć.

– Może się schował pod wagonem? – zasugerowała Irenka.

– Też mi to przyszło na myśl, ale ta kolejka odjechała, od razu jak nas wyrzucili.

– Gdzie to się wydarzyło?

– W Podkowie Leśnej Głównej. Miałam dostarczyć chłopca, to znaczy dowieźć, do Milanówka. Tam już na nas czekali. Pani profesorowa Karniewiczowa zgodziła się wziąć do siebie Władka, miał udawać jej wnuka, który został z rodzicami na Kresach.

Irka siedziała jak skamieniała, nie słuchając już tej kobiety. Czuła, że to koniec. Władzio, sześć- czy siedmioletni żydowski chłopiec, nie miał żadnych szans na przeżycie.

Z jego wyglądem. Zaczęła płakać, a Janina Rutko wraz z nią. Siedziały naprzeciwko, obce sobie i szlochały. Każda z innego powodu.

10 MARCA 1945, WARSZAWA

Dwa nagany i dwadzieścia skrzętnie wyliczonych nabojów leżało na stoliku.

– Strzelać wam wolno, obywatele, tylko do bandytów, maruderów i tak dalej. Po każdym użyciu broni poprosimy o dostarczenie protokołu.

W Urzędzie Bezpieczeństwa poszło jak z płatka. Wszyscy byli niezwykle mili.

Gdy znaleźli się już na ulicy, Chodakowski skomentował:

– Gdyby kto nie znał wilka, pomyślałby, że to babcia.

Zośka uśmiechnęła się półgębkiem, ale czuła się dziwnie, wręcz nieswojo, z naganem pod płaszczem.

Profesor Migoń czekał nieopodal, spacerując tam i z powrotem przed budynkiem. Nie chciał wchodzić.

– Są miejsca, w których się nie bywa – stwierdził nieco wyniosłym tonem.

– Profesorze, pięknoduchostwo pan uprawiasz. By ktoś mógł nie bywać, bywać musi ktoś.

Kiedy mu pokazali broń, podnieceni niczym para sztubaków, popatrzył zezem:

– Od dziś wasze zachowanie powinno być nienaganne.

– Ba! – odparł Chodakowski – gdyby to od nas zależało... Musimy, no cóż, naginać się do istniejącej rzeczywistości.

Zmienił szybko temat:

– Czy nie zapomniał pan, panie profesorze, zgody ambasady sowieckiej na poruszanie się po strefie przyfrontowej?

– Za pazuchą. – Migoń poklepał się po kłapie wyszarzałego płaszczyka. – Ja w każdym razie wolę ten papierek od nagana.

– Nie ganię pana, profesorku. – Józio błysnął dowcipem. – Wsiadać, nie czekać, ruszamy!

Zosia, podsadzona przez Chodakowskiego, wylądowała na wcześniej umieszczonym siedzisku z tyłu ciężarówki. Prząd odstąpili profesorowi Migoniowi, który nieoczekiwanie dołączył do ich wyprawy.

Zew przygody? Może.

W Poznaniu mieszkała rodzina jego żony i profesor, korzystając z okazji, postanowił

sprawdzić, co u nich słyhać, chociaż doktor Chodakowski proponował, by mimo wszystko został w pracy, obiecując (z ręką na sercu) złożyć wizytę familii i dowiedzieć się, co i jak. Profesor, uparty jak osioł, kategorycznie zażyczył sobie jechać, więc co było robić – zabrali go ze sobą.

Mężczyźni nigdy nie dorastają. Choć czasem życie ich przerasta i wtedy łamie. Wyciszają się, kurczą. Tak jak tata, pomyślała Zosia, patrząc na stareńkiego i wątłego mężczyznę. Zuchowatości mu nie brakowało. Takiej wyrostkowej odwagi. Profesor (mimo mitenek na dłoniach i paska ze sznurka) miał w oczach zabawny śmieszek znamionujący apetyt na życie i fascynację nim.

W BUW-ie na ich życzenie pozostał, przydzielony w ostatniej chwili przez Nowaczyka, majora Nowaczyka, doktor Gruszka. Postać całkiem nowa, nie zdążyli jeszcze wprowadzić go w obowiązki, ale polecenie służbowe było skądinąd dość proste – katalogowanie wygrzebanych z gruzów książek.

Do biblioteki bezustannie płynął strumień, a niekiedy nawet rzeka książek. Ludzie zwozili zarówno prywatne, jak i publiczne księgozbiory, pochowane po różnych dziurach i piwnicach, w Warszawie i na prowincji. Spływały od rana do nocy i hol gmachu szybko wypełniał się skrzyniami i stosami woluminów poustawianymi pod wszystkim ścianami. Książki były w różnym stanie i o różnej wartości czy też przydatności. Stasio Kujawiak pracowicie naprawiał półki, odświeżał i ustawiał tom za tomem, puchnąc z dumy, że tak, jak mówił, towaru przyrasta.

Jednak główna część przedwojennej biblioteki uniwersyteckiej, ta najcenniejsza, została wywieziona na polecenie Hansa Franka, uważającego się za intelektualistę i konesera, do Bottschow, małej miejscowości nieopodal Zielonej Góry. Transportu pilnowali kolejarze, którym udało się wyśledzić zarówno drogę, jak i późniejszą lokalizację skrzyń.

Rzeczą pierwszą i najważniejszą było odzyskanie tej części zbiorów. Każdy dzień zwłoki groził zagładą książek. Próbkę tego, w jaki sposób żołdactwo traktuje wszystkie dzieła kultury materialnej, mieli co dnia przed oczami; dla zdemoralizowanych wojną żołnierzy obrazy, porcelana czy książki nie stanowiły żadnej wartości. Te ostatnie się przydawały, to prawda, żeby machorkę zwinąć czy też tyłek podtrzeć. Dzicz nie szanowała słowa drukowanego, a tak Bogiem a prawdą, niczego nie szanowała. Przez kraj przetaczała się nawała i zarówno swoi, jak i obcy niszczyli bez skrępowań i opamiętania wszystko, do czego się tylko zbliżyli. Albo kradli.

Do Poznania dojechali w miarę szybko i bez kłopotów. Drogi były obstawione wojskiem, mnóstwo punktów kontrolnych, bezpieczeństwo prawie idealne. Nagany zostały odłożone na bok, ich mała ekipa odprężyła się i nawet żarciki fruwały w powietrzu.

Profesor Migoń wysiadł w centrum miasta, a Zosia z Chodakowskim udali się na poszukiwania delegata Rządu Tymczasowego przy I Białoruskiej Armii. Poszukiwania jednak skończyły się niepowodzeniem, po kilku godzinach zadawania wciąż tych samych pytań, odwiedzania wciąż nowych miejsc okazało się, że delegat właśnie został wojewodą szczecińskim i tamże wyjechał.

– Bóg z nim... – rzekł zatem doktor Chodakowski i zdecydował się udać na milicję, pamiętając o rzekomo cudownym działaniu pewnego niepozornego papierka, czyli pisma od zastępcy naczelnego wodza do spraw polityczno-wychowawczych. Był ciekaw, jak też zadziała.

Młody major, kierujący posterunkiem, bronił się dzielnie przed uprzejmą prośbą o przydzielenie im ochrony.

– Bandy mi pod miasto podchodzą, musimy się ostrzeliwać przy parcelacji, a wy mi tu, obywatelu, ludzi chcecie zabierać?

– Tylko dwóch.

– Aż dwóch.

– Mamy jechać bez ochrony?

– No co to, to nie. Zabiorą wam auto w najbliższym lesie. Za dawną polską granicą zaczyna się Dziki Zachód, strzela każdy, kto ma broń. Dobrze wam radzę, obywatele – przesunął wzrokiem po bibliotekarzach, którzy wpatrywali się w niego z nadzieją – zostawcie to na później, zaczekajcie, aż sytuacja się unormuje, i wtedy...

– Wtedy już nie będzie czego zabierać. Najcenniejsze książki z warszawskich bibliotek pójdą na bibułki do machorki dla żołnierzy albo żołdaty tyłki sobie nimi podetrą. Miliony tyłków zwycięskiej armii. Czy to nie przemawia do pańskiej... waszej, towarzyszu, wyobraźni? A nasza młodzież nie będzie miała z czego się uczyć. A Mickiewicz, a Słowacki, a Kochanowski to zdaniem pana... towarzysza mają być do d... podcierania?!!!

Oracja zrobiła wrażenie na majorze, ale większe wywarło wyciągnięte jak z rękawa i podetknięte pod nos pismo od zastępcy naczelnego wodza do spraw.

Tak więc doktor Jaromir Chodakowski opuścił biuro w towarzystwie dwóch wojaków z pepeszami i wiązkami granatów zawieszonymi na ramionach. Chodzące bomby, pomyślała na ich widok Zosia.

Jeden z nich, łysawy grubas, nazywał się Gałązka, a drugi, pokurczony, siwiejący brunecik z błyskiem w oku – Balcerzak.

Władowali się do samochodu i usiedli koło Zośki. Zaleciał ją upojny zapach onuc i niemytych ciał. Gałązka obrzucił ją łakomym wzrokiem, aż zrobiło jej się nieswojo. Zasalutował i po chwili wyciągnął całkiem nieregulaminowo spoconą dłoń, przedstawiając się:

– Bogdan Gałązka.

Balcerzak też rzucił swoje nazwisko, skoro kolega się przedstawił, ale potem gdzieś odpłynął, pograżając się w myślach.

Jeden milczał, drugi gadał jak najęty. Gałązka dostał słowotoku i zabawiał Zośkę konwersacją, choć właściwie był to monolog i w zasadzie monotematyczny: przygody dzielnego wojaka Gałązki. Czego to on nie robił; skakał na spadochronie, bił się samotnie z batalionem czołgów, a nawet przebiegł parę ładnych kilometrów, goniąc uciekającego esesmana. Zosia patrzyła na niego z niedowierzaniem i lekką obawą, Chodakowski punktował go od czasu do czasu, wtrącając: „Naprawdę?”, „Zaiste?”, „Niemożliwe!”, „Interesujące...”. Ale Bogdana Gałązki nic nie mogło powstrzymać od narracji.

– Pan, panie Bogdanie, to powinien pisarzem zostać. Tak barwnie pan opowiada.

– No, to pan jeszcze nie słyszałeś, jak ja w trzydziestym dziewiątym nad Pilicą...

Jaromir Chodakowski westchnął. Już miał przerwać to samochwalstwo, ale dojechali właśnie do dyrekcji PKP.

Tu też ludzie okazali się przyjaźni.

– Jedziesz pan bez talonu? – zadziwił się prezes. – No, proszę pana, tak nie można. Dam panu mój.

I dał.

A potem zaprowadził do radzieckiego szefa transportu. Potrzebowali wagonów na powrót z książkami.

– Ile wy *choczenie* tych wagonów?

– *Nie znaju. Piat’ ili szest’.*

– *Kak wy nie znajetie, tak wazmitie szest’.* Brat’, ile dajut, oddwat’, *kagda bijut*, to zapewnia w *żizni* powodzenie.

Tę maksymę Chodakowski i Zosia zapamiętali na zawsze.

W siedzibie dyrekcji kolei, jak było umówione, o szesnastej pojawił się profesor Migoń i już razem ruszyli w dalszą drogę.

Z Poznania do Bottschow pędzili szybko, tak szybko, jak tylko silnik wydołił. Kilkakroć mijali grupy żołnierzy i w zasadzie wszyscy oni próbowali zatrzymać ciężarówkę, ale pan Józio nie miał litościwego serduszka, gdy tylko dojrzał na horyzoncie ludzi, natychmiast przyspieszał i z wizgiem opon znikał za zakrętem. Być może wojacy chcieli tylko podwózki, Józio wolał jednak nie ryzykować – i słusznie, raz czy dwa bowiem zdarzyło się, że machający ściągnęli z ramion karabiny i grzali w opony jak gangsterzy w Detroit. Na szczęście niecelnie. Ale za każdym razem Zosia rzucała się na podłogę ciężarówki, podobnie jak współpasażerowie. Dziwnym trafem Gałązka przewracał się na nią, też za każdym razem, i biedaczka robiła przeróżne uniki, by się w porę odsunąć. Tak ją to absorbowało, że zapomniała o niebezpieczeństwie.

Droga prowadziła przez piękne lasy, teraz lśniące w łagodnym świetle zachodzącego słońca. Na ich skraju widzieli stojące meble, całe komplety, łóżka z pierzynami i nawet szafy, (budzące niezdrowe, nerwowe reakcje pana Józia). W zakolu drogi, na rozświetlonym poblaskiem zachodu wzgórkę, zobaczyli koncertowy fortepian. W dali, poniżej, błyskało zimną srebrzystością niewielkie jeziorko.

Samo Bottschow, miasteczko sąsiadujące z pałacem, gdzie prawdopodobnie składowano książki, było niewielkim skupiskiem białych domków z czerwonym neogotyckim kościołem sterczącym wśród nich jak maszt.

Wysiedli z auta przed siedzibą wojennego komendanta regionu i od razu wzbudzili żywe zainteresowanie wyraźnie znudzonych żołnierzy, którzy snuli się po wielkim podwórku. Ożywienie, jakie wywołali, sprawiło, że poczuli się niczym egzotyczny tercet. Może zresztą nim byli? Profesor Migoń w swoich nieodłącznych mitenkach, doktor Chodakowski w szynelu do kostek i okularkach cynglach oraz nad podziw wyelegantowana Zosia, w rozpiętym błękitnym płaszczku, z torebką od Launera (w romby tłoczone na cielej skórce), której klasa ją samą zadziwiała. Z naganem widocznym za paskiem spódnicy.

Nagan spodobał się najbardziej. A może i Zosia, a nagan stanowili tylko pretekst?

Otoczyła ich w mig banda wysmotruchanych, niechlujnych żołdatów.

– Pokaż no, panna, tego nagana, co ci tam sterczy pod cyczkami – rzucił jeden, podchodząc do niej tak blisko, że poczuła jego nieświeży oddech.

Spłoniła się, przestraszyła i pomyślała: O kurczę, może powinnam schować broń do torebki? Ale było już za późno.

– Pokaż, nie boj się, nie wystrzeli! – dokuczał zasmolony czołgista.

I wyciągnął wielką jak łopata grabę w jej stronę.

Zawahała się, w końcu niepewnie podała mu broń. I nagan znikł. Jak w magicznej sztuczce. Był i nie ma. Zośka zmartwiała. Konsekwencje mogły być dla nich bolesne, utrata broni to nie byle co.

A czołgista, już nie patrząc na Zosię, otoczony przez kumpli, przygadujących jeden przez

drugiego, zwrócił się do Chodakowskiego:

– Ty też dawaj, przecież widzę, że masz. Za paskiem.

Tym kilkunasu chłopca, stojącym z tyłu za nim, dobrze z oczu nie patrzyło, oj nie.

Doktor westchnął. Szybko rozsunał połę płaszcza i wyciągnął broń.

Zamachał nią obscenicznie, do przodu, do tyłu i znów do przodu, kierując lufę w stronę czołgisty.

– Widzisz, w jakim jest stanie? To samiec. Nie ma z nim żartów, oddawaj mu tę samiczkę, coś zabrał...

To zrobiło wrażenie. Ktoś zachichotał grubym basowym charkotem.

– Oddaj! – zakrzyknęli jak jeden mąż jego towarzysze. – Oddaj temu kogutowi!

I broń nagle się pojawiła. U innego wojaka, który smyrgnął nią w kierunku doktora. Palant, gra z dzieciństwa, zaprocentował. Chodakowski złapał broń niczym Tom Mix i podał Zosi.

Dziękując też w duchu losowi za podchorążówkę, gdzie się nauczył, co najlepiej przemawia do żołnierskiej wyobraźni.

Komendant wojenny, do którego się udali w asyście żołdatów, był bladym, wybujałym blondynkiem. Roznoszący się wokół niego zapach eteru zastanowił Chodakowskiego. Także ciut błędny wzrok – zerknął na pagony – majora.

Dowódca podkręcał i nerwowo szarpał cienki wąsik, a na ich tłumaczenia i prośby o pomoc odrzekł zwięźle:

– Eto nie moje dzieło, zresztą knig tut niet, nie ma. Wracajcie, skądście przyjechali.

– Nie ma? – zmartwił się Migoń.

– Były, ale nie ma. W pałacu zainstalowano szpital polowy i książki żeśmy wysłali do Rosji. Bo to były rosyjskie książki.

– Aha. – Profesor Migoń kiwnął głową, nie kryjąc zawodu.

– Ano tak.

Wszyscy troje poczuli się jak potrąceni przez przejeżdżającą ciężarówkę. Nadzieja na odzyskanie choćby części księgozbioru znikła i w miejsce euforii, która nie wiedzieć czemu towarzyszyła im podczas całej podróży, rozlała się gorycz.

– A można by przynajmniej zobaczyć ten pałac? – spytała Zosia, odgarniając kokieteryjnie włosy z czoła i patrząc tak uwodzicielsko na majora, że jej towarzysze aż się zadziwili.

Nie znali jej dotąd z tej strony. Ona zresztą siebie też nie, naśladowała bowiem Irkę, którą kilka razy widziała w akcji. Wzięła sobie do serca zacny przykład i trzepocząc rzęsami, rzuciła słodkim głosikiem kompletnej idiotki:

– A nuż coś jednak zostało? Poza tym pałac, tak bym chciała *uwidet*'.

– Nie wierzysz mi, panienko? – warknął komendant, a minę miał groźną, jak nie przymierzając sam car Iwan, też Groźny.

– Ależ wierzę, wierzę, tylko...

– Tylko co?

– Może coś przeoczyli, zostawili... Panie majorze, zajrzyjmy tam. No i pałac. Taki szmat drogi na marne, no, pojedźmy! Panie komendancie, bardzo proszę... – zaświergotała znów.

Chodakowski i Migoń patrzyli na nią z uznaniem.

– A jedź, skoroś taka ciekawa tego pałacu – odrzekł łaskawie komendant.

Odwrócił się, wyciągnął z szuflady lusterko i zaczął przycinać wąsik ślicznymi, zapewne

zrabowanymi z jakiegoś pałacu, srebrnymi nożyczkami.

Nie zwracał już na nich uwagi, więc rzuciwszy tylko: *Do swidanija*, szybko opuścili biuro i niezaczepiani przez żołnierzy, którzy nie wiedząc czemu zniknęli z podwórca, pojechali do pobliskiego Goerbitsch, gdzie znajdował się pałac Riesselmanów. Cel ich podróży.

10 MARCA 1944, WARSZAWA

Dom opustoszał. Bardziej niż zwykle. Do tej pory rankami poruszała się po mieszkaniu ostrożnie, cichutko jak myszka, nawet gdy była zupełnie sama. Nigdy nie wiedziała, czy nagle nie pojawi się ten z gabinetu. Raz nawet krzyknęła, kiedy stanął zniecałkowany w drzwiach kuchni. Dziś go nie było. Na pewno nie było.

Ostatni raz trzasnęły drzwi. To wyszła z domu Zalewska, a Hela powędrowała z pokoju do kuchni. Chciało jej się pić. Sprawdziła czajnik. Ani kropli. Westchnęła.

Ubrała się szybko, zapakowała butelki do plecaka, z impetem otworzyła drzwi i wpadła na jakichś dwóch, czających się na progu. Zamarła ze strachu.

– Witajcie, obywatelko – powiedział spokojnie ten wyższy.

– Witajcie – wydusiła ze ściśniętego gardła.

– A gdzie to się wybieracie? – zapytał niższy.

Teraz z kolei zbladła. Jak ściana.

– Po wodę... – wyszeptwała.

– A to nie da rady, obywatelko.

– Nie da rady?

– Nie – oświadczył kategorycznie wyższy.

– Wejdźmy – dodał surowo niższy.

Odsunęła się więc i najpierw wszedł wyższy, a potem niższy.

Zamknęli drzwi. Coś wnieśli. Helenka spojrzała.

Kawałek dykty.

Podniosła na nich pytający wzrok.

– Musimy to przybić, do drzwi – zaśmiał się niższy.

– A to się panna wystraszyła! – zarechotał wyższy.

Helenka myślała, że zemdleje. Opadła ciut bezwładnie na wielką pakę Kaśki. Czuła kropelki potu nad górną wargą i między piersiami. Ręce miała wilgotne.

– Róbcie, co tam... – Tyle dała radę powiedzieć. Popatrzyli na nią dziwnie.

I zaczęli przybijać do drzwi dyktę – w miejsce rozbitej szyby w drzwiach gabinetu. Młotek i gwoździe mieli ze sobą.

Kiedy wyszli, nie mogła się pozbierać. Wróciła do pokoju i padła na łóżko jak kłoda. Leżała z kwadrans, starając się uspokoić. Nie wstałaby pewnie, za żadne skarby świata, ale w domu nie było wody ani jedzenia. Chciało jej się pić. Wczoraj paskudnie nawaliła, dziś powinna być w porządku. Dziewczyny pracowały. Ona też musiała zrobić coś pożytecznego, a nie leżeć jak jakaś łania.

Podniosła się, sięgnęła w korytarzu po plecak. Dziura po szkle w drzwiach do gabinetu zniknęła, a na dykcie tajniacy nakleili na krzyż pasy szarego papieru i na koniec przystemplowali je lakowymi chyba, ale, o dziwo, czarnymi pieczęciami.

Nadzieje, wypowiedziane rano przez Kaśkę, że to oni biorą ten pokój, skoro się zwolnił tak nieoczekiwanie, uleciały jak puch topolowy.

Helenka wyszła na klatkę schodową. Nie było nikogo. Ostrożnie, wsłuchując się w stukot własnych kroków, zaczęła iść po schodach.

11 MARCA 1945, GOERBITSCH

Już przy bramie zauważyli strzępy kartek i całe strony fruwające swobodnie po podjeździe. Tyle zachodu i nadziei – a tu cała podróż na marne. Pod stopami szeleścił papier. Profesor Migoń szedł przed Zosią, powłócząc nogami, wpatrzony w resztki opatrunków, okładki z wyłaczanymi tytułami, ilustracje, sztychy i litografie wdeptane w błoto. Zosia też patrzyła, czy aby nie da się...

Nie, nie da. Wszystko było rozjechane i usmotruchane.

Weszli do obszernego holu. Pałac, podobnie jak brama wjazdowa otwarty na oścież, zapraszał, w myśl hasła: Bierzcie, co chcecie.

Pod ścianami piętrzyły się sterty poniszczonych książek. Chodakowski podniósł jedną z nich i bez słowa pokazał Migoniowi stempel: BUW¹⁴.

Szli po pokojach i wszędzie było toczka w toczkę tak samo. Poniszczone, zabrudzone, zasrane na ostatek książki. Wszędzie.

Amfiladą dotarli do pomieszczenia, które zapewne kiedyś pełniło funkcję oranżerii. Zachwyciły ich przeszklone sklepienia ze smukłymi łukami, zdobnymi w odlewane w żelazie detale. Na środku ośmiokątnej sali widać było resztki niewielkiej fontanny. Ściany pokrywały malowidła wyobrażające rzymską willę.

Ośmiokątna przybudówka usytuowana była nieco niżej od sąsiadującego z nią pokoju, ta różnica jednak została zniwelowana, całą przestrzeń podłogi zaścielała bowiem masa złożona z woluminów, zajmowały one także dwa lub trzy stopnie, prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia. Jaromir Chodakowski złapał pręt służący do przesuwania zasłon i urwał go jednym ruchem. Poruszył nim zbitą pulpę złożoną z warstwy papieru i odchodów. Oranżeria do niedawna, dawało się to zarówno zobaczyć, jak i poczuć, służyła za latrynę, pewnie rannym i personelowi szpitala. Książki zwalone pod samymi oknami sięgały do wysokości parapetów francuskich okien. Bliżej drzwi były już tylko płaską podłogą.

Podważył kilka warstw, pręt zanurzył się na dobre pół metra i niczym na stanowisku archeologicznym ukazały się fragmenty okładek, pergaminy, lakowe pieczęcie przemieszane z odchodami, moczem, sznurkami i fragmentami skrzyń. Chodakowski odłożył pręt, przyklęknął, z największą ostrożnością odsunął papiery, by się dostać do długiego, pergaminowego zwoju, który dostrzegł w tej masie.

Wydobył go w całości, zbliżył się do okna i w świetle zachodzącego słońca przeczytał kilka pierwszych zdań.

– List kanclerza Jana Zamoyskiego do Zygmunta Augusta!

Migoń natychmiast opadł na kolana i zaczął gwałtownie szperać. Tu mitenki okazały się bezcenne. Wyciągnął tomik wierszy, prawie nienaruszony.

– Baudelaire, *Kwiaty zła*, pierwsze wydanie...

Zośka, stojąc przy oknie, nieco spokojniej przeglądała ocalałe książki.

- Rękopisy, staropolskie! W całkiem niezłym stanie.
- Bogu niech będą dzięki! – Profesor wstał z kolan i do niej podszedł. Zaczął nerwowo przekładać papiery, powtarzając raz po raz: – Bogu niech będą dzięki, Bogu niech będą dzięki...

12 MARCA 1945, WARSZAWA

Helenka leżała i patrzyła w sufit. Była sama. Jak nigdy dotąd. Zosia wyjechała, a Irka wpadła wczoraj pod wieczór i powiedziała, żeby się o nią nie martwić, bo pewnie nie wróci na noc. Tylko tyle, bez wdawania się w szczegóły. Wpadła i wypadła, zostawiając Helenkę zdumioną, stojącą bezradnie na środku pokoju, nawet słówka nie zdążyła powiedzieć, gdy za Irką już trzasnęły drzwi. Całą noc nie spała. Czuła się przeraźliwie samotna.

Teraz był ranek. Nie ruszyła się z łóżka.

Pomyślała: a mnie wcale się nie chce żyć.

Potem zaczęła płakać.

[14](#) Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego.

Dawniej

15 KWIETNIA 1943, WOJTKOWICE MAŁE

Ciosy spadały na nią z impetem, jakby kto młócił zboże. Raz po razie. Zakrywała głowę rękami, leżała skulona, zasłaniając brzuch.

Kiedy babka biła, Hela już wiedziała, nauczona doświadczeniem, jak trzeba się ułożyć, by jak najmniej bolało. Teraz najgorszy był ten wysoki blondyn w podkutych butach. To właśnie przez te jego trzewiki chwilami wyła, nie mogąc znieść bólu. Miały blaszane noski. Nigdy takich nie widziała. Czuła, że słabnie. Głowa. Kopnął mnie w głowę, uświadomiła sobie, czując w ustach smak krwi z rozciętej wargi. Zacisnęła oczy, chcąc je chronić. Poczowała znowu ból, ból, jakby ktoś rozrywał czaszkę – i odpłynęła, straciła przytomność. Krzyś – to było ostatnie, o czym pomyślała.

Kiedy się ocknęła, zobaczyła pana Sergiusza; stał pochylony nad nią, podtrzymywał ją i lał jej do ust wódkę. Widziała go jak przez mgłę. Podwójnie. Trochę trwało, zanim sobie przypomniała, co się stało.

Dopadli ją. Już od jakiegoś czasu się na nią szykowali. Widziała te spojrzenia w niedzielę po mszy; baby pluły na jej widok. Ale nie wychodziła z chałupy bez potrzeby, a do kościoła tylko z panem i panią. I nagle straciła czujność. Chciała, głupia, kupić ptaszka na kółkach, który tak jej się spodobał, że zamarzyła o nim dla Krzysia. Miała trochę grosza, bo przed Wielkanocą dziedziczka z Brzozówki zatrzymała ją na drodze i zapytała, czyby nie przyszła pomóc w kuchni. Co ją napadło, tę dziedziczkę, Hela nie wiedziała, czy kto co powiedział, że dobrze gotuje, czy co. Mniejsza o to. W każdym razie nikt jej tam we dworze palcami nie wytykał, kucharka, starsza kobieta o anielskiej twarzy, była bardzo miła, nawet kawałek ciasta dała dla dzieciaka, widać zadowolona z pomocy. I teraz ten handlarz...

Był już raz, jakoś chyba przy odpuście, obejrzała sobie wszystko dokładnie, ale pożałowała grosza. A potem pożałowała, że pożałowała. I kiedy go zobaczyła przy końcu wsi, w jednej chwili złapała chustkę i za nim pobiegła. Kupiła ptaszka dla Krzysia.

– Jak się czujesz? – zapytał pan Sergiusz.

– Dobrze... – wymamrotała przez pokrwawione wargi.

A co mu miała odpowiedzieć.

Oblizła krew i znów na niego spojrzała. Ciągle widziała niewyraźnie. Mazidła takie.

– Gdzie ptaszek? – wyrzęziła z trudem.

– Ptaszek?! – zdziwił się pan Sergiusz.

– Kupiłam u handlarza ptaszka. Dla Krzysia.

Odwrócił się i rozejrzał, ona ciągle leżała. Spróbowała unieść głowę, ale nie mogła.

Jarzębowski sięgnął gdzieś w bok i zobaczyła w jego ręce złamany kawałek zabawki.

– Rozdeptali – powiedział.

– Boże, Bożuniu, jaka ja głupia... – Dopiero teraz zaczęła płakać.

– Helenko, daj spokój. To oni są głupi i podli, nie ty.

Ale nie mógł jej uspokoić, leżała trochę na boku i płakała, a łzy wsiąkały w piach drogi.

Sergiusz spojrział w kierunku wsi i westchnął ciężko. Nikogo nie było widać, wszyscy zniknęli.

– Dasz radę się podnieść?

Wciąż płacząc, spróbowała unieść głowę, ale szło niesporo.

Jarzębowski naprawdę się przestraszył. Dziewczyna leciała przez ręce. Zaklął, szybko podparł jej głowę i spróbował postawić Helę na nogi. Miała swoją wagę, nigdy nie była chudziwą, a i on, Sergiusz, nie był zbyt rostry. Jednak po kilku nieudanych próbach w końcu doprowadził ją do pionu. Zwisła w jego ramionach, ale jakoś dotarł z nią do chałupy.

Ewa Jarzębowska, gdy zobaczyła poturbowaną, zakrwawioną Helę, wpadła w panikę, coś tam gadała podniesionym głosem, ale pomogła mężowi i razem ułożyli dziewczynę na ławie w kuchni. Potem przetrarli jej twarz mokrą ścierką, ostrożnie, żeby nie sprawiać większego bólu, jeszcze raz zmoczyli ścierkę i położyli na spuchniętą, krwawiącą wargę.

Krzyś zaczął płakać, krzycząc to swoje: – Mami! Mami! – ale Ewa Jarzębowska wzięła go na ręce i utuliła, mówiąc:

– Mami się przewróciła, nie płacz, synku, nie płacz. Zaraz wszystko będzie dobrze.

Ale dobrze nie było. Hela ani się ruszyć nie mogła.

Jak zległa, tak leżała na tej ławie trzy dni. Coś jadła, dużo spała, ale dopiero drugiego dnia pod wieczór zaczęła się powolutku ruszać. Jarzębowski zastanawiali się nawet, czy nie wezwać doktora, ale to wszystko od doktora właśnie się zaczęło, wtedy w marcu.

Poznał Helę, bo przyjeżdżał do jej matki raz czy dwa.

Zbadał Jarzębowską, zapisał jej jakieś leki, postawił bańki, a potem, gdy Jarzębowski odprowadzał go do bryczki, spytał:

– Zna pan tę dziewczynę?

– To znaczy?

– Kto ona, czy pan wie?

– Tak, z sąsiedniej wsi, pomaga nam w gospodarstwie.

– No, to ja panu powiem, że hitlerowska kurwa – zakomunikował z nagłą ściszonego głosem, kategorycznie. – Radzę tę szmatę przegnać na cztery wiatry.

– Niemożliwe. Helenka? Ale to na pewno pomyłka, to miła dziewczyna i bardzo nam pomocna.

– Mówię panu, co wiem, a wiem dobrze. Ten bachor to szwabskie nasienie.

– No, skoro pan wie... – poddał się Sergiusz. – Dziękuję za informacje i pomoc przy żonie.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że lekarstwa poskutkują, a jak żona wyzdrowieje, to tę sukę niech pan wyrzuci na zbity pysk razem z jej pomiotem.

Jarzębowski skinął głową i jeszcze raz powtórzył:

– Dziękuję.

Wrócił do izby i spojrział na Helenkę, która właśnie myła Krzysia w cebrzyku. Mały chlapał wodą jak szalony i na widok Sergiusza zawołał:

– Siegusz! Siegusz bawi! Siegusz!

Podszedł bliżej, wyjął z ręki Heli szmatkę i powiedział:

– Ja Krzysia umyję, a ty natrzyj Ewie plecy kamforą i nakarm. Niech się wzmocni.

Gdy wychodziła, słyszała, jak się wesoło bawią.

Minęło kilka dni i Sergiusz był święcie przekonany, że cała sprawa przycichnie, rozejdzie się po kościach. Nikt się nie odzywał, a doktora, który w końcu mieszkał szmat drogi stąd, w Myszkowicach, już więcej nie zamierzał wołać. Jakoś przestał mu się podobać ten pan doktor. W okolicy byli też inni lekarze. Wszystko toczyło się normalnie do czasu, gdy wójt Borzowski zatrzymał go na drodze. I zapytał prosto z mostu, dlaczego trzyma u siebie to szwabskie pomiotło.

Wtedy powiedział Heli. Że ludzie wiedzą i żeby uważała.

A potem zdarzyło się, że kiedy szła do sklepu, chłopaki obrzucili ją kamieniami. Zawróciła czym prędzej do chałupy, oberwała, ale nic się nie stało groźnego. Pobołało, bardziej serce niż guz na głowie.

Od tej pory już nie wychodziła poza obejście. Żeby nie kusić losu.

Ale widziała, czuła na sobie ciężkie spojrzenia, które zawsze ją ścigały, kiedy cokolwiek robiła na podwórku. Widziała też troskę w oczach pana Sergiusza i strach w oczach jego żony.

Kiedys usłyszała przez okno, jak pani Ewa mówi:

– A jak przyjdą leśni i nas przy okazji spalą...

– Histeryzujesz! – rzucił pan Sergiusz.

Ale Helenka wiedziała, że to nie histeria, że naprawdę mogło tak być.

No i teraz ją dopadli. Dobrze, że tylko ją.

12 MARCA 1945, WARSZAWA

Czekolada smakowała rozkosznie. Wsadziła sobie do ust dwie kostki, a kolejne dwie wsunęła do ust Romkowi. Leżeli w łóżku w jego mieszkaniu na Filtrowej.

Do tramwaju wpadł na chwilę Bończa-Komarnicki z paczką pod pachą.

– Podpisz mi tu, Irka.

– A co to?

– Paczka. Dla zasłużonych artystów scen.

Zaśmiała się.

– Kto daje?

– Wujek Sam. UNRRA¹⁵ się to nazywa.

Pogadali, poplotkowali przy pseudoherbatce wzmocnionej nieco prawdziwą przepalanką, którą Irka miała schowaną w sprytnej skrytce.

Potem przyszedł Romek i razem, czule objęci, powędrowali na Filtrową, zahaczając po drodze o Mokotowską.

Dopiero w południe następnego dnia, gdy ich głód przycisnął, Irka otworzyła paczkę, a tam cuda cudzeńka. Herbata, kawa, sardynki, czekolada, dwa swetry i bluzka wielkiej cudności.

No i miś. Taki mały, pluszowy.

Ten miś ją zasmucił.

Ale czekolada, czekolada miała cudowną właściwość: odganiała zmartwienia.

Jedli, podając sobie do ust kawałki urwane zębami, brudzili się, brudzili pościel.

– Skąd u ciebie taki porządek?

– Właścicielka mi sprząta i robi pranie.

– Boskie życie kawalera... – westchnęła Irka.

– Nie jestem kawalerem... – westchnął Romek.
Usiadła.
Nagle zimno jej się zrobiło.
– Jak to?
– Nie mówiłem przecież, miła moja, że jestem wolny.
– No, nie. – Na chwilę zamilkła. – Więc masz żonę.
– W zasadzie nie wiem. Została we Lwowie. Potem ich wywieziono.
– Ich?
– Mam też synka. Może mam... Włodka.
– To co ja tu robię?
– Nie widziałem ich od czterdziestego pierwszego, nie wiem, czy żyją. Staram się o pozwolenie na wyjazd. Zgłosiłem, że szukam rodziny, gdzie tylko mogłem. Nie mam pojęcia, co z nimi. Tam też mordowano, głodzono i męczono. A życie, sama rozumiesz...
– Sama rozumiem. – Wstała z łóżka. – Pójdę już, Romek, za bardzo się przedłużyło.
Zaczęła się ubierać, siedząc na krześle. Wciągała pończochy, gdy Romek stanął za nią i przytulił ją do siebie.
– Nie gniewaj się, Iruś. Gdyby to były inne okoliczności. Ale nic nie poradzę, są takie, jakie są. Chcę być uczciwy.

12 MARCA 1945, GOERBITSCH

– Jestem Anna Ludwika. – Dziewczynka dygnęła z gracją.
Miała mniej więcej dziewięć lat. Wysunęła się na środek pokoju. Za nią stała chuda i wymizerowana matka.
Anna Ludwika przyjrzała się uważnie stłoczonym w drzwiach gościom i oznajmiła:
– Damy wam pokoje na pięterku. Tam jest bardzo ładnie. – Odwróciła się do matki. – Przygotuj, mutti. To jest moja mutti. A ja wam pokażę, co i jak. Chodźcie ze mną.
Odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi, ani się oglądając, czy za nią podążają. Ale lekko zdumieni szli, wpatrzeni w płową główkę.
Wyszli z dużego, murowanego domu udekorowanego pruskim murem. Zosia wciągnęła w płuca powietrze, zapach był oszałamiający. Wiosna nadciągała. Już była bliżej niż dalej. Rozejrzała się po obejściu i od razu zauważyła, że to bogaty dom. Właściwie folwark, a może nawet dwór.
Anna Ludwika wskazała murowany budynek:
– Tam były obory, ale już nie mamy krów, więc mleka nie będzie. Koni też nie ma, dawniej stały w tej stajni.
Potem pokazała psią budę, ale tylko budę, bez psa, bo, jak wyjaśniła, Reks to bardzo mądry pies, gdy tylko zaczęli strzelać, zerwał się z łańcucha i uciekł. Ale wróci, jak wszyscy już sobie pójdą.
Szła po gospodarstwie i coraz to inne wynajdywała ciekawostki. A oni podążali za nią jak zahipnotyzowani, tak była rezolutna i nad wiek rożgarnięta. Mała dama. W końcu zaprowadziła ich nad jezioro.
Dom stał na skarpie, tuż przy wielkiej, srebrnoszarej spokojnej wodzie, która kończyła się

gdzieś daleko, na horyzoncie.

Zeszli razem na brzeg. Przy niewielkim pomoście była przycumowana łódka.

Ale jezioro nie było głębokie.

Anna Ludwika wskazała na dno i powiedziała:

– Popatrzcie. Nie kupujcie tu raków, jeśli ktoś zaproponuje. Dobrze wam radzę...

Zosia spojrzała w głąb jeziora, a doktor Chodakowski i profesor Migoń poszli za jej przykładem.

W pierwszej chwili nie zauważyli nic poza falującą wodą i mułem. A potem... zaczęły się tam rysować sylwetki, kształty i ujrzeli jakieś falujące postaci, ludzkie postaci, jedna za drugą, jedna nad drugą. Cały tłum. Pływali leniwie po dnie, jakby tylko je badali. Żaden z topielców nie wypływał wyżej, a przecież musieli już czas jakiś przebywać w wodzie, ciała były spuchnięte i bezkształtne, napompowane wodą i Bóg wie czym jeszcze.

– Dlaczego nie wypływają? – zdziwiła się Zosia.

W tym momencie promień zachodzącego słońca przedarł się przez wodę i dostrzegła, że ci ludzie byli spętani drutem kolczastym na wysokości nóg.

Cofnęła się ze zgrozą.

Gdy Anna Ludwika zauważyła, że dostrzegli to, co chciała, by widzieli, zabrała ich z powrotem do domu.

Tam czekała matka, chuda, zakłopotana i niepewna. Nie patrzyła im w oczy. Dziewczynka minęła ją bez słowa, chyba nawet na nią nie spoglądając, jakby nie istniała albo nie chciała do niej przyciągać uwagi. Zaprowadziła ich na piętro, do pokoi, świeżo wysprzątanym, z czystą pościelą. Wszystko było *gemütlich*, jak w najlepszym zajeździe. Szeroko otwarte okna pozwalały uciec zatechłemu zapachowi nieogrzewanych od dawna pomieszczeń, a wpuszczały woń nadchodzącej wiosny i kiełkującej już przyrody.

– To wasze pokoje – powiedziała Anna Ludwika – tu będziecie spali. Ja śpię na dole z mutti. Zawsze śpimy razem, ja się nie boję, nic a nic, ale mutti tak woli. Nie lubię, jak mutti nie śpi ze mną – oświadczyła, patrząc głęboko w oczy doktorowi Chodakowskiemu, a później profesorowi Migoniowi, po czym dygnęła i z właściwą sobie gracją opuściła piętorko, zbiegając lekko po schodach.

Kiedy już się rozlokowali w sypialniach, w przydzielonej im przez komendanta kwaterze, po cichu marząc o tej miłej chwili, kiedy wreszcie położą się do łóżek i zakopią po same uszy w wykrochmalonej pościeli, pojechali z powrotem do pałacu.

Obeszli całą budowlę, a potem ruszyli w stronę zabudowań gospodarczych z nadzieją, że może choć tam ocalało coś po przejściu Wandalów. Czekał ich gorzki zawód; pierwsze, co zobaczyli, to trakt, zrobiony z książek, wiodący w kierunku lasu. Były tak zdeptane, że stały się miękkie jak igliwie i prowadziły prosto do latryn. Przy nich ujrzeli kolejne stosy oprawnych w płótno i półskórek woluminów, z których często gęsto wyrwano tylko jedną lub dwie kartki i porzucono. Ktoś, zapewne idąc za potrzebą, brał z pałacu kolejną książkę, potem znów ktoś inny następną i tak bez końca, i bez końca, i bez końca...

– Tragedia – jęknął profesor Migoń – nie mogę... Wracajmy...

W ponurym nastroju szli pospiesznie i w całkowitym milczeniu. Już mieli ominąć pałac, gdy Józio wypadł stamtąd, krzycząc na całe gardło:

– Są książki! Jak Pana Bożię kocham, są...

Poszli, a właściwie pobiegli za nim, czując przyspieszone bicie serca – i znaleźli. Na strychu nad stacją leżały wyrzucone ze skrzyń wiązki książek. Na oko mniej więcej trzy wagony,

z sześciu, które wywieziono z Warszawy.

13 MARCA 1945, WARSZAWA

Wody naniosała. Zupę ugotowała. Byle jaką, aby tylko była. A potem zwała się na łóżko i znowu leżała, patrząc w sufit. Na nic nie miała chęci ani siły. Co jej było robić. Już nie płakała, tylko trwała. Trwała, bo mogła. Nic nie musiała. Nic jej nie napędzało, badała uważnie sufit, rejestrowała plamy i pęknięcia. Przez chwilę. Potem zamknęła oczy. Zobaczyła oczy Helmuta, jego dobre oczy, i to trochę pomogło. Prawie odpływała w zbawczy sen, w niemyślenie, gdy trzasnęły drzwi i pokazała się Irka.

Helenska spojrzała na nią pustym wzrokiem.

– A co ty, Hela, tak leżysz, jak dętka, z której powietrze uszło? – Irka nigdy specjalnie się nie certoliła.

– Tak mi się jakoś... ckni.

– Ckni? No dajże spokój. Żadne „ckni”, wstawaj, idziesz ze mną.

Helenska posłusznie i bez ociągania wstała. Zawsze była posłuszna i dawniej nigdy się nie leniła. Tak ją wychowano. Dopiero teraz, tu, ostatnio, coś dziwnego z nią się działo.

Irka kręciła się jeszcze po pokoju, coś tam składała, ale widząc biernie czekającą Helę, przyjrzała się uważniej, przerwała swoje zajęcie i złapała ją, stojącą jak słup, za rękę.

– Pójdziemy do wagonu, muszę cię przyuczyć, co i jak. Teraz ty będziesz bufetową czy tam barmanką w naszym handelku. Mam inną robotę, a prowadzenie kawiarenki to akurat coś dla ciebie.

Helka zbladła i wrosła w ziemię. Ona? Nigdy.

– Ja się nie nadaję...

– Nadajesz się.

– Nie umiem.

– Się nauczysz kochana, nie zapieraj się, idziemy. Nie ma to, tamto. Mus jest! – krzyknęła groźnie Irka, a na słowo „mus” Helka jak zwykle położyła uszy po sobie i bez entuzjazmu, lekko powłóczęgając nogami, poszła za nią do drzwi.

Już na ulicy Irka wsunęła rękę pod ramię Heli i trzymając się blisko, prawie przytulone, pomaszzerowały rozświetloną słońcem Mokotowską w kierunku placu Zbawiciela. Rozświetloną, bo w ruinach słońce operowało swobodnie. Nawet wypalone kamienice zdawały się weselsze z plamami kolorowych pokoi widocznych w rozłupanych na pół czy ćwierć budynkach, przypominających duże otwarte domy dla lalek.

– Znalazłam robotę – tłumaczyła Irenka. – Będę pomagała takiemu jednemu wozić różne rzeczy z Zachodu. Ty musisz wejść na moje miejsce do kawiarni.

Czy będzie wozić, Irka wcale nie była pewna. Ale i tak postanowiła skończyć z kawiarnią, jak planowała wcześniej. A także skończyć z Romkiem, chociaż co do tego ostatniego – wahała się jeszcze. Miała nadzieję, że może przyjdzie, coś powie, zmieni. W sumie przecież była dorosłą kobietą. Doświadczoną. I mądrą. Sama nie mogła zrozumieć, czemu akurat teraz tak zareagowała. Zależało jej na nim.

Boże, pomyślała, czemu to zawsze jest takie trudne.

Zaczęło się tak prosto, tak miło i zwyczajnie, ale teraz straciła ufność, którą przez kilka dni

miała. Poczucie spokoju. Szczęścia. Ech. Nic to.

Helenka marudziła, szła, potykając się o własne nogi.

– Ale, Irka, ja sobie nie dam rady.

– Dasz. Towar skołuję sama, jak będę wyjeżdżała, będziesz miała czym handlować.

– No, noo, ze sprzedażą to może dam radę...

– Jasne! – Irenka się rozpromieniła. – Na pewno dasz. Tobie nie robi dobrze siedzenie w domu.

Popatrzyła na nią ciut za długo i znowu zapadło milczenie. Po długiej chwili Hela odezwała się niepewnie:

– Irka, a co z tym dzieckiem, którego szukasz?

– Z Władziem? No niezbyt, zniknął.

– I co teraz zrobisz?

– Pojadę jutro do Podkowy, tam, gdzie się zgubił, i pochodzę po domach w okolicy stacji, popytam też na stacji, a może kto co pamięta.

– Czyli dalej szukasz?

– Tak, ja uparta jestem.

– Oj! To wiem – zaśmiała się Helenka. – To wiem.

I pomyślała: Ja powinnam też.

W wagonie Irka pokazała Heli wszystko dokładnie, co i jak, a potem zostawiła ją samą, niech się wprawia. Poszła po towar, kupowała wszystko na Polnej, na bazarku, który już się utworzył.

Heli taka praca nawet pasowała. Nie narobię się, siedząc, pomyślała, a zawsze coś się będzie działo, nie tylko ten dom i dom, ściany i sufit.

Zaraz też pojawiła się parka młodych, chcących wypić herbatkę, więc im podała. Miło było popatrzeć, jak się tulili, zakochani widać bardzo, potem obtoknęła w wiadrze kubki po nich, gdy jak raz pojawiła się manikiurzystka z baraczką obok.

Pijąc herbatę, wydziwiała, że Hela ma zniszczone ręce i powinna do niej koniecznie przyjść, zrobić jej manikiur taniej.

Takie cuda jak manikiur to Heli nawet w głowie się nie mieściły.

– Ręce są ważne, panno Helu, ludzie patrzą, a pani tu dłońmi podaje, to niemiło, gdy są takie pokaleczone, paznokcie nierówne, nie daj Bóg, czarne...

Hela popatrzyła na ręce i rzeczywiście, wyglądały na zniszczone. Odciski, blizny, poparzenia. Cała historia mojego życia, pomyślała i usunęła dłonie z widoku.

Ledwo manikiurzystka sobie poszła, pojawiła się Karasiowa po prośbie. Helenka już była uprzedzona, więc złotówkę naszykowała. Tyle Irka poza herbatą kazała dać. Babina usiadła i jak nie zacznie gadać. Widać poczuła bratnią duszę. Jak to sierotą była i mieszkała u wujostwa, gdzie wuj pił i bił wszystkich, ale ją najgorzej, bo darmo chleb jadła. Choć przecia pracowała niby wół. Od małości.

– Aż w końcu nie wstrzymałam i se poszłam – mówiła. – I tak całe życie chodzę. Tu się zatrzymam, popracuję, tam się w gospodzie zabawię z chłopakami i tak mi to wszystko minęło, aż przyszła starość i wojna. Już tam ani ja do tańca i zabawy, ani do roboty. Jakoś docięgnę do końca, da Bóg. Już blisko.

– A co tam pani Karasiowa gadasz, dobrze jeszcze będzie.

– Nie, dobrze nigdy nie było, ta i nie będzie. Takie życie – odrzekła Karasiowa, wzięła swoją złotówkę, skłoniła się w pas i poszła.

Helenka popatrzyła na nią i się zadumała. Żeby i ja tak nie wylądowała, sierota i sama na tym świecie. Ale potem sobie pomyślała, że przecież nie sama ona, ma Irkę, ma Zośkę, a zawsze to dusze przyjazne. I był przecież Helmut, i ją lubił, tak naprawdę. A przecież i Krzyś gdzieś jest. Na pewno. Tylko musi go znaleźć. Przecież jej będzie łatwiej niż Irce, bo to nie małe żydowskie dziecko zgubione w podróży, ale blondasek, którym dobre ludzie się zaopiekowały.

Ale potem pomyślała: Tylko czy one takie dobre, jak ta Jarzębowska tak uciekła?

14 MARCA 1945, GOERBITSCH

Mężczyzna w zielonym kubraku z barankowym czarnym kołnierzem, fajeczką w ustach i oczywiście w kapelutku z piórkiem, a jakże, szedł, machając z lekka laseczką, koło wychudłej kobieciny, niby perszeron ciągnącej wózek.

Chyba to służąca, pomyślała Zosia.

Kobieta, o dobrą głowę wyższa od swego okrągłego pracodawcy, żółtawa na twarzy, wyglądała na wymęczoną nad wyraz, a wózek, mniejszy niż furmanka, przeznaczony dla dzieci czy do gospodarstwa, wyladowany był ponad wszelką miarę. Z rzeczy na nim zgromadzonych wystawał nawet zegar. Z kukułką.

Zosi przyszły na myśl meble, widziane w czasie podróży ciężarówką, te stojące samotnie w lesie, i zrozumiała, że pewnie wyjmowano je z przeładowanych furmanek, których ludzie już nie mieli sił ciągnąć, albo może z rekwirowanych samochodów.

Niemcy uciekali.

Wędrowali drogą, niekończący się pochód. Od rana do wieczora. Po zmierzchu gdzieś znikali, w lasach czy rowach. Kobiety pchały wózki dziecięce pełne wszelkiego typu dobra, pierzyn, poduch czy garnków. Na poduchach siedziały najmłodsze dzieciaki, te starsze wlokły się za matkami, przeważnie z tyłu, też obciążone plecakami i węzełkami. Mężczyzn nie było wielu, kilku starców, kilku niedorostków i czasem jakiś zgarbiony, udający starszego i bardziej zniszczonego, niż był, ojciec rodziny czy dezertier. Czasem widziała, rozpoznawała wprawnym spojrzeniem żołnierzy, tych zwykłych i tych z Wehrmachtu czy z SS. Wszyscy mieli poodrywane pagony, ale postura, podgolony kark, zaciętość, wojskowy sznyt i resztki hardości w oczach pozwalały łatwo odróżnić szeregowców od oficerów. Przeważnie po prostu szli, nieobciążeni rodziną ani rzeczami. Wzdłuż drogi stali sowieccy żołnierze, którzy gapili się bez zainteresowania na przesuających się ludzi, nie wyciągali nikogo z tłumu, za to często zabierali coś, co przyciągnęło ich uwagę.

Czemu nie aresztują tych sukinsynów, zastanawiała się Zosia, może nie mieli z nimi do czynienia, nie rozpoznają ich? Akurat mężczyzna w sile wieku, wpatrzony w czubki swoich butów, przesuwał się koło kurzącego jak smok machorkę ruskiego lejtnanta, który taksował wzrokiem przechodzące kobiety. Zosia znała zapach strachu, wyczuwała go bezbłędnie. Unosił się wokół Niemca, mimo że tamten starał się być niewidoczny. Ona też tak się bała, chciała zniknąć w tłumie. Naszła ją nagła pokusa, by wskazać go ruskiemu, niech łapie, ale potem pomyślała, że źle by się z tym czuła. Może rozwaliliby tego żołnierza, a raczej oficera, gdzieś nieopodal, pod płótem? Miałyby na to patrzeć? Mieć go na sumieniu? A jeśli się myli, ma obsesję?

Po co? Co to da?

Zemsta. Nie, jednak nie. Było jej szkoda tych dzieci, tych kobiet.

Mężczyzn nie. Mężczyźni byli źli.

Postanowiła już się nie gapić, nie denerwować, poszła więc do pałacu, gdzie doktor Chodakowski, widząc ją na progu, zawołał:

– Zdobyłem sznurek do młockarni, mamy czym wiązać porzrzucone książki!

Był taki pełen zapału, że Zosia na szybko zrewidowała swoją opinię o mężczyznach. Zdarzają się też mili. Niemniej westchnęła i zaczęła chłodzić entuzjazm Chodakowskiego.

– Pięknie, panie docencie, ale żeby powiązać wszystkie zgromadzone tutaj książki, to z rok potrzeba!

– No cóż, co prawda, to prawda. – Rozejrzał się po pomieszczeniu, wciąż zawałonym woluminami w ilościach przemysłowych. – Robótka nie do przerobienia. Ale trzeba ją wykonać.

Profesor Migoń pojawił się na progu, trzymając w ręku, jakżeby inaczej, opasły tom.

– Popatrzcie, „Chimera”, trafiłem na cały rocznik. Ładnie szyty. – Przyjrzał się uważnie jeszcze raz znaleźniku, demonstrując je kolegom.

– Odbudujemy bibliotekę! – dziarsko zawołał Chodakowski.

Miał dziś przypływ entuzjazmu, w końcu połowa księgozbioru to dużo więcej niż nic.

Dadzą radę.

Zaczął ich zatem ustawiać:

– Weźcie się państwo od razu do wiązania. Po cztery książki może. Podeślę wam jeszcze do pomocy tych dwóch gamoni, Gałązkę i tego tam, no, Balcerzaka. Ja z Józkiem pojedę na dworzec rezerwować wagony.

Zośka spojrzała na piętrzące się stosy i jęknęła.

– Trzeba nam pomocy, Gałązka z Balcerzakami to za mało. Może komendant kogoś nam przydzieli? Żołnierzy?

– Żadnych żołnierzy! – zaprotestował gwałtownie profesor Migoń. – Żaden żołdat nie dotknie już ani jednej książki. Po moim trupie!

Słońce schowało się za budynek, dzień powoli dobiegał końca. Jaromir Chodakowski oparty o ścianę obserwował, co się dzieje na dworcu. Kręciło się tu ciągle dużo ludzi, choć ruch był już nieco mniejszy niż wcześniej i sytuacja bardzo przypominała tę warszawską, kiedy to starał się zdobyć ciężarówkę.

Komendant, podobnie jak i tamten, oblegany przez oszalałych, żadnych transportu obywateli, udzielał się niechętnie.

Gadał z wybranymi, pojawiał się i znikał.

Chodakowski zastanawiał się, co powinien zrobić. Kręcił się już tutaj dobre trzy kwadransy i oceniał swoją szansę na pozyskanie wagonów jako zerową. Nie miał nic interesującego do zaoferowania w zamian, tu, niestety, było wszystko, opustoszałe domy zapraszały. Istne Eldorado. Może biżuteria albo świnki przekonałyby tego pana w mundurze, ale cóż, nic takiego nie miał. Bimber, no, może bimber by zadziałał, rozważał w myślach. Pall malle też, o tak, byłyby przydatne, ale cóż... poszły.

Nagle ktoś go szturchnął w ramię.

– Pan żeś z Warszawy?

- Tak.
- A jak tam stolica? Ponoć kamieni kupa i... – zapytał mężczyzna z zamaszystym wąsem, ubrany w czarny kolejarzski mundur.
- Pan kolejarz? Nie był pan tam jeszcze?
- Jakoś się nie złożyło.
- Ruiny, kamienie, ale ludzie wracają na stare śmieci, odgruzowują. Powoli, powoli i wszystko wróci do normy.
- Tamten pokiwał głową i usatysfakcjonowany wyciągnął paczkę papierosów w kierunku Chodakowskiego, ten wziął chętnie i zgodnie przypalili.
- A pana co tu przygnało? Szaberek? – zainteresował się dość uprzejmie mężczyzna.
- Nie. Jestem bibliotekarzem z biblioteki uniwersyteckiej. Odnaleźliśmy w Goerbitsch księgozbiór, wywieziony przez gubernatora Franka z Warszawy.
- O? To w Warszawie jest już nawet i biblioteka?
- Jak najbardziej. Uniwersytet ruszy jesienią. Będzie potrzebna.
- Mój syn marzy, żeby studiować. Polonistykę sobie chłopak wymarzył, ale gdzie mu tam!
- Teraz będzie łatwiej niż przed wojną, tak myślę. Niech pan go do mnie podeśle. Pomogę mu się umościć w Warszawie.
- Zrobiłby pan to? Tak po prostu?
- Czemu nie? Młody, ambitny, na razie mógłby u nas spać, w bibliotece, póki czego nie znajdzie, i pomagać w robocie.
- W bibliotece? I to uniwersyteckiej? Joachim oszaleje. A pan na dworcu w jakiejś sprawie?
- Do naczelnika chcę się dostać. Wagony załatwić, żeby książki zabrać.
- A, naczelnik! Trudna bestia, ale jeśli pan chce Joasowi pomóc, tak ot, to i ja panu pomogę. – Skinął ręką i powiedział: – Proszę za mną.
- Zaprowadził Jaromira Chodakowskiego do rozległego magazynu, całkowicie pustego.
- Tu pan przenieś książki. A wagony skombinujem.

15 MARCA 1945, WARSZAWA

Romek czekał przy tramwaju. Z daleka wyglądał wzruszająco. Ręce w kieszeniach, dłużej butem w gruzie, a zsunięta na czoło czapka nadawała mu wygląd ulicznika. Kiedy podniósł na Irkę wesołe oczy, zdawało jej się, że rozbłysło słońce. No, śmieszne, ale tak czuła. Zatopili w sobie spojrzenia. I jakoś nie mogła od niego oderwać wzroku. Ale się porobiło.

- Czekam na cię... – wycedził nieco nieśmiało czy zaczepnie.
- Widzę. – Spojrzała na kościół, udając nagle zainteresowanie. Sama sobie wydała się śmieszna.
- Przeszło ci?
- Trochę przeszło. – Zerknęła na Romka. Wciąż się gapił. Na nią.
- Wiesz, że ja, no, lubię cię...
- Uśmiechnęła się.
- A ja na cie... łam się.
- No, wyznanie miłości to to nie jest.
- A co, chciałbyś? – Odwróciła się ku niemu, zdejmując sztabę z drzwi. Romek podszedł

bliżej, tak blisko, że nieomal zadrżała.

– A ty?

– Nie... wiem – odparła, niepewna, czy jej głos mówi to samo.

Zdjęli sztabę i weszli do tramwaju.

– Napijesz się herbaty?

– A z przyjemnością. Przyniosłem nawet coś na dokładkę.

Wyciągnął zza pazuchy coś w zatłuszczonym szarym papierze i położył na desce służącej za blat. Irka zapaliła prymus, postawiła na nim czajnik i dopiero sięgnęła po paczuszkę. Salceson.

– Umiesz uwieść kobitę!

– To u mnie naturalne, rzecz jasna. To co, sztama?

– Niech tam – zaśmiała się, bo było jej jakoś lekko i radośnie.

Krojąc salceson, zainteresowała się:

– A jak nasze plany wyjazdowe? Bo uczucie to jedno, a ta robota nadal mnie interesuje.

– Ja bym tego nie rozdzielał, Irenko, jest, jak jest. Staram się być uczciwy. A co do wyjazdu są, są plany. Co byś powiedziała na mały wypad nad morze?

– Już mnie masz. Nie ma może, gdy facet proponuje morze. Boże, jak ja dawno nie byłam na wakacjach.

Przypomniała sobie ostatnie lato na Riwierze, w trzydziestym ósmym, i zamilkła. Inne życie, inny świat, inna rzeczywistość.

– Klawo! Zatem kiedy panna Irka może zrobić sobie wolne?

– Kiedy zechce – odparła zadowolona z siebie.

W tym momencie do tramwaju weszła Romka, odstawiona jak ta lala. Suknia cienka, nylony, no i te nieszczęsne blond pukle. Tylko może płaszczyk skromny, ale reszta prima sort. Irka obrzuciła ją okiem znawczyni, nawet z lekką domieszką zazdrości.

– Można na herbatkę? – Romka gapiła się z ciekawością na siedzącego pod oknem mężczyznę.

– Oczywiście, siadaj – odparła szybko Irka. – To jest Romek. A to Roma.

Tamta zalotnie błysnęła oczkiem.

– Oj, to byśmy byli parą. Pan tu kiedyś Irki szukał, pamiętam.

– Romantyczną! – zadrwiła Irka i energicznie postawiła przed nimi kubki, piorunując wzrokiem Romę, która najwyraźniej zaczynała uwodzić Romka.

– O tak, bardzo! Masz takie... imię, że musiałbym być Julkiem.

Jej Romek wyraźnie zaczynał flirtować, no, no.

– Julkiem? A czemu Julkiem? – zdziwiła się, trzepocząc rzęsami, Romka.

– Co do wyjazdu... – przerwała te zaloty Irka, wchodząc jej w słowo – to mogłabym pojutrze nawet.

– A gdzie się wybierasz? – zaniepokoiła się Roma, bo Irka była jedyną jej tak jakby koleżanką, nie patrzyła na nią wilkiem, no i ciepła herbata była też nie do pogardzenia w ciągle zimne dni.

– Nad morze jadę z Romkiem.

– Fiu, fiu! Ta to ma szczęście. A dla mnie byście miejsca nie znaleźli? – zapytała zniecierpliwiona.

– Czy ja... – zaczął Romek.

– Nie – odparła twardo Irka, wchodząc mu w słowo – za interesami jedziemy.

– Tak! – potwierdził zgodnie. – Nie mamy miejsca w szoferce, a na naczepie zimno.

– Oj tam, oj tam, zimna ja zwyczajna. Ale w sumie – zastanowiła się – to i mi nie pasuje teraz taka jazda, mnie się pułkownik, z gestem, trafił. Dobry klient i starowny. Pończochy mi przynosi. I lisa obiecał.

– Pułkownik? Czego pułkownik? – Romek otworzył szeroko oczy.
– No u ruskich to się nie znam, czego on pułkownik.
– Ruski? – zdziwił się Romek i jakby uważniej przyjrzał się Romce, a potem popatrzył na Irkę, lekko pytająco, ale jej tylko oczy się śmiały.
Przez kilka chwil pili spokojnie herbatkę, gdy Roma zerknęła na prześliczny złoty zegareczek na nadgarstku, ani chybi prezent od pułkownika, i nagle zerwała się na równe nogi.
– Muszę lecieć, zaraz będzie u mnie Sieriożka, on zawsze o osiemnastej przychodzi i mamy na tańce iść.
– Kto będzie? Pułkownik? – spytała Irka, patrząc spod oka na Romka.
– Ano, Sieriożka, pułkownik, lecę, adie – rzuciła nader dystyngowanie, wyskoczyła z wagonu – i tyle ją widzieli.
– Kto ona jest?
– Nie pytaj.
– Okej. Ale chyba nie gruzinka?
– Gruzinka. Ma w Alejach przyjemną klatkę schodową, gdybyś reflektował.
– Aleś złośliwa.
Irka wyciągnęła nożyk i pokroiła schowany, na dźwięk otwieranych przez Romkę drzwi, salceson.
Powoli go smakowali.
– Cudo.
– Zgadzam się, a nad morzem, miła pani, to sobie rybek pokosztujemy. Mam tam jednego zaprzyjaźnionego rybaka, smaży świeżutki, prosto z kutra.
– Czuję, że wraca normalność. Rybki, salceson i...
Romek się nachylił i pocałował ją w szyję:
– I ja.
Zamknęła oczy.
Tak. On.

15 MARCA 1945, WARSZAWA

Hela postanowiła chodzić od domu do domu. Zacznie od placu Zbawiciela – skoro tu ostatni raz widziała Jarzębowską.
Pierwszy był dom na rogu. Weszła do bramy, znalazła dozorcówkę, a w niej starą babinę i niedorostka.
– Czy mieszkają tu może Jarzębowscy, Sergiusz i Ewa?
Babina pokręciła głową.
– Dużo teraz luda się naszło w domu, ale takich tu nie zobaczysz. U nas nie mieszkajo.
Helenka podziękowała grzecznie i poszła do następnej kamienicy.

15 MARCA 1945, BOTTSCHOW

Komendant siedział na krześle przysuniętym do wysokiego i wąskiego okna. Światło poranka

niemrawo przesączało się przez nieumyte szyby.

Miał w ręku nożyczki. Podobnie jak ostatnio. Przyglądał się sobie w niewielkim lusterku, jakby nic się przez te kilka dni nie zmieniło, i przystrzygał rzadki wąsik, żadnej troski niewymagający. Zapach eteru wciąż był wszechobecny.

Musiał chyba szpital ograbić z tego eteru, pomyślał Chodakowski.

Na wieść, że znaleźli książki, okazał niezadowolenie lekkim skrzywieniem warg, ale zaraz zamaskował je krzywym uśmiechem.

– Mołojec! Zawsze trzeba sprawdzać, co ludzie mówią. No ładno. I co z tymi knjigami zamierzacie uczynić?

– Odesłać do Warszawy.

– No, ambitny z was towarzysz. A co ty ode mnie, nu, czego chcesz?

– Ludzi do pomocy.

– Ludzi, powiadasz, a skąd mnie ich brać... – wycodził, wracając do przycinania, tym razem włosków w nosie.

– A mogę nawet wziąć tych faszystów, co tu drogą idą w tłumie.

– Taaa, wziąć możesz, ale ty im jeść dać musisz.

– Jeść?

– Tak. Jak chodzą, to jeść nie potrzebują, ale jak ich weźmiesz, już inaczej ma się sprawa.

Wieczorem pierwsze Niemki, chętne do pracy, pojawiły się na dziedzińcu pałacu. Chodakowski poprosił miejscowego sołtysa, by dał znać, że potrzebują w pałacu pracownic. Zawszeć to lepsze niż żywienie dezertersów czy jeńców niemieckich.

Stały, zbite w stadko, wynędzniałe i zastraszone. Wyszli do nich wszyscy troje, Zosia, Migoń i Jaromir, który policzył je wzrokiem: mniej więcej dwadzieścia kobiet w różnym wieku.

– Drogie panie, płacimy dziewięćdziesiąt złotych tygodniowo, wiem, niedużo, ale więcej nie mamy. Kto się decyduje, ręka w górę.

Wszystkie dłonie się uniosły i wyglądało to trochę tak, jakby zgodnie salutowały.

Chodakowski westchnął i kiwnął głową, nie miał zbyt wielkiego zasobu gotówki, ale może, jeśli zatrudni więcej osób, robota pójdzie szybciej.

Dziewięćdziesiąt złotych miało mniej więcej wartość trzech bochenków chleba, jeśli udało się go dostać, co nie było łatwe. Wiadomo, marzec, przednówek, zdobycie pożywienia graniczyło z cudem.

Umówiwszy się zatem z kobietami na następny dzień, wrócili wreszcie na kwatery, gdzie rozeszli się po przygotowanych pokojach. Profesor Migoń, doktor Chodakowski i Zosia mieli miłe pokoje na piętrze domu, a Józio Mazurkiewicz i dwaj konwojenci zostali ulokowani w oficynie stojącej bokiem do podjazdu.

Zmęczona całodzienną pracą, w końcu fizyczną, Zosia wsunęła się pod wykrochmaloną pościel, taką, dokładnie taką, jaka była u niej w domu przed wojną, lecz nie miała już siły nawet rozpamiętywać tego faktu, bo zasnęła w jednej minucie.

Niemki, twarde chłopki, pracowały gorliwie. Jedne znosiły stosy książek ze strychu na parter i układały w holu, inne zabierały je do ciężarówki, jeszcze inne układały na końcu pojazdu. Robota paliła się w rękach.

Na razie, pomyślał doktor Chodakowski, który był człowiekiem już doświadczonym i wiedział, że zwykle wszystko zaczyna się dobrze, potem jednak bywa różnie. Niemniej cieszył się, że praca idzie gładko.

Na dworcu magazyn wypełniał się paczkami. Ale też przez cały dzień niby rój dokuczliwych muszek kręcili się koło niego żołnierze, szabrownicy, osadnicy i każdy, kto choć na chwilę znalazł się na stacji. Papier był nieodpartą pokusą i Chodakowski, zmęczony bezustannym odganianiem jego amatorów, miał ochotę usiąść i wyć.

Tamci byli jak dzieci; gdy się czymś zajął i tracił czujność, łapali pierwszą z brzegu książkę i uciekali. Postawił na straży Gałązkę, ale po godzinie złapał go, jak związał papierosa. W co? Już nie dało się odcyfrować.

Walczył właśnie zdesperowany z napierającą niby wataha wilków nową grupą amatorów bibuły, gdy nie wiadomo skąd pojawił się stary, skurczony Tatar, z twarzą, która Chodakowskiemu skojarzyła się z Inczuczuną, indiańskim wodzem z powieści Karola Maya.

– Masz, towarzyszu, kłopoty?

Jaromir, rozglądając się na boki jak osaczony zwierz i szukając kija, którym się posługiwał niczym dzidą, wycharczał wściekły:

– Chyba widzisz!

W stanie furii zastanawiał się, gdzie się podział ten nygus Gałązka, przecież dopiero co stał tu na straży i nagle go nie ma. Zmył się, przeczuwając widać, że będzie robótka, skoro podjechał pociąg pełen żołnierzy, którzy niby mrówki rozleźli się po całym dworcu.

– A to ty książek bronisz? – Tatar zajrzał do magazynu. – Żołnierze jak dzieci, wiesz, rozpuścili się. Wiedzieli kiedyś, co to kultura, ale zabyli. Ja im przypomnę.

Odwrócił się i rzucił krótkie polecenie napierającym na Jaromira żołdatom:

– Won.

I wszyscy, o dziwo, się cofnęli o kilka kroków, gapiąc się na niego pytająco. Jednak wyjaśnień żadnych nie dostali i niechętnie trochę się cofnęli.

Zadowolony z siebie czy z nich Tatar uśmiechnął się pod nosem, potrząsnął siwą głową i wszedł w głąb do magazynu jak do własnej chałupy. Rozejrzał się.

– Ładno.

A potem odwrócił się i zakomunikował mołojcom, którzy znów, gdy tylko zniknął im z pola widzenia, jak stado wilków podsunęli się bliżej:

– Teraz ja tu pilnuję. Może chcecie jakąś książkę?

Tamci cofnęli się, kręcąc przecząco głowami. Znali dryl.

– *Charaszo* – kontynuował *starszina*. – A teraz oddajcie, *riebionki*¹⁶, to, coście już wzięli.

Kiedy zaczęli rzucać na stos ukradzione tomy, Chodakowski się zadziwił. Nie zdawał sobie sprawy, że tyle udało im się wynieść w jego obecności.

Sprytne z nich bestie, magicy, pomyślał.

Jeden z podkomendnych, oddając książkę do ręki Tatarowi, wychrypiął:

– Nie gniewajcie się, *diad'ka*. Myśmy tylko żartowali, kto by tam książkę brał na papierosy. Toż przecie kultura. Choć, no, może ona i germańska.

Po kwadransie w okolicy magazynu nie było żadnego żołdata. Chodakowski z Tatarem usiedli

na schodkach rampy i spokojnie zapalili, nie częstując Gałązki, który stał nadęty nieopodal, oparty o framugę drzwi. Pojawił się natychmiast, gdy zniknął ostatni żołnierz, co dało Chodakowskiemu do myślenia, że może zaczął się gdzieś za rogiem i obserwował zza węgła rozwój wypadków.

Tatar pilnował książek przez te wszystkie dni, kiedy jego oddział stacjonował w Bottschow, czekając na dalszy transport. Jaromir, nadzorując wyładunek i załadunek książek, spędzał wolne chwile, gawędząc z tym starym już człowiekiem. Palili razem, jedli razem, opowiadając sobie zaprzeczone dzieje. Tatar o Rosji i rewolucji, Chodakowski o przedwojniu.

Na koniec, żegnając się, *starszina* uniósł się ze szklanką w rękę i zaczął przemawiać, a Jaromir zasłuchał się. Bo mówił, a jakby śpiewał.

– Ty jesteś szczęśliwym człowiekiem. Możesz sobie wybierać książki niczym mędrców największych i możesz sobie z nimi w cieniu drzew czy zaciszu domu porozmawiać o wszystkim, co cię ciekawi. Powiem nawet i więcej – masz z książkami lepiej niż z mistrzem jakimś. Starzec gromadzi z latami mądrość, ale i gromadzi gniew. Nie lubi więcej dawać, tylko tyle, ile sam uzna, że chce dać. Podobnie jak pszczoła, co to gromadzi, ale nie lubi, jak jej zabierają. A z książek możesz wziąć tyle słodczy, ile tylko potrzebujesz, ile zamarzysz. *Ty szczęśliwy, Jaromir. Praszczaj, moj drug¹⁷!*

16 MARCA 1945, PODKOWA LEŚNA

Irenka stanęła na peronie, zastanawiając się, jak to wtedy było. Tu zatrzymała się kolejka, tam mogły być drzwi. A gdyby się schował pod wagonem i przeszedł na drugą stronę? To wydawało się możliwe.

Muszę później pójść tam dalej, do domków koło torów, i popytać, pomyślała, ale na razie ruszyła do pomieszczenia dworcowego, która wyglądało, jakby przeszedł tędy szkwał czy huragan, a to przecież była tylko wojna. Ech, westchnęła Irenka. Teraz panował tu zadziwiający spokój, widać kolejka niedawno odjechała, zabierając ze sobą wszystkich pasażerów, został jedynie spokojnie drzemiący na podłodze osobnik, zakutany w kilka warstw ubrań i jeszcze przykryty nawet jakąś derką.

W okienku kasowym Irka ujrzała suchą, uduchowioną, pociągłą twarz. Zupełnie jak portret w ramie. Mężczyzna miał na nosie dziewiętnastowieczne binokle. Nie pasował do tego miejsca. Ubrany był bardzo oficjalnie, w garnitur w szare prążki i krawat, też szary, idealny na ślub czy bankiet w ambasadzie. Ten pan, bo to był bez wątpienia pan, pasowałby raczej do auli uniwersyteckiej czy sali operacyjnej niż do kasy biletowej na cichej, podmiejskiej stacyjce. Pięknymi wychudłymi rękami bazgrał coś na papierze i jak Irce się wydawało, z tych mazideł wyłaniała się sylwetka tancerki. Ale może jej się tylko zdawało.

Ciekawe, pomyślała, jaka jest jego historia. A zapytała:

– Przepraszam bardzo, że się osmielam przeszkodzić, ale czy pan dawno tu pracuje?

– A cóż to za pytanie?

– Szukam kogoś i...

– No tak, teraz wszyscy wszystkich szukają. Ja też szukam. Siebie.

– Rozumiem, to trudne.

Był dziwny, tak, jak czuła, jednak parła do przodu:

– Ale ja szukam dziecka, zagubionego dziecka, więc sam pan rozumie, że słabo reaguję na żarty.

Mężczyzna przerwał wywijanie ołówkiem po kartce i nieruchomym wzrokiem popatrzył na nią przez szybkę. Na jego twarzy nie widać było emocji. Niespiesznie poprawił binokle. I zdecydował się odpowiedzieć:

– Od czterdziestego drugiego roku pracuję w tej – rozejrzał się dookoła – kajucie.

Miał głos człowieka wykształconego, więc tym bardziej sprawiał wrażenie lekko – jak uznała Irka – nieprzystającego. Może tylko do tej stacji, a może do wszystkiego?

– Ten... wypadek, to wydarzenie miało miejsce w lipcu. Był już pan tu wtedy? – kontynuowała.

– Pracuję od lutego. Zatem kogo pani szuka?

– Osiemnastego lipca czterdziestego drugiego roku moja znajoma wpadła w łapankę na tej stacji.

– Być to i może. Przez ostatnie parę lat mieliśmy tu łapanki kilka razy dziennie, prawie codziennie.

– Tak, domyślam się – odrzekła ugodowo. – Zgubiła wówczas dziecko. Ośmioletniego chłopca, może ciut starszego. Czarny taki, zresztą co ja będę, powiem wprost: żydowskie dziecko. I to było widać.

Mężczyzna uniósł wysoko brwi, więc Irka już mniej pewnie dodała:

– Miał na imię Władzio. Nazwisko: Marchewka. I mały pieprzyk przy prawym oku – taki znak szczególny.

– Szanowna pani, tu wciąż ktoś się gubił. Niestety, nie pamiętam takiego wypadku, ale pracowałem i pracuję na zmianę z panią Dziunią Lerową. Może ona coś zapamiętała.

– Chłopca szukała potem dziewczyna, wysoka, dobrze zbudowana, z warkoczem, takim grubym i do połowy pleców. A może ktoś inny zauważył malca? Na stacji, w kolejce, w Podkowie?

– Wszystko to być może. Proponuję, by pani napisała ogłoszenie. Tu, na tej szybie powiesimy, a ja ze swej strony zobowiązuję się popytać.

– Jest pan niezwykle uczynny, będę zobowiązana. – Irka była rzeczywiście wdzięczna.

Ludzie w czasie wojny stali się obojętni i nieczuli. Nieraz to widziała w urzędach, rozmowach, na ulicy. Pan w binoklach okazał się życzliwy, a to było miodem na jej strapione serce. Poza tym budził respekt. Jak nauczyciel czy dziedzic. Miała ochotę dygnąć.

– Proszę, oto papier i niechże pani nie dziękuje – to normalne...

– Powinno być, ale nie jest. Myślę, że pan nie musi szukać siebie. Pan już jest i jest wspaniały. – Poniosło ją nieco.

– Żeby to było takie łatwe – mężczyzna w binoklach się uśmiechnął – proszę, oto jeszcze kopiowy ołówek. Niechże pani napisze wszystko o chłopcu i zdarzeniu, a ja tę kartkę przytwierdzę, wysoko, za szkłem. Każdy w Podkowie wcześniej czy później trafia na stację.

Irka dopiero wieczorem dotarła do domu, na Mokotowską. Była pełna nadziei, sama nie wiedziała czemu, ale czuła, że ten człowiek siedział tam właśnie po coś. Po to, by ona odnalazła Władzia? W jej sercu zaległa się nadzieja, właściwie bez sensu, wbrew woli, ale pojawiła się tam i tkwiła mocno.

Umówiła się, że wróci po informacje w czwartek, za trzy dni.

W ich pokoju Hela siedziała na krześle pod oknem i moczyła nogi w miednicy. W ręce trzymała jakąś przedwojenną powieść w twardej okładce.

– Co czytasz? I czemu moczysz nogi?

– Bola mnie.

– Od siedzenia w wagonie? – zdumiała się Irenka.

– Nie, trochę chodziłam po mieście. Mam nadzieję, że się nie gniewasz? Utargowałam dwadzieścia złotych. Był Franciszek, zamontował nam kozę, więc możemy grzać i gotować, już nam prymus niepotrzebny. Nabałaganił, sprzątnęłam i poszłam. Nie dałam rady całego dnia przesiedzieć, ale za to kupiłam jabłek na bazarku, buraki – pochwaliła się Hela – i powieść.

– A co to jest?

– *Nad dalekim, cichym fiordem*, wzięłam od takiej babiny, na straganie razem z jabłkami miała. Śliczne, powiadam ci, Irka, cudności. Już sobie nogi całkiem odmoczyłam, ale tak siedzę, bo oderwać się nie mogę.

– Co było droższe, jabłka czy książka? – zainteresowała się Irenka.

– Jabłka! – Hela się uśmiechnęła.

Miło było widzieć jej uśmiech.

Irka zerknęła na buty Helenki. Nie wyglądały dobrze. Zdarte były do cna.

– Trzeba ci buty kupić.

– No co ty tam, te jeszcze są całkiem dobre, żadnej dziury w nich nie zobaczysz. Tylko gwóźdź ciut mi się wysunął, stąd ta noga odgnieciona i skaleczona troszkę, bo szłam, no, jak na gwoździach... – zaśmiała się.

– Hela, daj spokój. Jutro pójdziemy poszukać porządných butków dla ciebie. Coś się na tandecie znajdzie. A jak się autorka nazywa, tej powieści?

– Ag... ot Gjems-Sel... mer – wydukała Hela. – Trudne jakieś to nazwisko.

– Czytam po tobie!

– Jak by inaczej! Ale chcesz iść te buty kupować, a miałaś jechać na Ziemię Zachodnie?

– Zmieniłam zdanie.

Irka sama nie rozumiała, jak to się stało. Postanowiła nie jechać. Co będzie, jak się pojawi ktoś z Podkowy i nie zastanie jej w domu? Ani nikogo? Nie. Nigdzie nie jedzie.

Powie Romkowi, a on niech robi z tym, co chce.

18 MARCA 1945, WARSZAWA

Cały dzień Irenka była podskórnice zdenerwowana, podminowana. Siedziała w tramwaju jak na rozżarzonych węglach. Zostawiła kasjerowi w Podkowie wszystkie swoje namiary, adres mieszkania i wagonu, z nadzieją, że ktoś, kto zna losy Władzia, pojawi się tu czy tu. Mimo to postanowiła sama zajrzeć do Podkowy za trzy dni, bo nie każdy przecież miał siły i ochotę biegać po cudzych mieszkaniach z informacjami.

Helenka wzięła sobie wolne i gdzieś powędrowała, miała kupić buty, a Irka tkwiła w tramwaju i bała się nawet pobiec na siusiu, bo mogła się minąć z kimś, kto przyniesie wieści. No po prostu dopadła ją choroba umysłowa. Był duży ruch, co chwilę jacyś klienci wpadali napić się herbaty albo ciepłej wody z sokiem na rozgrzewkę. Na życzenie smażyła jabłka w cieście i chleb na oleju. Ugotowała też barszczyk z dodatkiem cynamonu, dzięki piecykowi Café Irena się

rozwijała, no i wreszcie w środku było naprawdę ciepło. Irenka sama nie wiedziała, czy słusznie postępuje, inwestując w kawiarnię, skoro nie zamierzała długo jej prowadzić, ale jak się ta koza trafiła, dała Franiowi zarobić. Zawsze można wagon korzystnie odstąpić, gdy zaczniesz jeździć z Romkiem, jeśli Helenka nie da sobie rady z interesem. Ale może da sobie radę, miała taką nadzieję.

Romek... zasmuciła się, gdy o nim pomyślała.

Był zły, oj bardzo zły, kiedy powiedziała, że nie jedzie. Gniewał się strasznie, jak mówił, samemu to mniej bezpiecznie, bo niech się coś zepsuje, a poza tym można się zdrzemnąć, gdy drugie czuwa.

Ale w końcu znalazł się dobrze, chwilę pomarudził, a potem objął ją, przytulił i zaszeptał:

– Dobrze by tak pobyć razem przez parę dni... Iruś.

Ładnie powiedział i była to prawda. Irence brakowało ciepła, czułości, dotyku. Przez całą prawie wojnę jej znajomi nawiązywali szybkie romanse, przypadkowe zbliżenia były na porządku dziennym, przecież każdy dzień mógł być tym ostatnim, ale Irka, poza związkiem w czterdziestym trzecim roku, niezbyt fortunnym, w nikim się nie zakochała. Zajmowała się pracą, trzeba było się dobrze nakręcić, by utrzymać się na powierzchni, konspirowała, jeździła, poznawała mężczyzn, ale nie kochała. Była niczym zamrożona przez te kilka lat.

Tak, właśnie tak się czuła, myślała.

Zdarzali się różni tacy, nigdy jednak nie wynikało z tego nic poważnego. Teraz wojna dobiegała końca i czuła się... bezbronna. Przedtem pokazywała światu kolce, teraz miękkie brzuszki. Chciała życia, zwyczajnego, normalnego. Życia, nie życia. Należało jej się.

Romek, może to na niego czekała? Miała wyrzuty sumienia, jak jaka mamuśka, że go puszcza samego, tłumaczyła, cała wewnętrznie drżąc, że nie może jechać, bo jest szansa na odnalezienie Władzia.

Romek to przyjął, niemniej nie omieszkał jej wytknąć:

– Tyle czasu się wyczekałaś, więc tydzień ani jego, ani ciebie nie zbawi. Czego masz się dowiedzieć, to się dowiesz, tylko tydzień później. Sama wiesz, Irenko, że mogą być złe wieści.

– Wiem. Ale chcę tę sprawę rozwiązać, wojna się kończy i obecnie jest to dla mnie najważniejsze. Odnaleźć Władzia. Obiecałam jemu i sobie. Znajdę go czy nie znajdę, ale może się dowiem, jaki jest, był, jego los, i wtedy zamknę za sobą drzwi. Teraz tylko czekam. Zacznę inaczej żyć, inaczej to wszystko poustawiam. Muszę mieć w ręku wszystkie klocki, by podejmować decyzje.

Nerwowo kręciła się po wagonie, nie patrząc na Romka, który bacznie ją obserwował.

– Decyzje? Wyjechałabyś? Z Polski? Jeszcze można, granice nie są szczelne. Ja to rozważam.

Przełknęła ślinę i wzięła go za rękę.

– Ech, Romeczku, jestem wrośnięta w tę ziemię czy raczej w bruk warszawski. Nogami można fikać wszędzie, ale nie wiem. Nie po to tyle lat tu się biliśmy, by teraz stąd wiać, nie uważasz?

– Uważam, ale się rozglądam. Zostać? Uciec? Jestem zmęczony, a jeśli tu będzie tak jak w Sowietach, nie mam przed sobą przyszłości, wiedz to. Tutaj życie będzie trudne.

– Tam też. Zawsze jest, jak się zaczyna od zera. Może nie będzie tak źle, jesteśmy innym narodem niż Rosjanie, z nami nie dadzą sobie rady. Jeśli będzie Władzio, jeśli się znajdzie, zostanie. Od razu to mówię. Mam mieszkanie, fach, dziecka na tułaczkę nie wezmę. Ale jeśli go nie znajdę, może i wyjadę. Może z tobą, jeśli się zdecydujesz. Szmat życia nam ukradli.

– Złodzieje życia, to prawda. – Objął ją ponownie i pocałował we włosy. – Zostań, Irka, rozumiem, że chcesz być na miejscu, gdy nadejdą wieści. Trochę to patetyczne, ale, cóż, patos

nie jest zły. Ja też będę musiał pojechać do Lwowa, moich poszukać, wywiedzieć się. To niełatwe – pchać się pod prąd.

– Toż my od pięciu lat pchamy się pod prąd! – zaśmiała się Irenka. – Widzisz, wszyscyśmy teraz w pół drogi do wolności.

Zamyślił się na chwilę.

– By stać się wolnym, naprawdę wolnym, trzeba sobie sprawy poukładać. Inaczej budujemy na piasku. – Przytulił Irenkę do siebie. – Lecę. Wrócę mniej więcej za tydzień i od razu się u ciebie zamelduję. A potem pojedę do Lwowa, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy. Dbaj o siebie, dziewczynko.

– Dbaj o siebie, chłopaku! – odszepnęła mu. – Dla mnie dbaj.

– Będę, nie bój nic, ja teraz warszawiak, a my warszawiacy jesteśmy tacy...

– Pojedziesz sam?

– Nie, ugadam Jacentego, takiego kumpla, tylko on gorzałkowicz i jeszcze z tym muszę go pilnować. Trudny kompan.

– Pilnujcie się nawzajem.

– Buźka, Irka, i wracam do cię jako ptak wiosenny.

– Wracaj, będę czekała.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Irenka popłakała sobie. Czuła się winna, że Romka samego puszcza. Chciała, by to wszystko wreszcie się skończyło. Wojna trwała, drogi nie były bezpieczne. Normalne życie, a nie nerwy, od których ciągle bolał ją żołądek, tego potrzebowała. Mało romantycznie. Westchnęła i otarła oczy rękawem.

Weszli nowi klienci, para starszych ludzi, chyba małżeństwo, bo byli do siebie podobni. Zabrała się do smażenia placków. Popatrzyła na tych dwoje i się wzruszyła. Chciałaby, by za czterdzieści lat ktoś trzymał ją za rękę, tak jak ten mężczyzna tę kobietę.

Jestem miękka jak jajko za krótko gotowane, koniec z tym, podsumowała. W wagonie teraz było za ciepło, pachniało tak sobie, olej rzepakowy to nie francuska perfuma, Irka miała wrażenie, że rzepakiem od niej leci na kilometr. Od niej, a przecież ona tylko perfumy Guerlaina przed wojną uznawała. Ach.

Koniec, koniec głupich myśli.

Wrzuciła placki na talerz i posypała cukrem.

18 MARCA 1945, WARSZAWA

Hela była zła. Na siebie. Chodziła jak ta lebiega od domu do domu i nogi jej odpadały. Warszawa to nie Myszkowice i przejść ją nie będzie łatwo. Pan Sergiusz miał zamożną ciotkę, to do niej właśnie wysłał ją, Helenkę, z Wojtkowic, wtedy, po tym pobiciu. Ciotka zgodziła się ją przyjąć, ale bez dziecka. Postawiła ten warunek i wydawało się, że tak będzie lepiej. Z małym dzieckiem nie dałaby rady pracować, a Jarzębowscy zaproponowali, że się zaopiekują Krzysiem, póki ona się nie urządzi. Hela widziała, że lubili małego, nawet często myślała – jak swego lubią. Wzdrygnęła się na to wspomnienie. A potem odgoniła złe myśli, siebie za nie ganiąc.

Zamieszkała wtedy na Wareckiej, w eleganckim mieszkaniu, nietkniętym specjalnie wojną, w służbówce oczywiście, ale nawet ta służbówka była stosunkowo duża i wygodna. Prowadziła dom za mieszkanie, a pani Rzczycka, ciotka pana Sergiusza, załatwiła jej jeszcze sprzątanie

u prezesowej Kostyrko na Mokotowskiej, w tym samym domu, w którym teraz mieszkali z Irką i Zośką. Prezesowa dawała jej zarobić parę groszy na najpotrzebniejsze rzeczy. To właśnie tam, na klatce schodowej, idąc do roboty, po raz pierwszy spotkała Zosię, na schodach, splakaną. Prezesowa akurat była na wywczasach w Konstancinie i Hela tylko pilnowała mieszkania, podlewała paprotki, karmiła kanarka, takie tam głupstewka. Bardzo się bała, ale Zośkę przygarnęła i na razie schowała u prezesowej. Przynosiła jedzenie, trochę podbierała pani Rzeczyckiej, a trochę korzystała ze spiżarni właścicielki mieszkania, która miała ją wcale nieźle zaopatrzoną. Po kilku bezowocnych wizytach, gdy już straciły obie nadzieję, zastała na Koszykowej Lolę, znajomą Zośki. No i ta Lola dała pieniądze i trochę rzeczy do sprzedania.

Nastała się wtedy Hela na bazarku, ale sprzedała oficerki ojca Zosi, zegarek i Zosine fokowe dziecięce futerko. Gdy zaczęło się robić źle, wszystkie co cenniejsze rzeczy Henryk Szafir dał Mańczakom na przechowanie i Gienek Mańczak sukcesywnie je sprzedawał, a potem oddawał im pieniądze. Podobnie zrobiła teraz Hela; sprzedała wszystko po kolei i zabrała się, zgodnie ze wskazówkami Zośki, do szukania odpowiedniego pokoju do wynajęcia. Samodzielnego, z łatwym wejściem i wyjściem. W końcu zresztą to Lola Mańczakowa taki pokój znalazła – na Koszykowej, w oficynie. Okno miał na ulicę, a do kamienicy prowadziły dwa wejścia. Hela natychmiast go wynajęła i zamieszkały razem, tylko Zośka, jak weszła, tak nie wychodziła na krok, nikt o niej nie miał prawa wiedzieć.

Siedziała niczym mysz w dziurze, a Hela przynosiła zakupy, książki i wносиła wiadra do wygodki. Dalej sprzątała, zarówno u prezesowej, jak i u ciotki pana Sergiusza. Tego typu układ nie pozwalał jej wyjeżdżać do Wojtkowic, ale pisała listy i dostawała odpowiedzi, że Krzys duży, rośnie, że wszystko dobrze, żeby się nie martwiła. A w jednym liście to nawet zdjęcie było Krzysiułka, takie poważne. Stał sobie na nim przy słupku u fotografa i patrzył wesoło. Jakby na nią. Od razu było widać, że dzieciakowi dobrze, skoro taki uśmiechnięty. Do Helmuta podobny. Dwie krople wody.

Tak przypominając sobie przeszłość, chodziła Hela od drzwi do drzwi, szukając Jarzębowski, którzy przestali pisać tuż przed powstaniem. Teraz wiedziała, że wyjechali z Wojtkowic, pewnie do Warszawy, skoro zobaczyła tu panią Ewę, ale może i gdzie indziej los ich rzucił. Wiadomo, wojna. Do ciotki pana Sergiusza poszła drugiego dnia po przyjeździe, ale kamienicy nie było, wysadzono ją w powietrze i została z niej tylko kupa kamieni. Dowiedziała się też, że panią Rzeczycką w czasie powstania rozstrzelano wraz z pozostałymi mieszkańcami domu przy Wareckiej.

A potem zobaczyła Jarzębowską. Żyła. Da Bóg, że Krzys też żyje, cały i zdrow. Ale znów wróciło to, co ją najbardziej ostatnio dręczyło – czemu pani Ewa uciekła? Wtedy, tam, na ulicy? Helenka miała przecucie złego, ale postanowiła się nie dawać, może to tylko przypadek, wszystko możliwe. Znajdzie Ewę i Sergiusza, a przede wszystkim Krzysia, na pewno znajdzie. Choćby nogi jej miały odpaść. Z fotografią Krzysia, ukrytą w torebce, szukała go, z uporem i metodycznie.

Gdy zmęczona po całodziennym wędrowaniu od domu do domu wróciła wreszcie na Mokotowską i weszła w bramę, przeleciał koło niej jak wicher czarny, niewielki psiak. Smygnął pod nogami i poleciał dalej, jakby go kto wystraszył. Popatrzyła za nim zdziwiona, co też go spłoszyło, i weszła dalej, w ciemny tunel prowadzący do drugiej klatki. Gdy mijała dozorcówkę, w okienku z nagła pojawiła się twarz Franiowej.

– Panno Helenko, ktoś pani szukał.

Aż podskoczyła z przestachu i zdziwienia. Otworzyła szeroko oczy i zastygła w miejscu,

a serce jej zaczęło łomotać jak oszalałe.

– Kto? – Tyle dała radę wydusić ze ściśniętego gardła.

– A taki jeden, niewysoki.

– Stary czy młody? – wyrzuciła z siebie zaaferowana. – Mówił coś?

Kto to mógł być? Pytanie wprawilo ją w podniecenie. Może to... aż zadrżała z nadziei, co jest matką głupich.

Franiowa wychyliła się jeszcze bardziej z okienka, jej twarz, porysowana zmarszczkami jak rozmazanymi na szybie smugami, wyrażała niezdecydowanie.

– Nic nie mówił, tylko coś burknął pod nosem, że szczęścia nie ma. To ja go spytała, czy co przekazać, ale zmył się, kręcąc głową.

– A jak wyglądał?

– No taki trochę nijaki, porządnie ubrany, trochę wyższy od panny Heli, ale niewysoki.

Sergiusz, pan Sergiusz, przebiegło Helce przez głowę i aż podskoczyła. Skąd wiedział, że ona tu? Jak ją znalazł?

– Nic nie powiedział? Mógł choćby zostawić adres, migiem bym poleciała, a tak...

– Ano nic. Poszedł jak niepyszny. A kto mógł być? Jaki kawaler może panny Heli? – zainteresowała się Franiowa, bo popłocić lubiła.

– No, ja nie wiem, tak tylko się domyślam. Nie kawaler. A jak on o mnie pytał?

– Czy tu panna Janikowska może mieszka.

To na pewno pan Sergiusz, upewniła się Hela i grzecznie podziękowała dozorczyńni chętniej do dalszej gawędy, ale ją gnało do mieszkania, by w spokoju sobie sprawę przemyśleć.

Otworzyła drzwi i już w korytarzu usłyszała gwar i hałas dobiegający z kuchni.

Odkąd zabrali tego młodego lokatora, w domu zrobiło się dużo milej. Wszyscy wieczorami gadali i wódeczkę pociągali.

Hela nie, jakoś jej nie smakowała. Jak zwykle Głaza popisywał się śpiewem i gdy zbliżyła się do drzwi kuchennych, usłyszała jego tubalny głos z kresowym zaśpiewem.

Zatrzymała się na chwilę, bo melodię bardzo lubiła. *Serce w plecaku* – takie to było ładne, że aż ją w gardle cosik dusiło, gdy słuchała.

Słowa były jednak zupełnie inne. Zaczęła słuchać:

Zapiszczają gównu w trawie i tak myśli – leżę równo.

Aż się raptem dowiedziało, że dziś ważne każde gównu.

Tę piosenkę, tę jedyną, śpiewam dla pana Osóbki,

a ten refren od rekruta dla pana śpiewam Bieruta.¹⁸

Zdziwiona, uchyliła drzwi i wszyscy siedzący przy stole na nią spojrzeli. Nie słyszeli, że weszła. Przy stole siedział Wojtek z Kachą i Zalewski z żoną. To towarzystwo, zwykle niedobrane i skłócone, teraz, przy półlitrowce bimbru i kiełbasie pokrojonej na kawałki, ułożonej na najlepszej Irczynej porcelanie (co Helka od razu zauważyła), bawiło się w najlepsze.

– O! Panna Hela, panna Hela, pani siada z nami! – rzucił pijackim tonem Głaza, odsuwając jej wolną ręką krzesło. Drugą miał zajętą, obejmował bowiem czule Kaśkę. – Się panna z nami napije. Już naliwam.

– Dziękuję, ale ja niepijąca, przecie pan wie, panie Wojteczku. A nie boita się tak wyśpiewywać? Niechby kto usłyszał, to klops – zatroskała się Helka, która już swoje wiedziała.

– A kto usłyszy? Tu mury grube. Nowaki, te obok, porządne ludzie są. A odkąd ten młody chojrak znikł, to życie rajem. Kieliszeczek jeden to się panno Helu pani z nami napije, bez tego być nie może.

Nachylił się, nalał bimbrow do stojącego, już przygotowanego wolnego kieliszka.

Zalewski podparł dłońmi głowę i wyglądało na to, że inaczej by jej nie utrzymał w pionie, taki był już pijaniuski. Jego żona zaś, z rozmazaną pomadką na ustach, podniosła kieliszek w toaście:

– Za zdrowie tego Biruta czy jak mu tam. Trzeba z nowym iść, panie Wojtusi.

Kieliszek chwiał jej się w ręce.

Helenka poczuła lekką odrazę.

– Za tako łachudre nie pije – zaprotestował Wojciech. – Za powrót w ojczyznę moją, do Lwowa mego, to się napije.

I łyknął, a wszyscy, łącznie z Helą, która przysiadła na krzeselku, wypili swój bimbrow do dna.

– Tak, Bierut łachudra – przybasował Zalewski, patrząc wyzywająco na żonę. Ta chciała coś odpyskować, ale Kaśka zapiszcziała:

– Zaśpiewaj jeszcze co, Wojtuś.

– A zaśpiewam, czemu by ni.

Nie rzucim żłobu, skąd nasz ród,
Rozkoszne nam pomyje,
My Pepeeru wierny ród,
Potężne mamy ryje.
My chcemy Polski aż po Bug,
Tak nam dopomóż wróg.
Od fal Bałtyku aż do Tatr,
Aż do tatrzańskich turni
Gnie przed Stalinem karki swe
Potężny zastęp durni.

Skończył, przygarbił się i wycharczał:

– Nienawidzę tej bolszewickiej zarazy.

Nie czekając na nikogo, napełnił kolejny kieliszek tylko sobie i wypił jednym haustem.

Zalewski przyglądał mu się nierozumiejącym wzrokiem, a Kaśka tylko pokiwała głową ponuro, że się niby zgadza. Na moment zapadła cisza i wtedy nagle rozległo się dudnienie do drzwi. Nie pukanie. Ktoś walił. Łomotał.

Wszyscy zamarli. Popatrzyli na siebie przerażeni i od razu wytrzeźwieli. Zrobił się ruch, zaczęli uciekać. Kaśka z Głazą do służbówki, Zalewscy, objając się o siebie w drzwiach, pomknęli do jadalni. Na środku kuchni została tylko Hela, nie wiedząc, co zrobić. W końcu poszła powoli w stronę drzwi wejściowych, w które ktoś uporczywie uderzał pięścią.

Otworzyła. W progu chwiał się mężczyzna w sowieckim mundurze. Kompletnie pijany. Litery NKGB miał na czerwonym otoku czapki. Helenka zbladła.

– Taak?

– Czy tu mieszka Zosia Szafirówna? – zapytał. Po polsku.

Otworzyła szeroko oczy i niepewnie przygryzła wargę. Milczała.

Mężczyzna bujnął się do przodu, złapał pion i jakby ciut oprzytomniał.

– To znaczy: Zosia Nowak.
Helenka odetchnęła.
– Nie, znaczy tak, ale Zosi nie ma, wyjechała.
– A kiedy wróci?
– Nie wiem, za tydzień może. Teraz to nigdy nie wiadomo.
– A to prawda. Nic nie wiadomo. – Pokiwał pijacko głową. – To ja pójde, proszę powiedzieć, że był stryj.
– Stryj – powtórzyła Hela. – Tak, wiem. Do widzenia.
Kiedy zamknęła drzwi na wszystkie zamki, pomyślała, że jest zmęczona. Bardzo zmęczona.

20 MARCA 1945, BOTTSCHOW

– Panie doktorze, mamy problem z Niemką.
Józio był zatroskany. Pojawił się nagle obok Chodakowskiego, który właśnie wyszedł z domu i energicznie zmierzał w kierunku samochodu. Już sam wyraz twarzy kierowcy zatrzymał go w miejscu.
– Co się dzieje?
– Pan ze mną pójdzie.
Doktor uniósł pytająco brwi i spojrzał ze zdziwieniem na Mazurkiewicza.
Józio przestępował z nogi na nogę, kręcąc się w kółko, jakby chciał udeptać rozjeżdżony podjazd.
– Gdzie?
– Byle gdzie, żeby pogadać.
Jaromir rozejrzał się. Przy samochodzie stali Balcerzak z Gałązką, więc istotnie tam gadać nie można było. Z domu właśnie wychodził profesor Migoń z Zośką. Miło wyglądali, przekomarzali się i śmiali. Pobyt tu, mimo ciężkiej pracy, trochę przypomina wakacje, pomyślał.
Skoro powrót był też odcięty, skierował się w stronę jeziora, a Józio podążył za nim.
Profesor z Zosią odprowadzili ich nieco zdziwionym wzrokiem, gdyż Jaromir przed chwilą gonił ich, by się szybciej zbierali, ale nie komentowali, tylko poszli wolno w stronę ciężarówki, przeczuwając, że coś się wydarzyło i nie należy przeszkadzać.
Chodakowski przysiadł na łódce, koło niego usadowił się kierowca.
Zapalili.
– To co się dzieje? Nie bardzo rozumiem? Co z Niemką? Którą?
– Z Niemką też, ale, panie doktorze, to Gałązka, musi pan z nim coś zrobić.
– Z Gałązką? Czy z Niemką?
– On co noc pcha się do tej naszej Niemki, wczoraj krzyki słyszałem.
– Przecież ona śpi z Anną Ludwiką.
– On ma to w poważaniu. Wczoraj dobrze po północy usłyszałem szarpaninę. Krzyczała: *Hilfe*. Pchał się do nich. Gdy wyszedłem, gdzieś zniknął. Ona też. Niechże pan, doktorze, go uspokoi, bo kobiecina ledwo chodzi, wiadomo dlaczego, no i to dziecko. Dziewczynka, wszystko na jej oczach, toż ona rozumie. Pan wiesz.
Doktor Chodakowski zaciągnął się mocniej.
– Ażeż skurwysyn!

– Święte słowa, panie doktorze, święte słowa. Skurwysyn jak stąd do Krymu.
Kiedy tylko dojechali do pałacu w Goerbitsch, Chodakowski puścił wszystkich przodem, a Gałązkę zatrzymał przy aucie.

– Wczoraj w nocy pan się do tej Niemki zabierał. To się musi skończyć.
Gałązka podrapał się po czole, zsunąwszy nieco czapkę. Nie wyglądał ani na skonfundowanego, ani skruszonego. Nic z tych rzeczy.

– Niemka to moja prywatna sprawa, nic panu doktorowi do niej.
– Dużo mi do niej. Jestem tutaj pana przełożonym, oddano mi was, sierżancie, pod rozkazy i takie rzeczy pod moim okiem dziać się nie będą.

– Ja u bauera robił trzy lata za darmochę i wtedy naszych trzech chłopaków powiesili, bo się z babami tamocznymi zadali. To ja teraz będę robił, co chcę. Za nich. Takie moje wilcze, wojenne prawo.

Już nie był przymilnym misiowatym Gałązką Bogdanem z Ujeścia. Nie.
Stał groźny i nasrożony, aż Chodakowski zastanowił się, czy da radę go opanować.

– Ta kobita swoje przeszła.
– Nic jej nie ubędzie, jak mi da.
Doktor się zachnął.

– Ale tobie może ubędzie! – Podniósł głos. – Ilu ją miało, jak myślisz? A ile bab miało przedtem? Jak ona nie ma jakiej francy, to byłby cud. Po to wojnę przeżyłeś, by do domu z kiłą wrócić?

– Z kiłą? – zająknął się Gałązka.
– A z kiłą, ja nawet widzę u niej symptomy – zmyślał doktor. – Taka blada jest, zauważ, wygląda na chorą. Oczy podbite, ręce jej drżą. Ma krosty. A czy wy, Gałązka, wiecie, że od kiły to nos odpada? A wiecie, że dzieci się rodzą chore? Ty masz dzieci?

– Nie, nie mam.
– Nie masz, ale może chcesz kiedyś mieć?
– No tak, jak wrócę do baby mojej, to jakże inaczej. Już nam czas.
– I urodzi się takie bez nosa albo bez ręki, albo z nosem siodełkowym, widziałeś pewnie taki nos? Tego chcesz?

Gałązka miał panikę w oczach, widać zaczął myśleć. Głową.

– No więc żebyście mi tu, Gałązka, żadnych takich nie próbowali. Bo ja cię leczyć nie będę, zresztą nie mam czym. I nie wstyd ci dziecka, Anny Ludwiki?

– Nie, no co tam, mała Niemra. Darła się, to jej dałem po łbie. A matka sama wtedy wyszła, do stajni żeśmy...

– Nie interesuje mnie. To ma być ostatni raz. Nie waż mi się jej tknąć, bo cię wyślę do komendanta w Poznaniu z taką opinią, że zobaczysz dom za kilka lat. Jeśli przedtem ci ten twój tam – dźgnął palcem w powietrzu, ale wymierzył dokładnie – nie odpadnie.

W pałacu kilka Niemek, klęcząc na deskach położonych na gnojówce, kopało w odchodach zalegających całą powierzchnię pomieszczenia. Nie było to zajęcie przyjemne. Kobiety rozumiały, że trzeba ostrożnie, i łopatkami do tortów, dużymi łyżkami i widelcami delikatnie wygrzebywały z dolnych warstw zbitych papierzysek coraz to nowe skarby. Znalazły już zbiory tajnej okupacyjnej prasy, przechowywane w bibliotece uniwersyteckiej przez doktora Gutry'ego i niefortunnie zagarnięte przez Niemców wraz z resztą księgozbioru. W drugim końcu, tam, skąd

Chodakowski wyciągnął list hetmana, odkryły prawie całe archiwum rodziny Zamoyskich w całkiem przyzwoitym (zważywszy na sytuację) stanie. Co chwilę objawiały się nowe, pozółkłe, czasem podarte pergaminy z pieczęciami i bez. Niekiedy te zagubione pieczęcie udawało się odszukać w śmierdzącej brei. Kobieciny pracowały porządnie, co tu kryć, i Jaromir był rad, że je zatrudnił. Żaden żołnierz by mu tej roboty tak nie wykonał.

Prace archeologiczne trwały przez cały poranek. Profesor Migoń siedział w sąsiednim pokoju i katalogował zdobycz. Zosia zaś dostawała pierwsza wykopane czy raczej wydłubane książki i dokumenty, po czym delikatnie, z pietyzmem oczyszczała je z brudu i fekaliów. Doktor Chodakowski natomiast segregował już wysuszone znaleziska, wiązał w pakiety po cztery sztuki i układał w równe stosy przeznaczone do przeniesienia. Wszyscy w pałacu pracowali jak mrówki, nawet Józio miał nowe zatrudnienie: przygotowywał w pałacowej kuchni obiad, zdecydowali się bowiem gotować dla siebie i pracownic. Pomagał mu bardzo sprawnie kapral Balcerzak, z którym się dogadali, że ich prababki z jednej wsi pod Warką pochodziły.

Gałązka, wieczne zmartwienie, gdzieś przepadł. Od czasu tamtej porannej rozmowy lubił sobie zniknąć. Chodakowski miał pewien problem z tymi jego nieobecnościami. Zdawał sobie teraz jasno sprawę, że Niemki zgłosiły się do pracy nie tylko dla nikłego w końcu zarobku, ale też z nadzieją na pewną ochronę. Cała sprawa z Gałązką była żenująca. Wojna, powstanie, wszystko straszne, ale i to, co zobaczył tutaj, w Bottschow, nie było lepsze. Okrutne i podłe. Gwałty i mordy. Bezprawie. Sowietci poczynali sobie jak dzicz. Doktor nie chciał, by ktoś z jego zespołu brał w tym udział. Pakował książki i dumał, co zrobić. Chwilami miał ochotę zastrzelić Gałązkę, do tego stopnia bulgotała i narastała w nim złość. Szczególnie na myśl o Annie Ludwice.

Zastanawiał się, czy po prostu nie odesłać tego łobuza do Poznania, samego, niech sobie radzi. Ale potem pomyślał, że zapewne w czasie drogi powrotnej będzie sobie radził podobnie jak i tu. Westchnął. Pogrążony w zadumie, nie usłyszał wjeżdżającego na podjazd samochodu i dopiero głośny okrzyk za plecami oderwał go od roboty.

Stał przed nim oficer. Sowiecki. Z NKGB. Chodakowski wiedział, co to. Wzdrygnął się.

– *Czto ty diełajesz? Ty mienia ponimajesz?*

– Tak, znam rosyjski.

Doktor podniósł się z krzesła i stanął z Rosjaninem twarzą w twarz. Zosia i Migoń przerwali pracę, a Niemki po prostu rozplynęły się w powietrzu. Żadnej nie było w zasięgu wzroku. Oficer wykonał płynny ruch ręką w kierunku profesora i Zośki i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Won...

Nie dyskutowali. Odłożyli, jedno pióro, drugie ścierkę, i wyszli, patrząc z niepokojem na Chodakowskiego.

– Wy profesor?

– Doktor.

– I z Berlina?

– Niet. Ja z Warszawy.

– Należysz do NSDAP.

– Jestem Polakiem. Nie, nie należę.

– Nazwisko.

– Chodakowski.

– Imię. Miejsce urodzenia.

– Jaromir. Warszawa.

– Wy z Berlina?

– Nie. Z Warszawy.

– Wróciłeś tu z Berlina, by odzyskać książki.

– Nie, przyjechałem z Warszawy. Mam dokumenty, mogę okazać.

– Na to też przyjdzie czas. Jak się nazywacie? *Imia? Gdzie wy rodilis*¹⁹?

I tak w kółko. W końcu oficer skończył. Wreszcie przejrzał też papiery. Skwitował je krótkim:

– *No, uwidim, a tiepier' rabotaj*²⁰.

I poszedł sobie, zabierając wszystkie dokumenty.

Jaromir Chodakowski odetchnął z ulgą i wyciągnął z kieszeni papierosa. Zapalił, zaciągnął się i zabrał się do pakowania kolejnego pakietu książek, gdy znów pojawił się oficer z inskrypcją NKGB na otoku czapki. Inny oficer.

I zaczęło się od początku.

– Wy skąd?

– Z Warszawy.

Jak się nazywacie. Wy z Berlina. My wiemy. I w kółko Macieju. Jaromirowi zaczęło się kręcić w głowie, był niedotleniony, miał duszności. Zastanawiał się, w którym momencie popełni błąd.

Bo że w końcu popełni, był pewien.

Po dobrej godzinie oficer zakończył przesłuchanie i poszedł, zostawiając go samego z przykazaniem, by pracował. Nie pokazał się ani profesor Migoń, ani Zośka i Chodakowski zastanawiał się, czy ich też Sowietci tak maglują. Postanowił poszukać obojga, mocno zaniepokojony, co się z nimi dzieje. Wyszedł z pomieszczenia. Rozejrzał się po holu, nikogo nie było, poszedł więc dalej, w głąb pałacu, kiedy dogonił go kolejny, całkiem nowy oficer i zawrócił do pokoju. Zabawa zaczęła się od początku.

Temu przesłuchanie zajęło zaledwie kwadrans.

Po sakramentalnym już: „No cóż, pracuj”, tamten się nie oddalił, tylko sięgnął po książki.

Chodakowski w duchu zaklął. To, co enkagebista trzymał w ręku, było siedemnastowiecznym manuskrytem i na bibułkę średnio się nadawało, natomiast wartość miało – właściwie nie miało wartości. Było po prostu bezcenne. Już postanowił zaryzykować i zaprotestować, jednak dokument wrócił na swoje miejsce, a wojskowy dalej przeglądał kolejne pozycje.

Poczuł widać jego wzrok, odwrócił się i zareagował jak jego poprzednicy:

– *No, rabotaj!*

Doktor zaczął pakować kolejny pakiet, gdy usłyszał charakterystyczny dźwięk dartej książki. Podskoczył i nie dał rady się opanować.

Wydarł się, cały zjeżony:

– *Wy warwar*²¹!!!

Oficer wyszarpnął pistolet.

– Honor radzieckiego żołnierza znieważyleś, polaczku – wysyczał i odbezpieczył broń.

Chodakowski cofnął się o krok, pożałował swoich słów.

Zginę jak idiota, pomyślał i zamiast się cofnąć, ruszył do przodu.

– No strzelaj, strzelaj, długo nie pożyjesz.

Oficer się zawahał, nieco opuścił broń, na moment, ale znowu ją podniósł. A Jaromir, patrząc mu bezczelnie w oczy, powtórzył:

– Strzelaj, długo nie pożyjesz.

Pod niskim czołem mężczyzny wyraźnie coś się tliło, obracał w głowie usłyszane słowa, widać było, że usiłuje dociec ich sensu, ale w końcu się poddał i z bronią w ręku wyskoczył z pokoju,

zostawiając Jaromira w stanie najwyższego poruszenia.

Zagrał va banque, ale jak to się skończy, nie wiedział. Mogli go za chwilę rozwalić.

Usiadł i zaczął pakować książki. Z uporem maniaka. To pozwalało zebrać myśli. Czego od niego chcą? Za kogo go biorą? A może chcą dlaczegoś tam brać go za kogoś tam?

Znów otworzyły się drzwi i wszedł kolejny wojskowy, tym razem grubsiutki, okrągłutki, w randze sierżanta.

Uśmiechnął się miło, przywitał, rozejrzał, popatrzył i z miną: „Szykuję sympatyczną niespodziankę” – zagaił.

Po polsku.

– Jak pan z Warszawy, to my krajanie. Bo ja też z Warszawy.

Chodakowski nie wiedział, czy da radę przybrać odpowiedni wyraz twarzy. Wesoły. Przyjazny. Raz, dwa, trzy, jest. Uśmiechnął się.

– Pan Polak zatem?

– No, ja był Polak. Teraz zrobił się Sowiec. Powiedz mi pan, ale tak rzetelnie: Co pan tu robisz?

– Książki zabieram.

– Panie, wojna się kończy i uczone ludzie siedzą w domu. Mądre ludzie.

– Odnależliśmy tu książki wywiezione przez Niemców z biblioteki uniwersyteckiej w Warszawie. Jestem jej dyrektorem. Od przedwojnia.

– Pan mi powiedz prawdę. Pod hajerem. Po co Niemcom wywozić było książki, skoro oni mogli je od razu w Warszawie puścić z dymem. No?

– Wywieźli, bo to naród metodyczny. Postanowili, to wywieźli, może im, żeby się o Polakach uczyć, były potrzebne?

– Tu pan trafiłeś w sedno. Takie Niemce są. Dokładne i gospodarne, powiem ja tym ruskim, to mnie uwierzą. – Pokiwał głową z pełnym, jak się zdawało, przekonaniem i zmienił temat.

– A pan nie wiesz co, bo u mnie na Gęsiej siostra była, co poszła za cholewkarza. On miał dobry fach, to był taki fachura, że drugiego takiego pan nie znajdziesz, to może one przeżyli, jak pan uważasz, panie doktor? Troje dzieci mieli. Ale duże już były, to z takimi dziećmi łatwiej się uratować. Niemcy przecież gospodarne, takiego fachury jak Abram to by chyba nie zabili.

Chodakowski się zasmucił, niewielkie szanse na przeżycie miał cholewkarz z Gęsiej. Aż tak gospodarni ci Niemcy nie byli. Byli gospodarni... inaczej.

Powiedział jednak:

– Fachowców Niemcy szanowali. Może się uratował ten wasz szwagier. Ale ja nic o tym nie wiem. Duże miasto, sam pan wiesz.

Sierżant popatrzył na niego okrągłymi oczami.

– Dzięki za dobre słowo. Nu, ja wiem, że oni nie przeżyli, ale zawsze jakaś nadzieja się tłucze. Tak każdego zapytuję. Idę, powiem tym moim oficerom. Pan się nie martw, ja im wytłomaczę.

Kiedy drzwi za nim trzasnęły, Jaromir Chodakowski otarł pot z czoła. Czuł, że przydałaby mu się kąpiel, spociał się jak mysz. Szkoda, że to jezioro do niczego się nie nadaje, westchnął.

Podszedł do okna. Widok nieśmiałej zieleni drzewek, rozkwitających gdzieś w trawie krokusów, żółtych, niebieskich i białych, pozwolił mu złapać dystans.

Może mały sierżancik zadziała. Gdzie Migoń i Zosia? Znów podszedł do drzwi, gdy te zniecka tuż przed nim się otworzyły i w pokoju pojawił się kolejny oficer, tym razem w randze pułkownika.

Zaczął od razu zasadniczo:

– Ty się na nas nie gniewaj, profesor, my dostali ten pałac, on nam potrzebny. Nikt nam nie skazał, że ty tu z tymi twoimi knigami. Zrobimy tak: podzielimy go. Ty do mojej części nie wejdiesz, bo jak nos pokażesz, to cię zastrzelimy, ale ja tu będę chodził, bo mnie wolno. Taki zawód. Dla mnie wojna trwa.

Po wygłoszeniu tego oświadczenia zabrał doktora na spacer po pałacu, by sprawdzić, czy jeszcze gdzieś nie ma książek. Już kończyli przechadzkę, gawędząc niespiesznie o tym i owym, gdy pojawił się oficer, nieznanemu jeszcze, o dziwo, Chodakowskiemu, odciągnął pułkownika na bok i poszeptali, zerkając na Jaromira, któremu, co tu kryć, dreszcze przebiegały po plecach.

– Chodź ze mną – zarządził, jak się zdawało, dowódca tej grupy gości i poprowadził Jaromira do piwnic.

Co tego ostatniego jednak nieco wystraszyło. Szli krętymi korytarzami, mijali obszerne prawie sale, a także niewielkie pomieszczenia, na koniec weszli do dużej piwnicznej izby z krzyżowozębrowymi sklepieniami na gurtach. Stare, pomyślał Chodakowski, ten pałac musiał być postawiony na fundamentach średniowiecznych. Pułkownik nie dał mu zbyt długo się przyglądać. Wskazał w róg pomieszczenia, na ziemię, i zapytał:

– To twoje?

Chodakowski opuścił wzrok i zaniemówił. Pod jego stopami leżała teczka. A raczej teka, safianowa. Ze złożonymi literami SAR na wierzchu.

I wokoło pełno plansz. Ryciny. Z Gabinetu Rycin UW?

– Moje! SAR! Stanislaus August Rex. Czyli król nasz ostatni, co w czasach, gdy naszym krajem twój kraj podzielił się z Prusami i Austrią, wydawał pieniądze nie na armaty, ale na książki, obrazy i ryciny. Wydał wszystko i umarł na łaskawym chlebie waszej carycy Katarzyny.

– O? *Ona jewo prigłasiła*²²?

– Można to tak określić. Ty też pewnie czasem tak zapraszasz, że ci trudno odmówić?

– *Bywajet*. – Pułkownik uśmiechnął się życzliwie. – *No ładno*, stare dzieje. Teraz chodźmy, moi żołnierze przeniosą ci te papiery.

Wyszli przed pałac, gdzie stało już dwóch żołdaków z drewnianym wałkiem, na który nakręcony był drut kolczasty. Na znak dowódcy zaczęli swoją robotę od holu. Wbili sprawnie haki w ściany i pociągnęli drut przez cały parter pałacu, potem podobnie podzielili piętro i ogród.

Na dwie równe części.

Pułkownik popatrzył z ukontentowaniem na dzieło swoich ludzi i uśmiechnął się szeroko do zadziwionego Chodakowskiego:

– Teraz my sąsiady.

– Tak, o drut.

– Ot, żartowniś. Wojna nie odebrała ci ochoty do żartów?

– Wojna mi powiedziała, kiedy byłem w Auschwitz, że człeka od zwierzęcia można odróżnić po uśmiechu.

Pułkownik zerknął nań bystro spod oka.

– Masz rację. Troszkę masz. Po uśmiechu można też poznać prawdziwego wroga od przypadkowego. Ten prawdziwy chce pozbawić zwycięzcę triumfu, chce być mocniejszy. Jakby to coś wtedy znaczyło.

25 MARCA 1945, BOTTSCHOW

Zosia trochę się bała. Stała przy oknie i patrzyła na przesuwających się przed jej oczyma Rosjan. W parku i pałacu zaroilo się od czerwonoarmistów, którzy się snuli po pokojach, nagle pojawiali na korytarzach, wyrastali jak spod ziemi na schodach i strychu. Gromadzili się w grupkach na dziedzińcu i siusiali na posągi, pluli na ziemię i czasem upijali do nieprzytomności. Żołnierze ci mieli twarze kamienne jak z epoki neolitu. Grubo ciosani, ospowaci, ciężcy, zagadywali, ale w oczach nie mieli uśmiechu, tylko drapieżność. Niemki zaczęły znikać, jedna po drugiej. Rezygnowały, bo tu już nie było ani spokojnie, ani bezpiecznie. Szczęśliwie większość roboty została wykonana. Pracowało jeszcze tylko kilka staruch, na które, jak Zosia sądziła, nikt by się nie skusił. O sobie jakoś się nie bała. Raz ledwie się wyrwała z łap podpitego krasnoarmiejca, ale kateryczny ton, podsłuchany u doktora, działał i osadzał żołdaków w miejscu. Umieli ślepo służyć władzy, skądkolwiek pochodziła.

Chodakowski chciał, by została w domu, w Bottschow, ale przecież tam też nie było bezpiecznie. Tu przynajmniej chronił ją żołnierski strach przed dowództwem. Gospodyni z Anną Ludwiką ukrywały się po całych dniach. Pokazywały się i znikwały. Gałązka też ginęła, tylko Józio i Balcerzak razem gotowali i gadali, zaprzyjaźnili się też z sierżantem Kirsteinem, zagubionym w Sowietach warszawiakiem.

Po południu wracała samotnie rozjechaną wiejską uliczką z dużym bochnem chleba, załatwionym w miejscowej piekarni. Przed nią truchtała samotnie malutka staruszka z palemką w dłoni. Po chwili w bocznej uliczce ukazały się jeszcze dwie kolejne, z powagą podążające do kościoła. Tradycja przede wszystkim.

Dziś Niedziela Palmowa, uświadomiła sobie znienacka. Nie obchodziła Wielkanocy, ale zachciało jej się świąt i domu.

W Warszawie, z Irką i Helenką. Tęskniła.

[15](#) United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Administracja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy – międzynarodowa organizacja utworzona w 1943 roku, której rola polegała na niesieniu pomocy ludności w krajach zniszczonych podczas II wojny światowej.

[16](#) Dzieci (ros.).

[17](#) Żegnaj, mój przyjacielu (ros.).

[18](#) Autentyczne piosenki z tamtych lat, przytoczone przez Franciszka Starowieyskiego.

[19](#) Imię, miejsce urodzenia (ros.).

[20](#) No, zobaczymy, teraz pracuj (ros.).

[21](#) Pan jest barbarzyńcą (ros.).

[22](#) Ona go zaprosiła (ros.).

Niedocieczony wątek

26 MARCA 1945; WARSZAWA

Nikt się nie zgłosił. Nikt się nie pojawił. Zmartwiona Irka siedziała na schodkach przed swoim wagonem. Dzień był prawdziwie wiosenny, słońce stało wysoko i złociło łaskawie swoim blaskiem okoliczne ruiny, ale nic jej nie cieszyło. Kościół Świętego Aleksandra wyglądał w światłocieniach jak ruiny rzymskiej czy greckiej świątyni, kolumny leżały na placu malowniczo rozrzucone, a schody, poturbowane przez pociski, na w pół zawalone, na w pół przysypane gruzem, nie zachęcały do wchodzenia do wnętrza, zięjącego czarną pustką niczym krzyczące usta.

Zaczęto porządkować teren placu Trzech Krzyży, pierwsze sterty cegieł ułożono w równe przyzmy tuż obok oczyszczonej z grubsza jezdni. Irka powinna się cieszyć: wiosna, słońce, porządky, dłuższy dzień – a była ponura i pusta jak grób bez nieboszczyka.

Po ulicy biegał mały gazeciarz z plikiem gazet i zachęcał do ich kupna, wołając:

– „Życie Warszawy”!!! Świeżutki numer prosto z drukarni! „Warszawa nabiera rumieńców życia!”, „Narady w Moskwie!”.

Irka ruchem ręki przywołała chłopca do siebie, wzięła gazetę i wcisnęła mu w zamian pięćdziesiąt groszy. Dzieciak się uradował, a gdy jeszcze machnęła ręką na resztę, posłał jej zawadiackiego całusa i pomknął dalej, do kolejnego klienta, który nań machał.

Zaczęła bez entuzjazmu przeglądać informacje: „Potrzebne młotki murarskie i inne narzędzia, widły do gruzu, kuźnie polowe, foczki. Szyny kolejkowe i wywrotki. Oferty składać: Biuro Odbudowy Stolicy, Chocimska 33”.

Zastanowiła się, co to foczki, ale nic jej do głowy nie przychodziło.

Dalej czytała ogłoszenia, a nuż ktoś szuka, może jej, a może kogoś znajomego? Ogłoszeń było mnóstwo, szukano dzieci, rodziców, ukradzionych dokumentów, jedynych zdjęć zmarłych, postradzonych w okolicznościach wojennych. Wydział muzyczny Polskiego Radia chciał kupić nuty. Czy nie mam gdzieś nut, zadumała się, kiedyś miała, ale zniknęły po powstaniu, wiadomo: papier. Pomyślała, że może powinna się zgłosić do radia, w końcu śpiewać też potrafi. Trochę.

„Dziecko oddam za swoje”. Tego typu ogłoszenia były aż trzy. A dwa: „Przyjmę dziecko za swoje”. Co to za dzieci? Z biedy oddawane? Wojenne? Z gwałtu? Pewnie wszystkie te sytuacje. A może przypadkowo znalezione? Może wśród nich...

Niepokój nie dawał się zepchnąć w podświadomość. O ile w Podkowie nie będzie żadnych wieści, też da ogłoszenie. Że szuka Władzia. Cuda się zdarzają, wierzyła w to głęboko.

Obok niej ustawiła się kobieta z wiadrem baziak. Momentalnie pojawiło się kilku klientów i towar schodził jak woda. Święta wielkanocne za pasem, o tym też trzeba było pomyśleć.

Irka zastanawiała się, czy kobieta z baziami to czasem nie jakaś bezetka – tak nazywano byłe ziemianki – ubrana była bowiem co prawda w schludny fartuszek, ale pod nim miała elegancki kardigan, wyglądający na rzecz od dobrego francuskiego projektanta, no a na nogach buciki, na

które ona sobie w Paryżu nie mogła pozwolić. Kobieta zręcznie obsługiwała klientów i nie robiła wrażenia kogoś nie na swoim miejscu.

Ta, kimkolwiek by była, da sobie radę, pomyślała Irenka.

Zza budy manikiurzystki Basi wychynął elegancki pan w tuzurku z zaprzeszłej dawno epoki, podszedł z naręczem bazi i włożył je do wiadra, prawie już pustego, stojącego tuż przy sprzedawczyni.

Był to zatem rodzinny interes. Irka się uśmiechnęła – wyprzedaż wierzb płaczących nad potokiem okalającego posiadłość?

Ludzie się kręcili, ale jakoś nie wpadali na kawę do tramwaju. Widać zakupy świąteczne wszystkich pochłonęły. Pomyślała, że może zamknie interes i po prostu pojedzie do Podkowie.

Nikt się nie pojawił z informacjami, ale może tam, u dżentelmena z okienka leży i czeka wiadomość?

Zamykała już drzwi wagonu, gdy wyrosła koło niej jak spod ziemi Roma.

Wyglądała nader dramatycznie. Rozczochrana i zapłakana.

– Co się stało?

– Umarła Karasiowa!

– Jak to? O?

– Normalnie, leży nieżywa. To koniec.

Roma zachlipała.

– No, Romka, żaden koniec. Nie rycz. Była stara i zmęczona. To zwykła kolej rzeczy. Gdzie ona teraz jest? Co jej się stało konkretnie?

– U siebie w piwnicy, martwa. Sztywna jak kłoda leży na zawieszonym barłogu. Przyszłam, jak co dnia, po swoje rzeczy, a tam zimny trup. I nic nie ma. Wszystko zniknęło. To koniec.

– Co zniknęło?

– Wszystko, co miała w piwnicy. Jakaś gnida musiała ją znaleźć wcześniej i ukradli, co się dało. Mój dywan perski, adamaszkową zasłonę i lampę naftową, co to pani mówiła, że to fendesiekl czy jakoś tak.

– Fin de siècle. Z końca wieku, tak. Straszne! Okraść taką bidną babinę.

– No, czy ona taka bidna była, to ja nie wiem. Pani Irenko, te najbiedniejsze, żebraczki, to czasem na worku pieniędzy śpią.

– Złodziej pewnie tak myślał jak i ty.

– No, chyba tak, bo wszystko wyniósł. Co Karasiowej, to Karasiowej, ale i moje. Ludzie to podłe zwierzaki są.

– Nie da się ukryć. Trzeba zgłosić zgon.

– No, ja na poli... no, na milicję to nie pójdę.

– Dobrze, to ja pójdę.

Roma, zamiast się uspokoić, coraz bardziej rozpaczała.

– O Boże, co ja teraz zrobię, co ja teraz zrobię! Nie mam niczego! – znowu zaczęła lamentować, aż Irka się zeżliła.

– Romka, nie histeryzuj. Te twoje rzeczy przecież niewiele warte, a porządna kobita umarła.

– No porządna, bo porządna. Może i porządna, ale ja nic nie wiem. Stara była, to umarła. Ale jak ja teraz będę pracowała, skoro nie mam ani zasłonki, ani dywanika?

Irka wzruszyła ramionami i na odczepnego powiedziała:

– Masz Pomonę.

– No mam, żeby mi jej też nie ukradli.

– To biegnij i sprawdź, a ja pójdę na posterunek.

Romka obtarła załzawione oczy i jak rażona impulsem elektrycznym puściła się przez Ujazdowskie do swojej klatki schodowej w ruinach. Gdyby ktoś się połasczył na Pomonę, to już koniec. Była właścicielką najładniejszej norki w całej Warszawie, a tu taki klops. Nie miała kiedy baba umierać, myślała, biegnąc co tchu. Jakby zdechła w dzień, toby tego wszystkiego nie było. Mogłam też wcześniej wstać, byłabym u niej pierwsza i jeszcze bym się obłowiła, a tak... – i zakłęta mocnym słowem, przeskakując kamienie i gruz, i mknąc poprzez sterty kamieni do swojej Pomony.

Helenka, zmęczona całodzienną wędrówką po mieście, przysiadła na kupie gruzu. Dziś przeszła ulicę Wspólną, od lewej do prawej, szukając bez rezultatu Jarzębowski.

Wczoraj była w PCK na Piusa²³, nowy oddział powstał bliźniutko, już nie musiały biegać na Pragę. Wystąpiła się w kolejce, ale na darmo, nic nie wiedzieli ani o Ewie i Sergiuszu, ani o Władziu, ani o ojcu Zośki.

Coś nie miały szczęścia. A przecież widziała, że niektórzy wychodzili z biura rozpromienieni, z taką łuną radości, która nie mogła mylić. Ściskali w dłoniach cudowne karteluszki z adresami bliskich. Zazdrościła im cała kolejka i wszyscy czekali pod drzwiami z drzeniem serca i nadzieją, że im też los się odwróci. Ale tych, którzy wychodzili z opuszczonymi ramionami, szybko, patrząc w ziemię, i umykali, byle dalej, było najwięcej.

Zginęło tyle ludzi. Mówiono o dwustu tysiącach w samej Warszawie. A przecież Warszawa i powstanie to tylko końcówka wojny. Zamordowanych, zaginionych musiały być miliony, Helenka zdawała sobie z tego sprawę.

Ale jej Krzyś to jeszcze dzieciak, mógł ocaleć. Ewa i Sergiusz na pewno by go nie dali skrzywdzić. Szczególnie Sergiusz. Był taki dobry i dla niej, i dla małego. Oni pewnie myślą, że ona, Hela, zginęła. Należało wcześniej do nich pojechać. To wszystko jej wina. Była głupia jak but, dziecka powinna pilnować, a nie jakieś tam, że biją, że się chłopaki na nią zmówiły. Stchórzyła, tak uważała. Ale potem sobie pomyślała, że przecież mogli skrzywdzić wszystkich – i dzieciaka, i Jarzębowski, o nią mniejsza. Dobrze jednak, że im zeszła z oczu, ale teraz mus jest odnaleźć Krzysia, to najważniejsze. Będzie chodzić ulica za ulicą, w każdej wolnej chwili. Podniosła się powoli i poszła przed siebie w mrok. Z rękami w kieszeniach, bo zimno się robiło, ze schylonymi plecami, bo była zmęczona jak koń dorożkarski. Do placu Trzech Krzyży było dość blisko, postanowiła więc zajrzeć do Irenki. Pomoże jej pozbierać rzeczy na wózek i zaciągnąć go do domu. Umówiły się, że będą pracować na zmianę, jutro przypadał dzień Helenki, ale skoro była tuż obok, mogła pomóc.

Z daleka jednak, wchodząc na plac, zauważyła, że tramwaj jest ciemny i zawarty na głucho. Widać Irka wcześniej skończyła robotę. Trochę szkoda, Hela liczyła, że przycupnie na chwilę, wypije herbatkę i dopiero potem ruszą razem na Mokotowską.

Pospieszyła w kierunku domu, minęła tramwaj, gdy ktoś do niej dobiegł i złapał ją za ramię. Zdrętwiała ze strachu. Od czasu Jędrzejowa bała się, tyle potwornych rzeczy zdarzało się co dnia. Franiowa czasem zaczynała o tym opowiadać, o nowych trupach w ruinach, o gwałtach, o wampirze, co mordował, o ruskich, co ludzi dla zabawy rozjeżdżali ciężarówkami, ale wtedy Helenka, kuląc się, pod byle pretekstem uciekała do siebie, do mieszkania, gdzie czuła się bezpiecznie.

– Panno Heleno! Panno Heleno! – usłyszała z tyłu. Odwróciła się błyskawicznie. Głos jakby

znajomy...

Stał przed nią niewysoki mężczyzna, nie poznawała jednak, kto to. Było szarawo, widziała niewyraźne kontury sylwetki i jaśniejszą plamę twarzy, która się rozmazywała w mroku.

– Pani Heleno, pani mnie nie poznaje?

Pokręciła przecząco głową.

– To ja, Mietek Angielak.

Serce zabiło jej mocniej. Czasem o nim myślała. Nawet dość często.

I żałowała, że wtedy musiały tak nagle uciekać. Powinna była się z nim pożegnać, ale... no, było, jak było.

– Panie Mietku! Jak się cieszę! – wykrztusiła ze ściśniętego gardła. – Jak się cieszę!

Złapał jej ręce, pochylił się i pocałował.

Najpierw jedną dłoń, potem drugą.

Nie wiedzieć czemu Hela poczuła, że ma łzy pod powiekami.

27 MARCA 1945, PODKOWA LEŚNA

Tym razem źle trafiła. Na stacyjce kłębił się tłum, kolejka do okienka była jak ta, w której wczoraj czekała w Warszawie, do odbioru kartek żywnościowych. Niemniej co robić, w tej też stanęła karnie. Ludzi powoli ubywało, aż wreszcie dotarła do kasy biletowej i zakłęła w duchu. W okienku dziś rezydowała przywiedła kobietka, dobrze w latach, a dżentelmen w binoklach zniknął.

Jak się nazywała jego zmienniczka? Irka myślała błyskawicznie. Pamiętała, że padło jej nazwisko. Dziunia Lerowa. To było to.

Szybko, by nie blokować kolejki, zapytała:

– Pani Lerowa? Kolega, pani zmiennik, pozwolił mi tu wywiesić ogłoszenie o zaginionym chłopcu. Czy może coś wiadomo?

Spojrzała na szybkę powyżej okna, ale nie było żadnego ogłoszenia. Irce zrobiło się zimno. Co to miało znaczyć? Zdenerwowała się nagle.

Kobieta wbiła w nią wzrok. Oczy miała schowane za szklami grubymi i cylindrycznymi. Jak jej się udawało pracować, było zagadką, ale Irka sobie tym głowy nie zawracała.

– Władzio Marchewka zaginał tu, na tej stacji, dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Lat mniej więcej osiem czy dziewięć.

– Pani życzy bilet? Bo nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Pani kolega powiesił tu ogłoszenie, zgubiłam dziecko i przyjechałam...

– Kobito! Nie blokuj kolejki! – huknął głos za nią.

– Już, zaraz! – odchrząknęła i rozpaczliwie usiłowała się przebić z informacją do siedzącej za szybą kasjerki. – Ten pan, co tu pracuje? Gdzie go znajdę? Ten w binoklach – skróciła pytania do minimum.

– Jerzego Karniewskiego pani szuka?

– O, właśnie tak.

– Powinien być teraz u Misiaka na kawie – odrzekła kobieta. – Taki ma zwyczaj.

– A Misiak gdzie?

– Pierwsza w lewo, za dworcem – dopowiedział głos za nią. – I pani zmiata, bo przestanę być

dobry.

– Przepraszam – wyjąkała i odeszła od okienka.

Placyk przed stacją świecił pustką. W oddali szedł leniwie jakiś pan z laseczką, w eleganckim kapeluszu, potem gdzieś na osi uliczki przemknął chłopaczek na rowerze. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy stoją przy kasie biletowej. Przed stacją nikogo nie było, nawet wszechobecnych woźniców i dorożkarzy. Pustka i wiosna. Tu już wyraźna. Irka wciągnęła w płuca powietrze. Rozmiękła ziemia, zapach iglaków. Cudowne wonie w opozycji do śmierdzącej śmiercią, stęchlizną i spalenizną Warszawy.

Tutaj powinno się teraz mieszkać, tak miło na wsi o zmierzchu. Może się przeprowadzić? Fajne miejsce dla dziecka i w ogóle. Westchnęła.

Tamten mężczyzna mówił „na lewo”, więc poszła w lewo i wkrótce napotkała młodą dziewczynę z niemowlakiem w wózku.

Misiak, jak się dowiedziała, znajdował się dwieście metrów dalej – więc podziękowała i przyspieszyła, by nie minąć się z panem w binoklach, czyli, jak się dowiedziała, Jerzym Karniewskim, który mógł już wypić swoją codzienną kawę i zniknąć z horyzontu. Po chwili pokazał się baraczek z napisem prostym i żołnierskim: „Misiak”.

Była na miejscu.

Serce jej lekko zatrzępotało, nacisnęła klamkę i znalazła się w czystej, przestronnej salce. Kilka stolików, ale niewiele, i bufet, udekorowany wycinanymi z białej bibułki koronkami, zaopatrzone, jak się zdawało, wcale nieźle, w ciasta i przekąski. Rozejrzała się i dostrzegła kasjera, co nie było trudne, okazał się bowiem jedynym klientem. Siedział pod oknem i sącył coś z ładnej filiżanki. Może właśnie kawę, której zapach unosił się w pomieszczeniu.

To wszystko wyglądało tak przedwojennie, że Irka poczuła nieoczekiwany przypływ optymizmu.

Podeszła nieśmiało do stolika, trochę odsuniętego od innych.

– Przepraszam...

Podniósł na nią wzrok.

– A, to pani.

– Tak, to ja. Chciałabym się...

– Proszę usiąść. – Mężczyzna uprzejmie podniósł się nieco z krzeselka i wskazał dłonią sąsiednie.

– Zakłócam panu spokój, przepraszam.

– Ach! Nie! – Machnął ręką. – To nie ma znaczenia.

Odłożył tomik, jak się zdawało, poezji, na stół i spojrzał na nią wyczekująco.

W tym momencie pojawił się koło nich mężczyzna, chudy i wysoki, w białym, schludnym kitelku i ze ścierką przerzuconą przez rękę. Kelner czy właściciel.

– Czym mogę szanpani służyć?

– Może herbatą? Ma pan herbatę?

– Oczywiście, mamy herbatę, najlepszą, amerykańską, z paczek Unry.

Irka się zastanowiła, czy ją stać na takie luksusy, ale jakoś było jej niezręcznie pytać przy tym dzentelnie o cenę, więc skinęła głową w nadziei, że nie skompromituje się na końcu, przy płaceniu rachunku.

– Wróciła pani po wieści?

– Tak, czy ktoś się zgłosił? Ogłoszenie, widziałam, że zdjęte... więc...

– Szef stacji, w randze, proszę sobie wyobrazić, komendanta, kazał zdjąć. Musiałem.

- Czyli nic pan nie wie.
 - A wie pani, że może coś wiem. Tylko pewności nie mam, czy chodzi akurat o pani dziecko.
 - Więc jednak jakieś informacje się objawiły?
 - Tak, pewien kolejarz opowiedział mi dziwną historię o chłopcu z kolejki. Może to pani chłopiec, a może nie.
 - Co się z nim stało?
 - Tego nie wiem. Ktoś go wtedy wziął. Musi pani porozmawiać z kolejarzem.
 - Jak go znaleźć?
- W tym momencie podszedł kelner z tacą i Irce zapachniało najprawdziwszą z prawdziwych herbat. Nachyliła się nieco i powąchała niepomna, że Karniewski jej się przygląda.
- Nektar, prawda?
 - Ambrozja – odrzekła zachwycona.
 - Przetracam tu całą pensję, po tylu latach wyrzeczeń folguję swoim upodobaniom sybaryty – wyznał kasjer, uśmiechając się nieco kpiarsko.
- To trochę Irkę ostudziło. Pensję?! Ale zdecydowała się cieszyć tą chwilą i upiła łyk. Cudowny, prawie zapomniany już smak. Aż przymknęła oczy. Też chyba miała duszę sybarytki.
- Przez chwilę milczeli, ale Irka była zbyt konkretna, by długo delectować się herbatą.
- Bardzo panu dziękuję. Gdzie znajduje tego kolejarza?
 - W Warszawie. Mieszka, zdaje się, na Woli. Tu ma pani adres. – Sięgnął do portfela i podał jej starannie złożony karteluszek.
- Irka z pietyzmem wzięła kawałek papieru, spojrzała i nauczyła się adresu na pamięć. Jeszcze okupacyjny zwyczaj. Ale tym razem nie pozbyła się kartki, tylko schowała ją do torebki.
- Nie wie pan, kiedy go można zastać w domu?
 - Z kolejarzami nie jest łatwo, pracują na zmiany. Musi pani próbować. Aż do skutku.

28 MARCA 1945, BOTTSCHOW

Deszcz równomiernie bębnił o szyby. Gdy się obudziła z rana i zobaczyła ścianę wody za oknem, od razu odechciało jej się wstawać. Leżała w łóżku, pod nakrochmaloną pościelą, pozwalając, by myśli leniwie sobie płynęły: znowu zniszczy buciki, powinna kupić praktyczniejsze, ale jeszcze nie dostała kartek na obuwie. Te na bazarze, z paczek, były koszmarnie drogie i Zosia nie chciała na razie wydawać aż tyle pieniędzy. Buty pochłonęłyby całą sumę otrzymaną od stryja Mietka.

Trudno, raz chciała być elegancka i teraz musi cierpieć. Ale, z drugiej strony, niedługo w trzewikach by pochodziła, wszak wiosna, a potem – co za cud – lato. Tęskniła za latem, słońcem i spokojem. Przez chwilę się rozmarzyła, patrząc na smugi wody, spływające po szybie, ale zaraz wyrwało ją z zamyślenia gwałtowne stukanie do drzwi.

– Nie zasnęła pani, panno Zofio?

Profesor Migoń się niecierpliwił.

– Już idę! – odrzuciła i wyskoczyła z łóżka. Zupełnie straciła poczucie czasu.

Dziesięć minut później, no, pół godziny później, jechała do Goerbitsch ciężarówką rozchlapującą z rozmachem strugi wody na pobocze drogi.

Doktor Chodakowski znów wysiadł wcześniej, na stacji, jako że ciągle bez powodzenia

usiłował załatwić wagony. Robota w pałacu dobiegała końca, brakowało tylko tych wagonów do transportu. Ostatnio wszystko robili sami, Niemki zniknęły. Nawet staruchy.

W pałacu Zośka odwiesiła płaszczyk i zaraz zabrała się do dłubania w gówniano-książkowej masie. Dzięki Bogu, zdążyli przejrzeć (zanim na dobre się rozpadło) stopy rozdeptanych książek koło wygodki. I znaleźli na spodzie parę woluminów nadających się nadal do użytku.

Do przekopania został jeszcze tylko niewielki kwadrat oranżerii, mniej więcej metr na półtora, czyli końcóweczka. Profesor Migoń zajął jej dawne stanowisko pracy i w swoich mitenkach, jakże obecnie przydatnych, czyścił okładki i grzbiety książek z mułu, w którym były unurzane. Robota szła im szparko i koło południa, gdy pojawił się Chodakowski, mieli już przygotowany dla niego wcale okazały stos książek do skatalogowania i zapakowania.

– I jak z wagonami? – zapytał Migoń.

– Nici na razie, ale Szendzielorz, ten kolejarz, ciągle zapewnia, że przypilnuje i coś dla nas znajdzie, jakoś mu wierzę. Jutro ma tu wpaść jego syn, kandydat na studenta.

– Może to będą dobre czasy dla zwykłych, biednych ludzi – rozmarzyła się Zosia.

– Wątpię. – Chodakowski nie wierzył w ani jedną obietnicę komunistów.

Znał nieco sytuację ZSRR, wiedział o czystkach w latach trzydziestych, paranoi spisków, donosicielstwa i szpiegowania. Łatwo rządzić, gdy się dzieli naród i szczuje jednych na drugich, jak to miało miejsce w Sowietach. Ale nie powiedział tego głośno, Zosia może i była naiwna, lecz nie chciał psuć jej wiary w świetlaną przyszłość. A nuż nie będzie tak źle, jak mi się wydaje, pomyślał i zabrał stos książek do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie miał ustawiony stół kuchenny i także krzesło. To było jego biuro – tu katalogował i wiązał książki. Zabrał się do pracy, ale dużo nie zrobił, gdy w drzwiach stanął pułkownik Zwiagincew. Ostatnio lubił do niego wpaść.

Nawet kazał dostawić sobie krzesło. Przychodził, siadał i tak leniwie, od słowa do słowa, wypytywał, jak to w Polsce się żyło przed wojną. Chodakowski pomyślał, że oni tam w tych Sowietach od tysiąc dziewięćset osiemnastego roku w zasadzie żyją odcięci od świata i informacji. Pułkownik chciał, jak się zdaje, uzupełnić nieco swoją wiedzę o współczesności, a Jaromir nie widział powodów, by tą wiedzą z nim się nie podzielić. Może Zwiagincew będzie miał szerszy pogląd na sprawy, którymi się zajmował, choć co to za sprawy, doktor nie wiedział. Jakichś mężczyzn, a czasem też kobiety, przywożono, a potem ich nie odwożono, to zauważył, ale nie widział i nie słyszał, co się działo w drugiej części pałacu. Wyobraźnia podsuwała mu różne teorie, lecz starał się w życiu specjalnie wyobraźni nie ulegać. Ponośiła go czasem, więc trzymał ją na smyczy i chętnie rozmawiał z pułkownikiem.

On też miał szansę czegoś się od pułkownika dowiedzieć.

Pogadali deczko i Zwiagincew poszedł do swoich zajęć, a Chodakowski właśnie wycierał szmatką wyjątkowo oporną plamę na starym woluminie, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Wiedział od razu, że to żaden z Rosjan, jako że ci nie pukali z zasady. Odezwał się, drzwi się uchyliły i zobaczył w nich Gałązkę, co było zadziwiające, ten bowiem był po prostu mistrzem w omijaniu z daleka swojego pracodawcy. Gdy doktor Chodakowski pojawiał się na horyzoncie, Gałązka natychmiast znikał, choć przecież miał być strażnikiem.

Szwendał się cały dzień nie wiadomo gdzie i Jaromir się zastanawiał, czy go jednak nie postawić na warcie na bacność, bo przecież mógł napastować kobiety, łącząc tak samopas. Tym razem był pokorniutki jak młoda kózka. Łeb pochylony, uniżony wyraz twarzy.

Ciekawe, pomyślał doktor, ani chybi musiał coś zmalować. Coś poważnego.

– Co was, sierżancie, do mnie sprowadza? Jakoś mało się widzujemy.

– A bo ja tu obejścia po całych dniach pilnuję – zameldował gorliwie.

No, można to tak nazwać, podsumował sarkastycznie w myślach doktor Chodakowski.

– A to się wam chwali, ale dobrze, że jesteście. Chciałbym was uczynić wartownikiem. Tu, w pałacu.

– No... nie da rady, panie doktorze, ja potrzebuję wyjechać.

– Wyjechać? Przecież was przydzielono do nas i o żadnym wyjeździe mowy być nie może.

– Muszę jechać do Poznania – hardo rzucił Gałązka, prostując ugięty kark. Trusią udało mu się być jedynie przez chwilę.

– Co to znaczy „muszę”? Tu jest wojsko, sierżancie, nie ma „muszę”.

– Panie doktorze, miał pan rację, złapałem to! – wypalił znienacka.

– To? – Doktor Chodakowski w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– France złapałem od tej niemieckiej dziwki, sprzedała mi syfa jakiegoś.

– Objawy? – spokojnie i zwodniczo przyjacielsko zainteresował się doktor, patrząc na trzęsącego się ze strachu sierżanta.

– Owrzodzenie, no wie pan, na dzyndzlu.

Chodakowskiemu aż dusza zaśpiewała z radości. Ale zachował stosowną do rangi problemu powagę.

– No tak. No, to się załatwiliście, sierżancie, na cacy. Na własne życzenie.

– Ona na mnie tak patrzyła, chciała... Ja nie dałem rady...

– Nie opowiadajcie mi tu banialuk, dobrze? Trochę szacunku.

Gałązka kiwnął głową ponuro, ale czy zrozumiał, było wątpliwe. Oczywiście według niego winni byli wszyscy, tylko nie on.

– Puści mnie pan do Poznania?

– Sierżancie, do Poznania szmat drogi. Zawołajcie mi tu pana Józia.

Po niedługiej chwili pojawili się we dwóch i Jaromir zarządził, że pojedą do Frankfurtu, który był nieopodal Bottschow i mieścił się tam szpital prowadzony przez Sowietów.

Nie minęły nawet dwie godziny, kiedy znaleźli się na miejscu, w lazarecie polowym położonym na obrzeżach miasta. Przyjmowała w nim lekarka, oschła, chuda, z zadartym nosem i absolutnym brakiem wdzięku tudzież ludzkich cech. Od razu nie przypadła doktorowi Chodakowskiemu do serca, ale co było robić, poprosił ją o przyjęcie sierżanta i nie bez oporu się zgodziła. Szybko zdiagnozowała syfisy i kazała sierżantowi Gałązce opuścić gabinet. Po czym wzięła na przesłuchiwanie Chodakowskiego.

– Żołnierz zgłosił wam stosunek?

– Nie.

Zanotowała.

– Powinien, do pół godziny po stosunku, nie wie pan o tym?

Jaromir pokręcił głową zdumiony.

– Naprawdę? Ale kobietę wam wskazał?

Jaromir uniósł brwi i po sekundzie wahania odparł:

– Nie.

– No to z was kiepski przełożony, co zamierzacie z tym zrobić?

– Przywiozłem chorego wam, do bolnicy, leczcie.

– A nie, nie. To nie mój żołnierz, my tylko swoich leczymy, proszę go zabrać, a wam powiem, nieładnie, panie dowódcu, nieładnie. Nie dopilnowaliście, oj nie.

Uniosła się z miejsca, głośno zamknęła kajet, w którym poczyniła obszerne notatki, a potem

starannie schowała do szuflady i zamknęła ją na klucz.

Chodakowski powiódł zadumanym wzrokiem za kajetem. Potem obudził się z zamyślenia, podziękował bez nadmiernego entuzjazmu lekarce i ze spuszczoną głową opuścił gabinet.

Już z daleka zobaczył, że przy samochodzie biega jak wściekły bawół Gałązka. W tę i z powrotem.

– Wsiadamy – zakomenderował krótko, podchodząc do szoferki, i wskazał sierżantowi naczepe.

– Co on nagle taki zdenerwowany? – zapytał Józia, gdy już ruszyli.

– At, chłopaki tutejsze bez łap, nóg i w krostach jak jakie uciekiniery z lepro..., jak to tam, no, gdzie trędowatych trzymają, go obstały, wywiedziały się od niego co i jak, i gadać zaczęły, że on użę martwiec. No mientki się okazał ten nasz Boguś jak cholera. W gacie robi.

– A niech się boi.

– Niech. Dla mnie to go pan doktor nawet i wygnąć precz może.

– Raczej nie mogę i nie chcę. Ale niech pocierpi. Żałować nie będę.

W Bottschow, gdy o zmroku zajechali do kwatery, zastali zarówno Migonia, jak i Zośkę w kuchni. Atmosfera była domowa, a na stole stała waza z parującą zupą, gotową do jedzenia.

Zośka oznajmiła z triumfem, unosząc pokrywkę:

– Chlebowa z czosnkiem.

Pachniało znakomicie, więc nikt czasu nie tracił, tylko szybko zasiedli przy stole.

– Pani gotowała, panno Zosiu? – zainteresował się Józio, delektując się pierwszym łykiem.

– Nie, gospodyni. Ze mnie kiepska kucharka, co tu kryć.

– A gdzie ona? – Jaromira Chodakowskiego nie opuszczało jakieś dziwne przeczucie, niepokoiła go rozmowa i kajet lekarki, ale starał się odgonić od siebie przeczucia. W końcu to takie babskie, te całe przeczucia.

– Dała nam zupę i gdzieś poszła. – Zośka dołała sobie do talerza kolejną chochlę pełną chlebowki, myśląc, że ta zupa pewnie prosta do przyrządzenia. Wiejska, ale pyszna.

Wtem usłyszała wjeżdżający na podwórze samochód. Jacyś goście? Tutaj?

Spojrzała na Balcerzaka i Gałązkę, ale ci, zajęci jedzeniem, ani słyszeli. Jedli z entuzjazmem, ciamkając i posapując.

Doktor Chodakowski jednak też coś usłyszał, bo uniósł się z miejsca i zerknął w okno. Zobaczył gazik i zaklął. Ta lekarka. I jej notes. Oby to nie było to.

Poniewczasie postanowił wszakże działać:

– Gałązka, kończycie zupę – zakomenderował. – Józio was na dworzec odwiezie. Zmiatajcie, migiem. Macie wolne, sierżancie, jedźcie do Poznania.

Było już jednak za późno, nie zdążył do końca wydawać poleceń, gdy w drzwiach pojawił się znany mu komendant z Bottschow, blondynek z wielką łepetyną.

Nie był jednak tym razem przyjemnie neutralny, wpadł do izby z ręką na kaburze. Wszyscy się wzdrygnęli.

Od razu przeszedł do rzeczy:

– Który to wasz żołnierz jest chory?

Jaromir westchnął.

– Ten. – Wskazał na Gałązkę, patrzącego wytrzeszczonymi oczami to na komendanta, to na doktora.

Wreszcie go trafiło, ucieszył się, taką złą radością, Jaromir.

Sierżant Bogdan Gałązka już się nie wściekał, a bał.

– Przyjechaliście chorzy? – Komendant stał dwa kroki od Gałązki i dźgał go lufą w brzuch.

Mimo swej wątlności i blondynkowatości był przerażający. Może też z powodu zapachu eteru owiewającego jego i wszystkich obok, niczym w sali operacyjnej? A może wystarczyła ta dłoń z naganem? Zosia oparła się, wystraszona, o piec, profesor patrzył zatroskany spod oka, ciągle jeszcze grzebiąc łyżką w zupie. Tylko Józio Mazurkiewicz uśmiechał się szyderczo. Widać Gałązka mocno mu zaszedł za skórę.

– Nie. Przyjechałem zdrow – wychrypiął zardzewiałym dyszkancikiem sierżant.

– Zaraziłeś się tutaj?

– Tak jest. – Strzelił obcasami i kiwnął łbem z szacunkiem. Zachwiał się przy tym jak pijany.

– Od Niemki?

– Taa...

– Gdzie ona?

– Tu.

– W wiosce?

– Nie, tutaj, w domu.

– Przyrowadź ją.

Gałązka nie zdążył wykonać ani trzech kroków, gdy Józio oderwał się od ściany i krzyknął rozkazująco:

– Ani się waż ruszać.

I dopadł Chodakowskiego, nachylił się i pospiesznie ściszone głosem przekonywał gorączkowo:

– Jeśli pan na to pozwoli, nie uznam pana za człowieka. Kobita jest niewinna.

Drugi z konwojentów, Balcerzak, też się ruszył.

– Ja mogę przyświadczyć. Broniła się, uciekała, a ten nic. Tylko że mu się należy za pracę u bauera.

Komendant przerwał całą scenę, pytając:

– A co te twoje chłopaki tak jak jakie ptaki jazgoczą? Jak chcesz, to ja tę twoją armię w pięć minut postawię do pionu. Nie radzisz ty sobie, doktorku.

Chodakowski przyznał mu w duchu rację. Nie radził sobie; zerknął na Józefa i wymieniając z nim spojrzenie, przykazał:

– Proszę przyprowadzić Niemkę, Annę czy jak jej tam, a pana, komendancie, zapraszam na obiad, skoro mam zaszczyt was gościć po raz pierwszy u siebie. Proszę do stołu.

Ten chwilę się certował, ale uległ, bo też zapach zupy był zniewalający. Niemka umiała gotować. Zośka zrozumiała, o co chodzi, podskoczyła do lejtnanta, nalała do talerza zupy po wrąbek. Profesor Migoń zaś powoli sięgnął do teczki i wyjął butelkę bimbru, którą zawsze mieli na podorędziu.

– Ty mnie nie próbuj urabiać, doktorze – lejtnant ciągle trzymał rękę na broni – i tak tę Niemkę zastrzele.

– A czemu ty ją zastrzelisz?

– Agentka – stwierdził krótko lejtnant, kładąc rewolwer tuż koło talerza.

– Sam w to nie wierzysz. Jaka agentka, zwykła tutejsza kobita.

– Została, żeby zarażać. Agentka. My wiemy lepiej. Trzeba zabijać wszystkie agentki. Taki przykaz.

Łyżka powędrowała do talerza, a do kieliszka, dostawionego przez Zosię, bimber przedni, poznański.

Napili się w trzech zgodnie, w jednym rytmie. Profesor miał minę królika, który łyknął ocet, ale Jaromirowi wódeczka nawet zasmakowała. Może od czasu do czasu powinien się upijać?

– A zabiłeś ty kiedy kobietę, bezbronną? – zainteresował się.

– Jak nie zabiłem, to teraz zabiję. Oni wsie dywersanty.

– No, zrobisz, jak chcesz, kto tobie zabroni.

Znowu bimberek wykonał swoją trasę: butelka, kieliszek, gardło.

Profesor Migoń gwałtownie złapał oddech, a Zosia pospieszyła na ratunek, stawiając przed nim szklanekę wody, z której od razu skorzystał.

– Oni tu wszyscy dywersanty, zabijać nas mają przykazane. Zastrzelę, bo tak trzeba. – Lejtnant kiwnął głową, sam sobie potakując.

W tym momencie w drzwiach stanął Józek z Anną Ludwiką, która, nie da się ukryć, potrafiła zrobić wrażenie.

Dygnęła od razu przy drzwiach i zaświergotała:

– *Guten morgen, meine herren*²⁴. Moja mamusia poszła szukać dla mnie czegoś do jedzenia. Mam świetny apetyt, nie na te czasy! – westchnęła i uśmiechnęła się, pokazując swoje śliczne dołeczki.

Miała zaplecione warkoczyki. Świeżo umyte kędziorki wirowały wokół głowy, a wykrochmalona sukieneczka sterczała uroczo, przypominając kraciatą bombeczkę.

Komendant zerwał się i chwycił za rewolwer.

Gałązka spopielał. Jego twarz przypominała cementową plamę.

– To on, swołocz, tę dziewczuszkę???

– Nie, nie – uspokoił go natychmiast Chodakowski. – Matkę tej małej. Jak wróci ze wsi, to ją zobaczysz.

Pan Józek, nie wiedzieć skąd, wyciągnął jeszcze kiełbasę i zaczął kroić na równe plasterki. Zapach majeranku uwalniał się i odwracał uwagę. Komendant spojrzał, tak jak wszyscy w izbie, na kiełbasę i usiadł ciężko za stołem. Jaromir znów podsunął mu kieliszek, profesor Migoń zaś podstawił talerz.

– To najlepsza polska kiełbasa, myśliwska – zachwalał. – Jest okazja podziękować za opiekę, więc dziękujemy. Tę kiełbasę, towarzyszu lejtnancie, opisywał sam Lermontow!

– O?! – zainteresował się komendant. – Lermontow? To był postępowy pisarz. Pisał o słowikach.

Po chwili się zreflektował i dodał:

– No i chłopach pańszczyźnianych. Może i o kiełbasie. Niezła ta polska wódka. Ta robota z książkami też nie najgorsza. Wojna tyle książek namarnowała, ale teraz znów będą potrzebne, dzieci muszą się uczyć. Te, co przeżyły. Dużo dzieci poginęło. Moje też.

Sam sięgnął po butelkę i się obsłużył.

– Aż dziwno, że my żyjemy. Moi wszyscy zginęli, Niemcy całą wioskę spalili. Jeden dziadek ocalał i chłopcy, co na wojnie. Wracać nie ma do czego ani gdzie. – Znów się napił i zmienił temat. – Tę Niemkę przydałoby się leczyć.

– Byłoby dobrze, towarzyszu. To przyzwoita kobieta. Ona... się broniła. On ją zniewolił, swołocz. – Doktor Chodakowski nagle zobaczył Sowietę w zupełnie innym wymiarze, tak jak Sowiet zobaczył inny wymiar tej Niemki.

– To ja pogadam z lekarzami, że ją poza ewidencją, rozumiesz? – Komendant spojrzał zażawionym wzrokiem na Jaromira, który rozlał znów, ale tym razem z czułością, wódeczkę do

kieliszków. Poczuł więz z samotnym człowiekiem, który smutki głużył eterem.

I przypomniało mu się spotkanie w Siedlcach. Trafił tam na likwidację getta. Był sierpień czterdziestego drugiego roku. Szedł z dworca do sądu, miał przepustkę, dobre papiery. W mieście działały się dantejskie sceny. Jedni uciekali, inni ich zaganiali, bili nahajkami, pejcami, kijami. Na ulicach leżały trupy i walizki, tobołki, rozwleczone rzeczy. Skręcił z tego piekła w boczną uliczkę i odetchnął, gdy nagle, na jej końcu, pojawiła się mała, może pięcioletnia dziewczynka.

Pędziła przed siebie ze wszystkich sił w chudych nóżkach. Zatrzymał się, gdy za małą wpadł w uliczkę rosły szaulis o chłopskiej twarzy. Zaśmiewał się.

Ta sytuacja go bawiła.

Złapał dziewczuszkę, płaczącą i krzyczącą, chwycił ją jak niesforenego kociaka i ciągle się śmiejąc, ustawił pod ścianą.

I odsunął się, przymierzając do strzału.

Jaromir nie wiedział, co robić. Było ich tylko troje na opustoszałej ulicy.

Nagle, w drzwiach budynku, pod którym stało dziecko, pojawił się Niemiec, oficer. Wysoki, szczupły, o wyglądzie intelektualisty. Siwe włosy i wąsik. Twarz miał skamieniałą. Widział i nie widział. Ale oczy, oczy wyrażały przerażenie i te oczy spojrzały wprost na Jaromira, który, też zmartwił się ze strachu, w desperacji uznał to spojrzenie za znak i niewiele myśląc, krzyknął:

– Proszę go powstrzymać, on nie może zabić tego dziecka. Proszę mu zabronić!

Wystarczyłby ruch ręki w rękawicze. Na uliczce nie było nikogo. Niemiec mógł odesłać szaulisa, ot tak. Ale tylko odwrócił wzrok i przeszedł mimo, pozornie ani nie zauważając tej sceny, ani nie słysząc Jaromira.

Nie odwrócił się też, gdy rozległ się strzał.

Było coś w tamtej i tej sytuacji, co je łączyło. Tylko tu objawiło się człowieczeństwo, pokazał się człowiek.

Doktor westchnął i znów nalał sobie i lejtnantowi. Potrzebował, podobnie jak i tamten, wódki.

29 MARCA 1945, BOTTSCHOW

Wagon grał. Zdziwiająca polifoniczną muzykę. Kuranty, rytmiczne bicia, czasem dawał się słyszeć głos kukułki. Doktor Chodakowski zatrzymał się na peronie zasłuchany w niezwykłą symfonię, jaka dobiegała z pociągu, stojącego na pustawej o tej porze stacji. A potem zajrzał do jednego z wagonów z odsuniętymi drzwiami. W ciemności, gdy oczy się przyzwyczaiły, dojrzał mnóstwo zegarów, wielkich i całkiem małych, i to one grały nierównym rytmem, niosącym się po stacyjce oświetlonej jedną anemiczną latarnią.

Przysiadł na ocalałej ławeczce, zapalił papierosa i przyhamował w biegu, by jeszcze posłuchać tego nieoczekiwanego koncertu.

Tuż obok drugiego wagonu z mroku wyłonił się pijany sowiecki oficer, zatrzymał się, nasłuchiwał przez moment i nagle wyszarpnął broń.

– Zabiję! Ubiju! Jak psa albo diabła. Tak! diabła! – rozkrzyczał się jak opętany.

Wsadził nagan w otwarte drzwi i zaczął strzelać na oślep w ciemne wnętrze, ale na przekór strzałom właśnie rozdzwiewał się wyzywająco potężny kurant zegara, który musiał być kiedyś dekoracją ratusza czy urzędu, tak mocne rozległo się bicie. Bił, jakby gigantyczne serce ziemi

biło. Inne kuranty też się rozdzwoniły, ze zdwojoną mocą, widać minęła akurat pełna godzina, a oficer strzelał, strzelał jak szalony. Przypominało to diabelski pojedynek.

Gdy się skończyły naboje, przeładował broń i zaczął od nowa. Ale kuranty wciąż grały.

Jaromir zastygł na swojej ławeczce, z cichą nadzieją, że nie oberwie rykoszetem.

Nagle, tuż koło oficera, wynurzył się z ciemności inny mężczyzna, też w mundurze.

Złapał strzelca za przegub ręki i zaczęli się mocować.

– Chcesz czas zabić? Zostaw, kapitanie. Ja go do ojczyzny wiozę, do Moskwy.

Kapitan poddał się, rozejrzał niepewnie, jak ktoś wybudzony ze snu, opuścił broń, zwiesił ramiona, głowę i zastygł, a dowódca konwoju wskoczył do wagonu pełnego zegarów, zamachał dłońią i pociąg powoli ruszył.

Zegary ciągle biły, ale teraz ich melodia mieszała się ze stukotem kół i powoli, powoli cichła.

Jaromir zgasił papierosa i poszedł w kierunku budynku, zostawiając nieruchomego jak słup kapitana na peronie.

Komendant stacji Bottschow siedział przy zapalanej lampce w niewielkim, brudnym pokoiku i popijał jakiś trunek z wojskowej manierki. Zerknął nieuważnie na plik zgromadzonych przez Chodakowskiego dokumentów. Pojaśnił światło. Zaśmiał się. Był pucatym blondynem o przyjaznej twarzy.

– Same okrągłe pieczęcie. Pewnie ci ważni pułkownicy i kapitanowie podpisywali. Ale mnie to za nic.

Pyrgnął ręką stosik papierów, które rozsypały się na biurku.

– Ile tych wagonów w końcu chcesz?

– Cztery – powiedział doktor pewien, że już jest bliżej niż dalej.

– Oj, nie masz ty dużych wymagań, cztery powiadasz, tylko cztery...

Zachichotał.

– Kiedy to możliwe? – zapytał wprost Jaromir, postanawiając skończyć zabawę w kotka i myszkę.

Komendant się podniósł i zbliżył do okna.

– Spójrz. – Postukał palcem w brudną szybę.

Za oknem widać było przydworcowy plac cały zajęty maszynami rolniczymi. Skąd się wzięły – Jaromir nie wiedział. Wczoraj jeszcze ich nie było. Lokomobile stały obok pługów, traktorów, siewników i młockarni.

– Zobaczylesz, to chodź ze mną.

Otworzył drzwi do poczekalni. Buchnęło smrodem. Na podłodze spali pokotem wojskowi, jeden obok drugiego. Jak śledzie. Chrapali, świstali, ktoś krzyknął.

Ale żaden się nie obudził.

– To kierownicy transportów. Niektórzy już tu od tygodnia się szwendają. Inni dwa albo i trzy. Sam nie wiem. – Zamyślił się frasobliwie. – Poczekasz ty sobie jeszcze. Najpierw puszcę te maszyny, wiosna idzie, wojna idzie. Czas siewu nadchodzi. Pierwsze puszcę maszyny. A spójrz tu.

Zawrócił i weszli do kolejnego pomieszczenia, tuż przy hali dworca.

– To są paczki dla rodzin. Po dwadzieścia kilogramów na żołnierza, ich bliscy potrzebują pomocy, tam, daleko stąd. W kraju są nasze matki, żony i dzieci. Bez mężczyzn im ciężko. Ale to nie są paczki, dla mnie to jest transport. Tak jak i maszyny. I wiesz, ci, co śpią, ci komendanci, też mają pieczęcie jak ty. Okrągłe, wiesz, też okrągłe. – Znów zachichotał.

Wesoła ta armia, pomyślał niewesoło doktor Chodakowski. Wszyscy z lekka pijani.

– To kiedy będzie moja kolej? – napierał, już mniej pewnym głosem.

– Pierwsze pojedą maszyny, bo ziemia ich potrzebuje, potem paczki, kobiety w biedzie, sam rozumiesz, profesorze, a potem może twoje książki. Widziałem ja Warszawę, tam się po książki raczej kolejka nie ustawi, innych rzeczy bardziej potrzeba, ale ty ich nie masz.

– Ile to potrwa, tak mniej więcej? – nalegał spokojnie doktor Chodakowski.

– No cóż, może dwa tygodnie, może cztery – tak mniej więcej. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś się pojawi i jak to będzie ważne. Czas pojechał do Moskwy, sam widziałeś. – Zażartował. – Tu jest miejsce poza czasem, swoimi się rządzi prawami.

– A co byś powiedział... – zaczął z wahaniem Jaromir – gdybym ja ci tak dał za każdy wagon litr dobrego spirytusu? Cztery wagony, cztery, mój złoty, litry. Najlepszego polskiego spirytusu.

– No, łesz! – zaśmiał się lejtnant. – Spirytki to ty nie masz.

– Mam. Jak Boga kocham, mam.

– E, Bóg... U nas Boga zlikwidowali po rewolucji, chyba o tym wiesz? Jako gwarancja on już nie działa.

– Mam i dam, jak ty dasz wagony.

– Pewnie masz samogonkę?

– Nie, najczystszy spirytus o mocy tak wielkiej, że sam batiuszka Stalin... – tu doktor nie dokończył, uznając, że być może w tej metaforze się zagalopował.

– Pomyślimy, pomyślimy – powiedział refleksyjnie komendant i wskazał mu, już na niego nie patrząc, wyjście.

I Jaromir, jak niepyszny, wyszedł z budynku.

Przed stacją czekał w ciężarówce Józio, a widząc minę szefa, o nic nie pytał, tylko włączył silnik. Ruszyli. Do Bottschow mieli niecałe dziesięć kilometrów, przejechali może ze trzy, gdy dogonił ich i zajechał im drogę motocyklista.

– Warszawiak! Z powrotem do komendanta!

Komendant przechadzał się po bocznicach.

Wskazał na stojące wagony.

– Popatrz, cuda się zdarzają. Chciałeś cztery, są cztery. Dawaj spirytkę – zakończył z nagłą.

Istotnie, na bocznicach stały puste cztery wagony. Chodakowski zajrzał do środka; wagony, jak wagony, nawet i niespecjalnie brudne. Żadnego gnoju, tylko zamieść i pakować.

Kiwnął na Józia i poszli do samochodu.

Józio położył się pod ciężarówką i zaczął rozmontowywać skrytkę w podwoziu, gdzie przechowywali spirytus.

Marudził przy tym niemiłosiernie.

– Toś pan doktor hojny. Po co mu cztery było obiecywać? Za dwa też by dał. Że też musiało panu w tym Oświęcimiu rozum zabrać. On ze swego nie daje i pan ze swego też nie. To tak niegospodarnie, po pańsku. Innej roboty ja się po panu doktoru spodziewałem. Rozrzutnie, ale co tam, skoro łatwo przyszło...

30 MARCA 1945, GOERBITSCH

Robota szła w najlepsze. Józio zwołał pochowane po domach Niemki, przekupując je bochenkami chleba przywiezionymi z Poznania, dokąd odwiózł Gałązkę i matkę Anny Ludwiki.

Zatrudnił też kilku żołdatów, oddelegowanych przez Zwiagincewa, który, co tu mówić, ucieszył się, że współlokatorzy się wynoszą. Cała ta gromadka, słabo do siebie pasująca, pakowała pod jego uważnym okiem książki do ciężarówki, a potem transportowała je już od razu do wagonów. Druga ekipa, pod wodzą Migonia i młodego Joasa Szendzielorza, przenosiła wcześniej dostarczone paczki z magazynu, który na dworcu udostępnił wcześniej stary Szendzielorz. Do wagonów, zdobytych przez Jaromira.

Chodakowski zaś siedział za stołem w swoim pokoju w pałacu i metodycznie odhaczał kolejne pozycje w zeszytach, a potem, zanim oddał pakunki w ręce Niemek, sprawdzał, czy aby wszystko porządnie powiązane. Przez otwarte okno miał widok na wiosenny park, kwitnące już krzewy forsycji i drogę prowadzącą w głąb alei obsadzonej starymi lipami. Ptaki hałasowały rozkosznie i czuł pewien smutek, że opuszcza tak piękne miejsce, by wrócić do osmolonej Warszawy ze strasznymi, popalonymi drzewami, wszechogarniającym smrodem i urodą miasta Wschodu, gdzie wszyscy wszystkim handlują na każdym skrawku wolnej przestrzeni.

Nie pozwalał sobie jednak na tego typu refleksje. Biblioteka. To jego świat. Nie miasto, nie miejsce. Tu jego może i sielskie życie byłoby jednak bezcelowe. Tam stało przed nim wyzwanie. Odbudować i odtworzyć księgozbiór uniwersytecki, dać studentom i profesorom narzędzia do pracy i nauki.

Uzupełniał więc pilnie katalog, co i raz wypadał na dziedziniec, by sprawdzić stan załadowania samochodu, i nie myślał już więcej o pięknie Goerbitsch. Zaaferowany ekspedowaniem transportu nie zauważył przybycia Zwiagincewa, dopiero gdy ten chrząknął i usiadł na krześle, przerwał robotę i przywitał go uprzejmie. Pułkownik miał nawyk nałogowego czytacza, na pozór niedbale sięgał do najbliższej, leżącej na podłodze paczki, brał do ręki jakąś pozycję, przeglądał, odkładał, po chwili znowu sięgał po kolejną. Tym razem zainteresowały go białe plamy na gazecie, leżącej na górze stosu przewiązanego już sznurkiem. Były to roczniki „Robotnika”; numer gazety z wierzchu miał zaznaczone ingerencje cenzury.

Komendant się zdziwił.

– A to co? Tak u was drukowali gazety?

Chodakowski zaczął mu wyjaśniać, że przed wojną i w Polsce zaczęło być niewesoło, z roku na rok rząd sanacyjny przykręcał wolności obywateli, a cenzura zdejmowała całe artykuły lub ich części i gazety, te opozycyjne, tak właśnie wyglądały – pełne białych plam.

Pułkownik słuchał najpierw z uwagą, a potem już z jawnym rozbawieniem, którego Jaromir nie rozumiał.

– Ty się nie obraż – rzekł w końcu Zwiagincew, śmiejąc się z całego serca – ale ci wasi tam, na górze, to duraki byli.

– A czemu bym się miał obrażać? Sam wiem, że światem można rządzić bez rozumu, nam się to przecież właśnie przydarzyło i dlatego teraz mamy – tu wskazał gównno, zalegające oranżerię, do której były otwarte drzwi – to, co mamy.

– A ja nie o tym. Toż po co oni robili ingerencje dopiero, gdy szło do druku? Przecież mogli, tak jak u nas, zdjąć te teksty wcześniej. I śladu by nie było.

Jaromir westchnął, wziął oddech, by odpowiedzieć, ale dał spokój, bo długa by to była historia i pewnie nudna. O prawie i jego zasadach. A także o przyzwoitości, wciąż jakoś jednak obecnej przed wojną, mimo że podstawy ich świata już zaczynały się chwiać, a standardy obniżać. Może nie było idealnie, ciągle jednak obowiązywało prawo i jego reguły.

Zwiagincew się pośmiał, a potem wyciągnął zza pazuchy książkę. Wziął ją kilka dni wcześniej. Wśród książek odnalezionych w Goerbitsch było trochę tak zwanych rossików, książek

rosyjskich, których wcale bogate zbiory posiadała biblioteka uniwersytecka i tu właśnie dokopali się też i do nich. Pułkownik, gdy dojrzał tytuł, sięgnął, potrzymał chwilę, ważąc w ręku tom, a potem poprosił o pożyczenie, mówiąc:

– Kiedyś, wiesz, doktorze, lubiłem wieczorem poczytać. A teraz tylko raporty i raporty.

Chodakowski ochoczo mu pożyczył, doceniając samo słowo „pożyczka” i nie patrząc nawet, co tamten bierze. Nie chciał wiedzieć, by Zwiagincewa nie krępować, a i samemu się nie denerwować, jeśli książka przepadnie. Tak było lepiej.

Teraz książka wylądowała z powrotem na stosie innych, komendant istotnie tylko ją pożyczył.

Dziwnie mu błyszczały oczy.

– Wiesz, całą noc ja oka nie zmrzyżył! Rentgen prawdziwy. Rentgen, co ja mówię, lepszy niż rentgen. Do szpiku kości człeka przejrzy. Zagląda ludziom w dusze. Odkryje każdą myśl, nawet najtajniejszą, do której sam się boisz przyznać. Myślę, że i on się tych myśli bał, stąd je znał. Wyrzucał z siebie myśli, w książki wkładał. Bo te myśli o ludziach to są jak rak, jeśli się ich nie pozbędziesz, zjedzą cię. Do kosteczki. Jak rak.

– Dostojewski. Tak. To prawda.

– A ty skąd wiesz, że ja o nim?

– Nie ma takiego drugiego na świecie.

– Czytałeś! – zapalił się Zwiagincew.

– Tak, wszystko czytałem.

– Tak ukradkiem przeczytałeś? Po cichu, w bibliotece?

– Czemu ukradkiem? Zwyczajnie czytałem, miałem komplet dzieł Dostojewskiego w swojej bibliotece. Własnej, domowej.

– A u nas to wiesz, u nas jego nie wolno.

Chodakowski się zdziwił.

– U was nie wolno czytać Dostojewskiego?!

A widząc przestrach w oczach pułkownika, uspokajająco machnął ręką.

– Ja przecież nie prowadzę śledztwa.

Zwiagincew się zdziwił.

– Ale... u was wolno czytać Dostojewskiego? Nie pilnowali, co kto może czytać?

Chodakowski wyjaśnił, że nie pilnowali. Literatura była ważna, potrzebna. Pisarze wskazywali drogę rozwoju, błędy, od nich uczyli się i politycy, i zwykli ludzie. Prus, Żeromski, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Brzozowski, Świętochowski, Kaden-Bandrowski, Dąbrowska czy Nałkowska – byli nauczycielami, przewodnikami po życiu i historii.

– U nas inaczej, ale, wiesz, u nas klasycy wychodzą w milionach egzemplarzy i musimy uważać, co ludzie czytają. W książkach czasem złe myśli są i człowieka mogą sprowadzić na manowce, my czuwamy nad naszymi obywatelami. Dostojewski za dużo o złym w człowieku wiedział, dlatego ani go czytać nie wolno, ani wydawać. Dbamy o ludzi, rozumiesz.

– Najłatwiej zakazywać – zachnął się doktor. – Ale czemu i tobie nie wolno tego czytać?

– Wiesz, na moim szczeblu nie rozmawia się z takim wrogiem jak Dostojewski. Za małutki jestem, za małutki.

Chodakowski popatrzył na kiwającego ze smutkiem głową Zwiagincewa i zadał mu ostatnie pytanie, najważniejsze:

– Jak tam u was jest?

– U nas? – Tamten się zawahał. – U nas? U nas jest, bracie, nudno, potwornie nudno.

30 MARCA 1945, BOTTSCHOW

Łąka łagodnie opadała ku wodzie. Tworzyła miękką ukwieconą dolinę zakończoną rozciągniętą szarą plamą nieruchomego jeziora, tego dnia trochę jaśniejszego, bo rozświetlonego przedwiecznym słońcem. Była porośnięta trawą, już dość wysoką i niesforną, niektóre jej kępy, wyższe niż inne, sterczały zadziornie ku górze i kolory też miały różne. Pewnie kiedyś o tej porze roku pasły się tu krowy czy owce, pomyślała Zosia. Teraz krów nie było.

Siedziała na kocu przyniesionym z kwatery i wplatała stokrotki w warkoczyk Anny Ludwiki. Wokoło, w trawie, rosło mnóstwo stokrotek, białych i różowych, wystarczyło po nie sięgnąć. Dziewczynka też wiała wianek, też ze stokrotek, i tak sobie obie siedziały w leniwym, ale przyjemnie podgrzewającym wiosennym słończku.

Chciałabym mieć taki kolor włosów, pomyślała Zośka, patrząc na płowe kędziorki dziewczynki, o ile mniej miałabym w życiu problemów. Ona też ostatnio zaplatała warkocz, kolorem przypominał jednak skrzydło kruka. Nagle Anna wychyliła się do przodu i pukiel jej włosów wysmyknął się z ręki fryzjerki amatorki.

– Posłuchaj, słyszysz? – zawołała mała, podskakując. – To Reks, Reks szczeka!

Zosia znieruchomiała na moment i istotnie usłyszała tubalne szczekanie psa. Chwilę pomilczały, wsłuchując się w odległy psi baryton, dobiegający z pobliskiego lasu, ale głos zamilkł i wróciły do swych zajęć. Zośka zawiązała warkoczyk kolorową, wcześniej przygotowaną szmatką, Anna Ludwika zapętiła wianuszek.

Podąła go Zośce.

– Weź, włóż, będziesz wyglądała jak rusałka. A Reks szczekał z radości, podniecenia, znam jego głos. Może królika złapał. On się cieszy.

– Tak, pewnie coś upolował – zgodziła się Zosia, wstając z miejsca. – Musi przecież polować, skoro żyje.

– To mądry pies. Tata mówił, że najmądrzejszy, jakiego zna. I odważny. Musiałyśmy go odprowadzić do lasu, bo się na „tych” rzucał. Na „tych”, wiesz. – Spuściła oczy. – Uciekł, ale strzelali do niego. To go odprowadziłyśmy do lasu i kazałyśmy tam zostać, i on został. Zrozumiał.

– Rzeczywiście, mądry pies, posłuszny. – Zosia kiwnęła głową i wyciągnęła rękę do małej, by podnieść dziewczynkę na nogi. – Chodźmy do domu, ugotuję dziś kolację w zastępstwie twojej mutti.

– A co zrobisz? – Modre oczy Anny Ludwiki wpatrywały się w nią uważnie.

– Tuszonkę z puszek usmażę jak kotlety. Nie gotuję tak dobrze jak twoja mamusia.

– Ach, to prawda. – Anna Ludwika pokiwała poważnie i ze smutkiem głową. – Moja mutti umie ugotować coś z niczego. A ta tuszonka nie może się udać.

– Czemu tak uważasz?

– Dawałaś ją na śniadanie, jest za słona.

Trudno było się z tym nie zgodzić, więc Zośka zmieniła temat:

– Jutro wyjeżdżamy. Nie będziesz się bała bez mamy?

– Frau Reiter do mnie przyjdzie, tak ustaliły z mutti.

– Wiem, ale mimo to?

– Ja się nie boję. Niczego się nie boję.

– Nie boisz się wojny? Śmierci?

– Nie. Nie boję się. Tu wojny nie było. Dopiero miesiąc temu, jak ci, co wiesz, się pojawili, zaczęli zabijać i robić to mamusi. Mutti się boi, ale nie ja.

– Dzielna jesteś.

– Tatusz tak mi powiedział: „Bądź dzielna”. I poszedł.

Westchnęła. A Zosia pomyślała, że jej ojciec też to powiedział. I został.

– Frau Reiter na pewno dobrze się tobą zaopiekuje.

– Tak, ona jest miła i już nie ma nikogo. Ale ona o tym nie wie. Jak mówi mamusia, nie chce wiedzieć. Listonosz przyniósł jej list, a ona go wyrzuciła. Nie otworzyła, wie pani. I czeka, czeka na Arniego. To jej syn. On był dobry.

Zosia lekko się zachmurzyła. Nie wydawało jej się, że Arni mógł być dobry. Na tej wojnie nie spotykała dobrych nazbyt często. Westchnęła.

– Uciekam! – krzyknęła Anna Ludwika. – Uciekam, a ty mnie goń!

Ruszyła pędem do przodu, a Zośka złapała mocniej trzymany w ręce koc i pobiegła za nią, podtrzymując drugą ręką spadający z głowy wianek.

31 MARCA 1945, BOTTSCHOW

Młody Joachim Szendzielorz zamknął drzwi pustego już magazynu i podał klucz ojcu, który z powagą włożył go do kieszeni. Wszystkie książki czekały w wagonie. Kolejarz, bardziej niż zwykle zgarbiony, poszedł w kierunku peronu, a Joas, podobny do tamtego, rudawy i piegowaty, tylko młodszy, wziął niewielki węzełek z całym dobytkiem przygotowany mu przez matkę i udał się za ojcem.

Ustalono, że Joas pojedzie pociągiem wraz z profesorem Migoniem i Balcerzakiem. Zosia, Jaromir Chodakowski i Józek Mazurkiewicz mieli wracać pustą ciężarówką. Pustą do czasu, bo szofer zamierzał po drodze zaopatrzyć się w wymarzoną szafę, a może w coś jeszcze. Mógł to wszystko wziąć w Bottschow, ale było mu jakoś niesporo, znajdzie po drodze jakiś opustoszały dom i zabierze, co tam będzie przydatnego. Tak ustalili z Chodakowskim, który też asystował przy odjeździe pociągu.

Dojrzał starego Szendzielorza, odprowadzającego syna, i postanowił się do nich nie zbliżać. Niech się w spokoju pożegnają.

Profesor Migoń już siedział w środku swojego wagonu wygodnie ulokowany na jednym z zacnych foteli, dostarczonych przez Józia z opustoszałego domu. Profesor i Joachim siedzieli osobno. Tak się umówili, by skuteczniej pilnować książek. Profesor żałował tylko, że choć tyle wokoło książek, w ciemnościach nie da się czytać. Światło padające z niewielkiego zakratowanego okienka było mikre.

Odjazd pociągu planowano za pół godziny. A Jaromir z Zosią mieli zamiar ruszyć swoją ciężarówką do Warszawy od razu, gdy wagony wreszcie opuszczą stację. Jeśli szczęście będzie im sprzyjać, w Wielką Niedzielę powinni dotrzeć do domu, do Warszawy.

Pierwsze święta po wojnie, jakoś tam ważne. Jaromir pomyślał o swojej żonie, Hani, samotnej w ich małym pokoiku na Smulikowskiego. Ucieszy się. Coś jej ładnego przywiezie, na początek nowego życia; coś, co ubarwi szarą egzystencję. Przed wojną mieli wszystko, a teraz... Westchnął. Nie chciał o tym myśleć. Nie chciał pamiętać, co było, a co jest czy czego nie ma. Nie lubił tej nowej ulicy, na której znaleźli przytułek, była pusta i ponura, czuł w niej jakieś zło.

Może to irracjonalne, ale mimo że znalazł tam wolny pokój, co było niebywałym szczęściem, po kilku zaledwie dniach zaczął marzyć, by uciec z tego mieszkania. Co w nim się wydarzyło – nie wiedział, ale przecież mało było miejsc, gdzie nic się nie stało. Pogonił głupie myśli, wyciągnął papierosa i nieco się odprężył. Poszuka czegoś, jakiejś rzeczy. Pięknej. W jednym z tych pustych domów przy drodze. Może właśnie zegar przywiezie do domu? Coś, na co będzie można spojrzeć z radością w tej powszechnej szarzyźnie i brudzie.

– A na herbatę ty byś nie miał ochoty? – Usłyszał znajomy głos.

Stał przed nim, w oparach dymu z pociągu, stary Tatar.

– Przecież wyjechałeś? – zapytał niepewnie.

– O, wyjechałem, ale wróciłem. Tak bywa, przyjacielu, na wojnie różnie bywa. I tam, na bocznicy parzę herbatkę. – Wskazał szary samotny wagon, przed którym kopcilo się niewielkie ognisko. – Zapraszam.

Jaromir miał wrażenie, że to sen, ale posłusznie poszedł za starcem, patrząc na jego przygarbione plecy, siwe, długie, dużo za długie, włosy i śmieszna haftowaną, całkiem nieregulaminową czapkę. Czasu nie było wiele, ale z przyjemnością przysiadł na stopniu wagonu, trzymając w ręce metalowy kubek parującej herbaty.

– Trzeba się będzie pożegnać. Teraz to już na zawsze – zagadał *starszina*, upijając łyk.

– Nigdy nie wiadomo – odparł Jaromir. – Kto by pomyślał, że wrócisz.

– Tak, cuda niekiedy się zdarzają, ale nie dwa razy. To zabierasz swoje książki? Ja widział, dużo ich masz, oj, dużo. Wiesz, po prawdzie to nigdy nie czytał. Nie umiem. *Takaja żizn*²⁵. Nie szło. Ale tak sobie o tobie ja myślał, że czytać książkę to zupełnie jak śpiewać pieśń o zmroku, kiedy ziemia już wzięła, co tam miała, od słońca i teraz sobie odpoczywa. Ja znam pieśni i są takie, gdzie wszystko znajdziesz, a jak czegoś w pieśni nie ma, to zawsze sobie dośpiewasz, bracie. Tak pewnie i wy czujecie z książkami?

– Zgadłeś, wodzu! – zaśmiał się Jaromir.

– No widzisz. Nie złość się ty na naszych ludzi, że ci te książki podarli. Gdyby nie wojna, to ludzie byliby inni, to ona ich popsowała. W wielu rzeczach, także w tych, jak by tu rzec, książkowych. To wstyd, ale to nie ich wina, żołnierz potrzebuje zapalić, chyba to rozumiesz, a u nas niby dobrze, a zaopatrzenie jednak szwankuje. Tytoń mamy, no, bibulek niet. Ludzie, wiesz, niektórzy, tacy już są, że chcą, by wszystko od nich zależało. I słońce, i wiatr. No i człowiek też. Ale nad wiatrem nie zapanujesz i nad człowiekiem nie dasz rady.

Jaromir patrzył na starca, słuchał go i myślał, że jednak prawda wygląda trochę inaczej. Mało jest książek, które można zaśpiewać o zmroku. Wiele z nich to świadectwo głupoty, zarozumiałstwa i pychy. Ludzkie złudzenia są w nich pochowane. Także to, że można zapanować nad człowiekiem i jego umysłem. Książki nie są wieczne, umierają szybciej niż ludzie – a jeśli trafisz na takie – dają ci nie pieśń o zmroku, a zwyczajną jałową pustkę czy tylko chwilową ułudę. A jeśli nawet zasługują na szacunek, to tak jak mogiły na cmentarzu – i są tylko rzeczy pamiątką. Bywają książki niewarte czytania. Ale ludzie, ludzie są stworzeni do wolności. Tylko jej się niekiedy boją. I zawierają religii, władzy, a czasem książkom. O ile te dwie pierwsze mają, to idąc za książkami, można się stać wolnym. Idąc za dobrymi książkami, poprawił się w myślach.

Ale tego staremu Tatarowi nie powiedział, tylko uściśnął mu rękę i odszedł w kłęby pary wydobywające się z szykującego się do drogi pociągu.

[23](#) Obecnie ul. Piękna.

[24](#) Dzień dobry panom (niem.).

[25](#) Takie życie (ros.).

Wielkanoc

1 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Drzwi skrzypnęły. Zosia wtargnęła dużą walizkę do korytarza szczęśliwa, że już jest w domu. Z kuchni jak zwykle dobiegał gwar i pokrzykiwania.

Że też oni nigdy cicho nie gadają, pomyślała, Jaromir Chodakowski i profesor Migoń nie podnosili głosu, a najwyżej lekko modulowali, by lepiej uwypuklić jakieś twierdzenie czy puentę. Dźwigając walizkę do sypialni, Zosia poczuła zadowolenie. Czas spędzony w zacnym towarzystwie był wart przynajmniej tyle, ile semestr studiów. Ileż ona się nauczyła, podsłuchując rozmowy, dyskusje i żarciki obu panów. To było bezcenne. Postawiła walizkę tuż za progiem pokoju i powędrowała do kuchni.

Wszyscy domownicy w komplecie siedzieli przy świątecznie zastawionym stole. Także Franiowie i sąsiedzi – Nowakowie. Aż jej się ciepło na sercu zrobiło, gdy dostrzegła cały ten wesoły, rozgadany, lekko podchmielony tłumek, i spojrzała na przyjazne twarze. Na jej widok Helenka oczywiście podskoczyła z radości i chwyciła ją w ramiona, a Irenka też Zosię objęła.

– Dobrze, że wróciłaś, już się trochę martwiłyśmy – zaszeptała w Zosine ucho.

– Wszystko u mnie dobrze, świetny wyjazd!

– A drogi jakie? – zainteresowała się Irka z błyskiem w oku. Myślała o Romku, którego ciągle nie było. Zbyt długo już nie było.

– No różnie, dziś nas ostrzelano, kiedy się nie zatrzymaliśmy na machania jakichś maruderów.

– Czyli niebezpiecznie?

– No, tak. Póki ludzie mają broń, a nie ma władz, w zasadzie jest tam trochę jak na Dzikich Polach, zza krzaka może zbój jaki wyskoczyć. – Usadowiła się przy stole na dostawionym przez Wojtkę Głazę stołku.

– Pani je, panno Zochno. – Franio podsunął jej półmisek. – Te jajka faszerowane moja wyprodukowała – dumnie zareklamował małżonkę.

Irka podstawiła Zośce talerz, Helenka podała sztucce, a Zalewski nalał do szklanki wódeczki, bo kieliszków zabrakło.

– To za szczęśliwy powrót! – Głaza wzniosł toast.

Wypili wszyscy, łącznie z Zosią, która z wolna przywykała do wódki.

– To popróbuj sałatki z kartofli mojej roboty – Hela podsunęła jej salaterkę – wyszła mi całkiem, całkiem. Wzięłam przepis od pani Franiowej.

– Pirsza klasa! – zawołał Wojtek, wrzucając sobie dwie łyżki na talerz tuż przed nosem Zośki, dla której zostały też dwie, ale że nie jadała zbyt dużo, więc nie pożałowała mu ani przez minutę. Tylko Hela nieco zmarszczyła nos z niezadowolenia.

– To co u was słychać?

– Nic nowego. Kręcimy się powoli. Powiedz lepiej, co u ciebie? – zapytała Irka. – Odnależliście książki?

– Tylko mniej więcej jedna trzecia wróciła z nami, resztę zniszczyli Sowieci, podcierając sobie nimi tyłki i rozwalając, gdzie się da.

– Czyli jesteście zadowoleni? Czy nie? – upewniła się Hela.

– O tyle, o ile. Ale dobrze, że coś mamy, i to bardzo wartościowe rzeczy. Odzyskaliśmy dużo rycin zebranych przez Stanisława Augusta.

– A jak tam jest, na tych Ziemiach Zachodnich? – zainteresował się Zalewski. – Czasem się zastanawiam, czy się nie wypuścić gdzieś w poszukiwaniu szczęścia. Zacząć w nowym miejscu od nowa, w sumie to dość kusząca przystojna.

– Pięknie tam. – Zośka aż się rozmarzyła, było to widać w jej oczach. – Śliczne okolice, jeziora, rzeki, zieleń bardziej intensywna niż tu i już kwitną forsycje.

– Naprawdę? – odezwała się Franiowa, która zmywała coś w misce, przysłuchując się rozmowie.

– Tak, ciepło było, jak wyjeżdżaliśmy, majowa pogoda. Na zachodzie wcześniej się rozpoczyna wegetacja. Znaczą, jest cieplej, to i wszystko szybciej rośnie.

– A domy? To prawda, że stoją puste i pełne wszelkiego dobra? – Zalewska była zachłanna, nieraz dawało się to dostrzec, teraz też to, co materialne, bardziej ją od przyrody interesowało.

– Tak. Dużo pustych willi, gospodarstw, folwarków i majątków ziemskich. Ale też ciągle są Niemcy, jedni uciekają, inni myślą zostać i pilnować swego. To przeważnie samotne kobiety. Marny ich los, nie sądzę, by długo się utrzymały. Przyszło im płacić rachunki za winy mężczyzn.

– A lekarze są?

Rudasek wskoczył Zośce na kolana, więc zaczęła go drapać za uchem.

– Nie, panie Jacku, skąd. Tam, gdzie byłam, w okolicy ani jednego lekarza czy felczera. Wszyscy poszli na front. Najbliższy szpital znajduje się we Frankfurcie i jest rosyjski. Nawet naszych żołnierzy niechętnie przyjmuje.

– Myśli pani, panno Irenko, że warto tam jechać? – zapytał dotąd milczący Igor Nowak, chłop jak dąb, murarz, dawniej z Woli, teraz ich nowy sąsiad.

– Myślę, że warto, naprawdę można zacząć życie od początku, w przyzwoitych warunkach. Ale dla murarza to tu więcej roboty niż tam. Tam są niezniszczone domy i nie ma pracy. Brakuje też żywności, z tym jest problem, choć sądzę, że to z powodu wojennego przednówka. Jesienią, o ile ludzie pojedą i zasiedlą te tereny, spichlerze znów powinny być pełne. – Zośka zreferowała sytuację, jak umiała, i sięgnęła po kiszony ogórek i kawałek kiełbasy.

Była pełna podziwu. Lokatorzy z Mokotowskiej się zorganizowali i przygotowali wielkanocny posiłek. Naprawdę, w sumie to wszyscy oni są porządnymi ludźmi. Każdy miał jakąś wadę, jak to w życiu, ale Zośka nie była zapiekła i uważała, że niedoskonałości dodają kolorytu. Lekkie oczywiście. Bo podłości nie tolerowała.

Lubiła ich i to mieszkanie, a także panującą w nim atmosferę, czuła się tutaj jak w dużej, hałaśliwej rodzinie. Wydawało jej się ostatnio, że wojna to jakiś zły sen, który jej się przyśnił i prześnił, starała się go nie pamiętać. Tylko nie zawsze było to możliwe. Wracało. W snach. O świecie. Gdy nie mogła spać. Miała jednak wrażenie, że to już odchodzi, mija. Tyle dobrych rzeczy się działo i była nimi zaabsorbowana. Pracą, którą polubiła tak bardzo, że wahała się, czy wracać jesienią na rozpoczęte przecież studia na architekturze. Teraz jednak o tym nie myślała, tylko się cieszyła, że jest w domu, wśród swoich.

Irka przycupnęła na krześle zmartwiona. Patrzyła w obrus i prawie nie słuchała. Romek nie wracał, niby był jeszcze czas, ale martwiła się o niego. Wyglądała go ciągle, a gdy drzwi w tramwaju zaskrzyphiały, myślała, że to on. Żałowała, że z nim nie pojechała – byłby

bezpieczniejszy, bo przecież jej nic się nie imało.

Niepotrzebnie zrezygnowała z wyjazdu. Była kilka razy na Woli, na Płockiej, u tego kolejarza, Marciniaka, ale go nie zastała. Pociągi kursowały nieregularnie i matka, która z nim mieszkała, spodziewała się powrotu syna każdego dnia, ale kiedy dokładnie wróci i na ile, nie wiedziała. Irka zostawiła adres, tylko czy taki zapracowany facet znajdzie czas, by tutaj przyjść, i akurat na nią trafi? W domu czy w kawiarni bywała nieregularnie, musiała sama złapać Marciniaka.

Postanowiła więc jutro jeszcze raz się do niego wypuścić. Chciała wiedzieć już, teraz, natychmiast, czy znaleziony przez niego chłopiec to Władek, chciała to mieć za sobą. Całą wojnę była cierpliwa, wiedziała, że nie ma żadnej możliwości odnalezienia małego. Ale teraz wszystko w niej wybuchło. Naraz. Romek. Może to on był przyczyną. Zapalnikiem. Myślała o nim tak intensywnie, właściwie przez cały czas, że zdawało jej się to nienormalne, nigdy tak nie było. Bała się, ale bardzo chciała wreszcie zacząć nowy rozdział życia. Wyjść z okupacyjnej prowizorki i chaosu.

Niemcy byli pokonani. Każdy dzień przynosił informacje o ich kolejnych klęskach i zwycięstwach wojsk sprzymierzonych. Zbliżał się kres wojny. Gdyby udało się wreszcie odnaleźć Władzia lub choćby się dowiedzieć, co się z nim stało – mogłaby inaczej rządzić sobą.

Podobne myśli krążyły po głowie Heli, ona też ciągle szukała, ale powoli traciła nadzieję. Nagle, zniecka klasnęła w ręce jak obudzona.

– A ty, Zosiu, nie wiesz najważniejszego!

– Czego nie wiem?

– Znalazł się Mietek Angielak! Na ulicy mnie zobaczył. Już wcześniej mnie szukał i był też tutaj, u Franiowej.

– Świetnie! – wykrzyknęła z udawanym entuzjazmem Zośka i spojrzała na Irenkę. Wymieniły ukradkowe spojrzenia.

Irka opowiedziała Zośce, że widziała Mietka wtedy, na klatce domu w Jędrzejowie, i jak jej się wydawało, stał za drzwiami kompletnie przerażony, kiedy ten Kałmuk gwałcił Helę. Ale w sumie, uznała Zośka, to Irka pewności nie miała, że wiedział, co u nich się dzieje. Może tchórz z niego, a może nie. Nie każdy jest bohaterem, tyle już się nauczyła. A także tego, że niczego nie można wymagać w sytuacjach ekstremalnych. Wygląda jednak na to, że Mietek lubi naszą Helę, pomyślała. Spojrzała na przyjaciółkę, która promieniała, oczy jej się tak śmiały i było w nich to światło, które, jak się zdawało, po Jędrzejowie kompletnie utraciła.

– A co on teraz robi? – zainteresowała się.

– Uczy się na organistę, jego ojciec był organistą tu obok, u Świętego Aleksandra, ale że teraz kościół w ruinie, to grają obydwu w takiej knajpie na Marszałkowskiej.

– Całkowita zmiana repertuaru! – zaśmiała się Irka.

– No, trudno im się przestawić, tak mówił Miecio, ale co robić, na razie trzeba. Poza tym pomagają proboszczowi organizować odgruzowywanie kościoła. Potem pewnie będą go odbudowywać.

– Warszawa z dnia na dzień ładniejsza! – powiedział Franio. – Napijmy się za to!

Powód był dobry, więc wszyscy unieśli kieliszki. Głaza rozlał. I wódka się skończyła.

– To my już będziemy szli – oznajmiła Franiowa, znakomicie wyczuwając moment. – Alinka nam nieco słabuje, trzeba do niej wracać.

Na hasło „Alinka” Franio natychmiast odstawił kieliszek i podniósł się z krzesła – a za nim wstała żona.

– To my też pójdziemy – dołączyli się do nich Nowakowie.

Ona była szwaczką, i to niezłą, dziewczyny już pierwsze rzeczy u niej przerabiały.

Zrobiło się zamieszanie i wyglądało na to, że świąteczny wieczór się kończy. Ale też był ku temu czas, bo Zośka do domu przyjechała tuż przed dziesiątą, a teraz zbliżała się dwunasta.

Franiowie wyszli już do korytarza, gdy nagle drzwi wejściowe szczęknęły. Ktoś otwierał zamek. Wszyscy byli w domu, stali razem, w korytarzu, więc zamarli z zaskoczenia. Popatrzyli się po sobie, ale nikt nic nie powiedział. Czekano w ciszy, a zamki szczękały.

– Kogo diabli niosą? – spytał szeptem Zalewski, wysuwając się naprzód i zasłaniając sobą kobiety.

Podobnie uczynił Franio, naprędce się rozglądając za czymś do obrony.

Napady były na porządku dziennym, ale Irka pomyślała przytomnie – ten za drzwiami albo ma wytrych, albo klucz. I bardziej to wyglądało na klucz. Bandy ci chyba się nie włamywali do mieszkania pełnego ludzi?

W tym momencie nieproszony gość poradził sobie z trzecim zamkiem. Drzwi się otworzyły na całą szerokość. I zobaczyli Groźnego.

Milkliwego lokatora z gabinetu.

Stał przez moment, patrząc na zbity tłumek przed sobą. Nikomu nie spojrzął w oczy, po prostu przesunął wzrok po nich wszystkich.

Potem odwrócił się i starannie zamknął za sobą drzwi.

Na wszystkie trzy zamki.

Co zrobiwszy, w absolutnym milczeniu minął pozostałych, podszedł do swoich drzwi i jednym energicznym ruchem zerwał papierowe pasy. Pieczęcie upadły na podłogę i potoczyły się pod nogi Frania.

Było w tym coś symbolicznego. Nadal nic nie mówiąc, przybyły przekreślił kolejny klucz i po prostu zniknął w gabinecie. Stali nieruchomo niczym chór. Może i grecki.

Pierwszy oprzytomniał Franciszek, rzucił krótkie: „Dobranoc!”, i wraz z przestraszoną małżonką opuścili mieszkanie.

Po chwili w holu nie było nikogo.

Irka, gdy już weszły do pokoju, złapała Zośkę za rękę, ścisnęła mocno i wysyczała:

– No to koniec. Przeszedł na ich stronę. Zdradził. Teraz to dopiero będzie. To koniec, mówię wam. Mamy bezpieczniaka w domu.

2 KWIEŃNIA 1945, WARSZAWA

Rano w mieszkaniu panowała cisza.

Nikt chyba nie korzystał z łazienki. Stała tam miska, wiadro, nic wielkiego. Wanna, nieużywana, zapchana była betami Kachy, ale nad umywalką można było bardziej się otoknąć niż porządnie umyć czy umalować. Panowie golili się, korzystając z dużego lustra i dobrego światła, na gwoździu wisiał pasek, na którym Zalewski i Głaza ostrzyli brzytwy, żelazko Kaśki do karbowania włosów sąsiadowało na parapecie z wałkami Wandy Zalewskiej. Zawsze to łazienka stanowiła miejsce pierwszych porannych konfliktów i potyczek. Wodociągi nie działały, kanalizacji nie było, więc podejrzania o podbieranie wody były na porządku dziennym.

Gdy Irka spojrzała na blaszany budzik stojący przy łóżku, za oknem jasno świeciło słońce. Zerwała się szybko, bo wskazywał prawie dziewiątą, nigdy tak długo nie spała. Ale

w momencie, gdy już spuszczała nogi z łóżka, przypomniała sobie wczorajszy wieczór, powrót lokatora z gabinetu i to, że dziś lany poniedziałek. Położyła się z powrotem i skuliła pod watowaną ciężką kołdrą. Odechciało jej się wstawania.

W nocy nie mogły zasnąć. Długo szeptały, jak to teraz będzie z ubekiem za ścianą. Niby nic nie miały do ukrycia, ale strach coś głośniejsze powiedzieć albo skrytykować. A jeżeli mu się zachce całego mieszkania? Jak zdecyduje się pozbyć reszty domowników? Wszystko było możliwe, Irka wolała nawet o tym nie myśleć.

Cisza panująca w mieszkaniu była tak dojmująca, tak nienaturalna, jakby ktoś umarł, a pozostali przy życiu wstrzymywali oddech...

Poleżała chwilę jeszcze, słuchając równego oddechu Heli i Zochy. Widać ten spokój spowodował, że wszystkie spały dłużej niż zwykle. Wyślizgnęła się w końcu z łóżka i pokoju, i na palcach poszła do łazienki, trzymając w ręku nocnik. Wylała jego zawartość do wiadra, zadowolona, że nikogo nie spotkała, i zostawiła naczynie koło zapchanej wanny. Ta Kaśka ma talent do rozpełzania się po całym domu ze swoimi rzeczami, inna sprawa, że służbówka jest naprawdę mała, pomyślała Irka na wpół rozbawiona, na wpół zła. Umyła się spokojnie jak nigdy, nie niepokojona przez nikogo. Postanowiła znów iść na Płocką, do Marciniaka. Nie miała przecież nic lepszego do roboty.

W pokoju Hela zaczynała się budzić, ale Irka starała się nie hałasować. Włożyła szybko sukienkę, pończochy, wzięła historyczny już żakiet, bo mimo słońca dzień za oknem nie wydawał się zbyt ciepły.

– Dokąd idziesz? – zapytała Hela, wynurzając się spod kołdry. Była rozczochrana i zaspana.

– Do tego kolejarza, może na niego w święto trafię.

– Mam przypilnować wagonu?

– Nie byłoby źle, dziś lany poniedziałek, ludzie spacerują, może kto wpadnie. Zawsze parę groszy zarobisz.

– Dobrze, to i ja się zbieram. Po drodze wezmę wodę z hydrantu przy Wilczej. Już mało zostało w tramwaju.

– Do hydrantu to może być kolejka gówniarzerii.

– Oj, no tak. Żeby tylko kogo nie oblali, może ludzie ich nie dopuszczą. Tam i dwie godziny stoim w kolejce.

Helka zaczęła się gramolić z łóżka, Irka w przelocie machnęła jej ręką i wyszła. Na korytarzu przy drzwiach do gabinetu, gdzie znów rezydował Groźny, bo teraz tak go w myślach nazywała, zwolniła i posłuchała, czy tam coś się dzieje, ale panował spokój.

Może poszedł? – pomyślała. Może uciekł w nocy. Dałby Bóg.

Na Wolę dotarła w miarę szybko, okazijną furmanką złapaną na placu Zbawiciela. Kosztowało to ją nieźle, ale jakoś nie miała dziś ochoty na kilometrowe marsze.

Kamienica zamieszkiwana przez Marciniaka zachowała się w dobrym stanie, klatka schodowa przypominała jednak przedpiekle. Nie tylko dlatego, że była brudna zwykłym brudem. Krew – Irka umiała ją rozpoznać. Na ścianach widniały plamy krwi, domyślała się jej także na schodach, co nie nastrojało zbyt optymistycznie. W ogóle od wczoraj miała atak melancholii. Tej czarnej pani, jak ją nazywała.

Ciężko i powoli wchodziła na górę. Złe przecucia wciskały się do głowy. Wydarzenia poprzedniego wieczora, źle przespana noc, to wszystko wyprało Irenkę kompletnie z energii i optymizmu.

Tym razem miała szczęście.

A może nie.

Sam Marciniak otworzył drzwi. Ponieważ czuła strach, była pewna, że niczego dobrego się dziś nie dowie. Są takie dni i przeczucia. Uznała, że wolałaby go nie zastać. Ale był.

Usiedli w niewielkim pokoiku wypełnionym cudownymi obrazami, makatkami i wszelkiego rodzaju najbrzydszymi rzeczami, jakie tylko Irka mogła sobie wyobrazić. Na ścianach wisały dywany, inne leżały na podłodze i nawet tapczan był przykryty huculskim kilimem. Migało od tego w oczach.

– Pytała pani o tego chłopca z sierpnia czterdziestego drugiego.

– Tak. – Kiwnęła głową, czując, że zaczyna ją potwornie boleć żołądek. Była blisko. Rok i data się zgadzały.

– To pani z nim jechała?

– Nie. Opiekunka, która miała go przewieźć z miejsca na miejsce.

– Aha. – Zamyślił się i zaczął jej się przyglądać. Był wysokim, postawnym mężczyzną z krzaczastymi brwiami. Nie wyglądał staro, ale... poważnie. Czuło się, że to człowiek serio.

– Znalazł pan tego małego? Wie pan, co z nim? Ta dziewczyna, która go miała zawieźć do Milanówka, Janina Rutko, zgubiła go w Podkowie. Tam go pan znalazł?

– Nie, nie w Podkowie. Chłopca znalazłem w kolejce.

– W kolejce?! – ucieszyła się Irka. – No proszę, Władzio zawsze był sprytny! Schował się!

Niepokój powoli ustępował, na jego miejscu pojawiła się radość. Czuła, że jest tuż-tuż.

– Nie, nie schował się. Siedział tam cały czas, w rogu wagonu.

– Nie rozumiem?

– Widzi pani, ja go z początku nie zauważyłem, nie rzucał się w oczy. Może zresztą był z tą opiekunką, bo jak kasowałem bilety, wszystko grało. Później zobaczyłem, że jest sam. Wtedy mu się przyjrzałem i już wiedziałem. Nie zbliżałem się do niego. Przejechaliśmy całą trasę, a on siedział ciągle na tym samym miejscu, tylko ludzie się zmieniali. Udawali, że go nie widzą. Był niewidoczny. Jakby nie istniał. Potem specjalnie stałem w tym wagonie i miałem na dzieciaka oko. Obserwowałem, myślałem, że może jednak jest z kimś, kto dla swojego bezpieczeństwa przy nim nie siedzi. Tak też się zdarzało. Ale gdy zrobił trasę kolejny raz, nabrałem pewności, że ktoś wsadził go samego albo porzucił.

– Porzucił?

– Takie dzieci po prostu wystawiało się na ulicę czy gdzieś, kiedy rodziny czy opiekunowie przestawali płacić. My tu z różnymi wypadkami mieliśmy do czynienia.

– My?

– Byłem w organizacji. Poza tym pracowałem na kolei, a tam widzi się więcej. To tak jakoś jest.

– A Niemcy? Nie było tam wtedy Niemców?

– Mały miał szczęście, ciut wcześniej urządzili dużą łapankę w Komorowie czy Podkowie, już nie pamiętam, wyciągnęli mnóstwo ludzi. A potem zrobił się spokój. Wyjątkowo. Więc mały jeździł w tę i z powrotem. Wyglądał przez okno, nudził się, nawet zasnął oparty o jakąś przypadkową grubą jejmość. – Kolejarz zamyślił się na moment. – Możliwe, że ta opiekunka porzuciła go właśnie w czasie łapanki.

– I co pan zrobił? Coś pan z nim zrobił? Prawda? Pytał się pan, kim jest?

– Nie, w ogóle z nim nie rozmawiałem, tylko dałem mu pod wieczór bułkę, naprędce kupioną na stacji. Wtedy już zaczął się niepokoić. Widać było, że się boi, co dalej.

– To znaczy, że pan go zostawił?!

– Nie, kiedy już mogłem zejść o osiemnastej z dyżuru, bo pracowałem wtedy jako konduktor, po prostu wzięłem go za rękę i powiedziałem: „Chodź ze mną”.

– Poszedł?

– Tak, bardzo chętnie. Może zawdzięczałem to tej bułce. – Marciniak się uśmiechnął.

– Gdzie go pan zabrał?

– Tu, do mieszkania. Przyjechaliśmy dorożką, żeby dzieciaka nie było zanadto widać.

– I wtedy już pan z nim rozmawiał?

– Tak. Zapytałem, co robił w wagonie, a on odpowiedział, że Jania kazała mu tam siedzieć i czekać, aż ktoś po niego przyjdzie, i sama wysiadła z kolejki.

– O Boże! – Irka poderwała się z krzesła. – Ale podła! Okłamała mnie. Powiedziała, że ktoś ją uderzył, że wtedy puściła Władzia.

– Pewnie się wystraszyła, może w tym Komorowie, kiedy weszli Niemcy.

– Nic jej nie tłumaczy – zirytowała się Irenka – powinna była go ratować, a ona...

– Jak mówiłem, niektórzy ludzie porzucali dzieci, nie tylko żydowskie zresztą. Jak kocięta. Z nadzieją, że ktoś się nimi zaopiekuje. To nie znaczy, że ją usprawiedliwiam – dodał Marciniak – tak po prostu bywało, a i teraz się zdarza.

– Ale jak on miał na imię, bo wciąż nie wiem, czy to naprawdę Gedalia. – Irka oprzytomniała nieco.

– Władzio, Władzio Marchewka. Szczęśliwie miał na szyi woreczek z dokumentami.

Irka zaczęła płakać. Kolejarz zniknął w kuchni, gdzie kątem oka dostrzegła wcześniej jego małą matkę, siedzącą na krzeselku i pijącą niespiesznie bladą herbatkę.

– Proszę się napić wody.

Przyjęła ją z wdzięcznością, gdyż miała wyschnięte i wargi, i gardło. Upiła kilka dużych łyków, a potem postawiła szklankę na serwecie w kwiaty. Otarła oczy.

– Gdzie jest teraz Władek? Co pan z nim dalej zrobił? – zapytała z całą dostępną jej w tym momencie mocą.

Marciniak się uśmiechnął:

– Tutaj nie mógł zostać. Działaliśmy w konspiracji, nam nie wolno było łączyć niebezpieczeństw, tak to się nazywało, aby przy wpadce w akcji nie wydać przy okazji ukrywanego człowieka. Zresztą bałem się o mamę. Ona jest... bardzo nerwowa, strachliwa. Nie dałaby temu rady. W Dąbrówce mieszka moja rodzina: kuzynka Lodia, wuj i ciotka, poprosiłem, żeby wzięli małego. Mają domek w ogrodzie, zarośniętym ogrodzie, nic nie widać. Cisza, spokojna okolica. To porządni ludzie, zgodzili się i zostawiłem u nich chłopaczka, znaczy Władka. To bardzo miły dzieciak, jeździłem tam i naprawdę się zaprzyjaźniliśmy.

– Jeździł pan? Czy on jeszcze jest u pana rodziny?

– Nie, już go tam nie ma.

Żołądek znowu podskoczył jej na metr i brzuch zaczął boleć, a ręce zwilgotniały od potu. Popatrzyła na Marciniaka przerażona.

– Niech pan nie owija w bawełnę, po co te historie. Mały nie żyje? Proszę powiedzieć od razu.

– Dawno nie dostała hysterii, a teraz jej się to przytrafiło. Głos miała piskliwy, oczy pełne łez.

– Proszę się uspokoić, może jeszcze wody? – Marciniak był uprzedzająco grzeczny. Jego matka na moment pojawiła się w drzwiach kuchenki niczym duch i natychmiast zniknęła.

Irenka sięgnęła odruchowo po szklankę i nie włączając w to żadnej myśli, upiła nieco wody.

– Proszę wreszcie mi powiedzieć...

– Mały żyje, oczywiście. Jest u tej mojej kuzynki, u Lody, w Zalesiu Dolnym.

– W Zalesiu?!

– Tak. Tam, w Dąbrówce, w końcu ludzie się zainteresowali i zaczęli gadać, a więc ciotka się przestraszyła. Postanowiła oddać Władzia, ale Loda, chociaż miała wtedy zaledwie szesnaście lat, pokochała go jak własnego synka czy brata. Stali się nierozłączną parą przyjaciół i gdy ciotka zażądała, bym zabrał dziecko, dziewczyna dostała hysterii. Uspokajałem ciotkę, jak mogłem, ale się bała. Za jednego znalezionej Żyda rozstrzelili całą rodzinę, wie pani sama. Takiej starszej, prostej kobiecie trudno było opanować strach, nie spała, ręce jej się trzęsły, umierała, gdy kto przyszedł i zapukał nieoczekiwanie. Wtedy Loda zdecydowała się wyprowadzić. Wuj jej kolegi miał drewniany domek, taki czarny, podobny do góralskiego, właśnie w Zalesiu Dolnym. Letnisko, wie pani. Ten domek stał pusty i Lodzia wynajęła go za parę groszy.

Ciotka dalej histeryzowała, nie zgadzała się na wyjazd córki, ale Loda się nie dała, uparła się i już. Umie szyć, to po matce, która też była krawcową, oświadczyła więc, że zarobi sama na siebie i chłopca. No, uczciwie, to i ja – ściszył nieco głos, zerkając w stronę kuchni – to i ja im pomagałem, jak mogłem.

– Ta Lodzia dalej się nim opiekuje?

– Tak, ciągle mieszkają razem. Ludzie o małym nie wiedzą. Gdy klientka puka do drzwi, Lodzia go chowa czy raczej on sam znika, zapada się pod ziemię. Schowek mu w ogrodzie wyrzycowałem, pod drewnianą. Tak na wszelki wypadek, ale nawet się nie przydał.

– Jeszcze teraz się chowa?!

– Tak, przed ludźmi. Lodzia się boi, nie było dziecka, a teraz nagle jest. Byłem u niej w niedzielę, zamierza się przeprowadzić gdzie indziej i już normalnie zamieszkać z Władziem.

– Poproszę o adres. Zaraz tam jadę.

Kolejarz wyglądał na zakłopotanego; przeciągnął ręką po włosach, popatrzył na Irkę tymi swoimi jasnymi, miłymi oczami i powiedział:

– Z tym będzie problem. Lodzia kocha to dziecko. Jak swoje. A Władzio kocha ją. Jak syn czy brat, a może bardziej. Nie wiem, co teraz będzie. Pani przecież nie jest matką, prawda?

4 KWIETNIA 1945 ROKU, WARSZAWA

Hela pilnowała interesu, a ona robiła porządki w domu. Zamieniły się rolami, z Irenką bowiem coś się takiego stało, że nie wiedziała, co dalej robić. Ani w lewo, ani w prawo. Nie był to stan dla niej normalny i czuła się nieswojo. Bała się. Nie spała dwie noce, tylko myślała, przewracając się z boku na bok. Wstawała, piła wodę w kuchni, wyglądała przez okno. Zastanawiała się, co począć. Bała się jechać do Zalesia. Władzio był dla niej ciągle tym samym małym chłopcem, którego zostawiła z rumianymi od mrozu policzkami w prewentorium doktor Leonii Zagórskiej. Od tego czasu minęło prawie pięć lat. Czy on ją jeszcze w ogóle pamiętał? Czy miała prawo wkraczać w jego jako tako poukładane życie? Może powinna się wycofać? Jakoś pomagać z oddali? Czuwać? Sama nie wiedziała. A może jednak ją pamięta? I tęskni tak, jak ona tęskniła za nim? Bała się konfrontacji swoich wyobrażeń z rzeczywistością. Romek nie wracał, co też nie dawało jej spokoju. Powinien już tu być, ale jakoś wierzyła, że nic mu się nie stało. Był tak cudownie zaradny. Uśmiechnęła się na wspomnienie o nim. Rozmarzona, machinalnie zabrała kołdrę z łóżka i wywiesiła na balkonie. Potem dorzuciła jeszcze poduszkę i lekko ją przetrzepała.

W ślad za Zosią przywędrowało słońce, czas wietrzyć bety po zimie. Irena ugotowała na kuchni wodę na wielkie pranie, dopiero teraz możliwe było suszenie na balkonie, a więc i pranie pościeli. Irka postanowiła się napracować niczym koń. Wymyć wszystkie podłogi, zmęczyć się, zmęczenie dobrze jej zrobi. Decyzję w sprawie Władzia musiała podjąć do pojutra.

Pojutrze bowiem umówiła się z Olgierdem Marciniakiem, że pojedą wąskotorówką do Zalesia, do Władzia i Łodzi.

Wrzuciła do gotującej się wody nieco szarego mydła, dołożyła trochę błękitnej farbki i zaczęła wkładać powłoczki. Drzwi szczęknęły i wszedł Szydłowski. Nawet nie wiedziała, jak mu na imię. Nie powiedzieli wtedy. Na chwilę zamarła. Upchnęła szybko w kotle ostatnią sztukę bielizny, poświęteczny obrus, i zerknęła na niego. Stał z tyłu i czekał, aż ustąpi mu miejsca przy blasze. Zrobiła to prędko i nic nie mówiąc, wskazała wolne fajerki. On też, nie odzywając się ani słóweczkiem, postawił z trzaskiem nowy czajnik, który przyniósł ze sobą, już pełen wody.

Irka wyszła z kuchni, zastanawiając się, czy im teraz w tym MBP²⁶ dają czajniki na talony, bo na mieście nie ma przecież nowych rzeczy.

– Załapał się na czajnik, proszę, tani koleś! – prychnęła. Postanowiła nie być miłą. Nawet w myślach. Czuła odrazę.

Groźny, odkąd wrócił do mieszkania, nie odezwał się do nikogo ani słowem. Nie chował się już po kątach, wchodził do kuchni pewnym krokiem, a wtedy wszyscy natychmiast się stamtąd usuwali, znikali jak duchy, w milczeniu. Teraz też nie odezwał się ani słowem. Nic. Zero. Nul.

Irka wpadła do pokoju, usiadła na łóżku i zaczęła obgryzać kostki palców. Ze złości. Pięć lat wojny i niby już po wojnie, a tu nic nie jest tak, jak być powinno. Miała ochotę zawyć, czuła, że coś w nią wstąpiło, jakaś złość. Wściekłość.

Wstała, złapała płaszcz, torebkę i pobiegła do drzwi. Za drzwiami przypomniała sobie o gotującym się praniu, więc zawróciła. Ze złością i hałasem zestawiała kocioł i wybiegła. Już na klatce schodowej poczuła się lepiej.

Ukloniła się Franiowej, która myła okno na półpiętrze, ale zignorowała to, że Franiowa zaczęła schodzić z parapetu. Minęła ją prawie biegiem. Nie miała ochoty na strzępienie języka po próznicy. Na ulicy odetchnęła pełną piersią; ten człowiek w domu – to było nie do wytrzymania. Młody, stosunkowo młody, miał koło trzydziestki i wyglądał zupełnie przyzwoicie, jak chłopak z dobrej rodziny, tylko ukrywający tajemnicę, której należało się bać – tak myślała przedtem, zanim go wzięli. Nigdy by nie podejrzewała, że to taka szuja. Wcześniej bała się tego, co mógł ściągnąć na lokatorów wspólnego mieszkania, ale rozumiała powody, dla których dalej coś robił czy tylko się ukrywał. W końcu może i jacyś jej koledzy gdzieś tam jeszcze konspirują, choć niewielu z nich przeżyło.

Miał prawo się nie zgadzać z tym, co zrobiono z Polską, Irka też się nie zgadzała. Ale już nie miała siły walczyć, protestować. Chciała spokoju, pokoju, jak większość ludzi w kraju. Ta wojna, a potem powstanie dały wszystkim popalić. Czas odpocząć.

Lokator burzył ich spokój, budził przyczajony, obecny od lat strach.

Miał pseudonim Groźny, ale widać żaden z niego Groźny, tylko zwykły pętaś, skoro tak szybko im uległ. Nie wyglądał na pobitego ani nic. Po prostu wrócił. Może zawsze pracował na dwie strony? – myślała. Bywały takie przypadki w AK. Oczywiście różnie się zdarzało, ale ten Groźny coś za szybko wszedł. Zdecydowanie. Na pewno cały czas dla nich pracował, uznała po chwili rozważań. Nie mogła na niego patrzeć; jak to możliwe mieszkać teraz z kimś takim pod jednym dachem? Nie wiedziała. Wiedziała za to, że wzywają akowców do ujawnienia. Nie

zamierzała się zgłaszać. Jakoś tej nowej władzy źle z oczu patrzyło. Te aresztowania na ulicach, panoszący się ruscy, nie, ona nigdzie nie pójdzie i nic nie będzie zeznawać, tak postanowiła. Nie chwaliła się nikomu konspiracją i dalej nie będzie. Tę jedną sprawę sama ze sobą ustaliła. Ale czy da radę mieszkać z kapusiem – to się zobaczy. Przecież nie pójdzie ze swojego mieszkania precz. Aż się w niej złe zagotowało.

Akurat doszła do placu Zbawiciela, zerknęła na budkę pani Basi.

A! Zrobię sobie manikiur! – postanowiła. Czas być znowu damą, no może raczej damulką. Dziewczyną z variétés. Chcę się bawić, kochać się z Romkiem, żyć. Wróci, a ja dla niego... pazurki, to jest to! Westchnęła, uśmiechnęła się do siebie i nacisnęła klamkę odrapanych drzwi.

W środku było jak zwykle: ciemnawo i duszno.

Nic a nic ta nędzna buda nie przypominała przedwojennych salonów piękności, w których ona, Irenka, bywała kiedyś.

Salon na miarę czasów, pomyślała.

– Panna Irenka wreszcie do mnie! – Właścicielka szczerze się ucieszyła. – Zaraz podam miseczkę z czystą wodą – zagadywała, krzątając się koło nowej klientki. – Panie wszystkie powinny do mnie przychodzić, a już szczególnie panna Helenka, bo ręce ma zmarnowane nad wyraz.

– Helenka nieprzyzwyczajona do takich luksusów! – zaśmiała się Irka, z rozkoszą poddając się zabiegom manikiurzystki – a ja odzwyczajona.

– To trzeba znowu się przyzwyczaić, wszak latka lecą...

Irka się zachnęła. Jakie latka, pomyślała. A to mi baba przygadała.

– A co u Romki słyhać? – szybko zmieniła temat. – Dawno jakoś jej nie widziałam.

– A to panna Irka nie wie? Wyjechała.

– Wyjechała? – zdumiała się, wyjmując rękę z wody.

– Tak, za tym ruskim poszła. To pułkownik czy coś. Jakaś fisza ichnia.

– Do Sowietów pojechała?! – Nie mogła uwierzyć w to, co słyszała.

– A do jakich tam Sowietów! Za nim pojechała, na Ziemie Zachodnie, urządzić ją obiecał, tam gdzie będą stacjonowali, bo wie pani, oni już u nas – rozejrzała się i dodała po cichu: – zostają, a ta, że nie powiem kto, poleciała. Tu kątem u ciotki siedziała i dzielić się z nią każdym groszem musiała, rozumi pani. Ale zadowolona tu ostatni raz wpadła!

– Nawet się nie pożegnała... – zdziwiła się Irenka.

– No, ona taka raczej lżejsza była, i powiem, trochę wrednawa. Dla mnie to nie dziwota. Jak tu była ostatni raz, to widziałam, bo papierosa wyszłam zapalić, że was minęła, nawet i nie patrząc, tylko poleciała do dorożki, co akurat stała przy Hożej, i tyle ją widzieli.

– Trudno. Była i zniknęła. Jak wszyscy teraz.

– Kolor kładziemy?

– Poproszę jakiś różowy, tylko bardzo stonowany. Niezbyt krzykliwy.

– Pani Irenko, teraz im krzykliwe, tym modniejsze, taki czas.

6 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Helenka przestępowała z nogi na nogę. Czuła się trochę nieswojo.

Mama Mietka, pani Zofia, nie była bardzo groźna. Miała pocziwą twarz i warkocz z cienkich

włosów, zwinięty w obwarzanek z tyłu głowy. Ale zawsze przecież, co by nie mówić, pierwsza wizyta. Mieszkanko nie przerażało – skromnie, czysto i miło, Helenka poczuła się tu dobrze, po domowemu.

– A co żeście tak wtedy znikły w tym Jędrzejowie? – padło pierwsze pytanie.

Hela zbladła jak opłatek. Szczęśliwie Mietek się poderwał i zaczął hałasować w kredensie, czegoś tam szukając nerwowo.

– A co ty tam? – zdziwiła się Angielakowa.

– Chcę pannie Heli nalać tej derenióweczki, co od cioci Gosi ociec przywiózł.

– A, to tu jest. – Matka sięgnęła do szafki w kuchni i wyciągnęła wysoką butelkę z białego szkła. – Schowałam, bobyście z ojcem migiem wypili.

– Co też mama z nas tu robi? Co panna Hela sobie pomyśli.

Angielakowa się uśmiechnęła i postawiła jeszcze herbatę. Pięknie podała, w ładnej porcelanie.

– Śliczny serwis! – pochwaliła Helenka.

– Znalazłam prawie niezbitą pod ósemką. Tak sobie szperam popołudniami po domach i zawsze coś przyniosę. Bida straszna, wszystko się zda.

– To prawda – przytaknęła zgodliwie Hela, popijając herbatkę.

Ale Mietek już dereniówkę jej podstawił, a sam usiadł naprzeciwko.

– Przepijmy na to spotkanie – zaproponował, rozlewając dereniówkę.

– A tak – Angielakowa delikatnie podniosła kieliszek i odsuwając mały palec, elegancko upiła nieco. Helenka poszła za jej przykładem, tylko Mietek wypił duszkiem wszystko i jeszcze chuchnął, bo mocne było.

– A co panna Hela teraz robi? – zainteresowała się jego matka.

– Sprzedaję w takiej kawiarni zrobionej z tramwaju. Razem z Irenką, zna ją pani, prowadzimy Café Irena na zmiany, raz ona pracuje, raz ja.

– A ludzie przychodzą?

– O tak, całkiem nieźle nam idzie, lepszy by był jakiś elegantszy lokal, ale same jeszcze nie wiemy, co będziemy robić. To znaczy, Irenka nie wie.

– A to panna Hela do tej Irenki taka przywiązana?

– No prawda. My jak siostry, wszystkie trzy.

– Ale nie siostry? – zainteresowała się Angielakowa z błyskiem w oku.

– Nie, no skąd. Tak się we wojnę poznałyśmy i razem trzymałyśmy.

– Ta Zośka to mi się na żydowice widzi – wypaliła zniecka Angielakowa i zwróciła się do Mietka – a podaj no te orzechy, co w kredensie stoją. Może panna Hela spróbuje?

Hela znów zaniemówiła. Zawahała się, ale nabrała powietrza i powiedziała:

– Co też pani, pani Zofio mówi. Toż to Nowakówna z Myszkowic, moja kuzynka, daleka, bo daleka, ale zawsze. Małośmy się znały przed wojną, ale jak już się spiknęłyśmy w Warszawie, to na mur-beton – wypaliła fałszywie.

I poczuła się z tym dziwnie, tak jej łatwo przyszło to kłamstwo. Dawniej zaraz szła do księdza się spowiadać, ale teraz ostatnio i kłamała, i do spowiedzi nie chodziła. Bo jak tu wyznać takie rzeczy jak to z Helmutem, i to potem, z tym... Dobrze, że Zośka Żydówka, pomyślała, przynajmniej nie będzie musiała nikomu o tym Kałmuku opowiadać. Ona też nie zamierzała. Nikomu, nigdy. Zośka uratowała ją, a ona Zośkę, a potem Irenka je obie. Spojrzała na Mietka, który uśmiechnął się szeroko i zagadał miło:

– To ja ci, Heluniu, połupię te orzechy. Dobrze?

Z powagą skinęła głową. Lubiła Mietka, dobry z niego chłopak i taki swój. No, bo ta jego

matka też niby dobra, ale coś za ciekawa.

6 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Zerknęła do góry i zobaczyła, że kapie farba. Dach biblioteki w czasie ich nieobecności przejrżeli dekarze i ponaprawiali, co tam trzeba było. Teraz w budynku pracowali tynkarze, hydraulicy i malarze.

Jeden z nich siedział właśnie na rusztowaniu i malował sufit, a ona nieopatrznie weszła pod to rusztowanie. Szczęśliwie kapnęło obok, więc płaszczyk nie doznał uszczerbku.

Bibliotekarze pracowali teraz od rana do wieczora, katalogowali, porządkowali, ustawiali na półkach książki, napływające z różnych stron szerokim strumieniem. Ludzie przynosili odkopane w piwnicach woluminy, rodziny zmarłych pisarzy powierzały bibliotece ocalałą spuściznę, rękopisy, księgozbiory. Roboty było huk.

Docent Gruszka brał od Zosi książki i podawał wyżej, stojącej już na drabinie Julii Zarębiance, kolejnej nowej osobie w ich zespole, który szybko się rozrastał, i dobrze, bo każde ręce były potrzebne do pracy. Jakoś źle podał i jedna upadła z hukiem na podłogę. Gruszka zaklął i podniósł ją, gdy do pomieszczenia wszedł Jaromir Chodakowski. Zosia od razu się uśmiechnęła, sama nie wiedziała czemu, ale jak się pojawiał, z miejsca jej się weselej robiło. Natomiast docent Gruszka nie budził Zosinego entuzjazmu, wręcz przeciwnie, nie lubiła go zanadto, sama nie wiedziała czemu. Coś w nim było nie tak, ale co – sama nie rozumiała.

– Panno Zofio! – zawołał doktor. – Muszę panią porwać do innej roboty. Mamy pilne wezwanie.

– O? Jak pogotowie? – zagadała Zosia, zadowolona ze zmiany zajęcia.

– Prawie. Da pan sobie, mam nadzieję, radę, panie docencie? – zapytał Jaromir.

– Oczywiście, panie dyrektorze, my tu z panną Julcią...

– Julią – poprawiła go Zarębianka, kobieta dość zasadnicza, dobrze po czterdziestce, bardzo religijna i oschła. Nie lubiła się spoufalać i było to widać.

Gruszka to kompletny głąb, pomyślała Zośka, a nie gruszka.

– Tak, oczywiście, przepraszam szanowną panią – poprawił się docent, ale ton miał taki, jakby mu Julia Zarębianka napluła na buty.

Zdaje się, że koniec naszej tu sielanki, zaczynają się swary, skonstatował w myślach Chodakowski i wyszedł na korytarz, a Zosia za nim.

– Potrzebna mi pomoc do przeglądania i może spisywania książek. Odkopano wejście do piwnic spalonej Biblioteki Krasińskich na Okólniku. Bierzemy Stasia i idziemy.

²⁶ Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) – urząd funkcjonujący w okresie tworzenia dyktatury komunistycznej w PRL na polecenie i pod dyktando władz radzieckich.

Wcześniej

SIERPIEŃ 1944, WARSZAWA

Docent Pulikowski²⁷ jak na dyrektora Biblioteki Krasieńskich i Niemca zachowywał się co najmniej dziwnie. Zaprosił Jaromira do siebie, a potem oświadczył: „Porozmawiamy później”, i sprowadził go do obszernych piwnic pałacu, w którym mieściła się biblioteka.

Gdy znaleźli się na samym końcu zaułków i zakrętów wiodących nie wiadomo gdzie, Pulikowski zatrzymał się i wskazał położone z boku zakole korytarza, z półokrągłym sklepieniem, dość wysokim, tworzącym rodzaj niszy. Wsunęli się do środka, a Chodakowski zaczął się zastanawiać, czy docentowi Julianowi Pulikowskiemu jednak ta wojna nieco nie zaszkodziła, bo wędrówki po piwnicach w poszukiwaniu spokojnego miejsca wydawały mu się nieco paranoiczne. Niemniej czekał z niecierpliwością, co dyrektor ma mu do zakomunikowania.

Ten chwilę milczał, jakby wsłuchując się w ciszę. Uspokojony widać, odezwał się po dobrej minucie:

– Mam pewne informacje, panie doktorze, chciałbym je panu przekazać. Niemcy zamierzają, po stłumieniu powstania, realizować taktykę spalonej ziemi.

– To znaczy? – Jaromir zrozumiał od razu, ale chciał usłyszeć więcej szczegółów, by nie mieć złudzeń.

– Będą burzyć dom po domu, gmach po gmachu. Nic nie będzie pod ochroną. To miasto ma umrzeć, zginąć, zniknąć.

– Dziękuję. Co mam... z tym? Czy coś poza tym? – Jaromir powoli przetrawiał informację.

Co powinien natychmiast zrobić?

Milion, po prostu milion rzeczy.

A docent Pulikowski kontynuował:

– Sprowadziłem pana, bo panu ufam. Proponuję znieść wybrane książki tutaj – wskazał na niszę, w której stali – i zamurować. Może się uda cośkolwiek ocalić. Ktoś od was powinien tym kierować i znać miejsce, może nawet i kilka osób, bo... wielu zginie. Ja oficjalnie nic nie wiem, zresztą mam nadzieję, że lada dzień będę stąd odwołany, na własną prośbę. Żona i dzieci już wyjechały. Nie chcę ani brać udziału, ani widzieć zagłady. Tego wszystkiego.

Uścisnęli sobie dłonie.

Jaromir uwierzył. To nie był typ historyka. Pulikowski przyjechał do Polski kilka lat przed wojną, zaraz po doktoracie zrobionym w Wiedniu, i był jednym z twórców etnologii muzycznej, ze swoją ekipą rejestrował muzykę ludową. Ta pionierska praca, jak Jaromir słyszał, rewolucyjna, zdawała się świadczyć o przywiązaniu do polskości, lecz docent Pulikowski miał żonę Niemkę i w domu zarówno owa niemiecka żona, jak i dzieci mówiły tylko po niemiecku, on sam zaś wyglądał jak pruski junkier z tą krótko ostrzyżoną głową i szczotką jeża na czubku. Identyczne fryzury mieli Heydrich i Himmler. Julian Pulikowski dobrze się ożenił, tak przynajmniej Chodakowskiemu się wydawało, bo obracał się w kręgach dygnitarzy niemieckich.

Gdy Jaromir wylądował w Oświęcimiu, to właśnie Pulikowski go stamtąd wyciągnął, nieproszony przez nikogo. Nie włożył też munduru niemieckiego jak większość Niemców zatrudnionych w państwowych instytucjach. Był reichsdeutschem, ale też zdecydowanie przyzwoitym człowiekiem. Zachował w pewnym stopniu polskość i płacił za to samotnością. Gdy wchodził do pokoju, często milkły rozmowy, chowano gazetki, a i wśród Niemców nie miał przyjaciół, nie rozmawiał z nikim na tematy polityczne, robił swoje. I teraz, w obliczu ostatecznej zagłady, postanowił pomóc.

Już następnego dnia wraz ze Stasiem Kujawiakiem i jeszcze jednym zaufanym woźnym pojawili się w pałacu Krasieńskich, wieczorem, po godzinach, i potem przychodzili tak co dnia, aż wszystkie najcenniejsze, z pietyzmem wyselekcjonowane pozycje znieśli do piwnic. Przede wszystkim ratowali teatralia, tomiki z odręcznymi notatkami Bogusławskiego, dawne afisze, istniejące w pojedynczych egzemplarzach, czy oryginalne teksty sztuk, a przy okazji schowali też nagrania utworów ludowych, dokonane przez zespół Pulikowskiego jeszcze przed wojną.

Wszystko to i więcej woluminów ułożyli równo aż do kolebkowego sklepienia. Tak ciasno, jak tylko się dało, by nie było tlenu, który podsyca ogień. Potem obłożyli książki przytarganymi workami z piaskiem. A jeszcze później całość zamurowali i zarzucili stosem gratów dla niepoznaki.

[27](#) Postać autentyczna.

Teraz

6 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Weszli do podziemi, przyświecając sobie latarniami.

Jak bohaterowie Verne'a, pomyślała Zosia. Zapach spalenizny unosił się wszędzie, a wszystko wokoło było czarne i spalone. Śmierdziało, jakby rozkładające się trupy leżały gdzieś w pobliżu, i tak zapewne było...

Jaromir prowadził swoją małą ekipę krętymi korytarzami ku miejscu, gdzie powinny być książki. W końcu doszli. Zosia wciągnęła w płuca cały ten smród, bo starała się nie oddychać, i krzyknęła, zobaczywszy pod ścianą kwadrat równo ułożony z książek.

– Są! Ocalały!

Stasio aż podskoczył.

– No to mamy farta, panie dyrektorze! Nie na marne była ta cała robótka!

Ale Jaromir, choć widział ułożone pod sklepienie książki, czuł, że coś jest nie tak. Graty leżały rozrzucone, mur zburzony, a książki przetrwały? Aż wierzyć mu się w to, co widzi, nie chciało. Powoli podszedł bliżej. A za nim Zosia i Stasio. Stos wydawał się niższy, no i wszystko było czarne, ale może tylko osmalone, zakurzone, wszak gmach spłonął.

Sięgnął po pierwszy leżący na górze wolumin. Ledwo dotknął palcem okładki, a tom rozpadł się na jego oczach w pył; dotknął następnego – i podobnie.

Zosia nie chciała, ale zaczęła płakać. A książki rozpadały się powoli, na ich oczach, jedna za drugą, jakby kto popchnął kostki domina.

Kiedy wrócili do biblioteki, profesor Migoń od razu wiedział.

– Nic nie ma? – zapytał.

– Nic, wszystko poszło w pył. Brennkommando, ta banda zbirów, musiało polać całość benzyną, od góry, równo i dokładnie. Taki stos, tak ułożony, pewnie tlił się wiele dni. Aż się spalił do imentu.

– Książkobójcy! – powiedział z wściekłością profesor. – Za to też się powinno wieszać, mówię ci, Jaromirku.

– Za nogi – przytaknął Stasio Kujawiak.

Zosia zaś pomyślała, że ta praca wcale nie jest lekka i przyjemna, choć jeszcze niedawno za taką ją miała, bo wciąż bolało serce, a i złość w niej narastała.

Zabijano wszystko, narody i książki.

I to robili ludzie ludziom.

Jak z tym, z tą wiedzą, żyć?

Ale żyć chciała. Normalnie, jak wszyscy. Szczęśliwie. Czy to w ogóle było możliwe,

schowanie się przed bólem? Zapomnienie? Wyparcie?

6 KWIETNIA 1945, ZALESIE DOLNE

Parkan był ciemny od mchu, zawilgocony, ale cały, choć gdzieś latany na odpał, byle jak. Zza niego widać było krzaki karagany, a dalej krzewy bzu.

Po pchnięciu furtki, zamkniętej od strony ogrodu na skobel, który Marciniak jednym ruchem odsunął, pokazał się mały domek, drewniany, czarny, kwadratowy, z okiennicami, kiedyś, dawno, dawno temu, pomalowanymi na zielono. Ścieżka omijała lekkim łukiem niewielki, zaniedbany klomb z krzewiącymi się dzikimi różami i resztkami zeszłorocznych chwastów. Drzwi wejściowe też były zielone, ładnie wyprofilowane. Na ganeczek wchodziło się po trzech drewnianych stopniach. Irenka poczuła, że są słabo przymocowane, chwiały się niczym huśtawka poruszona wiatrem.

Gdy stanęli pod samymi drzwiami, z kolei ona zadrżała.

Olgierd Marciniak podniósł rękę i mocno zastukał w drzwi.

Otworzyły się od razu, widać na nich czekano. W progu stała dziewczynka, no, może dziewczyna, ale wyglądała na czternaście lat. Miała niebieskie oczy, bardzo duże, i niesforne blond włosy, splecione w dwa warkocze.

Oparła się o framugę i patrzyła na Irkę, a Irka patrzyła na nią. Milczały, milczał i Marciniak.

Ale po długiej chwili zagadał, by przerwać ciszę.

– Wpuścisz nas?

Znów zapadło milczenie. W końcu dziewczyna się cofnęła, jakby niechętnie, i nie patrząc im w oczy, ruchem ręki zaprosiła oboje do środka.

Irenka drżała wewnątrz jak osika.

Bała się, ale już mniej więcej wiedziała, co i jak. Miała to wszystko poukładane w głowie, choć wiele jeszcze było niewiadomych.

Pokój, w którym się znaleźli, ciemny, niezbyt przytulny, wydawał się niezamieszkały. Za oknem kłębiły się niepoprzycinane krzewy, na parapetach stały doniczki z paprotkami i pelargoniami. Było zimno i wilgotno. Na środku królował stół. Wielki, okrągły, przykryty serwetą, a na nim przygotowany już niewielki samowar i szklanki w koszyczkach, idealnie do niego pasujące.

Władzia nie było widać.

– Gdzie on jest? – zapytała Irenka.

– Kazałam mu się schować. Musimy...

– Tak, musimy porozmawiać. Czy on kiedykolwiek o mnie wspominał?

– Nie. Nigdy. Gadał jak najęty o różnych, ale o pani nie słyszałam ani słowa, ani się zająknął.

– Zapomniał, może po prostu o mnie zapomniał. To już pięć lat. – Irka podrapała się po skroni, oczy zaczęły ją lekko piec.

– Herbaty? – zapytał Marciniak.

– Chętnie.

– Proszę się też rozebrać – zaproponowała Lodzia Walecka.

– Tak, dziękuję – machinalnie powiedziała Irka, zdejmując swój historyczny żakiet.

Odłożyła go na stojącą tuż obok kanapę obitą pluszem w ogromne bordowe kwiaty. Leciąco

od niej stęchlizną, widać nie zawsze palono tu tak jak dziś.

Lodzia usiadła vis-à-vis Irki i przyglądała jej się w milczeniu, a potem wypaliła:

– Nie oddam go.

– Tak, tak myślałam. – Tyle wywnioskowała z wywodów Marciniaka.

– On pani nie zna, nie pamięta, no i nie jest pani jego matką. To ja się nim zajmowałam prawie cały ten czas.

– To prawda – przytaknęła Irka, wciąż pocierając skroń. Bolała ją głowa i było jej duszno.

– Władek zostanie ze mną, damy sobie radę, nic nie potrzebujemy od nikogo.

– Lodziu, nie rozpędzaj się! – hamował ją Marciniak.

– Nie potrzebujemy, mamy wszystko, co nam potrzeba, ja zarabiam, pošlę Władzia do szkoły i w ogóle. Tu już działa szkoła. Do tej pory uczyłam go sama.

– On ma na imię Gedalia – oznajmiła ni stąd, ni zowąd Irenka.

– Jak to? – zdziwiła się Lodzia.

– Nie mówił? Pewnie nie pamięta.

– No tak, ja nawet nie wiem, czy on do końca rozumie – odrzekła Lodzia – czemu ja mu każę się chować. My nigdy tak, o tym. On po prostu się słucha. Rozumie czy też jest nauczony. Tłumaczyłam mu, że są źli ludzie. Ale też mówiłam, że są i dobrzy – dodała szybko i jakoś tak dziecinnie.

Irka słuchała i patrzyła. Zastanawiała się.

– Herbaty? – zapytał ponownie Marciniak, nie wiedzieć czemu.

– O tak, poproszę. – Potrzebowała herbaty. I rozumu, i serca, by to wszystko mądrze się zadziało, tak jak należy. – Co zrobimy? – zapytała z nadzieją na jakieś pokojowe rozwiązanie. – Chciałabym chociaż go zobaczyć.

– Nie potrzeba mu w głowie mącić, to dzieciak – kategorycznie stwierdziła dziewczyna i zacisnęła wargi, tak jakoś niezbyt przyjemnie.

– Nie taki już mały – zaprotestowała Irenka – ma już chyba z dziesięć lat.

– Nie wie pani? – zdziwiła się tamta niezbyt miło.

– Pan Marciniak nie mówił? Jak Władka znalazłam w lesie w trzydziestym dziewiątym we wrześniu? Miał na imię Gedalia. Władzio to imię z lewych dokumentów. A wiek na oko.

– No tak. – Dziewczyna kiwnęła głową, ale widać było, że myśli o czymś innym.

– Proszę pozwolić mi zobaczyć chłopca. Nie powiem mu nic, jeśli pani sobie nie życzy.

Irka mówiła prosząco i nerwowo, za szybko; chciała, tak strasznie chciała zobaczyć tę swoją ulubioną mordkę, te oczka sprytne i bystre. Wprost fizycznie za nim tęskniła, nie zamierzała chłopcu niszczyć życia i spokoju dla swojej przyjemności, ale przecież, skoro on nie pamięta, ona może przynajmniej na niego spojrzeć.

– Ja nie powiem mu nic, przysięgam, ani słówka. Proszę go zawołać!

– Nie! – odmówiła kategorycznie Lodzia.

– Loda! – zainterweniował Marciniak. – Przecież pani nie chce ci go zabierać!

– Teraz tak mówi, a później może zrobić coś innego. Niepotrzebnie wuj ją tu przyprowadził.

– Przysięgam, że nie zrobię nic wbrew pani woli – powiedziała Irenka z mocą i frazą nieomal biblijną – na moich nieżyjących rodziców, przysięgam!

– Nie! – krzyknęła dużo za głośno Lodzia. – Nie! Nie pozwolę! To mój brat!

I w tym momencie w drzwiach pojawił się chłopaczek; wyraźnie zaniepokojony stanął w progu i zapytał:

– Co się dzieje? Lodziu?

Zobaczył Marciniaka i uspokoił się od razu.

– A, to tylko wujek, myślałem, że się coś stało, ruszyłem na ratunek.

– Nie, nic, idź, Władeczku, do siebie, my chcemy spokojnie... – zaczęła mówić łagodnym tonem Lodia.

Irka zagapiła się na niego.

Wyrósł, wychudł, był taki trochę kanciasty, ale ciągle jej, patrzyła na niego chciwie, jednak siedziała bez ruchu przy stole, nie odzywając się ani słowem. Tak, jak obiecała.

Wreszcie Władek spojrzał i na nią.

Patrzył przez długą chwilę. Irenka, czując to spojrzenie, wbiła wzrok w samowar. Myślała: jeśli będę w porządku, może ta Loda pozwoli mi tu czasem przyjechać.

Nie poznał.

Więc Loda miała rację, nie mam do niego żadnego prawa, zacisnęła kurczowo dłoń na filiżance. Lodia zaś poczerwieniała i przestała nerwowo mówić. Zapanowało dziwne milczenie.

I nagle Władek, ciągle stojąc nieruchomo na środku pokoju, wyszeptał schrypniętym głosem:

– Wróciłaś... Znalazłaś mnie! I wróciłaś? Tak jak...

– Obiecałam.

– Przesięgałaś... – nadal stał, ale Irenka poderwała się i już zupełnie się nie kontrolując, podskoczyła do niego i objęła tego kanciastego, dużego, nieporęcznego... jej malutkiego Władzia. Przytuliła sztywnego, zbuntowanego chłopca i zaczęła płakać, a po chwili płakali oboje, trzymając się w ramionach i dotykając czołami.

A siedząca z tyłu na krześle Lodia też płakała.

Tylko Marciniak nie płakał, ale zadawał sobie w duchu pytanie: Co teraz? Co ja narobiłem? Co teraz?

Jedno wesele, niejeden pogrzeb

9 KWIECZNIA 1945, WARSZAWA

Kilka wróbli z zapalem dziobało ciągle jeszcze zmarzniętą ziemię trawnika. Zosia usiadła na ławce, starannie przedtem rozłożywszy chustkę, która głównie miała chronić płaszczyk przed zabrudzeniem. Wyjęła ze swojej nader eleganckiej torebki paczuszkę zawierającą owiniętą w gazetę kanapkę i zaczęła rozpakowywać.

Powoli tworzyła sobie rytuały, jednym z nich było znikanie na kwadrans, gdy przychodził czas na posiłek. Lubiła być wtedy sama, by popatrzeć na niebo, pogryzając czasem lepszy, czasem gorszy chleb, przeważnie z jakąś marmeladą lub smalcem. Dziś był to smalec. Z cebulką i jabłkiem, dzieło Helenki, więc smaczny, choć musiała przed sobą przyznać, że jedzenie w kółko podobnych rzeczy było trochę nudne.

Marudzę, zamiast się cieszyć, że po prostu mam co jeść, myślała, pogryzając kanapkę. Szybko człowiek się regeneruje.

Między wróblami zaczęła się bitwa, patrzyła na ich harce wokół czegoś widać smacznego, skoro tak się zainteresowały, i łapała nieco dystansu. Wśród tych wszystkich ludzi, przecież miłych i dobrych, czuła się ciągle samotna i na uboczu, jakby była za szklaną szybą. Miała wrażenie, że coś ją od nich dzieli, a przecież każdy miał swój zły okupacyjny bagaż. Taki czy inny, nikt z tej wojny nie wyszedł bez szwanku. Może to była kwestia rodziny, ale mimo że o tacie ciągle nie miała wieści, nie traciła przecież nadziei, wojska sprzymierzone już wyzwalały pierwsze obozy i być może tata w którymś się odnajdzie. Przyklejała też kartki wszędzie, gdzie ojciec mógł się pojawić, napisała do Krakowa, do gminy żydowskiej i komitetu żydowskiego. Wierzyła, że wróci, jakżeby inaczej. Irka przecież miała mniej niż ona. Nikogutko. Chociaż miała. Tego Romka. Była zadurzona po uszy. To Zosia widziała wyraźnie i tego jej trochę zazdrościła. A Hela! Też samotna jak palec. A ona, Zosia, odnalazła prawdziwego stryja. To już przecież coś, trzeba zapomnieć wojnę, okupację, złe. Inaczej się nie da. Takie spokojne chwile pomagały.

Skończyła kanapkę, starannie złożyła chustkę, schowała ją do torebki i ruszyła do biblioteki. Przed wejściem stał gazik, zatem mieli zapewne kolejną urzędową wizytę. Ostatnio ciągle pojawiał się ktoś nowy – i z Inżynierskiej, i z wojny. Pracownicy, ich rodziny, ludzie szukający pracy lub tylko książki – to miejsce zaczynało naprawdę żyć. Dawno minęły czasy, gdy tylko wiatr hulał po pustym budynku.

Biblioteka powoli się rozkręcała.

Weszła do gmachu i minęła się w drzwiach z Joachimem Szendzielorzem, który grzecznie ją przepuścił. Ciągle był chudy jak chart, ale beznadzieja, którą widziała w jego oczach w Goerbitsch, gdzieś zniknęła. Pracował za trzech, a kiedy przychodziła do pracy, już siedział przy biurku i obrabiał książki. Było mu może łatwiej, mieszkał bowiem w małym pokoiku w przyziemiu. Już miał tam kozę i chwalił się, że wcale wygodnie się urządził.

Na jej widok Joas się zatrzymał.

– Ktoś do pani, panno Zosiu, przyjechał – zakomunikował, dziwnie na nią patrząc. – Jakiś oficer, sowiecki. Czeka w biurze.

Zośka nie skomentowała, tylko rzuciła w przelocie krótkie „dziękuję” i poszła do holu. Widać ściągnęła stryja Mietka myślami.

Hela po cichu opowiedziała jej o dziwnej wizycie stryja nocą i pod gazem. Zosia westchnęła. Wybierała się na Inżynierską, ale ciągle coś. Wiadomo. I oto stryjek we własnej osobie siedział za jej biurkiem i niecierpliwie, stukając palcami o blat, czekał. Na widok Zosi zerwał się z krzesła. Podeszła i cmoknęła go w policzek. Czują, że wszyscy w pomieszczeniu patrzą na nią uważnie. Może nawet i ze zgrozą, ale nie zamierzała się wypierać własnego stryja. O, nie.

– Miałam właśnie do stryjka pojechać. Podobno stryjek...

– Wyjdźmy na chwilę porozmawiać. – Mieczysław Szafir wszedł jej w słowo. – Możesz?

Zosia spojrzała w kierunku Chodakowskiego, a ten nie udawał, że nie słyszy, tylko kiwnął głową. W absolutnej ciszy wyszli z pokoju.

– Koso patrzą – skomentował stryj.

– Dziwisz się, stryjku?

– No nie. Jak chcesz, to cię tu dyrektorką zrobię...

Zośka otworzyła szeroko oczy.

– Boże broń, co za pomysł...

– No to mogę ci jakąś inną pracę załatwić. Chcesz?

– Ależ stryjku, jest mi tu dobrze, to wspaniali ludzie. Mnóstwo się uczę. Nic nie chcę. Nawet myślę sobie, że jesienią pójdę na bibliotekoznawstwo. Muszę uzupełnić wykształcenie.

– Architektura chyba lepsza?

– W bibliotece świetnie się czuję, nie chcę już szukać czegoś innego. Tu zostanę, o ile mnie będą chcieli.

Wyszli przed budynek i Zosia skierowała się z powrotem do tej ocalałej ławki, ulokowanej na słoneczku na jej osobiste życzenie przez pana Stasia.

Przysiedli.

– Jak tam twoje wojaże?

– Bardzo dobre, pięknie tam, na zachodzie.

– Tak, teraz to nasze. Za to na wschodzie wszystko trafił szlag.

– Wiem. Nie będzie się wujowi cknęło za Wilnem?

– Jeszcze jak! Ale co robić, taki los. Wszystko poszło. – Spojrzał na nią bystro. – No i ja właśnie o tym. Wszystko poszło, jednak żyć trzeba.

Zosi nie pozostawało nic innego, jak się zgodzić.

– Dlatego ja... – Stryj zamilkł na chwilę. – Dlatego ja... postanowiłem się ożenić.

Grom z jasnego nieba, zdumiona była tak bardzo, że niemal otworzyła usta.

– Jak to, stryjku? Jak to? A Abramek, a stryjenka? Jesteś pewny, że...

– Tak, jestem pewny. Byli świadkowie, nie żyją.

– Ale czy to... – Zośka ugryzła się w język. Nie powinna się wtrącać w jego sprawy, ale ślub?

– Tak zaraz? Kiedy stryjek zdążył... – Milczała chwilę. – To znaczy, że stryjek bierze ślub? – jeszcze raz się upewniła.

– Tak, właśnie tak, smarkulo. – Widać coś tam wyczytał w jej oczach, co mu się nie spodobało, bo nagle zrobił się obcesowy. – Przyszedłem, by cię zaprosić. Ślub na Inżynierskiej, cywilny, a wesele w Paradise, takiej restauracji.

– Wiem. Na Nowym Świecie.

– Tak, piękne miejsce. Zamówiłem już stół, będziesz tylko ty i kilku kolegów. Rosjan – dodał po chwili.

Zosia nie wiedziała nic, ani co mówić, ani jak reagować. Zaraz jednak się opanowała i odważyła zapytać:

– A z kim stryjek się żeni?

– Z urzędniczką z naszego biura.

– Z panią Nadzią?! – wykrzyknęła ni to zaciekawiona, ni to zdziwiona.

Mieczysław zaczął się tubalnie śmiać.

– Ale na koncept wpadłaś. No, Zosiu, źle mi życzysz?

– Poznałam tylko ją, tam u was. – Chciała dodać, że ta pani Nadzia była jakoś tak w stryjka wpatrzona, co nasuwało pewne podejrzenia, ale się w język ugryzła.

– Żenię się z Luizą.

– Luizą? Piękne imię.

– Tak – odrzekł stryj jakby niedbale – z Luizą Millerowicz, to sekretarka ministra... zresztą nie ma znaczenia. W każdym razie szykuj się! W czwartek ślub o siedemnastej na Inżynierskiej, a potem weselicho!

– Dziękuję za zaproszenie. – Zośka była ciągle w szoku, ale już powoli się przyzwyczajała do nowej sytuacji.

– Zamieszkamy na Górnos Śląskiej, dom tam nam przydzielili. Gdybyś chciała, mogłabyś za jakiś czas do nas się wprowadzić, jak już się zagospodarujemy.

– A nie, dziękuję. Mnie dobrze tam, gdzie jestem, mieszkam z przyjaciółkami.

– No tak, z młodszymi weselej, swobodniej. Teraz trzeba się weselić i życiem cieszyć, skoro przeżyliśmy! – zahuczał jak jakiś wujek z francuskiej farsy, aż Zośka się przestraszyła. Nie był sobą, widziała wyraźnie i trochę się bała, co to oznacza.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami, nie mogąc się otrząsnąć z zaskoczenia, że tak szybko, że zaraz po tym...

A stryj, ożywiony, ale tak jakoś dziwnie, nienaturalnie, sięgnął za pazuchę i wyjął bardzo porządny, mocno wypchany, skórzany portfel.

– Nie trzeba! – od razu zaprotestowała. – Stryjku, ja nic nie potrzebuję!

– A co ty mi tu będziesz mówiła, przecież ja wiem, że u ciebie pewnie tylko to, co na grzbiecie.

Bardzo się nie omylił. Zosia posiadała zaledwie kilka rzeczy, choć mogła za pieniądze od niego, te poprzednio otrzymane, bardziej się obkupić, ale – wojenna paranoja! – schowała je pod podłogą, gdzie Irka miała z czasów wojny schowek. Przecież nie wiadomo, co będzie jutro i pojutrze. Zosia chciała mieć jakieś zabezpieczenie finansowe, dla siebie i dla dziewczyn. W końcu tylko ona jedna otrzymywała regularną pensję.

Mieczysław wyciągnął, tak jak poprzednio, zwitek banknotów i wręczył jej, nie słuchając żadnych protestów.

– Stryj daje, brać należy. Niech mi Zosia nie robi wstrętów. Dałby mi Henryk, gdybym o ciebie nie zadbał. Kup sobie, co tam trzeba, wesele będzie, jak się patrzy, a ty świadkiem moim będziesz. Tak, tak.

Zośka już się nie wykręcała, przyjęła pieniądze, schowała do kieszeni płaszczyka i pocałowała stryja w policzek.

– Dziękuję i przyjdę. Oby stryjek znalazł swoje szczęście – a w myślach dodała: co je stracił.

Utracone

10 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Irenka oparła się o mur. A potem powoli osunęła na brudny stopień schodów i przycisnęła czoło do ściany. Trwała tak, jak długo, nie wiedziała. Trwała, póki nie usłyszała kroków z góry. Ktoś schodził. Podniosła się więc i powoli ruszyła po schodach. Ulica była spokojna, prawie pusta. Sąsiedni dom remontowali, minęła rusztowania i usłyszała jeszcze komentarze murarzy:

– Ale lalka!

Chciała gdzieś usiąść. Nie mogła iść, nie miała siły. Dwa domy dalej zauważyła niewielki park, rozejrzała się, ale nie było ani jednej ławki, pewnie poszły na opał. Szła dalej i na koniec przysiadła na metalowym ogrodzeniu otaczającym rabatę. A potem weszła do zniszczonej kamienicy i tam wreszcie zwiesiła się na parapecie klatki schodowej. Ręce jej się trzęsły, gdy wyciągała papierosy. Jeden upadł i nie miała siły po niego się schylić. Z trudem zapaliła zapalniczkę, jedną, drugą, trzecią. Zaciągnęła się łapczywie. Chciała krzyknąć, ale wszyscy by powylatywali z mieszkań. Więc tylko paliła. W milczeniu.

Nic to nie pomagało, bo nic pomóc nie mogło. Romek nie żył.

W końcu, gdy już odnalazła Władka, podzieliła się dobrą wiadomością z dziewczynami, ale chciała więcej, chciała powiedzieć o tym Romkowi, który znał całą historię, tak jak i ona już poznała jego losy. Szczęśliwa, zdecydowała się pójść na Filtrową. Może akurat wrócił, a może gospodyni coś będzie wiedziała, zdecydowanie jego powrót strasznie się już opóźniał. Tęskniła. Gdy weszła do mieszkania, wpuszczona przez osłupiałą na jej widok właścicielkę, od razu zobaczyła otwarte drzwi do pokoju Romka. Minęła kobiecinę, prawie jej nie widząc, pewna, że świetnie trafiła, że wrócił, gdy usłyszała z tyłu:

– Proszę, niech pani stanie. Niech pani tam tak nie leci.

– Czemu? – zdziwiła się.

– Bo pana Romka tam nie ma.

– A drzwi przecież otwarte.

– To ja sprzątam pokój. Teraz my tu będziemy mieszkali.

– Nie rozumiem?

Serce jej opadło do pięt. Wyjechał, uciekł, zostawił mnie – zaczęło jej się natychmiast kotłować w głowie.

– Gdzie Romek?! Niech pani mówi – wyszeptwała zbielełymi nagle wargami.

– Pani lepiej usiądzie. – Gospodyni podsunęła jej stojące tuż obok krzesło, a Irka bezwiednie opadła na nie, wpatrując się w górującą teraz nad nią twarz kobiety.

To była dobra twarz, pełna troski. Zrobiło jej się jeszcze gorzej.

– Pan Romek nie żyje – powiedziały usta w tej rozmazanej twarzy, którą nagle prawie przestała widzieć.

Irence zrobiło się czarno przed oczyma, jakby nagle oślepla. Mroczyki wirowały, znikwały i się

pojawiwały. Nie wiedziała, czy traci wzrok, czy po prostu umiera. Gospodyni potrząsnęła nią, chwyciwszy ją za ramiona.

– Co pani?

To ona nie żyła, właśnie umarła, takie miała wrażenie. Już koniec. Ale po chwili mroczki zniknęły, wzrok powrócił.

– Nic. Nic to. – Podniosła oczy. – Jak to?! Co się stało?

– Był tu ten, jak mu, ten drugi, i mówił, że ich ostrzelali i zabili pana Romka. A on pieszo spod Torunia przyszedł, bo wszystko przepadło.

– Ostrzelali, a gdzie ciało?

– Też się spytałam tego łobuza, bo on na siłę chciał do pokoju wleźć, pana Romka rzeczy brać, to powiedział, że zostało tam na drodze, gdzie to się stało.

– Jak przejechany pies... – wyszeptwała Irka.

– Dobrze pani mówi, tak właśnie. No, ale z drugiej strony co on miał zrobić? Uciekał, aż się kurzyło. Lasem uciekał. Tak mówił. Nie wie nawet, gdzie to było, bo spał. Obudził się, jak samochód zaczął tańczyć po drodze. Pan Roman był martwy, a on wyskoczył i od razu zwał, bo jacyś hurmem biegli za nimi. Dał nogę w las i tyle go widzieli. Może pani dać coś do picia?

– Nie, dziękuję. Nic mi nie trzeba. Pójdę już.

Wstała, słaniając się, ciągle źle widziała i miała sucho w gardle, ale nic nie chciała, pragnęła tylko stąd wyjść jak najszybciej. Kiwnęła głową gospodyni i ruszyła w kierunku drzwi. Przy drzwiach się zachwiała.

– Proszę przysiąść w kuchni na chwilę.

– Będę uciekała, nie mogę, muszę... – Sama nie wiedziała, co musi, a czego nie może, ale naprawdę się dusiła. Iść gdzieś, gdziekolwiek, uciec. Od tego, stąd. Być sama.

– Rzeczy pana Romka to ja spakowałam do jego walizki i jeśli pani życzy...

– Nie, nie życzę. To... nie moje. Dziękuję za... dziękuję.

Powiedziała i wyszła. Nagle, bez pożegnania.

10 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Nie można powiedzieć, że weszła. Zosia wtarabaniła się do mieszkania obładowana paczkami. Lekką ręką rozpuściła połowę stryjkowych pieniędzy. Kupiła na ciuchach amerykańską szykowną sukienkę z paczki, pasek do pończoch i nylonowe pończochy. Istne szaleństwo. Kupiła też bieliznę, sobie i dziewczynom. Miały przecież wszystko w takim stanie, że lepiej nie mówić. U tego, tam, w gabinecie, paliło się światło, więc przemknęła jak mogła najciszej do pokoju. Światło! Stanęła nagle jak wryta. W pokoju Groźnego paliło się prawdziwe światło. Nie świeca, nie karbidówka.

Podbiegła do kontaktu i przekręciła, w korytarzu zrobiło się jasno. Wpadła do sypialni, chcąc się podzielić nowinami, ale na łóżku leżała Irenka i chyba spała, więc już po cichu zostawiła rzeczy i płaszcz, a potem wymknęła się do kuchni.

Znowu zastała całą kompanię przy stole, tylko pół litra tym razem brakowało. Zalewscy i Helenka miny mieli jakieś nietęgę.

– Coś się stało? Nie cieszy się? Mamy prąd! Prawdziwy koniec wojny!

– No, tak, ale... – Hela się zająknęła.

Tu już Zośka się zdenerwowała.

– Coś się stało?

– No, Irka.

– Co: Irka? Przecież śpi.

– Irka się upiła, w trupa.

– Co??? Nie poczułam. – I wtedy sobie uświadomiła, że ma zapchany nos.

Przysiadła na krześle. Popatrzyła na wszystkich. Byli zmartwieni, jakby kto ciężko zachorował.

– To się przecież zdarza, może nie Irce, ale na przykład pan Wojtek...

– Przyszła, chwielejąc się jak jaka... z litrówką w ręku. No kompletna dętka. Piła na schodach i wyglądała jak nieboskie stworzenie. Uszlajana jak ostatnia – sprawozdawała Zalewska.

– Święta się znalazła, niech pani da spokój – zezłościła się Zośka.

– To rzeczywiście nie był ciekawy widok – wtrącił się jej mąż – ja bym to określił jako zatrucie alkoholowe.

– I tak siedzicie, jakby ktoś umarł?

– No, ale kto to widział takie rzeczy, pani da spokój, żeby to jaki dorożkarz, to ja rozumiem, ale to była dotąd przyzwoita osoba. No, wtedy zniknęła... – wspomniała Zalewska – coście się wlamywali. Może wtedy też?

– Spotkała znajomych sprzed wojny i została u nich, bo była zabawa, przecież mówiła.

Nie wspomniała Zalewskiej, że tej nocy Irka poznała Romka, po co jej to wiedzieć.

– No nie! To też nie było grzeczne, powinna była uprzedzić – upierała się tamta.

Helenka nic nie mówiła, tylko ze zdenerwowania miętosiła róg obrusu.

I słuchała, co się mówi.

– A tak się cieszyła, że tego chłopczyka odnalazła, że ją poznał. Może to dlatego?

– Po dwóch dniach?! To w ogóle żaden powód, aby pić, szczególnie na umór – zdziwił się Zalewski, taki pryncypialny, jakby sam nigdy nic.

Zośka trochę się zezłościła; wstała, by zrobić herbatę.

– Może jej też podam.

– Oj, tak. U nas w Woli Ostrowskiej to sok z kapusty się piło.

– Nie przesadzacie państwo? No zdarzyło się i szlus. Koniec kropka.

– Nie widziała pani tego, wtoczyła się i zatoczyła z butelką w ręku. Uczciwie mówiąc, mało rzeczy mnie w życiu dziwi, jestem lekarzem, no i ta wojna. Ale zdębiałem. Buty mi zarzygała. Panna Irenka! – Zalewski wskazał na suszące się na stoliku buty. Istotnie, siedział w samych skarpetach.

Usłyszeli hałas w korytarzu, ktoś śpiewał.

Zośka się wzdrygnęła. Głaza. Wrócił do domu i najwyraźniej na dużym gazie. Co nie było żadną rewelacją, bo zdarzało się co drugi dzień w zasadzie.

Joj! Jest serce batiara!

Zrobisz mu krzywdę,

To wtedy się strzeż!

A zrobisz mu dobrze,

To on tobie też!

Sto razy więcej jak ty!

Mówcie, co chcecie,

Nie ma na świecie...

Zalewski podniósł się od stołu.

– Idziemy, Wandziu, to jakaś epidemia.

Miał rację, w drzwiach kuchni pojawił się Wojtek i stanąwszy w progu, patrząc wyzywająco na Wandę, bardziej zapiał, niż zaśpiewał:

Mówcie, co chcecie,
Nie ma na świecie
Joj! Jak serce batiar!
Batiar jak trza,
To życie swe da,
Bo takie serce on ma!

11 KWIEŚNIA 1945, WARSZAWA

Helenka wysunęła się po cichutku z pokoju i na palcach poszła do kuchni. Zośka jeszcze spała, Irka też, pochrapując niczym stary pies. W ogóle to nie była miła noc. Irka obudziła się o trzeciej w nocy i zaczęła płakać. Płakała i płakała, nie wiedziały, co z nią zrobić. Przynosiły wodę, robiły okłady na czoło, koło czwartej nad ranem wpadł Zalewski i kazał być cicho, ale na Irkę nic nie działało. Była ciągle pijana, chyba dostała hysterii. Zalewski popatrzył na nią i przyszedł z jakimś zastrzykiem. Kiedy go jej dał, uspokoiła się i zasnęła. Coś mamrotała, ale Helenka ani Zośka w żaden sposób nie mogły zrozumieć, o co chodzi.

Helenka szybko się obmyła, korzystając z tego, że jeszcze nikt nie był na nogach, zrobiła sobie kilka kanapek na śniadanie i do pracy. Dziś wypadał dzień Irenki, ale nie miała nadziei, by ta nadawała się do roboty, więc bez żalu sama się szykowała, aby iść do Café Irena. Zresztą lubiła. I sprzedawanie, i to, że Mietek wpadał do niej w czasie pracy i po pracy, pomagał załadować wózek i tak sobie szli, trzymając się za ręce, a on ten ciężki dla niej ładunek jedną ręką dawał radę uciągnąć. Mocarny jest, pomyślała zadowolona.

Jedzenie zaniósła na palcach do sypialni, strzeżonego, jak wiadomo, Pan Bóg strzeże. Już raz ktoś, najpewniej Głaza, załatwił się z jej kanapkami nieopatrznie zostawionymi na stole. Zniknęły jak duch jaki.

Hela w czasie pracy robiła sobie przerwę dwugodzinną i wtedy chodziła po domach, szukając Jarzębowskiich. Wywieszała też kartki na ulicach, że szuka i prosi o wiadomość do tramwaju.

Wpadała do PCK na Piusa, ale ciągle nie było żadnych wieści.

Nie traciła jednak nadziei, że w końcu ich znajdzie. Może jej się wtedy wydawało, że to Jarzębowska? Coraz częściej tak myślała. Na wszelki wypadek zgłosiła też w PCK samego Krzysia Janikowskiego, lat cztery, ojciec nieznany. Może oni lub kto tam dobry odda małego, na przykład do sierocińca, albo da znać, gdzie on.

Czasem się zastanawiała, co robi, jak go znajdzie. No, weźmie, zabierze. Inna sytuacja była u Irenki, no bo dziecko nie jej i ustaliła, że będzie pomagać i opiekować się chłopcem wspólnie z tą Lodzią, zresztą miłą dziewczynką, i w zasadzie Irka mówiła, że zajmie się nimi obojgiem. Ale Krzysy tylko do niej przynależą i nikt, żadne tam Jarzębowskie prawa do niego nie mają.

Tylko jeżeli go weźmie, Mietek jak nic ją ostawi. Wzdychała wtedy ciężko, ale to uznawała. Trudno, dziecko ważniejsze. Z drugiej strony miło jej z tym Miciem. Może nie tak jak z Helmutem, który był niczym księżę z bajki, rycerz, co ją wybawił od smutku. Czytał na głos wiersze, kiedy siedzieli nad strumykiem, nic to, że po niemiecku, ale wiedziała, że są piękne jak muzyka. I kochał, tak kochał. Czasem oboje płakali z tej miłości. Nie żałowała niczego. Tylko tego, że mu dziecko postradała. Zły pewnie jest o to, tam, na górze, i dlatego ona musi znaleźć synka, po prostu musi. I tak go wychowa, że Helmut dumny będzie. A Micio, no cóż, lubiła go. Ale to nie kochanie takie lubienie, o nie.

12 KWIECZNIA 1945, WARSZAWA

– „Rozszumiały się wierzby płaczące, rozplakała się dziewczyna w głos” – śpiewał uliczny grajek, przygrywając sobie na małym, dziecięcym akordeonie. Na nogach miał drewniane chodaki od góry obite kawałkami dywanu.

Zosia rzuciła mu z pięćdziesiąt groszy. U kwaciarki na rogu kupiła bukiet bazi, nic innego nie wchodziło w grę, to nie był ani sezon, ani czas na kwiaty. Miała też prezent dla wuja: piękną cygarniczkę, a dla przyszłej stryjenki niebrzydka metalową puderniczkę z wygrawerowanym żaglowcem, zdobytą z paczki (tej samej, z której pochodziła nowa sukienka).

Kiedy już kupiła prezenty, ugadała się z woźnicą i furką przejechała most na Wiśle. Tym razem nie chciała zabrudzić pięknie wyczyszczonych bucików.

Ślub odbył się zwyczajnie. W obskurnym pokoju urzędnik z wąsikami à la Hitler i w grubych, cylindrycznych okularach ogłosił mężem i żoną Luizę i Mieczysława. Zośka, nieco spóźniona, stanęła obok młodej pary, stryj się uśmiechnął i jakoś to poszło.

Gdy nowożeńcy się odwrócili, Zosia mogła się wreszcie przyjrzeć wybrance stryjka i swojej nowej powinowatej. Druga pani Szafirowa była taka... młoda.

Miała może dwadzieścia parę lat. A stryj czterdzieści dziewięć, o ile dobrze pamiętała. Luiza, niewielka i korpulentna, z zadartym noskiem i wątkiem włosów nad czołem, sprawiała wrażenie – Zosia przez chwilę się zastanawiała, jakiego użyć określenia – takiej małej mieszczańeczki, pomyślała w końcu. Czy tego typu panna to dobry wybór, skoro stryj na starość został komunistą? Pracuje przecież dla Sowietów. No, ale ona też. Inna sprawa, że młoda, poukładana żonka mogła stworzyć mu dom. Czy chciał mieć jeszcze dzieci? Zośka nie wiedziała i doszła do wniosku, że nie powinno jej to interesować. Życzyła stryjowi jak najlepiej.

– Wszystkiego najlepszego, Mieczysławie! – Pierwszy do składania życzeń rzucił się jakiś pułkownik czy nawet generał. Orderów miał w każdym razie moc.

Zośka, stojąca tuż za stryjem, przyjmowała prezenty, przeważnie zapakowane w gazety butelki, te dawały się od razu rozpoznać, ale były też inne paczki. Gości na ślubie pojawiło się niewielu, może z dziesięć osób. W najdalszym kącie sali Zosia dostrzegła pod palmą panią Nadzię, która popłakiwała, wycierając nos w kwiecistą chusteczkę.

Szybko skończyło się składanie życzeń i całe towarzystwo (bez pani Nadzi) pojechało do Paradise. Przed wojną był to, jak Zosia pamiętała, najelegantszy lokal w Warszawie, zaprojektowany przez znanego architekta Jerzego Gelbarda. Dużo się wtedy mówiło i pisało, że taki nowoczesny, wręcz amerykański, więc kiedyś weszła tam z mamą na kawę, by obejrzeć

wnętrze. Ojciec załatwiał interesy, a ona przyjechała postudiować nieco architekturę, jak żartowała, w terenie. Zachwyciła się wtedy funkcjonalnością pomieszczeń. Wszystko było nowoczesne, ale przytulne, przyćmione światła za matowymi szybami, marmur, szkło i chrom. Pięknie.

Teraz ponownie rozglądała się po sali, ciekawa, jakże to cudo przetrwało wojnę, i stwierdziła, że nieźle. Przypomniała sobie, że był to lokal tylko dla Niemców.

No proszę, żydowski ślub w Café Club, zrymowała, oddając płaszcz do szatni. Pomagał jej w tym całkiem przyjemny młodzieniec w radzieckim mundurze. Przedstawił się jako Wołodia Sołowiow i oznajmił, że może mówić do niego Wowa. Usiedli obok siebie. Poza nimi było jeszcze trzech wojskowych i jeden cywil, ubrany w rosyjską czy ukraińską bogato haftowaną rubaszkę. Wyglądało na to, że panna młoda nie ma żadnej rodziny, ale jej zdawało się to nie przeszkadzać, wciąż śmiała się perliście i błyskała w tym uśmiechu ostrymi białymi ząbkami.

Na początek podano szampana, zaczęły się toasty:

– Stu let, Luiza Millerowna, i tobie, Mieczysław, nasz dorogoj!

Po toastach wszyscy usiedli i Zosia mogła spokojniej się przyjrzeć zarówno gościom, jak i klientom knajpy. Weselnicy zajmowali tylko jeden stolik, co prawda chyba najlepiej położony, w niszy, nieopodal orkiestry. W sali jednak przetaczał się zbity tłum gości, mniej lub więcej albo nawet wcale nie eleganckich, a gdy zabawa trochę się rozkręciła, zaczęły strzelać szampany, a wódka lała się jak woda w lany poniedziałek. Wiadrami. Kelnerzy w bordowych fraczkach i muchach nosili pieczone kaczki, golonki, indyki. Na ich stół przyfrunął na półmisku bażant, pięknie udekorowany, z zachowanym ogonem i skrzydłami, jakby wzbijający się do lotu. Do niego zaserwowano czerwone wino.

Zośka była pod wrażeniem. Nie spodziewała się, że będzie uczestniczyć w tak wystawnej uczcie. Kiedykolwiek. Wyobrażała sobie własną przyszłość prosto i skromnie. A tu, proszę, jaka niespodziewanka. Chętnie by się dowiedziała, skąd te frykasy, lecz nie miała kogo zapytać, siedziała cichutko, niczym szara mysz, przy końcu stołu. Panowie rozmawiali po rosyjsku, a ona tego języka nie знаła, mogła więc tylko patrzeć na czerwonego od gorąca i alkoholu stryjka, przepijającego ze swoją młodą żoneczką, na rozgłosne pocałunki pułkownika czy generała, widać przechodzącego z panną młodą na ty. W pewnej chwili ten mężczyzna, w rubaszcze, zatem chyba cywil, zaintonował głośno jakąś pieśń.

Pięknie śpiewał; Zośka, już najedzona, rozmarzyła się nieco, patrząc teraz na bawiących się w restauracji ludzi i zastanawiając się, kim są. Na jej oko byli to jacyś handlarze czy przestępcy, szemrane twarze, grube rysy, ale w końcu restauracji zobaczyła też parę młodych, wyraźnie zakochanych. Trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy. Nie zamówili żadnych wystawnych dań, tylko siedzieli nad pustymi talerzami i od czasu do czasu wołali o wódeczkę, ale przede wszystkim tańczyli. Wszystkie tańce po kolei.

Wódeczka i śledzik były, jak sądziła Zośka, przepustką do tej knajpy, gdzie grała muzyka i można było poszaleć na parkiecie. Wzruszyli ją jakoś i wywołali smutek. Poczucie braku. Posmutniała. Ale tylko ona, przy stole weselnym bowiem wszyscy byli coraz bardziej pijani. Panowie krzyczeli, zaśmiewali się, a potem urządzili sobie zawody w picciu, łapano kieliszki zębami i opróżniano. Wódka lała się po twarzach, odważniejsi próbowali nawet pić w ten sposób z butelek. Śmiech i rechot towarzyszyły każdej wpadce, sukces wywoływał radosne okrzyki.

Panna młoda, Luiza Millerówna, śmiała się chyba najgłośniej, a wtórował jej wpatrzony w nią stryjek. Zośka z trudem utrzymywała na twarzy uśmiech, żeby nie odstawać od reszty.

Towarzystwo w restauracji patrzyło na zabawę weselników z żywym zainteresowaniem – jak

na występy trupy cyrkowej. Mieczysław, dopiero co, zaledwie kilka tygodni temu, smętny i depresyjny, szedł w zawody z generałem, któremu przy kolejnych próbach picia z butelki dźwięczały jak szalone ordery na piersi. Generał zachęcał Zosię, by spróbowała, ale odmówiła w panice.

Czuła, że są obserwowani, nie tylko przez innych gości.

Niedaleko ich stolika siedział samotny mężczyzna i gapił się ukradkiem. Przypominał tych, którzy byli na Mokotowskiej w czasie rewizji, miał też podobny ceratowy płaszcz, który przerzucił przez krzesło. Zosia wystraszyła się w pierwszym momencie, ale potem poczuła ulgę. Że tu i teraz, w tym towarzystwie, nic jej nie grozi. Ale może to tylko było złudzenie – poczucie zagrożenia i poczucie bezpieczeństwa. Złudzenie szalonej, szampańskiej nocy – jednej jedynej takiej w życiu.

Dyżurny ubek, pomyślała jadowicie i znów napiła się wódeczki. Ciekawe, co napisze w raporcie i do którego z tu obecnych ten raport trafi. Przyniesiono kolejną porcję przystawek, co odwróciło jej uwagę od kwestii natury moralnej. Zgarnęła na talerz nieco szynki i schabu, a po chwili namysłu dorzuciła kawior, którego, prawdę mówiąc, nigdy nie kosztowała. Tu, w Paradise, w czterdziestym piątym roku bulgotało całkiem żwawo życie zupełnie inne od tego, które znała.

Wystawne, bogate, wesołe.

Kto by pomyślał, zadumała się, codziennie chodzę tędy do pracy i widzę tylko tego grajka w butach z dywanu.

Stryj znowu coś wykrzyknął, podniósł się z kieliszkiem w dłoni i wzniósł toast. Domyśliła się, że miało to związek z nią, Zosią, bo wszyscy wstali i też coś wykrzyknęli, patrząc na jej spłoszoną twarz. Podniosła się, uśmiechnęła nieśmiało i upiła nieco szampana, teraz bowiem przyszedł czas na szampana. O co chodziło, Zośka nie wiedziała i nawet nie była specjalnie ciekawa. A stryj zakomenderował i wskazał palcem na Wowę. Ten stanął natychmiast jak do raportu, dziarsko strzelił obcasami i poprosił ją do tańca, widać dowódca mu przykazał.

Orkiestra zaczęła grać. Tango, ucieszyła się, słysząc pierwsze takty. Lubiła tańczyć. Zatańczy. Pierwszy raz po wojnie.

Ruszyli. Utwór nie był łatwy melodycznie, ale Wowa okazał się dobrym partnerem, dawno nie czuła się tak lekka, rozluźniona i swobodna, w pięknie wirującej sukience i objęciach przystojnego, co tu kryć, chłopaka. Przeginając, jak to w tangu, dostrzegła, że tylko oni tańczą. Byli na parkiecie sami.

Cała sala patrzyła na nich jak na solistów na scenie.

Sprawilo to Zośce przyjemność. Wowa też widać poczuł się królem parkietu, bo wymyślał coraz to nowe figury. Byli jak w transie.

I nagle usłyszała, że ktoś śpiewa.

Młody chłopak, ten od pary pod oknem, stanął przy orkiestrze i wziął do ręki mikrofon:

Czy widzisz te gruzy na szczycie?
Tam wróg twój się ukrył jak szczur.
Musicie, musicie, musicie
Za kark wziąć i strącić go z chmur.

I poszli szaleni, zażarci,

I poszli zabijać i mścić,
I poszli jak zawsze uparci,
Jak zawsze za honor się bić.

Czerwone maki na Monte Cassino
Zamiast rosy piły polską krew.
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz od śmierci silniejszy był gniew.

Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni.
I tylko maki na Monte Cassino
Czerwiejsze będą, bo z polskiej wzrosną krwi.

Zośka zbladła, zrobiło się jej słabo. Usiłowała się zatrzymać. Nie rozpoznała, co tańczy. *Czerwone maki pod Monte Cassino*. Wyczuła wrogość. Wrogość sali. To, co uznała za aplauz dla ich tańca, było szokiem, krytyką, naganą. Po chwili mocowania, obserwowanej przez wszystkich obecnych, wyszarpnęła się z ramion partnera i stanęła na baczność tuż koło estrady, jakoś tak niezdarnie, a zdziwiony Wołodia, rozglądając się gapowato, został przy niej, nie rozumiejąc sytuacji. Stał w tym swoim sowieckim mundurze, z wielkimi, nadnaturalnymi wprost pagonami krzyczącymi złotem i czerwienią. Gdy chłopak umilkł, a orkiestra skończyła grać, Zosia, ścigana złymi spojrzeniami, na ugiętych nogach wróciła do stolika. Wowa podążył za nią i rozglądał się nadal, usiłując pojąć, co się stało.

Weselnicy nie zauważyli czy nie zrozumieli incydentu, tylko siedzący obok samotny, dyżurujący ubek, napotkawszy wzrok Zosi, puścił do niej oko. Zbladła. Tego już było nadto.

Nie chciała tu być. Wstała, podeszła do wuja, wyszeptła, że chce wracać. Zaczęły się przepychanki, w końcu dano jej spokój, a Wowa dostał polecenie, by odwieźć córkę pułkownika do domu.

Nowa stryjenka, Luiza Millerówna, wycisnęła wielki krwawy pocałunek na Zosinym policzku, a i stryjek niedźwiedzio wato ją przytulił, a potem, ścigana oceniającymi spojrzeniami, wyszła wreszcie z lokalu. Odetchnęła.

Była trzecia nad ranem, gdy wsiadała do gazika z pękiem baloników dwornie jej ofiarowanych na pamiątkę przez Wowę.

Szampańska noc? Jedna wielka katastrofa, pomyślała zgryźliwie – dobrze, że to koniec.

Myliła się. Noc dopiero się rozpoczęła.

13 KWIEŚNIA 1945, TRZECIA NAD RANEM, WARSZAWA

W obszernym holu paliła się tylko jedna, i to słaba, żarówka. Długi korytarz, zagracony do niemożliwości, przywodził na myśl labirynt, w którym łatwo się nadziać na wystającą komodę, ulokowaną tu szafkę nocną czy zagracone tremo. Przesmyk między meblami był tak wąski i mroczny, że nocą do toalety szło się po omacku, z wyciągniętymi rękami, badając niepewnie poszczególne kształty, które majaczyły wokoło. Zawsze istniała możliwość, że na drodze

właśnie pojawiło się coś nowego, jakaś paka, wiadro czy toból, więc co rusz ktoś na coś wpadał, o coś się potykał, coś sobie przytrzaskiwał i kłął. Głośno lub ciszej.

Wanda, przedostawszy się przez przesmyk, weszła w korytarzyk, ominęła wszelkie zasadzki i całkiem już rozbudzona, z ulgą wymacała klamkę do ubikacji. Kiedyś zdarzyło jej się nocą zawędrować do sąsiadującego z klozetem pokoju Kaśki i cóż, wrzaski tej ostatniej, tudzież jej kochanka Wojtka, postawiły na nogi cały dom. Nie życzyła sobie powtórek, chociaż mogło być ciekawie. Niechcący zapaliła wówczas światło w ich pokoju. Boże! Co to się działo! Na odgłos krzyków Kaśki zbiegli się wszyscy lokatorzy mieszkania, nawet ten młody z gabinetu, który nigdy towarzysko się nie udzielał.

Ale się działo, zachichotała w duchu. Głaza rzucał mięsem, Kacha darła się wniebogłoso, a ona, Zośka, spłonęła rumieńcem na widok gołych Kaśczyńskich cycków. Wanda żałowała, że nic więcej nie zobaczyła, ale, bądź co bądź, udało jej się dojrzeć tę, no, męskość Wojtka, gdy wyskoczył z łóżka.

Wcale, wcale, westchnęła teraz i otworzyła drzwi do ubikacji.

Zarówka, nie wiedzieć czemu, była w klozecie mocniejsza. Może dlatego, że Jacek lubił sobie tu gazetkę poczytać.

Nagła jasność ją oślepiła, Wanda przymknęła nieco powieki i wtedy zobaczyła jakąś sylwetkę. Właściwie tylko jej zarys. Ktoś był w toalecie. Chciała się wycofać, bąknęła „przepraszam”, robiąc w tył zwrot. Jednak po sekundzie czy dwóch, gdy oczy przyzwyczyły się nieco do światła, otworzyła je szerzej i jednak spojrzała. Coś ją zaniepokoiło. Coś tu nie grało. Ta postać. I zamiast wyjść, popatrzyła.

A potem podniosła wrzask. Tak głośny i przeraźliwy, że Kacha mogłaby się od niej jeszcze wiele nauczyć.

Krzyczała i krzyczała, siedząc już pod zamkniętymi drzwiami ubikacji na podłodze, gdzie klapnęła, kiedy nogi jej się zaplątały podczas próby ucieczki. Ze wszystkich pokoi wyskakiwali lokatorzy mieszkania, a Jacek przypadł do niej i objął ją, pytając:

– Co ci się stało, Wandziu? Kochanie!

Wojtek Głaza stanął w progu służbówki, za nim dostrzegła Kachę. Nawet Helenka wyjrzała i podeszła bliżej, wkładając w pośpiechu chwyconą kapotę. Nachyliła się nad Zalewską, ciągle szlochającą, i Wanda zobaczyła jej pocziwe oczy w kolorze ciemnego miodu.

– Coś może pomóc? Noga? Zwichnęła ją pani?

– Niech ta si ta nie drzi tak! – warknął Wojtek, wychylając się z drzwi. – Całe kaminice pobudzi.

Wanda Zalewska natychmiast zamilkła, choć do końca go nie zrozumiała, ale błyskawicznie do niej dotarło, że nie, nie chce budzić całej kamienicy. Odrobinę się opanowała, złapała oddech i wskazując drzwi do ubikacji, wycharczała:

– Tam się ktoś powiesił.

Zapadła głucha cisza; wszyscy zamilkli i popatrzyli na siebie.

Helenka zbladła, Głaza wynurzył się z pokoju, za nim rozkociudana Kaśka.

– Jak to...? – zaczął coś mówić Jacek, ale nie skończył, tylko wstał i jednym ruchem otworzył drzwi do klozetu.

Wanda bała się spojrzeć ponownie, jednak nie mogła nie spojrzeć. Wisiał. Był tam. To jej się nie przyśniło. Wszedł na sedes, zawiązał sznur na haku od lampy i pewnie skoczył. Jego nogi zwisały obok klozetu; głowa, wygięta pod dziwnym kątem, nie pozwalała dostrzec twarzy.

Helenka wydała stłumiony pisk i zaszlochała gwałtownie. Za jej plecami pokazała się Irka,

która cały dzień siedziała w swoim pokoju i płakała, jakby kto otworzył kurek z wodą. Wanda i wszyscy już wiedzieli, że straciła narzeczonego.

– Hela, co się stało? Co tu się dzieje?!

Zalewski wskazał na wiszącą postać. Irka zamilkła, a Helka się przeżegnała i coś tam zaczęła szeptać. Kaśka odwróciła się i jęknęła:

– Ja nie mogę, za delikatna jezdem.

– Nikt nie może. – Irenka spojrzała na doktora Zalewskiego. Jakby wróciła do nich i do życia. Oprzytomniała natychmiast. – Czemu pan stoi? Czemu tak stoicie? Odetnijcie go.

Obaj mężczyźni natychmiast rzucili się do nieboszczyka i odcięli go podanym przez Kaśkę kuchennym nożem.

Groźny, bo to był on, osunął się bezwładnie na podłogę.

Miał otwarte oczy i płamę w kroku spodni, ale nadal był groźny, może bardziej nawet niż wcześniej.

Zalewski schylił się, pro forma dotknął ciała i oznajmił to, co już wiedzieli i rozumieli.

– Trup, i to zimny.

– Która godzina? – zapytała Irenka.

Taka już była, że w obliczu nieszczęścia, cudzego, natychmiast się mobilizowała. Z czerwonym nosem i zapuchniętymi oczami robiła wrażenie czujnej, absolutnie spokojnej.

– Trzecia będzie. – Głaza zerknął na swój zegarek, którego noszenie było zapewne aktem odwagi, bo Sowieci, gdy tylko u kogoś dostrzegli jakiś czasomierz, zaraz zabierali.

– Trzeba na milicję! – wychrypiała Zalewska, wciąż siedząc na podłodze, teraz obok trupa. Mąż schylił się i podał jej rękę. Wanda wstała chwiejnie.

– Hola, hola! – zaprotestowała Kaśka. – Zastanówta się.

– Czy aby go kto nie powiesił? – spytał Głaza.

– Niby kto? – Irenka przyglądała się uważnie zwłokom.

– No, wszedł ktoś i... tamci albo ci drudzy, no wicie.

– Kryminałów się pan naczytałeś. – Zalewski podszedł jednak bliżej do zwłok, obejrzał ręce Groźnego, a potem spojrzał na sznur, jego wiązanie.

– Mogli go załatwić. I jedni, i drudzy, panie doktor! – bronił się Głaza.

– Klasyczne samobójstwo – zawyrokował lekarz.

– To pewnie jednak go zmusili do tego donoszenia – Irka myślała szybko na głos – i pewnie nie umiał czy nie miał siły już uciekać. Zgodził się, ale nie chciał. I w ten sposób im uciekł. W śmierć.

– Dlatego był taki, taki smutny... – szepnęła Helenka.

W tym momencie zachrobotał zamek w drzwiach. Głaza z Kaśką błyskawicznie cofnęli się do kuchni, Zalewscy chcieli uciec do siebie, ale nie zdążyli, gdy w progu mieszkania stanęła Zośka. Z pękiem różnokolorowych baloników w ręku, czerwonymi policzkami i smutkiem w oczach.

– Co to? Co się dzieje?!

Doktor Zalewski odsunął się o krok i zobaczyła zwłoki na podłodze.

– Boże, co mu...? – Oparła się o tremo, wypuszczając balony z dłoni. Upadły na podłogę i potoczyły się w różne strony. Jeden, niebieski, poleciał na twarz nieboszczyka.

– Powiesił się. – Głaza minął ją zwinnie i błyskawicznie, jak mim, zamknął uchylone drzwi. Na wszystkie trzy zamki. I jeszcze zablokował łańcuch.

– Cicho bądźcie – wysyczał – bo zaraz nam tu Romanowskie milicję ściągną. Chodźta do kuchni. Pogadać trza.

Zgodnie, jak nigdy wcześniej, weszli wszyscy razem i zajęli miejsca przy stole, Głaza dostawił stołek ze służbówki.

Helka dorzuciła węgla pod blachę. Ale herbaty nie zaproponowała, Wojtek wraz ze stołkiem przyniósł, jakby inaczej, wódkę.

Zaczął rozlewać. Irka zamachała ręką odmownie.

– To co robimy? – zapytał.

– Nie rozumiem, no, trzeba milicję, tylko nie wiem, czy teraz, czy rano? – zastanowiła się Wanda Zalewska.

– To nie takie proste... – przerwał jej mąż – będą nas przesłuchiwać, może wsadzą do aresztu, prześwietlą dokładnie. – Tu spojrzął na żonę, a ta spuściła wzrok. – Już oni mają swoje metody. Nie wiadomo, czym to się może skończyć, możemy im pasować do jakiejś ich gry, a jak nas przycisną, każdy się przyzna i powie im wszystko, co tylko będą chcieli usłyszeć.

– Taa, masz pan doktor rację, z tego jaka pokazówka może być. Ich człowiek nie żyje. Bezpieczniak. Proces. I kaes. Czyli można zawisnąć. Za niewinność, jak moją babcię kocham.

Głaza jasno to widział. Irenka też, bo dodała:

– Dasz człowieka, znajdzie się paragraf.

– O! W samo sedno panna Irka trafiła. Ja tam z władzą lubię się, ale z daleka. Zresztą ja, no, nie mam papierów dobrych, te moje to, jak by rzecz, nie moje. Kuzyna Kasi. Tak że zanim szanowna milicja się tu pojawi, ja, że tak powim, pożegnam sje.

– No to ja z tobą... – zakwiliła Kaśka z głębi przepastnej piersi.

– Jasne, gołąbeczko, jasne. – Przytulił ją mocarnym ramieniem.

Irka patrzyła na to wszystko przestraszona.

– Ślicznie, że tak się kochacie, ale gdy państwo szanowni stąd znikną, to już milicja czy tam ubecja was pierwszych będzie szukać. Mają przecież nazwiska i zdjęcia po poprzedniej akcji.

– Znikniem, a moje nazwisko, no cóż, jak powiedział ja, nie moje.

– Żeby to było takie proste, panie Głaza, czy nie Głaza, to i ja bym znikł. Całą wojnę byłem w AK. Leczyłem ostatnio chłopaków z lasu, takich jak ten wisielec, jeszcze żywych, choć w zasadzie już martwych, bo bez szans. Ubecja zaczęła za mną węszyć, jak tylko się pojawili w miasteczku. Może kto doniósł, kto tam wie. Na szczęście byli też życzliwi ludzie i ci dali mi znać, żebym wiał, więc się z Wandzią zapakowaliśmy i pojechaliśmy. Najpierw do Kielc, jednak to małe miasto i wszyscy nam się przyglądali, więc ruszyliśmy do Warszawy, tu łatwiej zniknąć. Ale jestem lekarzem, można mnie znaleźć, jak się zechce, no i trudno mi się przekwalifikować, dyplom całym mym majątkiem, że tak powiem. Jeśli mnie tu namierzą i wsadzą, to zaraz pewnie pokojarzą mnie z lekarzem z Hajnówki. I będzie klops.

Kaśka nagle trzepnęła się w czoło.

– Wojtek! I to złoto, co je mamy, musimy schować, gdzieś wynieść, skoro nie możemy wiać, bo nas przyuwają na amen.

– No, za złoto kaes grozi – powiedziała Irka.

– Co panna Irenka mówisz? Nie wiedziałem... – zakpił Wojtek.

Irka zamilkła. A potem dorzuciła do tej spowiedzi powszechnej:

– Też bym ich nie wołała. Mogą się dogrzebać i do moich grzechów.

– Panna Irka grzeszna? Myślałam, że tylko napić się lubi – dźgnęła ją Zalewska.

Irenkę szlag trafił, ale nie chciała awantur nad zwłokami.

– Napić się lubię, ale w miarę, jak myślę, wszyscy tutaj. Wczoraj tę miarę przekroczyłam. Wiem o tym. Ale miałam powód.

Wszyscy zamilkli. Rozkwitające uczucie Irki i Romka było tematem rozmów i docinków. Helenka objęła Irenkę mocno.

– Irenka, my...

– Wiem, wiem. Dajcie spokój. Co dnia nowe zwłoki, to tylko w Warszawie.

– Masz humor panna... wisielczy? – Głaza zachichotał, potem Zalewski i Zośka.

Zalewska pokręciła głową, a Kacha się postukała w czoło. Tylko Hela stała jak słup. Smutna taka.

– Dajta spokój. Człowiek nie żyje.

– Wyobrażacie sobie, co on przeżywał otoczony naszą wzgardą. Nie wiadomo, czy kogoś wydał, czego od niego żądano. Uciekł im, jak potrafił. – Irka westchnęła, ogarnięta nagłym poczuciem winy. Pomstowała przecież na tego biedaka, w myślach go wyzywając od ostatnich. Nie patrzyła na niego, bo patrzeć nie mogła.

– Dobra, nie czas na wspominki. Co robiem? Panie doktor? – Głaza był konkretny.

– Nie wiem. Ale moim zdaniem milicji, czy potem ubecji, nam nie trzeba. Jak zaczną grzebać, to się dogrzebią, każdy z nas ma coś, o czym by nie chciał z nimi gadać. Tak, żadnej milicji, tyle wiem.

– Proponuję... – Irka, jako wybitny strateg, miała już plan – proponuję go wywieźć. W ruiny. Zapadła chwila milczenia. Wszyscy popatrzyli na nią, mierząc się z zadaniem.

– Tak po pogańsku? – Helka pierwsza się odezwała. – Jak martwego psa czy kota?

Irce coś zaskoczyło w głowie, o czym nie pomyślała.

Może on ma rodzinę? I oni...

Romek.

– No, to może rzeczywiście... nie.

– Jak to nie! To jedyne wyjście, doskonały pomysł ma panna Irenka. Trzeba go stąd zabierać. Przyjdą szukać, a my nie wiemy nic, nie gadał, wyjechał – zapalił się Wojtek.

– Panno Helu, nie ma co się tu obcyndalać – dorzuciła Kaśka – abo on, abo my.

– Tak, to dobry pomysł, ale jak nas ktoś zobaczy ze zwłokami, to umarł w butach, wtedy już się nie wybronimy... – powiedział Zalewski.

– Bez ryzyka nie ma życia, panie doktor! – Kaśka zaaprobowwała pomysł i nie zamierzała z niego zrezygnować.

– Możemy go zawieźć, na wózku – podzuciła Zośka, dotąd milcząca.

– Na moim wózku? – zaprotestowała Irenka. – Ja na nim jedzenie wożę.

– Jak nas złapią, to i z wózkiem, i z Café Irena też się pani pożegnasz. – Głaza nie rezygnował.

– No tak.

Helenka pomyślała chwilę.

– To może ja krzyż przyniesę, co go mam w pokoju.

Wszyscy popatrzyli na nią trochę zdziwieni.

– Dobrze – zgodziła się Zośka, choć nie wiedziała, po co ten krzyż – przynieś.

Helenka pobiegła do pokoju, a Zosia zapytała Głazę:

– Która to godzina, panie Wojtku?

– Trzecia dwadzieścia – uprzedził go Zalewski. – Trzeba się pospieszyć, zaraz zrobi się jasno.

Irka kiwnęła głową.

– Tak, działajmy, jeśli mamy to zrobić. Idę się ubrać.

– To i my. – Oboje Zalewscy zniknęli w swoim pokoju.

Hela wróciła z krzyżem, Zośka z Kaśką i Wojtkiem stanęły nad zwłokami i słuchali, a potem

dołączyli się do jej *Ojczy nasz* i zdrowaśki. Zalewscy też przyszli po chwili, choć on się deklarował jako niewierzący i do kościoła nigdy nie chodził, podobnie jak Zośka i Irka. Najgłośniej ze wszystkich modliła się Wanda, mimo że pobożna zbytnio nie była.

Zosia też uznała, że zmarłemu należy się odrobina szacunku czy myśli i skoro nie można było inaczej, to choćby tylko powtarzając za Helenką słowa modlitwy, okaże swój żal.

Tylko Irka, słuchając dochodzących z korytarza głosów, pomyślała: farsa. Ale nic nie powiedziała, wróciła do korytarza, gdy skończyli.

– Co dalej? – Na głos wypowiedziała te słowa Zośka. Choć wszyscy o tym myśleli.

Irka miała doświadczenie. Jeszcze z trzydziestego dziewiątego roku.

– Panie doktorze, proszę sprawdzić, co nieboszczyk ma w kieszeniach.

– Dlaczego ja? – zaoponował lekarz.

– Bo pan z trupami miewa, na ten przykład, okoliczność – odparł szybko Głaza.

Trudno było z tym dyskutować, więc Zalewski chcąc nie chcąc klęknął i przeszukał kieszenie nieboszczyka. Młody z gabinetu miał na sobie tylko spodnie, koszulę i wełnianą kamizelkę. Nie włożył butów, widać tylko w skarpetkach przyszedł się wieszać. Kieszenie były puste.

– To tak – zarządził Głaza – idzie panna Irenka pierwsza, rozgląda się, co i jak, i wyciąga z piwnicy po cichu swój wózek. My za nią idziem z nieboszczykiem pod pachę, udając, że pijaniutki. Butki mu zaraz założę.

– A jak kto was spotka? – spytała.

– To bedziem gadali, że zachorzał i pan doktor do szpitala go bierze. Jakby tak się zdarzyło, że kogo spotkamy, to już potem tylko wiać nam należy. Ale na razie spróbujem sprawu rozwiązać, likwidując szanowne zwłoki.

– Dobrze pan mówisz. Zejdziemy niby nic. Idziemy do ruin na prawo czy na lewo?

– Nie znam poglądów politycznych nieboszczyka, proponuję na Jaworzyńską. Troszku z boku.

– Dobrze, niech będzie, choć tam mało ruin. Ten dom na rogu by się nadał. – Zalewski myślał głośno.

– Byłam na Jaworzyńskiej w ruinach, stamtąd przytargałam Rudaska. W tej kamienicy w głębi, na prawo, jest taka zapadnięta piwnica. Z dziurą, głęboką, obsuniętą jak studnia, aż strach tam zajrzeć. – Helenka przypomniała sobie niedawną pogoń za kotem.

– O! Tego, tego nam trzeba! Głębokiej dziury. Ruszajmy! – zakomenderował Zalewski. – Za dnia nie damy rady nieboszczyka dyskretnie przetransportować...

– Panno Zosiu, zgodzi się panna zabezpieczać nam tyły?

Zośka tylko kiwnęła głową. Wciąż była w płaszczu, jakoś z tego wszystkiego zapomniała się rozebrać.

Irka szła pierwsza, stąpała gołymi stopami po schodach. Pończochy zwinęła i schowała do kieszeni. Były nazbyt cenne, by je zniszczyć, a nie chciała robić hałasu swoimi półbutami, podzielowanymi metalowymi blaszkami. Gdy znalazła się na podwórku, wyciągnęła ze składziku wózek. Teraz niebezpieczni byli Franciszkowie, którzy mieli okna tuż obok wejścia. A Franio sypiał czujnie. Oczywiście by ich nie zdradził, ale po co kogoś jeszcze w to wplątywać. Irenka, aby nie hałasować, unosiła wózek, zastanawiając się, jak w nim ulokować zwłoki, żeby się nie rzucały w oczy. Przypomniała sobie tamtych spotkanych pierwszej nocy w Warszawie trzech chłopców, z których najstarszy miał może dziesięć lat, jak ciągnęli sanki z siedzącym na nich trupem, może matki. Poczowała dreszcz, ale trudno, trzeba, to trzeba.

Wywlokła wózek w prześwit bramy i przystanęła, wsłuchując się uważnie w odgłosy nocy.

Nie minęło pięć minut, gdy na podwórku pojawiło się trzech obejmujących się, jakby pijanych mężczyzn.

Wojtek z doktorem rozejrzeli się po ulicy – było pusto, ciągle obowiązywała godzina milicyjna, co w sumie ułatwiało sprawę. Nocą patroli chodziło niewiele. Ułożyli nieboszczyka w pozycji noworodka i zakryli wojskowym pledem, Głaza podwinął mu jeszcze nogi. Irenka odwróciła wzrok i ruszyła sama pustą ulicą. Szła po cichu, ostrożnie, ale mimo to stukot jej kroków, bo już włożyła buty, rozbrzmiewał donośnie, odbijając się zwielokrotnionym echem od wypalonych murów. Panowie mieli cichsze obuwie, na gumie, a turkot wózka był prawie niesłyszalny.

Nagle, gdzieś z przodu, przed nią, rozległ się jakiś rumor. Irka stanęła. Idący kilka metrów z tyłu mężczyźni też.

Wszyscy przez moment nasłuchiwali.

Wokoło panowała cisza, co to było, kto wie, może urwał się fragment jakiegoś muru? Ruszyli dalej. Zaczął padać deszcz. Głaza ciągnął wózek, Zalewski go pchał, Zośka szła z tyłu, bacznie obserwując, czy ktoś się nie zbliża. Irenka odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie dotarła do rogu Jaworzyńskiej; uliczka nie była zamieszкана, ponieważ domy zostały kompletnie wypalone. Tylko ruiny i zgliszczą.

No, chyba że ktoś w ruinach sobie jakąś piwnicę przysposobił... – przemknęło jej przez głowę, wolała jednak o tym nie myśleć.

Deszcz zaciął coraz mocniej.

Jakby ich biczował.

Nie było to przyjemne, ale dla ich celów dobre.

W deszczu mało co widać, deszcz tłumi hałas. W końcu, mokrusieńcy, dobrnęli do najdalej położonej, kompletnie zrujnowanej kamienicy, tej, o której wspominała Hela. Wsunęli się ostrożnie do środka, cały parter stanowił wypaloną, pustą przestrzeń. Rozejrzeli się – sterty gruzów, cisza, słychać było tylko spadające na kamienie krople wody. Zalewski poczuł ulgę, najgorsze za nimi. Teraz tylko...

Nagle coś huknęło. Gdzieś z tyłu. Głaza podskoczył, a doktor, co Irenka ze zdziwieniem odnotowała, podejrzanie sięgnął za pazuchę.

Czyżby... Ma broń? Nie wiedziała, dobrze to czy źle. Nic już nie wiedziała.

Hałas wybrzmiał, znowu zapanowała cisza. Słychać było tylko krople deszczu i oddechy ich czworga. A potem znowu szmer. Mężczyźni porozumieli się wzrokiem i wolno, wolniutko zaczęli się przesuwac w stronę źródła hałasu. Krok za krokiem.

Irka skryła się za na wpół rozwaloną ścianą. Wolała nie być na linii ognia. Miała już pewne doświadczenia, niestety.

Gdy doktor z Wojtkiem dochodzili do rogu, któryś niefortunnie kopnął kamień, co spowodowało kolejny hałas. Znowu tam, na krańcu ruiny. Tym razem nie czekali, nie skradali się, tylko ruszyli biegiem do miejsca, skąd dobiegał łoskot. Rozległ się pisk, potem kolejny, zaczęły się toczyć kamienie, rumor był przerażający. Mężczyźni wyhamowali i nachylili się, patrząc na coś. Gdzieś w dole.

– Co tam? – zapytała Irenka, wysuwając się zza ściany.

– A jak panna Irka myśli? Szczury, całe stado. Tu sobie w tej ruinie hotel urządziły.

– Dobrze – powiedział zdecydowanym tonem Zalewski. – Jest dziura, nie ma na co czekać. Chowamy nieboszczyka i nas nie ma. Migiem, panie Wojtku! Raz, dwa, trzy i do dziury.

Szczury. One... Irka nagle się wystraszyła tego, co zamierzali. Ale... co można było teraz zrobić innego?

Odwróciła się.

– To ja już pójdę. Dobrze?

Zalewski kiwnął głową.

Odeszła, byle szybciej, byle dalej i nie myśleć. Nie myśleć. Zapomnieć. Natychmiast.

Zośka stała przy wejściu do zaułka, jaki stanowiła Jaworzyńska. Oparła się o bramę, której podcienia nieco chroniły ją od deszczu.

Było przeraźliwie cicho. Tylko ten deszcz.

To miasto jest trupem, pomyślała. Wszyscy żyjemy na grobach. Wcześniej czy później skończymy tak jak ten, no, Groźny. Co też on musiał przejść, wszystko to jest chore, zgniłe, gdzieś u podstawy. To wesele nie było normalne. Stryj też, coś z nim jest nie tak. A ja? Ja? Ja się trzymam. Jakim cudem? Nie wiem. Ale chciałabym uciec, mam dosyć. Tylko dokąd? Stąd, dokąd? Nie miała pomysłu, co powinna zrobić, i przyszło jej do głowy, że chciałaby uciec do biblioteki. Tam jest jej dom. Tam czuła się bezpieczna. Książki były ucieczką. Zapomnieniem. Pasją.

W bramie pojawiła się Irenka. Nic nie mówiąc, wzięła Zosię pod rękę i pociągnęła w kierunku domu. Który już bezpieczny nie był.

16 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Trzech brudnych chłopaczków grało w piłkę w ruinach. W podartych portkach i porwanych sweterkach ganiłi za szmacianką jak małe koty. Franio przeszedł mimo i nawet z wieloletniego nawyku miał ochotę krzyknąć, by uważali, bo jeszcze jaką szybę zbiją, ale sobie przypomniał, że tu żadnej całej szyby nie ma, więc machnął ręką i poszedł dalej. Plecy go od tej wilgoci bolały, przez kilka dni padało i dziś pierwszy dzień bez deszczu się trafił. Pomyślał, że teraz wszystko powinno zacząć się zielenić i może jakoś lepiej będzie. Inna sprawa, że słaba nadzieja, aby tu, na tym gruzowisku, coś zakwitło. Spojrzał na drzewo, rosnące tuż koło wejścia do domu, czarne jak krzyż z hebanu, i pokiwał głową.

Z tego to już nic nie będzie, ściąć by trzeba. Ale to już nie ja. Desek do pieca teraz dostatek, wystarczy w jakieś ruiny wejść na pół godziny i wózek pełen opału. W bramie minął się z zaafowaną Helenką, która miło mu się ukloniła i pobiegła dalej, pewnie do tej ichniej kawiarni. No, dziewczyny zajęcie sobie znalazły, ale czy to nie szkoda panny Irenki, żeby w tramwaju herbatę sprzedawała? Dziwne czasy nastały. Wszedł w bramę, a zaraz za nim wsunął się jakiś gruby jegomość, taki bardziej okrągły, jak nie przymierzając baryłka. Włosy u niego strzępiałe były i siwe, jak aureolka się puszyły wokół łysiny na czubku głowy.

Franio otwierał z klucza drzwi do swego mieszkania w bramie, gdy ten obcy podszedł i zapytał:

– Szukam panny Ireny Góreckiej. Dobrze trafiłem?

– Jak najbardziej, szanowny panie. Drugie piętro, pierwsze drzwi na lewo.

Tamten się skłonił, a Franio zniknął w swojej norce, bo to jego ciemne, służbowe mieszkanie bardziej norę niż normalne mieszkanie przypominało. Alinka pod oknem czytała książkę, a jego krągła małżonka pichciła coś na niewielkiej kuchence. Chyba krupnik, pomyślał, pociągając

nosem. Zdjął buty i przysunął się do blachy, by zerknąć na zupe.

– Krupniczek? – zapytał przymilnie.

– Zamarzyło ci się! – zaśmiała się Franiowa. – Kartoflanka, ale weź mi i zmiataj stąd, bo ręką tu ruszyć nie mogę.

Kartoflanka też była dobra, więc zaległ na łóżku, czekając, aż obiad się dogotuje, i popatrywał na zaczytaną Alinkę, lubując się domowym ciepłkiem, jakże pożądanym po tych pięciu latach z piekła rodem.

Ktoś zastukał do drzwi. Irka zastygła w bezruchu, od kilku dni każde stuknięcie, każde pukanie budziło strach, wiedziała, że w końcu przyjdą. I wtedy będzie trzeba dać radę. Chwila próby. Jeśli ktoś pęknie – popłyną wszyscy na Rakowiecką, a stamtąd kto wie gdzie. O Sybirze nawet ludzie mówili. Ale to i tak byłaby ta lepsza możliwość; ponoć na terenie wyścigów konnych co noc strzały słychać. Woląla nie myśleć. Rozpamiętywanie miała zakazane. Przez siebie. Zamknęła oczy, pozbierała się wewnątrz i otworzyła, przywołując na twarz uprzejmy uśmiech.

Przed drzwiami stał Bończa-Komarnicki.

Uśmiech z uprzejmego sam się zmienił w taki od ucha do ucha.

– Dzień dobry, piękna damo!

– Witaj, ojczulku! Co cię w moje progi sprowadza?

– Przyjemność, czysta przyjemność. Niosę dobre wieści.

W mieszkaniu poza Irką nie było nikogo. Od tamtej nocy, jak zauważyła, lokatorzy pojawiali się tuż przed godziną milicyjną, bo nocować gdzieś musieli, ale w dzień rzadko kto siedział w domu, pewnie bali się owej nieuniknionej wizyty, której i ona się obawiała. Wszyscy wiedzieli, że wkrótce się zacznie. Ta cisza nie mogła długo trwać.

Usiedli z Tadeuszem w kuchni, Irka wygrzebała schowaną na czarną godzinę kawę i zabrała się do parzenia.

– Co słychać w teatrze?

– Znakomicie!!! Tłumy, moja miła, pełna sala co wieczór, marzenie każdego dyrektora teatru. Czemu się nie pokazujesz? Nie wpadasz?

– A, jakoś mi nie po temu.

Zdziwił się niezmiernie, wszyscy garnęli się do teatru, prawie z niego wychodzić nie chcieli na tę szarą rzeczywistość, a tu Irka nagle nie ma ochoty...

– Co też ta wojna z tobą uczyniła, piękna damo?

– Wojna i życie, i to, co po wojnie. Trudno jakoś.

– To prawda, ale będzie lepiej, masz na to moje słowo, jakem Komarnicki. A także Bończa i Papkin, i Mazurkiewicz z Radomia.

– Pięknie, chce się w to wierzyć, bo jak żyć, panie dyrektorze, jak inaczej żyć bez nadziei.

Zalała kawę w dzbanku i postawiła na stole wraz z filiżankami. Tylko trzy ocalały z jej miśnieńskiego serwisu. Ale dobre i to. Akurat dwie się przydały.

– Boski aromat, królowo scen.

– To prawda! – Irenka uśmiechnęła się radośnie. Dobra kawa i dobra herbata potrafią niejedną troskę odgonić.

– Zatem przystąpmy do rzeczy. Jakem Papkin.

– A co ciebie, Tadziu, tak to błaznowanie chwyciło?

– Chwyciło i trzyma. Już od tysiąc dziewięćset osiemnastego, po kursach w Warszawskiej Szkole Dramatycznej, gdym zagrał Karola w *Ciotce Karola*. Wiesz, zawsze marzyłem, by zagrać Papkina. Ale fizyczność nie sprzyjała. Okrągłym jak antałek, a Papkin chudy winien być i podługowaty. To sobie tak pomyślałem: Jeśli jestem teraz dyrektorem teatru, to kto mi zakáže? No kto? Nikt. Taka okazja się nie powtórzy.

– Chcesz być Papkinem?!

– Więcej. Będę Papkinem, wystawiamy *Zemstę*. Wpadłem tak w przelocie do ciebie, żeby zapytać: Klara czy Podstolina? Co wolisz, nadobna Ireno?

Aż podskoczyła na krzesło.

– Naprawdę? Proponujesz mi...

– Tak!

– Czemu ja? Przecież dziewczątka z variétés i aktorki scen narodowych wszystkie mogą być twoje. Za tę rolę, rzecz jasna.

– Mogą, ale nie chcę. Mam ja swoją Kordelię, szczęśliwie od dwudziestu lat, a ty, wydaje mi się, zawsze byłaś niedoceniona w gruncie rzeczy.

– Ja, niedoceniona?

– Uwierz staremu aktorowi, co na rzeczy się zna. Wybieraj, królowo.

– Klara. Nie, Podstolina! Zaraz, jak teraz nie zagram Klary, to już nigdy. Klara!

– Słusznie, do Podstoliny jeszcze dojrzejesz. Bierz Klarę, a Podstolinę dam Kownackiej.

– Tadziu, jak ci mam dziękować!

– Kochana, bądź szczęśliwa. Ostatnio nic, tylko wszystkich uszczęśliwiam. Rozdaję role, zatrudniam. Miło być dyrektorem teatru w zburzonym mieście, jedyne na dodatek. Komplety co wieczór. A, à propos – nie zaśpiewałabyś? I nie zatańczyła?

– Święty Mikołaj? To twoje drugie imię?

– Tak jakby. Salomea Rolska wyjechała do Krakowa. Dali jej tam mieszkanie i etat. Potrzebują kogoś do Paradise.

– Serio? Paradise to prawdziwy raj. Myślałam, że mnie chcesz do jakiejś szemranej tancbudy, same dziś cuda.

– Mikołaj tak nie postępuje. Wszystko w najlepszym gatunku! – obruszył się jej prywatny Mikołaj.

Irka rzuciła się na niego i dalej obcałowywać mu łysinę. Przerwała jednak nieomal natychmiast.

Ktoś zastukał do drzwi. A jej zatrzepotało serce.

Było ich dwóch. Zapytali o Szydłowskiego. Zatrzepotała rękami, myśląc: Jestem Klarą.

– Nie ma.

– Kiedy będzie? – I znów pojawiła się Klara; otworzyła szeroko oczy i rzekła: – Nie wiem, wyjechał, już czas jakiś temu. Dwa tygodnie, jak mi się wydaje, dokładnie nie pamiętam.

Podziękowali i poszli. Irka jednak wiedziała, że wróć. Wkrótce. Nie sami.

19 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Władek wpadł do mieszkania pierwszy. A potem zahamował, nagle się zreflektował i obejrzał na Lodzię, która spokojnie zamykała drzwi. Irka cofnęła się nieco od wejścia, lepiej się czuła

w cieniu, nie było widać, że ma łzy w oczach. Pomyślała: strasznie dorosła osoba, jak na takie młode dziewczę, z tej nieszczęsnej Leokadii. I zrobiło jej się żal dziewczyny, a łzy znów zabłyśły w oczach.

Wysunęła się z cienia i przygarnęła do siebie Władzia, a potem tak samo uściskała Lodzię. Oboje, a może nawet wszyscy troje, czuli się z tym, czy w tym, nieco niezręcznie, ale może dlatego, że to pierwszy raz.

W kuchni czekała Helenka, też bardzo przejęta, i zupa pomidorowa, spokojnie dochodząca w garnku.

Władek omiół wzrokiem pomieszczenie i oświadczył:

– Pamiętam, że była większa, ta kuchnia...

– A bo to ty byłeś mikry, więc wydawała ci się ogromna.

Zaśmiał się i podszedł do kredensu.

– Tu miałaś spluwę. – Wskazał na górę.

– Wiedziałaś? – zdumiała się Irka.

– Ja wszystko wiedziałem, tylko tak nic nie mówiłem. Bo co było gadać.

Zwichrzyła mu włosy, nie mogła się powstrzymać, ale nie zaprotestował, poddał się temu troszkę tylko zmieszany.

Lodzia godnie usiadła za stołem, Helenka w roli gospodyni sprawiała się dobrze i od razu zaproponowała herbatę.

– Mogę popatrzeć do reszty pokoi? – zapytał Władzio, który najpierw wyjrzał przez okno i stwierdził: – Ale pobojuwisko. Zupełnie inny widok niż dawniej. Nadziwić się nie mogłem, jak tu szedliśmy.

– Szliśmy – poprawiła go Lodzia.

– Tak, szliśmy – potwierdziła Irenka i spojrzały na siebie, a potem jednak uśmiechnęły się, obie równocześnie.

– No, możesz zajrzeć do sypialni, w pozostałych pokojach ludzie mieszkają, obcy. Teraz w Warszawie nie ma, jak widzisz, mieszkań, domy zburzone i wszyscy musimy się swoimi mieszkaniami dzielić.

Nie wiadomo, czy to zrozumiał, popatrzył nieco gapowato i pobiegł na rekonesans.

Hela zaczęła kłaść makaron na talerze. Sama go rano zagniotła i była z niego dumna. Wyszedł piękny, złociutki.

Irka spojrzała na gościa.

– Tak u nas wygląda, może też chcesz, Lodziu, obejrzyć mieszkanie?

– Nieszczególnie.

Zapanowała cisza.

Helenka postanowiła ją przerwać:

– Chcecie pomidorówkę ze śmietaną?

Lodzia poważnie kiwnęła głową.

Irka zaś zastanawiała się, o czym by tu pogadać. Niby pierwsza wizyta, było mnóstwo rzeczy do omówienia, ale czuła też, że wszystko jest jeszcze takie... właśnie kanciaste. Łatwo było wpaść na jakąś minę.

Nie zdążyła otworzyć ust, gdy znów pojawił się Władek z uwagą:

– A mebli też nie ma?

– Powstańcy pewnie nimi palili, zresztą nie wiem, zniknęły. Meble to nie problem, grunt, że mieszkanie ocalało.

– No tak.

Usiadł przy stole, a Helka szybko podała zupę, cudnie pachnącą.

Pomidory w puszcze trafiły jej się na bazarze. Amerykańskie!

Jedli w milczeniu, ale żwawo. Helenka nie miała specjalnie apetytu, po prawdzie bolało ją serce i coś tam jej się w środku kotłowało. Żal taki. Jej syneczek przepadł.

Chodziła i nic. Czy ona kiedy znajdzie Krzysia? Zaczynała wątpić.

Ale przecież nie wolno wątpić. Władka chyba trudniej było znaleźć i proszę. Starła się uspokoić uczucia i myśli.

Patrzyła, jaki to śmieszny chłopaczek z żywymi oczami. Jej Krzyś też był taki, ruchliwy i ciekawski. Westchnęła.

– Dokładkę?

Władzio od razu podsunął talerz, więc nałała kolejną porcję z wazy postawionej na stole.

– Chodzisz do szkoły? – zagadnęła chłopca.

– Tak, od razu do drugiej klasy poszedłem – pochwalił się – a pani dyrektor mówi, że jak się postaram, to i do trzeciej mnie przesuną.

– A w której powinieneś być normalnie?

– W piątej albo czwartej, ale u nas ze wszystkimi tak jest. Nadrabiamy braki, jak możemy.

– A gdzie ta szkoła? – zainteresowała się Irka.

– Mamy wygodnie, na sąsiedniej ulicy – włączyła się Lodzia.

– To może szkoda wyjeżdżać z Zalesia?

Lodzia się ożywiła.

– No, jak usłyszałam o szkole, że otworzyli w takiej drewnianej willi tuż obok, to postanowiłam zostać. Olgierd przyjechał i wziął małego, i zapisał. Jako bratanka, sierotę. Że niby mi go przywiózł na przechowanie. Tak więc Władzio już normalnie żyje.

– Tak, gram z chłopakami w piłę, tam u nas jest w dechę, ogródki się łączą i można biegać między domami. Mamy już swoją bandę!

– A ilu was w tej bandzie? – Irenka czuła wzruszenie i radość. Mały, jej mały, był już taki duży i robił wrażenie szczęśliwego. To więcej, niż mogła się spodziewać.

– Siedmioro nas. Wizentalaki, Gajdziaki i Wichrowskie. Ja tylko sam. Gajdowie to dwóch chłopaków, a Wizentale – para, i Wichrowscy też. Mieszkamy obok siebie.

– Wizentalowie – poprawiała go z uporem Lodzia, a Irka tak się ucieszyła, że aż ją za rękę uścisnęła. Miła z niej była mamuśka. Dobra.

– To może ja teraz placków nasmażę? Z kartofli? Lubisz, Władek? – zaproponowała Hela, której się cknęło bez roboty, gdy dłużej posiedziała. A poza tym to te dwa dzieciaki, Lodzia i Władzio, wydawały jej się wątłe jak roślinki hodowane w ciemnej izbie. Pasłaby ich, gdyby mogła, oj pasła.

– A jakże! Ubóstwuje placki! – odrzekł Władek i znów został poprawiony przez obie przyszywane mamy. To, że tak go zgodnie poprawiają, podobało mu się wielce i nawet zmruczył oczy jak pogłaskany kot.

Przy plackach zaczęła się pogawędka, co i jak. Irka opowiadała, Władek opowiadał i nawet Hela się włączyła. Zabawiając gości, Irka zastanawiała się, jak ofiarować Lodzi pomoc, żeby ta przyjęła. Czy jakoś na osobności, czy przy Władziu? Była już i w teatrze, i w Paradise, i wiedziała, na czym stoi z finansami – nie mogło być mowy, by zostawiła Władzia na utrzymaniu takiego dziecka jak Lodzia, jakkolwiek by ona była dojrzała. W końcu, gdy zniknął ostatni placek, zaproponowała, że pokaże gościom tramwaj, i razem ruszyli na spacer. Tak się

ustawiła, że szła z Lodzią, wzięła ją pod rękę i jakoś, jakoś zaproponowała, że będzie dawać co miesiąc pewną sumę. Bała się, że dziewczyna, która podczas wizyty w Zalesiu wydawała się harda, może odrzucić ofertę, ale tak się nie stało. Lodzia słuchała uważnie, a potem kiwnęła głową z charakterystyczną dla siebie powagą.

– To byłoby dobrze. Ta szkoła, ona kosztuje, a ja nie zawsze zarobię. Wie pani, jeden miesiąc lepszy, ale w drugim ani klienta. Wujek Olgierd mnie ratuje, jak jest marnie, a jemu też przecież łatwo nie jest.

Weszły na plac Trzech Krzyży, akurat gdy pokazało się piękne, jasne słońce. Nagle, po tych wszystkich złych, pełnych strachu i bólu dniach, wydało się Irce, że może jednak będzie dobrze. Nie tak źle, jak sobie dotychczas wyobrażała. Wiedziona impulsem uścisnęła mocno Lodzię.

Spojrzały na siebie z uśmiechem. Ten Władzio to prawdziwy szczęściarz, pomyślała Irka. Już my mu zginąć nie dałyśmy i nie damy. Po prostu ma dwie matki.

20 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Napity Głaza potknął się o własne nogi i poleciał w głąb kuchni. Rozpaczliwie chwycił się krzesła, które napotkał na swojej trasie, ale nie dało mu stosownej stabilności, upadł więc z hukiem na podłogę i on, duży i zwalisty, i krzesło brązowe i wysłużone.

Głazie, rzecz jasna, nic się nie stało, krzesło natomiast zwichnęło nogę. Sterczała jak nowoczesna rzeźba, oskarżycielsko pokazując na sufit.

– Zabiję pana, panie Wojteczku – oświadczyła przyjacielsko Irenka, która była w dość dobrym nastroju po wczorajszej wizycie Władka i Lodzi.

– E tam! – Głaza podźwignął się i oparł na kuchennym stole, co jednak nieco wystraszyło Irkę. Krzesło było łatwe do naprawienia czy zastąpienia, gorzej ze stołem.

– Kaaacha!!! – wydarł się. – Kaaachaa!

No to awantura murowana, pomyślała Irka, zaraz zaatakujecie nas tu Zalewska. Szczęknęły drzwi i pokazała się Kaśka – od razu było widać, że też jest chętna do zwady, burknęła bowiem ponuro:

– Czego tam się tak drzesz jak jaka stara pierzyna?

Nie dostała jednak odpowiedzi. Dzwonek przy drzwiach zatrzymał wszystkich w pół ruchu. Była już dwudziesta druga trzydzieści i jeśli nie jakiś sąsiad, to...

Popatrzyli na siebie; Irka wskazała Kaśce Wojtka i zakomenderowała:

– Do pokoju z nim. Niech udaje, że śpi.

Kaśka migiem złapała swojego amanta pod ramię i zaczęła ciągnąć w stronę służbówki, a Irka poszła w kierunku wejścia, zauważając w przelocie oko Zalewskiej w lekko uchylonych drzwiach, które, gdy je mijała, zostały bezszelestnie zamknięte.

Wtarabaniło się ich kilku do mieszkania, ilu było, trudno policzyć. Mały tłumek. Popchnęli Irkę do kuchni i pierwszą wzięli w obroty.

Niczym papuga powtarzała swoje:

– Pojechał gdzieś.

– Nie wiem kiedy, będzie już jakiś czas temu.

– Torba jest? Nie byłam przy tym, jak wyjeżdżał.

– Nie wiem, kto był. Nikt tu nie bywał. Wieczorem nie widziałam światła, to pomyślałam, że

wyjechał. Tydzień, dziesięć dni temu, trudno powiedzieć. Może kto będzie pamiętał, kiedy stąd go wywiało.

Gdy ją zdrowo wymaglowali, puścili, a w drzwiach minęła się z Zalewskim. W pokoju Zalewskich zaś przesłuchiowano Głazę, pijaniutkiego.

Coś tam bełkotał nieskładnie i Irka zadrżała. Żeby się nie wygadał, jak to po wódce. Pechowo z tym Wojteczkiem. Ręce jej się spociły.

Stanęła pod ścianą blisko drzwi gabinetu i usiłowała coś podsłuchać. W pokoju Szydłowskiego trwała rewizja. Kilku ich tam było i hałasowali. Odsuwali, jak się zdawało, meble. Bibliotekę? Chyba tak. Mam nadzieję, że wszystko, co ważne, zniszczył, że o niczym nie zapomniał, zanim...

Helenka wyszła z ich pokoju, który też bezpieka zaanektowała na miejsce przesłuchań. Była zmęczona i błada. Oficer o twarzy bezbarwnej i nie do zapamiętania poprosił do środka Zosię.

– Sprawnie im idzie – zagadała Irka do Heli.

– Cicho! Ciszaa! Nie porozumiewać się!!!

– Ja tylko... – zaczęła, ale natychmiast umilkła na widok uniesionego karabinu. Nie było żartów.

Zaczęła się przyglądać swoim butom. Zośka wyszła po półgodzinie z pokoju, ale Irka nawet nie drgnęła. Tylko spojrzała. Myślała o Romku i czuła łyzy pod powiekami. Nie chciała płakać, jeszcze wezmą to za żal za Groźnym, ale nagle, ni stąd, ni zowąd, naszedł ją obraz twarzy Romka, jego oczu, uśmiechu. Na zasadzie jakiego skojarzenia czy impulsu – nie wiedziała; udała, że pociera oczy ze zmęczenia, by się pozbyć łez. Odetchnęła głęboko. Zalewska wypadła z kuchni z wyrazem ulgi na twarzy, a weszła Kaśka. Głaza ciągle był przesłuchiwany, być może uznali, że pijany więcej powie. O niego najbardziej się wszyscy bali.

Stuki i puki w gabinecie się uspokoiły. Żeby tylko podłogi nie zerwali, Irka zaczęła wracać do realnych spraw. Skrytkę w podłodze miała w sypialni, ale skoro kiedyś gestapo jej nie znalazło, to i ci nie powinni. Zresztą nic w niej nie ma. Oszczędności trzymała w piwnicy – i to się sprawdziło.

Siedzieli już ze trzy godziny, Helenka przycupnęła w kucki, Zalewska stała wtulona w ramię męża, gdy zaczęli się zwijać. Coś tam wynosili z gabinetu, ale Irka nie była nawet ciekawa co. Pies ich...

Po powrocie z ruin, tamtej pamiętnej nocy, przejrzeni rzeczy w pokoju Groźnego. Był list. Irka chciała przeczytać, ale Zalewski wyjął jej papier z ręki i powiedział:

– Nie. Niepotrzebna nam ta wiedza. Będzie z nią trudniej. – I wrzucił papier do pieca.

Nikt nie zaprotestował. Bali się, że zmiękną, że serce ich zaboli, żadnej wiedzy nie chcieli. Tak.

Ekipa śledczych i żołnierzy wreszcie wyszła z mieszkania. Kapitan, dowodzący całą akcją, stojąc już w drzwiach, przykazał:

– Gdyby Szydłowski się pojawił, natychmiast macie zameldować. Inaczej będzie źle.

Wszyscy zgodnie kiwnęli głowami. Zapadła noc i byli zmaltretowani.

Nikt nic nie powiedział, nikt do niczego się nie przyznał, nawet pijany Głaza.

Kiedy drzwi trzasnęły, znowu poczuli się bezpieczni. Na chwilę. Krótką chwilę.

Epilog

TO TU, TO TAM

Stukot młotków zakłócał spokój majowego popołudnia. Irenka, zmęczona, siedziała na stercie gruzów i przyglądała się ekipie żołnierzy, budujących podest. Szykowały się tańce.

Na placu Trzech Krzyży. Od rana przygotowywała swoją kawiarenkę na tę okazję, Głaza skołował dwie beki piwa, a Franio zrobił ogródek przed tramwajem. Błaty wyszukanych w ruinach stolików pociągnął białą emalią, podobnie pomalował zbity z szalówki płotek. Wszystko to razem, mimo że każde krzesło i każdy stolik były inne, wyglądało (nieomal) jak przed wojną – elegancja Francja.

Goście powoli się schodzili, a w ogródku siedzieli już na najlepszych miejscach: Kaśka z Głazą, Zalewscy i Franiowie. Alinka pomagała Helence obsługiwać gości, tak się wcześniej umówiły, zawsze dziewczynka parę groszy zarobi. Dziś, wyjątkowo, zniesiono godzinę milicyjną i zapowiadała się zabawa do późnej nocy, tylko pewnie piwa nie starczy. Irka patrzyła na swoje niewielkie gospodarstwo z prawdziwą przyjemnością, ale smutek jej nie opuszczał, wszystko było jakoś nie to i nie tak. Odcienie szarości. Radość miała smak popiołu, ale co zrobić. Takie życie. Była pragmatyczna, jak zawsze, więc się podniosła i powędrowała do wagonu, z poczucia obowiązku, nie z chęci. W bramce ogródka zderzyła się z Lodzią i Władkiem, którzy przybyli na ten szczególny dzień do Warszawy i nawet mieli nocować na Mokotowskiej. Wojna się skończyła. Wczoraj dla całego świata, dziś dla strefy sowieckiej. Był dziewiąty maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Koniec wojennej wyrwy w dziejach. Zaczynało się nowe i właściwie już się działo, tu, w Warszawie, od stycznia. Od dziewiętnastego stycznia. Radość z końca wojny przesłaniał mieszkańcom Mokotowskiej cień. Cień podejrzenia. Wzywano ich w zasadzie codziennie na przesłuchania. Raz Zalewskich, raz Franiów, raz dziewczyny. Urozmaicają sobie, myślała Irenka, sondują, a nuż ktoś pęknie. Życie z Urzędem Bezpieczeństwa na karku nie było przyjemne, wszyscy wyglądali jak upiory, nawet Kacha, która sprawiała wrażenie takiej, co jej się nic nie ima. W oczach mieli strach i pustkę. Panikę. Ale nagle dano im spokój, a to też budziło obawę. Powoli jednak rodziła się nadzieja, że to wreszcie koniec, sprawa zesza z tapety. Odetchnęli, zaczęli normalnie sypiać i dziś, z okazji zakończenia wojny, odważyli się i wszyscy, jak jeden mąż, poszli do kościoła na mszę o siódmej rano.

Zamówiła ją Kaśka, o dziwo. Za duszę bliskiej osoby. Groźnego miała na myśli, a jakże.

W ciszy, w pustej, bocznej nawie, pomodlili się, by odpoczywał w spokoju. Poprosili też Boga o wybaczenie. Musieli, nie mogli inaczej, ale było im gorzko na myśl, że rzucili go tam, w zaszczurzoną norę. Jak psa. Gorzej nawet, psa by tam nie wrzucili.

Irka uklękła i z pochyloną głową zmówiła wieczne odpoczywanie też za Romka. Nie była wierząca, ale może to skupienie w kościele pomoże uporać się z bólem, co się załagł w sercu

i nie chciał odejść?

Jednak na widok Władzia odgoniła smutki, przyciągnęła go ramieniem do siebie i cmoknęła w łebek, który był już całkiem wysoko. Rósł chłopak jak topola samosiejka. Usiedli przy stoliku i Helenka, nie pytając, przyniosła piwo i podplomyki, które wymyśliła jako danie do szybkiego zjedzenia.

– Ale pięknie! – zachwycił się Władek, patrząc na wyszykowany ogródek.

– Staramy się! – odrzekła ze śmiechem Irenka.

Stukanie młotków ucichło i zaczęło się strojenie instrumentów. Na scenie, na krzeselkach, zasiadło kilku muzyków.

– O! Pan Mietek! – wykrzyknął chłopiec.

Istotnie, Miecio Angielak próbował swój akordeon, a jego ojciec rozśpiewywał skrzypce. Dziś mieli przygrywać do tańca spragnionym zabawy warszawiakom.

Usłyszeli kilka taktów najnowszego przeboju, *Błękitnej chusteczki*, która przywędrowała z wojakami Berlinga.

– To tu, to tam po świecie błąkam się sam... – zanuciła Lodzia.

– Śliczne... – Przysiadła koło nich Helenka i oczywiście się zachwyciła.

Ostatnio żyć im nie dawała, bo wszystko, co robił Miecio, było cudowne. Teraz też oczy jej błyszczały, gdy patrzyła w stronę grajków, których było aż pięciu, w tym dwóch akordeonistów. Muzyka nabrała tempa i pierwsze pary ruszyły na parkiet. Wojtek Głaza, podśpiewując: „Mała, błękitna chusteczka”, minął ich, wtulony w popiskującą Kachę, inaczej niż Zalewski, który z wyraźną niechęcią postępował za swoją żoną nie żoną, bo, jak się okazało, ślubu jednak nie wzięli. Co zresztą dla Irki nie miało żadnego znaczenia, ale dla Zalewskiej widać tak, bo się spłoszyła, gdy śledczy wymienili jej nazwisko – Popłońska.

– Zatańczymy? – spytała Helenka.

Irka otworzyła szeroko oczy; nie zwykła tańczyć z kobietami, ale skoro brakuje mężczyzn, to czemu nie.

Zaczęły się kręcić w tłoku, bo coraz więcej ludzi się pojawiało, zwabionych dźwiękami melodii. Koło nich tańczyła Lodzia z Władziem, też, podobnie jak Zalewski, bardzo niechętnie nastawionym do takiej zabawy. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł koło nich Miecio, wołając:

– Odbijany!

Irka z ulgą oddała mu swoją partnerkę i wróciła do kawiarenki, gdzie Franiowa dołączyła do Alinki i z wprawą nalewała piwo kolejnym chętnym.

Na stolikach stały już puste naczynia, więc Irenka sięgnęła po odrapaną, jak wszystko, co wyciągnięte z ruin, tacę i wzięła się do sprzątanía. Obok niej pojawiła się Zośka, która z okazji szczęśliwego końca wojny miała dziś wolny, no prawie, cały dzień. Rano wszyscy pracownicy biblioteki poszli oglądać paradę wojskową na placu Teatralnym i teraz, wyrwawszy się z wielkiego, zgromadzonego tam tłumu, dołączyła do koleżanek.

– No i jak na placu? – zagadnęła ją Irka.

– Imponująco, ludzi mrowie, prezydent Bierut przemawiał.

– Coś ciekawego mówił?

– Nic nie było słyhać, jutro sobie w „Trybunie” poczytam.

Zośka napiła się piwa i nie powiedziała, że na podeście, gdzie stał Bierut, dojrzała swojego stryjka. Kim on był, wciąż tak do końca nie wiedziała. Trzeba go zapytać, postanowiła. W każdym razie nie byle kim, skoro tam stał.

Teraz zagrali *Piosenkę o mojej Warszawie*.

Irenka zaczęła spiewać:

Jak uśmiech dziewczyny kochanej,
jak wiosny budzącej się wiew,
jak świergot jaskółek nad ranem,
młodzieńcze uczucia nieznane,
jak rosa błyszcząca na trawie,
miłości rodzącej się zew,
tak serce raduje piosenki tej śpiew,
piosenki o mojej Warszawie.

Warszawo kochana, Warszawo!
Tyś treścią mych marzeń, mych snów,
radosnych przechodniów twych lawą,
ulicznym rozgwarem i wrzawą.
Ty wołasz mnie, wołasz, stęskniona
upojnych piosenek i słów...

Dostała oklaski, szczególnie Władzio bił brawo jak szalony. Podeszła do niego, na chwilę wtuliła nos w jego włosy i lekko go cmoknęła. No, tego już było za dużo, wyrwał się natychmiast i pognął do Alinki. Irenka uśmiechnęła się zadowolona, im więcej chłopiec będzie miał tu przyjaciół, tym częściej będzie ją odwiedzał. Myślała nawet przez moment, by zaproponować im pokój po Groźnym, ale oboje z Łodzią w sposób tak oczywisty byli szczęśliwi w tym swoim Zalesiu, że uznała, że lepiej już im tego szczęścia nie zaburzać.

Udała się do kwaterek z Zośką i namówiła Pana Ważnego Urzędnika, już nieco zaprzyjaźnionego, do wydania nakazu na pokój dla Zofii Nowakówny. Jeszcze nikt nie wystąpił o ten lokal, co ją nieco zdumiało. Stawiała raczej na to, że się nie uda załatwić, bo Kacha i Wojtek byli szybcy i obrotni, a służbówka naprawdę mała. A tu nic. Nie postarali się. No cóż, ich strata.

Zerknęła na nich, zbierając kolejne szklanki – tańczyli przytuleni policzkami do siebie. Tango apaszowskie. Akurat do nich bardzo pasowało. Wojtek coś tam podśpiewywał, jak widziała, ale nie było go słyhać i Bogu dzięki. Od tłumu tańczących oderwała się Helenka, widać Mietek musiał wrócić do pracy. Podbiegła do Irki zapłonioma. Stanęła tuż przy niej i pokazała rękę.

– Zobacz!!!

Na palcu miała niewielki pierścionek z koralem. Czerwonym jak krew.

– Zareczyłaś się? – wykrzyknęła Irka trochę za głośno, co przywołało Zośkę, też obsługującą gości.

– Śliczny! Miecio się oświadczył? – zawołała radośnie.

– Tak! Jak zobaczyłam ten pierścionek, to pomyślałam, że to znak. Od matuli mojej, dała mi taki sam. Jak... jak szłam z domu. Musiałam potem sprzedać, bo, no, musiałam, wiadomo. No i Miecio wyciąga taki podobny! Znak! Wrócił.

Irka objęła Helę mocno, mocno i przytuliła.

– Gratuluje, Helutko, bądź szczęśliwa, zrobimy ci piękne wesele!

Patrzyła przy tym na Zośkę, w jej oczy, takie niewesołe.

Zośka poczekała spokojnie na swoją kolej, a potem zawołała:

– Bądź! Należy ci się to szczęście po tym wszystkim. I każdej z nas. Ale cudownie, że ty pierwsza trafiłaś na swego.

– Oj tak. Miecio jest taki dobry, że strach. Aż mi głupio, że może ja dla niego niezbyt dobra, przecież on nie wie o wszystkim, co mnie się w te wojne przydarzyło, i sama nie wiem, czy ja mogę...

– Heluniu – Irka złapała ją mocno za rękę, tę z pierścionkiem – proszę cię, nic mu nie mów. O niczym. Nigdy.

Helenka poczerwieniała.

– Ale jak to tak, przecież nie wolno...

Zośka poklepała ją po plecach.

– Wolno, można, a nawet trzeba. Nic nie mów. To są sprawy nie tylko ciebie dotyczące. Obiecuj. Bądź szczęśliwa i zapomnij o wszystkim. Na zawsze. Obiecuj.

Hela patrzyła na nie tymi swoimi ciemnomiodowymi oczami i bała się głośniejsz odetchnąć. Zapomnieć, jak tu zapomnieć? Jak żyć z tymi tajemnicami? Nie potrafiła, ale przecież ukrywała historię z Helmutem i Krzysiem. Właściwie czy miała prawo do tego pierścionka? Sama nie wiedziała.

– To może ja mu oddam ten pierścionek, bo on mi wsunął i ja wtedy powiedziałam, że muszę chwilę pomyśleć. Bo wiecie, nie spodziewałam się, nie sądziłam, że on tak zaraz...

– Kocha cię, Helutku, naprawdę kocha. – Zosia pogłaskała ją po włosach. – Pozwól się kochać. A później zobaczymy, co i jak.

Dzień powoli przemijał, piwo się skończyło, ale goście wyciągali z teczek i toreb swój bimber i raczyli się bez skrupułów. Dziewczyny nosiły stopy kanapek ze smalcem i ogórkiem, przygotowywanych w tramwaju. Wszystkie były już zmęczone, paskudnie zmęczone i o niczym innym nie marzyły, jak tylko o końcu tego wieczoru.

Irka na chwilę przysiadła koło Zalewskich; on popijał wódeczkę, ona sączyła cieniutką, przygotowaną przez Franiową herbatkę.

– Pani Irenko, jak tu rzecz – zagał Zalewski – miło było, ale się skończyło.

Spojrzała zdziwiona – co też on bredzi. Uniósł kieliszek.

– Czas się zbierać.

– Aha, ja też już mam dość – zgodziła się chętnie Irka. Marzyła o łóżku.

– Ja nie o tym. Do domu zdążymy, jeszcze ciut się pobawimy... chciałem pogadać.

Jako że się średnio bawiła, tylko kiwnęła głową. Pan Poeta, ten Zalewski, pomyślała. Władzio grał w zapałki z Alinką przy sąsiednim stoliku. Dzieciaki też pewnie miały dość. Lodzia gdzieś zniknęła, może tańczyła?

– To o czym? – spytała, w zasadzie po to, by rozmowa nie zdechła do cna.

– Postanowiliśmy z Wandzią wyjechać. Do Wrocławia. Tam podobno dobre warunki mieszkaniowe, miasto ocalało, a lekarze potrzebni.

– To... O...? I kiedy państwo planują wyjazd?

– Za kilka dni. Tylko proszę nic nie mówić Głazie i tej tam – wycedziła Zalewska – bo oni też chcą jechać. A my z nimi absolutnie nic wspólnego mieć nie chcemy. Jeśli oni do Wrocławia, to my sobie zmienimy na Jelenią Górę.

Irenka pokiwała głową. To było nawet rozsądne. Wyjechać, uciec, usunąć się, zejść z celownika UB.

– Dziękuję, że mi państwo mówicie.

– No cóż, mieszkanie jest pani, my musimy zdać klucze w kwaterunku, ale jeśli pani, panno Irenko, wystąpi, to może jadalnia wróci do was. Dla Heli będzie jak znalazł – mówił rozsądnie doktor Zalewski.

– To już państwo wiecie o zaręczynach Helenki?

– Oj tak, Miecio taki szczęśliwy, zaraz nam się pochwalił.

Irenka sama nie wiedziała, czy się cieszyć, czy smucić. Przywiązała się do swoich lokatorów, może to głupie. Ale tak było.

Może dlatego, że była samotna. Taki gwarny dom jej odpowiadał, choć wolałaby mieć swoją sypialnię tylko dla siebie. Reszta, trudno, niech się ludzie cieszą, mogła się podzielić.

Zosia przysiadła koło nich.

– To będziemy miały Miecia i Helę obok.

– Tak, w zasadzie to dobrze – zastanowiła się Irenka. – Z Heli to jeszcze ciągle taki dzieciak.

– Nie da się ukryć. Boję się, że możesz być wtrącającą się teściową! – zaśmiała się Zośka.

– Ja? Nigdy. No, może czasem.

– Zobaczymy, jak to będzie.

W tej chwili przed Zośką skłonił się chłopak, wysoki, smukły, przystojny.

– Czy mogę poprosić do tańca?

Chwilkę się zawahała.

– Nie wiem...

– My się znamy, poznaliśmy się na lodzie.

Obie dziewczyny spojrzały ze zdumieniem na młodzieńca.

– Wpadła pani po kostki do wody, w czasie przeprawy przez Wisłę, służyłem moją białą chusteczką. Panno Zofio, pamięta pani? Jędrzej Machowski – przedstawił się ponownie.

I wtedy sobie przypomniała. Miły chłopak, nawet klęknął, by jej wytrzeć buty. Podniosła się i podała mu rękę. Spojrzała w przelocie na Irenkę i ta zobaczyła w oczach Zośki błysk, jakiego nigdy przedtem tam nie było. Może to on, właśnie ten?

Westchnęła; została sama przy stoliku, bo i Zalewscy chwilę wcześniej poszli tańczyć.

„Czy tu, czy tam, po świecie błąkam się sam” – słowa piosenki zabrzmiały jak paskudne memento. Widać taki jej los, szczęście w miłości nie jest jej pisane. Spojrzała na butelkę wódki, na wpół pełną, i pomyślała: może to pomoże. Ale zaraz zrezygnowała. Wiedziała, że nie pomoże.

Więc co? Wstała i rozejrzała się wokoło. Ludzie tańczyli poprzytulani do siebie, Władzio i Alinka, dwie główki, płowa i czarna, nachyleni, ustawiali na stoliku wieżę z zapalek.

Ruiny Warszawy w świetle reflektorów zamocowanych na placu wyglądały zjawiskowo. Irenka znów podeszła do wielkiego gruzowiska, gdzie z kamieni utworzyła się wygodna nisza do siedzenia.

Taki wieczór jest jeden w życiu, pomyślała i nagle, jakby na potwierdzenie tego, niebo rozbłysło tysiącami fajerwerków, na które wszyscy czekali, były bowiem zapowiadane z ulicznych głośników. Czerwone, zielone, fioletowe iskry migały jej przed oczami. Irka oparła się o gruzy; te ruiny też były niezwykle, biło od nich piękno, monumentalne piękno.

Wojna się skończyła, grała muzyka, a ona, no cóż, da sobie radę. Jak zawsze.

Nagle poczuła, że ktoś ją obejmuje. Odwróciła się i zobaczyła jego oczy. Oczy Romka. Krzyknęła.

To był Romek. Jego twarz, on sam. Zdawało jej się, że śni.

Stał naprzeciwko niej, o krok. Zdrętwiała, oddychała ciężko, bała się, że upadnie, ale Romek

mocno ją objął i przytulił. Podtrzymał.

– Jak to? Romek! To ty?!

Trzymał ją w ramionach. Tulił, całował jej włosy.

– Żyjesz? Ty żyjesz? – gadała bez sensu, bo on milczał. Tylko był, przytulał ją jak utracony skarb, jak coś najcenniejszego i odzyskanego. A przecież to ona go straciła, nie on ją.

W końcu się odezwał:

– Jak widzisz, żyję i jestem cały i zdrow.

– Ale jak, przecież Jacenty przyszedł na Filtrową...

– Jacenty, kiedy mnie trafili, wyskoczył z ciężarówki i dał dyla, tyle go widziałem.

– Łajdak! – krzyknęła Irka z płomiennym oburzeniem. Wcale do niej niepodobnym, takim dziecinny, a przecież nie była dziecinna. Romek zaśmiał się i pocałował ją w usta, patrząc jej w oczy.

– Czy ja wiem, mądrze zrobił. Dał nogę, uratował swój tyłek. Ciężarówka walnęła w drzewo i się wywróciła. Te gnoje, co strzelały, doszły do mnie, ale nic nie wzięły, no bo co będą brać, jakieś części? Samochód do niczego się nie nadawał, leżał przewrócony, ja w sfoferce nieprzytomny i zakrwawiony, pewnie wyglądałem na trupa. Może i nie zauważyli, że oddycham. Była noc, zimno i ciemno. Rano przypałała się chłopek o dobrym sercu, zawiózł mnie do szpitala, szczęśliwie będącego niedaleczko. No i tam mnie postawili na nogi. Trochę im to jednak zajęło. Ale jestem.

Objęła go i zaczęli się całować, byli głodni, bardzo głodni.

– Tak się cieszę, tak się cieszę... – szeptała.

– Ja też, tęskniłem jak pies, Irenko. Jak pies.

– To jak...? – Podniosła na niego oczy.

– Będziemy razem. Na zawsze, jeśli tylko los pozwoli. Bo... no, wiesz. Pojadę do Lwowa i wrócę, już tylko do ciebie...

W górze błyskały fajerwerki, strzelali jacyś żołnierze, ale w jej sercu zapanował spokój.

Baryton na scenie śpiewał:

Powróćmy jak za dawnych lat
W zaklany bajek świat
Miłością swoją w piękną baśń
Me życie zmień...

Za siódmym morzem, z dala stąd,
Znajdziemy czarodziejski ląd
I szczęście da nam każda noc
I każdy dzień.

Irenka przytuliła się mocno do Romka, jej jedyne, ukochanego zmartwychwstałego Romka. Popatrzyła na rozpryskujące się gwiazdy fajerwerków i pomyślała, uwierzyła, że szczęście czeka za progiem.

Posłowie

SZANOWNNI CZYTELNICY,

Koniec i początek jest dla mnie książką szczególną, wróciłam w niej do mojej ulubionej bohaterki, Irenki Góreckiej, hojną ręką dodając jej dwie koleżanki, i do historii, której początek napisałam już dawno, z ambitnym planem pokazania szerokiej panoramy wojny i tego, co zrobiła ludziom i nam jako społeczeństwu. Niestety, jak śpiewał Mackie Majcher, warunki nie sprzyjały. Nie chciałam sięgać po ograny do cna okres powstania, więc pokazałam moment, gdy wojna się kończy i zaczyna się powoli budować nowa Polska, zupełnie inna niż ta wcześniej. Pokazać trzy kobiety uwikłane w historię, najpierw usiłujące za wszelką cenę przeżyć, a później na gruzach tego, co było, zbudować sobie nowe życie. Historie, które opisuję, zawsze są prawdziwe. Całe tło historyczne, ludzie i zdarzenia. Wplątuje w nie moich wymyślonych bohaterów. Jest to więc utwór sytuujący się między literaturą faktu a po prostu literaturą. Powinnam do tej i poprzedniej książki zrobić bibliografię, ale to by zapewne odstraszyło część czytelników. Zatem wspomnę tylko o najważniejszych inspiracjach.

Historia, od której zaczyna się powieść, opiera się luźno na pamiętnikach Sabiny Dłużniewskiej, natomiast późniejszy wątek Jędrzejowa w momencie wyzwalania został zainspirowany wspomnieniami Moniki Żeromskiej i innych ludzi, którzy tam wówczas byli. Dzieje warszawskie, czyli losy bohaterów kołchozowego mieszkania przy Mokotowskiej, opisywałam, mając w pamięci wspomnieniową książkę Krystyny Uniechowskiej. Rozmawiałam z autorką; napisała ją dlatego, że żywiła nadzieję, że dowie się czegoś więcej na temat historii, która jej się przytrafiła. Tak się nie stało jednak. Nie zamknęłam całej tej opowieści w ramach książki. Być może do niej wrócę, być może nie, nigdy bowiem nic nie wiadomo.

Miała ta historia w prawdziwym życiu swój ciąg dalszy. Równie groźny jak na kartach wspomnień i mojej powieści.

Wątek poszukiwania woluminów z wywiezionej biblioteki uniwersyteckiej poprowadziłam w ślad za wspomnieniami profesora Bohdana Korzeniewskiego i na jego postaci wzorowałam doktora Jaromira Chodakowskiego. Profesor Migoń to mniej więcej wierna replika profesora Wacława Borowego.

Tyle o inspiracjach, choć wspomnień i opracowań, z których korzystałam, było więcej. Mam dla nich specjalną szafkę w bibliotece.

Zapytacie może: A gdzie hrabina i profesor Rosenblatt, tak żywo obecni w poprzedniej powieści *Dziewczyna z kabaretu*?

Byli tu, w tej powieści, ale zniknęli. W styczniu 1940 roku szlakiem tatrzańskim przedostali się na Węgry, a stamtąd dalej, do Anglii. Ponieważ Leon Rosenblatt był wzorowany na osobie profesora Estreichera (tylko bardziej uroczy, lubię faceta), to zajął się poszukiwaniem dzieł sztuki, jak jego pierwowzór, a hrabina...

Nie będę spoilerować. Pisząc *Koniec i początek*, przedstawiłam losy także tych bohaterów. Ale

zdecydowałam, że podzielę książkę na dwie, są to bowiem zupełnie inne historie i z innego porządku.

Zatem wkrótce, a może i nie, będzie kolejna powieść. Tyle tytułem wyjaśnień. Co teraz? Podziękowania.

Zacznę od początku – od mojej nauczycielki polskiego. Nie stukałabym teraz w klawiaturę, gdyby nie pani Elżbieta Trzeciakowa, polonistka piaseczyńskiego liceum. Nauczyła mnie ona dwóch niezwykle ważnych rzeczy – patrzenia na rzeczy i sprawy relatywistycznie, czyli, mówiąc normalnym językiem: z różnych punktów widzenia. Pamiętne lekcje, gdy się na jednej broniło Antygony, a na drugiej – oskarżało. To pozwalało zrozumieć mechanizmy, a bez ich rozumienia widzimy tylko krótki odcinek tu i teraz. Ta umiejętność jest niezwykle przydatna w życiu. I pisaniu.

Drugą, równie ważną rzeczą wyniesioną z liceum było obowiązkowe czytanie gazet, czyli tak zwana prasówka. Wtedy czytałam „Politykę” i od półwiecza czytam ją nadal. Czytałam także „Radar”, „Przekrój”, „Kulturę”. Teraz inne gazety, różne, bo to kolejna ważna wyniesiona lekcja – trzeba czytać rzeczy z różnych półek. Także literackich. Nie utknąć w kryminałach, literaturze kobiecej czy tylko wysokiej. To podobne do zdrowego odżywiania. Próbujmy wszystkiego, będziemy zdrowsi i mądrzejsi. Zatem serdecznie dziękuję, pani profesor!

Specjalne podziękowania należą się mojej absolutnie cudownej wydawczyni Ani Derengowskiej z firmy Prószyński Media.

Wiele ze mną przecierpiała bez słowa skargi. Tempo pisania, zmiany redakcyjne, moje wątpliwości i wahania. Dziękuję tej świętej in spe osobie. Świętej, bo wszak autorzy to krzyż prawdziwy.

Na ostatku, choć powinnam to zrobić na miejscu pierwszym, dziękuję moim wiernym czytelnikom. Że o mnie pamiętają, że mnie czytają i dopominają się od ośmiu lat wytrwale o dalsze części historii. Historii jako historii i opowieści o Irencie Góreckiej, tancerce z kabaretu, która się niczego nie bała.

Ściskam was wszystkich bardzo serdecznie i mam nadzieję, że książka trafi do waszych serc.

Manula Kalicka

Spis treści

Prolog

12 KWIETNIA 1945

Uciekaj, uciekaj

20 WRZEŚNIA 1944, WŁOCHY

Wcześniej

1 SIERPNI 1944, WARSZAWA

20 WRZEŚNIA 1944, NOWE WŁOCHY

19 WRZEŚNIA 1944, MARYNIN

21 WRZEŚNIA 1944, WŁOCHY

Rok wcześniej

CZERWIEC 1943

Teraz

19 WRZEŚNIA 1944, NOWE WŁOCHY

Z dymem pożarów

2 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

4 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

12 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

15 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

19 PAŹDZIERNIKA 1944, NOWE WŁOCHY

24 GRUDNIA 1944, JĘDRZEJÓW

27 LUTEGO 1940, MYSZKOWICE

24 GRUDNIA 1944, JĘDRZEJÓW

Taki zły ten styczeń

3 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Wcześniej

6 STYCZNIA 1940, RABKA

6 STYCZNIA 1945, WOJTKOWICE MAŁE

Wcześniej

26 KWIETNIA 1940, WOLA OSTROWSKA

Teraz

7 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

9 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

10 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

12 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

13 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Wcześniej

16 STYCZNIA 1941, WOLA OSTROWSKA

Teraz

13 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Wcześniej

19 STYCZNIA 1941, LAS

Teraz

13 STYCZNIA 1945, JĘDRZEJÓW

Przeminęło

12 LUTEGO 1945, WARSZAWA

20 LUTEGO 1945, WARSZAWA

20 LUTEGO 1945, WARSZAWA

22 LUTEGO 1945, WARSZAWA

1 MARCA 1945, WARSZAWA

NIECO WCZEŚNIEJ, 21 STYCZNIA 1945

Teraz

1 MARCA 1945, WARSZAWA

5 MARCA 1945, WARSZAWA

7 MARCA 1945, WARSZAWA

Nie trzeba wracać do wspomnień

7 MARCA 1945, WARSZAWA

7 MARCA 1945, WARSZAWA

8 MARCA 1945, WARSZAWA

8 MARCA 1945, WARSZAWA

9 MARCA 1945, WARSZAWA

9 MARCA 1945, WARSZAWA

9 MARCA 1945, WARSZAWA

9 MARCA 1945, WARSZAWA

Dawniej

22 MARCA 1943, WOJTKOWICE MAŁE

Teraz

9 MARCA 1945, WARSZAWA

9 MARCA 1945, WIECZÓR, WARSZAWA

W poszukiwaniu zaginionego

10 MARCA 1945, WARSZAWA

10 MARCA 1945, WARSZAWA

10 MARCA 1944, WARSZAWA

11 MARCA 1945, GOERBITSCH

12 MARCA 1945, WARSZAWA

Dawniej

15 KWIETNIA 1943, WOJTKOWICE MAŁE

12 MARCA 1945, WARSZAWA

[12 MARCA 1945, GOERBITSCH](#)
[13 MARCA 1945, WARSZAWA](#)
[14 MARCA 1945, GOERBITSCH](#)
[15 MARCA 1945, WARSZAWA](#)
[15 MARCA 1945, WARSZAWA](#)
[15 MARCA 1945, BOTTSCHOW](#)
[16 MARCA 1945 ROKU, GOERBITSCH](#)
[16 MARCA 1945, PODKOWA LEŚNA](#)
[18 MARCA 1945, WARSZAWA](#)
[18 MARCA 1945, WARSZAWA](#)
[20 MARCA 1945, BOTTSCHOW](#)
[25 MARCA 1945, BOTTSCHOW](#)

Niedocieczony wątek

[26 MARCA 1945; WARSZAWA](#)
[27 MARCA 1945, PODKOWA LEŚNA](#)
[28 MARCA 1945, BOTTSCHOW](#)
[29 MARCA 1945, BOTTSCHOW](#)
[30 MARCA 1945, GOERBITSCH](#)
[30 MARCA 1945, BOTTSCHOW](#)
[31 MARCA 1945, BOTTSCHOW](#)

Wielkanoc

[1 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)
[2 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)
[4 KWIETNIA 1945 ROKU, WARSZAWA](#)
[6 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)
[6 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)

Wcześniej

[SIERPIEŃ 1944, WARSZAWA](#)

Teraz

[6 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)
[6 KWIETNIA 1945, ZALESIE DOLNE](#)

Jedno wesele, niejeden pogrzeb

[9 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)

Utracone

[10 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)
[10 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)
[11 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)
[12 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)
[13 KWIETNIA 1945, TRZECIA NAD RANEM, WARSZAWA](#)
[16 KWIETNIA 1945, WARSZAWA](#)

19 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

20 KWIETNIA 1945, WARSZAWA

Epilog

TO TU, TO TAM

Posłowie

SZANOWNI CZYTELNICY,